

WILLIAM
DIETRICH

KLUCZ
Z ROSETTY

Wiedza nie unicestwia zdolności zachwycania się cudami. Zawsze będą jakieś tajemnice do odkrycia.

Anais Nin

Drogi Czytelniku

Ethan Gage znów popadł w tarapaty i jest to Twoja wina! Dzięki zainteresowaniu, z jakim przyjąłeś *Piramidy Napoleona* i opisaną w tej książce barwną epokę, mój amerykański hazardzista, elektryk, protegowany Franklina, strzelec wyborowy i pechowy kobieciarz (Ethan stanowczo nie ma szczęścia do kobiet) powraca w powieści *Klucz z Rosetty*. Tym razem został wmieszany w napoleońską wyprawę do Palestyny i jest świadkiem wyniesienia generała na szczyty władzy we Francji. Wielu z was zastanawiało się, jaki los spotkał kochankę Ethana, Astizę, i podstępного hrabiego Alessandra Silano, gdy spadli z balonu w objęcia Nilu. Napisałem *Klucz z Rosetty*, żeby wam o tym powiedzieć.

Jak *Piramidy Napoleona*, i ta powieść oparta jest na prawdziwym epizodzie ze zdumiewającej kariery Bonapartego, mieszają się też w niej wczesne doniesienia o elektryczności i nauki Franklina z opartymi na faktach informacjami dotyczącymi Księgi Tota, Rycerzy Świątyni, żydowskich mistyków i kamienia z Rosetty. Opisane przeze mnie bitwy stoczono naprawdę, a wielu drugoplanowych bohaterów tej książki - angielski awanturnik Sidney Smith, francuski rojalista, rywalizujący z Napoleonem Phelippeaux, „Rzeźnik” Dżezar, matematyk Gaspard Mones i kaleki Żyd Chaim Farhi - to postaci autentyczne. Prowadząc badania przed napisaniem tej książki, penetrowałem podziemne tunele Jerozolimy, spacerowałem po umocnieniach Akry

i piałem się po ścieżkach zagubionego miasta Petra. Prawdziwy też jest nagły zwrot historii, który oddał Napoleonowi koronę cesarską we Francji. Jądrzem opowieści jest tajemnica wiążąca się z tym, jak Bonaparte zdołał przekształcić poniesioną w Palestynie klęskę w tryumfalny powrót do ojczyzny. W jaki sposób to osiągnął?

Wielu osobom podobała się wartka akcja, cierpki humor i opisy badań naukowych, jakie Ethan musiał przeprowadzić podczas swojej pierwszej pogoni za skarbem; znajdziesz to, drogi Czytelniku, również w *Kluczu z Rosetty*, Jeżeli po raz pierwszy stykasz się z Ethanem Gage'em i jego przygodami na kartach tej książki, wciągną cię one bez reszty. *Klucz z Rosetty* zamyka całą historię, a ja, jak by powiedział Ethan, „pozbawiony tchu na razie mam dość przygód”. Ale zawsze są jeszcze do odkrycia jakieś tajemnice...

Przyjemnej lektury!

CZEŚĆ
PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

Tysiąc luf muszkietów wymierzonych w pierś zmusza jej właściciela do zastanawiania się, czy przypadkiem nie pobił. Tak też uczyniłem, zwłaszcza że wylot każdej z tych luf był szeroki jak paszcze błakających się po ulicach Kairu bezpańskich kundli. Ale nie, choć jestem skromny aż do przesady, mam również poczucie sprawiedliwości - i w jego świetle to nie ja pobiłem, tylko cała francuska armia. Co też chętnie bym wyjaśnił mojemu niegdysiejszemu przyjacielowi, Napoleonowi Bonaparte, gdyby migocząc w jaskrawym słońcu guzikami munduru i medalami, nie tkwił teraz - samotny i irytująco pogrążony w myślach - na wydmach poza zasięgiem głosu.

Kiedy po raz pierwszy znalazłem się na plaży obok Bonapartego, gdy w 1798 roku wylądował w Egipcie ze swoją armią, powiedział mi, że tych, co utonęli, unieśmiertelni historia. Teraz, w dziewięć miesięcy później, pod palestyńskim portem o nazwie Jaffa, to ja miałem przejść do historii. Francuscy grenadierzy szykowali się do egzekucji bezbronných mużułmańskich jeńców, pomiędzy których wtrącono i mnie, ja zaś, Ethan Gage, po raz kolejny usiłowałem wymyślić coś, co pozwoliłoby mi przechytryć przeznaczenie. Wiecie, miała to być masowa egzekucja, a ja usiłowałem okpić generała, z którym kiedyś próbowałem się zaprzyjaźnić.

Jak bardzo oddaliliśmy się od siebie podczas tych dziewięciu miesięcy!

Spróbowałem się wcisnąć za najbardziej rosnącego z tych przeklętych otomańskich więźniów, jakiego mogłem znaleźć. Był to olbrzymi Murzyn znad Górnego Nilu, na oko dość gruby, żeby zatrzymać kulę z muszkietu. Na tę piękną plażę spędzono nas wszystkich jak przerażone bydło. Z ciemnych twarzy wyzierały białka wytrzeszczonych oczu; tureccy jeńcy mieli na sobie czerwone, kremowe i niebieskie uniformy, poplamione sadzą i krwią po uderzeniach kolbami i strzałach, które zapędziły ich na miejsce egzekucji. Byli tu smukli Marokańczycy, wysocy i ponury Sudańczycy, spokojni i jasnoskórzy Albańczycy, jeźdźcy z Kaukazu, greccy artylerzyści i tureccy podoficerowie - rekruci pościągani ze wszystkich krańców rozległego imperium, upokorzeni teraz przez Francuzów. I ja - jedyny w tym gronie Amerykanin. Nie tylko ja nie rozumiałem ich mowy - oni też często nie pojmowali siebie nawzajem. Dowódcy już byli martwi i tłum kotłował się bezładnie; chaos wśród skazańców kontrastował z równymi szeregami plutonów egzekucyjnych, wyciągniętymi jak na paradzie. Arogancja Turków rozjuszyła Napoleona - nie należy zatykać na ostrzach włóczni głów emisariuszy - a liczba wziętych do niewoli głodomorów groziła opóźnieniem postępów jego inwazji. Przeprowadzono więc nas przez pomarańczowe gaje na półksiężycowato wygiętą piaszczystą plażę, znajdującą się na południe od zdobytego portu. Za nami lśniły złotem i zielenią płycizny morza, a przed nami wciąż jeszcze dymiły wierzchołki wzgórz. Widziałem jeszcze gdzieś tam owoce na okaleczonych wystrzałami drzewkach. Mój były dobroczyńca i obecny wróg siedzący na koniu niczym młody Aleksander miał (wiedziony desperacją czy może zimnym wyrachowaniem) okazać bezwzględność, o której jego generałowie długo jeszcze mieli szeptać podczas przyszłych kampanii. I nawet nie raczył okazać choć odrobiny zainteresowania! Czytał kolejne z tych ponurych powieści,

swoim zwyczajem pochłaniając stronę, wydzierając ją i rzucając swoim oficerom. Stałem bosy i zakrwawiony w odległości zaledwie czterdziestu mil lotu ptaka od miejsca, gdzie zbawiając świat, umarł Jezus Chrystus. Wspomnienie jego udręczenia i egzekucji nie przekonało mnie, że Zbawcy udało się uszlachetnić ludzką naturę.

- Gotów!

Na tę komendę żołnierze odwiedli tysiące kurków.

Sługusi Napoleona oskarżyli mnie o szpiegowanie i zdradę, i z tego powodu wspólnie z innymi poprowadzono mnie na tę plażę. Istotnie, w tych okolicznościach oskarżenie zawierało ziarno prawdy. Ale żadną miarą niczego nie zrobiłem rozmyślnie! Byłem po prostu Amerykaninem w Paryżu, którego szczątkowa znajomość zagadnień związanych z elektrycznością oraz konieczność salwowania się ucieczką przed niesprawiedliwym oskarżeniem o morderstwo zaowocowały włączeniem do kompanii naukowców i uczonych, których Napoleon rok temu zabrał ze sobą, żeby mieć świadków wspaniałego podboju Egiptu. Okazało się także, że mam szczęście do wybierania niewłaściwych stron w niewłaściwych momentach. Strzelali do mnie mameluccy jeźdźcy, kobieta, którą pokochałem, arabscy rzeźmieszkowie, walący salwami burtowymi brytyjscy kanonierzy, muzułmańscy fanatycy, francuscy strzelcy - a uważam się w końcu za człowieka, który da się lubić!

Moją ostatnią nemezis był pewien francuski łajdaczyzna o nazwisku Pierre Najac, zabójca i złodziej, który nie umiał się pogodzić z faktem, że go postrzeliłem spod dylizansu na trakcie do Tulonu, gdy usiłował mi zrabować święty medalion. Długa to historia, o czym może zaświadczyć poprzedni tom moich przygód. Najac pojawił się w moim życiu ponownie jak niespłacony dług i teraz, dźgnąwszy mnie ostrzem szabli w kark, wepchnął mnie w szeregi jeńców tureckich. Czekał na mój nieunikniony koniec z tym

samym uczuciem obrzydliwego tryumfu, z jakim rozgniała się paskudnego pająka. Żałowałem, że gdy miałem okazję, nie wymierzyłem o włos wyżej i dwa cale w lewo.

Otóż wszystko się zaczęło przy karcianym stoliku. Podczas mojej ostatniej bytności w Paryżu wygrałem tajemniczy medalion, źródło wszystkich moich późniejszych kłopotów. Tym razem, choć wydało mi się to niezłym sposobem na rozpoczęcie nowego życia - mam na myśli ogranie zaskoczonych brytyjskich żeglarzy z HMS *Dangerous* do ostatniego szylinga, zanim wysadzili mnie na brzeg Ziemi Świętej - niczego w ten sposób nie osiągnąłem i można zaryzykować tezę, że przez to znalazłem się w okropnych opałach. Pozwólcie, że powtórzę: hazard jest występkiem i głupio czyni, kto polega wyłącznie na szczęściu.

-Cel!

Wyprzedzam jednak rozwój wydarzeń.

Ja, Ethan Gage, większość z moich trzydziestu czterech lat życia spędziłem na unikaniu kłopotów i dokładaniu starań, żeby się nie przepracować. Jak z pewnością nie omieszkałby zauważyć mój mentor i niegdysiejszy pracodawca, świętej pamięci wielki Beniamin Franklin, te dwie ambicje są przeciwstawne, jak dodatnia i ujemna elektryczność. Unikanie pracy prędzej czy później doprowadzi do kłopotów. Jest to jednak nauczka, o której szybko się zapomina - tak jak nie chcemy pamiętać o tym, że kobieta zmienną jest, a nadużywanie alkoholu kończy się kacem. Niechęć do ciężkiej pracy pogłębia moje zamiłowanie do hazardu, hazard dał mi w ręce medalion, który zapędził mnie do Egiptu z połową łajdaków całej planety depczących mi po piętach, a w Egipcie poznałem moją ukochaną, później utraconą Astizę. Ona z kolei przekonała mnie, że musimy uratować świat przed hersztem Najaca, włosko--francuskim arystokratą, hrabią i czarnoksiężnikiem Ales-sandrem Silano. Przez to wszystko dość niepodziewanie znalazłem się w szeregach wrogów Bonaparte'go. W re-

zultacie rozmaitych wydarzeń zakochałem się, znalazłem sekretne wejście do Wielkiej Piramidy i dokonawszy kilku niesamowitych odkryć, straciłem wszystko, co było mi drogie, podczas ucieczki balonem.

Jak powiedziałem, długa to historia.

Tak czy owak, piękna i doprowadzająca mnie do szaleństwa Astiza - moja niedoszła zabójczyni, potem sługa, wreszcie egipska kapłanka - wypadła z kosza balonu w fale Nilu z moim wrogiem, hrabią Silano. Desperacko usiłowałem dowiedzieć się czegoś o ich dalszym losie, a mój niepokój potęgowały ostatnie słowa, jakie łajdak rzucił Astizie: „Wiesz, że wciąż cię kocham!” Czemuż to właśnie takie wspomnienia dręczą nas po nocach? Jakie naprawdę łączyły ich stosunki? Z tego powodu uległem namowom tego zwariowanego Angoła, sir Sidneya Smitha, który wysadził mnie na ląd w Palestynie tuż przed nadciągającymi oddziałami Bonapartego - chciałem zasięgnąć języka w sprawie mojej ukochanej. Potem już jedno wydarzenie pociągały za sobą inne - i oto stanąłem przed tysiącem wymierzonych w nas luf.

- Pal!

Zanim wam opowiem, co się stało, kiedy muszkiety wypaliły, może powinienem wrócić z opowieścią do miejsca, w którym ją przerwałem, to znaczy na pokład brytyjskiej fregaty *Dangerous*, która z wydętymi żaglami, prując fale, zbliżała się ku brzegom Ziemi Świętej. Jakież to wszystko było podniecające: łopot angielskiej bandery, krzepcy żeglarze ciągnący grube liny i śpiewający szorstkie, sprośne szanty, sztywni jak kołki oficerowie w kapeluszach o kształcie pierogów przemierzający śródkręcie i lśniące działa zbryzgiwane niesionymi przez śródziemnomorskie wiatry fontannami kropelek, które zastygały w odrobiny soli. Innymi słowy były to te wojownicze, męskie dekoracje, którymi zwykle gardziłem, ledwo uniósłszy głowę

z szarży mameluków w bitwie pod Piramidami, eksplozji *L'Orientu* podczas bitwy na Nilu i serii zamachów na moje życie autorstwa zdradzieckiego arabskiego wyznawcy kultu Węża, Achmeda bin Sadra, którego w końcu wysłałem do jego własnego piekła. Po tym wszystkim miałem już dość przygód i zamierzałem wrócić do Nowego Jorku, gdzie zająłbym się spokojną pracą księgowego, może zostałbym sklepikarzem albo prawnikiem przeinaczającym testamenty na korzyść odzianych w czerń wdówek lub głupich, nic niewartych potomków. Owszem, biurko i zakurzone półki - to właśnie byłoby życie dla mnie! Ale sir Sidney nie chciał nawet o tym słyszeć. W końcu zrozumiałem, że nie dbam o resztę świata - zależało mi tylko na Astizie. Nie mogłem wrócić do domu, nie wiedząc, czy przeżyła upadek razem z tym draniem Silanem - i czy przypadkiem nie została uratowana.

Życie jest prostsze, gdy nie masz żadnych zasad.

Smith pysznił się strojem tureckiego admirała, a rozmaite plany kłębiły mu się we łbie z szybkością nadciągającego szkwału. Poświęcił się wspieraniu Turków i ich imperium w powstrzymaniu naporu wojsk Bonapartego idących na Syrię, jako że młody Napoleon zamierzał zagarnąć Wschód dla siebie. Sir Sidneyowi potrzebni byli sojusznicy-wywiadowcy i po wyłowieniu mnie z fal Morza Śródziemnego oznajmił, że jeśli się do niego przyłączę, obaj odniesiemy z tego znaczne korzyści. Udowodnił mi szybko, że głupotą z mojej strony byłby powrót do Egiptu i samotne przeciwstawienie się francuskiej armii. Dowiadywać się o losach Astizy mogłem i z Palestyny, kontaktując się jednocześnie z przywódcami rozmaitych sekt, których można było podbechtać do walki z Napoleonem. „Jerozolima!”- zakrzyknął. Zwariował czy co? Na poły zapomniane, spowite kurzem miasto gdzieś na zadupiu imperium osmańskiego, pełne historycznych pamiątek i religijnych fanatyków, które - wedle wszelkich danych -

przetrwało tylko dzięki nieustannemu napływowi ufnych i naiwnych pielgrzymów wywodzących się z pni trzech różnych religii. Ale jeżeli jesteś politycznym graczem i awanturnikiem takim jak Smith, Jerozolima doskonale się nadaje dla twoich planów, ponieważ tu, w tym właśnie wielojęzycznym tyglu, krzyżują się wpływy muzułmanów, żydów, katolików, druzów, maronitów, Turków, Beduinów, Kurdów i Palestyńczyków - a wszyscy oni pamiętali wszelkie urazy, sięgające niekiedy tysiący lat wstecz.

Szczerze mówiąc, nie zamierzałem przemierzać tej krainy, choć Astiza była pewna, że Mojżesz ukradł z podziemi Wielkiej Piramidy świętą księgę mądrości Tota, a jego potomkowie zanieśli ją do Izraela. Co oznaczało, że najlepszym miejscem do poszukiwań byłaby Jerozolima. Jak do tej pory Księga Tota i krążące o niej pogłoski sprowadzały na mnie same kłopoty. A jednak nie mogłem zapomnieć, że zawiera klucze do nieśmiertelności i władzy nad światem, czyż nie? Z perspektywy Jerozolimy na wszystko patrzyło się inaczej.

Smith widział we mnie zaufanego sojusznika i w istocie zawarliśmy jakby umowę o współpracy. Poznałem go w pewnym cygańskim taborze wkrótce potem, jak postrzeliłem Najaca. Herbowy pierścień, który wtedy od niego otrzymałem, ocalił mnie od powieszenia na rei, kiedy mnie postawiono przed admirałem Nelsonem po bitwie pod Abukirem. Smith był też prawdziwym bohaterem, który palił francuskie statki i uciekł z paryskiego więzienia, powiadamiając jedną ze swoich kochanek sygnałami przez kraty z okna celi. Ja złupiłem skarbiec faraona pod Wielką Piramidą, pozbyłem się łupu, ratując się przed utonięciem, a potem ukradłem balon mojemu uczonemu przyjacielowi, Nicolasowi-Jacques'owi Conte. Po krótkim locie wylądowałem na falach Morza Śródziemnego i zostałem wyłowiony z wody przez majtków z łodzi fregaty

Dangerous. Na pokładzie tego okrętu los ponownie zetknął mnie z sir Sidneyem. Brytyjczycy okazali mi tyleż miłosierdzia, ile wcześniej Francuzi. Moje własne pragnienia - miałem dość wojen, pogoni za skarbami i chciałem tylko wrócić do Ameryki - zostały kompletnie zignorowane.

- Gage, gdy będziesz w Palestynie szukał wieści o tej kobiecie, która cię zainteresowała, możesz też spróbować przewąchać, co chrześcijanie i żydzi sądzą o stawieniu oporu Boniowi - powiedział mi Smith. - Może sprzymierzą się z zabojadami i jeżeli Korsykanin skieruje tu swoją armię, nasi tureccy sprzymierzeńcy będą potrzebowali wszelkiej pomocy. - Objął mnie ramieniem. - Uważam, że świetnie się nadajesz do takiej roboty. Jesteś przebiegłym, uprzejmym, pozbawionym uprzedzeń, bezwzględny niedowiarkiem. Gage, ludzie dzielą się z tobą sekretami, bo uważają, że to nie ma znaczenia...

- To dlatego, że jestem Amerykaninem, a nie Francuzem czy Anglikiem.

- Właśnie tak. Dżezar będzie pod wrażeniem, gdy się dowie, że nawet tak płytki człowiek jak ty popiera naszą sprawę.

Dżezarem, którego imię znaczyło „Rzeźnik”, był znany z despotyzmu i okrucieństwa pasza Akki; Brytyjczycy usiłowali go pchnąć do walki z Napoleonem. Jestem pewien, że go oczarowali.

- Ale mój arabski jest bardzo ubogi i nie wiem niczego o Palestynie - próbowałem oponować.

-Ethanie, to nie problem dla człeka tak szczwanego i dzielnego jak ty. Korona ma w Jerozolimie współpracownika o pseudonimie Jerycho. Jest to handlarz artykułami żelaznymi, który niegdyś służył w naszej marynarce. On może ci pomóc w poszukiwaniach Astizy i pracy dla nas. Ma swoje kontakty w Egipcie! Kilka dni zręcznej dyplomacji, możliwość pójścia śladami samego Jezusa... i strzepnąwszy kurz z butów, wracasz z relikwią w kiesze-

ni, a wszystkie twoje problemy są rozwiązane! Wszystko naprawę doskonale się układa. Tymczasem ja pomogę Dżezarowi zorganizować obronę Akki, na wypadek gdyby Bonio ruszył na północ, tak jak nas ostrzegałeś. I wkrótce obaj już będziemy cholernymi bohaterami fetowanymi w najlepszych londyńskich salonach!

Gdy ludzie zaczynają ci prawie komplementy, mówiąc, że wszystko się doskonale układa, dobrze zrobisz, sprawdzając sakiewkę. Ale, na stoki Bunker Hill, ciekaw byłem tej Księgi Tota i dręczyły mnie wspomnienia o Astizie. Jej poświęcenie, kiedy odcięła linę, żeby mnie ratować, było najbardziej dramatycznym momentem mojego życia - bardziej nawet dramatycznym od chwili, w której moja ukochana pensylwańska rusznica rozerwała się w moich dłoniach - a w sercu miałem taką dziurę, że można byłoby przez nią przestrzelić armatnią kulę, nie tykając jej brzegów. Co, jak sądziłem, byłoby właściwym sposobem potraktowania tej kobiety i bardzo chciałbym go na niej wypróbować. Oczywiście więc powiedziałem Smithowi „tak” - a słówko to jest najbardziej niebezpieczne we wszystkich językach.

- Brak mi odzieży, broni i pieniędzy - streściłem moją sytuację. Jediną rzeczą, jaką zdołałem wynieść spod Wielkiej Piramidy, były dwa małe złote serafiny lub klęczące anioły, które choć wedle zapewnień Astizy zdobyły łaskę Mojżesza, bez krzty szacunku wetknąłem sobie w gatki. Początkowo chciałem je zamienić na pieniądze, ale miały dla mnie sentymentalną wartość, choć trochę mi... przeszkadzały w chodzeniu. Były też moją ostatnią rezerwą złota, której wołałem nie ujawniać. Jeżeli Smithowi tak bardzo zależało na wciągnięciu mnie w krąg swoich spraw, niechże mnie wyposaży w odpowiednie środki.

-Doskonale wyglądasz w tych arabskich szatach -stwierdził Brytyjczyk. - Bardzo się opaliłeś. Dodaj do tego burnus i turban i w Jaffie wezmą cię za Araba. Co się tyczy

angielskiej broni, ona mogłaby wpędzić cię w spore kłopoty. Gdyby Turcy zaczęli podejrzewać, że jesteś angielskim szpiegiem, wylądowałbyś w więzieniu. Bezpieczeństwo zapewni ci twoja przebiegłość. Mogę ci pożyczyć niewielką lunetę. Jest niezwykle precyzyjna i posługując się nią, będziesz mógł śledzić ruchy wojsk.

- Nie wspomniałeś o pieniądzach.

- Szczodrość Korony na pewno cię nie rozczaruje. Dał mi trzos ze zbieraniną rozmaitych monet srebrnych, miedzianych i brązowych. Były w nim hiszpańskie reale, osmańskie piastry, rosyjskie kopiejki i dwa holenderskie riksdaldery. Wszystko z rządowego skarbcza.

- Za te pieniądze nie kupię nawet śniadania!

- Gage, nie mogę ci dać angielskich funtów sterlingów, bo natychmiast by cię zdradziły. Jesteś przecież człowiekiem pomysłowym, prawda? Wykorzystaj każdego pensa! Bóg wie, że tak właśnie robią lordowie Admiralicji!

No cóż, powiedziałem sobie, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby właśnie teraz uciec się do własnej pomysłowości. Zacząłem się zastanawiać, czy wolni od służby majtkowie nie zechcieliby uprzyjemnić sobie czasu przyjacielską partyjką jakiejś gry karcianej. Kiedy byłem jeszcze członkiem zespołu napoleońskich naukowców, lubiłem dyskutować o prawdopodobieństwie ze sławnym matematykiem Gaspardem Monge'em i geografem Edme Francois Jomardem. Zachęcali mnie, żebym zaczął wykorzystywać tę wiedzę, obliczając szanse banku i graczy przy karcianym stoliku.

- Może zdołałbym wciągnąć twoich ludzi w jakąś grę hazardową?

- Ba! Ale uważaj, bo możesz stracić i śniadanie!

ROZDZIAŁ 2

Zacząłem od *brełana*, który nie jest złą grą dla prostych żeglarzy - i można w niej blefować. Z paryskich salonów wyniosłem pewną praktykę - w samym Palais Royal gromadzi się stu graczy na powierzchni sześciu akrów - i prości brytyjscy żeglarze nie mogli dać rady temu, którego między sobą zwali francuskim obłudnikiem. Udając, że mam lepsze karty od nich - albo pozwalając im myśleć, że mam słabsze, gdy w istocie byłem lepiej uzbrojony, niż gdybym miał na sobie pękający pod naporem oręza pas jakiegoś mameluckiego beja - wyżyłowałem ich na tyle, na ile się dało, a potem zaproponowałem grę, w której pozornie jeszcze więcej zależy od szczęścia. Prości majtkowie i artylerzysci, którzy stracili połowę miesięcznego żołdu w grze, gdzie liczą się wprawa i umiejętność dokonywania szybkich kombinacji, chętnie na to przystali i postawili cały żołd na grę, której wynik miał zależeć od przypadku.

Ale oczywiście nie zależał. Grając w prostego lanck-nechta, bankier - to znaczy ja - wyznacza stawkę, której inni gracze muszą sprostać. Odwraca się dwie karty - ta z lewej jest moją, a ta z prawej należy do gracza. Następnie bankier zaczyna odsłaniać kolejne karty z talii, aż któraś z nich wartością zrówna się z jedną z leżących na stole. Jeżeli jest to prawa karta, wygrywa gracz, jeżeli lewa, wygrywa bank. Szanse są jednakowe, prawda?

Ale jeżeli pierwsze dwie są takie same, wygrywa bank.

Nieznaczną przewagę matematyczną dała mi pewien margines wygranych i w końcu sami zaczęli prosić o inną grę-

- Spróbujmy faraona - zaproponowałem. - W Paryżu szaleją za tą grą i jestem pewien, że się wam spodoba. W końcu to wyście mnie uratowali i jestem wam coś winien.

- Owszem, i odzyskamy swoje pieniądze, jankeski francie!

Ale faraon daje bankierowi jeszcze większą przewagę, ponieważ rozdający automatycznie wygrywa pierwszą kartę; ostatnia karta w pięćdziesięciokartowej talii, karta gracza, się nie liczy. Co więcej, rozdający wygrywa zawsze przy kartach równej wartości. Pomimo iż moja przewaga była dość oczywista, żeglarze liczyli na to, że z czasem, grając przez całą noc, się zmęczone. Prawda była zupełnie inna - im dłużej trwała gra, tym większy stos monet gromadził się przede mną. Im bardziej ufali, że w końcu szczęście się ode mnie odwróci, tym bardziej moja wygrana stawała się oczywista. Załoga fregaty ostrzyła sobie zęby na dodatkowe zarobki, bo przyzwoite było w mglistej przyszłości i wielu pragnęło mnie ograć, więc gdy o świcie ujrzeliśmy brzegi Palestyny, stan moich finansów radykalnie się poprawił. Mój stary przyjaciel Monge powiedziałby po prostu, że matematyka jest królową nauk.

Przy pozbawianiu człowieka pieniędzy za karcianym stolikiem ważne jest zapewnienie go o tym, że grał wspaniale, a przegraną powinien złożyć na karb kaprysu fortuny. Ośmieliłem się stwierdzić, że robiłem to tak umiejętnie, iż większość ograńców przeze mnie okazywała mi sympatię i przyjaźń. Podziękowali mi nawet za pożyczanie im części wygranych od nich pieniędzy na wysoki procent - choć zostawiłem sobie sporą sumkę, pozwalającą mi wkroczyć do Jerozolimy w dobrym stylu. Kiedy oddałem jednemu z tych durniów zastawiony przezeń w grze pamiątkowy

medalionik od ukochanej, ich entuzjazm wzrósł tak dalece, że gotowi byli wybrać mnie na prezydenta.

Dwu jednak przeciwników pozostało odpornych na mój urok.

- Diabeł ci sprzyja, kolego! - zawrzał gniewem liczący dwie ostatnie monетки rosły marynarz o czerwonej gębie, nazywany przez towarzyszy Wielkim Nedom.

- Albo anioł - podsunąłem. - Grałeś jak mistrz, kolego, ale tej nocy wydaje mi się, że Opatrzność zerknęła na mnie przychylnym okiem. - Uśmiechnąłem się przy tych słowach, usiłując nadać sobie wygląd sympatycznego jegomościa, jaki przypisywał mi Smith. Przy tej okazji musiałem stłumić ziewnięcie.

- Żaden człowiek nie może liczyć na tak dobrą i długą passę.

Wzruszyłem ramionami.

- A jednak.

- Chcę, żebyś zagrał ze mną w kości! - warknął homar*, łypiąc na mnie z ukosa spojrzeniem tak wrogim jak wygląd zaułka w Aleksandrii. - Wtedy zobaczymy, jakie naprawdę masz szczęście!

- Mój morski przyjacielu, jedną z cech człowieka inteligentnego jest nieufność wobec kości innego. Kości do gry to kości diabelskie.

- Boisz się dać mi szansę się odegrać?

- Nie, tylko cieszy mnie moja gra, a w swoją graj sobie sam.

- A ja myślę, że nasz Amerykanin tchórzy - odezwał się kompan homara, przysadzisty jegomość o zakazanej gębie zwany Małym Tomem. - Boi się dać dwóm uczciwym marynarzom szansę na odegranie się. - Ned rozmia-

* „Homary” - tak angielscy żeglarze nazywali żołnierzy piechoty morskiej ze względu na ich charakterystycznie czerwone kubraki (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

rami przypominał perszerona, Tom zaś zachowywał się jak mały, wredny buldog.

Poczułem się nieswojo. Pozostali marynarze śledzili tę wymianę zdań z rosnącym zainteresowaniem, choć nie zamierzali w żaden sposób odzyskiwać swoich pieniędzy.

- Przeciwnie, moi panowie, ale siedzieliśmy przy kartach przez całą noc. Przykro mi, żeście przegrali, jestem pewien, iż zrobiliście, co było w waszej mocy. Podziwiam waszą wytrwałość, ale może powinniście trochę pouczyć się matematyki, wtedy będziecie umieli obliczać szanse wygranej. Człowiek sam jest kowalem swojego losu.

- Czego się mamy pouczyć? - zapytał Wielki Ned.

- Myślę, że on oszukiwał - przerwał Mały Tom.

- No, teraz rozmowa przybiera nieprzyjemny obrót.

- Ale marynarze kwestionują twój honor, Gage - odezwał się młody porucznik, który przegrał pięć szylingów, a teraz włożył w wypowiedziane zdanie więcej uczucia, niż chciałbym usłyszeć. - Mówi się, że waść nieźle strzelasz i dzielnie walczyłeś po stronie żabojadów. Z pewnością nie pozwolisz, żeby te „homary” podważały twoją reputację.

-Oczywiście, że nie, ale wszyscy wiemy, iż była to uczciwa gra...

Pięć Wielkiego Neda rąbnęła o pokład i dwie kości do gry wyskoczyły z niej jak para pcheł.

- Oddaj nam forszę, zagraj ze mną w kości albo spotkajmy się w południe na śródokręciu! - warknął gniewnie z wyzwaniem w głosie. Nie należał do ludzi nawykłych do przegrywania.

- Będziemy wtedy już w Jaffie - odpowiedziałem.

- Znaczy, będzie więcej swobody do dyskusji między osiemnastofuntówkami!

Wiedziałem już, co powinienem zrobić. Wstałem.

- Cóż, potrzebna ci nauczka, przyjacielu. Więc w południe.

Zebrani skwitowali to rykiem aprobaty. Rozpowszechnienie wieści o walce na pokładzie fregaty trwało może chwilę dłużej od rozejścia się po zrewolucjonizowanym Paryżu plotek o jakiejś romantycznej schadzce. Marynarze widzieli już oczami wyobraźni zapasy - za każdego wygranego pensa wije się boleśnie w uścisku Wielkiego Neda. Jak już mnie dostatecznie stłucze i upokorzy, będę błagał o możliwość oddania całej wygranej. Żeby powstrzymać moją niesforną wyobraźnię przed wytwarzaniem podobnych wizji, przeszedłem na pokład dziobowy i przez moją nową lunetę przyglądałem się coraz bliższej Jaffie.

Główny port Palestyny na kilka miesięcy przedtem, zanim pod jego murami zjawił się Napoleon, był bardzo charakterystycznym miejscem na skądinąd płaskim i zasnutym mgiełką brzegu. Wzgórza wieńczyły umocnienia, wieżyczki i minarety, a pokryte kopułami dachów budowle tarasami spływały w dół jak rozsypane klocki. Wszystko otaczał mur od strony morza sięgający portu. Przez mój niewielki, składany przyrząd widziałem otaczające miasto pomarańczowe i palmowe gaje, a dalej spłowiłe pastwiska. Z otworów strzelniczych wystawały paszcze dział i nawet z odległości dwu mil słyszeliśmy muezzi-nów przeciągłymi okrzykami zwołujących wiernych do modlitwy.

Jadałem w Paryżu pomarańcze z Jaffy, znane ze swej grubej skórki, co umożliwiało ich transport do Europy. Drzewka owocowe za miastem były tak liczne, że całość przypominała zamek otoczony gęstą puszcza. W ciepłej jesiennej bryzie na wieżach powiewały osmańskie proporce i flagi, z balkonów zwieszały się dywany, a nad wodą niósł się zapach płonących węgla drzewnych. Dostępu do brzegu broniły nieprzyjaźnie wyszczerzone ku nam rafy otoczone pierścieniami białych fal, a niezbyt obszerny port pełen był małych łodzi dau i feluk. Jak inne większe okręty, rzuciliśmy kotwicę na otwartych, wodach. Mała

flotylla arabskich łódek rzuciła się skwapliwie ku nam, by sprawdzić, czy nie da się pohandlować, a ja zacząłem przygotowania do zejścia na brzeg.

Co prawda najpierw musiałem załatwić jakoś tę sprawę z pechowym marynarzem.

- Ethanie, dowiedziałem się, że twoje niezwykle szczęście w grze doprowadziło do sporu z Wielkim Nedom -odezwał się sir Sidney, podając mi worek sucharów, którymi miałem się żywić aż do Jerozolimy. Anglicy nie mogą się szczególnie chełpić osiągnięciami swej kuchni. - Ten człowiek jest zbudowany jak byk, a łeb ma równie twardy i odporny na ciosy jak baran. Masz jakiś plan, żeby się z tego wywinąć?

- Sir, mógłbym zaryzykować z nim grę w kości, ale po-dejrzewam, że on ma chyba najbardziej obciążone kostki na tym okręcie.

Smith parsknął śmiechem.

-A tak... ograł niejednego biednego dupka, bo ma dość mięśni, żeby zdławić sprzeciwy. Nie przywykł do przegrywania. Niejeden tu jest rad z tego, żeś go okpił. Szkoda tylko, że zapłacisz za to guzami na łbie.

- Mógłbyś zakazać walki.

- Ludzie są nastroszeni jak koguty i nie zejną na ląd aż do Akki. Dobra walka nieco ich uspokoi. A ty mi wyglądasz na dość szybkiego, Gage. Niech zatańczy!

No tak. Zszedłszy pod pokład, znalazłem Wielkiego Neda nieopodal paleniska, gdzie smarował sobie tłuszczem imponujące mięśnie, żeby się łatwiej wymykać z moich uścisków. Lśnił jak świąteczny indyk.

- Możemy zamienić słówko na osobności?

- Usiłujemy się wycofać, co? - Uśmiechnął się szeroko. Zębiska miał białe i wielkie jak klawisze nowiutkiego pianina.

- Przemysławszy całą sprawę, doszedłem do wniosku, że naszym nieprzyjacielem jest Bonio, nie my sami. Ale

mam swoją dumę. Chodźmy i załatwmy rzecz całą z dala od oczu gapiów.

- Nie. Oddasz mi nie tylko moją wygraną, ale każdego pensa, którego wyłudziłeś od moich kompanów.

-To niemożliwe. Nie wiem, ile komu jestem winien. Ale jak pójdziesz ze mną teraz i bez zwłoki, obiecawszy pierwej, że mnie zostawisz w spokoju, zwrócę ci twoją przegraną w podwójnej wysokości.

Teraz jego oczy rozbłysły chciwością.

- Niech szczenę, jeżeli odpuszczę za mniej niż trzykrotną wartość!

-Zejdźmy na dół, gdzie będę mógł wyciągnąć mój trzos, nie wywołując buntu na pokładzie.

Ruszył za mną jak tępy, choć posłuszny cyrkowy niedźwiedź. Zeszliśmy na najniższy pokład, gdzie trzymane są wszelkie zapasy.

-Ukryłem pieniądze aż tutaj, żeby nikt nie mógł mi ich podwędzić - powiedziałem, podnosząc klapę luku do zęzy. - Mój dawny mentor, Ben Franklin, mawiał, że pieniądze rodzą same kłopoty, i ośmielę się rzec, że miał rację. Powinieneś zapamiętać te słowa, przyjacielu.

- Do diabła z tym buntownikiem! Powinien zadyndać na stryku!

Sięgnąłem w dół.

- Psiakość, przesunęła się. Chyba spadła do wody. - Rozejrzałem się i spojrzałem na stojącego nade mną goliata z tą samą udawaną bezradnością, na jaką usiłowały mnie nabrać rozmaite dziwki. - Ile przegrałeś... Trzy szylingi?

- Świadczę się Bogiem, że cztery! -

Więc trzy razy...

- Nie inaczej! Wisisz mi dziesięć!

- Masz dłuższe ramiona niż ja. Mógłbyś mi pomóc?

- Sam sobie wyciągaj!

- Dotykam trzosu koniuszkami palców. Może znajdzie my tu jakiś gafel? - Byłem uosobieniem bezradności.

-Jankeska świnia... - Pochylił się i wetknął głowę w otwór. -
Nic, cholera, nie widzę...

- Tam, na prawo, nie widzisz błysku srebra? Sięgnij tak daleko, jak tylko możesz.

Stęknął, wsunął tors w luk i zaczął macać w pełnych smrodu ciemnościach.

Pchnąwszy potężnie, pomogłem mu pokonać resztę drogi. Był ciężki jak wór z mąką, ale jak go ruszyłem z miejsca, to już poszło. Runął w dół z towarzyszeniem plusku i łoskotu, a zanim wygrzebał się z tłustej, śmierdzącej wody na tyle, żeby wydać ryk wściekłości, zamknąłem i zarygłowałem klapę luku. Boże drogi, jakże on kłął! Żeby nie słyszeć tych wiązanek, przesunąłem nad klapę kilka beczek z wodą.

Potem wyjąłem trzos z prawdziwej kryjówki - to znaczy spomiędzy dwu beczulek z sucharami - wetknąłem go za pas i podwijając rękawy, ruszyłem na pokład artyleryjski.

- Dzwonią na południe! - zawołałem. - Na króla Jerze go, gdzie jest mój przeciwnik?

Marynarze zaczęli wołać Wielkiego Neda, ten jednak oczywiście się nie zjawił.

- Ukrywa się? No, nie mogę go za to winić! - Dałem pokaz walki z cieniem, wymierzając kilka szybkich ciołów w powietrze.

Mały Tom wrzał z wściekłości.

- Na Lucypera, to ja cię stłukę!

- Nie, mój panie. Nie będę się bił z każdym marynarzem na tym okręcie.

- Ned, daj temu Jankesowi to, co mu się należy! - ryczał Tom.

Nikt nie odpowiedział na ten zew.

- Może uciął sobie drzemkę w bocianim gnieździe? - Spojrzałem w górę, a potem nie bez rozbawienia obserwowałem Toma, który pocąc się i klnąc jak potępieniec,

zaczął się pięć po linach. Przez kilka minut czekałem jeszcze jak zniecierpliwiony kogut, a potem zaryzykowałem i zwróciłem się do Smitha: -Jak długo mam jeszcze czekać na tego tchórza? Obaj wiemy, że mam pewne sprawy na brzegu.

Marynarze byli rozczarowani i nie kryli podejrzliwości. Smith wiedział, że jeżeli szybko nie wyprawi mnie z pokładu *Dangerous*, straci najpewniej swojego niedawno zwerbowanego i jedyne amerykańskiego agenta. Tom wrócił na dół, zasapany i rozczarowany. Smith zerknął na klepsydrę.

- Owszem, jest kwadrans po dwunastej. Ned miał szanse. Znikaj, Gage, i zabierz się do walki o wolność i swoją miłość.

Rozczarowani marynarze ryknęli gniewnie.

- Jak nie możecie sobie pozwolić na przegraną, nie sia dajcie do gry w karty! - zagrział Smith.

Warczeli jeszcze, ale pozwolili mi przejść do trapu. Tom zniknął pod pokładem. Nie miałem za wiele czasu, więc opadłem na sieć brudnej arabskiej lichtugi jak spłoszony kocur.

- Do brzegu! - szepnąłem wiosłarzowi. - Dodatkowa moneta, jak sprawicie się szybko! - Sam odepchnąłem łódź od kadłuba okrętu, a Lewantyńczyk zaczął robić wiosłami z dwukrotnie większą niż zwykle energią, choć o połowę wolniej, niż bym chciał. Odwróciłem się i po machałem Smithowi. - Nie mogę się doczekać następnego spotkania!

Było to oczywiście beczelne kłamstwo. Gdy dowiem się czegoś o losie Astizy i zaspokoję ciekawość co do dalszych losów Księgi Tota, nie zamierzam się wiązać ani z Angolami, ani z żabojadami, którzy od setek lat skakali sobie do gardeł. Wolałbym przedtem popłynąć do Chin.

Moją determinację pogłębiło nagłe zamieszanie na pokładzie działowym, spod którego niczym susel wytknął

głowę Wielki Ned. Był czerwony jak burak, wściekły, a gdy spojrzałem nań przez moją nową lunetę, zobaczyłem, że pysk ma umazany błotem i tłuszczem.

- Wracaj tu, tchórzliwy psie! Rozerwę cię na strzępy!
- To ty jesteś tchórzem, Ned! Nie stawiałeś się o czasie!
- Oszukałeś mnie, jankeski francie!
- Nie, ja ci tylko dałem nauczkę! - Ponieważ znacznie się już oddaliliśmy, nie dosłyszałem jego odpowiedzi.

Sir Sidney podniósł kapelusz w drwiącym, choć pełnym uznania pozdrowieniu. Angielscy marynarze zaczęli spuszczać szalupę.

- Sindbadzie, nie możesz trochę przyspieszyć?
- Za dodatkową opłatą owszem, efendi.

Był to nielichy wyścig, bo rozjuszeni marynarze machali wiosłami jak wściekli, a Wielki Ned, rycząc jak byk, stał na dziobie szalupy. Smith jednak powiedział prawdę o Jaffie. Ten port miał dość kręty szlak wodny i trzeba było przewodnika, żeby doń wpłynąć i wypłynąć. Mieliliśmy przewagę na starcie i dość szybko mógłbym się ukryć w krętych uliczkach.

Wziąłem więc jedną z sieci mojego przewoźnika i zanim zdążył zaprotestować, rzuciłem nią w stronę zbliżającej się szalupy. Zaraz potem ugrzęzły w niej wiosła i łódź zaczęła się kręcić w kółko, czemu towarzyszyły przekleństwa, które wywołałyby rumieniec na gębie sierżanta prowadzącego musztrę.

Mój przewoźnik zaczął oponować, miałem jednak dość monet, żeby zapłacić mu dwukrotną wartość jego mizernej sieci, podjął więc wiosłowanie. Zeskoczyłem na kamieniste nabrzeże dobrą minutę przed poszkodowanymi matrosami. Byłem zdecydowany znaleźć Astizę i odzyskać jej względy, a jednocześnie przysiągłem sobie, że nigdy w życiu już nie stanę przed Wielkim Nedom czy Małym Tomem.

ROZDZIAŁ 3

Jaffa wyrasta ze śródziemnomorskiego brzegu jak bochen chleba otoczony pustymi plażami, które znikają łukami we mgle ku północy i południowi. Znaczenie portu zmalało od czasu, gdy na północy wzniesiono Akkę, gdzie teraz miał swoją kwaterę Dżezar „Rzeźnik”, wciąż jednak było to otoczone uprawnymi polami kwitnące miasteczko. Przepływał przez nie nieustający potok pielgrzymów zmierzających do Jerozolimy, z powrotem zaś przywożono pomarańcze, bawełnę i mydło. Jej uliczki były pokrywającym szczyt wzgórza labiryntem pełnym wież, meczetów, synagog i kościołów. Nad brukowanymi mrocznymi uliczkami, rozbrzmiewającymi stukotem oślich kopyt, unosiły się łuki zbudowanych wbrew prawu domów.

Choć mój mająteczek zdobyłem może wątpliwą moralnie drogą, od wyrzutów sumienia szybko uwolnił mnie uliczny urwis, który zaprosił mnie do gościnnych pokoi nad oberżą jego niewątpliwie urodziwej siostry. Za te pieniądze nabyłem pite, pomarańcze, falafel i miejsce na ocienionym balkoniku, skąd mogłem obserwować wysiłki rozjuszonych Angoli, biegających tam i siam po uliczkach w daremnym poszukiwaniu mojej obrzydłej im osoby. Spoceni i zdyszani zatrzymali się wreszcie w prowadzonej przez jakiegoś chrześcijanina gospodzie, żeby nad kubkiem palestyńskiego wina ponarzekać na mój wredny charakter. Ja tymczasem wymknąłem się, żeby wydać jeszcze trochę grosza z wygranej. Kupiłem powłó-

czystą beduińską szatę z długimi rękawami w brązowe i białe pasy, nowe buty, bufiaste spodnie, znacznie wygodniejsze w tym upale niż ciasne portki europejskie, zasłonę na twarz, kurtkę, dwie bawełniane koszule i materiał na turban. Zgodnie z przewidywaniami Smitha w rezultacie upodobniłem się do pozostałych egzotycznych mieszkańców tego wielojęzycznego kraju, co zapewniało mi bezpieczeństwo - wystarczyło tylko trzymać się z daleka od aroganckich i dociekliwych janczarów noszących charakterystyczne żółto-czerwone ciżmy.

Dowiedziałem się, że do świętego miasta nie jeżdżą dylizanse i nie wiedzie do niego nawet żadna przyzwoita droga. Finansowo byłem zbyt skromny - kolejne powiedzenie Bena! - żeby kupić i utrzymywać konia. Nabyłem więc spokojnego osiołka, który miał dość krzepy, żeby mnie tam zawieźć - choć nie wyglądał na takiego, na którym mógłbym zjechać dalej. Moim całym uzbrojeniem miał być krzywy arabski kindżał o rękojeści wykładanej wielbłądzą kością. Nie miałem talentu do szermierki i nie zamierzałem kupować żadnej z tych arabskich długich, nieporęcznych i bogato zdobionych fuzji. Były pięknie inkrustowane macicą perłową, widziałem jednak w Egipcie, że nie mogą sprostać francuskim muszkietom. Każdy zaś muszkiet znacznie ustępował mojej wspaniałej pensylwańskiej rusznicy, którą poświęciłem w Dendarze, żeby uciec z Astizą. Jeżeli ten Jerycho parał się metalurgią, może zdoła mi wykonać strzelbę zastępującą tamtą broń.

Na ochroniarza i przewodnika do Jerozolimy wybrałem brodatego i zaciekle się targującego arabskiego kupczyka o imieniu Mohammad, które nosiła połowa chyba muzułmanów zamieszkujących miasto. Porozumiewaliśmy się mieszaniną mojego łamanego arabskiego i jego kulawej francuszczyzny, którą znał od francuskich kupców dominujących w miejscowym handlu bawełną. Świadom nikiłości moich środków finansowych założyłem, że

jeżeli wyruszymy dość wcześnie, będę mógł okroić jego wynagrodzenie o jeden dzień. Na dodatek wymknę się z miasta niepostrzeżenie, unikając spotkania z Angolami, którzy wciąż jeszcze mogli mnie szukać.

- Powiedzmy, Mohammadzie, że wolałbym wyruszyć zaraz po północy. Mniejszy ruch na drodze i mnóstwo świeżego powietrza. Benjamin Franklin mawiał, że kto rano wstaje...

- Wedle twego życzenia, efendi. Uciekasz może przed jakimiś wrogami?

- Oczywiście, że nie. Mówiłem, że jestem spokojnym człowiekiem.

- Znaczący, przed wierzycielami.

- Mohammadzie, wiesz przecież, że zapłaciłem ci z góry połowę twego niesłychanego wynagrodzenia. Mam pieniądze.

- Więc chodzi o kobietę. Swarliwa żona? Widywałem te wasze chrześcijańskie kobiety. - Potrząsnął głową. - Szej-tan by ich nie poskromił.

- Bądź tylko gotów o północy, dobrze?

Mimo żalu, jaki mnie ogarnął po utracie Astizy, i dręczącego niepokoju o jej los, przyznam, iż przyszło mi na myśl, żeby na godzinę lub dwie poszukać w Jaffie towarzystwa jakiejś kobiety. Arabscy chłopcy na każdym rogu z irytującą natarczywością proponowali najrozmaitsze odmiany seksu, od zwykłych po najbardziej wyszukane, choć wszystkie były potępiane przez przedstawicieli najrozmaitszych religii. Jestem mężczyzną, nie mnichem, i moja wymuszona wstrzeźliwość zaczęła mi już doskwierać. Ale na wodach zatoki wciąż kotwiczył okręt Smitha, a jeżeli Wielki Ned okazałby się człowiekiem upartym, przy moim pechu byłby mnie niechybnie przyłapał w objęciach jakiejś dziwki, zbyt zajętego, żeby go przechytryć. Przemyślawszy więc sprawę, pogratulowałem sobie skromności i postanowiłem zaczekać z folgowaniem

naturze do Jerozolimy, choć chędożenie w Ziemi Świętej było postępkim, o którym myśl przyprawiłaby mojego pastora o apopleksję. Prawdę rzekłszy, abstynencja i myśli

0 Astizie sprawiły, że poczułem się znacznie lepiej. Przy gody w Egipcie skłoniły mnie do tego, żebym popracowałem nad swoją samodyscypliną, i oto była jej pierwsza próba.

- Nieskalane sumienie jest jak nieustanne święta - lubił mawiać stary Franklin.

Mohammad spóźnił się o godzinę, ale w końcu poprowadził mnie przez labirynt ciemnych uliczek ku bramie wiodącej w głąb kraju, której bruk plamiły końskie, osłe i wielbłądzie odchody. Ponieważ był środek nocy, do otwarcia bramy trzeba było łapówki, ale przejechałem pod jej łukiem z ulgą i ciekawością - oto początek nowej przygody. Ostatecznie przeżyłem osiem kręgów egipskiego piekła, za pomocą zręcznej gry podreperowałem nieco swój stan finansów, a teraz miałem przed sobą zadanie ani trochę nie przypominające zwykłej, codziennej pracy, choć przyznam, że bywało, iż marzyłem o tym, żeby zostać zwykłym urzędnikiem. Księga Tota, która wedle wierzeń niektórych miała zawierać wszystko, od naukowych mądrości po tajemnicę wiecznego życia, prawdopodobnie już nie istniała... a jednak może dałoby się ją gdzieś tam odnaleźć - i ta myśl tchnęła w moją eskapadę trochę optymizmu, jaki zawsze towarzyszy poszukiwaczom skarbów. I pomimo moich niskich cielesnych instynktów naprawdę tęskniłem za Astizą. Możliwość, że przez rezydujących w Jerozolimie agentów Smitha dowiem się czegoś o jej losie, podniecała tylko moją niecierpliwość.

Przekroczyliśmy więc bramę... i zatrzymaliśmy się.

- Co ty wyprawiasz? - zapytałem leżącego Mohamada, zastanawiając się, czy nagle nie zemdlął. Ale nie, ułożył się z rozmysłem jak pies wybierający sobie miejsce na dywanie przed kominkiem. Nikt nie potrafi się tak

rozluźnić jak Lewantyńczyk - wydaje się, że miękną im nawet kości.

- Efendi, na drodze do Jerozolimy grasują liczne bandy Beduinów, którzy obrabują każdego nieuzbrojonego pielgrzymca - usłyszałem z ciemności. - Podróżowanie w samotności nie jest ryzykowne... to zwykłe szaleństwo. Wkrótce mój kuzyn Abdul będzie przez tę bramę wyprowadzał karawanę wielbłądów i dołączymy do niej dla bezpieczeństwa. W ten sposób wspólnie z Allahem zadamy o naszego amerykańskiego gościa.

- A co z naszym wczesnym wyjazdem?

- Zapłaciłeś, panie, i wyjechaliśmy. - Po tych słowach mój przewodnik zasnął.

Cóż, taki kraj. Był środek nocy, znajdowaliśmy się pięćdziesiąt jardów za miejskimi murami, nie miałem pojęcia, dokąd się udać - i w dodatku mógł mieć rację. Palestyna znana była z tego, że nękali ją zwyczajni bandyci, wojujący ze sobą plemienni wodzowie, pustynni jeźdźcy i kradnący wszystko, co nie było przymocowane łańcuchem do muru Beduini. Przez kolejne trzy godziny wrzałem tłumionym gniewem, trapiąc się tym, że mogą tu trafić marynarze z angielskiej fregaty, aż wreszcie tuż przed świtem przed bramą istotnie zaczęły się gromadzić parszające leniwie wielbłądy Abdula. Przedstawiono mnie przewodnikowi, pożyczono mi turecki pistolet, obarczono dodatkową opłatą pięciu szylingów za broń i dodano eskortę i jeszcze szylinga za paszę dla mojego osła. Przebywałem w Palestynie od niecałych dwudziestu czterech godzin i zawartość mojej sakiewki znacznie się uszczupliła.

Potem zaparzyliśmy herbatę.

W końcu gwiazdy zbladły, na niebie pojawiła się nikła poświata od wschodu i ruszyliśmy pomiędzy pomarańczowe gaje. Przejechawszy może milę, wjechaliśmy na pola obsadzone bawełną i owsem. Droga wiodła pod daktylowymi palmami. W nikłym świetle poranka widać było

kryte liśćmi dachy wieśniaczych domków, od których do-
latywało leniwe poszczekiwanie psów anonsujących nasz
przejazd. Odpowiadały im dzwonki wielbłądów i skrzypienie
siodła. Niebo pojaśniało, usłyszeliśmy pianie kogutów i
pierwsze ptasie śpiewy, a potem zobaczyłem wylaniające się z
mgły zbocza poszarpanych pagórków będących świadkami tak
wielu biblijnych wydarzeń. W całej okolicy powycinano
drzewa na opał i potaż, z którego robiono mydło, ale po
egipskich pustyniach ta nabrzeżna równina wydawała się
płaska i miła dla oka jak zasiedlone przez Holendrów okolice
Pensylwanii. Istotnie była to ziemia obiecana.

Mój przewodnik pouczył mnie, że Ziemia Święta no-
minalnie jest częścią Syrii będącej prowincją imperium
osmańskiego, której prowincjonalną stolicą, Damaszkiem,
władza ze Stambułu Wysoką Porta. Ale podobnie jak Egipt był
naprawdę rządzony przez niezależnych mame-luków, których
złamał dopiero Napoleon Bonaparte, Palestyną władał
urodzony w Bośni niegdysiejszy mameluk Dżezar. Człowiek
ów okrucieństwem tyranizował Akkę od ćwierćwiecza, to
znaczy od dnia, w którym krwawo stłumił bunt własnych
oddziałów. Z powodu pogłosek o niewierności kazał udusić
kilka własnych żon, kaleczył swoich doradców, żeby im
pokazać, kto jest panem, i topił dowódców dających mu
powody do niezadowolenia. Mohammad uznawał, że taka
bezwzględność jest konieczna. Prowincję zamieszkiwały
rozmaite pod względem etnicznym i religijnym ludy, równie
gotowe do pojednania jak kalwini i papieństwo. Napoleońska
inwazja na Egipt spowodowała zwiększony napływ
uciekierców do Ziemi Świętej - a byli wśród nich i mamelucy
Ibrahima Beja, szukający tu schronienia. Osmańscy kupcy
gromadzili się tu w oczekiwaniu zysków, jakie może im
przyniesie inwazja Napoleona, a brytyjskie złoto i obietnice
morskiej pomocy podgrzewały tylko atmosferę. Połowa
mieszkańców szpie-

gowała oraz donosiła na drugą połowę i wszyscy lokalni przywódcy sekt, klanów i kultów zastanawiali się, kto wygra w starciu Dżezara z niepokonanymi dotąd Francuzami. Wieści o zdumiewających sukcesach Bonapartego w Egipcie, z których ostatnia dotyczyła stłumienia powstania w Kairze, wstrząsnęły całym imperium osmańskim.

Wiedziałem także, że Napoleon wciąż liczy na ewentualne połączenie swoich sił z Tippu-Sahibem, sprzyjającym Francuzom radzą walcącym z Wellesleyem i Anglikami w Indiach. Diabło ambitny Korsykanin organizował korpus jazdy na wielbłądach, mając nadzieję, że ci jeźdźcy pokonają wschodnie pustynie sprawniej niż falanga Aleksandra. Dwudziestodziewięcioletni generał spodziewał się przewyższyć sławą Macedończyka, gdy przedrze się do Indii, połączy z Tippu Sahibem i odbije Anglikom najbogatszą z ich kolonii.

Smith zaś twierdził, że mam odpowiednio przyprawić te owsiankę.

- Ta wasza Palestyna przypomina mi gniazdo walczących ze sobą szczerów, z których każdy powołuje się na prawdę i sprawiedliwość - zwróciłem się do Mohammada, gdy jechaliśmy obok siebie. Siedziałem na osiołku trzykrotnie dla mnie za małym, którego grzbiet wrzynał mi się między pośladki niczym hikorowa deska. - Jest tu tyle frakcji, ile w radzie jakiegoś miasteczka w New Hampshire.

- Wszystko to są sami święci mężowie - odparł Mohammad.
- A niewiele jest rzeczy bardziej irytujących od sąsiada, który jest równie gorliwy jak ty, ale wyznaje inną wiarę.

Mogłem tylko powiedzieć: amen. Przyznanie, że inny człowiek może mieć rację, jest uznaniem swojej za błędną - a to właśnie legło u podstaw przynajmniej połowy krwawych waśni całego świata. Doskonałymi przykładami tej tezy są Anglicy i Francuzi, którzy obrzucają się bur-

towymi salwami oskarżeń o wzajemny brak demokracji. Anglicy wytykają Francuzom krwawe egzekucje obywateli z użyciem gilotyny, a ci nie pozostają dłużni oskarżycielom, powołując się na brytyjski parlamentaryzm z instytucją więzień za długi. Za czasów pobytu w Paryżu, kiedy wszystkie moje zabiegi obracały się wokół kart, kobiet i - niekiedy - pośrednictwa w zawieraniu transakcji handlowych, nie mogłem rzec, żebym miał z kimkolwiek na pieńku, nikt też nie darzył mnie niechęcią czy nienawiścią. A potem w moje ręce trafił medalion, który wyprawił mnie na kampanię do Egiptu, poznałem Sidneya Smitha, Napoleona, Astizę i oto teraz jechałem na małym osiołku, kierując się do światowej stolicy zaciekłych sporów i niezgody. Po raz tysięczny zacząłem się zastanawiać, ki diabeł w to wszystko mnie wpakował.

Z powodu opóźnienia i statecznego tempa, w jakim się poruszała karawana wielbłądów, dotarliśmy do Jerozolimy trzeciego dnia wieczorem. Była to męcząca podróż po nędznych, krętych drogach, którymi wzgardziłaby każda szanująca się koza - nie naprawiano tych traktów chyba od czasów Poncjusza Piłata - i dość szybko trafiliśmy pomiędzy niewysokie, porośnięte mizernymi krzewami wzgórza, strome jak Appalachy. Wspięliśmy się ku dolinie Bab al-Wad, pomiędzy sosny i cedry wyrastające ze spłowiełej już pod jesień trawy. Powietrze stało się wyraźnie chłodniejsze i bardziej suche. Wspinaliśmy się i zjeżdżaliśmy, okrążając wzgórza, mijając rżące przeraźliwie osły, pierdzące, spienione wielbłądy i wozy zaprzężone w stojące czoło w czoło woły, podczas gdy woźnice zaciekle się kłócili o pierwszeństwo przejazdu. Mijaliśmy odzianych w bure habitę mnichów, obleczonych w sutanny armeńskich misjonarzy, pejsatych ortodoksyjnych Żydów o długich brodach, syryjskich kupców, kilku francuskich handlarzy bawełną, których rewolucja wygnała z kraju, i licznych muzułmańskich derwiszów w turbanach, wspierających

się na długich kijach. Przez wzgórze Beduini pędzili białe fale owczych stad, a w mijanych wioskach wiejskie dziewczęta z dzbanami z wodą na głowach niezwykle kusząco kołysały biodrami. Smukłość kibici każdej z nich podkreślały jaskrawe szarfy, a ich ciemne oczy lśniły czernią kamieni leżących na dnie rzeki.

To, co uchodziło tu za gościńce czy karawanseraje, nazywano *chan* i wyglądało znacznie gorzej, niż mogłoby się здаwać: otoczone murami dziedzińce będące wybiegami dla pcheł. Natykaliśmy się też na grupy nieprzyjaźnie nastawionych jeźdźców, którzy w czterech wypadkach zażądali opłat za przepuszczenie naszej karawany. Za każdym razem moi towarzysze żądali ode mnie więcej, niż wynikało z prostego podziału kosztów. Te praktyki wydały mi się zwykłym rozbojem, Mohammad jednak zapewnił mnie, że byli to członkowie miejscowych sił zbrojnych, którzy chronili okolicę przed prawdziwymi opryszkami, i każda wioska miała prawo do pobierania tych opłat zwanych *gafar*. Chyba mówił prawdę, ponieważ pobieranie opłat za ochronę przed zbójami jest prawem, które uzurpuje sobie każdy rząd, nieprawdaż? Te zbrojne draby były czymś pośrednim pomiędzy zbirami i policją.

Odkładając na bok narzekania na nieustanne umniejszanie zasobów mojej sakiewki, musiałem jednak przyznać, że Izrael miał swój urok. Palestyna nie tchnęła tą tak charakterystyczną dla Egiptu atmosferą starożytności, wydawała się jednak krajem, przez który przeszły tysięczne rzesze wędrowców i jakby ciągle dawały się tu jeszcze słyszeć echa kroków hebrajskich bohaterów, chrześcijańskich świętych i muzułmańskich zdobywców. Ze zbrocza każdego wzgórze wyłaniały się jakieś historyczne ruiny. Gdy zatrzymywaliśmy się dla nabrania wody, stopnie schodków wiodących do źródła czy studni były gładkie i zaokrąglone podeszwami wszystkich rodzajów trzewików i sandałów, jakie nosili nasi poprzednicy. Podobnie

jak w Egipcie słoneczne światło miało tu swoistą klarowną jasność, nieznaną Europie. Powietrze miało też duszny zapach, jakby zużyły je oddechy licznych ludzkich rzesz.

I właśnie w jednym z tych karawanserajów przypomniano mi, że świat medalionu niezupełnie pozostał za mną. Natknąłem się tam na staruszkę o nieokreślonym wieku i wyznaniu, któremu właściciel zajazdu pozwalał zarabiać na mizerne utrzymanie wykonywaniem prac porządkowych. Starzec był niepozorny i niemal niewidoczny, więc nikt z nas nie zwracał sobie nim głowy, kilku tylko poprosiło go o wodę lub owcze skóry, na których mogli się wyciągnąć. Nie omieszkałbym zainteresować się urodziwą służką, ale łachmaniarza z miotłą w dłoni w ogóle nie raczyłem zauważyć. Rozebrałem się i odwróciłem doń tyłem, odsłaniając na chwilę złotego serafina. Gdy się cofnąłem, wpadłem nań z takim impetem, że aż podskoczyłem. Starzec stał i wytrzeszczonymi oczami przyglądał się moim małym aniołkom o wyciągniętych przed siebie skrzydłach. W pierwszej chwili pomyślałem, że stary że-brak wypatruje czegoś, co mógłby podwędzić, on jednak szybko cofnął się ze strachem w oczach.

Nasunąłem gatki na serafina, co natychmiast przygasiło jego blask.

- Kompas... - wyszeptał staruszek po arabsku.
- Co mówisz?
- Palce szejtana. Niech Allah się nad tobą zlituje... Jasne było, że jest równie oszołomiony jak stuknięty.

A jednak poczułem się nieswojo.

- To moje osobiste pamiętki. Ani słowa o tym! - naka-załem.
- Mój imam mówił o nich szeptem. Pochodzą z jamy.
- Z jakiej jamy? - Znalazłem je pod Wielką Piramidą.
- Z jamy Apofisa. - Powiedziawszy to, starzec odwrócił się i uciekł.

Cóż... Nie byłem tak oszołomiony od chwili, w której

tamten medalion otworzył Piramidę. Apofis! Było to imię węzowego boga czy demona, o którym Astiza powiedziała, że żyje gdzieś w otchłaniach świata egipskich podziemi. Nie potraktowałem tego poważnie - byłem w końcu wychowankiem Franklina, kierującym się rozumem człowiekiem Zachodu - ale coś było w tej pełnej dymu i oparów jamie, której nigdy już nie chciałbym oglądać z bliska, i myślałem, że zostawił to imię za sobą w Egipcie... A tu oto usłyszałem je ponownie! Na pysk Anubisa, dość już miałem tych stukniętych bogów i bogiń, którzy zapaskudzali mi życie, jak niemile widziani krewni kalają podłogę naniesionym na butach błotem. Ten stary piernik ponownie przywołał to imię. Było to niewątpliwie dziełem przypadku, ale wszystko razem całkiem zepsuło mi humor.

Przebrałem się pospiesznie, ponownie ukrywszy serafina w bieliźnie, i wyskoczyłem z mojej klitki, żeby odszukać starego i wypytać go, co to wszystko znaczy.

Nigdzie jednak nie mogłem go znaleźć. Następnego ranka dowiedziałem się od oberżysty, że stary jeszcze wieczorem pospiesznie spakował swój mizerny dobytek i uciekł.

I oto wreszcie dotarliśmy do owianej legendami, baśniowej Jerozolimy. Muszę przyznać, że widok był uderzający. Miasto usadowiło się na wzgórzu pośród innych wzgórz i z trzech stron otaczały je strome ściany wąwozów. Najeźdźcy pojawiali się z czwartej strony, od północy. Okoliczne wzgórza pokrywały gaje oliwek, winnice i sady barwiące je zielenią. Miasto otaczały wspaniałe mury wzniesione przez sułtana tureckiego zwanego Sulejmanem Wspaniałym. Żyło tu niespełna dziewięć tysięcy ludzi, utrzymujących się z obsługi pielgrzymów, garncarstwa lub wytwarzania mydła. Dość szybko się dowiedziałem, że dzielili się na cztery tysiące wyznawców Allaha, trzy tysiące chrześcijan i dwa tysiące żydów.

Jerozolimę wyróżniały budowle. Przede wszystkim muzułmański meczet Al-Aksa oraz Kopała na Skale, która wyłożona złotem lśniła w słońcu niczym latarnia morska. Nieco bliżej miejsca, w którym się zatrzymaliśmy, pod Bramą Jaffy, była stara twierdza, nad której murami strzelała w niebo wyniosła wieża. Fundamenty cytadeli tworzyły gigantyczne bloki kamienne, podobne do tych, jakie widziałem w Egipcie. Takie kamienie miałem znaleźć na Górze Świątynnej, gdzie na starym żydowskim placu świątynnym wzniesiono największy z miejskich meczetów. Fundamenty Jerozolimy musiały być dziełem tytanów.

Na tle nieba rysowały się wyraźnie kopyły i wieżyczki minaretów, a także wieże kościołów ufundowanych przez jakiegoś krzyżowca lub innego zdobywcę, z których każdy zostawiał po sobie jakąś świętą budowlę, żeby zaznaczyć udział swego ludu w rzeziach. Efekt był równie kakofoniczny jak rywalizacja kramarzy na targu: słychać było zawodzenia muezzinów, kościelne dzwony i zaśpiewy żydowskich cadyków. Zaniedbane mury mieniły się zielenią winorośli, spłowiła żółcią krzewów i różnorodnością barw różnego kwiecica, a ogrody i targowiska obsadzono palmami. Za murami rzędy drzew oliwnych znaczyły drogi spływające w dół ku dolinom pełnym płonących śmieci. Z tego ziemskiego piekła wzrok unosił się ku niebu, na którym ptaki krążyły wśród zbudowanych z chmur pałaców - a widok był niezwykle ostry i wyrazisty. Podobnie jak Jaffa, Jerozolima miała słoneczny kolor miodu, jakby jej wapienie topiły się w złotych promieniach.

- Większość przybywających tu ludzi czegoś szuka - zauważył Mohammad, gdy patrzyliśmy ponad Doliną Cedronu ku starej stolicy. - Czego szukasz ty, mój przyjacielu?

- Mądrości - odpowiedziałem, co było po części zgodne z prawdą. Ona właśnie miała być treścią Księgi Tota

i, na okulary Franklina, mogła mi się przydać. - I mam nadzieję, że znajdę tu wiadomości o mojej ukochanej.

-Ach! Wielu ludzi traci całe życie na poszukiwanie mądrości lub miłości, nie znajdując niczego godnego uwagi, dobrze więc, żeś przybył do miejsca, gdzie modlitwy o jedno i drugie mogą zostać wysłuchane.

- Miejmy nadzieję, że tak się stanie. - Wiedziałem, że Jerozolima z powodu swojej świętości była palona, łupiona i niszczona znacznie częściej niż jakiegokolwiek inne miejsce na ziemi. - Zapłacę ci teraz i poszukam człowieka, u którego mam się zatrzymać. - Odliczając jego wynagrodzenie, starałem się nie dzwonić trzosem.

Szybko wziął pieniądze, a potem zareagował z wyćwiczonym zdumieniem.

- Żadnej nagrody za to, żeś się z tobą podzielił wiedzą o Ziemi Świętej? Żadnej rekompensaty za zapewnienie ci bezpiecznego przejazdu? Żadnego dodatku za ten wspaniały widok?

- Chcesz pewnie jeszcze dodatku za pogodę?

Jego mina mogłaby być ilustracją określenia „urazona niewinność”.

- Efendi, chciałem ci tylko usłużyć.

Odwracając się w siodle, żeby nie mógł zobaczyć, ile mi zostało, dałem mu napiwek, na jaki mnie było jeszcze stać. Skłonił się nisko i obsypał mnie podziękowaniami.

- Twoja hojność cieszy Allaha, panie!

Udało mi się jakoś ukryć zły humor i skwitowałem go zwyczajnym:

- Odejdź z Bogiem.

-I pokój z tobą!

Jak się okazało, wypowiedział to błogosławieństwo w złą godzinę.

ROZDZIAŁ 4

Kiedy ruszyłem wzdłuż pokrytego pyłem traktu, przechawszy przez drewniany most ku czarnej, żelaznej Bramie Jaffy i leżącemu za nią targowisku, mogłem się przekonać, że Jerozolima jest na poły ruiną. Subaszi, oficer straży, który obszukał mnie, sprawdzając, czy nie mam przy sobie zabronionej w imperium osmańskim broni, pozwolił mi zatrzymać mój kindżał.

- Myślałem, że Frankowie mają coś lepszego - mruknął, uznawszy mnie mimo przebrania za Europejczyka.

- Jestem zwykłym pielgrzymem - odpowiedziałem.

Zmierzył mnie dość sceptycznym spojrzeniem.

-1 niech tak zostanie.

Potem sprzedałem osiołka za takie same pieniądze, jakie zań zapłaciłem - w końcu to zawsze kilka monet więcej - i zacząłem się rozglądać po okolicy.

W bramie trwał nieustanny ruch. Kupcy witali karawany, a wyznawcy tuzina rozmaitych sekt gromkimi śpiewami wyrażali radość z wstąpienia na święte grunty. Ale władza Osmanów chyliła się ku upadkowi i bezsilni rządcy, nękający okolice Beduini, wymuszane bezwzględnie podatki oraz religijne spory sprawiły, że miasto było złupione jak rosnąca przy drodze kukurydza. Wzdłuż głównych ulic ciągnęły się rzędy kramów i straganów, ale ich spłowiełe markizy i na poły puste półki podkreślały tylko mizериę miasta. Jerozolima była ospałym miasteczkiem, a na jej wieżach gnieździły się ptaki.

Mój przewodnik uświadomił mnie, że miasto jest podzielone na dzielnice dla muzułmanów, chrześcijan, Ormian i Żydów. Zagłębiłem się w labirynt krętych uliczek, podążając w miarę możliwości ku północno-zachodniemu kwartałowi, wzniesionemu wokół Bazyliki Grobu Świętego i klasztoru Franciszkanów. Droga była wyludniona i tylko kury uciekały mi spod nóg. Połowa domów wyglądała na puste. Niezamieszkałe domy, zbudowane ze starych kamieni, z drewnianymi przybudówkami i wystającymi ze ścian niby czyraki balkonami, przypominały obwisłe twarze starych kobiet. Jak w Egipcie, wszelkie fantazje o bogatym i rozpustnym Wschodzie rozwiewały się w zderzeniu z rzeczywistością.

Niezbyt dokładne wskazówki Smitha i moje uporczywe wypytywanie o drogę przywiodły mnie w końcu przed piętrowy dom wzniesiony z wapienia, z solidną drewnianą bramą zwieńczoną końską podkową. Jego fasada niczym szczególnym się nie wyróżniała - przynajmniej z arabskiego punktu widzenia. Z boku widać było niewielkie drewniane drzwi i wyczuwałem woń płonącego węgla drzewnego, jakim Jerycho palił w swojej kuźni. Zapukałem, odczekałem chwilę, zapukałem ponownie - i wtedy uchylła się klapka małego wizjera. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że oko, które zmierzyło mnie bacznym spojrzeniem, należało do kobiety: w Kairze przywykłem do tego, że odźwiernymi są krępi wyznawcy Allaha, a żony trzymane są pod kluczem. Co więcej, obserwująca mnie kobieta miała oczy jasnoszare, o zabarwieniu rzadko na Wschodzie spotykanym.

Zgodnie z instrukcjami Smitha zacząłem po angielsku:

- Jestem Ethan Gage. Mam listy polecające od angielskiego kapitana do człowieka o nazwisku Jerycho. Jestem tu...

Klapka opadła. Przez kilka chwil stałem, zastanawiając się, czy trafiłem do właściwego domu, i kiedy w koń-

cu drzwi uchyliły się jakby same, ostrożnie przestąpiłem próg. Znalazłem się na poplamionym sadzą dziedzińcu kuźni. Przed sobą widziałem odbłask ogni paleniska w parterowej wewnętrznej przybudówce, której ściany zdobiły najróżniejsze kowalskie narzędzia. Lewą stronę dziedzińca zajmował kram z gotowymi wyrobami, a po prawej był skład rudy i opału. Nad tym wszystkim wznosiły się lekko wystające ku wnętrzu dziedzińca trzy skrzydła pomieszczeń mieszkalnych, do których można się było wspiąć po drewnianych schodkach i wejść przez wewnętrzne balkony. Pod ścianami poustawiano gliniane donice, w których rosły nieco już zmarniałe różane krzewy. Niektóre płatki opadały na osmalone kamienie dziedzińca.

Drzwi za mną zamknęły się i zdałem sobie sprawę, że kobieta, która je otworzyła, ukryła się właśnie za nimi. Stała tam niczym widmo, nie odezwawszy się słowem, ale mierzyła mnie kosym spojrzeniem pełnym ciekawości, która mnie mocno zaskoczyła. Jestem człkiem dość urodziwym, ale czy mogłem wzbudzić aż takie zainteresowanie? Miała na sobie suknię okrywającą ją od szyi po pięty, chustę na głowie zawiązała na tutejszą modłę i skromnie chowała twarz, zobaczyłem jednak dość, żeby dojść do wniosku, że jest bardzo ładna.

Jej twarzyczka miała w sobie łagodność renesansowych piękności o cerze jasnej jak na tę część świata i niezwykle gładkiej. Miała pełne wargi, a gdy pochwyciłem jej spojrzenie, skromnie spuściła wzrok. Miała też typowy śródziemnomorski nosek z lekkim garbkiem charakterystycznym dla południowców, który zawsze tak mnie urzekał. Kilka wymykających się spod chusty kosmyków wskazywało, że barwa włosów jest zaskakująco jasna. Wdzięczna figurka była dość szczupła, ale niewiele więcej dało się o niej powiedzieć. Po krótkiej chwili zniknęła za drzwiami.

Dokonawszy tych pospiesznych i odruchowych oglę-

dżin, odwróciłem się i zobaczyłem wychodzącego z kuźni brodatego, potężnie umięśnionego mężczyznę w skórzanym fartuchu. Miał bary kowala o bicepsach jak dwie szynki, pokryte bliznami po zawodowych oparzeniach. Mimo iż miał usmoloną twarz, od razu spostrzegłem jego jasne jak piasek włosy i niebieskie oczy, patrzące na mnie dość podejrzliwie. Czyżby wikingowie łupili niegdyś i wybrzeża Syrii? Ale wrażenie, jakie robiła jego muskulatura, łagodził rysunek pełnych warg i rumieniec wypełzający na brodate policzki (niewinność młodości, taka sama, jaką dostrzegłem u kobiety). Świadczył on o łagodności charakteru i dobroci serca, jakie w wyobraźni przypisywałem Józefowi Cieśli. Gospodarz zsunął z dłoni rękawicę i podał mi pokrytą odciskami dłoń.

- Gage?

- Owszem, jestem Gage - potwierdziłem, potrząsając jego twardą jak hikorowa deska dłonią.

- Jerycho. - Ten człowiek miał może kobiece usta, ale poczułem się tak, jakby moja ręka trafiła w szczęki imadła.

- Jak pańska żona mogła objaśnić...

- To moja siostra.

-Doprawdy? - No, no... oto był krok we właściwym kierunku. Nie żebym choć na chwilę zapomniał o Astizie... ale piękna kobieta w naturalny sposób budzi zainteresowanie w zdrowym młodym mężczyźnie, a lepiej wiedzieć, na czym się stoi.

- Ona jest nieśmiała i nie ufa obcym, więc proszę, nie wprawiaj jej, przybyszu, w zakłopotanie.

Kiedy taką uwagę wygłasza mężczyzna zbudowany jak pień dębu, aluzja jest dość wyrazista.

-Oczywiście. Ale to niezwykle, że ona najwyraźniej rozumie angielski.

- Byłoby jeszcze bardziej niezwykle, gdyby nie rozu miała, ponieważ żyła w Anglii. Ze mną. Ona nie ma nicze go wspólnego z naszymi sprawami.

- Uroczą, choć nieosiągalną. Takie damy można tylko podziwiać.

Kamienny posąg zareagowałby na mój żarcik z większym entuzjazmem.

- Smith uprzedził mnie o twojej misji, panie, więc mogę ci ofiarować tymczasowe schronienie i jedną sprawdzoną poradę: Każdy cudzoziemiec, który udaje, że rozumie mieszkańców Jerozolimy, jest głupcem.

Zachowałem przyjazne nastawienie.

- Więc niedługo tu zabawię. Zapytam, nie zrozumie odpowiedzi i wrócę do domu. Jak każdy z pielgrzymów.

Zmierzył mnie uważnym spojrzeniem.

- Wolisz, panie, arabski strój?

- Jest wygodny i zapewnia mi anonimowość. Pomyślałem, że przyda mi się na targu i w kawiarence. Znam trochę arabski.
- Postanowiłem, że się nie poddam. - O tobie, mój przyjacielu Jerycho, mogę zaś rzec, że nie sądzę, byś wkrótce miał upaść.

Zrobił minę człowieka, który nie pojmuje żartu.

-Mówię o tej biblijnej historii i walących się murach Jerycha. Ty mi wyglądasz na twardego jak skała. Należysz chyba do tych ludzi, których dobrze jest mieć po swojej stronie.

- To moja rodzinna wioska. Teraz nie ma tam żadnych murów.

-I nie spodziewałem się znaleźć w Palestynie nikogo o niebieskich oczach - brnąłem dalej.

- To krew krzyżowców. Korzenie mojej rodziny sięgają daleko w przeszłość. Powinniśmy być różnorodni jak malarska paleta, ale w tym pokoleniu przeważają ludzie o jasnej skórze. Przez Jerozolimę przewalali się wszyscy: krzyżowcy, Persowie, Mongołowie i Etiopczycy. Znajdziesz tu przedstawicieli każdej wiary, każdego narodu i wyznania. A ty, panie, ktoś zacz...

-Jestem Amerykaninem, o krótkiej linii przodków,

którymi lepiej się nie chwalić. Ale to właśnie jest jedna z zalet naszego społeczeństwa. Rozumiem, że nauczyłeś się angielskiego, służąc w ich marynarce?

- Miriam i ja straciliśmy rodziców podczas zarazy. Wychowali nas katolicy ojcowie, którzy powiedzieli nam co nieco o świecie, więc w Tyrze zaciągnąłem się na pokład angielskiej fregaty i nauczyłem sztuki obróbki żelaza. Marynarze nadali mi ten przydomek. Potem w Portsmouth zostałem czeladnikiem u pewnego kowala i posłałem po siostrę. Miałem wobec niej obowiązki.

- Ale tam nie zostaliście?

- Tęskniliśmy za słońcem. Brytyjczycy są bladzi jak glisty. Podczas służby we flocie poznałem Smitha. Zapłacił za nasz powrót i dodał trochę grosza, zgodziłem się więc, że będę tu jego okiem i uchem. Udzielam gościny jego przyjaciółom. Oni wykonują jego polecenia. W sumie niewiele z tego pożytku. Moi sąsiedzi sądzą, że ja po prostu wykorzystuję swoją znajomość angielskiego, żeby od czasu do czasu wziąć jakiegoś lokatora... i chyba za bardzo się nie mylą.

Szczery i śmiały człek z tego kowala.

- Sidney Smith sądzi, że możemy sobie wzajemnie pomóc. W Egipcie związałem się z Bonapartem. Teraz Francuzi zamierzają wkroczyć do Syrii.

- A Smith chciałby wiedzieć, co mogą zrobić chrześcijanie, żydzi, druzowie i maronici.

- Właśnie. Usiłuje pomóc Dżezarowi w stworzeniu ruchu oporu przeciwko Francuzom.

-1 próbuje wciągnąć w to ludzi nienawidzących Dżezara, gniołącego bezlitośnie ich karki. Wielu ludzi zobaczy we Francuzach wyzwolicieli.

-Jeżeli to właśnie jest wiadomość, jaką powinienem zawieźć Smithowi, to mu ją zawiozę. Ale potrzebna mi pomoc i w mojej własnej sprawie. W Egipcie poznałem kobietę, którą później utraciłem. Zniknęła bez śladu. Chcę

się dowiedzieć, czy żyje, a jeżeli tak, to jak do niej dotrzeć. Powiedziano mi, że masz w Egipcie liczne kontakty.

- Kobieta? Bliska ci kobieta? - Wydało mi się, że poczuł ulgę na wieść o tym, że interesuje mnie inna kobieta niż jego siostra. - Takie poszukiwania są bardziej kosztowne niż słuchanie krążących po Jerozolimie plotek.

- O ile?

Ponownie zmierzył mnie spojrzeniem.

- Obawiam się, że koszt przewyższa twoje zdolności płatnicze, cudzoziemcze.

- Więc mi nie pomożesz?

- Jak nie zapłacisz, to nie ja odmówię ci pomocy, tylko moi egipscy znajomkowie.

Doszedłem do wniosku, że nie próbuje mnie okpić. W moich poszukiwaniach potrzebowałem sojusznika, a któż byłby lepszy od tego niebieskookiego kowala? Podsunąłem mu więc drugi trop, którym podążałem.

- Może ty sam zechciałbyś ponieść część kosztów? Co powiesz, jeżeli obiecami udział w największym skarbie na ziemi?

W końcu udało mi się go zmusić do śmiechu.

- Największy skarb? I cóż by to miało być?

- To tajemnica. Ale taka, która może uczynić człowieka królem.

- No tak. I gdzież miałby być ten skarb?

- Mam nadzieję, że jest tuż pod naszymi nosami, w Jerozolimie.

- Czy wiesz, cudzoziemcze, ilu durniów liczyło na znalezienie skarbu w Jerozolimie?

- Ci, którzy go znajdą, nie okażą się głupcami.

- Chcesz, żebym wydawał moje pieniądze na poszukiwanie twojej kobiety?

-Nie, chcę, żebyś zainwestował w swoją przyszłość, kowalu.

Obliznął wargi.

-Smith odkrył, że jesteś zuchwałym, pyszałkowatym draniem, nieprawdaż?

-A ty jesteś znakomitym znawcą ludzkich charakterów! - Był sceptykiem, ale zdołałem obudzić w nim ciekawość. Gotów byłem się zresztą założyć, że zapłata za informacje o Astizie nie może być zbyt wygórowana. On zaś miał tę samą przywarę, jaka tkwi w każdym z nas: wszyscy śnimy o ukrytych skarbach.

- Zobaczę, co w tej sprawie da się zrobić.

Miałem go.

- Jest jeszcze jedna rzecz, jakiej potrzebuję. Myślę o dobrej strzelbie.

Jerycho żył dość skromnie, choć handel artykułami żelaznymi przynosił mu całkiem przyzwoity dochód. Jego mieszkanie było znacznie bogatsze w meble niż domy muzułmanów; oni korzystają z poduszek, które można usuwać, żeby ukryć kobiety, gdy w domu pojawi się obcy mężczyzna. Zwyczaj ten pochodził jeszcze z czasów, kiedy Arabowie byli pustynnymi wędrowcami żyjącymi w namiotach. W przeciwieństwie do nich my, chrześcijanie, przywykliśmy trzymać głowy bliżej ciepłego sufitu niż przy chłodnej posadzce, siadamy więc wysoko i godnie wśród rozmaitych mebli. Jerycho miał stół, krzesła i szafy zamiast charakterystycznych dla islamu poduszek i skrzyń. Były to meble wyciosane skromnie, z purytańską niemal prostotą. Na deskach podłogi nie położono dywanów, a ozdoby na ścianach ograniczały się do skromnego krucyfiks i świętego obrazu: dom przypominał klasztor i taka też panowała w nim przygniatająca atmosfera. Jego siostra, Miriam, utrzymywała pomieszczenia w idealnej czystości. Jedzenie było obfite, choć proste: chleb, oliwki, wino i warzywa, jakie mogła codziennie kupować u okolicznych kramarzy. Niekiedy przynosiła mięso, którym zaspokajał głód jej potężnie umięśniony brat, pojawiało

się jednak na stole rzadko i było dość drogie. Choć nadciągała zima, nie widziałem w domu żadnych urządzeń do ogrzewania pokoi, nieco ciepła dostarczało jedynie palenisko znajdującej się pod nami kuźni. Okna nie miały szyb, tylko płócienne zasłony, więc na czas chłódów zatykano je workami opiółków, co pogłębiało jeszcze panujący w pomieszczeniach jesienny mrok. Woda w zbiorniku była zimna, wszędzie przeciągi, świece z powodu ceny były tu rzadkością, kładliśmy się więc spać i wstawaliśmy jak wieśniacy. Dla ceniącego sobie paryskie wygody człowieka Palestyna okazała się miejscem szokującym.

Pierwszą rzeczą, jaka nas połączyła, było wykucie nowej rusznicy. Jerycho był chyba człowiekiem spokojnym, o pewnej i zręcznej dłoni, pomysłowym (choć to wszystko pozostawało na razie w sferze domysłów) i zdobył sobie spory szacunek społeczności całego miasta. Można to było wyczytać w oczach ludzi przychodzących kupować u niego wyroby żelazne, a byli wśród nich muzułmanie, chrześcijanie i żydzi. Sądziłem, że mogę mu pokazać kilka sekretów konstrukcji dobrej rusznicy, on jednak mnie zaskoczył.

- Masz na myśli coś podobnego do niemieckiej myśliwskiej strzelby, którą oni nazywają *jäger*? - spytał, kiedy mu opisałem utraconą broń. - Pokaż mi na piasku, jak długą chcesz mieć lufę.

Naszkwicowałem czterdziestodwucalówkę.

- A nie będzie za ciężka i nieporęczna?

- Długość zapewnia lufie celność i dużą szybkość początkową pocisku, co z kolei przekłada się na jego siłę przebicia. Kaliber czterdzieści pięć wystarczy: szybkość pocisku sprawia, że kule mogą być mniejsze niż stosowane w muszkietach. Mogę więc mieć przy sobie więcej naboju przy określonej wadze całkowitej kul i prochu. Miękkie żelazo, głęboko gwintowana lufa i wygięta kolba, żebym mógł dobrze widzieć przyrządy celownicze i żeby

ogień z panewki nie osmalał mi brwi. Z najlepszych rusznic dobry strzelec mógł trzy razy na pięć wbić kulą ćwiek z pięćdziesięciu jardów. Na przetarcie lufy i ponowne nabicie broni trzeba całej minuty, ale pierwszy strzał zazwyczaj załatwia sprawę.

- Tu w zasadzie wszyscy używają strzelb o gładkich lufach. Łatwo i szybko się je ładuje i możesz strzelać wszystkim, nawet kamykami. Do tej rusznicy potrzebne ci będą kalibrowane kule.

- Precyzja oznacza celność.

- W walce z bliska decyduje niekiedy szybkość.

Była to opinia powszechna wśród marynarzy, z którymi służył, podczas abordażu bowiem walczyli oko w oko.

- Ale celny strzał może powstrzymać wroga tak, że nie zdoła dopaść cię z bliska. Ja uważam, że ruszanie do walki ze zwykłym muszkietem jest jak wizyta w burdelu z zawiązanymi oczami. Może trafić ci się to, czego chcesz... ale możesz też fatalnie chybić.

- Nic o tym nie wiem.

Niech mnie kule biją, ten człowiek był zupełnie pozbawiony poczucia humoru!

Krytycznie ocenił szkic na piasku.

- Czterysta godzin roboty. Zapłacisz mi z tego twojego skarbu?

- Zapłacę ci podwójnie. Będę prowadził poszukiwania, podczas gdy ty zajmiesz się pracą.

- Nie. - Potrząsnął głową. - Łatwo obiecywać pieniądze, których nie masz. Będziesz mi pomagał, i nie tylko w tym, ale i w innych pracach. To dla ciebie nowe doświadczenie, ciężka robota. W wolnych dniach możesz się zajmować poszukiwaniem swojego skarbu albo zbieraniem ploteczek dla Sidneya Smitha. Możesz go nawet obciążyć kosztami, żeby spłacić dług wobec mnie.

Uczciwa praca? Pomysł był dość intrygujący - prawdę rzekłszy, czułem pewną zazdrość wobec ludzi takich jak

Jerycho - ale też przemówił do mnie jako swoiste wyzwanie.

- Pomogę ci więc w kuźni - odpowiedziałem - ale muszę też mieć trochę wolnego czasu na prowadzenie swoich poszukiwań. Zrób mi rusznicę na koniec zimy, kiedy zjawi się tu Napoleon, a ja do tego czasu znajdę skarb i wyduszę ze Smitha pieniądze.

Wyduszenie czegokolwiek z Admiralicji było jak próba wyciśnięcia wody z suchara, ale wiosna była dość odległa. Różnie mogło być.

- To popracuj przy miechach.

Wykonawszy polecenie, przerzuciłem łopatą węgle i przeniósłem tyle metalowych sztabek, że rozboleły mnie ramiona. Jerycho skwitował moje wysiłki niechętnym skinieniem aprobaty.

- Miriam uważa, że jesteś porządnym człowiekiem - powiedział krótko.

Z jej poparciem pewien byłem, że zdobędę zaufanie gospodarza.

Jerycho przede wszystkim znalazł metalowy, okrągły w przekroju pręt czy trzpień, nieco węższy niż lufa mojej przyszłej rusznicy. Rozgrzał następnie płytkę nawęglonej damasceńskiej stali o długości równej długości projektowanej lufy, którą miał owinać wokół trzpienia. Trzymałem trzpień i podawałem mu narzędzia, podczas gdy on umieszczał obrabiany materiał w otworze kowadła i zaczął skuwać cylinder lufy. Robił to powoli, kawałkami usuwając trzpień, gdy metale były jeszcze plastyczne, a potem wsuwał odkuwkę do zimnej, syczącej gniewnie wody. Potem ponownie rozgrzewał metale, zawijał kolejny cal stali, walił młotem i skuwał - i tak cal po calu. Była to żmudna, wyczerpująca praca, ale dziwnie zajmująca i intrygująca. Wydłużająca się rura miała się stać moim nowym towarzyszem. Niezłe się napociłem, ale ciężka fizyczna praca dawała osobliwą satysfakcję. Spałem dobrze, jadłem smacz-

nie, choć skromnie, i nawet przywykłem do spartańskiej prostoty mojego mieszkania. Moje mięśnie, zahartowane już w Egipcie, stały się jeszcze bardziej twarde i żyłaste. Usiłowałem naciągnąć gospodarza na wyznania.

- Jerycho, czy jesteś żonaty?
- A widziałeś tu żonę?
- Taki przystojny, majątny mężczyzna jak ty?
- Nie spotkałem kobiety, z którą chciałbym się ożenić. -Ja też. Nigdy nie spotkałem właściwej dziewczyny.

A potem ta Egipcjanka...

- Dowiemy się o jej losie.
- Więc jesteś tylko ty i twoja siostra? - napierałem. Nieco zaskoczony przerwał kucie.
- Byłem kiedyś żonaty. Moja żona umarła przy porodzie. Potem... zdarzyły się inne rzeczy. Zaciągnąłem się na angielski okręt. A Miriam...

Teraz zrozumiałem.

- Ona dba o ciebie, owdowiały bracie. Spojrzał mi prosto w oczy.
- A ja troszczyć się o nią.
- Więc jak się pojawi jakiś zalotnik...
- Ona nie dba o zalotników.
- Ale jest taką uroczą dziewczyną. Słodką, nieśmiałą, posłuszną...
- A ty masz tę swoją kobietę z Egiptu.
- Potrzebna ci żona - poradziłem mu. - I dzieci, które umiałyby cię skłonić do śmiechu. Może ja się rozejrzę za jakąś partią dla ciebie.
- Niepotrzebna mi pomoc obcego. I na dodatek takiego nicponia jak ty.
- Ale czemu nie miałbym ci zrobić przysługi, jak już tu jestem?

Uśmiechnąłem się szeroko, on zaś chrząknął i ponownie zaczął walić młotem.

Gdy praca była lżejsza, myszkowałem po całej Jerozo-

limie. Zmieniałem nieco ubranie zależnie od tego, do jakiej dzielnicy się udawałem, by zasięgnąć informacji po arabsku, francusku czy angielsku. Jerozolima pełna była pielgrzymów i nikt nie zwracał uwagi na mój akcent. Najbardziej ruchliwymi miejscami miasta były targowiska; można tam było spotkać bogaczy i biedaków, a janczarowie obojętnie zajadali posiłki obok miejscowych rzemieślników. *Kaskija*, jadłodajnie dla ubogich, zapewniały środki do życia biedakom, a w kawiarniach zbierali się ludzie rozmaitych wyznań, by popijać aromatyczny płyn, palić fajki wodne i toczyć spory. Wdychanie powietrza gęstego od dymu haszyszu, tureckiego tytoniu i wonności mogło wywołać zawroty głowy. Niekiedy zabierałem ze sobą mojego gospodarza. Trzeba było jednego lub dwu kieliszków wina, żeby się rozkręcił, ale jak już zaczął, jego niechętnie wygłaszane opinie o kraju i mieszkańcach były bezcenne.

- Wszyscy w Jerozolimie uważają, że znajdują się o trzy stopnie bliżej nieba niż mieszkańcy innych miast i krajów - podsumował kiedyś. - Co oznacza, że wspólnym wysiłkiem stworzyli tu sobie własne, niewielkie piekielko.

- To miasto, w którym nikt nie nosi broni, pełne spokoju i miłosierdzia, nieprawdaż?

- Dopóki ktoś komuś nie nastąpi na palce.

Jeżeli mnie pytano, odpowiadałem, że jestem handlowym przedstawicielem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, co było prawdą w Paryżu. Mówiłem też, że czekam na zimę, podczas której będę zawierał dogodne handlowe umowy. Chciałem być przyjacielem wszystkich, którzy pytali.

Miasto huczało od plotek o nadejściu Napoleona i wrzało niczym ul, ale nie było zgody, po czyjej stronie staną mieszkańcy. Od ćwierćwiecza rządził tu bezwzględny Dżezar. Napoleona trzeba było dopiero pokonać. Morze kontrolowali Anglicy, ale Palestyna była maleńką częścią imperium osmańskiego. Muzułmańskie sekty sunnitów

i szytów były nastawione wrogo do siebie nawzajem, a mniejszości chrześcijańska i żydowska łypały podejrzliwie jedna na drugą i nie wiadomo było, kto przeciwko komu podniesie broń. Przyszli despoty z połowy tuzina wyznań marzyli o stworzeniu własnych religijnych utopii. Choć Smith liczył na to, że będę werbował zwolenników sprawy Anglii, naprawdę wcale nie miałem zamiaru tego robić. Wciąż jeszcze podobały mi się republikańskie ideały i ludzie, z którymi niedawno służyłem, i po części przemawiały do mnie marzenia Napoleona o reformach, jakie chciał przeprowadzić na Bliskim Wschodzie. Czemuż miałbym stawać po stronie aroganckich Angoli, którzy niedawno jeszcze tak zaciekle zwalczali niepodległościowe idee mojego własnego narodu? Chciałem jedynie odnaleźć Astizę i dowiedzieć się, czy są jakieś szanse na to, że legendarna Księga Tota wyszła cało z zamętu minionych trzech tysięcy lat. A potem uciec z tego domu wariatów.

Dowadywałem się więc czego tylko mogłem o tej kulturze nargilów. Było to niewielkie miasto i dość szybko rozeszły się wieści o ubranym jak Arab niewiernym, który pracuje w kuźni chrześcijanina, ale w Jerozolimie nie brakło ludzi o mglistej przeszłości, którzy wypytywali o rozmaite rzeczy. Byłem tylko jedną z wielu osób zajmujących się tym, co w zasadzie składa się na życie: czekaniem.

ROZDZIAŁ 5

Przed nadejściem zimy robiłem wszystko, żeby jakoś obudzić zainteresowanie Miriam. U pewnego handlarza znalazłem kawałek bursztynu z zatopionym wewnątrz owadem. Wystawiono go na sprzedaż jako błyskotkę, amulet przynoszący szczęście, ja jednak zobaczyłem w nim drobiazg mogący zainteresować naukowca. Zakradłem się za nią, kiedy oskubywała kurczaka, potarłem bursztyn o moje spodnie, a potem przesunąłem dłoń nad kupką ciemnego pierza. Trochę puszków uniosło się i przyłgnęło do wnętrza mojej dłoni.

Dziewczyna odwróciła się do mnie.

- Jak to zrobiłeś?

- Stoją za mną tajemnicze moce Ameryki i Francji - zaintonowałem śpiewnie.

Przeżegnała się.

- Złem jest sprowadzanie magii do tego domu.

-To nie magia. To sprawka elektryczności, zwykła sztuczka, jakiej nauczyłem się od mojego mistrza Franklina. - Odwróciłem dłoń tak, żeby mogła zobaczyć zawarty w niej bursztyn. - Robili to już starożytni Grecy. Jeżeli po-trzesz bursztyn, zaczyna przyciągać piórka czy skrawki papieru. Nazywamy to elektrycznością. A ja jestem elektrykiem.

- Zwariowany pomysł - odparła niepewnie.

- Spróbuj sama.

Mimo lekkiego oporu ująłem jej dłoń i włożyłem bursz-

tyn w jej palce, rad z okazji i dotyku. Miała mocne, zaczerwienione od pracy palce. Potarłem bursztyn o jej rękaw i przeniosłem go nad piórka. Oczywiście kilka frunęło w górę, przylegając do żółtej bryłki.

- Widzisz? Teraz i ty jesteś elektrykiem.

Prychnęła i oddała mi bursztyn.

-Jak można marnować czas na takie bezużyteczne głupstwa?

- Być może nie są tak do końca bezużyteczne.

-Jak jesteś taki sprytny, to spróbuj tym bursztynem oskubać jeszcze jednego kuraka!

Roześmiałem się i przesunąłem bursztyn nad jej policzkiem; pasmo jej pięknych, jasnych włosów uniosło się ku bryłce.

- Możesz go też używać zamiast grzebienia. Miriam podejrzliwie śledziła wzrokiem kosmyk.

- Jesteś nieskromnym człowiekiem.

- Nie, tylko ciekawym.

- A czego niby miałyby dotyczyć ta ciekawość? - Mówiąc to, spiekła raka.

- No widzisz - stwierdziłem. - Zaczynasz mnie rozumieć.

Ona jednak nie pozwoliła, żeby sprawy posunęły się dalej. Liczyłem też na to, że w wolnych chwilach będę mógł poprawić stan swoich finansów przy karcianym stoliku, ale Jerozolima była chyba ostatnim miastem na świecie, gdzie mógłbym znaleźć tego rodzaju rozrywkę. Łatwiej byłoby się zabawić na pikniku kwadrów. Niewiele też było pokus innego rodzaju w mieście, w którym kobiety owijały się ciaśniej i szczelniej niż niemowlak podczas zamieci w Maine; musiałem wbrew ochocie przedłużyć mój celibat z Jaffy. Och, kobiety obdarzały mnie niekiedy ognistymi spojrzeniami - w końcu dość przystojny ze mnie chłop - ale ich powaby zatrwały wspominki z kawiarnianych rozmów o tym, jak to wściekli na zalotników oj-

cowie i bracia obcinali im rozmaite członki. Tego rodzaju historie mogły ostudzić zapaly najbardziej zajadłego koguta.

W końcu popadłem w taką nudę i desperację, że zacerpnawszy pomysł z moich dawnych nauk, postanowiłem zająć się elektrycznością, tak jak mnie tego uczył Franklin. To, co w Paryżu wydawało się zabawą, dzięki której mogłem niekiedy skraść całusa jakiejś ślicznotce, po mojej wizycie w Egipcie ujrzałem w nowym świetle. Czy było możliwe, że starożytni potrafili uwolnić elektryczne moce? Czy to właśnie było sekretem ich cywilizacji? Nauka była też sposobem na wyrobienie sobie pozycji podczas mojej zimy utrapień w Jerozolimie. Elektryczność była tu zjawiskiem nieznanym.

Za niechętnym przyzwoleniem Jerycha zbudowałem poruszany ręczną korbą szklany dysk, który generował elektryczność. Gdy obracałem go pomiędzy płytkami podłączonymi do metalowych przewodów, statyczne ładunki przechodziły do szklanych słoików z ołowianą wykładziną - były to mojej własnej roboty butelki lejdejskie. Za pomocą miedzianych drutów przesyłałem ładunki z jednego słoika do drugiego i gromadziłem dość elektryczności, żeby klienci podskakiwali jak oparzeni po dotknięciu metalowych okładek, co porażało ich ręce drętwołą na kilka godzin. Badacze ludzkiej natury wcale nie zdziwiłaby wiadomość, że poważni mieszkańcy Jerozolimy stawali w kolejce do porażenia i w zdumieniu kiwali głowami. Potwierdziłem swoją czarodziejską reputację, elektryzując sobie ramiona tak, że przyciągały płatki metalu. Zdałem sobie sprawę, iż mógłbym tu zyskać podobną sławę jak ten czarnoksiężnik, hrabia Silano. Ludzie zaczęli szepsem przekazywać sobie wieści o moich mocach i przyznam, że ta popularność mnie cieszyła. Na święta wyprowadziłem powietrze ze szklanej kuli, naładowałem ją z mojego generatora i położyłem na niej dłoń. Kula zaczęła świecić purpurowym światłem, co przyciągnęło uwagę dzieciaków

z sąsiedztwa, choć dwie starsze kobiety zemdlały, pewien rabbi wyskoczył z pokoju jak oparzony, a katolicki ksiądz przeżegnał mnie krzyżem.

-To tylko salonowy figiel - zapewniłem wszystkich obecnych. - We Francji wciąż się tym zabawiamy.

- A kimże są Francuzi, jeżeli nie ateistami i niedowiarkami? - odciął się ksiądz. - Ta elektryczność nie przyniesie niczego dobrego.

- Przeciwnie, uczeni doktorzy w Niemczech i Francji uważają, że elektryczne wstrząsy mogą leczyć niektóre choroby lub szaleństwo.

Cóż, wszyscy wiedzieli, że medycy więcej ludzi wysyłają na cmentarze, niż leczą; sąsiedzi Jerycha przyjęli więc to oświadczenie dość krytycznie.

Miriam też miała wątpliwości.

- Wydaje mi się, że za wiele z tym zachodu, a chodzi przecie tylko o to, żeby kogoś ukłuć.

- Ale dlaczego to tak kłuje? To właśnie chciał wiedzieć Franklin.

- Wszystko pochodzi z tej twojej korby, nieprawdaż?

- Ale dlaczego? Jeżeli zagotujesz kocioł mleka lub wody ze studni, nie dostaniesz elektryczności. Nie, jest w tym coś szczególnego i Franklin uważał, że to jedna z sił poruszających wszechświatem. Może elektryczność ożywia nasze dusze?

- To bluźnierstwo!

- Elektryczność jest w naszych ciałach. Elektrycy usiłowali ożywiać martwych przestępców.

-Brrr...

-I udawało im się poruszać mięśniami, choć nie zdołali ożywić ducha. A jeżeli zdołamy zapanować nad tą siłą, tak jak opanowaliśmy ogień lub zaprzężonego do wozu konia? Może starożytni Egipcjanie to potrafili? Osoba, która wiedziałaby, jak tego dokonać, mogłaby zyskać niewyobrażalną moc!

-I to właśnie chcesz znaleźć, Ethanie Gage? Niewyobrażalną moc?

- Ujrzawszy piramidy, zaczynasz się zastanawiać, czy starożytni nie dysponowali takimi mocami. Dlaczegoż nie mielibyśmy ponownie odkryć ich dzisiaj?

- Może dlatego, że przynoszą więcej szkód niż korzyści.

Tymczasem Jerozolima mnie oczarowała. Nie umiem rzec, czy ludzka historia może wsiąkać w grunt jak deszcz, ale miejsca, które odwiedzałem, miały niemal namacalną atmosferę wiekowości. Z każdą studnią związana była jakaś opowieść, każda uliczka miała swoją historię. Tutaj upadał Jezus, tam Salomon witał królową Saby, przez ten plac atakowali krzyżowcy, a Saladyn odzyskał miasto, wdzierając się przez tamten mur. Większość nadzwyczajności mieściła się w południowo-wschodniej części miasta, włącznie z rozległą, sztucznie wyrównaną płaszczyzną szczytu, na którym Abraham składał w ofierze Izaaka: była to Świątynia na Górze. Wzniesiona przez Heroda Wielkiego miała dziedziniec długi na ćwierć mili i szeroki na trzysta jardów, o powierzchni - jak mi powiedziano - trzydziestu pięciu akrów. Dlaczego musiał być tak wielki? Czyżby pokrywał - ukrywał? coś znacznie ważniejszego? Przypomniałem sobie nasze niekończące się spekulacje dotyczące piramid.

Świątynia Salomona stała na tym wzgórzu, dopóki nie zniszczyli jej najpierw Babilończycy, a potem Rzymianie. Następnie na tym samym miejscu muzułmanie wzniesli 'Kopułę na Skale. Na południowym krańcu placu stał inny meczet - Al-Aksa, którego kształt szpeciły dobudówki krzyżowców. Na tym miejscu próbowali odcisnąć swoje ślady wyznawcy rozmaitych religii, ale ostatecznym rezultatem była spokojna pustka, wznosząca się nad ruchliwym miastem niczym samo niebo. Bawiły się tu dzieci wypasające owce. Niekiedy przechodziłem przez Bramę

Łańcucha i kroczyłem po obrzeżu placu, przez nową lunetę obserwując okoliczne wzgórza. Muzułmanie zostawiali mnie w spokoju, szepcząc, że jestem szaleńcem, który para się mrocznymi sztukami.

Pomimo mojej reputacji, a może właśnie dzięki niej od czasu do czasu pozwalano mi wchodzić pod samą Kopułę na Skale o ścianach wyłożonych niebieskimi płytkami - choć przed wstąpieniem na czerwono-zielony dywan musiałem zdejmować buty. Może liczyli na to, że przejdę na islam? Kopułę podtrzymywały cztery masywne przypory i dwanaście kolumn, a jej wnętrze było udekorowane mozaiką i islamskimi inskrypcjami. Pod nią była święta skała, Kubbat al-Sakhra, kamień węgielny świata, na którym Abraham ofiarował Bogu swojego syna i z którego Mahomet doznał wniebowstąpienia. Z jednej strony skały była studnia i - jak mi mówiono - niewielka jaskinia pod samą skałą. Czy to tam coś ukryto? Jeśli stała tu niegdyś świątynia Salomona, czy nie w tym samym miejscu Żydzi ukryliby swoją największą świętość? Do tej jaskini jednak nikomu nie wolno było wejść, a gdy zwlekałem z odejściem, muzułmański odźwierny wyprosił mnie grzecznie, ale stanowczo.

Zastanawiałem się więc i pracowałem w warsztacie Jerycha, gdzie wykuwaliśmy podkowy, sierpy, kleszcze do drewna, zawiasy i inne przedmioty codziennego użytku. Miałem też okazję ciągnąć za język mojego gospodarza.

- Czy w tym mieście są jakieś podziemia, w których można by na dłużej ukryć coś wartościowego?

Jerycho parsknął śmiechem.

- Podziemia w Jerozolimie? Z każdej piwnicy jest wejście do labiryntu zapomnianych i opuszczonych tuneli i korytarzy. Nie zapominaj, że to miasto było łupione przez połowę żyjących na świecie ludów, włączając w to naszych krzyżowców. Wyrżnięto tu tak wielu ludzi, że w studniach powinna się zbierać krew. Budowle wzn-

szono tu na ruinach innych budowli, nie wspominając o rojowisku jaskiń i kopalni. Podziemia? Pod naszymi nogami rozciąga się druga Jerozolima, bardziej może rozległa niż nasza.

- Rzecz, której szukam, przynieśli ze sobą starożytni Izraelici.

Stęknął z udaną zgrozą.

- Nie mów mi, że szukasz Arki Przymierza! To mit, za którym gonią wariaci! Może i kiedyś była w świątyni Salomona, ale przepadła bez wieści, gdy Nabuchodonozor zburzył dawną Jerozolimę i w szóstym wieku przed naszą erą rozpedził Żydów po całym świecie.

- Nie, nie mówiłem o niej.

A jednak to miałem na myśli, a przynajmniej się spodziewałem, że Arka doprowadzi mnie do Księgi - może zresztą były jednym i tym samym. „Arka” znaczy „skrzynia”, Arka Przymierza zaś miała być wykładaną złotymi płytami skrzynią z akacjowego drewna, w której zbiegli z Egiptu Żydzi przechowywali Dziesięcioro Przykazań. Powiada się, że miała tajemniczą moc i pomagała Żydom pokonać nieprzyjaciół. Oczywiście zastanawiałem się, czy Księga Tota jest w tej skrzyni, ponieważ Astiza uważała, że zabrał ją Mojżesz. Na razie jednak wolę się nie wypowiadać.

- To dobrze. Przekopanie Jerozolimy zajęłoby całą wieczność, podejrzewam zaś, że skończyłbyś z tym, z czym zacząłeś... to znaczy z niczym. Możesz sobie kopać dziury do woli, ale wszystko, co znajdziesz, to tylko szczurze kości i stare skorupy.

Miriam była spokojną i cichą kobietą, stopniowo jednak odkryłem, że ten spokój skrywa żywą inteligencję i ciekawość przeszłości. Choć bardzo się różniła od Astizy charakterem, obie miały ten sam rodzaj inteligencji. Na początku mojego pobytu gotowała i podawała posiłki, ale

jadaliśmy oddzielnie. Zdobyłem sobie odrobinę jej zaufania, zaczynając pracę w kuźni Jerycha, i zdołałem oboje udobruchać na tyle, by pozwolili mi zasiąść przy ich stole. Ostatecznie nie byliśmy muzułmanami, pieczołowicie oddzielającymi obie płcie, i ich opór mocno mnie intrygował. Początkowo Miriam odzywała się jedynie wtedy, gdy ją o coś zagadnąłem - w tym też różniła się od Astizy -i wydawało się, że nie czuje potrzeby mówienia. Jak podejrzewałem, była naprawdę urocza - miała w sobie piękno, które przywodziło na myśl owoce i kremy - ale chustę zdejmowała tylko przy stole, a i to niechętnie. Kiedy to jednak czyniła, jej włosy opadały złotym wodospadem -były tak jasne, jak ciemne u Astizy - miała też piękną szyję i pełne policzki. Byłem dumny ze swojej jerozolimskiej wstrzeźliwości (choć na przychyłność kobiet można tu było liczyć z równym skutkiem, jak na znalezienie dziewicy w paryskich szulerniach, i trudno było się pysznić wymuszoną ascezą), zdumiewało mnie jednak to, że uroda Miriam nie pobudziła do czynu żadnego z zuchwałych i natrętnych łobuzów. Nocami słyszałem, jak się pluszcze w drewnianej balii, i nie mogłem się powstrzymać od myśli o jej piersiach, brzuchu, ponętym tyłeczku i smukłych nogach. Mój udręczony umysł wciąż tworzył wizje mydlanej piany spływającej po jej zachwycających udach i łydkach ku kostkom. Pojękując, zwracałem myśli ku elektryczności, ale w końcu uciekałem się do pomocy dłoni. Podczas kolacji Miriam rada słuchała naszych rozmów, obdarzając mnie bystrzymi spojrzeniami swoich pięknych oczu. Jej i jej bratu nieobcy był daleki świat, sami więc z przyjemnością słuchali moich opowieści o życiu w Paryżu, dorastaniu w Ameryce, o moich przygodach na traperskich szlakach wokół Wielkich Jezior i podróżyach w dół Missisipi, do Nowego Orleanu i na Karaiby. Interesowały ich też moje opowieści o Egipcie. Nie zdradziłem im sekretów Wielkiej Piramidy, opisałem jednak Nil, wielkie

bitwy morskie i lądowe, w jakich brałem udział zeszłego roku, i świątynię w Denderze, którą spenetrowałem na południu kraju. Jerycho zaś opowiadał mi o Palestynie i Galilei, gdzie żył Jezus, i o siedzibach chrześcijan, których mogłem znaleźć na Górze Oliwnej. Po pewnych wahaniach Miriam też zaczęła podsuwać mi nieśmiałe sugestie, wskazujące, że wie o swoim mieście bardzo wiele, więcej niż jej brat. Nie tylko umiała czytać - co było rzadką umiejętnością wśród kobiet w krajach islamu - ale czytała z chęcią i spędzała wiele czasu z dala od mężczyzn i dzieci, studiując księgi, które kupowała na targu, albo pożyczała od zakonnicy.

- O czym czytasz? - zapytałem ją kiedyś.

- O przeszłości.

Jerozolima była miejscem brzemionym w przeszłość. Smagany podmuchami zimnego wiatru błędziłem po wzgórzach za murami, kiedy słońce rzucało długie cienie na bezimienne ruiny. Gdy przenikliwe wiatry przyniosły nieco śniegu, błękitowi nieba odpowiedziała biel pokrywy wzgórz, a słońce wyglądało, jak dziecięcy żółty latawiec. Krajobraz zrobił się zaś łącie cukierkowy.

Tymczasem prace nad rusznicą posuwały się żwawo do przodu i widziałem, że Jerycho cieszy się tym wyzwaniem. Gdy ukończyliśmy roboty nad lufą, przewierciliśmy ją do właściwego kalibru - ja obracałem korbą wiertarki, podczas gdy on pchał lufę ku mnie. Była to ciężka praca. Kiedy się z tym uporaliśmy, ustawił lufę pod światło, a potem patrzył wzdłuż otworu, wypatrując cieni sygnalizujących nierówności. Odpowiednio rozgrzewając lufę i kując młotkami, wyrównaliśmy ją jeszcze bardziej.

Piekielnie trudno było naciąć gwint, który nadawałby kuli obrót wzdłuż osi. Miało być siedem nacięć okręcających się nieznacznie wewnątrz lufy. Ponieważ nie mogły być głębokie, trzeba było ręcznie przepychać rylec po dwieście razy na jeden ryt.

A to był dopiero początek. Potem przyszło polerowanie, oksydowanie metalu i nadawanie mu błękitnego połysku, i mnóstwo zachodu ze spustem, krzemiennym młoteczkim, płytką zapalu, formowaniem wycioru i tak dalej. Pomagałem jak mogłem, ale wszystkie precyzyjne prace wykonywał Jerycho, którego mięsiste łapska potrafiły się poruszać z precyzją, z jakiej byłaby dumna koronczarka.

Panna Miriam zdumiała mnie pewnego dnia prośbą o możliwość zmierzenia mojej ręki i barku. Jak się okazało, miała zaprojektować kolbę, która powinna przylegać do ramienia strzelca jak płaszcz.

- Ona ma oko artysty - wyjaśnił mi Jerycho. - Pokaż jej, jak ukształtowaną i nachyloną chcesz mieć kolbę.

W Palestynie nie było klonów, więc dziewczyna użyła akacji - drewna, z którego zbudowano Arkę: było cięższe, niż się spodziewałem, ale też bardziej twarde i zwarte. Gdy już z grubsza naszkicowałem kształt kolby inny od strzelb arabskich, ona zmieniła moje pomysły we wdzięczne krzywizny, podobne do tych, jakimi odznaczały się rusznice z Pensylwanii. Kiedy mierzyła moje ramię, by obliczyć wymiary kolby, pod dotykiem jej palców drżałem jak uczeń.

Tak bardzo już byłem wstrzemięźliwy.

Spędzałem więc czas, wysyłając Smithowi tak mętne i niejasne polityczne dywagacje, że zbiłyby z tropu każdego stratega dość głupiego, żeby im zaufać, aż w końcu pewnego wieczoru kolację przerwało nam głośnie i uporczywe łomotanie w drzwi domu. Kowal wyszedł, żeby sprawdzić, kto jest tym natrętem, i wrócił z pokrytym kurzem brodatym jegomościem, który przybył z ostatnią karawaną.

- Mam dla Amerykanina wiadomości z Egiptu - oznajmił przybysz.

Moje serce nagle wywinęło w piersi kozła. Usadziliśmy go za drewnianym stołem i daliśmy wody - był muzułmaninem i odmówił picia wina - dodając

niecio oliwek i chleba. Podziękował niewyraźnie i zabrał się do jedzenia z wilczym apetytem, ja zaś czekałem cierpliwie, zdumiewając się emocjami, które zawrzały we mnie niczym lawa. Podczas spędzonych z Miriam tygodni pamięć o Astizie mocno zbladła w moim sercu. Teraz jednak pogrzebane pod pyłem zapomnienia uczucia uderzyły mi do głowy, jakbym wciąż jeszcze trzymał Astizę ramionach albo patrzył bezradnie, jak rozpaczliwie miota się na końcu liny. Zaczerwieniłem się i poczułem, że na czoło wystąpiły mi krople potu. Miriam obserwowała mnie spod oka, ale nic nie mówiła.

Potem oczywiście nastąpiła tradycyjna wymiana pozdrowień, życzeń pomyślności, podziękowań Bogu i relacji o stanie zdrowia. „Jakże się miewasz?” - to jedno z najbardziej ogólnych pytań naszych czasów, jeśli się weźmie pod uwagę powszechność podagry, febry, zapalenia oczu, bólów i omdleń - a także wyliczanie trudów podróży.

W końcu Jerycho mógł zapytać:

- Czy są jakieś wieści o przyjacielu tego mężczyzny?

Posłaniec przełknął ślinę i strzepnął z brody okruszki chleba.

- Są opowieści o francuskim balonie, który Frankowie stracili podczas ostatniej rewolty w Kairze - zaczął. - Co prawda nic się nie mówi o Amerykaninie. Zniknął podobno czy zdezerterował z armii francuskiej. Niektórzy widzieli go tam, inni siam, nikt jednak nie wie, co się z nim stało. - Zerknąwszy na mnie, wbił spojrzenie w blat stołu. - Nikt nie potwierdza żadnej z tych historii.

- Ale na pewno są jakieś wieści o losie hrabiego Sila-no? - nie poddawałem się.

-Hrabia Alessandro Silano po prostu zniknął. Mówi się, że badał Wielką Piramidę, i nikt go już potem nie widział. Niektórzy podejrzewają, że zginął bądź go zabito w jej wnętrzu. Inni uważają, że wrócił do Europy. Są nawet tacy, którzy przypisują jego zniknięcie magii.

- No nie! - zachnąłem się. - Spadł z balonu!
- Efendi, o tym akurat nikt niczego nie wie. Ja powtarzam tylko, co się mówi.

- A co z Astizą?

- Jej śladu w ogóle nie możemy odnaleźć.

Serce zamarło mi w piersi.

-Jak to?

- Dom Kelaba Almani, człowieka zwanego przez ciebie Enochem, opustoszał po jego śmierci i został zajęty przez Francuzów na koszary. Jussuf al-Beni, człowiek, o którym powiadasz, że ukrywał ją w swoim haremie, wszystkie mu zaprzecza. Niektórzy opowiadają, że ekspedycji Desaix'go do Górnego Egiptu towarzyszyła piękna kobieta - ale nawet, jeżeli tak było, i ona znikła bez śladu. Nikt niczego nie wie o rannym mameluku Aszrafie, o którego też raczyłeś zapytać. Nikt nie pamięta o pobycie Astizy ani w Kairze, ani w Aleksandrii. Żołnierze, owszem, mówią o pięknej kobiecie, żaden jednak nie twierdzi, że ją znał lub choćby widział przelotnie. Wygląda na to, że ona w ogóle nie istniała.

-Ale ona też spadła do Nilu! Widział to cały pluton Francuzów!

- Jeżeli tak się stało, przyjacielu, to już nie wypłynęła. Wspomnienia o niej są tak uchwytnie jak pustynny miraż.

Byłem oszołomiony. Przygotowałem się na wieści o jej śmierci lub utonięciu. Liczyłem na to, że przeżyła, choć mogła trafić do więzienia. Ale żeby zupełnie przepadła? Czyżby rzeka uniosła ją tak daleko, że nikt jej już nie zobaczy ani nie urządzi pochówku? Cóż to była za odpowiedź? I Silano przepadł także? To było jeszcze bardziej podejrzane. Czy przeżyła jakoś i odeszła z nim razem? To byłoby dla mnie jeszcze bardziej bolesne!

- Musisz wiedzieć coś jeszcze! Na Boga, znała ją cała armia! Sam Napoleon zwrócił na nią uwagę! Uczeni mę-

zowie wzięli ją na swoją łódź! I co? Mam uwierzyć, że nie masz o niej żadnych wieści?

Arab popatrzył na mnie ze współczuciem.

- Przykro mi, efendi. Allah niekiedy daje nam więcej pytań niż odpowiedzi, nieprawdaż?

Ludzie potrafią się pogodzić ze wszystkim oprócz niepewności. Najbardziej przerażającymi potworami są te, z którymi się jeszcze nie zmierzyliśmy. A mnie dźwięczały w głowie ostatnie słowa Astizy: „Znajdź ją!” Potem przecięła linę i spadła, krzycząc przeraźliwie, razem z Silanem, a balon odleciał w oślepiające słońce... Czyżby to Wszystko było tylko koszmarnym snem? Nie! Równie dobrze mógłbym zważyć w realność stołu, przy którym siedziałem.

Jerycho mierzył mnie posępnym spojrzeniem. Było w nim współczucie, ale i świadomość tego, że pamięć o Egipcjance stała pomiędzy mną a jego siostrą. Miriam patrzyła mi wprost w oczy, jak nigdy przedtem, a w jej spojrzeniu wyczytałem smutne zrozumienie. W tejże chwili zrozumiałem, że i ona kogoś straciła. Oto dlaczego nie przyjmowała zalotników, a najbliższym jej towarzyszem był brat. Wszyscy mieliśmy w duszy żalobę po kimś bliskim.

- Chciałem jedynie jasnej i prostej odpowiedzi - wyszeptałem.

- Panie, odpowiem ci, że przeszłość jest przeszłością. -Nasz gość wstał. - Przykro mi, że nie przyniósł lepszych wieści, ale jestem tylko posłańcem. Oczywiście, przyjaciele Jerycha nadal będą mieli uszy otwarte. Porzuć jednak czcze nadzieje. Ona odeszła.

Z tymi słowy odszedł on także.

ROZDZIAŁ 6

W pierwszej chwili zapragnąłem opuścić Jerozolimę i cały przeklęty Bliski Wschód - raz i na zawsze. Cała szalona odyseja z Bonapartem - ucieczka z Paryża, żegluga z Tulu do Aleksandrii, atak na to miasto, spotkanie z Astizą, kolejne straszliwe bitwy, utrata przyjaciela Tal-my i pełen zawodu sekret Wielkiej Piramidy - okazała się niewarta garści popiołu. Nic mi z tego nie przyszło - nie zyskałem skarbów ani zwolnienia z oskarżeń za zbrodnię, której popełnienie przypisywano mi w Paryżu, nie zostałem też członkiem zgromadzenia szacownych uczonych, którzy towarzyszyli Napoleonowi w jego wyprawie, ani nie zdobyłem trwałej miłości kobiety, która mnie oczarowała. Straciłem nawet moją rusznicę. Jedyнным powodem przybycia do Palestyny była chęć dowiedzenia się czegoś o losie Astizy, teraz zaś, gdy się dowiedziałem, że nic o niej nie wiadomo (czyż można było odebrać bardziej okrutne wieści?), moja misja stała się daremna. Nic mnie nie obchodziła napoleońska wyprawa syryjska czy los Dżezara Rzeźnika ani kariera sir Sidneya czy też polityczne rachuby druzów, maronitów, żydów i całej reszty tych plemion zamkniętych w nieskończonym kręgu zemsty i nienawiści. Co miałbym robić w tej zwariowanej nekropolii wzajemnych zawiści? Czas wrócić do Ameryki i rozpocząć normalne życie.

A jednak... moje postanowienie powrotu niweczył zwykły fakt, iż niczego nie byłem pewien. Choć nie mia-

łem wieści o tym, że Astiza żyje, nic też nie świadczyło o jej śmierci. Nie znaleziono ciała. Gdybym odpłynął, myśl o tym dręczyłaby mnie przez resztę życia. Łączyło mnie z nią zbyt wiele wspomnień - myślałem o tym, jak pokazała mi Syriusza, gdy żeglowaliśmy w górę Nilu, jak pomogła mi powalić Aszrafa w zamęcie bitwy pod Piramidami, o tym, jak pięknie wyglądała na dziedzińcu domu Enocha i jak bezbronna, a zarazem emanująca erotyzmem była w świątyni pod Denderą i potem, gdy posiadałem ją na brzegu Nilu! Takie wspomnienia człek mógłby gromadzić przez stulecie lub dwa - ale nigdy nie zdołałby o nich zapomnieć. Myśli o Astizie towarzyszyłyby mi wszędzie i zawsze.

Księga Tota mogła być mitem - w końcu pod Wielką Piramidą znaleźliśmy tylko pusty pojemnik i być może zostawioną na urągowisko łaskę Mojżesza - ale przecież niekoniecznie tak musiało być i Księga istotnie mogła spoczywać gdzieś tu, pod ziemią. Jerycho kończył już niemal moją rusznicę, w której powstawaniu miałem niemały udział i która była chyba lepsza niż tamta, zniszczona przez Silana w Denderze. Była jeszcze Miriam - odgadywałem, że straciła kogoś bliskiego i dzieliła ze mną smutek. Wraz ze zniknięciem Astizy kobieta, z którą mieszkałem, która przygotowywała mi posiłki i której dłonie kształtowały kolbę mojej broni, nagle wydała mi się znacznie mniej cudowna. Z kim miałbym wracać do Ameryki? Z nikim. Pomimo rozczarowania i frustracji postanowiłem, że zostanę tu przynajmniej do ukończenia prac nad rusznicą. Byłem jak gracz, który czeka na nowe rozdanie. Może trafią mi się lepsze karty?

Byłem także ciekaw, kogo utraciła Miriam.

Traktowała mnie z rezerwą taką jak przedtem, ale już nie uciekała spojrzeniem na boki. Stawiając mój talerz na stół, zatrzymywała się bliżej, a w jej głosie - co prawda mogło mi się tak tylko wydawać - było więcej współczu-

cia i sympatii. Jerycho obserwował nas oboje z większą niż przedtem uwagą i niekiedy przerywał naszą konwersację szorstkimi uwagami. Jakże mógłbym go winić? Miał w jej osobie wierną jak pies i piękną pomocnicę, a kimże byłem ja? Niestałym przybłędą o niepewnej przyszłości. Nie mogłem się powstrzymać od marzeń o posiadaniu tej dziewczyny, ale Jerycho też był mężczyzną i znał pragnienia innych mężczyzn. Co gorsza, mogłem ją zabrać do Ameryki. Zauważyłem, że zaczął poświęcać więcej czasu pracy nad moją rusznicą. Chciał ją skończyć, żebym mógł się wynieść z jego domu.

Z nadejściem późnej jesieni i deszczu Jerozolima stała się szara i cicha. Potem pojawiły się też wieści, że najwybitniejszy z generałów Bonapartego, Desaix, doniósł o nowych tryumfach i odkryciu wspaniałych ruin w górze Nilu. Smith krążył po morzu pomiędzy Akką, zablokowaną Aleksandrią i Stambułem, przygotowując powitanie Napoleona, którego spodziewał się na wiosnę. Francuskie oddziały gromadziły się pod Al-Arisz, nieopodal granicy z Palestyną. Coraz mocniej grzejące słońce powoli oddawało ciepło miejskim kamienicom i gdy pewnego dnia o zmierzchu Miriam postanowiła pójść na miejskie targowisko, żeby kupić korzenne przyprawy do naszej kolacji, pod wpływem nagłego impulsu zdecydowałem się pójść za nią. Chciałem wykorzystać okazję, żeby porozmawiać z nią pod nieobecność Jerycha. W Jerozolimie rzadko się widywało mężczyznę idącego za samotną kobietą, liczyłem jednak na to, że nadarzy się jakaś okazja do rozmowy. Byłem samotny. Co tak naprawdę miałbym powiedzieć Miriam? Nie wiedziałem.

Szedłem za nią w pewnej odległości, usiłując wymyślić jakiś sensowny pozór do zbliżenia albo znaleźć określną drogę, żeby nasze spotkanie mogło ujść za przypadkowe. Dziwne, że ludzie muszą się wykazywać taką przebiegłością, żeby wyrazić swoje uczucia. Miriam jednak porusza-

ła się zbyt szybko. Skręciwszy w kierunku Sadzawek Ezechiasza, zesłała ku dzielącemu miasto długiemu sukowi, kupiła żywność w jakimś kramie, minęła dwa inne, a potem skręciła w labirynt uliczek wiodących ku targowisku w mużułmańskiej dzielnicy Bezeda, za pałacem paszy.

I tam zniknęła.

W jednej chwili szła w dół, przez via Dolorosa, ku Bramie Złotej wzniesionej na Górze, a w następnej już jej nie było. Zaskoczony przetarłem oczy. Czyżby zauważyła, że za nią idę, i postanowiła mnie zgubić? Przyspieszyłem kroku, mijając niemal biegiem pozamykane bramy, aż wreszcie dotarło do mnie, że zapuściłem się za daleko. Cofnąłem się więc i wtedy usłyszałem odgłosy szorstkiej i pospiesznej rozmowy dochodzące z dziedzińca nieopodal starego rzymskiego łuku, który niby most rozpinął się nad uliczką. Dziwne, jak dźwięk czy zapach potrafią ożywić pamięć - przysiągłbym, że głos mówiącego właśnie mężczyzny gdzieś już słyszałem.

- Gdzie on chodzi? Czego on szuka? - W jego głosie brzmiały nuty pogrózki.

- Nie wiem! - odparła przestraszona kobieta.

Minąwszy żelazną kratę, znalazłem się na mrocznym, zaśmieconym dziedzińcu obok ruin jakiejś przybudówki, w której niegdyś trzymano kozy, i zobaczyłem otaczających przestraszoną młodą kobietę czterech drabów we francuskich płaszczach i europejskiej roboty butach. Jak powiedziałem, nie nosiłem przy sobie żadnej broni poza arabskim kindzałem zatkniętym za płócienny pas. Oni jednak jeszcze mnie nie dostrzegli, miałbym więc przewagę wynikającą z zaskoczenia. Nie wyglądali, jak ludzie, których można byłoby zastraszyć, rozejrzałem się więc za lepszą bronią. „Człowiek zdany na własne środki i pomysłowość powinien uważać się za szczęściarza” - mawiał Ben Franklin. On jednak był bardziej pomysłowy od innych.

W końcu zauważyłem przewróconego kamiennego kupidyna, od dawna pozbawionego twarzy i wykastrowanego przez muzułmanów lub chrześcijan posłusznych prawom dotyczącym pogańskich penisów i fałszywych bożków. Leżał na rumowisku jak porzucona lalka.

Rzeźba miała może jedną trzecią mojego wzrostu, była dość ciężka, ale na szczęście nic jej nie przygniatało, leżała luzem. Z trudem mogłem unieść ją nad głowę. Ale uczyniłem to i odwoławszy się do miłości, cisnąłem nią w zgromadzonych jak szyszki w misce drabów. Ugodziła ich z tyłu; klnąc jak potępieńcy, zwalili się wszyscy na kupe.

- Uciekaj do domu! - krzyknąłem do Miriam. Zobaczyłem, że zdążyli już poszarpać na niej suknie.

Kiwnęła mi głową, zrobiła krok ku wyjściu z dziedzińca, ale potknęła się, gdy jeden z łotrów chwycił ją ponownie. Wydawało mi się, że dziewczyna upadnie, ona jednak kopnęła go w klejnoty tak zręcznie i szybko, że Irlandczyk tańczący gigę nie spisałby się lepiej. Usłyszałem głuchy chrzęst trafienia i drab znieruchomiał jak flaming podczas śnieżycy w Quebecu. Dziewczyna odskoczyła i śmignęła ku bramie. Dzielnia! O męskiej anatomii wiedziała więcej, niż sądziłem, i miała bardzo bystre oko.

Opryszkowie porwali się na nogi i zwrócili ku mnie, ja jednak zdążyłem podnieść kupidyna i ująłem go za głowę. Zatoczyłem nim krąg i puściłem. Dwu drabów padło ponownie, ale rzeźba się przy tym rozbiła. Tymczasem sąsiedzi, usłyszawszy zgiełk i wrzawę, podnieśli alarm. Trzeci z drabów zaczął wyjmować z pochwy ukryty jatagan - najwyraźniej przemycony jakoś przez policyjne posterunki na rogatkach miasta - skoczyłem więc na niego z moim arabskim kindżałem, zanim jego stal opuściła pochwę, i pchnąłem w pierś. Mimo rozmaitych utarczek w przeszłości nigdy przedtem nie walczyłem nożem i zdumiało mnie, jak łatwo ostrze weszło w ciało i jak niesamowity był odgłos chrzęstu głowni o żebra. Drab syknął

i odwrócił się gwałtownie, co wyrwało mi rękojeść sztyletu z dłoni. Teraz byłem już zupełnie bezbronny.

Tymczasem ten, który wypytywał Miriam, wyciągnął pistolet. Byłem pewien, że nie zaryzykuje strzału w Świętym Mieście, co pogwałciłoby wszystkie jego prawa i wzbudziło powszechny sprzeciw.

Pistolet jednak zagrzmiał, jego błysk niemal mnie oślepił i poczułem ogniste liźnięcie na skroni. Zrozumiałem, że trzeba zmiatać i to szybko. Pobiegłem w kierunku wyjścia na ulicę, ale drab skoczył za mną jak drapieżny ptak -poły jego płaszcz trzepotały jak skrzydła, a w ręce trzymał jakąś szablę. Kim, u diabła, on był? Muśnięcie kulą z pistoletu oszołomiło mnie tak, że czułem się, jakbym brnął przez lepki syrop.

Choć nie miałem broni, odwróciłem się, by stawić mu czoło, i wtedy obok mnie śmignęła jakaś długa laska, która końcem ugodziła go w miejsce, gdzie szyja łączy się z torsem. Zacharczał okropnie, a nogi wyjechały spod niego i padł na tyłek. Wytrzeszczył oczy, wciągając rozpaczliwie powietrze w obolałą krtani. Obok mnie stała Miriam, która porwawszy drąg podpierający uliczną markizę, użyła go, jakby był bojową łagą. Miałem szczęście do kobiet dysponujących najróżniejszymi umiejętnościami!

- To ty?! - wycharczał drab, gapiąc się na mnie, a nie na Miriam. - Czemu jeszcze nie zdechłeś?

A ty? - pomyślałem równie zdumiony. W nikłym oświetleniu brukowanej uliczki rozpoznałem przede wszystkim emblemat, który spod jego koszuli wydobyło pchnięcie Miriam - był to masoński cyrkiel i kwadrat z wkomponowaną wewnątrz literą G - a potem smagłą głę „inspektora celnego”, który usiłował zatrzymać mnie w dylizansie do Tulonu podczas mojej zeszłorocznej ucieczki z Paryża. Chciał odebrać mi medalion i postrzeliłem go z mojej rusznicy, podczas gdy Sidney Smith zastrzelił drugiego z drabów, zjawiwszy się z niespodziewaną pomocą. Tego

zostawiłem na gościńcu wyjącego z bólu, ale nie miałem pewności, czy rana jest śmiertelna. Najwidoczniej nie była. Co on, u diabła, robił w Jerozolimie i czemu był po zęby uzbrojony?

Wiedziałem oczywiście, wiedziałem z przerażającą pewnością, że miał ten sam cel co ja - szukał sekretów starożytnych. Miałem przed sobą sojusznika Silana, który nie zrezygnował. „Celnik” szukał tu Księgi Tota. I najwyraźniej mnie samego.

Zanim jednak zdążyłem coś powiedzieć czy zrobić, opryszek z trudem wstał, ale na odgłos wrzasków sąsiadów i okrzyków zbliżających się strażników, ciężko charcząc rzucił się do ucieczki.

My pognaliśmy w przeciwnym kierunku.

Gdy wracaliśmy do domu Jerycha, Miriam drżała, choć trzymałem ją pod ramię. Nigdy nie doszło pomiędzy nami do fizycznych zbliżeń, teraz jednak oboje instynktownie tuliliśmy się do siebie. Skorzystałem z okrzężnych uliczek, które poznałem podczas moich poprzednich wędrówek po Jerozolimie; oglądając się za siebie, widziałem jednak tylko śmigające pod ścianami szczury. Żeby dotrzeć do domu Jerycha, trzeba było piąć się pod górę - to miasto w żadnej części nie było płaskie, a dzielnica chrześcijańska leżała wyżej od siedzib muzułmanów, po chwili więc przystanęliśmy, żeby złapać oddech, ja zaś musiałem się upewnić, że mój obolały łeb prowadzi mnie we właściwym kierunku.

-Bardzo mi przykro - zwróciłem się do dziewczyny. - Te draby nic do ciebie nie miały, chodziło im o mnie.

- Kim są ci ludzie?

- Ten, co do mnie strzelał, to Francuz. Widziałem go już wcześniej.

- Gdzie go widziałeś?

- We Francji. Właściwie to go postrzeliłem.

- Ethanie!

- Usiłował mnie obrabować. Szkoda, że go wtedy nie zabiłem.

Spojrzała, jakby zobaczyła mnie po raz pierwszy.

-Nie chodziło o pieniądze, ale o coś znacznie bardziej ważnego. Nie powiedziałem tobie i twojemu bratu wszystkiego.

Dziewczyna otworzyła usta.

- Myślę, że nadszedł czas, żeby to uczynić - dodałem. -I ta kobieta, Astiza, była częścią tej tajemnicy? - zapytała łagodnie.

- Owszem.

- Kim ona była?

-Badaczką starożytnych tajemnic. Właściwie to kapłanką, ale służyła bardzo, bardzo starej egipskiej bogini. Izydzie, jeśli kiedykolwiek o niej słyszałaś.

- Czarna Madonna... - wyszeptwała.

-Kto?

-Dawno temu ludzie wielbili posągi Dziewicy wyrzeźbione w czarnym kamieniu. Niektórzy uznawali to za odmianę sztuki chrześcijańskiej, inni jednak uważali, że to kontynuacja kultu Izydy. Biała i Czarna Madonna.

Ciekawe. Podczas moich poszukiwań w Egipcie nieustannie natykałem się na wzmianki o Izydzie. I oto okazuje się, że ta spokojna, łagodna kobieta, pobożna chrześcijanka, też coś wie o pogańskiej bogini. Nigdy nie słyszałem o bóstwie, na które można byłoby się natknąć równie często.

- Ale dlaczego czerń i biel? - Przypomniałem sobie wzory szachownic w łóżach paryskich masonów, kiedy starałem się wejść w to środowisko. I bliźniacze kolumny, czarną i białą, które flankowały ołtarz łoży.

- Bo *to* podobieństwo nocy i dnia - odpowiedziała Miriam. - Naturą rzeczy jest dwoistość, a jest to nauka płynąca z bardzo odległej przeszłości, zanim położono podwali-

ny pod Jerozolimę i zanim zjawił się w niej Jezus. Mężczyzna i kobieta. Zło i dobro, góra i dolina. Sen i jawa. Nasza świadomość i nieświadomość. Wszechświat jest polem gry przeciwieństw, które muszą się zespolić w jedność.

- To samo słyszałem od Astizy.

Skinęła głową.

- Ten człowiek, który do ciebie strzelał, miał medal wyrażający tę właśnie ideę, prawda?

-Mówisz o tym masońskim symbolu nakładających się na siebie cyrkla i kwadratu? Widywałam go w Anglii. Cyrkiel kreśli okrąg, a ciesielska przykładnica tworzy kwadrat. Znów dualizm. A na „G” w angielskim rozpoczyna się słowo oznaczające Boga, „gnosis” zaś to po grecku wiedza.

- Heretycki ryt egipski powstał w Anglii - powiedziałem.

- Czego więc chcieli ci ludzie?

- Tego samego, czego szukam ja. Szukaliśmy tego z Astizą. Mogli ją ująć, żeby wykorzystać przeciwko mnie jako zakładniczkę.

Wciąż jeszcze drżała.

- Ten człowiek miał palce jak szpony.

Poczułem się winny - mimowolnie wciągnąłem dziewczynę w awanturę. To, co było poszukiwaniem skarbu, przekształciło się w sprawę wielce niebezpieczną.

- Musimy się pospieszyć, żeby odkryć prawdę przed nimi. Będę potrzebował pomocy Jerycha.

Ujęła mnie pod ramię.

- No to chodźmy.

- Poczekaj. - Ponownie pociągnąłem ją w mrok. Poczułem, że niedawne przejścia zbliżyły nas na tyle, bym mógł zadać osobiste pytanie. - Ty też kogoś straciłaś, prawda?

- Proszę, pospieszmy się! - rzuciła niecierpliwie.

- Widziałem to w twoich oczach, kiedy tamten posłaniec rzekł mi, że nigdzie nie natrafiono na ślad Astizy. Za-

stanawiałem się, dlaczego nie masz męża lub narzeczonego. Jesteś bardzo ładna. Ale... był ktoś, prawda?

Zawahła się, ale przeżyte przed chwilą niebezpieczeństwo przełamało i jej rezerwę.

- Poprzez Jerycha poznałam pewnego człowieka, który był czeladnikiem kowalskim w Nazarecie. Zaręczyliśmy się w tajemnicy, ponieważ mojego brata dręczyła zazdrość. Jako sieroty Jerycho i ja byliśmy sobie bardzo bliscy i starający się o moje względy chłopcy bardzo go irytowali. Odkrył wszystko i mocno się posprzeczaaliśmy, ale zdecydowałam się poślubić ukochanego. Zanim jednak zdążyliśmy cokolwiek zrobić, mojego narzeczonego Turcy wzięli do wojska. Odesłano go do Egiptu i nigdy nie wrócił. Poległ w bitwie pod Piramidami.

Ja oczywiście byłem wtedy po przeciwnej stronie i obserwowałem rzeź, jaką wrogom urządzili Europejczycy.

- Ogromnie mi przykro - powiedziałem bezradnie.

- To była wojna. Wojna i los. A teraz Bonaparte zamierza przyjść tutaj... - Wzdrygnęła się. - Ta twoja tajemnica... czy ona może pomóc?

- W czym?

- W powstrzymaniu gwałtów i zabijania. W odzyskaniu przez to miasto dawnej świętości...

Cóż, to było bardzo dobre pytanie, nieprawdaż? Astiza i jej zwolennicy wcale nie byli pewni, czy mogą użyć tajemniczej Księgi Tota dla zwycięstwa dobrej sprawy lub po prostu zadbać o to, żeby Księga nie wpadła w ręce ludzi, którzy mogliby z niej zrobić zły użytek.

- Wiem tylko, że będzie bardzo niedobrze, jeżeli pierwszy odkryje ją drań, który do nas strzelał. - I po tych słowach ją pocałowałem.

Był to kradziony pocałunek; wykorzystałem nasze zmieszanie i zamęt uczuć po niedawnej walce, ona jednak nie odepchnęła mnie natychmiast, choć na udzie musiała wyczuć twardość mojego podniecenia. Nie umiałem

go ukryć, pobudziło mnie przeżyte niebezpieczeństwo i bliskość kobiety. Ona jednak nie wzięła mi tego za złe, co powiedziała mi hamowana namiętność, z jaką oddała mi pocałunek. Po chwili oderwaliśmy się od siebie i Miriam westchnęła.

Żeby powstrzymać mnie od ponownego porwania jej w ramiona, zerknęła na moją skroń.

-Ty krwawisz! - Powiedziała to, żeby nie mówić o tym, cośmy przed chwilą zrobili.

Istotnie, moja skroń była ciepła i wilgotna, potężnie też bolał mnie łeb.

- To tylko draśnięcie - powiedziałem znacznie bardziej dziarsko, niż się czułem. - Chodźmy pomówić z twoim bratem...

- Skończmy lepiej tę twoją rusznicę - powiedział Jerycho, gdy wszystko (prawie) mu zrelacjonowałem.

- Wspaniały pomysł. Mógłbyś mi również wykuć tomahawk. Ooouuú! - Miriam bandażowała mi ranę. Trochę bolało, ale jej mocne palce dotykały mojej głowy z niezwykle delikatnością. Kula z pistoletu tylko mnie musnęła, ale myśl, że uniknąłem śmierci dosłownie o włos, była bardzo niepokojąca. Prawdę rzekłszy, przyjemność sprawiało mi też to, że ktoś się mną tak zajmuje. W ciągu minionej godziny dotykałem kobiety częściej niż podczas kilku minionych miesięcy. - Te toporki są niezwykle użyteczne, a ja swój straciłem. A przyda nam się każda broń.

- Będziemy musieli wystawić warty na wypadek, gdyby te lotry się tu pokazały. Miriam, nie wolno ci opuszczać domu.

Dziewczyna otworzyła usta - i zamknęła je bez słowa.

Jerycho tymczasem krążył po pokoju.

- Mam pomysł, jak udoskonalić twoją broń, jeśli rzeczywiście będzie tak precyzyjna, jak twierdziłeś. Mówiłeś,

że niełatwo ci skupić wzrok na celu, jeżeli znajduje się daleko?

- Kiedyś mierzyłem do człowieka i trafiłem w jego wielbłąda.

- Zauważyłem, że oglądasz miasto przez twoją lunetkę. A gdyby tak użyć jej do poprawiania celności twojej rusznicy?

- Ale w jaki sposób?

- Mocując ją na lufie.

Pomysł wydał mi się absolutnie idiotyczny. Cięższa broń stałaby się znacznie mniej poręczna i utrudniłoby to ładowanie. Musiał to być głupi pomysł, ponieważ nikt tego do tej pory nie zrobił. Ale... odległe cele w istocie mógłbym widzieć znacznie wyraźniej. „Czy to będzie działało?” Franklin oczywiście byłby tym problemem zafascynowany. Nieznane dziedziny wiedzy i umiejętności, odstrasżające innych ludzi, wabiły go z mocą śpiewu syren.

-Nie zaszkodzi spróbować. I będą nam potrzebni sprzymierzeńcy, jeżeli ci ludzie wciąż jeszcze są w mieście. Myślisz, że zabiłeś jednego z nich?

- Pchnąłem go nożem. Kto wie? Strzelałem do ich herszta we Francji i oto jest tutaj, żywy i pełen wigoru. Miewam kłopoty ze skutecznością w zabijaniu ludzi. - Mówiąc to, myślałem o hrabim Silano i Achmedzie bin Sadrze w Egipcie, którzy zajadle mnie ścigali, choć sądziłem, że się już ich pozbył.

-Zamierzam powiadomić sir Sidneya - odezwał się Jerycho.
- Obecność francuskich agentów w Jerozolimie może być na tyle ważna, by przysłać nam pomoc. Ale Miriam powiedziała, że wszystko to ma jakiś związek z tym skarbem, który mi obiecujesz. O co dokładnie chodzi?

Nadszedł czas zaufać im.

-Tu, w Jerozolimie, może być ukryte coś, co zmieni przebieg całej wojny. Szukaliśmy tego w Egipcie, ale ostatecznie doszliśmy do wniosku, że przedmiot ów musiał

trafić do Izraela. Za każdym razem, kiedy znajduję schody lub drabinę wiodące w dół, kończą się ślepo. To miasto jest jak sterta śmieci. To, czego szukam, być może zresztą zostało już zniszczone. Ale Francuzi, jak widać, szukają tego samego.

- Pytali o ciebie - przypomniała mi Miriam.

- Owszem. Ciekawi mnie, jak odkryli moją obecność? Skąd się dowiedzieli, że tu jestem? Egipt i Francja są dość daleko. Jerycho, czy nie mogło być tak, że ludzie wypytyjący dla mnie o Astizę, zdradzili, świadomie lub nie, tamtym miejsce mojego pobytu?

- Nie powinni... Ale czekajże! Czym jest ten skarb, którego szukasz?

Nabrałem tchu w piersi.

- To Księga Tota.

- Księga? - Jerycho wyraźnie był rozczarowany. - Mówiłeś, że to skarb! Spędziłem zimę, robiąc rusznicę do poszukiwań księgi?

- Jerycho, księgi mają moc. Pomyśl o Biblii lub Koranie. A ta księga jest inna... to księga mądrości, mocy i... magii.

- Magii... - powtórzył bezbarwnym głosem.

- Nie musisz mi wierzyć. Wiem tylko, że rozmaici ludzie do mnie strzelali, rzucali mi węże na posłanie, ścigali mnie łodzią i na grzbiecie wielbłądów, żeby tylko znaleźć tę Księgę... a raczej odebrać mi medalion wskazujący miejsce, gdzie tę Księgę przechowywano. Okazało się też, że jest kluczem otwierającym sekretne wejście do Wielkiej Piramidy, i weszliśmy tam z Astizą. Znaleźliśmy podziemne jezioro z wysepką pełną niezmiernych skarbów. Był tam też marmurowy pawilon i złota skrzynia, w której przechowywano Księgę Tota.

- Więc już masz ten skarb?

- Nie. Jediną drogą wyjścia spod piramidy było przepłynięcie nurtem podziemnego strumienia ujętego w tu-

nel. Ciężar złota i klejnotów byłby mnie utopił. Wszystko musiałem porzucić. Ale Żydzi w Jerozolimie mogli ukryć inny skarb.

Patrzył na mnie tak samo sceptycznie jak Madame Durrell w Paryżu, kiedy jej tłumaczyłem opóźnienia w opłacie czynszu.

- A szkatułka na Księgę była pusta. Znaleźliśmy jedynie opartą o kolumnę obok niej pasterską laskę. Astiza przekonała mnie, że ta laska należała do człowieka, który skradł stamtąd Księgę, i że tym człowiekiem musiał być... - Zawahałem się, wiedząc, że to, co powiem, za brzmi głupio.

-Kto?

- Mojżesz.

Przez chwilę Jerycho tylko mrugał, ale zaraz parsknął urągliwym śmiechem.

- No tak! Dałem goścień szaleńcowi! Czy Sidney Smith wie, że jesteś wariatem?

- Nie powiedziałem mu wszystkiego i nie powiedziałbym tobie, gdybym nie natknął się na tego Francuza. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale drań jest jakoś powiązany z moim największym wrogiem, hrabią Silano. Co oznacza, że nie mamy za wiele czasu. Musimy znaleźć Księgę przed nim.

- Tę, którą ukradł Mojżesz?

- A czy to takie niemożliwe? Egipski książę ogarnięty gniewem zabija nadzorcę niewolników, a potem, po rozmowie z płonącym krzakiem, wraca, żądając uwolnienia hebrajskich niewolników. W to wszystko wierzysz, prawda? I oto nagle Mojżesz dysponuje mocami, które pozwalają mu zsyłać na Egipt plagi, rozdzielać wody i karmić Izraelitów na pustkowiach Synaju. Większość ludzi uznaje to za cuda, dar od Boga, ale być może on po prostu znalazł instrukcje mówiące, jak to robić. Tak właśnie uważała Astiza. Jako egipski książę wiedział, jak wejść do piramidy

i jak z niej wyjść. Piramida była tylko zwodniczą budowlą, która miała chronić Księgę przed niegodnymi. Mojżesz ją zabiera, a gdy faraon to odkrywa, na czele sześciuset bojowych rydwanów puszcza się w pogoń za Mojżeszem i Hebrajczykami... ale ginie w falach Morza Czerwonego. Później to plemię niedawnych niewolników dociera do Ziemi Obiecanej i zaczyna ją odbijać z rąk cywilizowanych, osiadłych tam mieszkańców. Jak to możliwe? Zrobili to z pomocą tajemniczych mocy Arki Przymierza czy może dzięki księdze starożytnych mądrości? Wiem, że to nieprawdopodobne, ale ci Francuzi uznali to za możliwe. Gdyby było inaczej, czemuż ci ludzie mieliby napastować twoją siostrę? Cała ta hucpa jest równie realna jak skaleczenia na jej ramionach i barkach.

Kowal spojrział na mnie, bębniąc palcami.

- Jesteś szalony. Zdesperowany
potrzęsnałem głową.

- To skąd wziąłbym te figurki?

Sięgnąwszy pod szatę, wyjąłem dwa złote serafiny, każdy długi na cztery cale. Miriam westchnęła szybko, a Jerycho wybałuszył oczy. Wiedziałem, że zdumiewa ich nie tylko lśnienie złota, wciąż żywe po tysiącach lat. Te dwa kłęczące anioły z wyciągniętymi ku sobie skrzydłami były miniaturowym modelem tych, które kiedyś zdobiły pokrywę Arki Przymierza. Nie był to jakiś groszowy bibelot, jaki mogłem kupić u pierwszego lepszego złotnika. Robota była zbyt dobra, a ciężar zbyt duży.

- Pewien stary człowiek, którego spotkałem w drodze, nazwał je kompasem - ciągnąłem. - Nie mam pojęcia, co miał na myśli. Nie wiem, czy moje spekulacje są prawidłowe. Od czasu mojej zeszlórocznej ucieczki z Paryża posiłkowałem się nauką i wiarą. Ale piramidy zbudowano według metod zaawansowanej matematyki, której prymitywni ludzie nie mogli znać. I gdzie naprawdę zrodziła się cywilizacja? W Egipcie pojawiła się już w pełni ukształto-

wana. Legenda mówi, że ludzką znajomość zasad architektury, pisma, medycyny i astronomii należy przypisać istocie zwanej Totem, która stała się egipskim bogiem, pośrednikiem greckiego Hermesa. Tot przypuszczalnie napisał księgę mądrości, która daje dostęp do ogromnej mocy, ale ta może być użyta do złego i dobrego. Egipcjy faraonowie, zdając sobie z tego sprawę, ukryli ją pod Wielką Piramidą. Ale jeżeli ukradł ją Mojżesz, to Księga mogła... nie, musiała... zostać przyniesiona przez Żydów tutaj.

- Mojżesz nawet nie dotarł do Ziemi Obiecanej - sprzeciwiła się Miriam. - Umarł na górze Nebo, spoglądając poza rzekę Jordan. Bóg nie dał mu wejść.

- Ale wkroczyli do niej jego następcy z Arką. Czy Księga nie mogła być częścią Arki albo ją w niej ukryto? A jeżeli to właśnie była tajemnica świątyni Salomona? Może przetrwała zniszczenie pierwszej świątyni, które było dziełem Nabuchodonozora i Babilończyków, a potem i drugiej, co stało się za rzymskiego wodza Tytusa. I może wciąż jeszcze tu jest i czeka, aż ktoś ją odnajdzie. Co będzie, jeżeli odnajdzie ją Napoleon, który marzy o tym, żeby zostać drugim Aleksandrem? A może znajdą ją poplecznicy hrabiego Alessandra Silano, którzy chcą ją zagarnąć dla siebie i tej zionącej zepsuciem łoży rytu egipskiego? Być może Silano przeżył upadek z mojego balonu, choć Asti-za go nie przeżyła. Ta Księga może zachwiać równowagą świata. Trzeba ją znaleźć i zabezpieczyć, a jeżeli stanie się najgorsze... zniszczyć. Mówię tylko, że musimy zajrzeć w każde miejsce, gdzie mogła zostać ukryta, zanim to zrobią Francuzi!

- Mieszkasz w moim domu, pracujesz w mojej kuźni i dopiero teraz mi to wszystko mówisz? - Jerycho był porzytowany, ale patrzył na mojego serafina z niekłamaną ciekawością.

- Usiłowałem tylko trzymać ciebie i Miriam z dala od tych spraw. To nie przywilej, tylko koszmar. Ale wróćmy

do tematu. Jeżeli znasz te podziemne tunele, powinieneś pomóc mi je znaleźć. Francuzi nie zrezygnują. To wyścieg.

- Jestem kowalem, nie poszukiwaczem.

- A ja jestem zwykłym przedstawicielem handlowym, który został wciągnięty w wir obcych mu wojen. Jerycho, do pewnych rzeczy bywamy niekiedy powoływani. Zostałeś powołany, żeby mi pomóc.

- W znalezieniu księgi Mojżesza?

- Nie Mojżesza. Tota.

- Aaa... mam ci pomóc w znalezieniu księgi napisanej przez mitycznego boga, fałszywego bożka.

- Nie! Mamy przeszkodzić złym ludziom, masońskim renegatom z łoży rytu egipskiego, w zaprzęgnięciu jej mocy w służbę zła! - Moja irytacja rosła, ponieważ wiedziałem, że to, co mówię, brzmi jak stek bredni.

- Jakiego znów rytu egipskiego?

- Bracie, przypomnij sobie, co mówiono o nich w Anglii - odezwała się Miriam. - To tajne towarzystwo oddane mrocznym praktykom. Inni masoni unikali ich i nimi gardzili.

-Owszem, to prawda - przytaknąłem. - I podejrzewam, że człowiek, który napadł na twoją siostrę, jest jednym z nich.

-Ale ja param się ogniem i żelazem - zaprotestował Jerycho.

- To rzeczy uchwytnie, namacalne. Nie wiem niczego o dawnej Jerozolimie ani ukrytych tunelach, zaginionych księgach i masonach renegatach!

Skrzywiłem się. Jak go zwerbować?

- Ale wiesz przecież, że w tym mieście jest uczonego, który badał starożytne przejścia - wtrąciła Miriam.

- Chyba nie myślisz o tym lichwiarzu!

- Bracie, on jest badaczem przeszłości.

- Mówicie o jakimś historyku? - wtrąciłem się. Przypomniałem sobie Enocha, który pomagał mi w Egipcie.

-On jest raczej okaleczonym poborcą podatków, ale

o przeszłości Jerozolimy wie więcej niż ktokolwiek inny - niechętnie przyznał Jerycho. - Miriam się z nim zaprzyjaźniła. Potrzebne nam będą latarnie, oskardy, pomoc Sidneya Smitha... i rada Chaima Farhiego.

-1 kimże on jest? - zapytałem radośnie, ucieszony deklaracją pomocy kowala.

- Człowiekiem, który wie więcej niż ktokolwiek o innych poszukiwaczach skarbów, na przykład chrześcijańskich rycerzach, którzy mogli dotrzeć do celu przed tobą.

ROZDZIAŁ 7

Spodziewałem się, że Chaim Farhi będzie miał arystotelejską powagę i godność Enocha, egipskiego antykwarium zabitego przez moich wrogów. Ujrawszy go jednak, z trudem powstrzymałem okrzyk zdumienia i musiałem się odwrócić, żeby ukryć wytrzeszcz oczu. Przyczyną nie było nawet to, że ten niewysoki, chudy Żyd w średnim wieku z długimi pejsami, obleczony w powłóczysty, ciemny chałat nie miał majestatu Enocha. Był po prostu okaleczony tak, że nigdy wcześniej nie widziałem człowieka o bardziej przerażającym wyglądzie. Obcięto mu część nosa, zostawiając jakby świński ryj. Brakowało mu prawego ucha. Wyłupiono mu też prawe oko, zostawiając kiepsko zarośniętą bliznę.

- Na Boga! Co mu zrobiono? - zapytałem szeptem Jerycha, gdy Miriam pomagała gościowi zdjąć płaszcz.

-Rozgniewał Dżezara Rzeźnika - odparł kowal spokojnie. - Nie okazuj współczucia czy litości. On traktuje te blizny jak oznaki honorowego wyróżnienia. Jest jednym z najbardziej wpływowych bankierów w Palestynie, a Dżezar darzy go zaufaniem, bo Chaim pozostał mu wierny mimo tych okaleczeń.

- Ludzie korzystają z jego usług? Powierzają mu swoje oszczędności i zaciągają u niego pożyczki?

- Okaleczono mu twarz, nie umysł.

- Rabbi Chaim jest jednym z najwybitniejszych historyków prowincji - odezwała się głośniejszym głosem Miriam, gdy oboje

szli ku nam, odgadłszy widać powód moich gorączkowych szeptów z Jerychem. - Jest także badaczem żydowskich tajemnic. Każdy, kto zajmuje się przeszłością, mądrze robi, szukając jego rady.

- Chętnie więc przyjmę jego pomoc - odpowiedziałem dyplomatycznie, usiłując nie gapić się na okaleczenia gościa.

- A mnie cieszy twoja tolerancja - odparł spokojnie Farhi. - Wiem, co czują patrzący na mnie ludzie. Moje okaleczenia odbijają się w oczach każdego napotkanego i cofającego się z przestachem dziecka. Ale ta izolacja daje mi też czas na badanie legend związanych z tym miastem. Jerycho powiedział mi, że szukasz zaginionych tajemnic, mogących mieć strategiczne znaczenie, czy tak?

- Możliwe.

- Możliwe? Dajże spokój, cudzoziemcze, jeżeli chcemy pracować skutecznie, musimy sobie zaufać.

Uczono mnie, żeby nikomu nie ufać za bardzo, ale nic nie powiedziałem.

- To, czego szukasz, może mieć jakiś związek z Arką Przymierza - nie poddawał się Farhi. - A może tak nie jest?

-Jest - odpowiedziałem. Widocznie o wszystkim opowiedział mu już Jerycho.

-Mogę zrozumieć, dlaczego odbyłeś tak daleką podróż, płonąć takim podnieceniem. A jednak muszę cię ostrzec, że może spóźniłeś się o siedemset lat. Byli tu już przybysze, którzy szukali tego samego co ty.

- Chcesz mi powiedzieć, że choć bardzo się starali, niczego nie znaleźli?

- Przeciwnie. Zamierzam ci powiedzieć, że być może znaleźli to, czego szukasz. A jeżeli nie znaleźli, to możliwe, że i tobie się nie powiedzie. Szukali przez wiele lat, a Jerycho mi powiedział, że ty w najlepszym razie masz kilka dni.

Co ten okaleczony wiedział?

- Właściwie co oni znaleźli?

- Ciekawe, że uczeni wciąż się spierają. Grupa chrześcijańskich rycerzy wróciła z Jerozolimy, dysponując potęgą, której pochodzenia nikt nie umie wyjaśnić, a jednak okazali się bezradni wobec zdrady. Czy więc coś znaleźli? A może ich poszukiwania były daremne?

- To bajki - skrzywił się Jerycho.

- Ale oparte na historii, braciszku - odezwała się łagodnie Miriam.

-Opowieści o tunelach są zbutwiałymi już legendami - upierał się Jerycho.

- A czymże jest legenda, jeśli nie echem prawdy? - od powiedziała mu siostra.

Powiodłem spojrzeniem po całej trójce. Tego rodzaju spory musieli prowadzić już wcześniej.

- O jakich legendach mówicie?

- Naszymi przodkami byli Rycerze Świątyni - stwierdziła Miriam. - Ich pełne miano brzmiało Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona. Nie wszyscy wojowniczy mnisi zachowali celibat i nasza rodzinna tradycja głosi, że mamy w sobie ich krew. Szukali tego samego co ty i niektórzy uważają, że to znaleźli.

- Tak uważają?

- To ciekawa historia - wtrącił się Farhi. - Powiedziano mi, że mieszkałeś w Paryżu, mości Gage? A czy znasz Szampanię... region Francji na wschód od Paryża i na północ od Troyes?

- Przejeżdżałem przez nią i lubię jej produkty.

- Ponad trzysta lat temu stoczono tam jedną z najbardziej krwawych bitew w historii. Ostatni Rzymianie pokonali Attyłę, wielkiego Huna.

- Mówisz o Polach Katalaunijskich - odpowiedziałem rad, że Franklin raz czy dwa wspominał o tej starej bitwie. Przepadał za najrozmaitszymi historiami i czytał grube

księgi historyczne napisane przez Anglika, niejakiego Edwarda Gibbona.

-Attyła w tym starciu miał pochodzący z zamierzchłych czasów tajemniczy stary miecz, któremu przypisywano niezwykle moce. Przez pokolenia Franków, którzy zasiedlili Szampanię, aż do naszych czasów dotrwały legendy o takich czarach i wierzenia, że na tym świecie istnieją większe moce niż moc mięśni i stali. Niektórzy uważali, że nasz świat to coś więcej niż tylko materia, której można dotknąć czy zobaczyć. Jednym z tych, którzy słyszeli te opowieści, był święty Bernard z Clairvaux.

To imię zabrzmiało mi w uszach jak dźwięk dzwonu. Przypomniałem sobie, że właśnie na tego człowieka powołał się francuski uczoney Jomard, kiedy po raz pierwszy wspięliśmy się na Wielką Piramidę.

- Czekajże, słyszałem o nim. Powiedział coś o tym, że Bóg jest wysokością i szerokością... znaczy, *wymiarami*. I że może wcielać boskie wymiary w święte budowle.

- Tak. Czymże jest Bóg? On jest długością, szerokością, wysokością i głębokością, powiedział ów święty. I potężny rycerz Andre de Montbard, stryj Bernarda, tak samo jak Bernard uważał, że starożytni wiedzący takie rzeczy mogli na Wschodzie ukryć niezwykle sekrety dające wielką moc. Te sekrety zostały, być może, zakopane pod świątynią Salomona wzniesioną na Górze Świątynnej niedaleko stąd.

- Wolnomularze wierzą w to do dzisiaj - powiedziałem, przypomniawszy sobie swojego martwego już przyjaciela, dziennikarza Talmę, i jego entuzjastyczne teorie.

- Stryj Bernarda, Montbard - ciągnął Farhi - był jednym z dziewięciu rycerzy, którzy w tysiąc sto dziewiętnastym roku przybyli do Ziemi Świętej ze szczególną misją. Jerozolima była już wtedy zajęta przez krzyżowców i tych dziewięciu przybyło do miasta, prosząc o pozwolenie założenia nowego zakonu mnichów wojowników,

których nazywano templariuszami. Od samego początku ich zamierzenia okrywała tajemnica. Ofiarowali się, że będą bronić pielgrzymów zmierzających do Jerozolimy, ale ci ludzie z Szampanii początkowo nie prowadzili żadnej rekrutacji i rzadko patrolowali drogi poza Jerozolimą. Zamiast tego uzyskali od króla Baldwina Drugiego nadzwyczajne przywileje, które dawały im prawo założenia siedziby w meczecie Al-Aksa, na południowym krańcu Góry Świątynnej.

-Dziwięciu rycerzy przybyło osiedlić się na Górze Świątynnej?

Farhi kiwnął głową, mierząc mnie baczным spojrzeniem swojego jedyne go oka.

- Ciekawe, nieprawdaż?

- Ale co ci templariusze mieli wspólnego z Mojżeszem i Arką?

- Tu wkraczamy w sferę spekulacji i domysłów -stwierdził gość. - Mówi się o tym, że przebili tunele do fundamentów dawnej świątyni Salomona i znaleźli... coś. Następnie wrócili do Europy, otrzymali nadzwyczajne przywileje od papieża i stali się pierwszymi bankierami Europy oraz najpotężniejszym rycerskim zakonem na kontynencie. Z całej Europy napływali ochotnicy do służby w zakonie. Zdobyli niezmierzone bogactwa, przed Rycerzami Świątyni drżały koronowane głowy. A potem, podczas jednej nocy pełnej grozy, w piątek, trzynastego października tysiąc trzysta siódmego roku przywódcy zakonu zostali aresztowani w jednej wielkiej czystce, jaką zarządził król Francji. Setki z nich poddano torturom i spalono na stosach. Razem z nimi przepadły sekrety dotyczące ich znalezisk w Jerozolimie. I tu zaczynają się spekulacje: jak to się stało, że tajemniczy zakon rycerski tak szybko zdobył ogromne bogactwa i wpływy, a potem równie szybko runął w nicość.

- Sądzi sz, że znaleźli Arkę?

- Nikt nigdy nie wpadł na jej najbardziej nikły ślad.
- Wkrótce potem - dodała Miriam - zaczęto śpiewać pieśni o rycerzach poszukujących Świętego Graala.
- Kielicha z Ostatniej Wieczery - stwierdziłem.
- Owszem, to jedna z historii - zgodził się Farhi. - Ale Graala opisywano też w rozmaitych relacjach jako kocioł, talerz, kamień, miecz, włócznię, rybę, stół... i nawet sekretną księgę... - Mówiąc to, rzucił mi baczne spojrzenie.
- Księga Tota!
- Aż do tej pory nie wymieniłem jej nazwy. A jednak historia, jaką opowiedziałeś Miriam i Jerychowi, panie, jest bardzo intrygująca. Czy wiesz, że Tot był pierwowzorem greckiego boga Hermesa?
- Owszem, dowiedziałem się o tym w Egipcie.
- W poemacie o Parsifalu, ukończonym w roku tysiąc dwieście dziesiątym, bohater szuka rady mądrego pustelnika o imieniu Trevrizent. Czy coś ci to mówi?
- Potrzęsnałem głową.
- Niektórzy uczeni sądzą, że to imię pochodzi od staro francuskiego *treble escient*.
- Teraz poczułem ogarniającą mnie falę gorąca.
- Trzykroć Największy! To właśnie znaczy greckie imię Trismegistos! Hermes Trzykroć Największy, mistrz wiedzy, który z kolei jest egipskim bogiem Totem!
- Owszem. Trzykrotnie Wielki, Pierwszy Umysł, stwórciel cywilizacji. Był pierwszym wielkim autorem, którego my, Żydzi, znamy pod imieniem Enocha.
- Enoch był moim nauczycielem w Egipcie.
- Nie dziwi mnie to. Wróćmy do templariuszy. Gdy zostali pojmani, oskarżono ich o herezję. Zarzucono im uprawianie odrażających obrzędów i oddawanie czci tajemniczemu bożkowi zwanemu Bafometem. Czyś kiedykolwiek o nim słyszał, panie?
- Nie.
- Przedstawia się go jako koziołowego demona lub

czarta. A jednak jego imię jest dość interesujące. Gdyby pochodziło z Jerozolimy, mogłoby być zniekształconym arabskim słowem *abu fihamat*, które wymawia się „bufi hi-mat”. Znaczy to „ojciec mądrości”. Kimże więc był dla ludzi, którzy sami siebie nazywali Rycerzami Świątyni?

- Królem Salomonem - odparłem po krótkim namyśle.

- Owszem. Związek pozostaje. Starożytni Żydzi mieli też zwyczaj, wymuszony przez obcą okupację, zapisywania niekiedy pewnych informacji w postaci zaszyfrowanej za pomocą kodów cyfrowych. W kodzie Atbash każda litera hebrajskiego alfabetu jest przedstawiana za pomocą innej litery. Pierwsza staje się ostatnią, druga drugą od końca i tak dalej. Jeżeli wymówisz „Bafomet” po hebraj-sku, a potem przełożysz to na kod Atbash, otrzymasz słowo *sophia*, czyli po grecku mądrość.

- Bafomet, Salomon, Sophia... Czyli rycerze czcili mądrość, nie żadnego demona.

- To moja teoria - odparł skromnie Farhi.

- Więc dlaczego ich prześladowano?

- Ponieważ król Francji bał się templariuszy i ich potęgę. Jakież byłby lepszy sposób na pozbycie się wrogów niż oskarżenie ich o herezję i bałwochwalstwo?

- Rycerze mogli poświęcać się też czemuś bardziej konkretnemu - odezwała się Miriam. - Czy nie powiedziałaś nam, Ethanie, że słowo *tot* ma takie samo brzmienie, jak *thought*, angielski wyraz oznaczający myśl?

-Tak.

- Więc ten łańcuch jest jeszcze dłuższy. Bafomet jest Ojcem Mądrości, Salomonem, Sophią... ale może też być myślą, Totem, waszym pierwotnym bogiem wszystkich nauk.

Ta koncepcja mnie oszołomiła. Czyżby templariusze, których uważa się za przodków moich własnych masonskich loży, znali to starożytne egipskie bóstwo? Czyżby je

wielbili? Czy naprawdę wszystkie te niedorzeczności jakoś się łączyły, ciągnąc się od masonów do templariuszy, od nich do Greków i dalej do Rzymian, Żydów aż po starożytny Egipt? Czyżby jakaś tajna nić historii biegła równolegle do znanej, przez dzieje całego świata?

- A w jaki sposób Salomon doszedł do swej mądrości? - zapytał Jerycho. - Jeżeli ta księga istniała naprawdę, a on miał ją w swojej świątyni...

- Krążyły pogłoski, że Salomon miał moc wzywania demonów na swoje usługi - powiedziała Miriam. - Wszystkie się zresztą ze sobą wiążą. Pobożni ludzie szukali jedynie wiedzy, wiedza ta jednak była niebezpieczna, bo można było jej użyć do złego i dobrego. Czy sama w sobie jest zła czy dobra? Przypomnijcie sobie historię o raju i drzewie wiadomości dobrego i złego. Spory trwają, odkąd ludzie zaczęli myśleć.

Możliwości te zbiły mnie z tropu i przynębiły.

- Uważacie, że templariusze znaleźli już tę Księgę?

- Jeżeli tak, to mogli ją stracić w zamęcie, który nastąpił po aresztowaniach - stwierdził Farhi. - Twój Graal może być już tylko kupką popiołów albo mógł trafić w inne ręce. Ale po templariuszach nie pojawiła się już na świecie żadna nowa potęga. Żadne inne rycerskie bractwo im nie dorównało wpływami ani nie rozprzestrzeniło się po całej Europie. A gdy Jakub de Molay, ostatni wielki mistrz templariuszy, stanął na stosie za odmowę zdradzenia tajemnic zakonu, spomiędzy płomieni rzucił przekleństwo na króla Francji i papieża, przepowiadając, że rok nie minie, a oni obaj spoczną w grobie. I tak się stało. Czy znaleziona Księga miała z tym coś wspólnego? Zgubiono ją? A może...

- .. ponownie ukryto - podsunęła Miriam.

- W Świątyni na Górze! - zawołałem.

- Możliwe, że złożono ją w miejscu, którego ponownie nie da się łatwo odnaleźć. Co więcej, kiedy Saladyn odbił Jerozolimę z rąk krzyżowców, nie można już było

przeczesać wzgórze. Muzułmanie zazdrośnie go strzegą. Niewątpliwie słyszeli te same opowieści. A jednak nie pozwalają na poszukiwania. Te tajemnice mogą wstrząsnąć wszystkimi religiami, a islam jest wrogiem sztuk czarno-księskich i magii.

- Chcecie powiedzieć, że ten teren jest dla nas niedostępny?

- Jeżeli spróbujemy tam szukać i zostaniemy przyłapani, czeka nas śmierć. Podejmowane dawniej prace wykopaliskowe stawały się przyczyną rozruchów. To tak, jakbyśmy próbowali kopać pod grobem świętego Piotra.

- Więc po co się w ogóle spotkaliśmy?

Spojrzeni na siebie jak spiskowcy.

- Aaa... Więc nie wolno dopuścić, żeby nas odkryto.

- Właśnie - stwierdził Jerycho. - Farhi podsunął nam pewien ślad, wskazał ukryty korytarz.

- To dlaczego sam z niego nie skorzystał?

- Bo jest pełen wilgoci, brudu, niebezpieczny i prawdopodobnie wiedzie donikąd - odezwał się bez troski Farhi. - W końcu mieliśmy do czynienia tylko z niejasnymi pogłoskami i legendami, aż wreszcie zjawiłeś się ty, panie, który twierdzisz, że w zamierzchłej przeszłości Egiptu istniało coś nadzwyczajnie cennego i że to coś zostało przewiezione tutaj. Czy w to wierzę? Nie. Możesz być łgarzem, który chce nas nabrać, albo łatwowiernym głupcem. Ale czy mam trwać przy moim niedowiarstwie, kiedy istnienie tej rzeczy może dać większą moc mojemu narodowi? Na to nie mogę sobie pozwolić.

- Więc nas poprowadzisz?

- Jeśli może to zrobić okaleczony księgowy i bankier.

- Przypuszczam, że zażadasz udziału w znalezionym skarbie?

- Zadowolę się prawdą i wiedzą, jak by to uczynił Tot.

- Miriam powiedziała, że mogą one być użyte w złych i dobrych intencjach.

- To samo da się powiedzieć o pieniądzach, przyjacielu...

Uhhh... Za każdym razem, gdy ktoś obcy nazywa mnie przyjacielem, zastanawiam się, co też kombinuje. Ale moje własne kilkumiesięczne poszukiwania zaprowadziły mnie donikąd. Może on i ja zdołamy coś osiągnąć razem?

- Gdzie zaczniemy?

- Pomiedzy Kopułą Skały i meczetem Al-Aksa jest fontanna El-Kas - stwierdził cierpko Farhi. - Zasilająca ją woda bierze się ze starych zbiorników na deszczówkę wyciętych w skale głęboko po Górą Świątynną. Te zbiorniki są połączone tunelami, żeby w razie czego woda mogła przepływać z jednego do drugiego. Niektórzy autorzy utrzymują, że są one częścią sieci korytarzy, które mogą się ciągnąć aż pod samą skałę Kubbet es-Sakhra, na której Abraham składał ofiarę Bogu: a jest to kamienna opoka świata. Co więcej, te zbiorniki muszą się łączyć z jakimiś źródłami, bo wody deszczowej byłoby za mało. Mniej więcej przed dziesięciu laty Dżezar polecił mi odszukać starożytne dokumenty dotyczące podziemnych korytarzy wiodących pod Górę Świątynną. Powiedziałem mu, że żadnych nie znalazłem.

- Skłamałeś?

- Za przyznanie się do niepowodzenia straciłem nos, ucho i oko. Istotnie jednak znalazłem stare dokumenty, fragmenty obliczeń wskazujących sekretne przejście do miejsca kryjącego tak wielką moc, że nie można było dopuścić, by dostała się człowiekowi takiemu jak Dżezar. Wejście można znaleźć w źródle Gihon, które zasila sadzawkę Siloam, na zewnątrz miejskich murów. Jeżeli tak jest, muzułmanie nas nie zobaczą.

- Przez te zbiorniki - stwierdziła Miriam - może dotrzemy do najgłębszych jaskiń, w których Żydzi ukryli Arkę, Księgę i inne skarby.

- Chyba że wcześniej odkryli je Rycerze Świątyni - dodał Farhi. - I być może zostały ponownie ukryte, gdy Jakub de Molay spłonął na stosie. Jest jednak jeszcze jedna sprawa, która mnie zniechęciła do dalszych poszukiwań.

- Tunele są zalane wodą? - Przypomniały mi się chwile pod Wielką Piramidą.

- Być może. Ale jeżeli nawet nie są, znalazłem wzmianki o tym, że wejście zostało zamknięte. To, co niegdyś było otwarte, teraz może być zapieczętowane.

- Zdeterminowani ludzie mogą się przebić przez każde drzwi, jeżeli nie siłą mięśni, to za pomocą prochu - stwierdził Jerycho.

- Nie prochu! - zachnął się Farhi. - Chcesz zaalarmować całe miasto?

-No to mięśnie.

- A jeżeli muzułmanie odkryją, że czegoś tam w dole szukamy?

- To byłoby bardzo niefortunne - stwierdził bankier.

Moja rusznica była gotowa. Jerycho starannie umocował dwa włosy Miriam na lunecie, tworząc celowniczy krzyżyk, i gdy za miastem wypróbowałem broń, stwierdziłem, że mogę na niej polegać - trafiałem talerz z odległości dwustu jardów. Zwykły muszkiet chybiał przy odległości większej niż pięćdziesiąt. Kiedy jednak wziąłem ją na dach, żeby wypatrywać francuskich opryszków, nie dostrzegłem żadnego, choć przeglądałem okolicę, aż rozboleły mnie oczy. Czyżby zrezygnowali? Liczyłem na to, że nie - spodziewałem się, że gdzieś tu jest hrabia Alessandro Silano, którego mógłbym pojmać, i drobiazgowo wypytać o Astizę.

Ale wokół panowała cisza, jakby ta banda nigdy nie istniała.

Miriam zrobiła dwie spiżowe repliki złotych serafinów po obu stronach kolby na pokrywach wgłębień, gdzie

przechowywałem natłuszczone przybitki, które popychane przez kulę oczyszczają lufę z pozostałości prochu po poprzednim strzale. Serafiny wyciągały ku sobie skrzydła jak te zdobiące arkę. Zrobiła mi też nowy tomahawk. Byłem tak zadowolony, że pokazałem Jerychowi, jak można wygrać w faraona - jeśli kiedykolwiek zechciałby zasiąść z kimś do gry - i kupiłem Miriam mały, złoty hiszpański krzyżyk. Nie zdziwiło mnie wcale, że kiedy pewnego wieczoru postanowiliśmy z Jerychem rozpocząć poszukiwania, Miriam uparła się, żeby pójść z nami, wbrew zwyczajowi nakazującemu jerozolimskim kobietom pozostawać w domu.

-Ona zna stare legendy, które mnie zawsze nudziły - stwierdził Jerycho. - I dostrzega rzeczy, których ja nie dostrzegam albo nie chcę widzieć. A poza tym nie zamierzam zostawiać jej w domu samej, gdy kręcą się tu ci Francuzi.

- Z tym nie będę się spierał - przyznałem.

- Oprócz tego wam obu przyda się nieco kobiecego wyczucia - dodała Miriam.

- Ważne jest, żebyśmy poruszali się cicho - ostrzegł Jerycho.

- Miriam mówiła, że nauczyłeś się tego od Indian.

Prawdę powiedziawszy, moje dotychczasowe stosunki z Indianami zasadały się głównie na tym, żeby ich unikać gdzie się dało i przekupywać paciorkami tam, gdzie się nie dało. Kilka utarczek, jakie z nimi miałem, do tej pory budziło we mnie przerażenie. Opowiadając Miriam o moich wyczynach na pograniczu, mocno przesadzałem - to było nie najlepsze z moich przyzwyczajzeń - i brnięcie w wyjaśnienia byłoby teraz pozbawione sensu.

Przyszedł i Farhi, odziany na czarno.

- Moja obecność może być jednak ważniejsza, niż my ślałem - stwierdził. - Istnieją i żydowskie tajemnice, a od czasu naszej ostatniej rozmowy pilnie studiowałem to, co

wcześniej badali templariusze, włącznie z numerologią Kabały i Księgą Zohar.

- Jeszcze jedna księga? I co w niej jest?

- Niektórzy z nas wierzą, że Tora czy wasza Biblia mogą być odczytywane na dwu poziomach. Jeden to historie, które znamy wszyscy. Ale istnieje też inna historia, tajemnicza i święta, ukryta między wierszami, zakodowana w liczbach. I to właśnie jest Zohar.

- Biblia jest szyfrem?

- Każdą literę hebrajskiego alfabetu można przedstawić jako cyfrę, ale jest jeszcze dziesięć dalszych cyfr, przedstawiających święte *sefiry*. To właśnie jest szyfr.

- Co takiego?

- *Sefiry*. Rzeczywistość ma sześć wymiarów. Cztery podstawowe: wschód, zachód, północ i południe, oraz górę i dół. Pierwiastki tworzące wszechświat to ogień, woda, powietrze oraz Bóg. Te dziesięć tworzy *sefiry*, które z pozostałymi dwudziestoma dwoma przedstawiają trzydzieści dwie drogi mądrości, a te z kolei wskazują na siedemdziesiąt dwa święte imiona Boga. Czy Księgę Tota można odczytywać podobnie? Co jest jej kluczem? Zobaczmy...

Cóż. Kolejny bełkot z rodzaju tych, z jakimi stykałem się od czasu, gdy wygrałem w Paryżu ten przeklęty egipski medalion. Szaleństwo najwyraźniej jest zaraźliwe. W legendy, numerologię i matematyczne cudeńka wierzyło tak wielu ludzi, że i ja zaczynałem w nie wierzyć, choć rzadko mogłem wyśledzić cele i źródła dyskusji. Ale jeżeli żydowska numerologia w okaleczonym tak jak Farhi bankierze wzbudziła ochotę na grzebanie się w podziemnych korytarzach, to czemu i ja nie miałbym tego robić?

- No cóż, witamy w zespole. Postaraj się nie zostawać w tyle. Po co wziąłeś ze sobą ten wór cementu? - zwróciłem się do Jerycha.

- Żeby zamurować miejsca, w których będziemy roz-

bierali ściany. Idealna kradzież to taka, w której okradziony nawet nie wie, że go okradziono.

Ten rodzaj myślenia bardzo mi odpowiadał.

Po zapadnięciu zmroku wymknęliśmy się przez Bramę Gnojną. Był wczesny marzec, a Napoleon rozpoczął już inwazję. Do Jerozolimy dotarły wieści, że 15 lutego Francuzi wyruszyli z Al-Arisz na granicy pomiędzy Egiptem i Palestyną, odnieśli szybkie i łatwe zwycięstwo pod Gazą, a teraz zbliżali się do Jaffy. Czas naglił. Zeszliśmy po skalistym zboczu ku sadzawce Siloam, zbiornikowi kanalizacyjnemu zbudowanemu jeszcze za czasów króla Dawida. Lekko zasapany poradziłem, żebyśmy kucnęli i rozejrzeli się dookoła, jakbyśmy w istocie podchodzili Indian. Znacznie lepiej się czułem w eleganckiej szulerni niż w dzicy, ale moja pozorowana fachowość zrobiła spore wrażenie na Miriam.

Księżyc był w pierwszej kwadrze i światło jego cienkiego sierpa zostawiało zbocze w mroku, a powietrze było chłodne i orzeźwiające. Gdy przedzieraliśmy się wśród starych ruin, towarzyszyło nam leniwe naszczekiwanie psów strzegących kozich i owczych zagród. Za nami czarną linią na tle nieba rysowały się miejskie mury zamykające południową stronę Góry Świątynnej. Z dołu widziałem meczet Al-Aksa i łuki wsporników, dodanych doń przez templariuszy.

Czy muzułmańscy strażnicy patrzyli z góry na zbocze? Miałem niesamowite wrażenie, że ktoś nas obserwuje.

- Ktoś tam jest - szepnąłem, zwracając się do Jerycha.

- Gdzie?

- Nie wiem. Czuję ich, ale nie widzę.

Rozejrzał się dookoła.

- Ja niczego nie słyszałem. Myślę, że odstraszyłeś tych Francuzów.

Musnąłem palcami tomahawk i wziąłem w ręce rusznicę.

-Wy troje idźcie naprzód. Ja sprawdzę, czy ktoś za nami nie idzie.

Noc jednak wyglądała na tak pustą jak worek magika. W końcu wiedząc, że towarzysze na mnie czekają, ruszyłem ku sadzawce Siloam, przypominającej prostokątną jamę atramentowej czerni. Wyglądzone stopnie wiodły ku niewielkiej kamiennej platformie, z której kobiety mogły niegdyś czerpać wodę. Gnieźdzące się pomiędzy kamieniami ścian jaskółki poruszyły się niespokojnie. Tylko nikłe jaśniejsze plamy twarzy naprowadziły mnie na miejsce, gdzie zgromadzili się moi towarzysze.

Ale gromadka była liczniejsza.

- Sir Sidney w istocie przysłał nam pomoc - wyjaśnił Jerycho.

-Brytyjczycy? - Teraz zrozumiałem, czemu dręczyły mnie złe przeczucia.

- Pod ziemią przydadzą nam się ich ręce.

-Porucznik Henry Tentwhistle z HMS *Dangerous*, do pańskich usług, panie Gage - wyszeptał z mroku skulony dowódca grupki. - Może pan sobie przypomnisz, jak mnie ograłeś, blefując w brełana. Jęknąłem w duchu.

- Miałem po prostu szczęście, poruczniku, a pan zaryzykował i przegrał.

- A to kadet Potts, którego ograłeś w faraona. Stracił półroczny żołd.

- Z pewnością nie aż tyle. - Potrząsnąłem podaną mi dłonią.

- Gdybym rozpaczliwie nie potrzebował tych pieniędzy do pomyślnego zakończenia zleczonej mi przez Koronę misji tu, w Jerozolimie...

-I jestem pewien, że tych dwu chłopców też znasz.

Nawet w nikłym oświeceniu sadzawki Siloam widziałem błysk barykady wielkich jak klawisze fortepianu zębów wyszczerzonych w szerokim i niczego dobrego mi niewróżącym uśmiechu.

- Po tym wszystkim będziesz mi winien walkę - stwierdził przedstawiony mi człowiek.

-I zażądamy zwrotu pieniędzy.

Nie mogło być inaczej. Wielki Ned i Mały Tom jednak mnie odnaleźli.

ROZDZIAŁ 8

-Powinieneś być dumny, panie - stwierdził Wielki Ned.

-Nigdy wcześniej nie zgłaszaliśmy się na ochotnika - dodał Mały Tom.

- Sir Sidney uznał, że najlepiej będzie, jak popracujemy razem.

- To z twojego powodu.

- To mi pochlebia - stwierdziłem ponuro. - Nie mogłeś mi o tym powiedzieć, Jerycho?

- Sir Sidney uczy: mowa jest srebrem, a milczenie złotem.

Oczywiście. Stary Ben powiadał, że trzech tylko wtedy może utrzymać jakąś rzecz w tajemnicy, jeżeli dwu z nich jest nieboszczykami.

- Więc przysłał tu waszą czwórkę?

- Pomyśleliśmy sobie, że takiego spryciarza jak ty, panie, wabią tylko nieliczne pieniądze - powiedział wesoło Mały Tom.

- A potem wydali nam oskardy, więc powiedzieliśmy sobie: hej! To musi być jakiś zakopany skarb! A przy okazji ten jankes będzie mógł dać naszemu Nedowi satysfakcję, jak to obiecał na pokładzie fregaty... albo odda nam swój udział.

- Nie jesteśmy tak głupi, jak myślisz - dodał Ned.

-To widać. Cóż... - Gdy tak patrzyłem na gromadkę nieprzyjaźnie nastawionych marynarzy, instynkt podpowiadał mi, że będą z nimi kłopoty, ale spróbowałem o tym

nie myśleć. - Dobrze jest mieć sojuszników, kumpli, którzy spotykali się przyjaźnie przy zielonym stoliku. Do rzeczy. Jest tu dość niebezpiecznie i musimy zachowywać się jak myszy pod miotłą, ale mamy też szansę odcisnąć ślad w historii. Nie chodzi o skarb, tylko o znalezienie sekretnego podziemnego korytarza, dzięki któremu, gdyby Bonio zajął miasto, moglibyśmy skrycie wchodzić i wychodzić. Na tym polega nasze zadanie. Uważam, że co było, to było, a to, co nas czeka, zmusza ludzi do wspólnego stawienia czoła trudnościom, nie sądzicie? Każdy pens, który mam, zostanie wydany z pożytkiem dla Korony.

- Interes Korony! A skąd masz tę piękną broń, którą trzymasz w łapach? - wytknął mi Mały Tom.

- Ta rusznica? - Ostentacyjnie poruszyłem lufą, żeby załśniła w nikłym blasku księżyca. - To doskonała ilustracja tego, co mówiłem. Mam ją, żeby was chronić, ponieważ odpowiadam za to, żeby nikomu z was nie stała się krzywda.

- Mnie się wydaje, że to droga rzecz. Wygląda na wykonaną na zamówienie dla jakiegoś arystokratycznego dupka. Założę się, że kosztowała kupę forsy.

- Tu, w Jerozolimie, kosztowała grosze - odparłem. - Miejscowy wyrób, a tutejsi rusznikarze nie mają pojęcia o swoim rzemiośle. Śmieć i tyle. - Starannie unikałem spojrzenia Jerycha, który niemal spopielił mnie wzrokiem. - Ale nie mogę obiecać, że znajdziemy coś wartościowego. Jeżeli znajdziemy, to oczywiście wy, chłopaki, możecie wziąć sobie mój udział, ja się zadowolę jednym lub dwoma pergaminami. Chodzi mi o ducha współpracy, którym chcę was natchnąć. W ciemności wszystkie koty są szare, jak mawiał Ben Franklin.

- Kto tak mawiał? - zapytał Tom.

- Pieprzony buntownik, który powinien zadyndać na stryku! - warknął Wielki Ned.

- A co to znaczy?

- Że jesteśmy pieprzonymi kotami lub czymś takim.
 - Że dopóki nie skończymy naszej misji, działamy wedle zasady jeden za wszystkich, wszyscy za jednego - poprawił go Tentwhistle.
 - A kim jest ta panienka? - zapytał Mały Tom, wskazując palcem Miriam, która cofnęła się nieznacznie.
 - Moją siostrą! - warknął Jerycho.
 - Siostrą! - Tom odskoczył, jakbym go poczęstował iskrą z mojego generatora. - Zabierasz siostrę na poszukiwanie skarbu? Po co, u diabła?
 - Ona potrafi dostrzec pewne rzeczy - powiedziałem.
 - A pewnie, że potrafi! - mruknął Ned. - A ten jegomość tam z tyłu?
 - To nasz żydowski przewodnik.
 - Żyd też?!
 - Dziewki sprowadzają pecha - sarknął Tom.
 - I nie zabieramy jej - dodał Ned.
 - Obejdę się bez twojego pozwolenia! - syknęła Miriam.
 - Uważaj, Ned! - ostrzegłem marynarza. - Jej kolano dobrze wie, gdzie masz jaja.
 - Naprawdę? - Ned spojrzał na dziewczynę z większą przychylnością.
- Na pola Lexingtonu, czy to nie było piękne? Zajadle się kłócąc, weszliśmy do płytkiego basenu i brnąć po kolana, przedostaliśmy się na jego drugi koniec. Woda wypływała z groty zamkniętej żelazną kratą.
- Wstawiono ją, żeby zatrzymać dzieci i zwierzęta - mruknął Jerycho, unosząc swój stalowy łom. - Nie nas. - Założył dźwignię, napał, po czym rozległo się szczęknięcie i zardzewiałe żelazo ustąpiło. Gdy znaleźliśmy się wewnątrz, nasz mistrz zamknął za nami kratę własną, nową kłódką. - A do tej mam klucz.
- Obejrzałem się ku brzegowi sadzawki. Czyżby ktoś tam właśnie się ukrył, kucając?

- Widziałeś coś? - zapytałem szeptem Farhiego.
- Od wyjścia z domu Jerycha to ja niczego nie widzę - mruknął stary bankier. - Pluskanie się w mroku nie należy do moich ulubionych rozrywek.

Wkrótce już brodziliśmy w wodzie sięgającej nam ud -była chłodna, ale nie zimna. Tunel miał szerokość moich rozłożonych ramion i dziesięć do piętnastu stóp wysokości - na ścianach było widać ślady po oskardach kamieniarzy, którzy go wykuli. Farhi powiedział nam, że tę rurę wykuto, żeby dostarczała miastu króla Dawida wodę z naturalnego źródła. Dno było nierówne i często się potykaliśmy. Kiedy zagłębiliśmy się dość daleko, żeby Jerycho mógł zapalić latarnie, zwróciłem się do Tentwhistle'a:

- Jesteś pewien, poruczniku, że nikt was nie śledził?
- Zapłaciliśmy naszym przewodnikom, żeby trzymali pyski na kłódkę - odpowiedział zagadnięty.
- No tak... a w Jerozolimie żaden z nas też nie puścił farby - wtrącił Ned.
- Czekaj, wszyscy, jak was jest czterech Angoli, weszliście do miasta?
- Tylko żeby się rozejrzeć...
- Mówiłem, żebyście nie wychylali nosa z kryjówki przed zapadnięciem zmroku! - syknął zdesperowany Jerycho.
- Byliśmy poprzebierani za Arabów i nie rzucaliśmy się w oczy - stwierdził Tentwhistle obronnym tonem. - Niech mnie kule biją, nie po to dostałem się do Jerozolimy, żeby nie zobaczyć miasta! Sławne jest, ot co.
- Poprzebierani za Arabów! - stęknąłem. - Święty Mikołaj jest bardziej podobny do Araba niż każdy z was! Z waszymi buraczanymi gębami moglibyście równie dobrze wmaszerować, powiewając brytyjską flagą!
- To co, mieliśmy się zagłodzić na śmierć?
- Czekać do nocy, a potem kopać dla was dziurę? - zirytował się Ned. - Jak chcecie nas trzymać z dala od tego

waszego frymuśnego miasta, to dajcie nam się dobrze najeść!

Cóż, teraz i tak niczego już z tym nie dałoby się zrobić.

Odwrociłem się do ponurego jak noc Jerycha.

- Myślę, że powinniśmy się pospieszyć.

- Zostawiłem przy kracie solidną kłodę. Ale to ty, ze swoją rusznicą, masz osłaniać nasze tyły.

- Nie dotykaj mnie! - rozległ się w mroku nagły okrzyk

Miriam.

- Przepraszam, trąciłem cię? - zapytał oblesnie Tom.

- Chodź do mnie, ja cię obronię - dodał znacząco Ned.

Jerycho uniósł nieco swój oskard, ale powstrzymałem

go-

- Ja to załatwię. - Przepychając się niby to na tyły szyku, łupnąłem Neda kolbą mojej rusznicy w krocze.

- O kurrrwa! - stęknął.

- Ależ jestem niezręczny! - powiedziałem, cofając kolbę tak gwałtownie, że lufa łupnęła Toma w szczękę.

- Skurrrwysyn!

- Jestem pewien, że jak będziemy się trzymali daleko od siebie, do następnych kolizji nie dojdzie.

- Będę sobie stał tam, gdzie... Ouuu! - Tom kwiknął i podskoczył. - Ta suka przyłożyła mi z tyłu!

- Przepraszam, trąciłam cię? - zapytała słodko Miriam, cofając łom.

- Ostrzegałem was, panowie. Jeżeli cenicie swoją męskość, trzymajcie się z daleka od tej kobiety.

- Jak któryś z was dotknie moją siostrę, to go wywałaszę - ostrzegł Jerycho.

- A ja każę wam zatańczyć w rytm bata! - stwierdził

Tentwhistle. - Kadecie Potts! Pilnujcie dyscypliny!

- Taaaest, sir! Wy dwaj, zachowujcie się!

- No nie... myśmy tylko tak... Boże wielki! Co mu się stało?

Farhi podsunął swoją twarz pod strugę światła latarni,

tak że marynarze po raz pierwszy mogli wyraźnie zobaczyć jego okaleczenia.

- O jeden raz za wiele dotknąłem jego siostrę - stwierdził sucho Żyd.

Obaj niesforni marynarze z twarzami bladymi jak worki mąki odsunęli się od Miriam.

Długo brnęliśmy w głębokiej po uda wodzie, co zaowocowało tym, że zasapani marynarze stracili sporo wigoru. Nie nawykli do zamkniętych miejsc czy pracy na lądzie i od kompletnego załamania i rezygnacji powstrzymywała ich tylko nadzieja na znalezienie łupu w postaci skrzyń pełnych starożytnych monet. Żeby przypadkiem nie odzyskali sił, zaproponowałem Tentwhistle'owi, aby Tom i Ned pomagali nieść Jerychowi jego wór z cementem.

- Jak już o tym mowa, czemu nie wszyscy dźwigamy ten wór cholernych cegieł? - poskarżył się Ned. Brnął jednak dalej jak muł w otaczającym nas kokonie blasku latarni.

Raz się zatrzymałem w gęstniejących ciemnościach, żeby nasłuchiwać, gdy inni szli dalej. O... czy ten dźwięk dolatujący z tyłu to odgłos wyłamywanej kłódki? Ale z tej odległości był słyszalny jak dźwięk uderzającej o posadzkę szpilki i niczego już potem nie usłyszałem. Poddałem się i ruszyłem naprzód, żeby dołączyć do pozostałych.

W końcu dobiegł nas szum płynącej wody i tunel zaczął się obniżać. Wkrótce musieliśmy opaść na czworaki.

- Jesteśmy nieopodal naturalnego źródła - stwierdził Farhi. - Legendy mówią, że gdzieś nad nami jest pępek Jerozolimy.

- A ja myślę, że jesteśmy gdzieś w cholernej dupie tego miasta - mruknął Mały Tom.

Szukaliśmy przy świetle latarni, aż wreszcie znaleźliśmy nad głową jakąś mroczną szczelinę, ciasną jak kieszeń okrętowego płatnika. Nie sądziłbym, że prowadzi dokądkolwiek, ale gdy się w nią zapuściliśmy, podsadzając jeden

drugiego, otworzyła się na korytarz, który ukosem ciągnął się w górę - tym razem był suchy. Musieliśmy przełazić na czworakach nad kamieniami, które opadły ze sklepienia. Miriam radziła sobie lepiej niż ktokolwiek z nas. Potem poprowadziła nas w kolejną mysią dziurę. Wielki Ned, klnąc sążnięcie, bo z trudem mieścił się w przejściu, przepchnął worek cementu. Pokrywała go już warstwa potu. Potem tunel ponownie zaczął się wznosić; tym razem widać było, że jest dziełem człowieka. Jego nachylenie było stałe, sufit mieliśmy na wyciągnięcie ręki, a korytarz był tak wąski, że dwu mężczyźni nie mogłoby się w nim łatwo minąć. Ned wciąż uderzał o coś workiem i kłnął, aż sklepienie trzeszczało.

- Legenda mówi, że to przejście jest wąskie na szerokość tarczy - stwierdził Farhi. - Jeden krzepki człowiek mógł tu zatrzymać całą armię.

W miarę jak szliśmy coraz dalej, robiło się coraz duszniej, a latarnie zaczęły migotać. Nie miałem pojęcia, jak głęboko weszliśmy ani która jest godzina. Nie byłbym zdziwiony, gdyby mi ktoś powiedział, że czołgając się, brodząc w wodzie i wlokąc się noga za nogą, dotarliśmy do Paryża. W końcu dobrnęliśmy do miejsca, gdzie zaczynał się kamienny mur.

- To mur Heroda - mruknął Jerycho. - Przechodzimy pod nim, więc i pod samym placem Góry Świątynnej, która jest nad nami.

Parliśmy dalej i znów usłyszałem szmer wody przed nami. I nagle trafiliśmy do sporej pieczary, w której nikłe światło naszych latarni z trudem docierało do przeciwległych ścian. Jerycho poprosił, żebym potrzyzymał jego lampę, i ostrożnie wszedł w wodę leżącego niżej stawu.

-W porządku, czysta i głęboka zaledwie po pierś -oznajmił po chwili. - Znaleźliśmy cysterny. Ale zachowujmy się cicho.

Z drugiej strony zobaczyliśmy wylot jakiegoś tunelu.

Trafiliśmy przezeń do drugiej i trzeciej cysterny, każda z nich miała około dziesięciu jardów w poprzek i wzdłuż.

- Gdyby pora była bardziej deszczowa, te korytarze zalewałyby woda - stwierdził Jerycho.

W końcu korytarz poprowadził nas w górę, do suchej jaskini. Sklepienie było tu wyższe, kamienne, opadające do samego podłoża. Nieco dalej mogliśmy zobaczyć łukowaty portyk. Sęk w tym, że całe przejście wypełniały połączone zaprawą kamienie.

- Szlag by trafił, cały wysiłek na nic - wycharczał Ned.

- Naprawdę? - zapytał Jerycho. - A nie ciekawi cię, co takiego jest za tym murem? Najwidoczniej budowniczo wie nie chcieli, żebyśmy tam weszli.

- Albo nie chcieli, żeby ktoś tędy wyszedł - dodała Miriam.

- Potrzebna nam baryłka prochu - stwierdził marynarz, rzucając na ziemię worek z cementem.

- Nie, najważniejsze to nikogo nie zaalarmować - odparł Farhi. - Trzeba się przez to przebić, zanim rozpoczną się poranne modły.

- A potem wszystko zamurować - dodała Miriam.

- Jaja sobie robisz? - zachnął się Ned.

- Straconego czasu nigdy już nie odzyskasz - spróbowałem uspokoić tępego osiłka. - Tak mawiał stary Ben.

-A Wielki Ned powiada, że ludzie, którzy oszukiwali przy kartach, powinni oddawać to, co nieuczciwie zagarnęli. - Łypnął na mnie spod oka. - Lepiej, żeby po drugiej stronie tej ściany coś było, szefuniu, bo złapię cię za kostki i duszę z ciebie wytrąsnę.

Mimo pogróżek on i Mały Tom w końcu stanęli do szeregu i cała nasza ósemka utworzyła łańcuch, podając sobie kamienie, żeby u podstawy kamiennego łuku wyźłobić rów. Ciężka praca zajęła nam dwie godziny, ale w końcu oczyściliśmy całe przejście. Szeroka podziemna brama była zakorkowana jak butelka wapniem innej barwy.

- Ci, co to zamurowali, mieli swoje powody - mruknął Tentwhistle. - Tędy mogłyby się wdrzeć oddziały nieprzyjaciela.

- To przejście wybudowali Hebrajczycy - odezwał się Farhi z namysłem. - Zamurowali je Arabowie, krzyżowcy lub templariusze. Jakieś trzęsienie ziemi spowodowało zawalenie się sklepienia i zapomniano o nim... przetrwała o nim jedynie pamięć w legendach.

Zmęczony Jerycho podniósł łom.

- No to bierzmy się do roboty.

Najtrudniej jest zawsze wyłamać pierwszy kamień. Nie ośmieliliśmy się walić młotem, więc wydłubaliśmy zaprawę, a potem Ned i Jerycho z dwoma łomami za brali się do wyważenia kamulca z przeciwnych stron. Napięli mięśnie i blok wysunął się jak oporna szuflada, aż w końcu mogli go wyjąć i ostrożnie położyć na ziemi. Farhi cały czas wpatrywał się w sklepienie, jakby się spodziewał, że mużułmańscy strażnicy nad nimi coś usłyszą.

Z dziury wionęło zgnilizną. Schyliwszy się, zajrzałem i zobaczyłem jedynie czern. Zabraliśmy się więc do wyłuskowania przyległych do otworu bloków, znów odłupując kęsy zaprawy. W końcu dziura była dość spora, by można się było przez nią przeczołgać.

-Jerycho i ja pójdziemy przodem - oświadczyłem. - Marynarze zostaną na straży. Jak tam coś znajdziemy, przyniesiemy wam to tutaj.

- Takiego wała! - sprzeciwił się Wielki Ned.

- Niestety, muszę poprzeć mojego podwładnego - odezwał się kwaśno Tentwhistle. - Panowie, to misja pod patronatem marynarki wojennej i czy wam się to podoba czy nie, pracujecie na rzecz Korony. Z tego samego powodu każdy łup należy do Korony i później zostanie rozdzielony zgodnie z prawami przyzowymi. Wasze udziały zostaną oczywiście wzięte pod uwagę.

- Nie służymy już w waszej marynarce - zachnął się Jerycho.

-Ale jesteście opłacani przez Sidneya Smitha, tak? -uciał Tentwhistle. - A Gage jest też jego agentem. Co oznacza, że przelazimy przez tę dziurę razem, w imię króla i Korony, albo wcale.

Położyłem dłoń na lufie mojej opartej o ścianę rusznicy.

- Przysłano was tu jako zespół kopaczy, a nie załogę przyzową - stwierdziłem.

- A pan trafił do Jerozolimy jako agent Korony, nie jako prywatny poszukiwacz skarbów!

Tentwhistle położył dłoń na kolbie pistoletu. To samo zrobił kadet Potts, a Ned i Tom chwycili za rękojeści kordelasów. Jerycho uniósł swój łom.

Patrzyliśmy na siebie wrogo, jak psy w jatce.

-Przestańcie! - syknął Farhi. - Powariowaliście? Jak zaczniecie tu walkę, ściągniecie nam na karki wszystkich jerozolimskich muzułmanów! Nie możemy sobie pozwolić na spory.

Po krótkim wahaniu opuściliśmy ręce. Miał rację.

- No to który z was pójdzie pierwszy? W Egipcie wewnątrz każdej dziury czaiły się węże albo krokodyle...

Przez chwilę Anglicy milczeli, patrząc po sobie niezbyt pewnie.

- Wygląda na to, szefuniu, że ty masz w tym względzie największe doświadczenie.

Przelazłem więc przez dziurę. Oczekałem chwilę, żeby się upewnić, że nic nie zamierza mnie ukąsić, po czym przeciągnąłem latarnię i podniosłem ją wyżej.

Wzdrygnąłem się, zobaczywszy przed sobą wyszczerzoną czaszkę.

Nie była to prawdziwa czaszka, tylko rzeźba. A jednak widok rzędów czaszek i skrzyżowanych puszczeli na ścianach i sklepieniu nie był miły. Nie przypominało to

niczego, co widziałem w Egipcie. Inni wślizgiwali się za mną i gdy żeglarze zobaczyli ten żałobny fryz, wydali z siebie rozmaite stęknienia, od pobożnego: „Jezu!” do chciwego: „Piracki skarb!”

Farhi znalazł bardziej prozaiczne wyjaśnienie.

- Panowie, jacy tam piraci! Te szkielety to styl templariuszy. Wie pan oczywiście, Gage, że już Ubodzy Rycerze lubili się odwoływać do symboliki czaszek i piszczeli?

- Widziałem je i podczas masońskich obrządków. I oczywiście na cmentarzach.

- Wszyscy jesteśmy śmiertelni, nieprawdaż?

Czaszki zdobiły ściany i sklepienie korytarza, który obniżając się, zawiódł nas do większej sali. Tu zobaczyłem inne dekoracje, które też skojarzyłem z masonami. Posadzka była wyłożona biało-czarnymi płytami marmuru w szachownicę Dionizjusza, z tym że na środku był dość osobliwy wzór. Czarne płytki na przemian z białymi tworzyły zygzak w kształcie ogromnej błyskawicy. Dziwne... Skąd tu błyskawica?

Wejście, przez które się tu dostaliśmy, było obramowane dwiema kolumnami - czarną i białą.

W niszy naprzeciwko stały dwa posągi wyglądające jak rzeźby Madonny, jeden alabastrowo biały, drugi hebanowo czarny. Dziewice - Biała i Czarna. Matka Boska i Maria Magdalena? A może Maria i Izyda, bogini gwiazdy Syriusz?

- Wszystko jest dwoiste - usłyszałem za sobą szept Miriam.

Sklepienie było żebrowane, dość proste, ale wytrzymałe na tyle, żeby utrzymać napór platformy Heroda z góry. Na przeciwległym końcu był kamienny ołtarz, a za nim mroczna nisza. Poza tym sala była pusta. Miała rozmiary klasztornej refektarza i być może rycerze ucztowali tu w wolnych chwilach, gdy nie ryli pod ziemią w poszukiwaniu skarbów Salomona. Pustka była irytująca.

Przeszliśmy przez całą, długą na pięćdziesiąt kroków komnatę. Przednią część ołtarza pokrywała podwójna płyta. Jedna połowa przedstawiała dość prymitywnie naszkicowany kościół z kopułą. Na drugiej dwaj rycerze jechali na jednym koniu.

- Pieczęć templariuszy! - sapnął Farhi. - Potwierdzenie teorii, że wszystko to jest ich dziełem! Zobaczcie, oto Kopuła na Skale... tak jak wzniesiony nad nami meczet, symbolizująca miejsce świątyni Salomona, od której pochodziła nazwa zakonu. A dwaj rycerze na jednym koniu? Niektórzy uważali, że jest to symbol ich dobrowolnego ubóstwa.

- Inni utrzymywali, że to znaczy, iż jedność ma dwa aspekty - odezwała się Miriam. - Męski i żeński. Tył i przód. Noc i dzień.

- Niech to szlag! Tu nic nie ma! - przerwał jej Ned, który nerwowo rozglądał się dookoła.

- Trafne spostrzeżenie - stwierdził Tentwhistle. - Wygląda na to, że sporo się napracowaliśmy... i wszystko na nic, panie Gage.

- Wszystko w interesie Korony - odciąłem się kwaśno.

- Owszem, ten jankes nielecho nas wrobił - mruknął Mały Tom.

-Hej! Popatrzcie na to! - zawołał kadet Potts, który tymczasem podszedł do Białej Madonny, żeby się jej przyjrzeć. - Drzwi dla służby? A może sekretne przejście?

Zebraliśmy się wokół niego. Potts przesunął wyciągniętą jak do błogosławieństwa rękę Madonny i cały posążek obrócił się na osi. W ścianie za rzeźbą odsunął się kamień, odsłaniając kręte schody z wejściem tak wąskim, że trzeba byłoby wciągnąć brzuch, żeby się przez nie przecisnąć. Schody wiodły stromo w górę.

- Tędy można przejść do świątyni nad nami - stwierdził Farhi. - To połączenie ze starymi kwaterami templariuszy w meczecie Al-Aksa. Prawdopodobnie jest zablokowane,

ale musimy zachowywać się nawet jeszcze ciszej. Dźwięki niosą się jak w kominach.

- A co mnie obchodzi:, czy nas usłyszą czy nie! - wściekał się Wielki Ned. - Tui tak niczego nie ma.

- Jesteś na świętym dla muzułmanów terenie. Żydzi też uważają to miejsce za uświęcone tradycją. Jeżeli nas usłyszą jedni albo drudzy, to nas zwiążą, obrzezają, poddadzą torturom za wtargnięcie do ich sanktuarium, a potem rozerwą na strzępy.

-Aha.

- Spróbujmy teraz, czy nie da się ruszyć Czarnej Ma donny - podsunęła Miriam.

Podeszliśmy do drugiego posązku, ale choć Potts naciskał, statua ani drgnęła. Dualizm Miriam się nie sprawdził. Staliśmy mocno rozczarowani.

-Farhi, gdzie był ten świątynny skarbiec? - zapytałem.

- Czy nie ostrzegałem cię, że templariusze byli tu przed tobą?

- Ale ta komnata wygląda, jakby ją projektował Europejczyk. Oni ją zbudowali, nie odkryli jej istnienia. Dlaczego w ogóle się tak trudzili? Czy nie za wiele wysiłku jak na zwykły refektarz?

- Nie ma tu okien - zauważył Potts.

- Więc odbywały się tu jakieś ceremonie - podsunęła Miriam. - Ale naprawdę ważne sprawy załatwiali gdzie indziej. Muszą być tu jeszcze jakieś drzwi.

- Mury są trwałe i solidne - zauważył jej brat.

Przypomniałem sobie doświadczenie wyniesione z egipskiej Dendery i spojrzałem na posadzkę. Czarno-białe płytki tworzyły odchodzące od ołtarza przekątne.

- Myślę, że Wielki Ned powinien odsunąć ten ołtarz - powiedziałem. - Postaraj się, przyjacielu!

Z początku nic się nie stało. Potem do Neda przyłączyli się Jerycho, Mały Tom, Potts i ja. Wszyscy sapaliśmy jak

hipopotamy. W końcu usłyszeliśmy zgrzyt i ołtarz zaczął się obracać na osi osadzonej w jednym z rogów. Odsuwany blok ujawniał czarną, zionącą w posadzce dziurę i znikające w mroku schody wiodące w dół.

- Jak nie tu, to nigdzie! - wycharczał Ned.

Zeszliśmy niżej i stłoczyliśmy się w przedsionku pod komnatą główną. Na jego końcu widniały wielkie, żelazne i pokryte rdzą drzwi. Ozdobiono je dziesięcioma pozieleniałymi już spiżowymi dyskami, wielkimi jak talerze. Jeden wspólny dysk wieńczył dwa ukośne rzędy składające się z trzech dysków, a pod nimi był pionowy rząd trzech dysków. Każdy z nich pośrodku miał rygiel.

- Dziesięć klamek? - zapytał Tentwhistle.

- Albo dziesięć zamków - odparł Jerycho. - Każdy z tych rygli może obracać jakąś zapadkę wewnątrz tego bloku żelaza.

- Spróbował pchnąć, ale drzwi ani drgnęły. - Nie mamy odpowiednich narzędzi, żeby to choć zadrapać.

- Co być może oznacza, że nikt ich przed nami nie otworzył ani nie wygarnął tego skarbcza - stwierdził Ned z bystrością, o jaką bym go nie podejrzewał. - Jak dla mnie to dobra nowina. Szefunio może jednak coś znalazł. Co może być tak cennego, że strzeże się tego za takimi jak te drzwiami, na dnie takiej jak ta dziury?

- Dziesięć zamków? W żadnym nie ma dziury na klucz - wytknąłem.

Choć Jerycho i Ned zdrowo naparli na wielkie drzwi, te ani drgnęły.

- Tkwią jak wmurowane - mruknął kowal. - Być może to jednak nie są drzwi.

- A czas ucieka - ostrzegł Farhi. - Na tym placu nad nami zacznie niedługo świtać i muzułmanie przyjdą tu na poranną modlitwę. Jak zaczniemy walić w to żelazo, ktoś tam nas usłyszy.

- Czekać - odezwał się, przypomniawszy sobie

tajemniczy medalion z Egiptu. - To pewna prawidłowość, nie widzicie? Dziesięć dysków o kształcie słońca... Dziesięć to liczba święta. Dla templariuszy musiało to chyba mieć jakieś znaczenie.

- Ale jakie?

- *Sefirot* - odezwała się Miriam z namysłem w głosie. - To drzewo.

- Tak! - Farhi cofnął się nagle o krok. - Teraz widzę! Etz Chaim! Drzewo Życia.

-Kabała - potwierdziła Miriam. - Żydowski mistycyzm i numerologia.

- Rycerze Świątyni byli żydami?

- Oczywiście, że nie, ale gdy przyszło do poszukiwań sekretów starożytnych, korzystali z naszej wiedzy - odparł Farhi. - Badali żydowskie teksty dotyczące wskazówek, gdzie kopać. Muzułmanie zresztą też, jak wielu innych. Interesowali się wszystkimi symbolami, mogącymi wesprzeć ich poszukiwania wiedzy. To jest wzór dziesięciu *sefirot*, z *keter*, koroną na szczycie, potem masz zrozumienie, *bina*, naprzeciwko mądrości, czyli *chochma* i tak dalej...

-Łaska, srogość, piękno, zwycięstwo, chwała, fundament i królestwo - wyliczała Miriam. - Wszystkie aspekty Boga, który jest Niepojęty. Nie możemy objąć rozumem Jego, tylko te manifestacje boskiego bytu.

- Ale co to oznacza na tych drzwiach?

- Sądzę, że to zagadka - stwierdził Farhi. Podniósłszy latarnię, przyjrzał się dyskom. - Tak, teraz widzę wygrawerowane na płytach hebrajskie wyrazy. *Chesed*, *tiferet*, *necach*...

- Egipcjanie wierzyli, że w słowach jest magia - przypomniałem sobie. - Że wymawianie ich wzywa Boga lub jakieś moce...

-Przebóg! To pogańskie bluźnierstwa! - Wielki Ned przeżegnał się z rozmachem. - Ci wasi rycerze przyjęli dzieła Żydów! Nic dziwnego, że spalono ich na stosach!

- Nie przyjęli, tylko z nich korzystali - odezwał się łagodnie Jerycho. - My tu, w Jerozolimie, szanujemy wierzenia innych, nawet gdy się z nimi spieramy. Templariusze nadali temu jakieś znaczenie. Może te rygle trzeba obracać we właściwej kolejności?

- Pierwsza korona - podsunąłem. - Ta na górze.

- Spróbuję... - Ale rygiel nie drgnął, tak samo jak pozostałe.

- Czekajcie, pomyślmy - odezwał się Farhi. - Jak się pomylimy, nic z tego może nie wyjść.

-Albo uruchomimy jakąś pułapkę - powiedziałem, przypominając sobie kamienne monolity, które niemal zamknęły mnie na wieki we wnętrzu piramidy. - To może być próba, która odsiewa niegodnych...

-Gdyby stanął tu templariusz, co wybrałby przede wszystkim? - zapytał Farhi. - Zwycięstwo? Był wojownikiem. Chwałę? Stali się sławni. Mądrość? Jeżeli skarbem była księga. Intuicja?

- Myśl - odpowiedziała Miriam. - Myśl, jak Tot, jak ta księga, której szuka Ethan.

-Myśl?

-Jeżeli przeciągniesz linie od dysku do dysku, przetną się tu, w środku - wskazała palcem. - Czy ten środek żydowskim kabalistom nie przedstawiał się jako umysł Boga? Czy tym ośrodkiem nie jest sama myśl? Esencja? To, co chrześcijanie nazywają duszą?

- Masz rację - stwierdził Farhi. - Ale tu nie ma żadnego rygla.

- Owszem, jedynym miejscem bez rygla jest to centrum - nakreśliła linie od dysków ku środkowi. - Ale jest tu niewielki wygrawerowany krąg.

Zanim ktokolwiek zdołał ją powstrzymać, odebrała łom, który podała przed chwilą Małemu Tomowi, i uderzyła jego tępy końcem, żelazo dokładnie w tym miejscu. Rozległ się głuchy dźwięk, który sprawił, że wszyscy

jak jeden podskoczyliśmy. A potem krąg zapadł się w głąb, coś tam szczęknięło i nagle wszystkie rygle na dziesięciu dyskach zaczęły się zgodnie obracać.

- Przygotować się! - Uniosłem rusznicę.

Tentwhistle i Potts chwycili kolby pistoletów, a Ned i Tom swoje kordelasy.

-Będziemy bogaci! - westchnął Ned rozmarzonym głosem.

Gdy dyski przestały się obracać, Jerycho pchnął drzwi i wielka żelazna płyta opadła w głąb niczym most zwodzony. Jej szczyt trzymał się na łańcuchach, które majestatycznie opuszczały most, aż z głuchym łupnięciem uderzył o zakurzoną posadzkę po drugiej stronie. W górę wzbiła się szara chmurka, która na chwilę zasłoniła wnętrze, a potem zobaczyliśmy, że drzwi utworzyły most nad przepaścią w ziemi. Dno rozpadliny zionęło czernią.

- Jakaś rozpadlina sięgająca fundamentów ziemi - rzekł Farhi, spoglądając w dół. - To była święta góra od zarania dziejów, skała, która wznosi się ku niebu, ale być może jej korzenie sięgają świata podziemnego.

- Wszystko jest dwoiste - powtórzyła Miriam.

Z kamiennej przepaści wiało chłodem. Wszyscy poczuli się niepewnie, a ja przypomniałem sobie piekielną jamę pod Wielką Piramidą. Chciwość jednak kazała nam przejść na drugą stronę.

Komnata, do której wkroczyliśmy, była mniejsza niż „refektarz” na górze, niewiele większa niż zwykła bawialnia w przeciętnym amerykańskim domu, i miała nisko zawieszone, kopulaste sklepienie. Kopułę zdobiło nagromadzenie malowanych gwiazd, znaków zodiaku i niesamowitych stworów z jakichś otchłani czasu - wszystkie te symbole przypomniały mi świątynne sklepienie z egipskiej Dendery. W najwyższym punkcie jaśniała podobnie złocona kula, która chyba przedstawiała słońce. Pośrodku pomieszczenia wznosił się kamienny piedestał przypomi-

nający podstawę pod jakąś rzeźbę, był jednak pusty. Na ścianach widniały znaki czy napisy wykonane w alfabecie, którego nigdy wcześniej nie widziałem - nie był to hebrajski, arabski, grecki czy łaciński. Różnił się też od tego, co widziałem w Egipcie. Wiele znaków miało geometryczne kształty - były trójkąty, kwadraty i koła, inne jednak przypominały wijące się robaczki lub inne zawijasy. Pod ścianami pomieszczenia leżały bezładnie nagromadzone drewniane i okute brązem skrzynie, skorodowane przez czas, a wewnątrz nich...

Nic.

I znów przypomniałem sobie Wielką Piramidę, gdzie schówek na Księgę był pusty. Los doprawdy polubił częstowanie mnie kolejnymi okrutnymi niepowodzeniami. Najpierw przepadła Księga, potem odebrał mi Astizę, a teraz jeszcze i ten żart...

- Niech to piekło pochłonie! - Tom i Ned kopali puste skrzynie. Ned cisnął jedną z nich o kamienną ścianę; skrzynia rozpadła się z łoskotem na mnóstwo drobnych drewniek i drzazg. - Niczego tu nie ma! Ktoś już to złupił!

Złupił, usunął lub przeniósł. Jeżeli był tu jakikolwiek skarb - a podejrzewałem, że był- to dawno został przeniesiony: zabrali go templariusze do Europy albo może ukryli gdzie indziej, gdy ich przywódców powiedziano na stosy. Może zresztą pomieszczenie opróżniono już wtedy, gdy Hebrajczycy zostali zniewoleni przez Nabuchodonozora?

- Ciszey, durnie! - syknął Farhi. - Musicie to rozbijać, żeby mużułmańscy strażnicy nad nami mogli to usłyszeć? Góra Świątynna jest pełna jaskiń i korytarzy, dźwięk niesie się bardzo daleko! Czy w tej waszej flocie nie tylko okręty, ale mózgi z dębu macie?

Zbesztany porucznik zaczerwienił się jak burak.

- Co mówią te napisy? - zapytałem, patrząc na osobliwe znaki.

Nikt nie odpowiedział, bo nawet Farhi nie miał pojęcia. Miriam jednak, która uważnie rozglądała się dookoła, wskazała na niewielką półkę w miejscu gdzie łączyły się ściany i kopuła sklepienia. Były na niej kamienne stożki, przeznaczone jakby do podtrzymania świec lub lampek oliwnych.

- Policz je, Farhi - powiedziała.

- Siedemdziesiąt dwa - stwierdził z namysłem w głosie. - Jak siedemdziesiąt dwa imiona Boga.

Jerycho podszedł bliżej.

- Wciąż spływa do nich oliwa - rzekł zdumiony. - Jak to możliwe po tylu latach?

-Może to mechanizm uruchomiony przez otwarcie drzwi? - podsunęła Miriam.

- Musimy je zapalić - odezwałem się nie wiedząc czy mu przekonany o swojej racji. - Żeby zrozumieć, potrzeba światła.

Domyślałem się, że była w tym jakaś sztuczka templariuszy, sposób, żeby rzucić światło na tajemnicę, którą odkryliśmy. Jerycho zapalił więc drzazgę od swojej latarni i dotknął oliwy w najbliższym stożku. Oliwa zapłonęła i smużka ognia wyżłobionym kanalikiem popłynęła ku następnym lampkom.

Ożywały jedna po drugiej, tworząc łańcuch wokół okrągłej kopuły, aż mroczne dotychczas miejsce wypełniły tańczące światła i cienie. Nie był to jednak koniec widowiska. W kamiennych żebrach biegnących po szczyt kopuły wyżłobiono rowki, które teraz rozbłysły pod wpływem idącej od dołu fali światła czy ciepła i zapłonęły niesamowitym purpurowym blaskiem podobnym do tego, jaki widywałem przy elektrycznych eksperymentach z próżniowymi szklanymi rurkami.

- Otchłań Lucyfera! - sapnął Mały Tom.

Złocona kula w najwyższym punkcie sklepienia też zaczęła świecić. I nagle wystrzelił z niej promień purpurowej

poświaty, jak te, które wyczarowywałem elektrycznością na Boże Narodzenie. Promień ten padł na cokół znajdujący się po środku pomieszczenia.

Tam, gdzie mogła leżeć księga lub zwój do przeczytania.

Jerycho i Miriam się przeżegnali znakiem krzyża.

Do otworu pośrodku piedestału, przedtem pewnie zakrytego przez księgę, teraz światło wpadało bez przeszkód...

Usłyszałem zgrzyt, jakby obracającego się zardzewiałego koła. Marynarze znieruchomieli, nasłuchując. Zerknąłem na sklepienie, sprawdzając, czy się nam nie wali na głowy.

-To Czarna Madonna! - krzyknął Potts ze schodów wiodących w górę ku sali spotkań templariuszy. - Obraca się!

ROZDZIAŁ 9

Pognaliśmy schodami w górę, ku posążkowi, jakbyśmy chcieli zobaczyć cud. Nieruchome przedtem ramię obracało się razem z resztą posążku, w ścianie zaś otwierało się przejście podobne do tego, jakie odsłoniła Biała Madonna. Gdy posążek się zatrzymał, jego ramię wskazywało otwarte właśnie drzwi.

- To musi być ten skarbiec! - odezwał się Ned.

Potts wyrwał pistolet zza pasa i pierwszy skoczył, żeby się wspiąć po krętych schodach.

-Czekajcie! - krzyknąłem. Jeżeli to przejście zostało otwarte dzięki uruchomieniu tego niezwykłego pokazu świateł niżej, to tylko dlatego że dziura w piedestale była odsłonięta. Był więc on swoistym kluczem otwierającym drogę do dalszych skarbów, czy może czujnikiem alarmu, który miał powiadomić templariuszy o zabranii księgi? -Nie wiemy, co to wszystko znaczy!

Czterej żeglarze pognali już w górę schodów, więc niezbyt ochoczo poszliśmy za nimi, ja i Jerycho, a Miriam i Farhi ruszyli za nami. Grubo ciosane ściany korytarza przypominały mi tunel ciągnący się za sadzawką Siloam - był stary, starszy niż czasy templariuszy. Czyżby pochodził z czasów Salomona lub może Abrahama? Korytarz piał się spiralą w górę i zakończył kamienną płytą z wielkim żelaznym pierścieniem pośrodku.

-Ciągnij, Ned! - rozkazał Tentwhistle. - Ciągnij jak wszyscy diabli i skończmy z tym!

Marynarz uczynił, co mu kazano, i powoli otwierał odrzwia. Zauważyłem, że drugą ich stroną jest nierówna, surowa skała. To ostatnie wejście z tamtej strony musiało wyglądać jak część jaskini. Czy ludzie na górze w ogóle wiedzieli o istnieniu tego korytarza?

- Gdzie, do cholery, trafiliśmy? - zapytał Potts.

Przed nami była rozleglejsza i jaśniejsza pieczara.

- Myślę, że jesteśmy w jaskini pod samą Świętą Skałą - powiedziałem szeptem. - Jesteśmy wprost pod Kub-bet es-Sakhra, świętym kamieniem, fundamentem świata i Kopułą na Skale.

- Wprost pod miejscem, na którym niegdyś stała świątynia Salomona - oznajmił podniecony Farhi, sapiąc ze zmęczenia na końcu naszego szyku. - Tu mogły być przechowywane świątynne skarby lub może nawet sama Arka...

- I dokładnie tam, gdzie muzułmańscy strażnicy mogą usłyszeć intruzów z dołu - ostrzegł Jerycho. Wszystko to poszło zbyt szybko.

- Chcesz powiedzieć, że muzułmanie...

Marynarze nie czekali.

- Skarb, chłopcy, skarb!

Ned i jego towarzysze wpełnęli się do korytarza. Zaraz potem ktoś wrzasnął coś po arabsku i głowa Potts'a eksplodowała fontanną krwawych strzepów.

Kadet ciągnął mnie z zapalem za sobą... i w następnej chwili jego mózg obryzgał nas wszystkich. Potts runął na ziemię jak marionetka, której poprzecinano sznurki. W wąskim przejściu pojawiły się kłęby gryzącego dymu prochowego.

- Padnij! - wrzasnąłem i wszyscy padli na ziemię. Zaraz potem rozległ się huk salwy i ponury gwizd od bijających się od ścian kul.

- Allah akbar! Bóg jest wielki!

Muzułmanie usłyszeli, jak rozbijaliśmy się po ich sanktuarium, i wezwali janczarów! No dobrze, rozwścieczyli-

śmy gniazdo szerszeni. Przez kłęby dymu widziałem ludzi ponownie nabijających muszkiety.

Strzeliłem więc i odpowiedział mi jęk. Zaraz potem rozległ się huk pistoletu Tentwhistle'a, który też zaliczył trafienie, i teraz janczarzy śmignęli pod ściany, szukając osłony.

- Odwrót! - zagrziałem. - Szybciej, na Boga! Przez tamte drzwi!

Gdy jednak spróbowaliśmy je zamknąć, janczarzy skoczyli naprzód i kilkanaście rąk wczepiło się w krawędź z drugiej strony. Ned wydał gromki okrzyk bojowy i zaczął siec kordelasem, odcinając palce jeden za drugim. Zza drzwi huknęły wystrzały i Tom dostał kulę w ramię. Odrzuciło go w tył, aż zaklął siarczyście. Drzwi znów się zaczęły otwierać, więc Ned z niedźwiedzim rykiem skoczył na nie rąbiąc jak oszalały derwisz, aż w końcu ręce się cofnęły. Rosły marynarz zatrasnął je z hukiem, a potem zablokował jednym z naszych łomów, tak że muzułmanie musieli je z mozołem wyważać. Pognaliśmy krętymi schodami w dół, do pustej sali templariuszy. Z tyłu i z góry goniły nas ciężkie uderzenia młota, którymi muzułmanie walili w kamienne drzwi.

Jak nas złapią, rozerwą na strzępy za to, że zbezcześciliśmy świętość tego meczetu.

Mieliśmy szansę tylko po drugiej stronie przejścia. Farhi mówił, że w tym wąskim korytarzu jeden człowiek może zatrzymać całą armię. Przebiegliśmy przez przedsionek czaszek do dziury, którą wybiliśmy zaledwie przed godziną. Zamierzałem zatrzymać tu wrogów rusznicą i kordelasem, dając innym czas na ucieczkę. Wszystko się cholernie pokiełbało!

A jednak coś się zmieniło. Otwór, który zrobiliśmy w murze, wyraźnie się zmniejszył. Kamienie wróciły na miejsce i nie można było przeleźć na drugą stronę. Co to za sztuczki?

- *Au revoir, Monsieur Gagel* - usłyszałem znajomy głos z drugiej strony zmniejszonego otworu.

Znowu! Był to głos fałszywego celnika, który usiłował mnie obrabować we Francji i któremu spuściłem cięgi, gdy jego poplecznicy napastowali Miriam. Tym razem wołał przez otwór, który miał już wielkość jednego bloku! Nie była to więc żadna magiczna sztuczka, tylko perfidia Silana. Francuzi musieli - tak jak się tego obawiałem - podążać za nami, potem wyłamali kłódkę, którą Jerycho zostawił na kracie przy sadzawce Siloam, i usłyszeli nasze krzyki rozczarowania, gdy nie znaleźliśmy żadnego skarbu. A potem zabrali się do zamurowania przejścia tym cementem, który przyniósł tu Wielki Ned. Padliśmy ofiarą własnej przebiegłości.

- Cement jeszcze nie stwardniał! - ryknął Wielki Ned.

Niestety - albo zaprawa zespoła się zbyt szybko, albo tamci wsparli mur kamieniami i belkami. Odbił się jak piłka. Marynarz zaczął walić pięściami w zamurowane przejście, podczas gdy Mały Tom chwiał się jak pijany, trzymając ramię palcami, spomiędzy których sączyła się krew.

- Nie ma na to czasu! - uciął Tentwhistle. - Muzułmanie przebiją się przez drzwi na górze i zejną schodami Czarnej Madonny!

- Schody Białej Madonny! - zawołał Farhi. - To nasza jedyna szansa!

Pognaliśmy więc z powrotem do salki na górze. I tam usłyszeliśmy trzask, łoskot i bojowe okrzyki Arabów, dolatujące od strony schodów za czarnym posążkiem. Przebili się! Wraz z Tentwhistle'em podbiegliśmy do nich i obaj wypaliliśmy w górę. Kule poleciały wzwyż, rykoszetując od ścian, ale chyba na chwilę zatrzymały strażników. Po przeciwnej stronie komnaty Farhi przecisnął się obok Białej Madonny i zaczął się pięć w górę. Jerycho wepchnął siostrę za nim. Pozostali przebiegali kolejno przez salę

i też znikali w wąskim przejściu. W końcu Wielki Ned wepchnął mnie przed sobą.

- Ja ich zatrzymam! - zagrział.

Olbrzym chwycił Białą Madonnę i z wysiłkiem, od którego skóra mu niemal popękała na ramionach, oderwał ją od piedestału. Nasi prześladowcy tymczasem wpadli do sali z drugiej strony, rozejrzeli się i wydali tryumfalne okrzyki, gdy zobaczyli, jak znikamy w przejściu. Wielki Ned odwrócił się, z trudem wcisnął w wąski korytarz, ciągnąc za sobą Madonnę, i zablokował przejście posągiem, co ponownie zatrzymało na chwilę pościg. My pognaliśmy krętymi schodami wyżej.

Bezładny tłum muzułmanów napał na posąg i odbił się od niego, wydając dzikie wrzaski wściekłości i rozczarowania. Zaraz też zaczęli odciągać Madonnę w tył.

Wspinaliśmy się gnani potępięczą desperacją. Słyszałem dobiegające z dołu okrzyki strażników usiłujących rozwalić zatrzymującą pościg statwę. Rozległy się kolejne wystrzały, ale kule nieszkodliwie odbiły się od ścian. Wrzaski janczarów niewątpliwie zaalarmowały ich współwyznawców na Górze Świątynnej - musieli już wiedzieć o wtargnięciu intruzów. Dotarliśmy do żelaznej kraty. Tentwhistle rozwalił zamek strzałem z pistoletu i odepchnął ją na bok. Zadzwoniła niczym gong. Ja tymczasem przeładowałem swoją rusznicę. Wydostaliśmy się na szczyt Góry Świątynnej wewnątrz meczetu Al-Aksa. Spostrzegłem, że krzyżowcy go przebudowali - za sprawą rządu łukowato sklepionych wysokich okien budowla przypominała po trosze arabski pałac, a po trosze europejski kościół. Domysły Farhiego były trafne - schody Białej Madonny zbudowano, żeby uzyskać sekretne wejście z siedziby templariuszy do znajdujących się niżej tajnych komnat.

Podbiegliśmy do drzwi meczetu. Rozległy świątynny plac blade oświetlony pierwszymi promieniami świtu zapełniały setki zbrojnych wyznawców Proroka, wściekłych

jak podrażnione pszczoły w ulu. Za nimi widziałem błękitne płytki i złotą Kopułę na Skale z drzwiami, przez które wbiegali i wybiegali rozjuszeni mężczyźni. Jedni śpiewnie nucili modlitwy, inni wrzeszczeli dziko i wywijali pałami. Na szczęście niewielu było tu janczarów z muszkietami. W końcu niektórzy nas zobaczyli i zaraz potem wszyscy jak jeden z rykiem wściekłości rzucili się w naszą stronę.

- Co z nimi zrobimy? - zapytał mnie Ned.

Uniosłem rusznicę do ramienia.

Meczet Al-Aksa w nocy oświetlany był przez ogromne zwisające ze sklepienia żyrandole, które opuszczano na linach, żeby zapalić lampki. Jedna z tych lamp - kilkanaście kaganków na metalowej, ważące przynajmniej tonę konstrukcji o średnicy dziesięciu stóp - wisiała nad drzwiami. Gdy tłum runął na zewnątrz, uchwyciłem hak w sklepieniu na krzyż lunetki mojego celownika i nacisnąłem spust.

Strzał zwolnił linię i cała konstrukcja runęła niczym ostrze gilotyny, miażdżąc czoło tłumowi i rozpraszając resztę. Nasi prześladowcy natychmiast się cofnęli i zaczęli niespokojnie łypać w górę. To wystarczyło, żeby nasza banda brudnych obszarpańców przebiegła na tyły meczetu.

- Oni porwali święte relikwie Mahometa! - usłyszałem wrzaski tłumowi.

A mnie mignęła myśl, że być może podróż Proroka do Jerozolimy i jego wniebowstąpienie nie były tylko mitem; może był tu jak my, szukał mądrości i ją znalazł? Czyżby i on słyszał o Księdze Tota? Jakie nauki odebrał Jezus w Egipcie i czy nie trafił tam Budda podczas swoich wędrówek? Czyżby wszystkie religie, mity i przeplatające się nieustannie opowieści upiększające stare teksty były prawdami opartymi na starszej od nich prawdzie i tajemnicami skrywającymi największą nich? Oto myśl iście

bluźniercza, ale tu, w religijnym ośrodku świata, nie mogłem się jej oprzeć.

Przebiegliśmy po wydeptanych czerwonych dywanach pokrywających kamienne płyty posadzki meczetu, obawiając się, że trafimy w ślepy zaułek, który stanie się miejscem naszej zguby. Ale w miejscu, gdzie Al-Aksa i Góra Świątynna przylegały do miejskich murów, czekały kolejne wielkie, zamknięte odrzwia. Wielki Ned uderzył w nie całym ciałem i tym razem zdołał je wyważyć, zostawiając drzazgi niczym świeże rany w starym drewnie. Wyjrzelśmy na zewnątrz. Mur spływał z południowego krańca Góry Świątynnej i przy wieży skręcał na zachód, obejmując leżące niżej miasto.

- Jak dotrzemy do labiryntu tych uliczek tam w dole, możemy ich zgubić - wycharczał Farhi.

Współ z Miriam i rannym Małym Tomem, chwiejąc się z wyczerpania, ruszyli wzdłuż murów ku schodom wiodącym do Bramy Gnojnjej, podczas gdy Tentwhistle i ja przeladowaliśmy broń, a Ned i Jerycho sięgnęli po kordelasy. Gdy pierwsi prześladowcy pokazali się w bramie, którą właśnie opuściliśmy, daliśmy ognia. Potem w dym skoczyli Ned i Jerycho. Rozległy się wrzaski, atakujący się cofnęli i z zamieszania wyłonił się zbryzgany krwią Ned.

- Dwa razy pomyślą, zanim zaczną nas gonić - stwierdził, uśmiechając się szeroko.

Jerycho miał niezbyt tęgą minę, choć jego ostrze też broczyło krwią.

- Przynieśliście tu ze sobą zło - zwrócił się do marynarza.

-Kowalu, jeśli dobrze pamiętam, to przyprowadziliście nas tu ty i twoja bojowa siostrunia.

I znów rzuciliśmy się do ucieczki.

Gdyby nasi prześladowcy byli lepiej uzbrojeni, mogliby nas bez trudu pozabijać. W sumie jednak wystrzelili za nami wszystkiego kilka kul, które minęły nas z charakte-

rystycznym świstem, paraliżującym człowieka, jeżeli ten zacznie o nim myśleć. Wreszcie zbiegliśmy schodami ku jerozolimskim uliczkom. Brama Śmieciarzy została zamknięta na głucho przez uzbrojonych w sejmitary janczarów i nie mogliśmy wydostać się na zewnątrz. Na murach nad nami mrowił się rozjuszony tłum wyznawców Proroka, którzy na łeb, na szyję gnali ku schodom.

- Do dzielnicy żydowskiej! - zawołał Farhi. - To nasza jedyna szansa!

Naszej ucieczce towarzyszyły alarmowe wrzaski z wieżyczek minaretów i dzwony kościołów. Poderwaliśmy na nogi całe miasto. Na ulicach zapanowała wrzawa; zamęt zwiększało szczekanie psów i beczenie owiec. Obok nas przebiegł przerażony kozioł gnający w przeciwną stronę. Zasapany Farhi wiódł nas ku synagodze Ramban i Bramie Jafskiej, a tłum muzułmanów z pochodniami sunął za nami niczym ognisty wąż. Nawet gdybym znalazł czas na ponowne nabicie rusznicy, pojedynczy strzał nie uśmierzyłby wściekłości, jaką obudziliśmy, wdzierając się pod Kopułę na Skale. Zrozumiałem, że jeżeli nikt nam nie pomoże, to będzie po nas.

- Oni chcą spalić synagogi Ramban i Johanana ben Zakkai! - krzyknął Farhi do zaniepokojonych, wybiegających na ulice żydów. - Zwołajcie też chrześcijan! Muzułmanie się zbuntowali!

- Synagogi! Ratujcie nasze świątynie!

Ten okrzyk posłużył nam za tarczę. Żydzi ruszyli na spotkanie tłumu wlewającego się do ich dzielnicy. Chrześcijanom powiedziano, że prawdziwym celem muzułmanów jest Kaplica Najświętszego Sakramentu. Tłum zderzył się z tłumem. W okamgnieniu rozpętał się chaos.

A Farhi zniknął.

- Rozdzielmy się! - krzyknąłem pozostałym. - Jerycho i Miriam, wy tu mieszkacie! Biegnijcie do domu!

-Słyszałem, jak muzułmanie powtarzali moje imię -

odparł ponuro kowal. - Nie możemy zostać w Jerozolimie. Rozpoznano mnie. - Zmiażdżył mnie wzrokiem. - Zniszczą i spalą mi dom.

Poczucie winy niemal mnie obezwładniło.

- To zabierzcie, co się da, i uciekajcie na wybrzeże. Smith organizuje obronę Akki. Spróbujcie się u niego schronić.

- Chodź z nami! - poprosiła Miriam.

- Nie! Wy możecie tam dotrzeć bez przeszkód, jesteście tutejsi. My będziemy się rzucać w oczy jak śniegowy bałwan w czerwcu. - Podał jej serafiny. - Weź je i ukryj, dopóki znów się nie spotkamy. Zaczekamy do zmroku i potem spróbujemy się jakoś wymknąć inną drogą, żeby dać wam czas na ucieczkę. Nie martw się. Do zobaczenia w Akrze!

- Straciłem dom i reputację, żeby dotrzeć do pustej sali - zgrzytnął zębami Jerycho.

- Coś tam było! - zachnąłem się. - Wiesz, że było. Pytanie, gdzie to jest teraz. A gdy to znajdziemy, staniemy się bogaczami.

Spojrzał na mnie wzrokiem, w którym mieszały się gniew, desperacja i nadzieja.

- Idź! No, idź, zanim będzie za późno dla ciebie i twojej siostry!

W tej samej chwili Tentwhistle pociągnął mnie za rękaw.

- Chodź, Gage, zanim będzie za późno i dla nas! Rozdzieliliśmy się. Obejrawszy się za Jerychem i Miriam, krzyknąłem jeszcze:

- Znajdziemy to!

Współ z angielskimi marynarzami pobiegłem do Bramy Dawida. Obejrzałem się raz jeszcze, ale Miriam i Jerycho przepadli już w ludzkim morzu jak dwa kawałeczki drewna. My sami, choć zdesperowani, poruszaliśmy się zbyt wolno. Mały Tom z ramieniem lepkiem od krwi nie mógł iść szybko, ale trzymał się dzielnie. Wkroczyliśmy do dzielnicy Ormian i podeszliśmy do bramy. Strzegący

jej żołnierze zniknęli - prawdopodobnie mieli tłumić zamieszki albo nas znaleźć; tak czy owak był to pierwszy uśmiech losu w przedsięwzięciu, które zakończyło się całkowitym niepowodzeniem. Zdjęliśmy rygiel z wielkich drzwi, otworzyliśmy je i wyszliśmy na otwarty teren. Niebo już różowiło. Za nami pochodnie, płomienie i nadciągający' świt zabarwiły nieboskłon nad miastem złotem. Przed nami był zbawczy cień.

Z prawej mieliśmy górę Syjon i grób Dawida. Na lewo rozciągała się Dolina Hinnom i gdzieś w mroku niżej sadzawka Siloam.

- Obejdziemy miasto ku północy i ruszymy drogą na Nablus - odezwałem się. - Jeżeli nie będziemy marudzić po drodze, możemy w ciągu czterech dni dotrzeć do Akry i skontaktować się z Sidneyem Smithem.

- A co ze skarbem? - zapytał Tentwhistle. - To już koniec? Rezygnujemy?

- Sami widzieliście, że go tam nie było. Musimy się zastanowić, gdzie szukać dalej. W Bogu nadzieja, że nie złapią Farhiego. On powinien wiedzieć, co mamy robić dalej.

- Nie, ja sądzę, że nas zdradził. Czemu wymknął się chyłkiem i bez słowa?

Też się nad tym zastanawiałem.

- Gra idzie o nasze głowy - stwierdził Wielki Ned.

W tejże chwili jego porucznik szarpnął się, a nad wzgórzami zagrzmiały echa strzału. Zaraz potem huknęły kolejne - kule wzbijały wokół nas kłęby kurzu. Tentwhistle usiadł z jękiem bólu. Zaraz potem usłyszałem okrzyki po francusku:

- Tam są! Rozproszyc się! Trzeba ich otoczyć!

Byli to ludzie, którzy usiłowali zamurować nas w tunelach, ci sami Francuzi, którzy napadli na Miriam. Wyleźli poprzez sadzawkę Siloam, usłyszeli wrzawę i zaczęli pod murem, aż ktoś się pojawi.

Przykłęknąłem obok Tentwhistle'a i uniosłem rusznicę do oka. Znalazłszy jednego z czterech przeciwników, naprowadziłem nań krzyżyk celownika i wypaliłem. Runął na miejscu. Wspaniała broń. Przeładowałem pospiesznie.

Ned wziął pistolet porucznika i też wystrzelił, ale nasi przeciwnicy byli zbyt daleko.

- Nie strzelaj - poradziłem mu - bo wskórasz tylko tyle, że błysk twojego wystrzału zdradzi im miejsce, gdzie się ukrywasz. Przeprowadź Toma i porucznika ponownie przez bramę. Ja tu ich zatrzymam, a potem zgubimy ich w dzielnicy Ormian.

Nad naszymi głowami gwizdnęła kolejna kula. Tentwhistle charknął krwią. Jego oczy powlekała już mgielka. Wiedziałem, że długo nie pociągnie.

- Jasne, szefuniu, daj nam tylko trochę czasu. - Ned zaczął ciągnąć porucznika do tyłu, a Tom powlókł się za nimi. - Potts nie żyje i dwu naszych jest rannych. Ty to umiesz dodać otuchy...

Tymczasem zaczęło się przejaśniać. Wokół gwizdały kule - Francuzi podchodzili coraz bliżej. Strzeliłem jeszcze raz i obejrzałem się za siebie. Marynarze przechodzili przez bramę. Nie miałem już czasu na nabijanie broni, trzeba było się zwijać. Pochylony zacząłem przekradać się ku bramie. Mroczne sylwetki wrogów zbliżały się, okrążając mnie jak stado wilków. I wtedy usłyszałem zgrzyt. Brama zaczęła się zamykać! Pomknąłem szybciej i dotarłem do murów w chwili, gdy brama się zatrzasnęła, zostawiając mnie na zewnątrz. Usłyszałem łoskot, z jakim rygiel opadał w zapory.

- Ned! Otwieraj! - Usłyszałem francuską komendę i padłem na ziemię ułamek sekundy wcześniej, niż kilka kul smagneło żelazne okucia bramy. Byłem jak skazaniec pod ścianą. - Ned, pospiesz się, oni są coraz bliżej!

- Szefuniu, myślę, że lepiej będzie, jak pójdziemy swoją drogą! - zawołał Ned zza bramy.

- Jaką swoją drogą? Na litość boską!
 - Nie sądzę, żeby te zabójcy zawracały sobie głowy kilkoma biednymi angielskimi marynarzami. To ty znasz sekrety ukrytych skarbów, prawda?
 - Co?! Zostawiasz mnie na ich pastwę?!
 - Może wskażesz im drogę tak jak nam, co?
 - Ned, cholera, musimy się trzymać razem, jak powiedział wasz porucznik!
 - On właśnie się przekreślił, a my też mamy niewielkie szanse. Szefuniu, nie należy oszukiwać uczciwych marynarzy przy grze w karty. Tracisz przyjaciół...
 - Ale ja nie oszukiwałem! Przechytrzyłem was i tyle!
 - Wszystko jedno!
 - Ned! Otwórz bramę!
- Odpowiedzią był głuchy łoskot rygła.
- Ned! - Leżąc na ziemi, waliłem pięściami w żelazo okuć. - Ned, wpuść mnie!

Usłyszałem już tylko tupot oddalających się kroków. Odwróciłem się. Francuzi podeszli na odległość kilku jardów - spojrziałem wprost w wymierzone we mnie lufy muszkietów. Najwyższy z drabów uśmiechał się szeroko.

- Pożegnaliśmy się pod Górą Świątynną i oto los znów kazał nam się spotkać! - zawołał herszt. Zdjął trójrożny kapeluszy i uklonił się. - Monsieur Gage, jesteś jak oset... wyrastasz, gdzie cię nie posieją. Ale i ja potrafię zaskoczyć, nieprawdaż? - Uśmiechał się jak oprawca do ofiary. - Na pewno mnie pamiętasz... Dylizans do Tulonu. No, jakże! Pierre Najac, do usług!

- Owszem, pamiętam: fałszywy celnik, który okazał się prawdziwym złodziejem. Więc Najac to twoje prawdziwe nazwisko?

- W zasadzie tak. Monsieur, co się stało z twoimi przyjaciółmi?

- Podzieliła nas różnica zdań przy kartach.

ROZDZIAŁ 10

Gdy Najac się uparł, żeby mi pokazać swoją ranę, zrozumiałem, że siedzę po uszy w becze łajna. Ranę tę zadałem mu przed rokiem; była czerwona, poszarpana i szpeciła tors, który skądinąd i bez tego od kilku miesięcy nie widział mydła. Niewielki krater znajdował się w odległości kilku cali poniżej lewego sutka i ku lewej - strzelając w pośpiechu, chybiłem w końcu dość nieznacznie. Teraz dowiedziałem się jeszcze, że mój przeciwnik koszmarnie śmierdzi.

- Złamało mi się żebro - oznajmił. - Wyobraź sobie moją radość, gdy po powrocie do zdrowia dowiedziałem się, że być może żyjesz i że mogę pomóc mojemu panu cię odnaleźć. Przede wszystkim okazałeś się głupcem, wszczynając poszukiwania w Egipcie. Potem, gdy przybyliśmy tutaj, złapaliśmy starego durnia, który skrzeczał o Franku, co miał przy sobie złote anioły Szajtana, i wszystko nam wyśpiewał, gdy go przypiekliliśmy. Wtedy zrozumieliśmy, że jesteś gdzieś niedaleko. Zemsta jest tym słodsza, im dłużej ją odwlekasz, prawda?

- Powiem ci, kiedy wreszcie cię zabiję!

Mój żart skwitował śmiechem. Wstał i kopnął mnie w głowę tak mocno, że zobaczyłem nagle wszystkie gwiazdy. Ze związanymi nogami i rękami wpadłem w ognisko i udało mi się odczołgać dopiero, gdy płonące ubranie dobrze mi już dopiekło. Moi prześladowcy ryknęli śmiechem, ale ja zawsze lubiłem być w centrum uwagi i zaba-

wy. Oparzenia te dokuczały mi i później. Była już noc po dniu, w którym opuściliśmy Jerozolimę; obawa połączona z bólem pomagały mi zachować jasność umysłu. Byłem wyczerpany, obolały i przerażająco samotny. Gromada rzezimieszków Najaca powiększyła się jakoś do dziesięciu osobników, z których połowę stanowili Francuzi. Pozostali, szkaradni jak ropuchy beduińscy obszarpańcy, wyglądali jak ostatnie śmiecie Arabii. Oprócz połowy zębów w całym tym towarzystwie obwiesiów brakowało Francuza, którego pchnąłem kindżalem podczas bójki wokół Miriam. Miałem nadzieję, że go wykończyłem, co oznaczałoby, że czynię postępy w pozbywaniu się nieprzyjaciół. Może jednak i on wracał do zdrowia, marząc o dniu, w którym mnie złapie i skopie.

Nastroju Najaca nie poprawiło odkrycie, że nie mam przy sobie niczego wartościowego oprócz mojej rusznicy i tomahawka, które sobie zresztą natychmiast złodziejsko przywłaszczył. Serafimy powierzyłem Miriam, a w całym tym zamęcie ktoś - przypuszczam, że Wielki Ned albo Mały Tom - uwolnił mnie od sakiewki. Upierałem się wprawdzie, że pod ziemią nie znaleźliśmy niczego godnego uwagi i że Jerozolima rozczarowała mnie tak samo jak Egipt, ale moi prześladowcy nie odebrali tego najlepiej.

Co ja miałbym robić pod ziemią, gdyby nie było tam nic wartościowego?

Odpowiedziałem, że chciałem zobaczyć fundamenty świata od spodu.

Skopali mnie i pobili, ale nie zaryzykowali zatłuczenia mnie na śmierć. Przejścia i korytarze pod Górą Świątynną były teraz najpewniej pełne muzułmanów, którzy się zastanawiali, czego myśmy tak szukali. Wszystko to uniemożliwiało powrót tej zbieraninie arabskich i francuskich opryszków, tylko ja więc mogłem im powiedzieć, o co toczy się gra.

- Spaliłbym cię tu żywcem, gdyby Bonaparte i mój pan nie chcieli mieć cię żywego - warczał Najac.

Pozwolił tylko Arabom zabawiać się w rzucanie ostrzami sztyletów płonących węgielków na moje ręce i nogi. Co prawda i to wystarczyło, żebym jęczał z bólu.

W końcu straciłem przytomność z wyczerpania; obudzono mnie boleśnie następnego ranka, żeby wepchnąć mi w zęby trochę bryi z rozwodnionej ciecierzycy. Potem ruszyliśmy w drogę, schodząc z otaczających Jerozolimę wzgórz ku nadmorskiej dolinie. Na horyzoncie wznosiły się kolumny dymu.

Francuska armia miała pełne ręce roboty.

Mimo że byłem pojmanym więźniem, wkroczyłem do obozu Napoleona z osobliwym uczuciem, jakbym powrócił do domu. Towarzyszyłem tej armii i dołączyłem do dywizji Desaix'go pod Denderą. Teraz oto znów zobaczyłem ludzi w europejskich mundurach, którzy pod białymi murami Jaffy rozstawiali swoje namioty. Wyczułem zapach znanych mi potraw i usłyszałem miły uchu dźwięk francuskiej mowy. Kiedy jechaliśmy wzdłuż szeregu namiotów, ludzie z niemałą ciekawością gapili się na opryszków Najaca, niektórzy zaś spoglądali na mnie z błyskiem rozpoznania w oczach. Nie tak znów dawno temu byłem jednym z ich towarzyszy, jako członek grupy naukowców. Teraz wróciłem w charakterze dezertera i więźnia.

Samą Jaffę też poznawałem, teraz jednak patrzyłem na miasto z pozycji oblężniczych. Znikły zasłony i dywany, a mury nosiły ślady świeżych ran od armatnich pocisków. Liczne pomarańczowe drzewka, wśród których schronili się przed upałem napoleońscy grenadierzy, były okaleczone ogniem z dział tureckich. Przy okopach widać było zwały świeżej ziemi i piasku, a konie uwiązane w cieniu drzewek reagowały na huk armat nerwowym rzeniem.

Machnięciami ogonów opędzały się od much, a ich odchody miały słodkawy, znajomy zapach.

Najac zatrzymał mnie na zewnątrz obszernego namiotu Napoleona i wszedł do środka, zostawiając mnie na pastwę upału i pragnienia. Czułem się fatalnie. Kiedyś spadłem ze skał nad Rzeką Świętego Wawrzyńca i lecąc w dół, miałem to samo uczucie bezsilności - tylko że wtedy trafiłem na jakiś krzak i zsunąwszy się po skałach, wylądowałem w wodzie.

Być może tu też znajdzie się zbawczy krzak.

- Gaspardzie! - zawołałem.

Był to Monge, sławny francuski matematyk i człowiek, który podsunął mi wskazówki dotyczące rozwikłania zagadki wejścia do Wielkiej Piramidy. Od czasów tryumfów Napoleona w Italii należał do kręgu jego zaufanych, a mnie traktował jak zbłąkanego krewniaka. A teraz współ z armią zdobywców trafił do Palestyny.

- Gage? - Podszedłszy bliżej, Monge zmrużył oczy. Jego cywilne ubranie było już mocno znoszone, spodnie miał wyświechtane na kolanach, popękany w szwach płaszcz i twarz najeżoną szczecinę niegolonego zarostu. - Co ty tu robisz? Poradziłem ci, żebyś wrócił do Ameryki!

- Próbowałem. Posłuchaj, masz jakieś wieści o Astizie?

- O tej kobiecie? Przecież ona miała wyjechać z tobą!

- Tak, ale nas rozdzielono.

- Oboje porwaliście balon, powiedział mi o tym Conte. Strasznie go to rozjuszyło! Odlecieliście spokojnie... jakże wam zazdrościliśmy! Na Boga, człowieku, wiedziałem, że nie jesteś prawdziwym naukowcem, ale ty chyba w ogóle jesteś pozbawiony zdrowego rozsądku!

- Z tym nie będę się spierał, doktorze Monge.

Mój rozmówca nie tylko nie miał pojęcia o losie Astizy - najwyraźniej nie wiedział też niczego o naszym wejściu w głąb Piramidy. Szybko doszedłem do wniosku, że lepiej będzie niczego mu nie mówić. Jeżeli Francuzi dowiedzą

się o spoczywającym pod nią skarbie, rozbiorą ją kamień po kamieniu. Lepiej będzie zostawić faraona w spokoju. -Astiza spadła do Nilu, a balon wylądował w końcu w Morzu Śródziemnym - wyjaśniłem. - Czy Nicolas też tu jest? - Niepokoiła mnie trochę myśl o spotkaniu z Con-te'em, aeronautą, któremu ukradłem balon.

- Na szczęście dla ciebie jest na południu i organizuje załadunek naszej artylerii na statki. Wymyślił niezwykle interesujący, wielokołowy pojazd do transportu dział przez pustynię, ale Bonaparte nie może czekać na nowe wynalazki. Podejmiemy ryzyko przewiezienia dział morzem. - Urwał nagle, zrozumiałwszy, że zdradza zbyt wiele. - Ale co ty tu robisz ze związanymi rękami? - zdziwił się. - Jesteś brudny, poparzony... Przebóg, jak do tego doszło?

- On jest angielskim szpiegiem - odezwał się Najac, który właśnie wyszedł z namiotu. - Ty też, panie uczony, budzisz podejrzenia, skoro z nim rozmawiasz.

-Angielskim szpiegiem? Nie rozśmieszaj mnie, mój pocziwczu. Gage jest dyletantem, pieczeniarem, samochwałą i włóczęgą. Nikt zdrowy na umyśle nie podejrzewałby go o szpiegowanie!

- Nie? A nasz generał, na przykład?

Przy tych słowach z namiotu wyszedł Napoleon otoczony wydętą płachtą płótna, jakby naładowano ją elektrycznością. Jak my wszyscy, był bardziej opalony niż przed rokiem w Tulonie i choć wciąż miał dwadzieścia dziewięć lat, sukces i ponoszona nieustannie odpowiedzialność utwardziły jego twarz. Józefina go zdradzała, jego plany narzucenia Egipcjom republikańskich reform spotkały się ze sprzeciwem twardogłowych muzułmanów i musiał krwawo stłumić powstanie w Kairze. Jego idealizm był poddawany ciężkiej próbie, a romantyczne porywy rozwiały się w starciu z rzeczywistością. Szare oczy generała ochłodziły się jak bryłki lodu, ciemne włosy by-

ły zmierzwione, twarz nabrała jastrzębiej ostrości rysów, a sposób chodzenia znamionowała nurtująca go nieustannie niecierpliwość. Podeszedłszy do mnie, zatrzymał się i przeszył mnie wzrokiem. Choć przy swoich pięciu stopach i sześciu calach wzrostu był niższy ode mnie, emanował niepokromioną energią. Nie mogąc wytrzymać jego spojrzenia, odwróciłem wzrok.

- No tak, to ty. Myślałem, że nie żyjesz.

- Przysłał do złopaczy herbaty, *mon general* - podsunął mu usłudnie Najac.

Ten człowiek był jak klasowy gaduła, marzyłem o tym, żeby przestrzelić mu język.

Bonaparte pochylił się ku mnie.

- Czy to prawda, Gage? Zdezerterowałeś, żeby przejść do nieprzyjaciela? Odrzuciłeś republikanizm, racjonalność i reformy na rzecz rojalizmu, reakcji i Turków?

- Generale, rozdzieliły nas okoliczności. Ja tylko usiłowałem się dowiedzieć czegoś o losie kobiety, którą poznałem w Egipcie. Pamiętasz przecież Astizę.

- Tę kobietę, która do nas strzelała? Gage, doświadczenie mi mówi, że z miłości wynika więcej złego niż dobrego. I co? Spodziewałeś się, że znajdziesz ją w Jerozolimie, gdy Najac cię pojmał?

-Jako uczoney, usiłowałem przeprowadzić pewne badania historyczne...

- Dość! - uciał zniecierpliwiony Napoleon. - Jeżeli coś o tobie wiem na pewno, to że nie jesteś żadnym uczonym! Nie zwracaj mi już głowy tymi cholernymi bzdurami! Jesteś zdrajcą, kłamcą i hipokrytą, który walczył ramię w ramię z angielskimi marynarzami! I prawdopodobnie, jak twierdzi Najac, jesteś szpiegiem! Choć na to ostatnie może masz za mało rozumu, jak utrzymuje Monge!

- Panie, ten tu Najac usiłował we Francji zrabować mi medalion, gdy już zaciągnąłem się w szeregi twojego korpusu ekspedycyjnego. To on jest zdrajcą!

- On mnie postrzelił! - odparował Najac.

- A on jest sługusem hrabiego Alessandra Silano i członkiem przeniwierczej loży rytu egipskiego, nieprzyjaciół prawdziwych wolnomularzy! Jestem tego pewien!

- Milczeć! - przerwał nam Napoleon. - Gage, doskonale wiem, że nienawidzisz hrabiego Silano. Wiem także, że on wykazał się godnymi podziwu lojalnością i wytrwałością pomimo upadku z piramidy.

No tak, pomyślałem. Silano żyje. Wieści goniły jedna drugą, a każda była gorsza od poprzedniej. Czyżby hrabia udał, że jego upadek z balonu był tożsamy z upadkiem z piramidy? I dlaczego nikt ani słowem nie wspomina

O Astizie?

- Gdybyś był lojalny jak Silano, nie wpakowałbyś się w takie tarapaty. Przebóg, Gage, oskarżano cię o morderstwo! Dałem ci sposobność odzyskania dobrego imienia, ale ty zmieniasz strony jak wahadło zegara!

- *Mon general*, to już taki charakter - wtrącił przebiegłe Najac.

Gdybym mógł, byłbym drania uduśił.

- Właściwie to szukałeś skarbu, nieprawdaż? - zapytał Napoleon tonem wykluczającym odpowiedź przeczącą. - I tylko o to ci chodziło. Merkantyizm i chciwość godne Amerykanina.

- Szukałem wiedzy - odparłem, co było dość bliskie prawdy.

- I jakąż wiedzę znalazłeś? Mów prawdę, jeżeli cenisz swoje życie!

- Generale, spójrz na mnie i powiedz, jaką mogłem znaleźć wiedzę? To cała prawda. Wszystko, co mówiłem, to prawda. Jestem tylko amerykańskim badaczem wplątany w wojnę innych...

- Generale, ten człowiek najwyraźniej jest raczej durniem niż zdrajcą - wtrącił Monge. - Zgrzeszył niekompetencją, nie zdradą. Spójrz na niego. Co on może wiedzieć?

Usiłowałem wykrzywić gębę w głupi uśmiech - co nie jest łatwe dla człowieka mającego choć kilka garści rozumu - bo pomyślałem, że w mojej sytuacji lepiej trzymać się matematyka niż jakimkolwiek sposobem dać pożywkę podejrzeniom Najaca.

-Mogę wam tylko powiedzieć, panowie, że sytuacja w Jerozolimie jest piekielnie skomplikowana - stwierdziłem. - Nie bardzo wiadomo, kogo zechcą poprzeć chrześcijanie, żydzi i druzowie...

- Dość! - Napoleon spojrział na nas niechętnie. - Nie wiem, Gage, czy kazać cię rozstrzelać czy pozwolić, żeby zrobili to Turcy. Powinienem cię odesłać do Jaffy, żebyś tam zaczekał na moich żołnierzy. Nie należą do nadzwyczaj cierpliwych ludzi... nie po walkach pod Al-Arisz i Gazą. A może powinienem odesłać cię do Dżezara z listem świadczącym o tym, że jesteś moim szpiegiem.

Przełknąłem ślinę.

- Może zdołałbym jakoś pomóc doktorowi Monge...

Nagle rozległ się huk armat, jęki rogów i głośne wrzaski. Spojrzeliśmy ku miastu. Od południa z bram Jaffy wypływała kolumna osmańskich piechurów, czemu towarzyszyła kanonada tureckich dział. Z łopoczącymi na wietrze flagami ludzie runęli w dół, ku nieukończonym umocnieniom wokół stanowisk francuskiej artylerii.

Po chwili zagrzmiały salwy z okopów francuskich.

- Tam do kata! - mruknął Napoleon. - Najac!

- *Oui, mon general?*

- Muszę się tym zająć. Możesz z niego wydobyć, co on naprawdę wie?

Obleśny typ uśmiechnął się szeroko.

- Z pewnością.

- To zrób to i złóż mi raport. Jeżeli naprawdę jest bezużyteczny, każę go rozstrzelać.

-Generale, pozwól mi z nim pomówić - spróbował jeszcze Monge.

- Doktorze, pomówisz z nim raz jeszcze, żeby usłyszeć jego ostatnie słowa.

Powiedziawszy to, Bonaparte pobiegł w kierunku wystrzałów, ciągnąc za sobą sznur adiutantów.

Nie jestem tchórzem, ale człowiek zawieszony do góry nogami nad piaskową wygrzebaną w nadmorskich wydmach jamą i otoczony wianuszkami podnieconych rzezimieszków arabskich i francuskich gotów jest wyleżeć ze skóry, żeby powiedzieć im to, co chcą usłyszeć. Choćby tylko po to, żeby powstrzymać napływ cholerycznej krwi do głowy - czułem, że łeb mi zaraz pęknie. Francuzi odparli turecki atak, przedtem jednak osmańscy śmiałkowie zdobyli nieukończony okop artyleryjski i zabili tylu Europejczyków, że wzbudzili wściekłość całej armii. Kiedy ogłoszono, że jestem angielskim szpiegiem, kilku żołnierzy ochoczo ofiarowało się z pomocą opryszkowi Najaca, którzy kopali dół i konstruowali zbity z palmowych pni kozioł, na którym miałem zawisnąć. Formalnie męki miały być sposobem na wydobycie ze mnie informacji, których nie chciałem zdradzić. Tak naprawdę miała to być osobliwa nagroda satysfakcjonująca zebranych przez Najaca rzezimieszków, sadystów, złodziejów i zbrojeńców, wykonujących brudną robotę dla najeźdźców.

Kilka razy zdążyłem już im powiedzieć prawdę.

- Tam niczego nie ma! - krzyczałem. - Nie udało mi się! - wołałem. - Nie wiem nawet dokładnie, czego szukać! - jęczałem.

Tortur nie stosuje się po to, żeby wydusić z kogoś wszystko, co wie, bo chce uniknąć bólu. Tortury mają zadowolić oprawcę.

Ustawili skrzyżowane belki nad piaskową jamą, związali mi kostki i powiesili do góry nogami, zostawiając mi ręce wolne. Wykopali dziesięciostopową jamę w piasku, zanim natrafili na twardą opokę i uznali, że się nada na

mój grób. Potem podszedł jeden z Beduinów z wiklinowym koszem i wysypał zeń do jamy kilka węzów, które natychmiast zaczęły wściekle syczeć.

- Interesująca śmierć, nieprawdaż? - zapytał retorycznie Najac.

- Apofis - odpowiedziałem grubym z powodu niecodziennej pozycji głosem.

- Co takiego?

- Apofis - powtórzyłem głośniej.

Udał, że nie rozumie, Arabowie jednak doskonale pojęli aluzję. Cofnęli się jak jeden, bo było to jedno z imion starego egipskiego boga-węża, którego wielbił renegat i rzeźnik Achmed bin Sadr. Owszem, ponownie zetknąłem się z tym łuskowatym towarzystwem - węże wiły się, jakby każdy z nich zamierzał zrzucić skórę. Wzmianka o Apofisie miała zrodzić wątpliwości w głowach Arabów. Ile naprawdę wiedziałem - ja, tajemniczy elektryk z Jerozolimy? Najac jednak udał, że kompletnie nie zna imienia węzowego boga.

- Ukąszenie węża jest bolesne, a śmierć powolna. Zabijemy cię szybciej, Monsieur Gage, jak mi powiesz, czego naprawdę szukałeś i co znalazłeś.

- Miewałem już lepsze oferty. Idź do diabła!

- Za tobą, Monsieur. Opuszczać! - zwrócił się do ludzi trzymających liny.

Lina zaczęła się wydłużać, czemu towarzyszyły dzikie szarpnięcia. Moja odwrócona w dół głowa zrównała się z poziomem gruntu. Kołysałem się nad jamą i widziałem tylko rząd butów i sandałów, których właściciele ryczeli przepętnieni wrednym entuzjazmem. Opuszczono mnie jeszcze niżej. Odchyliłem głowę, usiłując zajrzeć do jamy. Owszem, były tam węże - wijące się, jak to węże. Przypomniała mi się śmierć Talmy, który okazał się zdrajcą, a potem wszystkie obrzydliwe czyny Silana i jego sługusów, jakich się dopuścili, żeby zawładnąć Księgą.

- Przeklinam was w imieniu Tota! - ryknąłem.

Lina ponownie się zatrzymała, a potem usłyszałem sprzeczkę wśród Arabów. Nie nadażalem ze zrozumieniem gwałtownej wymiany zdań, słyszałem jednak słowa: „Apofis”, „Silano”, „czarnoksiężnik” i „elektryczność”. Zdobyłem sobie pewną reputację, która zaniepokoiła niektórych z moich oprawców.

Ale głos Najaca, gniewny i ponaglący, zabrzmiał mocniej niż krzyki jego sługusów. Lina opuściła się o stopę i znieruchomiała; moi dręczyciele wszczęli sprzeczkę. Nagle usłyszałem huk wystrzału z pistoletu i zjechałem gwałtownie o dwie stopy niżej, a potem znów mnie zatrzymano. Teraz cały już znalazłem się wewnątrz jamy, a węże kłębiły się cztery stopy od mojej głowy.

Spojrzałem w górę. Beduin, który sprzeczał się przed chwilą z Najakiem, leżał martwy, jedna stopa w sandale zwisiała poza krawędź jamy.

- Następny, który mi się sprzeciwi, wyląduje w jamie z jankesem! - ostrzegł Najac. Wszyscy umilkli. - To co, mamy jednomyślność? Opuścić go! Powoli, żeby miał czas na błagania...

Owszem, błagałem... błagałem jak opętany. Gdy chodzi o ukąszenia węży, nie mogę się popisać odwagą. Ale niewiele mi z tego przyszło - zwolnili tylko tempo opuszczania mnie w dół, żeby mieć trochę więcej uciechy. Musieli mnie uznać za urodzonego aktora. Uciekałem się do wszelkich próśb, jakie wedle mojej opinii chcieliby usłyszeć, błagałem, wilem się jak robak na haczyku, pocilem się, aż oczy zaczęły mnie okropnie piec. Potem, kiedy dotychczasowa zabawa ich znudziła, któryś z drabów pchnął linę tak, że zacząłem się kołysać. Do tych wszystkich udręk dołączyły mdłości. Poczulem, że lada moment stracę przytomność. Zobaczyłem kołyszące się węże - i coś jeszcze.

- Hej! Tu jest łopata!

- To po to, żebyś mógł zasypać swój grób, jak zostaniesz ukąszony, Monsieur Gage - wyjaśnił mi Najac. -A może lepiej jednak wyjaśnisz mi, co zobaczyłeś pod Górą Świątynną?

- Już mówiłem! Nic!

Opuścili linę o stopę niżej. Tyle jest pożytku z mówienia prawdy.

Te przekłete węże syczały. Niestłuszenie na mnie się wściekały, ponieważ nie ja je-tam wrzuciłem.

- No... może coś tam było - przyznałem boleśnie.

-Monsieur Gage, nie należę do ludzi cierpliwych. -

Lina ponownie zjechała.

-Czekaj! Czekaj! - Naprawdę wpadłem w panikę. -Każ mnie wyciągnąć, to ci powiem!

Musiałem coś wymyślić! Łby kilku węży gotowych mnie pokąsać kołysały się o parę cali od mojej głowy.

Gdy słońce wspięło się wyżej, jego promienie spływały do mojej jamy. Wyraźniej zobaczyłem łopatę, wijące się po niej węże i skałę, która zatrzymała moich grabarzy. Z tym że teraz nie uznałbym jej już za skałę - miała czerwony kolor dachówek. I bardzo regularny kształt - wyglądała jak cylinder, jak mogłem sądzić ze wzgórka piasku, który się wokół niej nagromadził. Przypominała rurę. Nie - to była rura.

Rura, która - ta myśl przyszła mi do głowy niemal natychmiast - ciągnęła się ku morzu.

-Myślę, że możesz mi to powiedzieć z tego dołu -stwierdził Najac, spoglądając ponad krawędzią jamy.

Wyciągnąłem zwisające ramiona w dół, tak jak tylko mogłem. Do trzonka łopaty brakowało mi mniej więcej stopy. Oprawcy się zorientowali, co chcę zrobić, i opuścili mnie trochę. Wtedy jednak któryś wąż rzucił się ku mojej ręce i szarpnąłem się, zwijając niemal w kłębek, co wywołało salwy śmiechu na górze. Zaraz też moi dręczyciele zaczęli się zakładać, czy pierwszej dosięgnę łopaty, czy może

capnie mnie jakiś wąż. Ponownie opuścili mnie trochę... i jeszcze trochę. Mieli zabawę co się zowie!

- Jak mnie zabijesz, stracisz największy skarb na ziemi! - ostrzegłem.

- To powiedz mi, gdzie on jest.

I znów zjechałem dwa cale niżej.

- Mogę cię do niego zaprowadzić, jeśli darujesz mi życie! - Zerkałem na łopatę i węże, wyginające się tak, by dosięgnąć drewnianego trzonka.

- A co to za skarb?

Kolejny wąż śmignął ku mnie, szarpnąłem się i znów doleciał mnie rechot z góry. Chciałbym być równie zabawny dla paryskich kokot.

-To... - Lina zjechała jeszcze niżej. Wyciągnąłem nagłym ruchem ręce, węże uniosły głowy, a potem odsunęły się gwałtownie, gdy chwyciłem łopatę i zamachnąłem się dziko. Łopata zagarnęła dwa gady i rzuciła je o piaskowe ściany jamy, z których zsunęły się, wijąc wściekle w kaskadzie piasku.

- Och, proszę... na miłość boską! Wyciągnijcie mnie!

- Co to jest, Monsieur Gage? Co jest tym skarbem?

Nie mogąc wymyślić niczego lepszego, ująłem łopatę w obie ręce, wygiąłem się w tył jak tylko mogłem, wymierzyłem starannie, a potem z całych sił walnąłem w glinianą rurę. Rura pękła!

Do wnętrza jamy buchnęła struga brudnej cieczy.

Nikt nie zdziwił się bardziej ode mnie.

Lina opuściła się jeszcze o stopę niżej, na górze rozległ się okrzyk zdumienia, a moje włosy zanurzyły się w tłustej, śmierdzącej bryi. Czyżby to był to jakiś kanał odprowadzający do morza ścieki Jaffy? Zamknąłem oczy, spodziewając się ukąszeń węży, ale usłyszałem tylko gniewne i oddalające się posykiwania.

Otworzyłem oczy i rozejrzałem się dookoła. Gady pięły się po ścianach jamy, uciekając przed śmierdzącą cieczą.

Były to węże pustynne, którym obecna sytuacja odpowiadała tak samo jak mnie.

Głowa znów mi opadła i tym razem zanurzyła się po czoło. Na dolara Hamiltona, czyżbym miał uniknąć jadu tylko po to, żeby utonąć w ścieku?

- Graal! - ryknąłem. - To Graal!

Usłyszawszy to, Najac wydał rozkaz i jego poplecznicy podciągnęli linę wyżej.

Arabowie wykrzykiwali, że jestem czarnoksiężnikiem, który uciekł się do jakiejś elektrycznej sztuczki, żeby wydobyć wodę z piasku. Najac z niedowierzaniem gapił się na łopatę w moich dłoniach. Jama napelniała się wodą, węże usiłowały z niej wypelznąć, ale wszystkie osuwały się w dół i tonęły.

A potem moja głowa znalazła się nad poziomem gruntu. *Wciąż wisiałem związany w kostkach i dyndałem jak półtusza wołowa na haku.*

- Co powiedziałaś? - zagrzmiał Najac.

- Graal - wycharczałem. - Święty Graal. Może raczysz mnie teraz zastrzelić?

Oczywiście byłby to zrobił z największą ochotą. Ale Bonaparte mógłby uznać moje twierdzenie za prawdziwe. I wtedy usłyszałem, że cała oblegająca armia wydaje z siebie gniewny pomruk, który w końcu przeszedł w ryk oburzenia i wściekłości.

ROZDZIAŁU

Okrucieństw nie można usprawiedliwić, niekiedy jednak da się je zrozumieć. Od chwili wylądowania w Egipcie podczas minionego lata wojsko Bonapartego doznawało nieustannych rozczarowań. Upał, nędza i wrogość miejscowej ludności były dla Francuzów szokiem. Spodziewali się, że zostaną powitani jak republikańscy wyzwolicieli, przynoszący dary Oświecenia. Zamiast tego potraktowano ich jak niewiernych i bezbożników, a ocaleli z pogromu mamelucy nieustannie atakowali z głębi pustyni. Pozostawieni w wioskach żołnierze niewielkich garnizonów żyli w nieustannym zagrożeniu - mogli się spodziewać wszystkiego, od trucizny w zupie po wbity nocą w plecy kindżał. Na wszystkie te utrapienia Napoleon odpowiadał nowymi wymaganiami.

Pod Gazą Francuzi natknęli się niespodziewanie na zaciekły opór. Tureckich jeńców wypuszczono na parol, że nie wrócą do walki, oficerowie jednak dostrzegli przez lunety, że teraz te same oddziały obsadziły mury Jaffy. Było to złamanie podstawowej zasady europejskiej sztuki wojennej. Nawet i to jednak nie spowodowałoby późniejszej masakry. Wybuch nieposkromionej wściekłości nastąpił, gdy osmański komendant Aga Abdallah odpowiedział Napoleonowi na propozycję poddania twierdzy, zabijając dwu francuskich emisariuszy i rozkazując zatknąć ich głowy na palach przy bramie.

Była to nieodpowiedzialna zuchwałość dumnych mu-

zułmanów, na dodatek trzykrotnie mniej licznych. Francuska armia odpowiedziała na ten policzek rykiem rozjuszonego lwa.

Teraz nie mogło już być mowy o litości. Po kilku chwilach rozpoczęło się artyleryjskie bombardowanie. Zewsząd słychać było huk, gwizd przecinających powietrze pocisków, a potem łoskot, gdy kule uderzały w miejskie mury czy budowle, czemu towarzyszyły wzbijające się w powietrze kłęby kurzu. Wojsko wiwatami kwitowało każde trafienie; bombardowanie przeciągnęło się ponad godzinę i przekształciło w systematyczne niszczenie tureckich pozycji obronnych. Od strony wschodniej i północnej każde z dział wypluwało kulę co sześć minut. Od południa, gdzie działa prowadziły ostrzał ponad dobrze zarośniętym wąwozem, który mógł dać niezłą osłonę atakującym oddziałom, odzywały się rykiem co trzy minuty i powoli robiły wyłom w murze. Osmańscy artylerzyści usiłowali odpowiadać, ale z nader kiepskimi rezultatami.

Najac przez jakiś czas patrzył na tonące węże, po czym przykuł mnie do drzewka pomarańczy i patrząc na bombardowanie, zastanawiał się nad tym, co powiedziałem. Rzeź była gratką, której nie chciał stracić, ale podejrzewam, że znalazł chwilkę, by powiadomić Napoleona o tym, iż bełkotałem coś o Świętym Graalu. Nadeszła noc, w Jaffie szalały pożary, a ja nie dostałem niczego do jedzenia czy picia. Słyszałem tylko monotony łoskot dział. W końcu zdołało mnie to jakoś usnąć.

O świcie okazało się, że w miejskim murze od południa jest wielka wyrwa. Białe niczym świąteczne baby ściany domów były teraz upstrzone nowymi czarnymi dziurami, a całe miasto spowijały całuny dymu. Francuscy artylerzyści mierzyli z chirurgiczną precyzją i wyłom nieustannie się poszerzał. Widziałem kilkanaście pocisków, które się nie rozerwały i teraz leżały w rumowisku jak rodzyнки w cieście. Potem w wąwozie zaczęły się ustawiać w szyku

dwie kompanie grenadierów, którym towarzyszyli saperzy z ładunkami wybuchowymi. Za nimi zbierały się kolejne oddziały.

Najac tymczasem zdjął mi łańcuchy.

- Idzie tu Bonaparte. Udowodnij, że będzie z ciebie ja kiś pożytek, bo inaczej umrzesz.

Napoleona otaczała grupka oficerów, wśród których był najmniejszy ciałem i największy duchem - i najbardziej żywo gestykulował. Przez wąwóz przedzierali się grenadierzy, a zbliżywszy się do wyłomu, pozdrawiali generała gromkimi okrzykami i salutami. W krzaskach porastających wąwóz rozbijały się kule z tureckich dział i listowie szeleściło, jakby buszował tam rozjuszony niedźwiedź. Grenadierzy nie zwracali uwagi na niezbyt celny ogień i grad tnących liście odłamków.

- Zobaczymy, czyje głowy znajdą się na palach! - za grzmiał jakiś sierżant, gdy jego podwładni mijali nas ko lumną najeżoną iskrami osadzonych na lufach bagnętów.

Bonaparte skwitował to ponurym uśmiechem.

Oficerowie ignorowali nas przez jakiś czas, gdy jednak oddziały szturmowe ruszyły do natarcia, Napoleon nagle przeniósł swą uwagę na mnie, jakby usiłując wypełnić czymś czas oczekiwania na klęskę lub sukces. Gdy oddziały przeszły przez jar i wdarły się do wyłomu, on nawet nie spojrzął w tamtym kierunku.

- Powiedziano mi, Monsieur Gage, że teraz popisujesz się cudami, wyciskasz wodę z kamieni i topisz węże.

- Znalazłem stary przewód kanalizacyjny.

- I Świętego Graala, jak sądzę.

Nabrałem tchu w płuca.

- Generale, to ta sama rzecz, której poszukiwałem w Egip cie i którą ku pogębieniu nas wszystkich chcę posiąść hrabia Alessandro Silano z jego poplecznikami z loży ry tu egipskiego. Ten tu Najac jest sługusem łajdaków, któ rzy...

-Panie Gage, przez kilka miesięcy wysłuchiwałem cierpliwie tych pańskich andronów i nie przypominam sobie, żeby na cokolwiek mi się to przydało. Jeśli pamiętasz, ofiarowałem ci partnerstwo, szansę przebudowania świata zgodnie z ideałami naszych dwu, amerykańskiej i francuskiej, rewolucji. Zamiast tego tyś zniszczył mój balon.

- Tylko dlatego że Silano...

- Masz tego Graala czy nie? -

Nie.

- Wiesz może, gdzie jest?

- Nie, ale go szukaliśmy, gdy ten tu Najac...

- A wiesz przypadkiem, czym jest?

- Niezbyt dokładnie, ale... Napoleon odwrócił się do Najaca.

- To dość oczywiste, że ten człowiek niczego nie wie. Czemu go wyciągnąłeś?

- Ale w tej jamie przysięgał, że wie!

- A któż by tak nie powiedział, gdyby te twoje przekłete węże kłapały zębami obok jego głowy? Skończmy z tymi bzdurami i z tym człowiekiem. On nie tylko jest bezużyteczny, ale i nudny! Wystawi się go naprzeciwko piechurów, którzy go rozstrzelają jako zdrajcę... jest nim zresztą. Dość mam już masonów, czarnoksiężników, węży, glinianych bóstw i tych idiotycznych legend, o których nieustannie słyszę od początku wyprawy! Jestem członkiem Akademii! Francja to wcielenie racjonalizmu! Jedynym Graalem jest puchar pełen strzelniczego prochu!

Przy tych słowach wszyscy usłyszeliśmy gwizd pocisku, który przebił i strącił z głowy pieróg generała i zaraz potem śmiertelnie ugodził stojącego za nim pułkownika.

Napoleon podskoczył mimo woli i wybałuszył oczy na walącego się jak snop na klepisko oficera.

-*Mon Dieu !* - Najac się przeżegnał, co uznałem za szczyt hipokryzji, bo jego pobożność była prawdziwa jak

moneta o nominale trzech franków. - To znak, generale! Napoleon zbladł momentalnie, ale szybko odzyskał rezon. Łypnąwszy okiem na mrowie nieprzyjaciół, którzy obsiedli mury, popatrzył na leżącego pułkownika i podniósł kapelusz.

- To Lambeau dostał kulę, nie ja!

- Gdyby nie moc Graala...

- Już drugi raz mój wzrost uratował mi życie. Gdybym wyrósł tak jak Kleber, dwakroć już byłbym martwy. Oto twój cud, Najac!

Mój oprawca jak zaczarowany patrzył na dziurę w generalskim pierogu.

-Może to znak, że wciąż jeszcze możemy sobie pomóc - zaryzykowałem.

-I zakneblujcie gębę temu jankesowi. Jak powie jeszcze słowo, sam mu strzelę w łeb! - Odwrócił się już, zostawiając moją propozycję bez odpowiedzi. - Doskonale, zdobyli przyczółek! Lannes, każ umieścić trzyfuntówkę w tym wylomie!

Nie byłem świadkiem tego, co działo się potem, za co powinienem podziękować losowi. Osmańscy janczarzy walczyli tak zaciekle, że kapitan saperów, niejaki Ayme, musiał się przebić przez piwnice domów, żeby wpaść na nieprzyjaciół z tyłu i uderzyć bagnietami. Zaraz potem rozjuszeni francuscy żołnierze rozlali się po ulicach Jaffy.

Tymczasem generał Bon atakujący północne obwarowania miasta zdołał przekształcić uderzenie dywersyjne w atak uwieńczony powodzeniem i wdarł się ze swoimi ludźmi od drugiej strony. Załamało to morale nieprzyjaciela i osmańscy ochotnicy z pospolitego ruszenia zaczęli się poddawać. To jednak nie uśmierzyło wściekłości Francuzów wywołanej nieuzasadnionym okrucieństwem Agi - chęć zabijania i rabunków wymknęła się spod kontroli i zmieniła w ślepą, niekontrolowaną furię. Jeńców

rozstrzelano lub zakłuto bagnetami. Spustoszone domy. Gdy krwawe popołudnie ustąpiło litościwie okrywającej wszystko nocy, po ulicach włóczyli się jeszcze żołnierze uginający się pod ciężarem zrabowanego dobra. Strzelali z muszkietów do okien i wywijali oblepionymi gęstą krwią szablami. Łupieżcy nie zatrzymywali się nawet, żeby pomóc rannym kolegom. Niektórzy oficerowie usiłowali położyć kres masakrze, grożono im jednak bronią i wyrzucano za mury. Kobietom zrywano z twarzy zasłony, a potem zdzierano z nich resztę szat. Mężów czy braci, którzy usiłowali temu zapobiec, natychmiast zabijano, a potem gwałcono kobiety obok ciepłych jeszcze trupów obrońców. Nie oszczędzono żadnego meczetu, synagogi czy kościoła. Muzułmanie ginęli w płomieniach tak samo jak chrześcijanie i żydzi. Płaczące dzieci leżały obok ciał swoich rodziców. Dziewczęta gwałcono na trupach ich konających matek. Jeńców zrzucano z murów. Starcy, chorzy lub szaleńcy ginęli w płomieniach domów, w których się ukrywali. Rynsztokami spływała krew na równi z wodą. Podczas tej potwornej nocy gniew, wściekłość i frustracja nagromadzone w całorocznej kampanii wyładowały się na bezbronnym mieście. Armia racjonalistów, którzy przybyli ze stolicy rozumu, popadła w szaleństwo.

Bonaparte doskonale wiedział, że nie należy tłumić tego wybuchu dzikości; ta sama anarchia gorzała w tysiącach grabionych miast wcześniej, od Troi po złupienie przez krzyżowców Konstantynopola i Jerozolimy. „Nie powinno się zabraniać czegoś, czemu nie zdołasz położyć kresu” - zauważył kiedyś. O świcie emocje wygasły i wyczerpani żołnierze legli obok swoich ofiar, oszołomieni tym, co zrobili, ale nasyceni jak satyrowie po dzikiej orgii. Demoniczny głód został zaspokojony.

Rankiem Bonaparte stanął naprzeciwko trzech tysięcy zrozpaczonych, głodnych i przerażonych osmańskich jeńców.

Nie cofnął się przed podjęciem ciężkiej decyzji. Mimo całego swojego podziwu dla artystów i poetów miał serce artylerzysty i inżyniera. Na czele trzynastotysięcznego korpusu Francuzów wspomaganego przez dwa tysiące egipskich jeźdźców atakował Syrię i Palestynę, kraje zamieszkałe przez dwa i pół miliona ludzi. Po upadku Jaf-fy wśród jego oddziałów pojawiły się pierwsze oznaki zarazy. Hołubił marzenie o marszu na Indie - jak uczynił to przed nim Aleksander - na czele armii zwerbowanych mieszkańców Wschodu, gdzie zamierzał zbudować swoje imperium. Ponieważ Horacy Nelson zniszczył mu flotę, przecinając jego linie zaopatrzenia, Sidney Smith zaś pomagał zorganizować obronę Akki, Napoleon musiał zastraszyć Rzeźnika i skłonić go do kapitulacji. Nie ośmielił się uwolnić jeńców, a nie miał ludzi do pilnowania i nie mógł ich wykarmić.

Postanowił więc ich rozstrzelać.

Była to potworna decyzja w jego pełnej przeciwieństwu karierze, tym dla mnie bardziej okropna, że to ja miałem zostać jedną z ofiar tej egzekucji. Nie przyznano mi nawet odrobiny godności, jaka towarzyszy spacerowi niebezpiecznego szpiega przed plutonem egzekucyjnym; zamiast tego Najac wepchnął mnie pomiędzy stłoczonych na plaży Marokańczyków, Sudańczyków i Albańczyków, jakbym był jednym więcej osmańskim pospolitakiem. Biedacy wciąż nie mieli pojęcia o tym, co ich czeka, ponieważ poddali się, w nadziei że zostaną oszczędzeni. Czyżby się spodziewali, że Bonaparte każe ich zaprowadzić na łódzie i odeśle do Stambułu? A może liczyli na to, że zostaną odesłani jako niewolnicy do Egiptu? Czy Francuzi po prostu zatrzymają ich pod strażą poza wciąż jeszcze dymiącymi ruinami miasta i wypuszczą po swoim odejściu? Ale nie, stało się inaczej - widok posepnych szeregów grenadierów i fizylierów z gotowymi do strzału muszkietami zaczął wreszcie rodzić strach i panikę. Na obu końcach

plaży ustawiły się oddziały francuskiej jazdy, które miały zapobiec ucieczkom. Naprzeciwko pomarańczowych gajów ustawiła się piechota, a my mieliśmy za plecami morze.

- Oni chcą nas pozabijać! - zawołał ktoś płacziwie.

- Allah nas obroni - odezwali się inni.

- Jak ochronił Jaffę?

- Posłuchaj, jeszcze nie znalazłem Graala - zwróciłem się szeptem do Najaca - ale on istnieje. To księga i jeżeli mnie zabijecie, nigdy jej nie znajdziecie. Jeszcze nie jest za późno, możemy się dogadać...

Zamiast odpowiedzieć, wcisnął sztych szabli w moje plecy.

- To, co chcecie zrobić, to zbrodnia! - syknąłem. - Świat o niej nie zapomni!

- Bzdura. Na wojnie nie ma zbrodni.

Wszystko, co nastąpiło potem, opisałem na początku mojej opowieści. Jedną z interesujących rzeczy jakie zdarzają się ludziom stojącym wobec egzekucji, jest niezwykle wyostrenie wszystkich zmysłów. Wyczuwałem warstwy powietrza, jakbym miał motyle skrzydła, chwytałem nozdrzami wszelkie zapachy morza, krwi i pomarańczy, czułem każde ziarnko piasku pod moimi bosymi teraz stopami i słyszałem każde skrzyknięcie rysztyunku i szczęk odwodzonych kurków, chrzęst piasku pod kopytami zniecierpliwionych koni, brzęczenie owadów i śpiewy ptaków. Jak bardzo nie chciałem tu ginąć! Ludzie błagali i łkali w kilku językach, a ich modły mieszały się w jeden monotony szum.

-Ale przynajmniej potopiłem te twoje przekłete węże - stwierdziłem.

- Poczujesz kulę w ciele tak samo jak ja - odparł Najac. - A potem drugą i trzecią. Mam nadzieję, że się wykrwawisz i poczujesz ból, jaki zadaje ołowiana kula. Spłaszczą się i rozdziera mięśnie. Osobiście wołałbym,

żeby cię uśmierciły tamte węże, ale rozstrzelanie też może być.
- Odsunął się, gdy lufy muszkietów opuściły się do poziomu. -
Pal!

Rozległ się łoskot salwy i szeregi jeńców zwinęły się jak wąż trafiony batem. Trafiające w cel kule rozrywały ciała, rozpryskując bryzgi krwi. Cóż więc mnie uratowało? Ogromny mój Murzyn z uniesionymi błagalnie rękami pobiegł za Najakiem, jakby ten łotr mógł go ułaskawić, i w chwili pierwszej salwy znalazł się pomiędzy mną a muszkietami. Kule rzuciły go wstecz, ale na chwilę mnie osłonił. Pierwszy szereg wrzeszczących przeraźliwie jeńców runął na ziemię i zostałem zbryzgany krwią, którą w oszołomieniu uznałem za własną. Z tych, którzy utrzymali się na nogach, jedni padli błagalnie na kolana, inni rzucili się na szeregi Francuzów. Większość jednak, włącznie ze mną, kopnęła się w stronę morza.

-Pal!

Na tę komendę ognia dali żołnierze z drugiego szeregu i kolejni więźniowie runęli na ziemię. Biegący obok mnie kaszlnął okropnie krwią, inny w eksplozji krwi stracił czubek głowy. Gdy setki ludzi wbiegły do wody, rozbryzgi i piana niemal oślepiły nieszczęśników usiłujących uciec przed koszmarem zbyt okropnym, żeby był prawdziwy. Uciekinierzy potykali się, padali w wodę i rozpaczliwie szamotali się na płyčźnie. Inni chwyтали się za okaleczone ramiona i nogi. Dobiegały mnie daremne modły do Allaha - który jak wszyscy bogowie w takich wypadkach, pozostał obojętny.

-Pal!

Słyszając gwizd kul, rzuciłem się w morze i dałem nura; zorientowałem się, że większość otaczających mnie ludzi nie umie pływać. Znieruchomieli z przerażenia i pozostali zanurzeni po pierś. Przeplłynawszy kilkanaście jardów,

obejrzałem się za siebie. Tempo ognia zmalało i żołnierze ruszyli dokończyć dzieła bagnietami. Ranni i znieruchomieli z przerażenia byli zakluwani jak rzeźne świnie. Inni francuscy żołnierze spokojnie nabijali ponownie broń i nawołując się wzajemnie, żeby pokazywać sobie cele, strzelali do jeńców, którzy zdołali odpłynąć nieco dalej. Regularne salwy przekształciły się w rodzaj zawodów strzeleckich o gęstym ogniu.

Tonący chwytali mnie za ręce i nogi, ale odpychałem ich i płynąłem dalej.

W odległości około pięćdziesięciu jardów od brzegu była płaska rafa. Fale przepływały nad jej szczytem na płyčźnie o gęłokości stopy lub dwu. Ci, którzy dotarli do tej nierównej platformy - nie więcej niż kilkunastu ludzi - wciągnęli się na nią i chwiejnym krokiem przeszli ku błękitnej, gęłbszej wodzie od strony morza. Ale widok tych, co chcieli się uratować, ściągnął morderczy ogień katów; trafieni ludzie padali w pianę, która szybko się zaróżowiła. Morze za mną gęsto pokrywały głowy i grzbiety zastrzelonych czy utopionych Turków, wśród których brodzili Francuzi z szablami lub saperskimi toporkami.

Pośród tego całego szaleństwa byłem ja - nietknięty jak Napoleon, który obserwował wszystko z wydm. Rafa urwała się i w poczuciu bezsilności skoczyłem w gęłbszą wodę. Dokąd miałbym pójść? Pływałem wzdłuż zewnętrznej krawędzi rafy, poruszając niemrawo rękami i nogami, i patrzyłem, jak ludzie się kulili, dopóki nie znajdowały ich kule. Czy to nie Najac biegał gwałtownie wzdłuż plaży, szukając mojego ciała? Bliżej Jaffy rafa była nieco wyższa i wznosiła się nad fale. Może mógłbym tam znaleźć jakąś kryjówkę?

Zobaczyłem, że Bonaparte zniknął, nie zamierzając czekać do końca masakry.

Dotarłem do skały, do której przyłgnęli ludzie widocz-

ni jak muchy na białym papierze. Francuzi płynęli już ku nam w kilku małych łódkach, żeby podobiać tych, co przeżyli.

Nie mając pojęcia, co jeszcze mógłbym zrobić, zanurzyłem głowę i otworzyłem oczy. Zobaczyłem kołyszące się w wodzie nogi jeńców wczepionych w skałę i mętny błękit w miejscu, gdzie skała opadała ku głębinom. I był tam jakiś otwór - jakby wylot małej podwodnej jaskini. W porównaniu z piekłem na powierzchni była to oaza, która wabiła spokojem i odosobnieniem. Dałem nura, wpłynąłem do środka i zacząłem macać dookoła dłońmi. Skała była ostra i śliska. I nagle moja dłoń wynurzyła się na powietrze. Targnąłem się naprzód i wynurzyłem.

Mogłem oddychać! Znalazłem oazę powietrza w podwodnej jaskini, w której jedyne światło padało ze szczeliny w sklepieniu. Znów usłyszałem strzały i krzyki, ale wszystko było tu przytłumione. Nie ośmieliłem się rozgłosić o moim odkryciu, bo mogliby mnie usłyszeć i znaleźć Francuzi. Jaskinia była zresztą niewielka i mógł się w niej zmieścić tylko jeden człowiek. Czekałem więc z drżeniem; usłyszałem skrzyp drewna łodzi o kamienie, potem huknęły strzały, a ostatni błagający bełkotliwie o litość jeńcy zostali zakłuci szablami lub bagnietami. Żołnierze sumiennie wykonali swoją robotę - nie chcieli zostawić świadków zbrodni.

- Tam! Załatw go!
- Popatrz, jak ten się wije!
- Tu jest jeszcze jeden!

W końcu wszystko ucichło.

Z całego tłumu jeńców przy życiu zostałem tylko ja.

Trwałem więc, drżąc od coraz większego chłodu; przekleństwa i błagania były coraz rzadsze. Morze Śródziemne nie ma prawie przyplływów, nie groziło mi zatem utopienie. Kiedy zaprowadzono jeńców na plażę, był ranek, ale ośmieliłem się opuścić kryjówkę dopiero wieczorem.

Skórę miałem pomarszczoną jak topielec, ubranie w strzępach i z zimna szczekałem zębami.

Co teraz?

Zacząłem płynąć ku morzu, niemrawo poruszając nogami. Obok mnie przepłynął jeden, a potem drugi trup. Widziałem, że Jaffa wciąż płonie - na tle czerni nieba wyraźnie rysowały się ognie pożarów. Światło gwiazd było dostatecznie intensywne, żebym mógł zobaczyć linię krzewów za plażą. Dostrzegałem też blask obozowych ognisk Francuzów; od czasu do czasu słyszałem pojedyncze strzały, krzyki lub zaprawione goryczą śmiechy.

Obok mnie przepłynęło coś ciemnego, co nie było trupem. Gdy sięgnąłem ręką, dotknąłem pustego dzbana, w którym przechowywano proch, wyrzuconego w bitwie przez którąś ze stron. Mijała godzina za godziną, nad moją głową gwiazdy zmieniały położenie, a ognie Jaffy zaczęły przygasać. Chłód wysysał ze mnie resztki sił.

I wtedy w nikłym świetle przedświt, niemal dwadzieścia cztery godziny po rozpoczęciu egzekucji, dostrzegłem łódź. Była to mała arabska łódź żaglowa podobna do tej, która przewiozła mnie z HMS *Dangerous* do Jaffy.

Zacząłem ochryple nawoływać i machałem rękami. Łódź podpłynęła bliżej, a nad jej burtą pojawiła się para czujnie patrzących na mnie oczu.

- Pomocy! - wychrypiałem niemal szeptem.

Mocne ręce chwyciły mnie i przeciągnęły ponad burtą. Padłem na dno, bezsilny jak meduza, wyczerpany do cna i gapiąc się tępo na szare niebo, nie bardzo wiedziałem, żyję czy nie.

- Efendi!

Podniosłem głowę. Znałem ten głos.

- Mohammad?

- Co ty robisz pośrodku morza, kiedy cię zostawiłem w Jerozolimie?

- A ty, kiedy zostałeś żeglarzem?

- Po upadku miasta ukradłem tę łódź i chyłkiem wymknąłem się z portu. Na moje nieszczęście nie mam pojęcia o żeglowaniu. Dryfuję bez celu.

Usiadłem przeszywany bólem. Zobaczyłem z ulgą, że jesteśmy daleko od brzegu - poza zasięgiem Francuzów. Łódź miała maszt i łaćniński żagiel, a ja żeglowałem na podobnej po Nilu.

- Ja potrafię żeglować - wycharczałem. - Możemy znaleźć jakiś przyjazny statek.

- Ale co się zdarzyło w Jaffie?

- Wszystkich zabito.

Ta wiadomość wstrząsnęła Mohammadem. Niewątpliwie miał rodzinę lub przyjaciół, którzy zostali w zdobytym przez Francuzów mieście.

-Oczywiście nie wszystkich - poprawiłem się. Ale moja pierwsza odpowiedź była bardziej uczciwa.

Po wielu latach historycy zapewne będą się trudzić, żeby wyjaśnić pobudki, jakimi kierował się Napoleon, przygotowując atak na Egipt i Syrię, rzeź Jaffy i marsze bez określonego celu. Ich wysiłki będą daremne. Wojna nie ma niczego wspólnego z rozumem - gra na najniższych emocjach. Jeżeli ma jakąś logikę, to jest to szatańska logika piekieł. Każdy z nas ma w sobie zło, jedni głębiej, inni niemal na powierzchni, i zawsze ujawnia się ono na wojnie. W takich chwilach ludzie pozbywają się wszelkich hamulców i odkrywają kocioł, o którym wiedzą tylko tyle, że wrze -i pamięć tych chwil pozostanie w ich duszach na zawsze. Francuzi - przy wszystkich ich republikańskich ideałach, sojuszach z odległymi paszami, badaniach naukowych i marzeniach o reformach - przede wszystkim doznali straszliwej katharsis, po której pozostała im jedynie pewność, że to, co rozpetali, w końcu ich pochłonie. Wojna to trująca chwała.

-A znasz jakiś przyjazny okręt? - zapytał Mohammad.

- Być może trafimy na Brytyjczyków, mam wieści, które mogą się im przydać. -1 pewne rachunki do wyrównania, pomyślałem. - Masz wodę?

-1 chleb. A także trochę daktyli.

- No to jesteśmy kompanami, Mohammadzie.

Rozpromienił się.

- Niezbadane są drogi Allaha. Znalazłeś to, czego szukałeś w Jerozolimie?

-Nie.

- Myślę, że znajdziesz. - Podał mi wodę i chleb, co mnie orzeźwiło jak elektryczne kopnięcie. - Jest ci przeznaczone to znaleźć, inaczej nie wyszedłbyś żywy z tej rzezi.

Jak wygodna i pocieszająca jest tak mocna wiara.

- A może nie powinienem był szukać i zostałem ukarany za to, że zobaczyłem za wiele? - Odwróciłem się od ponurej poświaty na brzegu. - Pomóż mi postawić ten żagiel. Ruszamy do Akry, poszukać angielskich okrętów.

- Owszem. Znów jestem twoim przewodnikiem, efendi, na pokładzie mojej nowej, wytrzymałej łodzi. Zabiorę cię do Anglików!

Oparłem plecy o poprzeczną ławę.

- Przyjacielu, dziękuję za ratunek.

Kiwnął głową.

- Wezmę za to od ciebie jedynie dziesięć szylingów!

CZĘŚĆ
DRUGA

ROZDZIAŁ 12

W Akce powitano mnie jak bohatera, ale nie z powodu ocalenia z masowej egzekucji pod Jaffą. Odpłaciłem Francuzom, w porę dostarczając ich wrogom informacje, na które czekali.

Mohammad i ja znaleźliśmy brytyjską eskadrę w drugim dniu żeglugi. Na jej czele płynęły okręty liniowe *Tigre* i *Theseus*, a gdy znaleźliśmy się po zawietrznej okrętu flagowego, przywitał mnie nie kto inny, jak ten przyjaźnie nastawiony czarci syn, sir Sidney Smith.

- Gage, to naprawdę ty? - ryknął. - Myśleliśmy żeś przeszedł do Francuzów! A teraz wracasz do nas?

- Francuzi mnie pojмали dzięki zdradzie waszych brytyjskich marynarzy, kapitanie!

- Jakiej zdradzie! Oni mówili, że zdezerterowałeś!

I co byście powiedzieli na tak bezczelne łągarstwo Wielkiego Neda i Małego Toma? Z pewnością uznali mnie za nieboszczyka, który nie zdoła im zaprzeczyć. Mogłem się zresztą spodziewać z ich strony takiego wykręcania kota ogonem, ale poczułem jeszcze większą wściekłość.

- Akurat! Wasi dzielni marynarze odcięli mi drogę odwrotu, zostawiając na pastwę Francuzów. Jesteś nam winien medal, nieprawdaż, Mohammadzie?

- Francuzi chcieli nas zabić - odparł mój towarzysz. -A on jest mi winien dziesięć szylingów!

-1 oto pojawia się na środku Morza Śródziemnego? - Smith podrapał się w głowę. - Diabli nadali! Jesteś

człowiekiem, który wszędzie wtyka swój nos, i niełatwo orzec, po czyjej stronie stoisz. No dobrze, wejdź na pokład i spróbujmy to wszystko wyjaśnić.

Wspięliśmy się więc na pokład osiemdziesięciodziałowego okrętu liniowego, który w porównaniu z naszą małą łódeczką wyglądał jak Lewiatan. Łódeczkę wzięto na hol, brytyjscy oficerowie obszukali Mohammada, jakby sądzili, że w każdej chwili może wyciągnąć skądś kindżał, a mnie obrzucili badawczymi spojrzeniami. Ja jednak byłem przygotowany na to, iż muszę odeprzeć niesłuszne oskarżenia, i miałem pewne atuty. Przedstawiłem więc swoją wersję wydarzeń.

- ...i wtedy ta żelazna brama zamknęła mi się przed nosem, a za plecami miałem podchodzących coraz bliżej arabskich i francuskich obwiesiów...

Zamiast jednak ze współczuciem i zrozumieniem, jakich się spodziewałem, Smith i jego oficerowie patrzyli na mnie dość sceptycznie.

- Ethanie, musisz przyznać, że w istocie zbyt łatwo zmieniasz strony - stwierdził Smith - i wydostajesz się nietknięty z najgorszych opresji.

- Sir, on na dodatek jest jednym z tych amerykańskich przeklętych buntowników - wtrącił jakiś porucznik.

- Czekajcie! Sądzicie, że Francuzi pozwolili mi uciec spod Jaffy?

- Są meldunki, że nikt nie uszedł z życiem. To dość zaskakujące, Gage, że ciebie znaleźliśmy. Znalezienie ciebie, Gage, to wydarzenie.

- I kim jest ten poganin? - zapytał inny oficer, wskazując Mohammada.

- Jest moim przyjacielem, uratował mnie... i założę się, że lepszym człowiekiem niż każdy z was.

Teraz spojrzeli na mnie z wyraźną wrogością i niewiele chyba brakło, żeby któryś wyzwiał mnie na pojedynek. Uratowała mnie pospieszna interwencja Smitha.

- Nie ma potrzeby uciekać się do aż takich słów. Mamy prawo cię podejrzewać, a powinieneś rozwiać nasze wątpliwości. Szczerze mówiąc, Gage, nie popisałeś się zdobyciem w Jerozolimie jakichś użytecznych wiadomości, choć Korona wyłożyła na ten cel spory grosz. Moi marynarze zameldowali mi, że kupiłeś wyjątkowo celną i drogą rusznicę. Gdzie ją masz?

- Ukradł mi ją przeklęty francuski oprawca i złodziej o nazwisku Najac - stwierdziłem. - Jeżeli przeszedłem na stronę Francuzów, to co robię tutaj w łachmanach, ranny, poparzony, płynąc łodzią z arabskim poganiaczem wielbłądów i nie mając żadnej broni? - zirytowałem się. - Jeżeli przeszedłem do żabojadów, to czemu teraz nie popijam sobie clareta z Napoleonem? Dobrze, usłyszymy prawdę. Zwolaj tych waszych łajdackich marynarzy...

-Mały Tom stracił ramię i odesłano go do domu -stwierdził Smith. Mimo że miałem małego drania na wątrobie, замуrowało mnie. Utrata ramienia była wyrokiem nędzy do końca życia. - Wielki Ned jest na łądzie razem ze sporą częścią załogi *Dangerousa*, gdzie pomagają Dżezarowi umocnić Akrę. Może zechcesz to z nim omówić na miejscu. Mamy tam garść krzepkich ludzi, którzy powstrzymają Bonapartego... mieszanka Turków, mameluków, najemników, łajdaków i angielskich buldogów. Jest tam nawet francuski rojalista i oficer artylerii, który stanął po naszej stronie, Louis-Edmond Antoine le Picard de Phelippeaux. Umacnia fortyfikacje.

- Sprzymierzylście się z Francuzem, a wątpicie we mnie?

- Pomógł mi w ucieczce z paryskiego więzienia Tempie i jest tak wiernym towarzyszem, że trudno o lepszego. Ciekawe, ilu ludzi zmienia strony w tych niebezpiecznych czasach, nieprawdaż? - Spojrzał na mnie uważnie. - Potts i Tentwhistle nie żyją, Tom został kaleką, niczego nie osiągnęliśmy i oto zjawiasz się ty, Gage. Jerycho uważał, że nie żyjesz albo zdezerterowałeś.

- Rozmawiałeś też z kowalem?

- Jest w Akce z siostrą.

Cóż, to akurat była dobra wiadomość. Choć miałem własne, poważne problemy, wieść o tym, że Miriam chwilowo jest bezpieczna, przyniosła mi ulgę. Ciekaw byłem, czy ma mojego serafina. Nabrałem tchu w płuca.

- Sir, zapewniam cię, że skończyłem z Francuzami. Powiesili mnie głową w dół nad jamą pełną węzów, ot co!

-Przebóg, to barbarzyństwo! Niczego im nie powiedziałaś, mam nadzieję?

- Oczywiście, że nie - zełgałem gładko. - Oni jednak coś mi powiedzieli i mogę tym udowodnić swoją lojalność. - Czas był zagrać moim atutem.

- Co ci powiedzieli?

- Że Bonaparte przewozi działa wodą i przy odrobinie szczęścia możecie je wszystkie przejąć, zanim jego oddziały dotrą do Akki.

- Doprawdy? No cóż, to zmienia postać rzeczy - rozpromienił się Smith. - Znajdź mi te działa, Gage, a dam ci medal. Piękny, turecki... są większe i bardziej paradne niż nasze, a Turcy rozdają je całymi kosztami. Możesz się założyć, że załatwię ci jeden, jeżeli mówisz prawdę. Choć tym razem.

Oczywiście zaczęło padać, co zmniejszyło nasze szanse przyłapania francuskiej flotylli, a potem opadła mgła, jeszcze bardziej pogarszając widoczność. Ściemniało tak, że Angole znów zaczęli myśleć, iż jestem podwójnym agentem mającym władzę nad pogodą. Ale jeśli my mieliśmy kłopoty z odnalezieniem Francuzów, oni mieli większe z umknięciem naszej eskadrze. Mgła była też ich nieprzyjacielem.

Tak więc Francuzi natknęli się na nas rankiem 18 marca, kiedy kapitan Standellet, usiłujący okrążyć przylądek Karmel, wpłynął do rozległej zatoki ograniczonej z połu-

dnia portem Hajfy, a od północy mającej Akkę. Trzy barki, włącznie z barką Standeleta, zdołały uciec, ale Anglicy przejęli kolejne sześć; w ich ładowniach znaleziono działa obłąnicze na dwudziestoczwierofuntowe pociski. Jednym prostym posunięciem odebraliśmy Napoleonowi najskuteczniejszy oręż. Rankiem ogłoszono mnie szansem Akki, lisem Jaffy i strażnikiem głębin. Dostałem też wysadzany klejnotami sultański Order Lwa, który Smith zaraz potem mi odebrał, żeby zaspokoić roszczenia Mohammada, zabierając mi jeszcze kilka monet.

- Jeśli wiesz, jak wydawać mniej, niż zarabiasz, to odkryłeś kamień filozoficzny - stwierdził pouczająco. - Ja też czytałem waszego Franklina.

I tak przybyliśmy do starego miasta krzyżowców. Naszemu rejsowi towarzyszyły kolumny dymu na brzegu, znaczące postęp oddziałów francuskich. Nieustannie odbieraliśmy meldunki o potyczkach pomiędzy jego oddziałami i muzułmanami nacierającymi z głębi ładu, ale wynik kampanii miał się rozstrzygnąć pod Akką.

Miasto leży na półwyspie, który wcina się w Morze Śródziemne na północnym krańcu Zatoki Karmelu i z dwu stron na trzy otoczone jest wodą. Półwysep ciągnie się ku południowemu zachodowi, a jego port tworzy falochron. Akka jest mniejsza od Jerozolimy, jej morskie i lądowe mury mają w sumie długość półtora kilometra, ale jako dobrze prosperujący port jest gęściej zaludniona. Kiedy tam przybyłem, Francuzi zamykali już miasto od strony ładu i trójkolorowe proporce znaczyły łuk ich obozu.

W normalnych czasach Akka byłaby pięknym miastem, od strony morza otoczonym szmaragdowymi rafami, a od strony ładu zielenią pól uprawnych. Z miejskiej fosy ku francuskim liniom wiódł stary, nieużywany już akwedukt. Zarys miasta na tle nieba, pełen wieżyczek, ocienionych płótnem balkoników i płaskich dachów przecinały kryta zieloną miedzią kopuła meczetu i strzelisty minaret obok

niej. Nad krętymi uliczkami wznosiły się łuki niby-bram. Podstawowe produkty można było kupić na ryneczkach osłoniętych jaskrawymi markizami. Nad portem unosił się zapach soli, ryb i przypraw korzennych. Przybyszów witały w gościnnych progach trzy wielkie karawanseraje z magazynami: Khan el-Omdan, Khan el-Efranj i Khan el--Shawarda. Przeciwieństwem tych klejnotów wschodniej architektury była rezydencja władcy przy murze północnym, ponura budowla krzyżowców z donżonem na każdym rogu, której wygląd łagodziły jedynie skierowane na ogrody pomiędzy meczetem i zamkiem okna haremu. Ciężki fort i pełne życia, kryte barwnymi płytkami domki kojarzyły mi się z ponurym nauczycielem łypiącym podejrzliwie na gromadkę rozbrykanych rudowłosych uczniów.

Centrum władzy świeckiej i religijnej zajmowało północno-wschodni rejon miasta; w miejscu, gdzie się zbiegały okalające je mury, stała solidna, przysadzista wieża. Okazała się tak kluczowa w oblężeniu, że Francuzi nadali jej miano *La Tour Maudite*: Wieża Przeklęta. Ale czy Akki można było bronić?

Wielu najwyraźniej myślało, że nie. Płynąc za szalupą z *Tigre'a* doprowadziliśmy małą łódź Mohammada do molo, pełnego uciekinierów pragnących opuścić miasto. Smith, Mohammad i ja przeciskaliśmy się przez tłum bliski paniki. Większość stanowiły kobiety z dziećmi, ale niemało było też bogatych kupców, którzy dali urzędnikom Dżezara sute łapówki, żeby tylko uzyskać pozwolenie wyjazdu z miasta. Na wojnie pieniądze znaczą życie, a wzdłuż wybrzeża z ust do ust przekazywano sobie wieści o rzezi Jaffy. Ludzie chwyтали to, co mogli ze sobą zabrać w niewielkich zawiniątkach, i błagali o miejsce na pokładzie odpływających statków handlowych. Jakaś spocona kobieta dźwigała węzełek ze srebrną zastawą stołową, jej dzieci z płaczem czepiały się matczynej szaty.

Handlarz

bawelną zatknął sobie dwa pistolety za pas wyszywany złotymi monetami. Śliczna, ciemnooka dziesięcioletnia może dziewczynka o drżących usteczkach trzymała wyrrywającego się szczeniaka. Jakiś bankier poprzedzony klinem torujących mu drogę afrykańskich niewolników przeciskał się do przodu.

- Nie zwracaj uwagi na tych mizeraków - mruknął Smith. - Lepiej będzie, jak opuszczą miasto.

- Nie mają zaufania do załogi garnizonu?

- Załoga sama nie wierzy we własne siły. Dżezar to chłop z jajami, ale Francuzi rozbili każdą armię, z jaką do tej pory się starli. Twoje działa pewnie się przydadzą. Mamy cięższe działa niż Bonio i ustawimy baterię nad Bramą Ziemi, na styku morza i lądu. Ale to na tej narożnej wieży francuskie diabły połamią sobie zęby. Z powodu oddalenia nie bardzo możemy ją wspierać ogniem naszej artylerii, ale jest najmocniejszym punktem w naszej linii. To cholerny klucz do Akki, a naszym asem w rękawie jest człowiek, który nienawidzi Bonia nawet bardziej niż my.

- Masz na myśli Rzeźnika Dżezara?

- Nie, mam na myśli kolegę Napoleona z paryskiej Szkoły Wojennej. Możesz mi nie wierzyć, ale nasz Louis--Edmond Antoine le Picard de Phelippeaux siedział w jednej ławce z tym korsykańskim łobuzem i arystokrata z prowincjuszem kopali się pod ławką, aż nogi mieli pełne siniaków. Phelippeaux zawsze był lepszy od Bonapartego podczas klasówek, miał lepsze świadectwo i lepszy przydział po ukończeniu szkoły. Gdyby nie rewolucja, która wypędziła naszego arystokratycznego przyjaciela z Francji, byłby teraz pewnie przełożonym Napoleona. W minionym roku przedostał się do ojczyzny jako tajny agent i uratował mnie z Tempie, udając policyjnego inspektora, który ma mnie przenieść do innej celi. Nigdy nie przegrał z Napoleonem i tym razem też nie zamierza. Chodź i poznaj go.

„Pałac” Dżezara wyglądał jak przeniesiona tu Bastylia. Twierdzę krzyżowców przebudowano nieco, nie żeby dodać jej uroku, tylko wstawić działa, i dwie trzecie artylerii Rzeźnika wymierzono w jego własnych poddanych, a nie przeciwko Francuzom; solidna kwadratowa cytadela była jak żelazna pięść, w której pasza trzymał swój lud.

- W podziemiach są zbrojownie, na parterze koszary, nad nimi siedziby urzędów, wyżej pałac Dżezara i harem na samym szczycie - objaśniał Smith, wskazując ręką.

Widziałem zakratowane niczym klatki pięknych ptaków okna haremu. Jakby współczując zamkniętym, pomiędzy nimi a szczytami palm poniżej śmigały jaskółki. Wdarłem się kiedyś do haremu w Egipcie i nie miałem ochoty na powtarzanie tego doświadczenia. Te kobiety przeraziłyby nawet Heraklesa.

Minąwszy strażników i potężne, drewniane, nabijane żelaznymi ćwiekami odrzwia bramy, weszliśmy na mroczny dziedziniec. Po oślepiającym świetle Lewantu wnętrze pachniało lochami. Na tym poziomie znajdowały się koszary wiernych Dżezarowi gwardzistów, spartańsko wyposażone. Z cienia pod ścianami zerkali na nas żołnierze, którzy czyścili muszkiety lub ostrzyli jatagany. Mieli na tyle entuzjazmu, co rekruci w Valley Forge. Potem na schodach rozległ się tupot kroków i zbiegł po nich smukły i tryskający energią Francuz w mocno poplamionym i wyświechtanym już białym mundurze Burbonów. To musiał być Phelippeaux.

Był wyższy od Napoleona, miał bardziej wytworne ruchy nacechowane tą spokojną pewnością siebie, jaka przychodzi z dobrym urodzeniem. Złożył nam uprzejmy ukłon i uśmiechnął się blado. Jego ciemne oczy oceniały wszystko z zimnym wyrachowaniem artylerzysty.

- Monsieur Gage, powiedziano mi, żeś uratował miasto!

- O, to gruba przesada.

- Zapewniam cię, panie, że twoje zdobyte na Francuzach działa okażą się niezmiernie przydatne. Cóż za ironia losu! Amerykanin. Jesteśmy jak Lafayette i Waszyngton! Tworzymy tu osobliwy międzynarodowy sojusz: Brytyjczyk, Francuz, Amerykanin z mamelukami, Żydami, Turkami i maronitami... przeciwko mojemu szkolnemu koledze.

- Naprawdę razem się uczyliście?

- Jakże! Przecież ściągał ode mnie, zerkając mi przez ramię.

- Uśmiechnął się szeroko. - No cóż, chodźmy i zerknijmy na niego teraz.

Od razu spodobało mi się jego nastawienie.

Poprowadził nas krętymi schodami, aż wyszliśmy na dach pałacu Dżezara. Cóż za wspaniały widok! Po ostatnich deszczach powietrze porażało przejrzystością. Wyraźnie widzieliśmy odległy, błękitny zarys góry Karmel po drugiej stronie zatoki, a nieco bliżej - stojące w szyku oddziały Francuzów; wyglądały jak formacje ołowianych żołnierzyków. Za nimi rozkwitwały namioty i markizy, jak na wiosennym jarmarku. Doświadczenia spod Jaffy odpowiedziały mi, jak wygląda ich życie: obfite pożywienie, importowane wina dla dodawania odwagi oddziałom szturmowym oraz gromady prostytutek i markietanek, szyjących mundury, gotujących posiłki, sprzątających i zapewniających ciepło podczas nocy - wszystko po niesłychanie wysokich cenach, które jednak mężczyźni chętnie płacili, świadomi, iż jutro mogą być nieboszczykami. Mniej więcej w odległości mili w głąb łądu wznosiło się wzgórze wysokie może na sto stóp - zobaczyłem na nim gromadkę ludzi i koni stojących pod barwnymi sztandarami, poza zasięgiem naszych dział.

- Podejrzewam, że tam właśnie Buonaparte założył swoją kwaterę - odezwał się Phelippeaux, wymawiając nazwisko wodza Francuzów z włoską i z arystokratyczną pogardą. - Wiecie, panowie, ja go znam i wiem, jakim to-

rem biegną jego myśli. Obaj zrobilibyśmy to samo. Będzie wydłużał okopy i spróbuje przebić się aż pod mury, żeby móc je wysadzić w powietrze. Wiem też, że on zdaje sobie sprawę, iż wieża jest głównym punktem obrony.

Powiodłem wzrokiem za jego palcem. Na mury wciągano działą; za murami biegła licowana blokami wapienia bezwodna fosa, głęboka na dwadzieścia stóp i szeroka na pięćdziesiąt.

- Nie ma wody w tej fosie? - zdziwiłem się.

- Bo nie do tego ją przeznaczono... dno jest powyżej poziomu morza. Ale nasi saperzy wpadli na pewien pomysł. Nieopodal morza, przy Bramie Ziemi, budujemy basen, do którego przepompujemy morską wodę. W razie potrzeby przeleje się ją do fosy.

- Zanim zbudujecie ten zbiornik, minie kilka tygodni - stwierdził Smith. Kiwnąłem głową.

- Ale tymczasem macie tę wieżę.

Była potężna: od strony morza wyglądała jak góra. Pomyślałem, że Francuzom musi się wydawać jeszcze wyższa.

- To najsilniejszy punkt umocnień - przyznał Phelippeaux - ale można ją też ostrzeliwać albo atakować z dwu stron. Jeżeli ci sankiuloci ją zdobędą, znajdą się w ogrodach i będą mogli zaatakować obrońców od tyłów. Jak im się to nie uda, będą tylko tracić piechurów w bezsensownych atakach.

Spróbowałem ocenić scenę okiem inżyniera. Od murów ku liniom francuskim ciągnął się zrujnowany akwedukt. Kiedyś dostarczał wodę do miasta, teraz jednak kończył się w pobliżu naszych ścian. Zobaczyłem, że Francuzi kopią rowy wzdłuż niego, bo jego łuki zapewniały osłonę przed ogniem obrońców. Z jednej strony zauważyłem zagłębienie, podobne do wyschniętego stawu. Francuzi rozstawiali wokół niego paliki miernicze.

- Osuszyli zbiornik, by stworzyć zagłębienie zapewniające osłonę dla ich dział - odezwał się Phelippeaux, jakby czytając w moich myślach. - Wkrótce ustawią tam lekkie działa, które przetransportowali drogą lądową.

Spojrzałem w dół. Oazę zieleni otaczali ludzie szykujący się do wojny. Prawdopodobnie miejsce to lubiły odwiedzać kobiety z haremu. Teraz, gdy na murach nad ogrodem mrowili się żołnierze i marynarze, prawdopodobnie zostaną w zamknięciu.

- Dodaliśmy do miejskiego arsenału ponad sto dział - stwierdził Phelippeaux. - Teraz, kiedy mamy działa cięższe od francuskich, musimy trzymać żabojadów z dala od naszych murów.

- Co oznacza, że nie możemy pozwolić Dżezarowi zrezygnować - zaznaczył Smith. - I ty, mości Gage, tego dokonasz.

-Ja?

- Widziałeś armię Napoleona. Chcę, żebyś powiedział naszemu sprzymierzeńcowi, że można ją pokonać... bo będzie można, jeżeli on w to uwierzy. Ale pierwej musisz uwierzyć ty sam. Wierzysz?

Przez chwilę się zastanawiałem.

- Bonaparte zapina portki jak my wszyscy. Do tej pory po prostu nie natknął się na równego sobie śmiałka.

- Właśnie. No to chodźmy spotkać się z Rzeźnikiem.

Nie musieliśmy czekać na audiencję. Po rzezi Jaffy Dżezar się zorientował, że jego przetrwanie zależy od europejskich sojuszników. Wprowadzono nas do jego sali przyjęć, pięknie dekorowanej, ale skądinąd skromnie umeblowanej komnaty o misternie rzeźbionym sklepieniu, wyłożonej pysznymi wschodnimi kobiercami. W złotych klatkach szczebiotały ptaki, pod ścianą skakała małpka na skórzanej smyczy, a drzemiący na pysznej poduszce wielki drapieżny kot łypnął na nas leniwie, jakby się zastanawiał, czy warto się pofatygować, żeby nas pożreć. To

samo wrażenie zrobił na mnie Rzeźnik, stojący sztywno jak struna, a jego postawa mimo wieku wciąż emanowała fizyczną mocą. Usiedliśmy przed nim, krzyżując nogi, a jego sudańscy przybocznicy zmierzli nas podejrzliwymi spojrzeniami, jakbyśmy byli skrytobójcami, a nie sprzymierzeńcami.

Dżezar był mężczyzną siedemdziesięcioletnim, który wyglądał raczej jak gniewny prorok, a nie miły dziadunio. Miał gęstą, białą brodę, twarde jak krzemień oczy i usta o zarysie zdradzającym skłonność do okrucieństwa. Za pasem zatknął pistolet, a obok leżał sztylet. Ale jego spojrzenie zdradzało też niepewność tyrana, który stanął oto naprzeciwko innego twardziela: Napoleona.

- Paszo, to jest ten Amerykanin, o którym ci mówiłem - zagaił Smith.

Rzeźnik ocenił mnie jednym spojrzeniem - moje pożyczone marynarskie ubranie, poplamione buty, skórę wystawioną na długie działanie słońca i morskiej wody -i nie zadał sobie nawet trudu, żeby ukryć sceptycyzm. Ale w jego spojrzeniu była też ciekawość.

- Uciekłeś z Jaffy?

- Francuzi chcieli mnie zabić z innymi jeńcami - odpowiedziałem. - Rzuciłem się w morze i znalazłem małą jaskinię w skałach. To była straszna rzeź.

- A jednak z opresji wynoszą głowy jedynie niezwykli ludzie. - Rzeźnik sam był przykładem bezwzględnego człowieka, który wydobędzie się z najgłębszej choćby studni. - I pomogłeś zdobyć artylerię nieprzyjaciela?

- No, przynajmniej jej część.

Pasza przyglądał mi się przez chwilę.

- Jesteś pomysłowym człowiekiem, masz w zanadrzu pełno niespodzianek.

- Jak ty sam, paszo. I tak samo jak Napoleon.

Uśmiechnął się.

- Ja chyba bardziej. Zabiłem więcej ludzi i wychędoży-

łem więcej kobiet. A teraz mamy próbę woli. Oblężenie. Allah zmusił nas do użycia niewiernych, żeby stawić czoło innym niewiernym. Nie ufam chrześcijanom. Nieustannie knują jakieś spiski.

To akurat wydało mi się niewdzięcznością.

- W tej chwili spiskujemy, żeby ocalić twój kark, paszo.

Wzruszył ramionami.

- To opowiedz mi o tym Napoleonie. Czy jest człowiekiem cierpliwym?

- Ani trochę.

-Ale potrafi wykrzesać z siebie niezwykłą energię, żeby dopiąć swego - dodał Phelippeaux.

- Dołoży wszelkich starań, żeby zdobyć twoje miasto, nawet bez ciężkich działań - stwierdziłem. - Uważa, że zmasowane uderzenie przeważającymi siłami w określonym miejscu i czasie zdoła załamać morale przeciwnika. Jego żołnierze są dobrze wyszkoleni, pełni zapału i potrafią celnie strzelać.

Dżezar wziął z miseczki daktyl, obejrzał go starannie, jakby nigdy wcześniej nie widział tego owocu, a potem wrzucił do ust i zaczął żuć, pytając nas jednocześnie:

-Może więc powinienem się poddać? Albo uciec? W końcu jego wojska są dwakroć liczniejsze od mojego garnizonu.

- Dzięki pomocy artylerii z brytyjskich okrętów masz nad nim przewagę ogniową, paszo. On zaś znajduje się setki mil od bazy w Egipcie i dwa tysiące mil od Francji.

- Możemy go więc pobić, zanim sprowadzi więcej dział.

- On już prawie nie ma wojsk, które mógłby zostawiać jako garnizony w podbitych miastach. Jego żołnierze są znużeni i tęsknią za domem.

-I chorują - dodał Dżezar. - Mówi się o zarazie...

- Kilka wypadków było już w Egipcie - potwierdziłem. - Słyszałem, że w Jaffie było więcej. - Przekonałem

się, że Rzeźnik to stary przechera i wcale nie należy do marionetkowych władców, jakich nasyłała na niektóre prowincje Wysoka Porta ze Stambułu. Zbierał informacje o swoich wrogach jak naukowiec. - Paszo, Napoleon musi się liczyć z czasem. Z każdym dniem, który spędzi tu, pod Akką, sułtan będzie mógł otoczyć go coraz liczniejszymi wojskami. Nie dostanie żadnych posiłków czy wsparcia zaopatrzeniowego, podczas gdy brytyjska marynarka może przywozić nam jedno i drugie. On usiłuje w ciągu jednego dnia dokonać tego, co innym zajmuje cały rok, i w tym tkwi jego słabość. Próbuje zdobyć Akkę na czele dziesięciu tysięcy ludzi, podczas gdy nikt nie wie lepiej od niego, że to blef. W chwili, gdy nieprzyjaciele przestaną się go bać, będzie skończony. Jeżeli zdołasz się utrzymać...

- Będzie musiał pójść precz - dokończył Dżezar. - Ten mały człowieczek, którego jeszcze nikt nie zdołał pokonać.

- My go pokonamy pod Akką - obiecał Smith.

- Chyba że znajdzie coś bardziej potężnego od artylerii - odezwał się czyjś głos z cienia.

Zdębiałem. Znałem ten głos! Z mroku za wyłożoną poduszkami niszą Dżezara wychynęło okropne oblicze Chaima Farkiego! Smith i Phelippeaux wzdrygnęli się lekko, ale poza tym niczym nie zdradzili strachu czy odrazy. Oni też znali jerozolimskiego bankiera.

- Farhi?! Co robisz w Akce?

- Służę swojemu panu - stwierdził Rzeźnik.

- Monsieur Gage, Jerozolima stała się niezbyt przyjaznym miejscem. A bez Księgi nie miałem powodu, żeby tam zostawać.

- Więc razem z nami stawieś się u paszy?

- Ależ oczywiście. Wiesz, kto mnie okaleczył.

- Zrobiłem mu przysługę - warknął Rzeźnik. - Urodziwy wygląd rodzi dumę, a próżność jest największym z grzechów. Jego bliźny pozwalają mu się skupić na rachunkach. Dzięki nim trafi do raj.

Farhi skłonił się nisko.

- Panie, jesteś jak zawsze łaskawy...

- Uciekłeś więc z Jerozolimy?

- Z trudem, ale jakoś mi się udało. Opuściłem was, bo moja twarz ściąga powszechną uwagę i wiedziałem, że trzeba przeprowadzić dalsze badania. Co o naszej tajemnicy wiedzą Francuzi?

-Wybuch wściekłości muzułmanów nie pozwolił im na dalszą penetrację tuneli. Nie wiedzą niczego i grozili mi węzami, żeby się dowiedzieć tego, co ja wiem. Myślę, że wszyscy skończymy z pustymi rękami.

- A czego mielibyśmy szukać? - zapytał Smith.

- Ten tu pański współpracownik nie przybył do Jerozolimy tylko po to, żeby wam służyć, mości kapitanie - odpowiedział mu enigmatycznie Farhi.

- Nie, jak sobie przypominam, szukał też pewnej kobiety.

-I pewnego skarbu, którego szukają rozmaici desperaci.

- Skarbu?

- Nie chodzi o pieniądze - odezwałem się zirytowany na Farhiego, który zdradził mój sekret. - Tym skarbem miała być pewna księga.

- Magiczna księga - uzupełnił bankier. - Od tysięcy lat mówią o niej rozmaici mędrcy, szukali jej templariusze. Kiedy poprosiliśmy o pomoc waszych marynarzy, nie szukaliśmy sekretnego wejścia do Jerozolimy. Szukaliśmy tej księgi.

- Francuzi też jej szukali - dodałem.

-I ja - przyznał się Dżezar. - Farhi był moim uchem i okiem.

Dobrze, że drań użył liczby pojedynczej, bo sam pozbawił swojego zausznika drugiego oka i ucha.

Smith patrzył na nas wzrokiem pełnym niedowierzania.

- Ale jej tam nie było - stwierdziłem. -I najprawdopodobniej ona już w ogóle nie istnieje.

- A jednak różni agenci przewracają do góry nogami całą Syrię - odezwał się Farhi. - Działają w imieniu jakie goś tajemniczego osobnika z Egiptu.

Poczułem dreszcz.

- Powiedziano mi, że hrabia Alessandro Silano wciąż jeszcze żyje.

- Żyje. Wskrzeszono go. A może jest nieśmiertelny. -Farhi wzruszył ramionami.

- Co masz na myśli, Farhi? - zapytał Dżezar tonem nauczyciela, który zaczyna odczuwać irytację na nieustannie zbaczających z tematu uczniów.

- To, że jak powiedział Gage, przedmiot, którego wszyscy szukają, może dawno już został zniszczony. Ale jeśli istnieje, to możemy go szukać, bo zostaliśmy zablokowani przez wojska Bonapartego. Owszem, czas jest jego wrogiem. Ale my też musimy się z nim liczyć. Jeżeli będziemy tu siedzieć zbyt długo, może być za późno, żeby poszukać tego, co tak bardzo pragnie osiąść hrabia Alessandro Silano. - Wskazał mnie palcem. - Ten człowiek musi znaleźć sposób, jak podjąć poszukiwania, zanim będzie za późno.

Ruszyłem za zapachem węgla, żeby znaleźć kowala Jerycho. Rezydował w podziemnej zbrojowni pałacu Dżezara, gdzie błyskając lśnięcymi w świetle paleniska muskularni barków i ramion niczym Thor kuł narzędzia wojny: miecze, włócznie, dwudzielne widły do spychania drabin oblężniczych, bagnety i wyciory. W oddzielnych foremkach perliły się czernią kule, a drobny śrut leżał zsypany pod ścianą do ponownego przetopienia. Przy miechach pracowała Miriam - jej włosy w zlepionych potem kędziorach przylegały do policzków, a irytująco obcisła koszula podkreślała pełnię kształtów młodej kobiety; w dolinie pokusy pomiędzy piersiami połyskiwała struzka potu. Nie wiedziałem, jakie spotka mnie przyjęcie,

biorąc pod uwagę, że stałem się przyczyną utraty domu w Jerozolimie, ale gdy mnie zobaczyła, jej oczy rozbłysły radośnie. Podbiegła i zamknęła mnie w gorącym powitalnym uścisku. Jak miło było ją trzymać w ramionach! Ze względu na obecność Jerycha z najwyższym trudem powstrzymałem łapy od ześlizgnięcia się na jej kuszący tyłeczek. Ale nawet wargi niechętnego mi Jerycha wygiął przyjazny uśmiezek.

- Myśleliśmy, że nie żyjesz!

Pocałowała mnie w policzek i niemal tym pocałunkiem oparzyła. Zmieszany odsunąłem ją nieco, żeby moja radość z naszego spotkania nie stała się dla niej fizycznie wyczuwalna.

- Ja też się o was bałem - stwierdziłem. - Przykro mi, że nasze wspólne przygody zakończyły się zamknięciem was tutaj, ale naprawdę sądziłem, że znajdziemy skarb. Uciekłem z Jaffy łódką z moim przyjacielem Mohamma dem. - Znów spojrzałem na Miriam, uświadamiając so bie, jak bardzo mi jej brakowało i jak była anielsko piękn a. - Wiadomość o tym, że przeżyłaś, była jak łyk źródła nej wody dla konającego z pragnienia.

Myślę, że zarumieniła się pod sadzą pokrywającą jej policzki, a z ust jej brata zniknął przyjazny uśmiech. A, co mi tam! Nie miałem ochoty wypuszczać z rąk jej kibici, ona zaś wciąż trzymała mnie w ramionach.

- Więc oto tu jesteśmy - stwierdził Jerycho. - Wszyscy troje.

Puściłem ją w końcu i skinałem głową.

-Z człowiekiem, którego nazywają Rzeźnikiem, na poły zwariowanym angielskim kapitanem okrętu, okaleczonym Żydem, rozgoryczonym szkolnym kolegą Bona-partego i muzułmańskim przewodnikiem. Nie wspominając o krzepkim kowalu, jego uczonej siostrze i niezbyt fortunnym amerykańskim hazardziście. Gromadka łotrzyków co się zowie.

-1 łotrzyk - dodała Miriam. - Ethanie, słyszeliśmy, co się stało w Jaffie. Co będzie, jak Francuzi zdobędą Akkę?

- Nie zdobędą - stwierdziłem z pewnością siebie, której wcale nie czułem. - Nie musimy ich pokonać... wystarczy, że będziemy odpierali ataki, aż zmusimy ich, żeby się wycofali. A ja mam pewien pomysł. Jerycho, znajdzie się w tym mieście jakiś ciężki łańcuch?

- Owszem, łańcuchy kotwiczne okrętów albo te, które przeznaczono do zamykania portu. A czemu pytasz?

- Chciałbym owinąć go wokół wieży na powitanie Francuzów.

Potrząsnął głową, sądząc, że wciąż jeszcze nie wyleczyłem się z głupoty.

- Żeby ułatwić im wspinaczkę?

- Owszem. A potem naładować go elektrycznością.

- Elektrycznością! - Przeżegnał się.

- Na ten pomysł wpadłem, gdy płynąłem z Mohammedem. Jeżeli zdołamy zgromadzić dość mocny ładunek w baterii butli lejdejskich, możemy go później przenieść jakimś drutem na zawieszony łańcuch. Da to ten sam wstrząs, jaki demonstrowałem w Jerozolimie, ale tym razem pospadają do fosy, gdzie będziemy ich mogli pozabijać. - Niespodziewanie dla samego siebie zapragnąłem krwi.

- Chcesz powiedzieć, że nie będą mogli utrzymać tego łańcucha w rękach? - zapytała Miriam.

- Tak samo, jakbyśmy go rozgrzali do czerwoności. To będzie jak bariera ognia.

Teraz zaintrygowałem i kowala.

- To naprawdę da się zrobić i będzie działało?

- Jak nie zadziała, to Rzeźnik każe nas powiesić... na tym łańcuchu.

ROZDZIAŁ 13

Potrzebny mi był potężny generator elektryczności, o jakim Franklinowi nawet się nie śniło, więc gdy Jerycho zajął się łączeniem łańcuchów, Miriam i ja ruszyliśmy na poszukiwania szkła, ołowiu i miedzi oraz dzbanów w dostatecznej ilości do naszej gigantycznej baterii. Rzadko kiedy praca mnie tak cieszyła. To nie było tak, że Miriam i ja li tylko pracowaliśmy razem - łączył nas związek partnerski podobny do tego, jaki istniał kiedyś pomiędzy mną i Astizą. Skromna nieśmiałość Miriam rozplynęła się gdzieś w tunelach pod Jerozolimą i teraz dziewczyna okazywała szczere zaufanie, co wzmagало i podtrzymywało moją odwagę. Żaden mężczyzna nie chce się okazać tchórzem przy kobiecie. Pracowaliśmy ramię w ramię, ocierając się o siebie częściej, niż to było potrzebne, a ja wciąż pamiętałem ciepło na moim policzku w miejscu, gdzie złożyła pocałunek. Nie masz niczego bardziej pożądanego niż kobieta, której jeszcze nie posiadałeś.

Podczas pracy słyszeliśmy echo francuskich dział, trafiających coraz bliżej, gdyż wydłużały się linie okopów. Gdy żelazna kula uderzała w zewnętrzne mury, nawet podziemiami cytadeli Dżezara targał wstrząs.

Franklin nazwał rząd lejdejskich butli „baterią”, ponieważ przypominały mu baterie dział ustawionych lufa przy lufie dla koncentracji ognia. W naszym wypadku każdy dodatkowy dzban mógł być połączony z poprzednim, żeby zwiększyć moc niespodzianki, jaką szykowałem dla

francuskich żołnierzy. Wkrótce mieliśmy ich tak wiele, że naładowanie ich przez kręcenie korbą wydawało się syzyfową pracą, nieustannym toczeniem głazu pod górę.

- Ethanie, jak zamierzasz kręcić twoimi szklanymi dyskami tak długo, żeby naładować tę potężną konstrukcję? -zapytała Miriam. - Potrzebna będzie armia młynarzy.

- Nie armia. Jeden niezbyt bystry człowiek z mocnym grzbietem. - Pomyślałem o Wielkim Nedzie.

Od zejścia na ląd w Akce zastanawiałem się, jak też będzie wyglądało moje ponowne spotkanie ze zwalistym i zapalczwym marynarzem. Trzeba mu było odplacić za jego zdradę pod jerozolimską bramą, olbrzym zresztą wciąż zachowywał wrogość wobec mnie z powodu przegranej w karty. Najważniejsze było, żeby nie spotkać go w sytuacji, w której nie miałbym przewagi, starannie więc zaplanowałem lekcję, jakiej zamierzałem mu udzielić. Podobno słyszał o moim zaskakującym powrocie i się chełpił, że mnie spierze, gdy tylko wyjdę spod osłon kobiecych spódniczek. Kiedy mi powiedziano, że przydzielono go do grupy murarzy, którzy mieli naprawić ściany fosy u podstaw głównej wieży, pojawiłem się na blankach, żeby im pomóc.

Mur jest najmocniejszy, kiedy nie ma w nim szczelin, które armatnie kule mogą poszerzać, dlatego też Phelip-peaux i Smith postanowili go naprawić. Była to dość niebezpieczna praca, podczas której angielscy snajperzy usiłowali z pobliskich okopów trzymać w szachu francuskich strzelców wyborowych, podczas gdy ochotnicy z Nedom na czele pracowali w nocy na zewnątrz murów. Pomimo zatargu z Tomem i Nedom podziwiałem niezłomną determinację niepiśmiennych angielskich marynarzy, którzy o cienkiej zupce ciężko pracowali, przeciwstawiając idealizmowi Francuzów zawziętą lojalność wobec ojczyzny i Korony. Ned miał w sobie ten sam upór i śmiałość. Przy błysku i huku wystrzałów z muszkietów - jakże mi teraz

brakowało mojej strzelby! - z murów opuszczano kosze kamieni, cementu i wody robotnikom z grup naprawczych, którzy uzupełniali mury, wciskając w szczeliny ociosane naprędcie kamienie i umacniali je zaprawą. Z nadejściem świtu wspinali się na górę niczym małpy po spuszcanych im drabinkach linowych, czemu towarzyszył gwizd kul. Przełomowego dnia stawilem się na murach, podając każdemu rękę i wciągając go do środka. W końcu został tylko Ned. Podszedł do drabinki i mocno ją pociągnął.

Kiedy drabinka opadła, tworząc bezładny stos sznurów i drewna wokół jego stóp, spojrzał w górę i zrobił minę, która dla mnie warta była co najmniej tysiąc funtów. Zemsta jest rozkoszą bogów!

Wychyliłem się na zewnątrz.

- Hej, Ned! Głupio jest być zamkniętym na zewnątrz, prawda?

Kiedy poznał moją twarz wychyloną zza muru pięćdziesiąt stóp nad nim, zrobił się czerwony z wściekłości.

- Ośmieliłeś się więc w końcu wyjść z pałacu paszy, jankeski szelmo? Myślałem, że po lekcji, jakiej ci udzieliłem w Jerozolimie, będziesz się trzymał na odległość stu mil od uczciwych angielskich marynarzy! A teraz chcesz mnie zostawić w tej fosie i załatwić rękami zabójców? - Złożywszy dłonie w trąbkę, ryknął w górę, zwracając się do widzów: - On jest tchórzem! To tchórz!

-O nie! - zaprotestowałem. - Chciałem tylko, żebyś poznał smak własnej zdrady, i zobaczyć, czy masz dość męstwa, żeby mi uczciwie stawić czoło! Do tej pory popisałeś się jedynie zamknięciem mi bramy przed nosem, albo ukryciem się w okrętowej zęzie!

Wytrzeszczył oczy, jakby za chwilę miał pęknąć z wściekłości.

- Uczciwie stawić ci czoło? Na Boga, rozerwę cię na kawałki, ty oszuście, jeżeli tylko masz dość ikry, żeby stanąć naprzeciwko mnie jak mężczyzna!

- Tylko głupiec chwali się swoją krzepą i na niej polega! - krzyknąłem w dół. - Stań do uczciwej, męskiej walki z szablą czy rapiere w rękę jak dżentelmen, a dam ci dobrą nauczkę!

- Piekło i szejtani! Tak właśnie zrobię. Wybieraj, co chcesz: pistolety, bosaki, pałki, sztylety czy działa!

- Mówiłem o broni białej: szable, kordelasy czy rapiery!

- No to daj mi wejść na górę! Skoro nie mogę cię udusić, rozplątam cię jak barana!

Ustaliwszy w ten sposób warunki pojedynku ku mojej satysfakcji, opuściłem drabinkę i Ned wlaźł na mury, zanim światło świtu uczyniłoby zeń znakomity cel dla francuskich strzelców.

- Okazałem ci więcej miłosierdzia niż ty mnie - stwierdziłem pouczająco, gdy otrząpywał ubranie z kurzu i resztek cementu.

- A ja ci okażę tyle miłosierdzia, ile ty okazałeś przy kartach! Dajmy głos stali i załatwmy to raz na zawsze. Teraz już nie pozwolę ci się wywinąć, choćbyś mi zapłacił dziesięciokrotną wartość mojej przegranej!

- Spotkamy się w pałacowych ogrodach. Wybierasz rapiery, szable czy kordelasy?

-Przebóg! Kordelasy! Mam ochotę cię poszatkować! I przyprowadzę moich chłopaków, żeby patrzyli, jak zdychasz! - Łypnął okiem na zebranych wokół nas ludzi, którzy z niemąłą uciechą się nam przypatrywali. - Nikt nie będzie robił wała z Wielkiego Neda!

Moja ochota do pojedynku z tym bydlęciem zrodziła się z pewnych przemyśleń. Franklin zawsze podsuwał mi dobre pomysły, a pracując w kuźni Jerycha, myślałem o tym, jak filadelfijski mędrzec mógłby użyć pomysłowości przeciwko sile. A potem zabrałem się do roboty.

Przeróbka kordelasa Neda była dość prosta. Oderwa-

łem od rękojeści drewno i skórę, zamieniłem je przymocowaną nitami miedzią, porobiłem na niej nacięcia, żeby przeciwnik dobrze mógł trzymać broń w garści, i całość pięknie wygładziłem. Metal jest dobrym przewodnikiem.

Z moim orężem rzecz b/ła bardziej skomplikowana. Wydrążyłem rękojeść, napełniłem ją ołowiem, podwoiłem opłot dodatkową izolacją i tuż przed pojawieniem się mojego przeciwnika podłączyłem kabłąk do solidnego przewodu generatora, żeby naładować całość cząstkami elektryczności. Kiedy mój przeciwnik pojawił się na dziedzińcu, pokręciłem korbą generatora, gromadząc wiele elektryczności w stali mojego kordelasa.

- Co to jest, ty jankeski szelmo? - Ned spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Magia - odpowiedziałem.

- Hej, ja chcę uczciwej walki!

-1 taka będzie... stal przeciwko stali. Twoje mięśnie przeciwko mojemu mózgowi. Trudno o bardziej uczciwe warunki, prawda?

- Ethanie, on cię porąbie na sztuki jak pień drzewa -ostrzegł mnie Jerycho, który wziął na siebie rolę mojego sekundanta. - To szaleństwo. Przeciwko Wielkiemu Ne-dowi nie masz szans.

- Honor wymaga, żebyśmy skrzyżowali ostrza - odparłem z dość wyraźnie słyszalną rezygnacją. - Nieważne, że on jest silniejszy i bardziej zręczny. - Myślę, że podpuszczanie draba nie miało w sobie nic ze sportowego ducha, ale który matador nie użyłby mulety?

Dałem zebranych wokół żeglarzom czas na porobienie zakładów przeciwko mnie - pożyczwszy pieniądze od kowala, przyjąłem je wszystkie, uznając, że w końcu mogę i na nich trochę zarobić - a potem przyjąłem szermierczą postawę na ścieżce ogrodu, gdzie mieliśmy się bić. Miło zrobiło mi się na myśl, że zza krat okien haremu obserwu-

ją nas różne pięknotki; wiedziałem też, iż patrzy na nas Dżezar.

- Stawaj, byku! - zawołałem. - Jak przegram, dam ci mojego ostatniego szylinga, ale jak wygram, będziesz mi posłuszny!

- Jak przegrasz, wybiorę, co będę chciał z plasterków, na jakie cię porąbię!

Zebrani marynarze skwitowali ten wytrysk intelektu mojego przeciwnika rykiem entuzjazmu, a na twarzy Neda pojawił się szeroki uśmiech. Ruszył na mnie i wymierzył potężne cięcie.

Sparowałem.

Chciałbym móc się pochwalić śmiałym opisem wybornego pojedynku, w którym zręczność i sztukę szermierczą przeciwstawiłem brutalnej sile mojego przeciwnika. Ale gdy tylko stal zetknęła się ze stalą, sypnęły się iskry i rozległ się głośny trzask, co sprawiło, że widzowie podskoczyli z głośnymi okrzykami. Nasze ostrza zaledwie się dotknęły, Ned jednak frunął w tył, jakby muł go kopnął. Kordelas wyleciał mu z dłoni, mijając o cal łeb jednego z jego kompanów, a sam olbrzym zwałił się w trawę niczym Goliat i legł, wyrwociwszy oczy białkami do góry. Mnie piekła ręka, ale dostała mi się jedynie maleńka część ładunku. W powietrzu unosił się ostry zapach, jak bywa po uderzeniu piorunu.

Czyżbym zabił mojego przeciwnika?

Dotknąłem go sztychem kordelasa. Podskoczył jak jedna z żab Galvaniego.

Tłum umilkł, strach wiszący w powietrzu był niemal namacalny.

Ned się wzdrygnął, zamrugał i skrzywił, jakby wypił łychę octu siedmiu złodzieiów.

- Nie dotykaj mnie!

- Ned, nie powinieneś wyzywać lepszych od siebie!

- Jasny gwint! Co to było!

- Magia - odpowiedziałem, po czym uniosłem kordelas i zwróciłem ostrze ku tłumowi gapiów. - Wygrałem z nim w karty bez żadnych sztuczek, a teraz pokonałem go w pojedynku. Czy ktoś jeszcze chce mi rzucić wyzwanie?

Cofnęli się, jakbym był trędowaty. Bosman rzucił mi sakiewkę pełną pieniędzy z wygranych przeze mnie zakładów. Dzięki Bogu za tę żyłkę do hazardu, w jaką wyposażył wszystkich durniów z kubryków angielskich okrętów!

Ned usiadł chwiejnie.

- Nikt nigdy jeszcze mnie nie pokonał, nawet mój tato, od czasu jak skończyłem osiem czy dziewięć lat i stłukłem go po raz pierwszy.

- Czy w końcu dasz mi spokój i uznasz, że jestem lepszy?

Potrząsnął głową, jakby chciał na nowo poustawić wszystkie rozklekotane klepki.

-Jak powiedziałeś, będę ci posłuszny. Masz dziwne moce, szefuniu. Teraz to widzę. Zawsze wychodzisz cało z opresji, nieważne, po czyjej stronie postawi cię los.

- Ned, ja po prostu posługuję się mózgiem częściej od innych. Jeżeli się ze mną sprzymierzysz, nauczę cię tego samego.

- Tak. Chcę z tobą pracować, a nie walczyć. - Wstał chwiejnie i ponownie się zakołysał.

Mogłem sobie wyobrazić, że wciąż przeszywają go nie-samowite dreszcze. Elektryczność potrafi sprawić ból.

- Hej wy tam, posłuchajcie mnie - odezwał się chrapliwie. - Nie próbujcie się sprzeciwiać temu Amerykaninowi. Kto zacznie, będzie miał ze mną do czynienia. Jesteśmy kompanami, ot co!

Uścisnął mnie jak wielka małpa.

- Człowieku, nie dotykaj mojego kordelasa!

- W życiu! - Cofnął się pospiesznie.

- A teraz ci powiem, że razem, we dwóch, stworzymy jeszcze większą magię, tylko że użyjemy jej przeciwko Francuzom. Potrzebny mi człowiek, który będzie kręcił korbą mojego aparatu jak sam diabeł. Możesz to zrobić, Ned?

- Jak nie będziesz mnie dotykał.

- Nie, jesteśmy kwita - zapewniłem go. - Teraz możemy zostać przyjaciółmi.

Czas, w którym Francuzi jak mrówki kopali transzeje w kierunku murów Akki i podciągali działa na pozycje, był okresem dziwnego zastoju. Oni kopali, a my czekaliśmy z tym osobliwym fatalizmem obleganych. Ponieważ był Wielki Tydzień, w duchu świątecznego pojednania Bonaparte i Smith zgodzili się na wymianę jeńców pojmanych w drobnych utarczkach i wypadach. Dżezar przemierzał mury swej cytadeli jak niespokojny kot, obsypując mruczonymi gniewnie przekleństwami chrześcijan i wszystkich niewiernych, a potem zasiadał w wielkim fotelu na narożnej wieży i dodawał ducha swoim żołnierzom, obrzucając ich z góry wściekłymi spojrzeniami. Ja pracowałem nad swoim elektrycznym aparatem, ale niełatwo było zapewnić sobie pomoc Jerycha, bo Rzeźnik, Smith i Phelippeaux nieustannie przysyłali na dół broń do naprawy. W walce na blankach, kiedy nie masz czasu na przeładowanie, stal jest równie ważna jak proch.

Wysiłek i napięcie robiły swoje. Urodziwa twarz kowala o pełnych policzkach wydłużyła się, a oczy zapadły. Jego pracy towarzyszył nieustanny huk francuskich dział, rzadko kiedy wychodził na światło dzienne i niepokoiła go moja rosnąca zażyłość z Miriam. Ale nie potrafił nikomu odmówić i nie umiał wykonywać swej pracy niedbale. Pracował nawet wtedy, gdy wspólnie z Miriam strudzeni i wyczerpani układaliśmy się w przeciwległych rogach zbrojowni do snu.

Kowal obudził nas w mrokach przedświt 28 marca, gdy łoskot francuskich dział się nasilił, sygnalizując zbliżający się szturm. Bombardowanie wstrząsało nawet belkami sklepienia piwnic cytadeli Dżezara. Z góry zaczął spływać kurz. Drżenie gruntu wzbudzało iskry w palenisku.

- Francuzi sprawdzają zwartość naszych linii obronnych - odgadłem wciąż jeszcze oszołomiony snem. - Za trzymaj swoją siostrę tu, na dole. Oboje jesteście więcej wari w kuźni niż na murach.

-A ty?

- Mój łańcuch nie jest jeszcze gotów, ale zamierzam sprawdzić, czy będzie działać!

Była czwarta rano i schody oświetlał jedynie blask pochodni. Porwał mnie w górę potok tureckich żołnierzy i brytyjskich marynarzy biegnących do stanowisk na murach. Wszyscy kleliśmy jak szewcy - każdy w swoim języku. Na blankach bombardowanie to przypominało huk burzy, podkreślany niekiedy głośniejszym łoskotem, gdy jakaś kula trafiła w mur, to ponury gwizd, gdy przelatywała nad naszymi głowami. Wśród linii francuskich widać było nieustanne rozbłyski, znaczące pozycje ich dział.

Był tu Smith, który z uśmiechem szaleńca przechadzał się na tyłach szeregów żołnierzy piechoty morskiej Jego Królewskiej Mości. Wzdłuż murów Phelippeaux biegał jak szalony i mieszając wyrazy francuskie, angielskie i tureckie, naprowadzał na cel działa twierdzy, pomagając sobie niespokojnymi ruchami rąk. Z narożnej wieży wywieszono latarnie sygnałowe, które miały wskazywać cele kanonierom na brytyjskich okrętach.

Wpatrzyłem się w mrok, nie mogłem jednak nigdzie dostrzec nieprzyjacielskich oddziałów. Wziąłem od kogoś muszkiet i strzeliłem w stronę, z której powinny nadciągnąć, licząc na to, że w odpowiedzi któryś też strzeli i błysk zdradzi mi ich pozycję, ale Francuzi byli zbyt karnymi

i doświadczonymi żołnierzami, żeby strzelać bez rozkazu. Poszedłem więc za Phelippeaux do wieży. Drżała niczym drzewo pod ciosami drwali.

Teraz zaczęły odpowiadać i nasze działa; ich błyski przerywały stały strumień francuskiego ognia, ale też dawały artylerzystom wroga możliwość namierzenia celu. Pociski zaczęły uderzać w mur wyżej, a zaraz potem jakaś kula ugodziła w występ blanków, zasypując wszystko deszczem kamiennych i ceglanych odłamków. Tureckie działo spadło ze stanowiska, a oślepieni kanonierzy rozpierzchli się z krzykiem.

- Co mam robić? - krzyknąłem do Phelippeaux, usiłując ukryć naturalne przecież drżenie głosu. Z tego wszystkiego rozboleły mnie uszy. Fosa i mury podwajały jakby echa łoskotów i huków, a w powietrzu wisiał kwaśny, gryzący zapach prochu.

- Sprowadź tu Dżezara. To jedyny człowiek, którego jego ludzie boją się bardziej niż Napoleona.

Uradowany pretekstem, który pozwolił mi wrócić do pałacu, w komnatach paszy zderzyłem się niemal z Chaimem Farhim.

- Twój pan musi nam pomóc dodać ducha żołnierzom!

- Teraz nie wolno mu przeszkadzać. Jest w haremie.

Na portki Casanovy, któryż władca mógłby chędożyć w takiej chwili? Ale zaraz potem otworzyły się drzwi na schody wiodące do góry i stanął w nich Rzeźnik. Nie miał na sobie koszuli, oczy mu błyszczały, a najeżona broda upodabniała go do satyra i proroka Eliasza zarazem. Za pas zatknął sobie dwa pistolety, a w rękę trzymał ciężką, starą pruską szablę. Jakiś niewolnik przyniósł mu średniowieczną zardzewiałą kolczugę i filcową koszulę. Zanim zamknął za sobą drzwi, usłyszałem dolatujące zza nich odgłosy rozmów i płaczu kobiet.

-Paszo, Phelippeaux prosi, żebyś się zjawił na murach - odezwałem się niezbyt pewnym głosem.

- Teraz Frankowie podeszli dość blisko, żebym mógł ich pozabijać - warknął.

Kiedy wróciliśmy na wieżę, pierwsze promienie świtu wydobyły z mroku zarys wzgórza, z którego wszystko obserwował Napoleon. Widziałem, że brytyjskie okręty podpływały w głąb zatoki Akki, ich ogień jednak nie sięgał kolumn szturmowych. Teraz mogłem zobaczyć zgromadzonych w płytkich okopach ludzi; stłoczone oddziały przypominały z góry wielkie, ciemne stonogi. Wielu żołnierzy niosło drabiny.

- Udało im się wybić wyłom w wieży nad fosą- zameldował Phelippeaux. - Nie jest wielki, ale jeżeli wedrą się do środka, Turcy zaczną wiać. Zbyt wielu się dowiedziało, co tamci zrobili z Jaffą. Osmańscy żołnierze są zbyt spłoszeni, żeby walczyć, i zbyt przerażeni, żeby się poddać.

Wychyliłem się poza mur i zerknąłem w czarną jamę fosy w dole. Francuzi łatwo mogli się do niej dostać, ale czy zdołają się wydostać?

- Rzućcie baryłkę prochu - zaproponowałem. - Albo lepiej, domieszajcie do prochu gwoździ i kul. Opuśćcie ją, gdy będą się próbowali wdrzeć przez wyłom.

Rojalista wyszczerzył zęby w złym uśmiešku.

- Niezły pomysł, nasz krwiożerczy amerykański przyjacielu. Masz wojenne instynkty. Oświetlimy drogę Korsykaninowi.

- Napoleonie! - ryknął Dżezar, stanąwszy na swoim fotelu, tak że stał się widoczny niczym flaga nad murem. - Teraz spróbuj się z mamelukiem! Dobiorę ci się do dupy, jak przed chwilą robiłem to z moimi kobietami! - Wokół starucha gwizdały kule, cudem jakimś nie robiąc mu krzywdy. - O tak! Wachluj mnie jak moje kobiety!

Ściągnęliśmy go na dół.

-Jak dasz się zabić, panie, wszystko przepadnie! -stwierdził tonem pouczenia Phelippeaux. Rzeźnik splunął za mury.

- Ot, co sędzę o ich celności! - Przeszedł się wokół wieży, żeby się upewnić, że żołnierze nie opuszczają stanowisk. Poły kolczugi powiewały, jakby podkreślając furję władcy. - Mam na was oko, wy kozie syny! - ryknął do swoich.

Gdy wschodzące słońce rozświetliło okolicę, zobaczyłem, jak bardzo czas pilił Bonapartego. Wykopane przez Francuzów okopy były zbyt płytkie i wielu z nich zostało już trafionych. Ogień z twierdzy uszkodził już też kilka francuskich dział, ponieważ wykopano pod nimi zbyt płytkie transeje, a ze starego akweduktu nadgryzanego przez tureckie pociski sypały się na oblegających mniejsze i większe kawałki gruzu. Dźwigane przez nich drabiny wyglądały na absurdalnie krótkie.

Zaraz potem Francuzi wzniesli wojenny okrzyk i zaatakowali z łopotem trójkolorowych sztandarów. Jak zawsze, zrobili to z zapamię i rozmachem.

Po raz pierwszy mogłem podziwiać ich brawurę z przeciwnej strony i muszę przyznać, że ciarki przeleciały mi po plecach. Stonoga ruszyła i z niepokojącą szybkością pokonała odległość pomiędzy okopami i fosą. Turcy i brytyjscy marynarze usiłowali zwolnić tempo natarcia ogniem muszkietów, doświadczeni francuscy strzelcy zmusili ich jednak do poszukania ukryć. Trafiliśmy tylko kilku z nich. Dotarłszy do fosy, szybko rozproszyli się wzdłuż niej. Mieli za krótkie drabiny - zwiadowcom nie dano zbyt wiele czasu na pomiary - ale najdzielniejsi zeskoczyli na dół, ujęli mocno drabiny i pozwolili towarzyszom zsunąć się na dno. Inni ponad fosą strzelali w uczyniony wcześniej wyłom, zabijając wielu obrońców. W tureckich szeregach dały się słyszeć okrzyki przestraszenia.

- Ciszej tam! - ryknął Dżezar. - Jęczycie jak moje kobiety? Chcecie wiedzieć, co wam zrobię, jak puciekacie?

Tymczasem francuscy piechurzy przenieśli drabiny na drugą stronę fosy. I tu okazały się o kilka stóp za krót-

kie, co było niewybaczalnym błędem. I w tym właśnie momencie, podciągawszy się nieco, najzuchwalsi z nich mogliby chwycić za zwodniczo podsunięty im łańcuch. Pozbawiony ładunku pozwoliłby im wdrzeć się na mury i Akrę spotkałby los Jaffy. Ale gdyby go naładować elektrycznością...

Najdzielniejsi z Turków, wychylając się na zewnątrz, zaczęli ciskać kamienie, na co francuscy strzelcy odpowiadali ogniem z drugiej strony fosy. Jeden z obrońców, wrzeszcząc przeraźliwie, runął w dół. Sam wypaliłem z muszkietu, przeklinając brak jego celności.

Kilku Turków opuściło swoje działa. Brytyjscy marynarze usiłowali ich zatrzymać, uciekinierzy byli jednak zbyt przerażeni. I wtedy ze szczytu wieży zbiegł Dżezar, zastępując im drogę, Wywijając swoją pruską szablą i rycząc:

- Czego się boicie! Spójrzcie tylko! Mają za krótkie drabiny! Nie przejdą! - Wychylił się na zewnątrz, wypalił dwa kroki z pistoletów i podał je jednemu z uciekinierów. -Zrób coś pożytecznego, stara babo! Nabij te pistolety!

Jego ludzie jak wysmagani batem znów otworzyli ogień do napastników. Choć bardzo się bali niezwycięzonych Francuzów, Dżezara bali się jeszcze bardziej.

A potem z wieży spadł płonący meteor.

Była to baryłka prochu, którą zrzucano zgodnie z moją propozycją. Spadła na ziemię, odbiła się od niej, uniosła nieco w powietrze i eksplodowała.

Rozległ się straszliwy huk i na wszystkie strony strzeliła chmura odłamków drewna i kawałków metalu. Zgromadzeni na dole grenadierzy rozbiegli się - kilku najbliższych rozszarpało na krwawe strzępy, wielu odniosło poważne rany, innych zaś wybuch po prostu ogłuszył i oszołomił. Ludzie Dżezara ryknęli radośnie i natychmiast zasypali fosę gradem kul, powiększając jeszcze zamieszanie na dole.

Szturm się skończył, zanim zdołał się dobrze rozwinąć.

Francuzi mieli za krótkie drabiny, ich działa nie mogły skutecznie wspierać atakujących, wyłom był zbyt mały, opór zbyt twardy - wyznaczeni do szturmów stracili więc animusz. Napoleon postawił na szybkość i zaskoczenie zamiast żmudnego oblężenia - i przegrał. Napastnicy cofnęli się i zaczęli uciekać tam, skąd przyszli.

- Widzicie, jak wieją? - ryknął Dżezar, zwracając się do swoich ludzi.

W szeregach tureckich zerwały się okrzyki zaskoczenia i rozbudzonej buńczuczności. Niezwyciężeni Frankowie uciekali! W sercach załogi twierdzy obudziła się pewność siebie i ufność we własne siły, które dodawały im ducha podczas następnych długich tygodni oblężenia. Wieża stała się symbolem oporu nie tylko załogi Akki, ale i całego imperium osmańskiego.

Kiedy w końcu nad wschodnimi wzgórzami wstało słońce i oświetliło całą okolicę, zobaczyliśmy przerażający widok. Na ziemi leżało ponad dwustu żołnierzy Napoleona - rannych i zabitych. Dżezar nie pozwolił przerwać ognia, żeby pozwolić Francuzom na ściąganie rannych. Wielu z nich umarło, jęcząc przeraźliwie, zanim wieczorem mogli do nich dotrzeć sanitariusze.

- Pokazaliśmy Frankom gościnność Akki! - piał niemal z zachwytu Rzeźnik.

Phelippeaux nie okazywał aż takiej radości.

- Znam Korsykanina. To była zaledwie próba. Następnym razem uderzy większymi siłami. - Po tych słowach zwrócił się do mnie: - Lepiej, żeby twój mały eksperyment się udał.

Niepowodzenie pierwszego szturmów Francuzów żołnierzom tureckim dodało animuszu i podjęli służbę z radosną determinacją, zamiast poprzedniej ponurej rezygnacji. Francuzów można było pokonać! Dżezar był niezwyciężony! Allah odpowiedział na ich prośby!

Z kolei brytyjscy marynarze spochmurnieli. Pasma morskich wiktorii sprawiło, że lubili się chęłpić, iż zawsze „leją zabojadów”. Ale nie omieszkali zwrócić uwagi na dzielność francuskich żołnierzy. Bonaparte się nie wycofał. Oblegający zabrali się z jeszcze większym zapalem do pogłębiania okopów. Marynarze poczuli się uwięzieni na lądzie. Francuzi wystawiali manekiny, które ściągały na siebie ogień obrońców, i wykopywali nasze kule armatnie, którymi ponownie strzelali w mury twierdzy.

Nie poprawiało też sytuacji przekonanie Dżezara, że chrześcijanie mieszkający w Akce spiskują przeciwko niemu, choć atakujący twierdzę Francuzi byli żołnierzami republiki, która wzgardziła chrześcijaństwem. Kazał kilkudziesięciu z nich wraz z dwoma francuskimi jeńcami zaszyć w skórzane worki i wrzucić do morza. Smith i Phelippeaux mogliby go powstrzymać równie skutecznie jak Napoleon swoich żołnierzy pod Jaffą, ale wielu Anglików uznało, że ich sojusznik jest szaleńcem, którego działań nie da się przewidzieć.

Dżezar kierował swą wrogość nie tylko przeciwko wyznawcom Jezusa. Stary wróg paszy, kairski mameluk Salih Bej po zwycięstwie Napoleona uciekł do Syrii i stawił się w Akrze, żeby u boku Dżezara kontynuować walkę przeciwko Francuzom. Pasza przyjął go bardzo ciepło, napił zatrutą kawą i w pół godziny po przybyciu gościa kazał wrzucić jego trupa w morze.

Wielki Ned powiedział swoim towarzyszom, żeby zaufali „magikowi” - to znaczy mnie. Zapewnił ich, że te same sztuczki, które pozwoliły mi pokonać jego samego - człowieka dwa razy ode mnie większego - pomogą nam przeciwko Napoleonowi. Kierując się naszymi wskazówkami, marynarze zbudowali po obu stronach wieży dwa dość prymitywne drewniane kabestany. Łańcuch mógł być zwieszany niczym girlanda, a jego wysokość regulował obrót obu urządzeń. Następnie przenieśli moje

lejdejskie dzbany i napędzany korbą generator na piętro znajdujące się w połowie wieży, gdzie były drzwi wycieczkowe, z których rzuciłem wyzwanie Nedowi. Wielki łańcuch można było połączyć z mniejszym, zaopatrzonym w hak, ten zaś z kolei miedzianym przewodem łączył się z moimi dzbanami.

- Kiedy zaatakują, Ned, musisz kręcić jak sam diabeł!

- Szefuniu, jakem Ned, żabojady zaświecą jak dynie na Wszystkich Świętych!

Miriam pomagała nam w budowie całej aparatury, jej delikatne palce doskonale się sprawiały przy łączeniu dzbanów. Czy starożytni Egipcjanie znali i tę sztuczkę?

- Chciałbym, żeby Stary Ben mógł mnie teraz zobaczyć - mruknąłem, kiedy oparci o mur odpoczywaliśmy, patrząc na całą konstrukcję połyskującą w nikłym świetle sączącym się przez otwory strzelnicze.

- Kim jest Stary Ben? - zapytała oparta o moje ramię, gdyż oboje siedzieliśmy na posadzce.

Taka fizyczna bliskość już mnie nie podniecała - marzyłem o czymś więcej.

- To Amerykanin i bardzo mądry człowiek. Był wolnomularzem, wiedział o templariuszach i niektórzy uważają, że to ich idee wcielił w życie, pomagając stworzyć nasz kraj.

- Jakie idee?

- No, tak dokładnie to nie wiem. Kraj powinien mieć jakieś ideały, jak sądzę. Trzeba w coś wierzyć.

.- A w co ty wierzysz, Ethanie Gage?

- O to samo pytała mnie Astiza! Czy wszystkie kobiety muszą zadawać takie pytania? Skończyłem, uwierzywszy w nią samą, ale gdy tylko do tego doszło, to ją straciłem.

Spojrzała na mnie ze smutkiem w oczach.

- Brakuje ci jej, prawda?

- A ty tęsknisz za narzeczoną, który zginął na wojnie.

Jerycho tęskni za swoją żoną, Wielki Ned żałuje, że nie ma tu jego przyjaciela Małego Toma, a Phelippeaux pragnie restauracji monarchii.

- Wszyscy więc stoimy w kręgu żałobników. - Przez chwilę milczała. - Ethanie, a wiesz, w co ja wierzę? - zapytała po chwili.

- W Kościół?

- Wierzę w Jestestwo, o którym mówi Kościół.

- Masz na myśli Boga?

- Mam na myśli to, że w szaleństwie życia kryje się coś więcej. Wierzę, że w życiu każdego z nas zdarzają się rzadkie momenty, w których wyczuwamy to Jestestwo i jego jedność ze wszystkim, co nas otacza. Przez większość czasu jesteśmy zamknięci, samotni i ślepi jak pisklą w jajku, ale niekiedy w skorupie tworzy się szczelina, przez którą możemy zerknąć na zewnątrz. Błogosławieni mają wiele takich momentów, złym one się nigdy nie zdarzają. Ale kiedy tego doświadczasz, kiedy wyczuwasz, co jest prawdziwe, znacznie bardziej prawdziwe niż koszmar, w którym żyjemy, wszystko da się znieść. Wierzę też, że jeśli znajdziesz kogoś, kto potrafi czuć jak ty, kto walczy ze skorupą, jaka nas otacza... cóż, wtedy was dwoje może tę skorupę rozbić całkowicie. I to największe szczęście, jakiego możemy doświadczyć na tym świecie.

Wzdrygnąłem się wewnętrznie. Czy ta koszmarna wojna, w którą zostałem wplątany przed rokiem, jest jakimś obłądnym snem, skorupą, która mnie otacza? Czy starożytni wiedzieli, jak rozbić tę skorupę?

- Nie wiem nawet, czy w moim życiu był choć jeden taki moment. Czy to znaczy, że jestem złym człowiekiem?

- Żli nigdy się do tego nie przyznają, nawet sami sobie. - Jej dłoń musnęła mój szczeniasty policzek. Oczy miała tak błękitne jak rafa pod Jaffą. - Ale gdy ten moment nadejdzie, musisz go wykorzystać, żeby wyjść ku światłu.

I pocałowała mnie. Tym razem był to namiętny poca-

łunek; całym drżącym ciałem przytuliła się do mnie, aż wyraźnie wyczułem jej piersi na swoich.

Pokochałem więc nie tylko Miriam, ale wszystkich. Czy nie brzmi to wariacko? Przez najkrótsze z tchnień poczułem jedność ze wszystkimi nieszczęsnymi duszami tego udreźzonego świata, niesamowite uczucie, które nappełniło mnie rozdzierającym smutkiem i miłością. Oddałem jej pocałunek i mocno do niej przylgnąłem. Nareszcie zapomniałem o bólu z powodu dawno utraconej Astizy.

- Przechowałam twoje złote anioły, Ethanie - szepnęła, wyjmując aksamitną sakiewkę, którą zawiesiła pomiędzy piersiami. - Możesz je wziąć z powrotem.

- Zatrzymaj je sobie, to prezent. - Na cóż mogłyby mi się teraz przydać?

W tejże chwili usłyszeliśmy straszliwy huk, trzask pękającej zaprawy i cała wieża zatrzęsała się, jakby targnęła nią czyjaś gigantyczna dłoń. Przez chwilę się bałem, że runie, ale powoli przestała się kołysać i znieruchomiała, choć jej posadzka była teraz lekko pochylona. Zaraz potem rozległy się jęki trąbek sygnałowych.

- Podłożyli minę! Nadchodzą!

Trzeba wreszcie wypróbować mój łańcuch.

ROZDZIAŁ 14

Wyrzaleam przez furtę wypadową, ale zobaczyłem tylko chmurę dymu i kurzu.

- Zostań tu - szepnąłem Miriam. - Pójdę zobaczyć, co się stało.

Pognałem na szczyt wieży. Był tam już Phelippeaux, bez kapelusza, i nie bacząc na francuskie kule łomoczące o blanki, wychylał się na zewnątrz i patrzył w dół.

- Saperzy podkopali się pod wieżę i podłożyli proch - powiedział, zwracając się do mnie. - Ale myślę, że źle ocenili odległość. Fosa przekształciła się w rumowisko, ale ściany wieży lekko tylko popękały. Nie widzę szczelin się gających od podstawy do szczytu. - Cofnął się i chwycił mnie za ramię. - Czy to twoje diabelstwo jest gotowe? - Wskazał przedpole. - Bonaparte się zawziął.

Jak przedtem, pod starym akweduktem maszerowała kolumna wojsk, teraz jednak wyglądało na to, że idzie na nas cała brygada. Drabiny mieli też dłuższe niż ostatnio; kołysały się wysoko nad głowami idących. Wychyliłem się poza blanki. U podstawy wieży zionęła teraz pustką wielka dziura, a fosę zapełniało rumowisko kamiennych odłamków.

- Wyślij do wyłomu twoich najlepszych ludzi - zwróciłem się do Phelippeaux. - Ja ich zatrzymam moim łań cuchem. Kiedy zwałą się jeden na drugiego, walcie w nich wszystkim, co macie na górze i na dole. Sir Sidneyu! - Smith właśnie zdyszany wbiegał na górę. - Przygotuj swoje bomby!

Odetchnął głęboko, łapiąc oddech.

- Porażę ich ogniami Zeusa!

- Proszę tylko wybrać właściwy moment. W pewnej chwili moje butelki się rozładują. Żabojady mogą się wedrzeć na wieżę.

-I właśnie wtedy z nimi skończymy!

Phelippeaux i ja zbiegliśmy na dół - on pognął do wyłomu, a ja do mojego nowego towarzysza.

-Dalejże, Ned! Do korby i kręć, ile możesz! Nadchodzą! Musimy dobrze naładować nasze dzbany!

- Szefuniu, opuść łańcuch, a ja już zadbam o iskry!

Ustawiłem po kilku marynarzy przy każdym z kabestanów; kazałem im kucnąć i poczekać na mój znak. Po eksplozji miny rozgorzał zaciekły pojedynek artyleryjski, którego gwałtowność przewyższała wszystko, co dotąd poznałem. Zewsząd grzmiały działa i musieliśmy przekrzykiwać ich huk. Na miasto padały pociski, wyrzucając w powietrze chmury kurzu i gruzu. Niekiedy można było dostrzec kilka szybujących w górze kul, po czym w uszkodzonych miejscach wzbijały się pióropusze kurzu. Nasze pociski podnosiły fontanny piasku na pozycjach francuskich, przewracając niekiedy któreś z dział lub wysadzając w powietrze jaszcz z prochem. Francuscy grenadierzy z pierwszych szeregów ruszyli biegiem, trzymając drabiny niczym kopie, i już zbliżali się do fosy.

- Teraz, do dzieła! - krzyknąłem. - Opuszczajcie łańcuch.

Moi marynarze zakręcili kabestanami, popuszczając kable. Łańcuch, niby święteczna girlanda, ze zgrzytem zaczął się zsuwać ku wyłomowi w podstawie wieży.

Kiedy dotarł do szczeliny, kazałem go zatrzymać - zawisł w poprzek wyłomu jak osobliwa zaporę wejściową. Francuzi pomyśleli pewnie, żeśmy powariowali. Całe kompanie otworzyły do nas ogień, gdyśmy się wychylali z góry, ale odpowiedzieliśmy szrapnelami. Metal gwiz-

dał i warczał ponuro, trapieni wrzeszczeli przeraźliwie, a mury zaczęły się robić śliskie od krwi.

Pojawił się Dżezar, *który* w swej kolczudze przypominał szalonego Saracena; staruch spacerował tam i z powrotem, przekraczając ciała leżących żołnierzy, i nie zwracał uwagi na nieprzyjacielski ogień.

-Strzelajcie! Strzelajcie! Kiedy się zorientują, że nie uciekniemy, stracą ducha! Ich mina nic nam nie zrobiła! Widzicie? Wieża wciąż stoi!

Śmignąłem po schodach na dół, do pomieszczenia, w którym czekali moi towarzysze. Ned zaciekle kręcił korbą; zrzucił koszulę, a jego tors lśnił od potu. Szklany dysk wirował jak szalony, a z metalowych pasm wydobywał się brzęk niczym z ula.

- Gotowe, szefuniu!

- Poczekajmy, aż dotrą do łańcucha.

- Nadchodzi! - oznajmiła Miriam wyglądająca przez szczelinę strzelnicy.

Mimo morderczego ognia dziesiątkującego ich szeregi biegnący szybko grenadierzy przedostali się przez rumowisko wypełniające w połowie fosę i zaczęli się wspinać do wyłomu, jaki zrobiła w murze ich mina. Jeden z nich dzierżył wysoko trójkolorowy sztandar. Usłyszałem komendę Phelippeaux i łoskot salwy z luf muszkietów naszych ludzi wewnątrz wieży. Prowadzący kolumnę runęli w ramiona swoich towarzyszy, sztandar zwałił się na kamienie. Po ich ciałach szybko wspięli się nowi szturmowcy, strzelając w głąb wyłomu; sztandar też wzniósł się nad kolumną. Ołów z chrzęstem godził w ciała, powietrze wypełniły wrzaski i jęki rannych.

- Już prawie są, Ned!

- Wszystkie siły włożyłem w te dzbany - sapnął w odpowiedzi wielkolud.

Pierwsi napastnicy dotarli do mojego łańcucha i wczepili się weń rękami. Nie stanowił przeszkody - wyglądało

raczej na to, że przy jego pomocy będą mogli się szybciej wdrzeć do wyłomu. W chwilę później przy łańcuchu mrowili się żołnierze jak osy przy nici melasy.

- Teraz! - krzyknęła Miriam.

-Pomódl się do Franklina - mruknąłem. Pchnąłem drewnianą dźwignię, która docisnęła miedziany pręt połączony przewodem z bateriami do cienkiego łańcucha przyspawanego na końcu do większego. Zaiskrzyło; usłyszeliśmy głośny trzask.

Natychmiast potem rozległy się przeraźliwe wrzaski i wczepieni w łańcuch grenadierzy z sykiem iskier frunęli jak kopnięci przez słonia. Kilku nie mogło oderwać rąk, zawiśli w powietrzu poparzeni i dygotali teraz, miotani skurczami. Widok był niesamowity. Wyczułem zapach spalonego mięsa. W dole zapanował chaos.

- Ognia! - ryknął stojący niżej Phelippeaux.

Z wieży zagrzmiały strzały koszące kolejnych napastników.

- Ten łańcuch jest dziwnie gorący! - ryczeli Francuzi. Kilku grenadierów spróbowało podnieść go ostrzami bagnetów; odskoczyli jak oparzeni. Inni chcieli go odciągnąć i padli jak ogluszone woły.

Wynalazek działał, ale jak długo utrzyma się w nim ładunek? Ned zdążył się już zasapać. Wiedziałem, że w końcu atakujący się zorientują, na czym zwisa ten łańcuch, i jakoś ściągną go w dół, teraz jednak zatrzymali się i zbili w bezładny tłum, bo z tyłu napływały do fosy wciąż nowe plutony. Cała ta zbieranina była dobrym celem dla naszych strzelców, którzy natychmiast wykorzystali tę okazję.

Nagle zorientowałem się, że kogoś brakuje, i rozejrzałem szybko.

- Gdzie jest Miriam?

-Poszła nosić proch ludziom Phelippeaux na dole -sapał Ned.

- Nie! Potrzebna jest tutaj! - Przy wyłomie będą jatki. Skoczyłem do drzwi. - Nie przerywaj kręcenia.

- Taaaaest! - skrzywił się Ned.

Znalazłszy się dwa piętra niżej, trafiłem w sam wir dzikiej potyczki. Phelippeaux i jego oddział tureckich żołnierzy i angielskich marynarzy ogniem i bagnetami odpierali ataki francuskich grenadierów, którzy usiłowali się przedostać pod łańcuchem. Jedni i drudzy ciskali granaty i niemal połowa naszych leżała już na ziemi. Po francuskiej stronie trup też siał się gęsto. Z naszej strony wyłom wyglądał jak wylot jaskini otwierającej się na całą francuską armię; dziurę wypełniał dym i kurz. Dostrzegłem Mi-riam na samym przedzie - usiłowała odciągnąć jakiegoś rannego sprzed francuskich bagnetów.

- Miriam, wracaj na górę! Jesteś tam potrzebna!

Kiwnęła główką. Miała podartą suknię, włosy w nieładzie i dłonie we krwi. Nadbiegli nowi grenadierzy; dotykając łańcucha, odskakiwali z wrzaskiem. Kręć, Ned, kręć! - modliłem się w duchu. Wiedziałem, że ładunek wkrótce się wyczerpie.

Phelippeaux rąbał swoim rapierem. Ciął przez pierś jakiegoś porucznika, potem chlasnął drugiego przez łeb.

- Przekłęci republikanie!

Jakiś Francuz strzelił doń z pistoletu, chybiając o włos.

A potem usłyszałem krzyk kobiety i zobaczyłem, że Miriam odsuwa się ku wyłomowi. Jakiś żołnierz podczołgał się dołem i chwycił ją za kostki. Zamierzał ją odciągnąć i rzucić na łańcuch! Dziewczyna zostanie porażona!

- Ned! Przestań kręcić! Cofnij miedziany pręt! - wrzasnąłem.

Niestety, nie mogłem mnie usłyszeć. Rzuciłem się za Miriam.

Był to atak na klin Francuzów, którzy przelazili pod łańcuchem. Chwyciłem porzucony muszkiet i zacząłem nim wywijać, przewracając ludzi jak kręgle, ale broń zła-

mała się przy zwężeniu kolby. W końcu dopadłem draba, który ciągnął Miriam, i zaczęliśmy się szarpać we trójkę. Miriam, sięgnęła paznokciami do jego oczu.

Zwaliliśmy się na rumowisko, ze wszystkich stron wczepiły się w nas czyjeś ręce, dostałem w łeb, a Miriam odciągnięto i rzucono na łańcuch.

Znieruchomiałem, czekając, aż mój wynalazek zabije moją ukochaną.

I... niesie nie stało.

Metal był martwy.

Francuzi wydali ryk tryumfu i runęli naprzód. Chwycili łańcuch z obu stron i ściągnęli go na ziemię. Kilkunastu ludzi odwlokło go, badając przy okazji, co było źródłem jego porażającej mocy.

Miriam upadła obok łańcucha. Usiłowałem podczołgać się do niej pod nogami atakujących grenadierów, ale mnie po prostu wgnietli w ziemię. Chwyciłem brzeg jej sukni, gdy żołnierskie buty deptały po nas obojgu. Słyszałem krzyki i przekleństwa w trzech co najmniej językach. Ludzie walili się na ziemię, charcząc i jęcząc.

Raptem rozległ się kolejny straszliwy huk, głośniejszy nawet niż wybuch miny, bo nie tłumiała go warstwa ziemi. Sidney Smith zrzucił ze szczytu wieży swoją bombę zrobioną z kilku zebranych razem baryłek prochu. Spadła w gromadę Francuzów, którzy zebrali się przy łańcuchu; jej eksplozję wzmocniło wgłębienie fosy i ściany wieży, od których się odbiło uderzenie. Świat rozplynął się w dymie i ogniu, a ja przylgnąłem do rumowiska. Wokół mnie fruwały oderwane kończyny i głowy. Ludzie, którzy nas deptali, stali się krwawą tarczą, ich ciała osłoniły nas jak snopy zboża.

A potem odszukały nas dłonie przyjaciół, którzy wciągnęli nas oboje w głąb wyłomu. Phelippeaux, otwierając usta, mówił coś, czego nie mogłem usłyszeć, i wskazywał na coś ręką.

Francuzi znów się cofali, poniosłszy większe niż poprzednio straty.

Odwróciłem się z okrzykiem, którego sam nie słyszałem.

- Miriam?! Żyjesz?

Nie odpowiedziała. Leżała bez ruchu.

Gdy zabierałem ją z rumowiska i niosłem do ogrodów paszy, w uszach wciąż jeszcze mi dzwoniło, ale zaczynałem już coś słyszeć. Phelippeaux za mną zaczął okrzykami wydawać rozkazy murarzem i robotnikom, którzy mieli zamknąć wyłom. Powietrze pełne było dymu i osiadających popiołów.

Położyłem moją towarzyszkę na ławie obok fontanny i przyłożyłem ucho do jej warg. Tak! Usłyszałem szmer urywanego oddechu. Straciła tylko przytomność. Zmoczyłem chusteczkę w różowej od krwi wodzie fontanny i wytarłem jej twarz. Pod powłoką sadzy i brudu miała taką miękką i gładką skórę! W końcu chłód przywrócił jej przytomność. Zatrzepotała rzesami, wzdrygnęła się lekko i nagle usiadła.

- Co się stało? - zapytała z drżeniem w głosie.

- Podziałało. Wycofali się!

Objęła mnie i przytuliła twarz do mojego policzka.

- Ethanie, to było straszne!

- Może już nie wróca.

Potrząsnęła głową.

- Mówiłeś, że Bonaparte nigdy z niczego nie rezygnuje.

Ja też wiedziałem, że do pokonania Napoleona potrzeba czegoś więcej niż elektrycznego wstrząsu.

Miriam spojrzała na swoje ubranie i ręce.

- Wyglądam jak rzeźnik.

- Wyglądasz pięknie. Jesteś piękna i groźna. - Najczystsza prawda. - Wejźmy do środka.

Gdy pomagałem jej wstać, objęła mnie ramieniem. Nie

bardzo wiedziałem, dokąd ją zabrać. Chciałem jednak, żeby była jak najdalej od kuźni Jerycha i murów, na których toczono walki. Ruszyłem więc ku meczetowi.

I wtedy pojawił się jej brat prowadzony przez zaniepokojonego Neda.

- Mój Boże, co się stało? - zapytał kowal.

- Pojmano ją podczas walk w wyłomie. Walczyła jak Amazonka.

- Nic mi nie jest, bracie.

W głosie kowala zabrzmiała oskarżycielska nuta.

- Powiedziała, że ma ci pomóc w tej twojej magii.

- Jerycho, ludziom potrzebna była amunicja - wtrąciła Miriam.

Zapadła cisza. W powietrzu wyczuwało się napięcie, jakie niekiedy rodzi się pomiędzy dwoma mężczyznami pragnącymi tej samej kobiety z różnych powodów. Ned stał z boku z miną nieszczęśnika, który uważa, że wszystko jest jego winą.

- Dobrze, wracajmy do kuźni - mruknął przez zaciśnięte zęby Jerycho. - Tam nie dosięgnie nas żadna armatnia kula.

- Idę z Ethanem.

- Idziesz z nim? Dokąd?

Oboje spojrzeli na mnie, jakbym wiedział.

- Idziemy tam, gdzie ona będzie mogła trochę odpocząć - stwierdziłem. - Jerycho, w twojej kuźni jest dość hałaśliwie. Poza tym gorąco tam i brudno.

- Nie chcę, żebyś był z nią - stwierdził beznamiętnym głosem.

- Bracie, pójdę z Ethanem - odezwała się Miriam łagodnie, ale stanowczo.

Wychodząc z ogrodu, oparła się na moim ramieniu. Kowal został na miejscu, zaciskając i otwierając pięści w bezsilnym gniewie. *Za* nami słychać było łoskot dział, niczym odległe werble.

Zamiast odpłynąć i zostawić nas Napoleonowi, mój przyjaciel Mohammad wynajął izbę w Chan el-Omdan, oberży Pod Kolumnami. Zapomniałem o nim zajęty pracą nad łańcuchem, teraz jednak postanowiłem go odszukać. Otuliłem Miriam opończą ale kiedy znaleźliśmy się w jego kwaterze, oboje wyglądaliśmy jak uciekinierzy: zakurzeni, brudni i obdarci.

- Mohammadzie, potrzebne nam miejsce na odpoczynek.
- Efendi, wszystkie izby są zajęte!
- Z pewnością...
- Ale za odpowiednią cenę zawsze coś da się znaleźć.

Uśmiechnąłem się krzywo.

- Może odstąpiłbyś nam swój pokój?

Potrząsnął głową.

- Ma cienkie ściany i brak w nim wody. Nie jest to miejsce dla szlachetnej damy. Ty nie zasługujesz na nic lepszego, ale ona tak. Daj mi resztę pieniędzy, jakie sir Sidney dał ci za twój medal i wygraną z zakładów do pojedynku. - Wyciągnął dłoń.

Zawahałem się.

- Panie, wiesz przecież, że cię nie oszukam. Jakież jest pożytek z pieniędzy, których nie używasz?

Dałem mu więc resztę pieniędzy i zniknął. Wrócił pół godziny później z moją pustą sakiewką.

- Chodźmy. Pewien kupiec uciekł z miasta, zostawiając dom młodemu lekarzowi, ale on rzadko tam bywa. Pożyczył mi klucze.

W domu panował mrok, okiennice były pozamykane, a meble w pokrowcach zsunięto pod ściany. Opuszczony przez właściciela wyglądał dość ponuro. Wynajmujący go lekarz był chrześcijaninem z Tyru i nazywał się Zawani. Potrząsając moją dłońią, zerkał ciekawie na moją towarzyszkę.

- Wydam te pieniądze na zioła i bandaże. - Dom stał

daleko od murów i huk dział był tu mocno przytłumiony. - Na górze jest łazienka. Odpoczywajcie. Wrócę dopiero jutro. - Miał urodziwą twarz o łagodnych oczach i widać było na niej wyczerpanie i zmęczenie.

- Pani potrzebny jest odpoczynek...

- Nie musisz mi tłumaczyć. Jestem lekarzem. Zostaliśmy sami. Na najwyższym piętrze była alkowaz łazienką i sadzawka, nad którą wzniesiono białą kopułę poprzetykaną grubymi szybami kolorowego szkła, co sprawiało, że na wodę padały różnokolorowe promienie tęczy barw. Znalazłem tu też drewno do ogrzewania wody, zająłem się więc przygotowaniem kąpieli, podczas gdy Miriam zapadła w krótką drzemkę. Kiedy ją obudziłem, pomieszczenie było pełne pary.

- Przygotowałem ci kąpiel.

Zamierzałem wyjść, ona jednak mnie zatrzymała i rozebrała nas oboje. Miała małe kształtne piersi o różowych sutkach, płaski brzuch i jasne włosy u zbiegu ud - dziewicza Madonna, która zmyła ze mnie i z siebie brud bitewny, aż jej skóra odzyskała biel alabastru.

Łoże kupca było dość wysokie - materac sięgał moich bioder; pod nim były jakieś szuflady, a zwieńczał je baldachim. Miriam wspięła się na nie i ułożyła na plecach, mogłem ją więc zobaczyć w nikłym świetle. Nie masz piękniejszego widoku niż sprzyjająca ci kobieta. Jej słodycz pochłania cię niczym morze. Topografia jej ciała była niczym łańcuch tajemniczych i niezbadanych śnieżnych gór. Czy pamiętałem, co robię? Trwało to tysiące lat. W moje serce, niczym pchnięcie sztyletu, wdarło się wspomnienie Astizy, ale wtedy Miriam przemówiła:

- Ethanie, to jedna z tych chwil, o których ci mówiłam.

Wziąłem ją więc, powoli i łagodnie. Za pierwszym razem w jej oczach pojawiły się łzy, ale potem przyłgnęła do mnie dziko, jęcząc z rozkoszy. Objąłem ją, oddychając gwałtownie i dygocząc pod koniec; przez głowę przela-

tywały mi bezładne myśli o Astizie, Napoleonie, potem o Miriam... i o tym, ile czasu Francuzom zajmie zdobycie miasta, a także co zrobili z Jaffą. Jeżeli wedrą się do środka, zabiją nas wszystkich.

Odwróciłem głowę, żeby nie mogła zobaczyć moich łez, i oboje zasnęliśmy.

Około północy zostałem obudzony. Sięgnąłem po pistolet, ale zobaczyłem nad sobą twarz Mohammada.

- Co u diabła? - syknąłem. - Nie możemy mieć ani chwili dla siebie?

Przyłożył palec do ust i kiwnął głową, jakby chciał rzec: Chodź.

- Teraz?

Ponownie skinął ze współczuciem w oczach. Westchnąłem i zsunąwszy stopy na zimne płytki podłogi, poszedłem za nim do komnaty przyjąć.

- Co ty tu robisz? - warknąłem gniewnie, owijając się płedem jak togą.

W mieście panował spokój, działa też odpoczywały.

- Bardzo mi przykro, efendi, ale sir Sidney i Monsieur Phelippeaux twierdzą, że to pilna sprawa. Ponad murami przeleciała ku nam francuska strzała. Było na niej twoje nazwisko.

- Strzała? Na Newtona, czy żyjemy w średniowieczu?

Do strzały przywiązano niewielki zwitek z konopnego płótna. Było na nim pięknie i wyraźnie wypisane moje imię nazwisko: Ethan Gage. Franklin z pewnością podziwiałby skuteczność działań francuskiej poczty.

- Skąd oni wiedzieli, że tu jestem?

- Ten elektryczny łańcuch był jak porzecz z wypisanym na nim twoim nazwiskiem, panie. Myślę, że teraz mówi o tobie cała prowincja.

Co prawda, to prawda. Zastanowiło mnie, co tak małego mogli mi wysłać moi nieprzyjaciele?

Rozwinąłem płótno i wytrząsałem zawartość zwitka na dłoń.

Był to pierścień z rubinem wielkości wiśni z przyczepioną doń kartką. Na kartce wypisano słowa: „Zwróć jej anioły. Monges”. Świat zawirował mi przed oczami.

Ostatnim razem widziałem ten klejnot na palcu Astizy.

ROZDZIAŁ 15

Mohammad bacznie mnie obserwował.

- Czy ten pierścień coś ci mówi, mój przyjacielu?

- Tylko tyle? Nie ma innej wiadomości? - Monge to niewątpliwie Gaspard Monge, francuski matematyk, którego ostatnio widziałem pod Jaffą.

-Nie chodzi tylko o wielkość pierścienia, prawda? -naciskał Mohammad. Usiadłem ciężko.

- Znałem kobietę, do której należał ten pierścień.

Astiza żyje!

-I dlatego właśnie Francuzi przerzucili ten pierścień ponad murami, prawda?

A jakież mieliby inny powód? Obróciłem pierścień w palcach, wspominając, skąd pochodził. Uparłem się, żeby Astiza wzięła go z podziemnego skarbcza pod Wielką Piramidą, choć protestowała, że taki łup jest przeklęty. Potem o nim zapomnieliśmy, aż do chwili gdy usiłowała się wspiąć po linie do kosza balonu, który porwaliśmy Conte'owi, a zdesperowany Silano trzymał ją za kostki. Przypomniała sobie o tym przekleństwie i błagała mnie, żebym jej zdjął ten pierścień, ja jednak nie mogłem tego zrobić. Żeby więc mnie nie ściągnąć w objęcia Francuzów, przecięła linę i z wrzeszczącym dziko Silanem runęła w objęcia Nilu. Balon gwałtownie wzniósł się w górę i nie widziałem ich upadku, potem zagrzmiała francuska salwa z muszkietów i gdy mogłem już spojrzeć na wody iskrzą-

cej się w promieniach słońca rzeki, nie zobaczyłem nikogo. Jakby znikła z powierzchni ziemi. Aż do tej chwili.

Anioły były serafinami, które znaleźliśmy tam, gdzie i pierścień. Musiałbym odebrać je Miriam.

- Chcą, żebym wrócił do poszukiwań.

- Więc to pułapka! - stwierdził mój towarzysz. - Boją się ciebie i twojej elektrycznej magii.

- Nie, nie sądzę, żeby to była pułapka. - Nie pochlebiałbym sobie, uważając się za tak ważnego wroga, żeby zechcieli mnie zwabić za mury i zastrzelić. Doszedłem do wniosku, że tamci nie zrezygnowali z poszukiwań Księgi Tota. Astiza była jedyną osobą, dla której mógłbym ponownie dać się zwerbować do drużyny. - Po prostu dzięki tej sztuczce z elektrycznością dowiedzieli się, że przeżyłem pod Jaffą, i zrozumieli, że mam coś, co mogłoby im pomóc w poszukiwaniach. Zgaduję, że chodzi o rzecz, której szukałem w Jerozolimie. I wiedzą, że mogą mnie skusić do powrotu jedynie wiadomościami o tej kobiecie.

- Efendi, nie możesz ot, tak sobie wyjść za te mury!

Obejrzałem się ku sypialni, gdzie leżała Miriam.

- Muszę.

Moja odpowiedź mocno Mohammada zdumiała.

- Z powodu kobiety. Przecież masz tutaj inną!

-Nie, chodzi o coś, co czeka na ponowne odkrycie, a wykorzystane w złym celu może zmienić losy świata. -Przez chwilę intensywnie myślałem. - Chcę pomóc Francuzom to znaleźć, a potem im to ukradnę. Ale potrzeba mi kogoś, kto mi w tym pomoże, Mohammadzie. Gdy odzyskam Astizę i zdobędę tę upragnioną rzecz, będę musiał uciekać przez całą Palestynę. Potrzebny mi ktoś, kto zna ten kraj.

Zbladł jak papier.

- Efendi, ja z trudem uciekłem z Jaffy! Wracać ponownie pomiędzy te francuskie diabły...

- Mogę ci ofiarować część największego skarbu na ziemi - rzekłem enigmatycznie.

- Największego skarbu?

- Oczywiście, niczego nie gwarantuję.

Przez chwilę się zastanawiał.

- Jak wielką część?

- Cóż... pięć procent?

- Za przeprowadzenie cię przez palestyńskie bezdroża? Co najmniej piętnaście!

- Mogę poprosić kogoś innego. Siedem procent i koniec rozmowy!

Skłonił głowę.

- Więc niech ostatecznie będzie dziesięć procent. Plus niewielka premia, jeżeli uda nam się uzyskać pomoc moich braci, kuzynów i wujów. I wydatki na konie czy wielbłądy. Pistolety, żywność. Drobiazg doprawdy, jeżeli chodzi o naprawdę wielki skarb.

Westchnąłem.

-Przekonajmy się pierwaj, czy zdołamy dotrzeć do Monge'a tak, żeby nas nie zastrzelono.

Kiedy zaczęliśmy planować ucieczkę, natychmiast się pojawiła pewna paląca kwestia. Przed kilkoma chwilami spałem obok Miriam - najśłodszej kobiety, jaką spotkałem - a teraz zamierzałem odebrać serafiny i wymknąć się chyłkiem, żeby dowiedzieć się czegoś o Astizie, nie zostawiwszy biednej dziewczynie żadnej wiadomości. Czulem się jak ostatni łotr i nie bardzo wiedziałem, jak się wytłumaczyć, żeby nie wyjść na jeszcze większego łotra. Nie widziałem w tym niewierności wobec Miriam, byłem po prostu wierny pamięci o kobiecie, którą kochałem wcześniej; obie zresztą kochałem dla innych powodów. Astiza stała się dla mnie uosobieniem Egiptu, odwieczną pięknoscią, która zaraziła mnie swoim uporem w poszukiwaniu tajemnicy starożytnych. Kiedy się spotkaliśmy, próbowała mnie zabić i sam Napoleon poprowadził atak, w wyniku

którego ją pojmałiśmy. Potem kilkakrotnie uratowała mi głowę i nadała mojemu pustemu życiu sens i cel. Nie byliśmy zwyczajnie kochankami - staliśmy się partnerami w poszukiwaniach i niewiele brakło, a oboje bylibyśmy zginęli pod Wielką Piramidą. Wyprawa na poszukiwanie Astizy wydała mi się w pełni uzasadniona - pierścień niczym ścieżka prochowa obudził we mnie wspomnienia -choć niełatwo byłoby to wyjaśnić Miriam. Kobiety są w takich przypadkach bardzo drażliwe. Pójdę więc dowiedzieć się, jaką wiadomość Monge chciał mi przekazać wraz z pierścieniem Astizy, uratuję ją, poznam je ze sobą i wtedy...

Co? Cóż, jak powiedział Sidney Smith, wspaniale się wszystko ułożyło.

- Jakże wygodnie jest być stworzeniem rozumnym -mawiał Ben Franklin. - Rozum potrafi uzasadnić wszystko, co zechcemy zrobić. - Stary Ben sam zabawiał się z damami, gdy jego żona zajmowała się domem w Filadelfii.

- Obudzimy twoją kobietę? - zapytał Mohammad.

- W żadnym wypadku!

Gdy poprosiłem Wielkiego Neda, żeby mi towarzyszył, protestował mniej więcej tak samo, jak pies, którego pan wzywa na przechadzkę. Był jednym z tych ludzi, którzy niczego nie robią połowicznie - potrafił być wyłącznie najbardziej nieprzejednanym z nieprzyjaciół lub najbardziej oddanym sługą. Nabrał przekonania, że jestem czarno-księżnikiem o wielkiej mocy, i tylko czekał, kiedy porozdzielam bogactwa Salomona.

Jerycho przeciwnie, dawno już przestał rozmawiać o skarbie. Był zaintrygowany, gdy go obudziłem, żeby mu opowiedzieć o przesłanym mi ponad murami pierścieniu Astizy, ale głównie dlatego, że liczył na to, iż będę się teraz trzymał z dala od jego siostry.

- Podczas mojej nieobecności musisz zaopiekować się

Miriam - powiedziałem mu, usiłując uspić sumienie tym, że powierzam dziewczynę pieczy jej brata.

Miał tak zadowoloną minę, że przez chwilę podejrzewałem, iż sam podesłał mi ten pierścień.

On jednak potrząsnął głową.

- Nie mogę cię puścić samego.

- Nie będę sam. Pójdą ze mną Ned i Mohammad.

- Poganin i głupek? Ciekawe byłoby się przekonać, kto pierwszy z was trzech wpakuje wszystkich w tarapaty. Nie, musi być przy tobie ktoś rozsądny.

- To będzie Astiza, jeżeli żyje. Smith, Phelippeaux i reszta obrońców Akki potrzebują cię bardziej niż ja. Broń miasta i Miriam. Kiedy znajdziemy skarb, zadbam o to, żebyś dostał swoją część. - Nie można nęcić mężczyzny bogactwem, żeby nie pomyślał o perspektywach, choćby były nie wiedzieć jak nikłe.

Spojrzał na mnie ze sporą dozą szacunku.

- Przedostanie się przez linie Francuzów to rzecz bardzo ryzykowna. Może jest coś w tobie, Ethanie Gage.

- Twoja siostra też tak myśli.

Zanim wszczęlibyśmy sprzeczkę na jej temat, zostawiłem go, odchodząc z Nedom i Mohammadem. Gdybyśmy po prostu zeszli z murów, dostalibyśmy się w krzyżowy ogień, skorzystaliśmy więc z łodzi, w której Mohammad uciekł z Jaffy. Miasto rysowało się czarną linią na tle gwiazd, żeby dać Francuzom jak najmniej celów, podczas gdy blask ognisk rzucał miękką poświatę na linie okopów. Nasz kilwater znaczyły miriady iskerek fosforescencji. Wylądowaliśmy na piaszczystej plaży za linią francuskich kwater i weszliśmy chyłkiem do ich obozu, omijając latryny.

Wejść na obozowisko od tyłu armii jest łatwiej, niż moglibyście pomyśleć - to królestwo woźniców, markietanek i symulantów, którzy nie nawykli do sięgania po broń. Powiedziałem moim towarzyszom, żeby poczekali w gę-

stwinie nad nagrzanym strumieniem, i wkroczyłem do obozu z miną zarozumiałego uczonego, który wszystko wie i niczego jeszcze nie dokonał.

- Mam wiadomość dla doktora Monge od jego kolegi akademika z Kairu - powiedziałem wartownikowi.

- Pomaga w szpitalu. - Wskazał mi kierunek. - Wejdz, człowieku, ale wiedz, że ryzykujesz.

Czy zdążyliśmy ranić tak wielu ludzi? Niebo na wschodzie zaczęło się już przejaśniać, kiedy znalazłem namioty szpitalne, zebrane razem jakby w wielki namiot cyrkowy. Monge spał na jakiejś pryczy i sam wyglądał na chorego - naukowiec w średnim wieku, którego zdrowie udział w ekspedycji mocno już nadwreżył. Opalenizna go nie tknęła - był błydy, wychudzony i wyczerpany chorobami. Zawahałem się, czy go obudzić.

Rozejrzałem się dookoła. Pojękujący cicho żołnierze leżeli ułożeni w szeregach, których końce niknęły w mroku. Wydało mi się, że jest ich zbyt wielu jak na rannych od naszych kul. Pochyliłem się nad jednym wstrząsanym drgawkami i odskoczyłem przerażony jego wyglądem. Na twarzy miał nabrzmiałe wrzody, a gdy podniosłem jego koc, zobaczyłem złowieszcze nabrzmienie w pachwinie.

Zaraza.

Cofnąłem się pospiesznie, obłany potem. Słyszeliśmy pogłoski, że zaraza się nasila, ale potwierdzenie wzbudziło we mnie dreszcz przerażenia sięgającego głębin wieków. Zaraza ciągnęła się za wojskami, towarzyszyła oblegającym i rzadko ograniczała się tylko do jednej strony. Co będzie, jeżeli przekroczy mury?

Z drugiej strony ta zaraza wyznaczała Napoleonowi dość bliską już granicę czasu. Będzie musiał zwyciężyć, zanim choroba zdziesiątkuje jego oddziały. Nic dziwnego, że atakował tak zaciekle.

- To ty, Ethanie?

Odwrociłem się. Monge siedział już na swojej pryczy,

mrugając z niewyspania. Był blady i miał zmierzwione włosy. Jego twarz znów przypomniała mi wizerunek starego, mądrego psa.

- Gaspardzie, raz jeszcze przyszedłem zasięgnąć twojej rady

Uśmiechnął się.

- Uznaliśmy cię za martwego, ale potem domyśliliśmy się, że to ty jesteś tym szalonym elektrykiem za murami Akki, a teraz zjawiasz się z nicości na moje wezwanie. Naprawdę możesz być czarnoksiężnikiem. Albo najbardziej zdezorientowanym człowiekiem w obu armiach, który nigdy nie wie, po czyjej stronie ma stanąć.

- Gaspardzie, byłem bardzo szczęśliwy po tamtej stronie.

- Akurat w to uwierzę! Miałeś na karku despotycznego paszę, szalonego Anglika i zazdrosnego francuskiego ro-jalistę. Nie wierzę. Jesteś bardziej racjonalny, niż udajesz.

- Phelippeaux powiedział, że w szkole to Napoleon za-zdrościł mu sukcesów.

- Phelippeaux znalazł się po przegranej historycznie stronie, jak każdy człowiek za tymi murami. Rewolucja uwalnia ludzkość od nagromadzonych podczas minionych stuleci przesądów i tyranii. Racjonalizm zawsze zwycięży przesady. Nasza armia niesie ludziom wolność.

- Oprócz tego zaś gilotynę, rzezie i zarazę.

Popatrzył na mnie z naganą w oczach, jakby mój upór go zirytował, ale potem kąciki jego ust drgnęły. W końcu parsknął śmiechem.

-1 oto tu, na końcu świata, wdajemy się w dysputy filozoficzne!

- Żydzi powiedzieliby, że jesteś w centrum świata.

- Owszem. Palestynę deptały wszystkie armie, bo leży w miejscu styku trzech kontynentów.

- Gaspardzie, skąd masz ten pierścień? - Wyciągnąłem klejnot; jego rubin błysnął krwią w półmroku namio-

tu. - Ostami raz widziałem go na ręce Astizy, gdy spadała do Nilu.

- To Bonaparte kazał wystrzelić go ponad murami.

- Ale dlaczego?

- No, choćby po to, żeby cię powiadomić, że dziewczyna żyje.

Moje serce zaczęło walić jak szalone.

- A co z jej zdrowiem?

- Nie widziałem jej osobiście, ale mam dokładne relacje. Przez miesiąc była nieprzytomna i opiekował się nią hrabia Silano. Powiedziano mi jednak, że odzyskała zdrowie, czego nie da się rzec o nim. Podejrzewam, że wpadł do wody przed nią, on więc przyjął na siebie cały impet upadku. Ma złe zrośnięte biodro i do końca życia będzie kulął.

Łoskot mojego pulsu niemal mnie ogłuszał. Gdybym wiedział, gdybym wiedział...

- Teraz ona jest z nim - podjął wątek Monge. To było jak otrzeźwiający policzek.

- Chyba kpisz, mój panie?

- Chciałem rzec, że się nim opiekuje. Nie zrezygnowała z tych osobliwych poszukiwań, którym chyba wszyscy troje się poświęciliście. Gdy się dowiedzieli, że zostałeś rozstrzelany pod Jaffą, wpadli we wściekłość. To była sprawka tego bufona Najaca... nie mam pojęcia, dlaczego Napoleon mnie nie posłuchał. Masz wiedzę, która jest im do czegoś potrzebna. Potem pojawiły się plotki, że jednak żyjesz, i ona posłała ci pierścień. Widzieliśmy twoją sztuczkę z elektrycznością. A ja dostałem polecenie, żeby wypytać cię o jakies anioly. Czy wiesz, o co jej chodzi?

Ponownie niemal poczułem na karku oddech Silana i Astizy.

- Może. Muszę się z nią zobaczyć.

- Nie ma jej tutaj. Razem z Silanem pojechali pod górę Nebo.

- Pod jaką górę?

- Nebo. Wznosi się na wschód od Jerozolimy, za rzeką Jordan. Z jej szczytu Mojżesz zobaczył wreszcie Ziemię Obiecaną, ale umarł i nie wkroczył do niej. Ale czemu oni tak się interesują Mojżeszem, Ethanie? - Monge patrzył na mnie bardzo uważnie.

Więc Monge i Bonaparte prawdopodobnie o niczym nie wiedzieli. Jaką grę prowadzili zatem Silano i Astiza?

- Nie mam pojęcia - zełgałem.

- A co w tych aniołach jest takiego ważnego, że oni pragną znaleźć cię równie gorąco jak ty ich?

- O tym wiem jeszcze mniej - stwierdziłem zgodnie z prawdą.

- Przybyłeś tu sam?

- Mam kilku przyjaciół czekających na mnie w bezpiecznym miejscu.

-W Palestynie nie ma dziś bezpiecznych miejsc. To zapowietrzone miejsce. Nasz przyjaciel Conte wymyślił osobliwe powozy, które mają przewieźć kolejne działa oblężnicze z Egiptu, ponieważ ci wredni Brytyjczycy porwali transportowane morzem, ale zanim się tu znajdą, będą ciągle narażone na ataki. Ci ludzie nie wiedzą nawet, że już zostali pobici.

Jeżeli Bonaparte spodziewał się kolejnych ciężkich działań, to niewiele zostało nam czasu.

- A co będzie na górze Nebo?

Monge wzruszył ramionami.

- Gdybyś okazał więcej zaufania swoim uczonym kolegom, Gage, moglibyśmy przewidzieć twoją przyszłość z większą dokładnością. Twoja powściągliwość wpakuje cię w kłopoty. Podobnie było z twoimi poszukiwaniami opartymi na tym trójkącie Pascala na medalionie Kleopatry. Powiedz mi, wyrzuciłeś w końcu tę zabawkę?

- Och, tak. - W Egipcie Monge był przekonany, że mój medalion jest współczesną podróbką starożytnej ozdoby.

by. Astiza nazwała go durniem, choć nie powiedziała mu tego w twarz. Nie należał do głupców, był jednak obciążony tą zbytnią pewnością siebie, którą rodzi przesadne wykształcenie. Zależność między zdrowym rozsądkiem a uczonością jest bardzo krucha. - Nie mam się czym chwalić. Przeprowadzałem zwykły eksperyment dotyczący przewodnictwa elektryczności, kiedy przrzuciliście **ten** pierścień.

- Ten eksperyment zabił wielu moich ludzi!

Niewiele brakło, a byłbym podskoczył. Z cienia wyszedł Bonaparte! Wyglądało na to, że jest wszechobecny. Czy on w ogóle kiedykolwiek sypiał? Wyglądał na zmęczonego, niespokojnego, a jego szare oczy rzucały charakterystyczny zimny urok, którym czarował tak wielu ludzi - jak pan swojego rumaka. Ponownie zdumiała mnie jego umiejętność wydawania się roślejszym i emanowania uwodzicielską energią. - Monge ma rację, Gage. Twoje miejsce jest po stronie nauki i rozumu... po stronie rewolucji.

Musiałem sobie przypomnieć, że jesteśmy wrogami.

-I znów każesz mnie rozstrzelać, generale?

-To właśnie nie udało się moim żołnierzom, choć próbowali wczoraj przez cały dzień - powiedział spokojnie. - A ty i ta twoja elektryczna sztuczka pomogliście Rzeźnikowi nas pokonać.

- A wy chcieliście mnie zastrzelić bądź utopić pod Jaffą, za radą tego szaleńca Najaca. Stałem naprzeciwko wieczności, a gdy na ciebie spojrzałem, spokojnie czytałeś jakiś tani romans, generale!

-Nie czytuję tanich romansów, literatura ciekawi mnie tak samo jak nauka. Czy wiesz, że jako młodzieniec pisałem powieści? Marzyłem o tym, by je wydrukowano.

Mimo woli poczułem nagłą ciekawość.

- Pisałeś o miłości czy wojnie?

-Oczywiście o wojnie i gwałtownym uczuciu. Jedna

z moich ulubionych książek miała tytuł *Zamaskowany Prorok*. Jej treścią była historia żyjącego w ósmym wieku mu-
zułmańskiego fanatyka, który ogłosił się Mahdim i wydał
wojnę kalifowi. Proroctwo tło powieści, nieprawdaż? -I co było
dalej?

- Marzenia bohatera legły w gruzach, kiedy został osłe-
piony podczas bitwy, ale żeby utrzymać swoje kalectwo
w sekrecie, zakłada srebrną, lśniąca maskę. Wmówił swo-
im ludziom, że musi nosić tę maskę, żeby nie osłepiła ich
jasność bijąca z oblicza Mahdiego. I oni mu uwierzyli.
Nie mógł jednak zwyciężyć, a duma nie pozwalała mu
się poddać, kazał więc im wykopać ogromny rów, który
miał pochłonąć atakujących nieprzyjaciół. Potem zaprosił
zwolenników na ucztę i wszystkich ich otrul. Zrzucił ciała
do rowu, podpalił je i sam wbiegł w płomienie. Przyznaję,
że to było bardzo melodramatyczne. Właściwa młodości
fascynacja śmiercią.

Czy tę wyobraźnię pobudzała Ziemia Święta?

- Jeżeli wolno zapytać, jaki był w tym sens?

- Chciałem ukazać, do czego może popchnąć człowieka
mania i żądza wielkości - uśmiechnął się.

-I prorokowanie.

- Myślisz, że moja opowieść była autobiograficzna?
Gage, nie jestem ślepcem. Moim przekleństwem, jeśli można
tak powiedzieć, jest to, że widzę zbyt dobrze. Widzę
na przykład, że dopiero teraz jesteś po właściwej stronie...
po stronie racjonalizmu i nauki, i nigdy nie powinieneś
jej opuszczać. Uważasz, że jesteś inny niż hrabia Silano.
A jednak obaj pragniecie wiedzy i w pewnym sensie ni-
czym się od siebie nie różnicie. Jest też kobieta, do której
was obu ciągnie, i obaj jesteście ciekawi jak koty. Mógłbym
kazać cię rozstrzelać, ale czy nie sądzisz, że znacznie bar-
dziej ciekawe będzie pozwolić, żebyście we trójkę rozwiązali tę
waszą zagadkę?

Westchnąłem.

-To nieco lepszy pomysł niż ten, jaki ci przyszedł do głowy podczas naszego ostatniego spotkania, generale.

- Mam teraz wyraźniej zarysowany cel, co zawsze po prawia człowiekowi humor. I nie zrezygnowałem z chęci zjednania ciebie. Wciąż mam nadzieję, że we dwu może my zmienić świat na lepsze.

-1 w tej wizji mieści się rzeź pod Jaffą?

- Gage, człowiek musi niekiedy okazać bezwzględność wobec setek, żeby ocalić miliony. Dałem Turkom jedno znacznie do zrozumienia, jakie konsekwencje pociąga za sobą opór, bo chcę szybko zakończyć tę wojnę. Gdyby nie fanatycy, tacy jak Smith czy Phelippeaux, który zresztą jest zdrajcą, Rzeźnik by się poddał. Nie pozwól, żeby ich szaleństwo zamknęło cię w Akce, Gage. Idź, wespół z Silanem i Astizą dowiedz się, czego zdołasz, a potem na spokojnie i z rozmysłem, jak człowiek nauki, zastanów się, co z tą wiedzą zrobić. Pamiętaj, że sam jestem członkiem Instytutu. Szanuję naukę i naukowców. Czy nie tak, Monge?

Przez wargi matematyka przewinął się nikły uśmiech.

- Generale, nikt od ciebie nie zdziałał więcej, żeby po żenić naukę, politykę i technologię wojskową.

-1 nikt tak niezmordowanie jak doktor Monge nie pracował dla Francji. Sam przemyślałem jego wrzody. Gage, ucz się od niego! Ale teraz, zechciej zrozumieć, że wzięwszy pod uwagę twoją przeszłość, muszę ci dać eskortę. Wierzę, że obaj będziecie się mieli na oku.

Z cienia wystąpił Pierre Najac, wyglądający tak samo plugawie i morderczo jak wtedy, gdy mnie zostawił na piasku pod Jaffą.

- Chyba żartujesz, generale.

- Przeciwnie. Pilnowanie cię to dla niego kara za to, że nie zachował się wobec ciebie rozumnie - stwierdził Bonaparte. - Czy nie tak, Pierre?

- Zaprowadzę go do Silana - warknął zagadnięty.
- Nie zapomniałem o oparzeniach ani pobiciu.
- Ten oprawca jest tylko nędznym złodziejaszkiem. Nie chcę, żeby mnie eskortował.
- Ale ja tak - uciał Bonaparte. - Mam już dość tych twoich ciągłych zmian frontu. Pójdiesz z Najakiem albo wcale. Gage, on jest twoim biletem do tej kobiety.
- Nie martw się - syknął Najac. - Jak znajdziemy to, czego będziecie szukali, dam ci szansę zabicia mnie. A ja będę miał szansę zabić ciebie.
- Spojrzałem na przedmiot, który trzymał w rękę.
- Nie z mojej rusznicy, zapewniam cię.
- Z twojej rusznicy? - zapytał zdziwiony Napoleon.
- Pomagałem ją zrobić, w Jerozolimie. A potem ten łajdak ją ukraść.
- Rozbroilem cię! Byłeś jeńcem!
- A teraz niestety stajemy się sojusznikami. Oddaj mi moją broń.
- Pierwej mnie piekło pochłonie!
- Nie pomogę wam, jeżeli mi jej nie zwrócisz.
- Cała ta wymiana zdań rozbawiła Bonapartego.
- Owszem, pomożesz, Gage. Zrobisz to dla tej kobiety i dlatego, że nie możesz się oprzeć chęci rozwikłania tej tajemnicy, tak jak nie umiałbyś się oprzeć chęci rozegrania partii kart, gdy los ci sprzyja. Najac cię pojmał i ma rację. Twoja rusznica to łup wojenny.
- 1 nie jest nawet celna - dodał łotr. - Z garłacza strzela się lepiej!
- Jakość broni zależy od strzelca - odciąłem się. Wiedziałem, że celności tej rusznicy sam diabeł mógłby mi pozazdrościć. - Jak myślisz, do czego służyła ta luneta?
- Głupi eksperyment. Zdjąłem ją.
- To był prezent. Jak mamy razem szukać skarbu, oddaj mi ją.
- To uczciwe - wtrącił Napoleon. - Oddaj mu.

Najac zrobił, co mu kazano, choć niechętnie. -I mój tomahawk - dodałem, wiedząc, że drań musi go mieć.

- Niebezpiecznie jest dawać jankesowi broń do ręki - zachnął się.

- To nie broń, tylko narzędzie pracy.

- Najac, oddaj mu to, czego chce. Jeżeli z tuzinem ludzi nie zdołasz utrzymać w ryzach Amerykanina mającego tylko tę swoją siekierkę, to może powinienem cię odesłać do twoich poprzednich policyjnych zajęć?

Drań skrzywił się, ale się poddał.

- To narzędzie dzikusa, nie uczonego. Z tym toporkiem wyglądasz jak kmiotek.

Z przyjemnością zważyłem tomahawk w dłoni.

- A ty z moją strzelbą wyglądasz jak złodziej.

- Gage, jak znajdziemy to, czego tak szukasz, skończę z tobą raz i na zawsze.

-Do usług. - Moja rusznica była pokiereszowana i brudna - ten łotr dbał o nią jak o ubranie - ale wciąż była gładka i smukła jak panińska nóżka. Stęskniłem się za jej dotykiem. - Najac, zróbże mi łaskę. Trzymaj się ode mnie na taką odległość, żebyśmy nie wyczuwał twój smrodu.

- Jak sobie życzysz. Z tej rusznicy i tak cię dostanę.

- Sojusze bywają niekiedy trudne - zadrwił Bonaparte. - No, ale Najac ma rusznicę, a Gage lunetę. Możecie celować razem.

Ten irytujący żarcik podbechtał mnie do złośliwej odpowiedzi.

- Przypuszczam, generale, że chciałbyś, żebyśmy się pośpieszyli? - Wskazałem na szeregi leżących.

- A to czemu?

-Z powodu zarazy. Lada moment twoje oddziały wpadną w popłoch.

Ale mój przytyk wcale nie zbił go z tropu.

- To ponagli ich do szybszych działań, więc owszem, pospiesz się. Nie przejmuj się jednak za bardzo tempem rozwoju mojej kampanii. Szykują się większe rzeczy niż te, o których wiesz. Twoje poszukiwania nie wstrząsną Syrią, tylko Europą. Czeka na mnie Francja.

ROZDZIAŁ 16

Przypuszczałem, że z Najakiem i jego bandą rzezimieszków pojedziemy wprost pod górę Nebo, ale gdy to zaproponowałem, wyśmiał mnie. - Musielibyśmy wyrąbać sobie drogę przez pół tureckiej armii!

Od najazdu Napoleona na Palestynę Wysoka Porta gromadziła wojska, żeby go powstrzymać. Cała Galilea - jak mi powiedział Najac - pełna była oddziałów jazdy tureckiej i mameluków. Galijskich wyzwolicieli nie spotkało w Ziemi Świętej powitanie bardziej przyjazne niż w Egipcie. Teraz zaś generał Jean-Baptiste Kleber, który przed blisko rokiem wylądował z Bonapartem na plaży pod Aleksandrią, szykował się ze swoją dywizją do zmiecienia muzułmanów z drogi. Współ z eskortującą mnie kompanią łotrzyków mieliśmy towarzyszyć mu w marszu na wschód, do rzeki Jordan, i już na własną rękę ruszyć na południe, podążając wzdłuż opiewanego w Biblii Jordanu aż do miejsca, w którym rzeka przepływa obok góry Nebo.

Mohammad i Ned nie bardzo byli zachwyceni perspektywą wędrowni z Francuzami. Kleber był popularnym dowódcą, miał jednak opinię człowieka wybuchowego i zapalczywego. Ale nie mieliśmy wyboru. Na naszej drodze rozłożyły się oddziały tureckie, których żołnierze nie byli skłonni do jakichkolwiek rozróżnień pomiędzy Europejczykami. Musieliśmy liczyć na to, że otworzą nam drogę bagnety Klebera.

- Góra Nebo! - zawołał Mohammad, gdy się dowiedział, dokąd zmierzamy. - Tam są tylko kozy i duchy!

- I skarb, jak sądzę - rzucił przebiegle Ned. - W przeciwnym razie czemu nasz magik miałby się znów wiązać z żabojadami? Skarb Mojżesza, nieprawdaż, szefuniu?

Jak na takiego prostaka miał bystry pomysłupek.

- To spotkanie uczonych badających starożytności - powiedziałem. - Czeka tam na mnie kobieta, którą poznałem w Egipcie. Okazuje się, że żyje i chce mi pomóc w rozwiązaniu tajemnicy, która kazała mi dać nura w tunele pod Jerozolimą.

- Owszem... słyszałem, że masz już ładną błyskotkę.

Spojrzałem na Mohammada, który wzruszył ramionami.

- Efendi, żeglarz chciał wiedzieć, co kazało ci się przyłączyć do tej ekspedycji.

- Więc dowiedz się, Ned, że ten przedmiot jest przeklęty. - Wyjąłem pierścień z kieszeni. - Pochodzi z grobowca martwego faraona, a takie łupy zawsze są przeklęte.

- Przeklęty? Za tę błyskotkę człek mógłby się utrzymać przez całe życie!

- Ale nie będziesz żądał, żebym go nosił?

- Nie pasuje do twoich włosów - stwierdził Ned. - Znaczy, za bardzo rzuca się w oczy.

- Więc pójdziemy z Francuzami, aż będziemy mogli się urwać. Prawdopodobnie trafi się też jakaś potyczka lub dwie. Co ty na to?

- Byleśmy tylko nie zadarli ze sobą - mruknął Ned. - Nie podoba mi się ten twój rzeźnicki toporek. Ale pozwól sobie rzec, szefuniu, że kiepsko wybrałaś sobie eskortę. Ten Najac wygląda, jakby był gotów zrobić zupę z własnych dzieci, gdyby mógł za nią dostać choć szylinga. Ale z drugiej strony dobrze jest móc wyjść zza tych przeklętych murów. Czuję się tam jak w mamrze.

- Teraz zaś zobaczycie prawdziwą Palestynę - obiecał Mohammad. - Cały świat chce ją posiadać.

I - jak mogłem stwierdzić - na tym polegało nieszczęście tej ziemi.

Czy byliśmy jeńcami Francuzów, czy sprzymierzeńcami? Nie mieliśmy broni - poza moim tomahawkiem - i nie mogliśmy się poruszać bez przeszkód - wszędzie, gdzie się udaliśmy, towarzyszyło nam dwóch opryszków z bandy Najaca. Z drugiej strony Kleber przysłał nam butelkę wina z pozdrowieniami, dostaliśmy dobre konie i w marszu traktowano nas jak gości, puszczając przodem przed główną kolumną, żebyśmy nie musieli łykać kurzu. Byliśmy jak cenne psy prowadzone na smyczy.

Neda i Najaca natychmiast połączyła szczerą antypatia: marynarz pamiętał zamieszanie, w którym zginął Tentwhistle, a Najac zazdrościł mu siły. Ilekroć łotr podchodził bliżej, natychmiast odsuwał połę płaszcz, żeby pokazać kolby dwu zatkniętych za pas pistoletów, przypominając nam, że nie należy z nim żartować. Ned z kolei pozwalał sobie na głośne oświadczenia, że nie widział żaby o tak paskudnym pysku od czasu, kiedy natknął się na jakąś zmutowaną ropuchę w stawiku za wygodką przy najtańszym i najbardziej zapuszczonym burdelu Portsmouth.

- Gdybyś miał mózg choć w połowie tak wielki jak biceps, to może przejąłbym się tym, co mówisz - odcinał się Najac.

- A ty, gdybyś robił placki choć w połowie tak wielkie jak twój bezczelny jęzor, nie musiałbyś ich tak usilnie szukać za każdym razem, gdy spuszczasz portki - odpowiadał Ned.

Pomimo tych sprzeczek cieszyło mnie wyjście z Akki. Ziemia Święta budzi niezwykle uczucia - na północy jest dobrze nawodniona i z wiosną pokrywa się żywą zielenią. Pszenica i żyto rosły tu niczym trawa, a kolorytu dodawały jej czerwone pola maków i żółte - gorczycy. Widać

też było błękit Inu, gdzieś tam trafiły się kępy naturalnych bukietów złotych chryzantem i wysokich żonkili. Czy był to ogród Boga? Nad morzem niebo błękitniało niczym szarfa Marii Panny, a światło wydobywało złote iskierki z blaszek miki.

- Spójrz, żółty trznadel - wskazał dłonią Mohammad. - Ten ptak zwiastuje nadejście wiosny.

Nasza dywizja wiała się niczym błękitny wąż przez ogrody Edenu; francuskie trójbarwne sztandary oznajmiały nasze wtargnięcie w imperium osmańskie. Przed naszymi oddziałami rozstępowały się białe stada owiec niczym fale morza przed plemionami Mojżesza. Podskakujące na kamieniach lekkie działka polowe słały błyski niczym sygnały zwierciadeł. Kryte białym płótnem wozy kołysały się łagodnie na wybojach drogi. Gdzieś na północnym wschodzie leżał Damaszek, a na południu - Jerozolima. Żołnierze byli w dobrym nastroju, w jaki wprowadziło ich porzucenie okopów i nużącego obleżenia, a kwartmistrzowie mieli dość pieniędzy - złupionych w Jaffie - żeby wojsko dobrze jadło i nie musiało kraść kur. Pod koniec drugiego dnia wspięliśmy się na ostatnią grań i zobaczyłem wreszcie Jezioro - czy Morze, jak nazywali je inni - Galilejskie, jako misę błękitu wśród zieleni, daleko, daleko w dole. To rozległy zbiornik wody leżący poniżej poziomu morza, okryty mgiełką i święty. Nie zesłaliśmy jednak ku niemu, tylko wzdłuż grzbietu podążyliśmy do sławnego Nazaretu.

Rodzinną miasteczko Zbawiciela to zakurzone i opuszczone miejsce, a główna ulica to rozjeżdżona wiejska droga, po której błąkają się wyłącznie kozy. Naprzeciwko siebie pobudowano tu meczet i klasztor Franciszkanów, które jakby pilnowały jeden drugiego. Zaczepiliśmy wody przy Studni Maryi i odwiedziliśmy Bazylikę Zwiastowania; i Grotę Prawosławia z ozdobami i błyskotkami przyprowadzającymi protestantów o niestrawność. Potem poma-

szerowaliśmy wzdłuż żyznej i sennej Doliny Jezreela, spichlerza starożytnego Izraela i szlaku, którym od tysięcy lat wędrowały rozmaite armie. Na będących niegdyś wielkimi fortecami, a teraz porośniętych trawą wzgórzach pasły się stada bydła. Koła wozów stukwały po bruku dróg, którymi dawniej wędrowały rzymskie legiony. Moich towarzyszy niecierpliwiła konieczność wędrowki z wojskiem, ja jednak wiedziałem, że oglądam to, co widziało niewielu tylko Amerykanów. Ziemia Święta! Wedle tego, co mówiono, człowiek zbliża się tu do Boga. Niektórzy żołnierze, mimo iż oficjalnie byli rewolucyjnymi ateistami, mruczeli pod nosem modlitwy lub zęgnali się przy zbliżaniu do świętych miejsc. Ale gdy zapadał wieczór, ostrzyli bagnety i zgrzyt oselek towarzyszył nam przy zasypianiu niczym granie cykad.

Choć bardzo pragnąłem zobaczyć Astizę, czułem się niepewnie. W końcu nie udało mi się jej uratować. Ponownie w jakiś sposób związała się z tym badaczem okultyzmu, Silanem. Moje polityczne powiązania były diabło skomplikowane, a w Akce czekała Miriam. Układałem słowa wyjaśnienia, wszystkie jednak brzmiały banalnie.

Mohammad tymczasem ostrzegał, że trzytysięczny korpus może nie wystarczyć, żeby nas osłonić.

- W każdej wiosce plotkują o tym, że Turcy gromadzą wojska - mówił. - Nasi przeciwnicy mają być liczniejsi niż gwiazdy na niebie. Są wśród nich oddziały z Damaszku, Stambułu, ocaleli z Egiptu mamelucy Ibrahim Beja i górscy wojownicy z Samarii. Przeciwno nam połączyli się szyici z sunnitami. Ściągnięto najemników od Maroka po Armenię. Szaleństwem jest trzymanie się tych Franków. Oni są już zgubieni.

Skinieniem dłoni wskazałem mu łotrów Najaca.

- Nic na to nie poradzimy.

Generał Kleber oczywiście raczej szukał nieprzyjaciół, licząc na to, że zaskoczy ich z flanki wzgórz Nazaretu.

- Wszystkimi rządzą uczucia - mawiał stary Ben - a te nigdy nie rządzą mądrze.

Istotnie, Kleber, który był doskonałym dowódcą, przez cały miniony rok spędzony pod komendą Napoleona wrzał w duchu gniewem. Był odeń starszy, wyższy, mocniejszy i bardziej doświadczony, a jednak cała gloria z egipskiej kampanii miała przypaść Napoleonowi. To Bonaparte był bohaterem biuletynów wysyłanych do Francji, Bonaparte bogacił się wojennymi łupami, Bonaparte czynił wielkie archeologiczne odkrycia i Bonaparte był panem nastrojów wśród wojska. Co gorsza, podczas bitwy pod Al-Arisz na początku kampanii syryjskiej dywizja Klebera nie spisała się najlepiej, podczas gdy dywizja Reyniera, jego starego rywala, zasłużyła na pochwały Korsykanina. Nieważne że Kleber miał postawę, wygląd i maniery bohatera, których brakowało Napoleonowi, nieważne że był lepszym strzelcem i jeźdźcem. Jego koledzy przeszli na stronę parweniusza. Żaden z nich by się do tego nie przyznał, ale pomimo wszystkich jego wad Bonaparte przewyższał ich intelektualnie, był słońcem, wokół którego wszyscy gromadzili się wręcz instynktownie. Samodzielny rajd i zniszczenie sił tureckich były jedyną szansą Klebera na zabłyśnięcie talentami wodza. Tak jak Bonaparte poderwał ludzi w środku nocy, żeby pod Piramidami uderzyć na mameluków, zanim tamci zdążą się przygotować do bitwy, Kleber postanowił wyruszyć nocą, żeby zaskoczyć Turków.

- To szaleństwo! - stwierdził Mohammad. - Jesteśmy zbyt daleko, żeby ich zaskoczyć. Znajdziemy Turków ze słońcem świecącym nam o świcie w oczy.

Rzeczywiście droga wokół góry Tabor okazała się dłuższa, niż Kleber się spodziewał. Zamiast uderzyć na wroga o drugiej w nocy, jak planował, Francuzi natknęli się na tureckie pikiety o świcie. Kiedy my ustawialiśmy się do bitwy, nasi przeciwnicy zasiedli do śniadania. Wkrótce już

ruszyły na nas gromady nieprzyjacielskich harcowników i ambicje Klebera musiał nieco przygasić zdrowy rozsądek. Wschodzące słońce ujawniło, że z trzema tysiącami ludzi zamierzał uderzyć na trzydziestopięciotysięczną armię. Poczulem, że jestem po niewłaściwej stronie.

- Więc jednak ten pierścień przynosi pecha - mruknął Mohammad. - Czy możliwe, efendi, że Napoleon nadal usiłuje cię zabić, tylko że wybrał okreżną drogę?

We trójkę patrzyliśmy na masę nieprzyjacielskich jeźdźców, którzy siedząc na koniach tonących do połowy w zielonym wiosennym zbożu, dość głupio strzelali w powietrze. Fala wrogów nie pochłoneła nas od pierwszego uderzenia chyba tylko dlatego, że zaatakowali w nieładzie -ich wojska ściągnięto z różnych krańców imperium. Widzieliśmy tęcze barwy najrozmaitszych tureckich regimentów, za którymi poustawiano rzędy wozów i barwne jak na jarmarku namioty.

Spróbowałem dodać moim towarzyszom otuchy.

- To mi przypomina bitwę pod Piramidami. Spójrzcie na ten burdel. Mają tyłu żołnierzy, że nie mogą się pozbierać.

- Bo nie muszą - mruknął Wielki Ned. - Wystarczy, że wpadną w popłoch... Zadepczą nas, bez dwu zdań. Niech do końca życia jem małże, ale wolałbym teraz wrócić na fregatę! Jest tam też czyściej...

Jeżeli nawet Kleber w pośpiechu nie docenił sił przeciwnika, był doskonałym taktykiem. Cofnął nas na wzgórze zwane Dżebel al-Dahi, co pozwoliło nam zająć wyższą pozycję. Na jego szczycie krzyżowcy zbudowali zrujnowany teraz kasztel zwany Le Faba i francuski generał rozstawił setkę ludzi na jego pokruszonych blankach. Pozostałych uformował w dwa czworoboki, jednym dowodził sam, drugi powierzył generałowi Junotowi. Czworoboki były jak ludzkie twierdze o ścianach najeżonych skierowanymi na zewnątrz bagnietami, tak że nie można ich było atako-

wać z flanki. Za rekrutami z niedawnego werbunku ustawiono weteranów i doświadczonych podoficerów, którzy mieli powstrzymać młodzików od cofnięcia się i złamania szyku. Taktyka ta doprowadziła do klęski egipskich mameluków i teraz miała odnieść ten sam skutek wobec Turków. Nieważne, z której strony zaatakują, natkną się na mur luf i bagnatów. Wewnątrz jednego z czworoboków znaleźliśmy się my sami - z taborem wozów zaopatrzeniowych i ludźmi Najaca.

Turcy głupio zrobili, dając Kleberowi czas na zwarcie szyków. Teraz zaatakowali bezładnie, galopując w naszym kierunku, wrzeszcząc dziko i wywijając szablami. Pograżone w milczeniu szeregi francuskie zareagowały dopiero na komendę:

- Ognia!

Rozległ się huk, wzdłuż szyku przeleciały błyski wystrzałów, szeregi na chwilę spowiła chmura dymu i najbliższych nieprzyjaciół zmiotło z siodeł. Ich wierzchowce rozbiegły się w popłochu.

-Niech mnie grom spali! - mruknął Ned, mrużąc oczy. - Oni mają więcej ikry niż rozumu.

Słońce wspinało się coraz wyżej. W dolinę wlewały się kolejne oddziały tureckiej jazdy. Wojownicy potrząsali włóczniami i wydawali bojowe okrzyki. Co jakiś czas kilkuset zbierało się w gromadę i atakowało nasze szyki. Kolejna salwa - i niedobitki cofały się w nieładzie. Wkrótce otoczył nas półokrąg trupów, którzy w swoich jedwabiach wyglądali jak skoszone kwiaty.

- Co, u diabła, oni robią? - mruknął Ned. - Dlaczego naprawdę nie atakują?

- Może czekają, aż nam się skończy woda albo amunicja? - podsunął Mohammad.

- Połykając nasz ołów?

Myślę, że czekali, aż się załamiemy i rzucimy do ucieczki - inni ich wrogowie byli mniej zdeterminowani - ale

Francuzi nawet nie drgnęli. Czworoboki jeżyły się bagnetami i jeźdźcy nie mogli zmusić koni do szarży.

Kleber pozostawał w siodle i nie bacząc na gwiżdżące wokół kule, jeździł wzdłuż szeregów, dodając ludziom otuchy.

- Utrzymać pozycję - rozkazał. - Zachowajcie spokój, pomoc już się zbliża.

Pomoc? Napoleon był daleko w Akce. Czyżby był to jakiś wojenny fortel Turków: zmęczyć nas i złamać w nas ducha przed ostatecznym atakiem?

A jednak, patrząc przez lunetę Smitha, zaczynałem wątpić, czy do takiego ataku w ogóle dojdzie. Wielu Turków się cofało, dając innym miejsce do wykazania się odwagą. Niektórzy powyciągali się na trawie, żeby coś zjeść. Jeszcze inni poukładali się do snu. A przecież wrzała bitwa!

Ale w miarę upływu dnia nasza wytrzymałość poddawana była coraz cięższej próbie, a ich pewność siebie wzrastała. Nasze zapasy prochu się kurczyły. Żołnierze wstrzymywali się z salwami do ostatniej chwili, żeby cenne kule trafiły niechybnie w cel. Turcy wyczuli naszą niepewność. Wydali gromki okrzyk bojowy, błysnęły ostrogi i fala jeźdźców runęła na nas niczym przypływ morza.

-Czekać... Czekać... Niech się zbliżą... Ognia! Teraz drugi szereg... Ognia!

Konie z przeraźliwym rżeniem waliły się na ziemię, a pysznie odziani jeźdźcy całowali kurz i pył. Najdzielniejsi przedarli się przez szeregi powalonych towarzyszy, ale gdy dotarli do ściany bagnetów, ich konie zaczęły się cofać. Kule z ich pistoletów i muszkietów wyszczerbiały nasze szyki, lecz straty Turków były niepomiarne większe. Na naszym przedpolu leżało już tyle końskich trupów, że jazda turecka miała kłopoty z przedarciem się do nas. Ned, Mohammad i ja zajęliśmy się odciąganiem rannych Francuzów w głąb naszego czworoboku.

Zbliżało się południe. Ranni jęczeli o wodę, pozosta-

li też zaczęli odczuwać pragnienie. Nasze wzgórze było suche jak egipski grobowiec. Słońce zatrzymało się jakby w swojej drodze przez błękit, obiecując spalić wszystko raz na zawsze, a Turcy niemiłosiernie z nas drwili. Padły już setki Francuzów i Kleber wydał rozkaz, żeby z dwu czworoboków sformować jeden, co pozwoliło zwiększyć głębokość szeregów i dać wytchnienie ciężej rannym. Wydawało się, że przeciwko nam zebrali się wszyscy muzułmanie świata. Pola kompletnie zdeptano, w powietrze wzbijały się kłęby kurzu. Turcy spróbowali się przedrzeć przez grań Dżebel el-Dahi i uderzyć na nas z góry, ale strzelcy i karabinierzy z ruin starego zamku zmusili ich do rezygnacji z tego zamiaru, spłynęli więc po bokach naszej formacji, wystawieni na zabójczy ogień napoleońskich żołnierzy.

- Teraz!

Zagrzmiała salwa, owionął nas kwaśny, gryzący w oczy dym, a resztki przybitek zatrzepotały w powietrzu jak płatki śniegu. Rżące przeraźliwie konie bez jeźdźców oddały się galopem. Potem zęby znów się wgryzły w ładunki i w lufy sypnął się cenny proch.

W południe miałem już usta suche niczym pieprz. Nad trupami unosiły się chmary much. Niektórzy żołnierze pomdleli z utrudzenia. Turcy niewiele mogli nam zrobić, ale nie dawali nam ruszyć się z miejsca. Doszedłem do wniosku, że wszystko się skończy, jak pozdychamy z pragnienia.

- Mohammadzie, jak oni nas już ostatecznie stłamszą, udaj, że jesteś trupem. Jako muzułmanin możesz się uratować. Nie musisz dzielić losu Europejczyków.

- Allah żąda od mężczyzny, żeby nie porzucał przyjaciół - odparł ponuro mój towarzysz.

I nagle rozległy się okrzyki entuzjazmu. Niektórzy zaczęli wołać, że w dolinie na zachodzie dostrzegli błyski bagnetów.

- Nadciga mały kapral!

Kleber nie mógł w to uwierzyć.

- Jak Bonaparte mógłby dostać się tu tak szybko? - Ski-
nął ręką, wzywając mnie do siebie. - Chodź. Dawaj tę
swoją lunetę. - Angielski wyrób miał większą ostrość niż
będące na wyposażeniu dywizji lunety francuskie.

Opuściłem bezpieczne wnętrza czworoboku; ruszyliśmy na
zbocze wzgórza. Po drodze musieliśmy przejść przez krąg
powalonych kulami Turków; niektórzy jeszcze jęczeli, a ich
krew plamiła zielen trawy.

Z ruin zamku krzyżowców mieliśmy piękny widok na całą
okolice. Teraz, kiedy mogłem ogarnąć wzrokiem większą
przestrzeń, wojska tureckie wydały mi się jeszcze liczniejsze.
Wałęsali się w tysięcznych grupach, zastanawiając się, co
robić. Setki ich towarzyszy leżały już pokotem u podnóża
pagórka. Nieopodal zobaczyłem ich namioty, wozy, jaszczce i
tysiące sług oraz obozowych ciurów. Byliśmy jak błękitna
skała otoczona morzem zieleni, czerwieni i bieli. Jedna
zdecydowana szarża i z pewnością złamię nasze szyki!
Żołnierze rzucają się do ucieczki i to już będzie koniec.

Tyle że Turcy nie atakowali.

- Tam! - wskazał Kleber. - Widzisz francuskie bagnety?

Wpatrywałem się w horyzont aż do bólu oczu. Na za-
chodzie burzyły się wysokie trawy, nie miałem jednak pojęcia,
czy znaczą w ten sposób przejście oddziałów piechoty.
Manewrujące wojska ginęły tu w gęstych zaroślach i krzewach.

- To może być francuska kolumna, bo falują wysokie
trawy. Ale jak sam powiedziałaś, generale, nie mogliby
przybyć tak szybko!

- Jak tu zostaniemy, ludzie poumierają z pragnienia -
stwierdził Kleber. - Albo zaczną opuszczać szeregi i wtedy
Turcy nas wyrzną. Nie wiem, czy to nasze wojska tam
idą, ale musimy to sprawdzić.

Ruszył ku czworobokowi, a ja za nim.

-Junot, zacznij formować kolumny marszowe. Wyjdziemy na spotkanie naszym przyjaciołom!

Żołnierze odpowiedzieli wiwatami, choć otwierając szyki, dawali Turkom możliwość rozniesienia dywizji na końskich kopytach. Gdy czworobok rozłamał się na dwie kolumny, tureccy jeźdźcy znacznie się ożywili. Oto pojawiła się możliwość uderzenia na nasze flanki i tyły! Usłyszeliśmy gromkie okrzyki i jęki trąbek sygnałowych.

- ...aprzód ...aaaarsz! - Ruszyliśmy po zboczach w dół.

I nagle usłyszeliśmy dolatujący z oddali huk wystrzału z działa. Zabrzmiało po francusku, jak zamówienie w paryskiej restauracji - kaliber dział poznaje się po wydawanym przez nie głosie. Wszyscy spojrzeliśmy w tamtą stronę i zobaczyliśmy rozplywający się powoli pióropusz dymu. Nadciągała pomoc! Francuzi zaczęli wiwatować, niektórzy śpiewali.

Tureccy jeźdźcy zatrzymali się i też wytrzeszczyli oczy, patrząc na zachód.

Kiedy szliśmy w dół po zboczach Dżebel al-Dahi, nasze trójkolorowe sztandary trzepotały jak na paradzie.

Nad obozem tureckim wzbijały się dymy. Usłyszeliśmy huk strzałów, kilka stłumionych okrzyków i tryumfalny zew francuskich trąbek. Do obozu nieprzyjaciela, siejąc zamęt i zniszczenie, wdarli się napoleońscy szaserzy. Cenne zapasy stanęły w ogniu. Zaraz potem eksplodowały jaszczce z amunicją.

- Spokojnie! - przypomniał wszystkim Kleber. - Utrzymać szyk!

- Kiedy na nas ruszą, pierwszy szereg przykuca i dajemy ognia na komendę! - dodał Junot.

Obok wioski Fula zobaczyliśmy niewielkie jezioro. Nasza determinacja jeszcze wzrosła. Oddzielał nas od niego osmański regiment, ale żołnierze mieli niezbyt tęgie miny. Wzdłuż naszych kolumn galopowali oficerowie, dając rozkazy przygotowania się do ataku.

- Naprzód!

Wykrwawieni Francuzi z gromkimi okrzykami zbiegli ze wzgórze i uderzyli na stacjonujących w wiosce Samarytan. Uderzyli ogniem, bagnietami i kolbami muszkietów; walka nie trwała długo i nieprzyjaciół podał tyły. Reszta Turków też rzuciła się do ucieczki przed wojskami, które nadciągnęły z zachodu. Cudownym zrzędzeniem losu ogarnięta paniką armia licząca kilkanaście tysięcy ludzi w parę chwil rozbiegła się na widok kilku tysięcy Francuzów. Obok nas przemknęli francuscy jeźdźcy gnający ku dolinie Jordanu. Turków bezlitośnie ścigano aż do samej rzeki i ścinano.

Wpadliśmy do sadzawki pod Fula. Najpierw zaspokoiliśmy pragnienie. A potem staliśmy jak pijani - jedni pokazywali drugim puste ładownice. Pokryty kurzem Napoleon, rozpromieniony jak nasz wybawca - którym zresztą był - podjechał do nas galopem.

-Podejrzałem, Kleber, że się wpakujesz w kłopoty! - zawołał. - Wyruszyłem jeszcze wczoraj, gdy tylko przeczytałem raporty. - Uśmiechnął się. - Uciekli, gdy tylko usłyszeli huk dział!

ROZDZIAŁ 17

Powodowany swoim niezawodnym instynktem politycznym Napoleon natychmiast nazwał naszą niemal przegraną potyczkę bitwą pod górą Tabor (nazwa bardziej imponująca niż Dżebel al-Dahi), choć góra odległa była o kilka mil - i natychmiast ogłosił ją „jednym z najbardziej zdecydowanych zwycięstw w historii wojen”. Poleciał też, żeby natychmiast wysłać szczegółowy raport do Paryża.

Gotów byłem się założyć, że z meldunkami o rzezi pod Jaffą tak mu się nie spieszyło.

- Gdybyśmy mieli jeszcze kilka dywizji, moglibyśmy zająć Damaszek - powiedział Kleber; on też dał się unieść zapałowi zwycięstwa. Zamiast zazdrościć, podziwiał Napoleona za ratunek w porę. Bonaparte potrafił zdziałać cuda.

- Generale, gdybyśmy mieli jeszcze kilka dywizji więcej, moglibyśmy wkroczyć do Bagdadu i Stambułu - poprawił go Bonaparte. - Przeklęty Nelson! Gdyby nie zniszczył mojej floty, byłbym teraz panem Azji!

Kleber kiwnął głową.

-Ba! Gdyby Aleksander nie umarł w Babilonie albo gdyby Cezar nie został zasztyletowany, gdyby Roland nie zapuścił się za daleko...

- Z braku gwoźdźcia przegrano bitwę - pisałem nieśmiało.

- Co takiego?

- To jedno z ulubionych powiedzonek mojego mistrza,

Bena Franklina. Najczęściej potykamy się o drobiazgi. Uważał, że nie wolno zapominać o szczegółach.

- Franklin był mądrym człowiekiem - stwierdził Napoleon.
- Żołnierz musi zwracać uwagę na szczegóły. Twój mentor był prawdziwym uczonym. Na pewno by zechciał rozwikłać tajemnice starożytnych, nie dla własnej korzyści, ale dla dobra nauki. Dlatego też pojedziesz teraz na spotkanie z hrabią Silano, prawda, panie Gage?

- Generale, zmiatasz ze swojej drogi wszelkie sprzeciwy - odpowiedziałem pojednawczo. Bonaparte przechodził przez wrogie armie tak jak Mojżesz przez morze. - Ale wciąż jeszcze tkwimy w przedśionku Azji. Od Indii i twojego sprzymierzeńca, Tippu Sahiba, dzielą nas tysiące mil. Nie zdobyłeś nawet Akki. Jak zamierzasz naśladować czyny Aleksandra na czele tak niewielkiej grupy ludzi?

Bonaparte zmarszczył brwi. Nie lubił wątpliwości.

- Macedończycy nie byli wiele liczniejsi od nas. A Aleksander też oblegał swoje miasto - Tyr. - Zamyślił się na chwilę.
- Nasz świat jest jednak większy od tego, w którym żyli oni, a we Francji dzieją się ciekawe rzeczy. Wiele rzeczy wymaga mojej uwagi i twoje odkrycie może być ważniejsze w Paryżu niż tutaj.

- We Francji? - zapytał Kleber. - Myślisz o Francji, gdy wciąż jeszcze tkwimy na tym zadupiu?

- Próbuję zawsze myśleć o wszystkim i dlatego pomyślałem o przyjeździe ci z pomocą, zanim się zorientowałeś, że będzie ci potrzebna, Kleber - stwierdził cierpko Bonaparte, klepiąc po ramieniu generała, który górował nad nim wzrostem i lwią grzywą. - Bądź jednak pewien, że jest cel w tym wszystkim, co robimy. Czyń swą powinność, a wzniesiemy się ku wielkości!

Kleber spojrział nań nieufnie.

- Nasza powinność to Francja, nie te kraje. Nieprawdaż?

- A powinnością naszego Amerykanina jest ostateczne dokończenie tego, co go tu sprowadziło... rozwikłanie z Silanem tajemnicy Wielkiej Piramidy. Staraj się, Gage, bo nikt z nas nie ma za wiele czasu!

- Bardziej niż ktokolwiek inny chciałbym wrócić do domu - stwierdziłem.

- To znajdź tę swoją Księgę.

Napoleon odszedł ze swoimi oficerami sztabowymi, wydając im rozkazy i wskazując palcem wykonawców. Zmartwiałem. Po raz pierwszy usłyszałem, że wspomina o Księdze. Francuzi najwidoczniej wiedzieli więcej, niż sądziłem.

Astiza zaś powiedziała im więcej, niżbym chciał.

Tak więc teraz staliśmy się narzędziami w ręku hrabiego Alessandra Silano i jego obmierzłej loży egipskiego rytu. Templariusze znaleźli coś i zostali spaleni przez swoich oprawców usiłujących się dowiedzieć, co to było. Miałem nadzieję, że mnie nie spotka aż tak fatalny los i że nie poprowadzę towarzyszy ku zgubie.

Na kolację uraczyliśmy się zdobytymi na Turkach plackami i mięsem; staraliśmy się nie zwracać uwagi na smród unoszący się już nad polem niedawnej bitwy.

- Kiepska sprawa - mruknął ponuro Wielki Ned. - Jeżeli taka horda nie zdołała się oprzeć garstce zabójców, jakie szanse mają moi kompani w Akce? Skończy się to kolejną rzezią, jak pod Jaffą.

- Z tym że w Akrze jest Rzeźnik - odpowiedziałem. - On nie dopuści do dezercji i nie podda się.

- Są tam też działa, Phelippeaux i Sidney Smith - dodał Mohammad. - Nos do góry, żeglarzu. Miasto wytrzyma, dopóki nie wrócimy.

- W samą porę, żeby się obłowić. - Ned spojrzał na mnie badawczo.

Wiedziałem, do czego pije. Znajdźmy skarb i wiejmy. Nie mogę rzec, by ta idea wzbudziła we mnie silny sprzeciw.

Francuscy szaserzy wciąż jeszcze ścigali resztki rozbitej armii tureckiej, kiedy podążając ich śladem, nasza grupka zstąpiła w dolinę Jordanu. Minawszy żyzne pola, wędrowaliśmy pustynnym, nadającym się jedynie dla kóz krajem, gdzie tylko wzdłuż rzeki ciągnął się pas gajów i łąk. Z jej nurtem szli niegdyś rozmaici święci mężowie, gdzieś nad tymi brzegami miał swoją pustelnię Jan Chrzyciel, my jednak jechaliśmy jak bandycka kompania. Arabowie i Francuzi Najaca byli uzbrojeni po zęby w strzelby, muszkiety, pistolety i szable. Byli zresztą prawdziwymi bandytami - dwie drobniejsze bandy szybko znikły nam z oczu jak rozczarowane pojawieniem się większego drapieżnika wilki. Mijaliśmy również utopionych lub zastrzelonych osmańskich żołnierzy, których nabrzmiące ciała spływały rzeką. Obchodziliśmy je szerokim łukiem, żeby uniknąć smrodu, a wodę nabieraliśmy wyłącznie ze źródeł.

W miarę jak jechaliśmy na południe, dolina stawała się coraz bardziej jałowa, a brytyjskie okręty, które Ned nazywał domem, wydawały się odległe o tysiące mil. Pewnej nocy podczołgał się do mnie.

- Pozbądźmy się tych opryszków i ruszajmy dalej sami, szefuniu - szepnął mi w ucho. - Ten Najac łąpie na ciebie, jak kruk przymierzający się do oka nieboszczyka. Mógłbyś tych drani poprzebierać za ministrantów, a i tak na ich widok opat w Westminsterze narobiłby w gacie.

- Owszem, mają moralność urzędnika i zachowują higienę niczym galernicy, ale są nam potrzebni. Nie wiemy, gdzie jest ta kobieta, która nosiła ten pierścień, prawda? - Sarknął gniewnie, musiałem go więc uspokoić. - Niech ci się nie wydaje, że straciłem moje elektryczne moce. Dostaniemy to, po co tu przyszlismy, i wtedy się z nimi porachujemy.

- Nie mogę się doczekać dnia, w którym ich załatwimy. Nienawidzę żabojadów. Arabów też, oprócz Mohammada.

- Już niedługo, Ned. Cierpliwości.

Szliśmy dróżką, która według Najaca prowadziła do wioski Jerycha. Nie zobaczyłem niczego, a okolica była tak jałowa, iż trudno było uwierzyć, że ktoś zbudował tu miasto o potężnych murach. Myśląc o kowalu i jego porzuconej przeze mnie siostrze, poczułem ukłucie winy. Dziewczyna zasługiwała na coś lepszego.

Morze Martwe było takie jak jego nazwa: obsypany kryształami soli brzeg i błękitne wody aż po horyzont. Nad jego płycznami nie wlatywały żadne ptaki i ryby nie wyskakiwały ponad fale. Powietrze było gęste, mgliste i drżące - jakbyśmy w ciągu dwu dni przeskoczyli z wiosny w pełnię lata. Podzielałem niechęć Neda - otaczała nas dziwaczna, jakby pogrążona we śnie kraina, która zrodziła zbyt wielu proroków i szaleńców.

- Tam jest Jerozolima - powiedział Mohammad, wska-
zując na zachód, po czym odwrócił się w przeciwną stronę
i dodał: - A tam góra Nebo.

Góry wyrastały z Morza Martwego stromo, jakby chciały
jak najszybciej opuścić jego słone wody. Zbocza najwyższego
szczytu porastały gaje karłowatych sosenek. Strome jary,
którymi woda spływała wyłącznie podczas deszczu, porośnięte
były kwitnącymi różowo oleandrami.

Najac, który podczas całej podróży rzadko się odzywał,
wyjął lusterko sygnałowe i kilkakrotnie poruszył nim pod
słońce. Czekaliśmy, ale nic się nie wydarzyło.

- Ten cholerny złodziejaszek jeszcze się pogubił - mruknął
Ned.

- Cierpliwości, zakuty łbie - odciął się Francuz. Ponownie
poruszył lusterkiem.

Nad zboczem góry wzbiła się kolumna dymu.

- Tam! - wskazał nasz przewodnik. - Siodło Mojżesza.
Kopnęliśmy piętami boki koni i zaczęliśmy wspinać się.
Z ulgą opuściliśmy dolinę Jordanu i wjechaliśmy w strefę
bardziej rześkiego powietrza. Ochłodziło się, a na zbo-

czu powitał nas zapach sosnowej żywicy. Na skalnych półkach porozstawiali swoje namioty Beduini i widziałem odzianych w czerń arabskich wyrostków strzegących stad karłowatych kóz. Z towarzyszeniem kłaskań końskich kopyt w kurzu podążaliśmy wzwyż szlakiem dla karawan. Nasze wierzchowce parskały wrogo, mijając placki wielbłądziego łajna.

Po czterech godzinach dotarliśmy wreszcie do wierzchołka. Z tego miejsca, spoglądając wstecz za Jordan, ku zachodowi, mogliśmy zobaczyć całą niemal Ziemię Obiecaną - brązową i mglistą, absolutnie nieprzywodzącą na myśl miodu i mleka. Morze Martwe było jak błękitne zwierciadło. Przed nami nie dostrzegłem też żadnej jaskini, która mogła kryć skarb. Zamiast tego ujrzałem francuski namiot obok płytkiego, porośniętego trawą zagłębienia, które mogło być źródłem. Nieopodal wznosiły się jakieś ruiny, które kiedyś mogły być kościołem. Wokół resztek ogniska sygnałowego, nad którymi unosiły się jeszcze cienkie pasma dymu, czekało na nas kilku ludzi. Czy był między nimi Silano? Zanim zdążyłem sobie odpowiedzieć na to pytanie, dostrzegłem odzianą w białe szaty osobę siedzącą na skalistym występie poniżej ruin kościółka i pogałem ku niej konia.

Zeskoczywszy z siodła, podbiegłem do czekającej na nas kobiety.

Wstała na mój widok. Wyglądała tak, jak ją pamiętałem - jej długie, czarne włosy spływały spod białego szala, który chronił jej twarz przed słońcem. Płótno i włosy rozwiewał górski wietrzyk. Ostre światło czyniło jej urodę jeszcze bardziej wyrazistą, niż pamiętałem. Zapomniałem o niej, uznając za martwą, a jednak stała tu, z krwi i kości. Myślałem, że się rozczaruję, że ją upiększyłem we wspomnieniach, a jednak stała przede mną taka, jaką ją zapamiętałem - giętka, smukła, o wargach i policzkach god-

nych Kleopatry i patrzyła na mnie przepastnie ciemnymi oczami. Gdyby przyznać, że kobiety są kwiatem świata - Astiza byłaby wśród nich lotosem.

Postarzała się jednak. Nie zmieniło to jej na gorsze - błędem jest myśleć, że wiek szkodzi kobietom, ponieważ tak naprawdę pogłębia tylko ich urodę - jej oczy nabrały głębi, jakby widziała czy czuła coś, czego wolałyby nie poznać. Zastanawiałem się, czy ja też uległem tej samej przemianie - kiedyż ostatnio patrzyłem w zwierciadło? Dotknąłem szczeciny pokrywającej moje policzki i nagle uświadomiłem sobie, że moje ubranie jest brudne i poplamione. Jej szaty też były pokryte kurzem i rozsunięte do konnej jazdy. Miała na nogach kawaleryjskie buty, tak małe, że musiała je chyba wziąć od jakiegoś doboszyka. Była szczupła i smukła jak tancerka, ale też wszyscy schudliśmy. Talię przewiązała jedwabnym pasem, za którym tkwił niewielki sztylecik w skórzanej pochwie. Na skale obok niej leżał bukłak na wodę.

Zawahałem się, zapomniawszy o przygotowanych na tę okazję słowach. Poczujęm się tak, jakbym patrzył na kobietę, która wstała z martwych. W końcu wykrztusiłem:

- Wysłałem ludzi, żeby się o ciebie rozpytywali. - Zabrzmiało to jak niezdarne przeprosiny, ale naprawdę nie wiedziałem, co powiedzieć; w końcu to ja odleciałem balonem, do którego ona się nie wspięła, -r Powiedziano mi, że zniknęłaś.

- Masz mój pierścień?

Powitanie było dość chłodne. Wyjąłem pierścień, błyskając w słońcu rubinem. Ujęła go szybko i wrzuciła do sakiewki przy pasie, jakby ją parzył. Ona nadal myśli, że ten klejnot jest przeklęty - uznałem.

- Użyję go na ofiarę - odezwała się.

- Dla Izis?

- Dla Wszystkich, włącznie z Totem.

- Bałem się, że zginęłaś. To cud, że żyjesz. Wyglądasz jak duch... albo jak anioł.

- Masz serafiny?

Jej rezerwa zbijała mnie z tropu.

- Odnalazłem cię, przebywszy piekło i ocean, a ty pytasz tylko o klejnoty?

- Są nam potrzebne.

Nagle zrozumiałem, że ona stara się nie okazać nurtujących ją uczuć. -Nam?

- Ethanie, Alessandro mnie uratował.

Poczułem się jak ktoś, kto dostał nożem w zębra. Wspinała się po linie do kosza mojego balonu, Silano trzymał ją za nogi tak, że nie mogła wejść wyżej, aż wreszcie moim tomahawkiem odciął linię, żeby balon mógł się wznieść ponad zasięg kul muszkietów. Nie zdołałem jej wciągnąć do kosza i nie potrafiłem strącić arystokraty i czarnoksiężnika, który niegdyś był jej kochankiem. Czy zeszli się ponownie? Jeżeli tak, niech mnie diabli porwą, jeżeli wiedziałem, po co po mnie posłali. Jeżeli zależało im wyłącznie na błyskotkach, mogłem im odesłać je przez posłańca.

- Ten drań omal cię nie zabił. Nie zdołałaś się wspiąć do kosza tylko dlatego, że on ci przeszkodził.

Odwróciła wzrok, patrząc w dolinę.

-Nie pamiętam lądowania w wodzie, tylko upadek. Zapamiętałam jedynie widok twojej twarzy, gdy patrzyłeś na mnie zza krawędzi kosza. Była to najstraszniejsza decyzja, jaką kiedykolwiek musiałam podjąć. Gdy przecinałam linię, zobaczyłam w twoich oczach mieszaninę emocji.

- Zgrozę, o ile dobrze pamiętam.

-Strach, wstyd, żal, gniew, tęsknotę, smutek... i ulgę. Zamierzałem zaprotestować, ale zmilczałem. Mówiła prawdę.

- Machnąwszy tym tomahawkiem, Ethanie, uwolniłam cię od brzemienia, jakie złożyłam na twoich barkach: chronienia Księgi Tota. Uwolniłam cię od siebie. A ty jednak nie wróciłeś do Ameryki.

-Astizo, więzów, które nas połączyły, nie rozetniesz toporem.

Odwróciła się i znów na mnie spojrzała. Jej ciało drżało i wiedziałem, że robi wszystko, żeby nie rzucić mi się w ramiona. Co ją powstrzymywało? Znów niczego nie rozumiałem. Ja też nie mogłem wyciągnąć ku niej ramion, ponieważ między nami wznosiła się niewidzialna ściana żalu i powinności, którą pierwaj musieliśmy usunąć. Nie mogliśmy zacząć jak należy, bo zbyt wiele było do wyjaśnienia.

- Ocknęłam się po miesiącu i był przy mnie Silano, który mnie pielęgnował w tajemnicy. Uczeni powierzyli mu pracownię w Kairze. Kiedy tylko jako tako uleczył złamane biodro, zajął się czytaniem każdego skrawka pergaminu, jaki można było gdziekolwiek znaleźć czy wygrzebać. Zgromadził całe skrzynie ksiąg. Widziałam, jak szpera wśród poczeriałych manuskryptów, które musiały pochodzić z biblioteki Enocha. Ani na chwilę nie zrezygnował z poszukiwań. Wiedział, iż wynieśliśmy spod piramidy coś użytecznego, i domyślał się, że Księgę zabrano gdzie indziej. Sprzymierzyłam się więc z nim ponownie... żeby poprzez niego dotrzeć do ciebie. Miałam nadzieję, że zostałeś w Egipcie lub gdzieś w pobliżu.

- Powiedziałaś, że sądziłaś, iż wrócę do Ameryki.

- Przyznam, że w to wątpiłam. Wiedziałam, że możesz uciec. A potem dowiedzieliśmy się o tym, że ktoś mnie szuka, i moje serce zaczęło bić szybciej. Silano skłonił Bonapartego do zamknięcia waszego posłańca i zamiast niego wysłał do Jerozolimy swojego człowieka, żeby cię zniechęcić. Ale niewiele wskórał. A potem hrabia zaczął opracowywać własny plan i wysłał Najaca, żeby miał oko

na twoje poczynania. A ja zrozumiałam, że los chce, żebyśmy się znów spotkali. Ethanie, musimy rozwiązać tę zagadkę i odnaleźć Księgę.

- Ale po co? Dlaczego jej ponownie nie zakopiecie?

- Bo można jej też użyć w dobrej sprawie. Starożytny Egipt był rajem, w którym rządziły pokój i nauka. Świat ponownie może się stać taki sam.

-Astizo, znasz nasz świat. Czyżby upadek pozbawił cię zdrowego rozsądku?

- Na szczycie nad nami jest kościół, teraz obrócony w ruinę. Stoi na miejscu, z którego kiedyś Mojżesz patrzył na Ziemię Obiecaną. Starzec wiedział, że mimo całego poświęcenia nie będzie mu dane wejść do niej. Wasz stary Bóg był okrutnikiem. Budowla powstała za czasów Bizancjum. Znaleźliśmy w niej grób templariusza... do tego odkrycia doprowadziły Silano jego badania... a w tym grobie stare kości. W jednej z nich, kości goleniowej, była ukryta średniowieczna mapa.

- Połamaliście kości nieboszczyka?

-Silano znalazł o tym wzmiankę, prowadząc badania w Stambule. Ethanie, po unicestwieniu Zakonu Rycerzy Świątyni w Europie ostatni templariusze schronili się właśnie tutaj. Ukryli coś, co znaleźli w Jerozolimie, w dziwnym mieście, które opisuje ta mapa. Silano odkrył coś jeszcze, co w osobliwy sposób wiąże się z twoją elektrycznością i Beniaminem Franklinem. Potem dowiedzieliśmy się, że zostałeś rozstrzelany pod Jaffą, ale nie odnaleziono twojego ciała. Zrozpaczona dałam ten pierścień Monge'owi, zastanawiając się, czy trafi przypadkiem w twoje ręce. A teraz...

- Czy kiedykolwiek kochałaś Alessandra Silano?

Zawahała się na krótko, ale odpowiedziała:

- Nie.

Stałem bez słowa, licząc na to, że powie coś więcej, zanim zadam kolejne, jak najbardziej logiczne pytanie.

- Nie jestem z tego dumna - powiedziała. - On mnie kochał. I nadal kocha. Mężczyźni łatwo się zakochują, ko biety muszą być bardziej ostrożne. Byliśmy kochankami, ale niełatwo byłoby mi pokochać jego.

-Astizo, byłem ci potrzebny tylko po to, żeby przywieźć ci te dwa złote anioły?

- Ethanie, czy nadal mnie kochasz, tak jak mówiłeś nad Nilem?

Oczywiście, że ją kochałem. Ale też bałem się jej. Jakże ją nazwał biedny Talma? Wiedźmą? Czarodziejką? Bałem się władzy, jaką nade mną by zyskała, gdybym się przyznał do tego uczucia. I co z biedną Miriam, wciąż zamkniętą za murami Akry?

A jednak to wszystko było nieważne. Nagle wróciły do mnie wszystkie dawne emocje i uczucia.

- Pokochałem cię w chwili, gdy wyciągnąłem cię z rumowiska w tym domu w Aleksandrii - odezwałem się wreszcie z uczuciem w głosie. - Kochałem cię, gdy płynęliśmy łodzią do Kairu, i w domu Enocha. Kochałem cię na wet wtedy, gdy przez chwilę sądziłem, że mnie zdradziłaś pod kolumnami świątyni w Denderze. Kochałem cię, gdy uznałem, że zginiemy pod Wielką Piramidą. Kochałem cię tak, że sprzymierzyłem się z tymi przekłętymi Brytolami w nadziei, że cię odzyskam. Kocham cię na tyle mocno, iż teraz chyba znów się związę z przekłętymi żabojadami. Kochałem nawet samą nadzieję zobaczenia cię, kiedy byłem tam, na dole, i jechałem tutaj, choć nie miałem pojęcia, co ci powiedzieć, jak wyglądasz i co czujesz. - Traciłem opanowanie, prawda? Kobieta może pozbawić mężczyźnę rozumu szybciej niż baryłka pędzonej na zboczach Appalachów whisky. A teraz, bez tchu i cały zamieniony w oczekiwanie czekałem, aż mnie zabije jednym słowem. Wystawiłem pierś na kule muszkietów. Pochyliłem kark nad katowskim pieńkiem.

Uśmiechnęła się smutno.

- Ciężko by mi było pokochać Alessandra, ale bez trudu pokochałam ciebie.

Przełknąłem ślinę radośnie oszołomiony.

- To ucieknijmy. Dziś jeszcze, w nocy.

Potrząsnęła głową, w jej oczach pojawiły się łzy.

- Nie, Ethanie, Silano wie zbyt wiele. Nie możemy zostawić go jego poszukiwaniom. Musimy go przejrzeć i we właściwym czasie przejąć Księżę. Musimy z nim współpracować, a potem go zdradzić. Takie jest moje przeznaczenie od chwili, w której poznałam go w Kairze, i twoje, od kiedy wygrałeś w Paryżu tamten medalion. Wszystko prowadziło na tę górę i do gór za nią. Znajdziemy Księżę i dopiero wtedy odejdziemy.

- O jakich górach mówisz?

- Tych, co kryją w sobie Miasto Duchów.

- Jakie miasto?

- To święte, legendarne miejsce. Od czasu templariuszy nie widziało żadnego Europejczyka. Nasza podróż jeszcze się nie skończyła.

- Na chciwość Benedykta Arnolda! - stęknąłem.

- Ethanie, musimy teraz okazywać sobie wrogość, żeby zwieść Silana. Ty jesteś na mnie wściekły, bo ponownie sprzymierzyłam się z moim dawnym kochankiem. Dalej pojedziemy jako skłóceni byli kochankowie. Oni aż do ostatniej chwili powinni nas uważać za wrogów.

- Wrogów?

Astiza zamachnęła się i rąbnęła mnie w głowę tak mocno, jak tylko zdołała.

Trzasnęło jak wystrzał z rusznicy. Obejrzałem się za siebie. Inni patrzyli na nas z góry. Najbardziej uważnie, zimnym spojrzeniem arystokraty, przyglądał się nam Alessandro Silano.

Silano nie był już sprężystym szermierzem, jakiego zapamiętałam. Utykał z bólem, który kaził grymasem jego

urodziwą twarz, zmieniając zwierzęcy urok w rozgoryczenie starego satyra. Kalectwo, o jakie przyprawił go upadek z balonu, sprawiło, że był też bardziej surowy i poważny, a w jego spojrzeniu nie było już czaru, tylko zimne wyrachowanie. W oczach miał mrok i ponuro zaciskał wargi. Schodząc ku nam kozią ścieżką wiodącą od bizantyjskiej świątyni krzywił twarz i nie podał mi dłoni, ani się ze mną nie przywitał. Po cóż zresztą miałby to robić? Byliśmy rywalami, a mnie wciąż palił policzek po uderzeniu Astizy. Podejrzewałem, że Monge albo inny lekarz dał mu jakąś miksturę na uśmierzenie bólu.

- I co? - zapytał hrabia Astizę. - Przywiózł je?

- Nie powiedział - odparła. - On nie jest przekonany, że powinien nam pomagać.

- Więc uznałaś, że najlepiej go będzie skłonić do współpracy, waląc po pysku?

Wzruszyła ramionami.

- Porachunki osobiste...

- Nie możemy od siebie uciec, nieprawdaż, panie Gage? - zwrócił się do mnie Silano.

- Doskonale się bez ciebie obywałem, dopóki nie posłałeś po mnie, przerzucając nad murami Akki pierścien Astizy.

- A ty przybyłeś po nią, tak samo jak przedtem. Mam nadzieję, że ona nauczy się to cenić, zanim cię to znudzi. Wiesz, Amerykaninie, ona nie jest kobietą łatwą do kochania. - Spojrzał na dziewczynę, nie bardziej ode mnie pewien, czy może jej zaufać. Mógłbym mu powiedzieć, że zostanie spławiony. Byli sojusznikami, nie kochankami. Nie jest łatwo żyć ze świadomością, że czegoś mieć nie możesz, a Silano nie należał do ludzi godzących się z odmową. Wszyscy musieliśmy się mieć na baczności.

- Powiedziała mi, że przywieziesz ze sobą dwa złote anioły, które zabrałeś spod piramidy. Masz je?

Zawahałem się na tyle długo, żeby wzbudzić w nim niepewność.

- Owszem - odpowiedziałem po chwili. - Nie znaczy to jednak, że ich użyję, żeby ci pomóc. - Ciekaw byłem, jak daleko się posunie we wrogości do mnie. Oczywiście mógł kazać mnie zabić. - Są w bezpiecznym miejscu, gdzie pozostaną, dopóki się nie dogadamy. Pamiętając nasze po przednie spory, nie powinienes się dziwić, że ci nie ufam.

Odpowiedział ukłonem.

- Ja też ci nie ufam, Gage. Ale sojusznicy niekoniecznie muszą być przyjaciółmi. Lepiej nawet, gdy nie są. Tak jest bardziej uczciwie, nie sądzisz? Ale chodźmy... Na pewno jesteście po podróży głodni. Zjedzmy coś, a ja opowiem ci pewną historię, ty zaś będziesz mógł potem podjąć decyzję, czy mi pomóc czy nie.

- A jak nie zechcę ci pomóc?

- To wrócisz do Akki. Astiza zaś będzie mogła zostać ze mną albo pójść z tobą. - Utykając, ruszył ścieżką pod górę, ale się jeszcze odwrócił. - Wiem jednak, co oboje postanowicie.

Zerknąłem na Astizę, szukając w jej twarzy potwierdzenia pogardy dla tego dyplomaty, awanturnika, czarodzieja i przechery. W jej oczach nie było jednak odrazy, tylko smutek. Rozumiała, jak łatwo padamy ofiarą pożądania czy rozczarowań. Każdy żyje w świecie złudzeń, które sam utkał wokół siebie.

Podeszliśmy do pozbawionego dachu kościółka, w którego wnętrzu światło wydobywało z mroku rumowiska kamieni. Były tam też widoczne ślady wykopanych w ziemi jam. Astiza pokazała mi ukryty pod kamienną posadzką, otwarty teraz kamienny sarkofag, w którym spoczywały kości templariusza.

-Silano znalazł wzmianki o tym grobie w Watykanie i bibliotekach Stambułu - powiedziała. - Tym rycerzem był Michał z Troyes, który uniknął uwięzienia podczas łowów na templariuszy i odpłynął do Ziemi Świętej.

- Znalazłem list, w którym mowa o tym, że jego kości

złożono w grobie Mojżesza - dodał Silano - i że zabrał swój sekret do grobu. Trochę to trwało, zanim zrozumiałem, że musi to oznaczać górę Nebo, choć grobu Mojżesza nigdy nie odnaleziono. Spodziewałem się, że znajdę dokument w grobie rycerza, ale tak się nie stało.

-I wtedy wściekły kopnąłeś kość - stwierdziła Astiza.

- Owszem. - Silano przyznał się do emocji nie bez oporu w głosie. -I szczelina w jego kości goleniowej błysnęła złotem. Wetknięto w nią wąską tubę... po śmierci musiano mu rozciąć nogę i rozłupano kość. Wewnątrz tej tuby była mapa z łacińskimi nazwami. Wskazała nam kolejny krok i wtedy posłałem ci tę wiadomość.

- Dlaczego?

- Bo jesteś człowiekiem Franklina. Elektrykiem.

- Elektrykiem?

- To klucz. Wyjaśnię ci po kolacji.

Teraz nasza grupa liczyła już dwadzieścia osób - ludzie Najaca, moja własna trójka, Silano, Astiza i kilku przybocznych, z którymi podróżował hrabia. Nadszedł wieczór. Słudzy rozpalili ognisko w jednym z rogów nawy zrujnowanego kościółka i zostawili najważniejszych członków grupy samych. Ku mojemu niezadowoleniu obok nas usiadł Najac, uparłem się więc, żeby dołączyli jeszcze Ned i Mohammad. Astiza uklękła skromnie, wbrew samej sobie, a Silano zajął miejsce pośrodku. Siedzieliśmy na ławicach piasku pokrywających mozaikowe sceny rzymskich polowań - zwierzęta uciekały w las przed zbrojnymi w oszczepy ludźmi.

- Nareszcie więc zebraliśmy się razem - odezwał się Silano. Ciepło ogniska chroniło nas przed nocnym chłodem pustyni. Wzlatujące w górę iskry mieszały się z gwiazdami. - Czy jest możliwe, że Tot miał na myśli taki właśnie sojusz, żeby rozwiązać zagadkę, jaką nam zostawił? Może nieświadomie cały czas wypełnialiśmy wolę bogów?

-Ja wierzę, że jest jeden prawdziwy Bóg - mruknął Mohammad.

- Nie inaczej - potwierdził Ned. - Choć nie jest nim ten, w którego wierzysz, kolego.

-Ja też wierzę w Jedyne - odezwał się Silano. -Wszystkie byty, wierzenia i istoty są jedynie manifestacją Jego tajemnicy. Podążałem tysiącami dróg, odwiedziłem rozmaite biblioteki, cele klasztorne i rozsiane po całym świecie groby, i wszystkie wiodły mnie do jednego ośrodka. To miejsce, którego szukamy.

- Jakież to ośrodek, panie? - zapytał Ned jak dobrze wy szkolony pies.

Silano podniósł mały kamyczek.

- A gdybym powiedział, że jest nim wszechświat?

- To odrzekłbym, żebyś go sobie wziął i zostawił nam resztę - odparł Ned.

Przez usta hrabiego przemknął słaby uśmiezek. Podrzucił kamyczek i chwycił go ponownie.

- A gdybym powiedział, że świat wokół nas jest iluzją równie niematerialną, jak przestrzeń pomiędzy okami pajęczej sieci i że wszystkim, co utrzymuje tę iluzję, jest tajemnicza energia, o której niczego nie wiemy... że ta energia może być samą myślą... albo elektrycznością?

- Powiedziałbym, że Nil, w który wpadłeś, nie był wcale żadną iluzyjną pajęczyną. Był na tyle materialny, by złamać ci biodro - odparłem.

- Iluzja przeciwko iluzji. To właśnie zawierają niektóre starożytne manuskrypty, a wszystkie inspirowane są pracami Tota.

- Złoto jest niczym więcej niż pajęczyną? Chwytemy w garść jedynie powietrze?

- Och, nie. Choć jesteśmy jedynie snem, ten sen jest naszą rzeczywistością. W tym jednak tkwi cały sekret. Przypuśćmy, że wszystkie jak najbardziej solidne rzeczy, na przykład kamienie tego kościoła, są matrycami wypeł-

nionymi niemal wyłącznie pustką. Że upadek kamienia i gwiazdy podlegają tym samym prostym matematycznym prawom. Że budynek może zawierać ideę bóstwa, kształt może zostać uświęcony, a umysłem da się dostrzec niewidzialne siły. Co się stanie z istotami, które to sobie uświadomią? Jeżeli góry są zwykłą siecią, czy nie da się ich przemieścić? Jeżeli morza są pełne pustki, czy nie można ich rozdzielić? Czy wód Nilu nie da się zamienić w krew albo wyłonić z nich plagi żab? Jeżeli mury Jerycha były tylko koronką, czy nie dały się łatwo zwalić? Czy trudno zamienić ołów w złoto, jeżeli jedno i drugie zasadniczo jest garścią pyłu?

- Jesteś szalony - odezwał się Mohammad. - Szejtan przez ciebie przemawia.

- Nie. Jestem badaczem. - Zaczął się podnosić. Najac podał mu rękę, ale Silano ją odtrącił, gdy tylko stało się to możliwe. - Mości Gage, odmówiłeś mi kiedyś prawa do tego tytułu, na bankiecie, wobec Napoleona. Podważyłeś moją reputację lekce sobie mnie ważąc.

Poczułem, że na twarz wypełza mi rumieniec. Ten człowiek niczego nie zapominał.

- Od dwudziestu lat zgłębiam te tajemnice - ciągnął. - Przybyłem do Kairu, gdy pozostawał jeszcze pod władzą mameluków, i badałem tajemnice, gdy ty, Gage, trwonileś czas po próżnicy. Podążałem szlakiem starożytnych, gdy ty ofiarowałeś swój oportunizm Francuzom. Usiłowałem zrozumieć zostawione nam wskazówki, podczas gdy wy babraliście się w błocie. - Zachował wysokie mniemanie o sobie. - A teraz rozumiem, czego szukamy i nad czym trzeba nam zapanować, żeby to znaleźć. Musimy schwytać błyskawicę!

- Co schwytać? - zapytał podejrzliwie Ned.

- Gage, rozumiem, że udało ci się zastosować elektryczność jako broń przeciwko oddziałom Bonapartego.

- To była konieczność wojenna.

- Myślę, że gdy zbliżymy się do Księgi Tota, będzie nam potrzebny doświadczony elektryk. Znasz się na elektryczności dostatecznie dobrze?

- Jestem naukowcem, ale nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz.

- Ethanie, dlatego właśnie potrzebne są nam serafiny - łagodnie wtrącała Astiza. - Uważamy, że one wskażą ostateczną kryjówkę, w której po unicestwieniu ich zakonu templariusze złożyli Księgę Tota. Przenieśli to, co znaleźli pod świątynią Salomona, na pustynię i ukryli w Mieście Duchów. Dokumenty nie są jasne, ale oboje z Alessandrem uważamy, że Tot też znał zjawiska elektryczne i templariusze uczynili z tego test do znalezienia Księgi. Musimy przyciągnąć błyskawicę, tak jak to uczynił Franklin.

- W takim razie zgadzam się z Mohammadem. Oboje jesteście szaleni.

- W kryptach pod Jerozolimą - odezwał się Silano - znaleźliście ciekawą posadzkę, z rysunkiem błyskawicy. I dziwne drzwi, nieprawdaż?

- Skąd wiecie? - Byłem pewien, że Najac nie dotarł do komnat, które zbadaliśmy, i nie widział dziwnie ozdobionych drzwi Miriam.

- Jak ci powiedziałem, przeprowadzałem badania i poszukiwania. Na tych drzwiach templariuszy zobaczyliście osobliwy wzór żydowski, prawda? Dziesięć *sefirot* Kabały?

- Ale co wspólnego ma z tym błyskawica?

- Patrz. - Pochyliwszy się nad zakurzoną posadzką, nakreślił dwa stykające się obwodami okręgi.

- Wszystko jest dwoiste - mruknęła Astiza.

- A jednak zespolone - dodał hrabia. Nakreślił kolejny krąg równie wielki jak dwa pierwsze, który się na nie nakładał. Potem zaczął dodawać następne kręgi, a szkic stawał się coraz bardziej skomplikowany. - Wiedzieli o tym prorocy - stwierdził. - Być może ten rysunek nie był obcy i Jezusowi. - W miejscach przecięć okręgów zaczął ryo-

wać linie proste, tworząc figury: gwiazdy pięcioramienną i sześcioramienną. - Pierwsza jest egipska, druga żydowska - rzekł - Obie są równie święte. Gwiazdy egipskiej twój naród użył na sztandarach. Czy nie sądzisz, że taki właśnie był zamiar wolnomularzy, którzy tworzyli wasz kraj?

W końcu w miejscach przecięć zaznaczył dziesięć punktów tworzących ten sam osobliwy wzór, jaki zobaczyliśmy na drzwiach w Sali Templariuszy pod Górą Świątynną. Chaim Farhi nazwał je sefirami. Po raz kolejny wszyscy jakby zaczęli mówić starożytnymi językami, których nie znałem, i uznali za ważne to, co mnie się wydaje zwykłą dekoracją.

- Poznajesz? - zapytał Silano.

- Niby co? - zapytałem z rezerwą.

- Templariusze uzyskali z tego jeszcze jeden rysunek. -Od punktu do punktu przeciągnął zygzakowatą linię. -Masz. Błyskawica. Niesamowite, nieprawdaż?

- Może.

- Nie może, ale na pewno. Ich wskazówki mówią nam, że jeżeli chcemy znaleźć Księgę, musimy okiełznać niebo. Symbol błyskawicy widnieje na mapie, którą tu znaleźliśmy. ... i jest jeszcze ten wiersz.

- Jaki wiersz?

- Dość wymowny.

I wyrecytował.

*Aether cum radiis solisfulgore relucet
Angelus et pinnis indicat ore Dei,
Cum regione deserta bibens ex murice torto
Siccatis labris arida sorbet aquas
Tum demum partem auandam lux clara revelat
Quae prius ignota est nec reputea tibi
Opperiens cunctatur eum dea candida Veri
Floribus insanum quifurit atquefi.de.*

- Silano, to dla mnie brzmi jak greka.
- To łacina. A co, Monsieur Gage, na pograniczu nie uczą klasyki?

- Na pograniczu klasyką rozpalają ogniska.
- Przekład tego dokumentu, który znalazłem podczas moich poszukiwań, wyjaśni, czemu mi zależy na twojej pomocy.

*Gdy niebo rozbłyśka błyskawicą słonecznych promieni,
Anioł zaś swoimi piórami wskazuje na rozkaz Boga;
Gdy pustynia, pijąc ze skręconej ślimaczej muszli,
Chciwie wsysa wodę wyschniętymi ustami,
Wtedy wreszcie wyraźny blask ukaże pewną część
Wcześniej nieznaną i niedocenianą.
Stęskniona boska Prawda czeka na niego,
Głupca oszalałego dla kwiatów, który ufa z wiarą.*

Co to, u diabła, miało znaczyć? Świat byłby o wiele lepszym miejscem, gdyby każdy wypowiadał się jasno i wyraźnie, ale to akurat nie leży w naszym zwyczaju, prawda? A jednak w tym wierszu było coś, co pobudziło moją pamięć, wspomnienia, które nie dotyczyły Silana ani Astizy. Poczulem dreszcz rozpoznania.

- Musimy się udać w pewne miejsce Miasta Duchów - oznajmił Silano - i ściągnąć z nieba płomień burzy, błyskawicę, tak jak to czynił twój mistrz w Filadelfii. Trzeba ją skierować na serafiny i zobaczyć, którą część wskażą.

- Część czego?

-Budynku lub jaskini, jak sądzę. Okaże się, jeżeli wszystko pójdzie po mojej myśli.

- Pustynia pije ze ślimaczej muszli?

- Padający z burzowych chmur deszcz. To wzmianka dotycząca jakiegoś świętego pucharu.

Lub czegoś innego, pomyślałem.

- A te kwiaty i wiara?

-Uważam, że ta część dotyczy samych templariuszy albo różokrzyżowców. Różne są teorie dotyczące powstania Zakonu Róży i Krzyża; jedna z nich głosi, że aleksandryjski mędrzec Ormezos w 46 roku naszej ery został nawrócony przez ewangelistę Marka i wzbogacił chrześcijaństwo o nauki starożytnych Egipcjan, tworząc gnozę, lub wiedzę przynoszącą zbawienie. - Popatrzył na mnie znacząco, żeby się upewnić, że powiązę to z Księgą To-ta. - W historii wciąż powstają i giną nowe prądy i ruchy, ale symbol róży i krzyża jest bardzo stary, oznacza zaś śmierć i życie albo rozpacz i nadzieję. Zmartwychwstanie, jeśli wolisz.

-Mężczyznę i kobietę - dodała Astiza. - Falliczny krzyż i joniczny kwiat.

- Kwiat i wiara symbolizują właściwości charakteru tych, którzy znajdują sekret - stwierdził Silano.

- Kobieta?

- Może to właśnie jest powód, dla którego towarzyszy nam kobieta.

Postanowiłem zatrzymać swoje podejrzenia dla siebie.

- Więc chcesz ściągnąć błyskawicę na mojego serafina i zobaczyć, co się stanie?

-Owszem, tak, w miejscu opisanym w znalezionych przez nas dokumentach.

Zastanawiałem się przez chwilę.

- Mówisz o metalowym pręcie, a raczej dwu prętach, bo mamy dwa serafiny. Będzie nam potrzebny metal, żeby ściągnąć energię niebios na ziemię.

- Dlatego właśnie mamy metalowe słupki do namiotów, na których osadzimy twoje serafiny. Planowałem to od miesięcy. Ty potrzebujesz naszej pomocy, żeby odnaleźć miasto, my potrzebujemy ciebie, żeby znaleźć w nim kryjówkę.

- A co potem? Przetniemy Księgę na dwie części?

- Nie - odpowiedział Silano. - Nie trzeba być Salomo-

nem, żeby rozstrzygnąć naszą rywalizację. Użyjemy jej wspólnie dla dobra ludzkości, tak jak czynili to starożytni.

- Razem!

- Czemu nie, skoro posiadziemy moc czynienia nie-
skończonego dobra? Jeżeli świat w istocie jest niłą pajęczyną,
można będzie zmieniać jego kształt. Tego właśnie nauczy nas
ta Księga. A gdy wszystko stanie się możliwe, będziemy
zmieniać kształty kamieni, przedłużać życie, zjednywać sobie
nieprzyjaciół i leczyć rany - mówił rozogniony zapałem.

Spojrzałem na jego biodro.

- I przywrócić ci młodość.

- Właśnie. Światem nareszcie zacznie rządzić rozum.

- Rozum Bonapartego?

Silano zerknął na Najaca.

- Jestem lojalny wobec rządu, który zlecił mi tę misję. Ale
politycy i generałowie są ograniczeni. W przyszłości, Ethanie,
światem powinni władać uczeni. Stary świat był zabawką
książąt i kapłanów. Odpowiedzialność za nowy wezmą na
siebie mędrcy. Gdy połączą się rozum i wiara, zapanuje złoty
wiek. Tę rolę w Egipcie odgrywali kapłani. My staniemy się
kapłanami przyszłości.

- Ale stoimy po przeciwnych stronach!

- Nie, nie stoimy. Wszystko jest dwoiste. I łączy nas Astiza.

- Uśmiechnął się uwodzicielsko.

Cóż za przeciwna naturze trójca! Ale czy mogłem co-
kolwiek zdziałać, nie wchodząc do gry? Spojrzałem na Astizę.
Siedziała obok Silana, nie przy mnie.

- Ona mi nawet nie zechciała przebaczyć - zełgałem.

- Przebaczę ci, Ethanie, jeżeli nam pomożesz - odpo-
wiedziała. - Potrzebujemy cię, żeby ściągnąć z nieba bły-
skawicę. Potrzebujemy cię, żeby okiełznać niebo, jak uczynił
to twój mentor Franklin.

ROZDZIAŁ 18

Ciasne i dziewiczo różowe wejście do Miasta Duchów miało kształt wlotu do wąwozu w skałach piaskowca. Przejście było kręte, nie szersze niż kilka kroków; wysoko nad naszymi głowami lśnił błękit nieba. Ściany wznosiły się na sześćset stóp, niekiedy zwierwały się wysoko, jakby pchnęło je ku sobie trzęsienie ziemi. Niepokojąca była ciasnota tego korytarza, gdy pogrążeni w cieniu szliśmy jego dnem. A jednak, gdyby skały mogły być ponętne, ten błękitno-różowy barbakan byłby serajem falującej zmysłowości, wyrzeźbionym przez wodę w tysiące kształtów miłych oku jak biodra sułtańskich faworyt. Ściany wokół nas i nad nami przecinały warstwy koralu, szarości, bieli i fioleto. Tu kamień się wybrzuszał jak zastygły naciek syropu, tam tworzył koronkowe zasłony, a jeszcze gdzie indziej spływał faliście. Piaski i skalny jar utworzyły nierówną drogę, która opadała ku naszemu celowi jak kamienny szlak wiodący w podziemia snu pijanego satyra. Ale gdy się uważniej przyjrzałem, stwierdziłem, że nie tylko natura rzeźbiła te kamienie. Tam widniała brama dla karawan, gdzie indziej w ścianie wryto kanał, którego ciemne plamy wskazywały, że był kiedyś akweduktem doprowadzającym wodę do starożytnego miasta. Przeszliśmy pod rzymskim łukiem, który zamykał górne wejście do wąwozu, i pogrążeni w milczeniu, zdumieni mijaliśmy nisze w ścianach, kryjące posągi bogów i figur geometrycznych. U podnóża skał przez cały czas towarzyszyły nam wy-

rzeźbione w piaskowcu wielbłądy dwakroć większe od zwykłych. Wyglądało to tak, jakby martwe zamieniono w kamień, a gdy minęliśmy ostatni zakręt, niesamowity efekt się podwoił. Zaparło nam dech.

- Patrzcie i podziwiajcie! - zawołał śpiewnie Silano. -Oto, co jest możliwe, gdy człowiek zaczyna marzyć.

Nie mogło być inaczej. Księża Tota musiała leżeć gdzieś tutaj.

Podróż spod góry Nebo trwała kilka dni. Przemierzaliśmy pogórze Jordanu, mijając na wyżynach zielone pastwiska i ponure ruiny zamków krzyżowców, równie dziś zapomnianych jak templariusze. Od czasu do czasu zjeżdżaliśmy w głębokie i skwarne wąwozy, które ku zachodowi otwierały się na żółte pustynne piaski. Mizerne strumyki tonęły w morzu suszy. Potem wspinaliśmy się na drugą stronę i ponownie ruszaliśmy na południe. Nad naszymi głowami krążyły jastrzębie unoszone ciepłymi prądami powietrza. Słyszeliśmy okrzyki Beduinów zaganiających kozy do bocznych jarów, a potem obserwujących nas w milczeniu z bezpiecznej odległości, dopóki ich nie minęliśmy. Oblężenie Akki było odległe o miliony mil.

Podczas tej jazdy miałem mnóstwo czasu, żeby rozmyślać nad łańciską zagadką Silana. Część dotycząca wskazujących na coś aniołów była do przyjęcia, choć nie umiałbym odgadnąć, jakie siły to umożliwiły. Ale moją pamięć pobudzały słowa o ślimaczej muszli i kwiecie. Tych samych porównań użył francuski uczonec i mój przyjaciel Edme Francois Jomard, kiedy się wspinaliśmy na Wielką Piramidę. Powiedział, że w jej wymiarach ukryto wartość „złotego podziału” - 1, 618, jeśli dobrze zapamiętałem -co z kolei było geometrycznym przedstawieniem postępu liczbowego zwanego ciągiem Fibonacciego. Ten matematyczny postęp można przedstawić w postaci wzrastających kwadratów tworzących pewną spiralę, jaką - na

przykład - można zaobserwować w muszli nautilusa albo (jak utrzymywał Jomard) w ułożeniu kwiatnych płatków. Mój przyjaciel Talma uznał młodego uczonego na poły za wariata, mnie jednak jego słowa mocno zaintrygowały. Czy Piramida naprawdę przedstawiała jakąś fundamentalną prawdę natury? I co to miało wspólnego - jeśli w ogóle - z miejscem, do którego teraz zmierzaliśmy?

Spróbowałem myśleć jak matematycy, Monge i Jomard. „Wtedy wreszcie wyraźny blask ukaże pewną część wcześniej nieznaną i niedocenianą”, napisali templariusze. Brzmiało to absurdalnie, podsunęło mi jednak pewien zwariowany pomysł. Czyżby to była wskazówka pozwalająca mi wykraść Księgę Tota Silanowi sprzed nosa?

Rozbijaliśmy obozowiska w miejscach najlepiej nadających się do obrony i pewnego wieczoru wspięliśmy się na szczyt wzgórza, żeby spędzić noc w ruinach wzniesionego z bloków wapienia zamku krzyżowców, którego wieże były siedliskiem jaskółek. W świetle zachodzącego słońca kamienie błyskały żółcią, a ze szczelin pomiędzy nimi wysuwały się rozmaite chwasty. Jechaliśmy przez łąkę porośniętą dzikim, kołyszącym się na wietrze kwieciami. Kwiaty, falując równomiernie, potwierdzały jakby moje rozumowanie. Fibonaccii, szeptały. Fibonaccii.

Kiedy zgromadziliśmy się pod łukiem na poły zwałonej bramy, żeby wprowadzić konie na opustoszały dziedziniec, szepnąłem Astizie:

-Spotkajmy się po wschodzie księżyca, na blankach jak najdalej od miejsca naszego noclegu.

Kiwnęła głową niemal niedostrzegalnie, a potem jakby zirytowana popędziła konia, żeby mnie wyprzedzić. W oczach innych wciąż byliśmy skłóconymi dawnymi kochankami.

Nasza trójka zazwyczaj układała się do snu w pewnej odległości od opryszków Najaca i gdy Ned zaczął słodko

pochrapywać, wymknąłem się i ukryłem w mroku. Nadeszła niczym duch, spowita w odcinającą się od ciemności biel. Wstałem i wciągnąłem ją do ukrytej przed wzrokiem innych dawnej wartowni, oświetlonej jedynie sączącymi się przez szczeliny strzelnic promieniami księżyca. Pocałowałem ją po raz pierwszy od naszego niedawnego, ponownego spotkania. Jej wargi były chłodne, a palce splątała z moimi, żeby je zatrzymać.

- Nie mamy czasu - szepnęła. - Najac się obudził. Sądzi, że odeszłam za potrzebą. Ale za kilka minut zaczniesz coś podejrzewać.

- A niech sobie podejrzewa. - Spróbowałem ją objąć.

- Ethanie, jak posuniemy się za daleko, wszystko zepsujemy!

- Jak nic nie zrobimy, to wybuchnę.

Przekleństwo! Ciężko było stać na kilu od wyjazdu z Paryża. Zbyt wiele doświadczeń i za mało kobiet. Odechnąłem głęboko.

- Dobrze więc, posłuchaj. Jeżeli ta sztuczka z błyskawicą naprawdę się uda, musisz mi pomóc oddalić się jakoś od Silana. Będę potrzebował czasu na spróbowanie czegoś na własną rękę, a potem musimy się spotkać, ale później.

- Wiesz o czymś, czego nam nie powiedziałaś, prawda?

- Być może. Muszę zaryzykować.

- A ty jesteś urodzonym graczem. - Zastanawiała się chwilę. - Po tym, jak okiełznamy błyskawicę, powiedz mi, że chcesz wymienić swój udział na mnie. Ja wtedy udam, że cię zdradzam, i odejdę z nim. Zostawimy cię. Udaj wściekłość i rozgoryczenie.

- To akurat nie będzie trudne. Mam ci zaufać?

Uśmiechnęła się.

- Albo mi ufasz, albo nie. - Wymknęła się w mrok.

Zadaliśmy o to, żeby przez pozostałą część podróży być skłóceni jak indyki. Mogłem tylko mieć nadzieję, że ona naprawdę udaje.

Podążaliśmy starym szlakiem karawan i bałem się spotkania z jakimś tureckim patrolem, ale wyglądało na to, że starcie pod górą Tabor doprowadziło do tymczasowego zniknięcia pobitych nieprzyjaciół. Świat był pusty, jak u swoich początków. Zdarzyło się, że zaczepili nas jacyś miejscowi plemienni rabusie, twardzi mali ludzie na wielbłądach, nasza grupka też jednak wyglądała na twardzieli, na dodatek biednych twardzieli, których nie oplaca się napadać. Najac podjechał do nich na czele swoich ludzi i po krótkich pertraktacjach tubylcy zniknęli za wzgórzami.

Kiedy dotarliśmy do zaznaczonego na mapie templariuszy miasta, nikt już za nami nie jechał.

Skręciliśmy ku zachodowi i zjechaliśmy z grani na brzeg płaskowyżu ciągnącego się aż do dalekiej pustyni. Pomiędzy nami i tym pustkowiec znaleźliśmy jednak osobliwą formację geologiczną, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem. Był to łańcuch jakby księżycowych, jałowych i stromych gór, a przed nimi wznosiły się bezładnie okrągłe kopce z brązowego piaskowca. Wyglądały jak zastygłe bąble lub źle wyrośnięte bochenki chleba. Wydawało się, że nie można wjechać do środka ani okrążyć tej dziwnej formacji, ale gdy podjechaliśmy bliżej, okazało się, że kopce są podziurawione jaskiniami niczym stuoki potwór. Piaskowiec był ich pełen. Z występów skalnych wyrastały stopnie i kolumny. Staaliśmy na nocleg w korycie pustego jaru, pod zimnymi, jaskrawo świecącymi gwiazdami.

Silano orzekł, że następnego ranka będziemy musieli pójść ścieżką zbyt stromą i wyboistą dla koni, gdy tylko więc się rozjaśniło, zostawiliśmy je uwiązane przy wejściu do wąwozu pod strażą kilku Arabów Najaca. Zauważyłem, że zachowywały się dziwnie nerwowo, były kopytami ziemię i szarpały się przeprowadzane obok wozu, który jakimś sposobem pojawił się w nocy na skraju naszego obozowiska. Był niewysoki i okryty żaglowym płótnem bądź brezentem, Silano zaś powiedział, że jest w nim mię-

so, co płoszy zwierzęta. Chciałem zbadać sprawę, ale promienie wschodzącego właśnie słońca oświetliły stromiznę, wydobywając z mroku wejście do wąwozu i zamykający je rzymski łuk. Weszliśmy pieszo i po kilku krokach straciliśmy z oczu świat zewnętrzny. Ucichły też wszystkie dźwięki oprócz chrzęstu naszych kroków po piasku, gdy zagłębialiśmy się w jar.

- Burze zniszczyły niegdysiejszą brukowaną drogę - oznajmił Silano. - O tej porze roku często wąwóz zmywały gwałtownie przybierające potoki wody po burzach, jak o tym świadczą zapiski. Grzmoty, błyskawice i woda. Templariusze wiedzieli o tym i wykorzystali to zjawisko. My zrobimy to samo.

A potem, przejechawszy może milę, tak jak to opisałem, trafiliśmy na drugi koniec wąwozu i aż wstrzymałem oddech z wrażenia. Przed nami ciągnął się nowy wąwóz, poprzecznie do pierwszego, tak samo wspaniały i niezwykły. Nie to mnie jednak zachwyciło. Na przeciwległej ścianie wznosił się najbardziej niezwykły z oglądanych przeze mnie monumentów, pierwsza z rzeczy, jaka mogła iść o lepsze ze wspaniałością piramid. Była to świątynia wyrzeźbiona w skale.

Wyobraźcie sobie strome urwisko wysokie na kilkaset stóp, różowe jak panięńskie policzki i nie przed nim, ale wyciosany z jego zbocza fronton pogańskiej świątyni z kolumnami i kopułami wznoszącymi się wyżej niż iglica katedry filadelfijskiej. Na górnych narożnikach umieszczono figury przygarbionych orłów - każda wielkości bizona - a niszce pomiędzy kolumnami kryły kamienne figury z anielskimi skrzydłami. Mojego wzroku nie przyciągnęły jednak te demony czy cherubiny, ale centralna figura umieszczona wysoko nad drzwiami świątyni. Była to postać kobiety z obnażonymi, zniszczonymi już przez czas piersiami, nagiej do bioder otulonych kamiennymi fałdami rzymskiej stoli, z uniesioną wysoko i dumnie głową.

Widowałem tę postać w świątyniach starożytnego Egiptu. W zgięciu ramienia trzymała róg obfitości, a na głowie miała resztki korony, utworzonej przez słoneczny dysk pomiędzy rogami byka. Poczulem dreszcz na widok posągu tej bogini, która prześladowała mnie od Paryża; Rzymianie wzniesli jej świątynię tam, gdzie później stanęła katedra Notre Dame.

- Izis! - krzyknęła Astiza. - Ona jest gwiazdą wiodącą nas do Księgi!

Na twarzy Silana pojawił się uśmiech.

-Arabowie nazywają to miejsce Khazna, co oznacza skarbiec, ponieważ ich legendy głoszą, że faraon ukrył tu swoje bogactwa.

- Chcesz powiedzieć, że Księga jest tutaj? - zapytałem.

- Nie. Sale są puste i płytkie. Ale to musi być gdzieś niedaleko.

Rozbryzgując wodę płytkiego strumyka płynącego środkiem nowego kanionu, podjechaliśmy do wejścia Khazny. Kanion wił się ku prawej. Wstąpiliśmy po schodach prowadzących do wysokiego, obramowanego kolumnami wejścia. Na chwilę zatrzymaliśmy się pod cienistym portykiem, oglądając się na czerwone skały, po czym weszliśmy do pomieszczenia.

Jak powiedział Silano, było irytująco puste i pozbawione ozdób jak sala pustego sarkofagu pod Wielką Piramidą. W skale wyłobiono tu proste, surowe i puste komnaty. Po kilkuminutowych oględzinach przekonaliśmy się, że nie ma tu żadnych ukrytych drzwi.

- Jeśli nie działa tu jakaś sztuczka z matematycznymi wymiarami, niczego nie znajdziemy - stwierdziłem. - Do czego to służyło? - Pomieszczenie było za duże na to, żeby w nim mieszkać, a jednak nie dość duże i za słabo oświetlone na świątynię.

-To nie ma znaczenia. - Silano wzruszył ramionami. - Mamy znaleźć Płaskowyż Ofiary. Jeżeli da się coś

rzec o tym pomieszczeniu, to z pewnością nie jest wysokie.

- Ale imponujące - stwierdziła Astiza.

- Iluzja, jak wszystko inne - odparł Silano. - Tylko umysł jest rzeczywisty. To dlatego okrucieństwo nie jest grzechem.

Wyszliśmy na zewnątrz. Wąwóz był na poły oświetlony, na poły tonął w cieniu. W powietrzu wisiała mgiełka.

- Mamy szczęście - mruknął hrabia. - Powietrze jest ciężkie i pachnie, jakby zbierało się na burzę. Nie musimy czekać, ale trzeba przygotować wszystko, zanim burza się rozpęta.

Gdy podążaliśmy tym nowym wąwozem, rozszerzał się powoli, co pozwoliło nam nawet lepiej się przyjrzeć labiryntowi gór, wśród których jechaliśmy. Pnące się ku niebu skały miały kształt zaokrąglonych bochenków, płaskich ciast i babek. Podkreślając barwy dziwacznych skał, kwitły pośród nich oleandry. Wszystkie ściany przecinały jaskinie, ale nie były to naturalne pieczary. Otwory wejściowe miały kształty regularnych prostokątów, co wskazywało na to, iż wycięli je ludzie. Jechaliśmy przez miasto nie wzniesione na powierzchni ziemi, ale wryte w głąb. Minęliśmy wielki, półokrągły rzymski amfiteatr, którego ławy wycięto w samej skale, i w końcu trafiliśmy do otoczonej stromymi ścianami szerokiej misy przypominającej dziedziniec i mury. Było to doskonale ukryte miasto, dostępne jedynie od strony łatwego do obrony wąwozu. A jednak było tu dość miejsca, żeby zmieścić Boston. W górę, wyrastając wprost z piasku, wznosiły się niczego już niepodtrzymujące kolumny. Z rumowiska wyłaniały się pozbawione dachu świątynie.

- Na Izis łaskawą! - szepnęła Astiza. - Któż tu się mo dlił?

Jedna ze ścian mogłaby rywalizować z Khazną. Wryto w niej fasadę bajkowego miasta, tworząc mieszaninę

schodów, kolumn platform, okien i drzwi wiodących do pomieszczeń wewnętrznych. Zacząłem liczyć te wejścia, ale szybko zrezygnowałem. Były ich setki. Nie, tysiące.

- To miejsce jest bardzo rozległe - stwierdziłem. - Gdzie tu znaleźć Księgę? W porównaniu z nim Wielka Piramida to skrzynka na listy.

- Ty masz ją znaleźć - przypomniał mi Silano. - Ty i twoje serafiny. - Wyciągnął mapę templariuszy i uważnie jej się przyjrzał. Potem wskazał palcem. - Tam.

Wznosząca się za nami nad starym amfiteatrem góra miała blanki jak obronna wieża, ale szczyt płaski. Wiodła tam kozia ścieżka.

- Tam? Gdzie.

- Na Płaskowyż Ofiary.

Wąską ścieżkę i stopnie wycięto wprost w kamieniu. Było duszno i wszyscy się spociliśmy, ale podczas wspinaczki mieliśmy coraz lepszy widok na kolejne skały upstrzone czarnymi otworami wejść i okien. Nigdzie jednak nie zobaczyliśmy ludzi. W opuszczonym mieście panowała cisza i nie słychać było zawodzeń duchów. Światło lekko różowiło.

Znalazłszy się na szczycie, trafiliśmy na kamienny płaskowyż, z którego rozciągał się pyszny widok. Daleko w dole mieliśmy otoczoną skałami misę zrujnowanych ścian i zwalonych kolumn. Za nią rozciągały się jeszcze bardziej strome góry, bez skrawka zieleni i jałowe niczym szkielet. Opadające ku zachodowi słońce zniżało się ku ławicy burzowych chmur, która ciągnęła ku nam jak złowrogi, czarny okręt wojenny. Dał gorący, niosący wilgoć wiatr, który podrywał z ziemi wirujące szybko kolumienki kurzu. Sama skała była tu dokładnie wyrównana dłutami. Pośrodku widać było regularny prostokąt wielkości sali balowej, niby sucha i płytka sadzawka. Silano zerknął na kompas.

- No proszę, zorientowano ją na północ i południe - oznajmił, jakby tego właśnie się spodziewał. Ku zachodowi, skąd nadciągała burza, z suchej sadzawki wznosiły się schody o czterech stopniach zakończone podwyższeniem, które mogło być ołtarzem. Było na nim okrągłe wgłębienie z kanalikiem.

- To na krew - stwierdził hrabia. Płaszcz trzepotał wokół jego ramion.

- Nie widzę żadnego miejsca, w którym można by ukryć Księgę.

Silano wskazał dłonią leżące w dole miasto, dziesiątki tysięcy dziur w piaskowcu przypominającym gigantyczny pszczeli plaster.

-A ja widzę nieskończoność. Ethanie Gage, czas, żebyś użył swych serafinów. Zrobiono je z metalu bardziej świętego niż złoto.

- Z jakiego znaczy?

- Egipcjanie nazywali go Raezri, Łzy Słońca. Dotknie go palec Boga i wskaże, dokąd mamy iść. Czego potrzebujemy, żeby ściągnąć w dół palec Tota? Jak esencja wszechświata może dać nam znak?

Był kompletnie szalony, ale przypuszczam, że taki też był stary Ben, gdy wychodził z latawcem na burzę. Uczeni to dziwacy.

- Czekajże. Co się stanie, jak znajdziemy tę Księgę?

- Zbadamy ją - odparł krótko Silano.

- Nie mamy pojęcia, czy zdołamy ją przeczytać - dodała Astiza.

- Chcę zapytać, kto ją weźmie - upierałem się. - Ktoś musi się nią zaopiekować. Wygląda na to, że nie obejdzie się bez moich aniołów, a kluczem do rozwiązania zagadki są moje umiejętności i wiedza. Nie stoję ani po stronie Anglików, ani Francuzów... jestem neutralny. Powiniście ją powierzyć mnie.

- Sam nie znalazłbyś tego miejsca i za tysiąc lat - wark-

nał Najac. - Nie powierzyłbym ci nawet listy drobnych zakupów!

- A ty nie znalazłbyś swego prawego ucha, nawet gdybyś miał sznurek od niego do jaj! - odparłem z irytacją.

- Monsieur Gage, sytuacja jest zupełnie jasna - odezwał się zniecierpliwiony Silano. - Przyłączasz się do mnie, do zakonu rytu egipskiego i zdobywasz część mocy i wpływów.

- Mam się przyłączyć do człowieka, który w Egipcie przysłał mi w dzbanie z miodem głowę mojego przyjaciela?

Hrabia westchnął.

- Albo możesz odjechać z niczym.

- A jakież ty masz prawa do tej Księgi? - Musiałem odegrać swoją rolę.

Rozejrzał się z rozbawieniem w oczach.

- No cóż, mam wszystkie strzelby i rusznice, większość zapasów i jedyną możliwość odczytania treści tej Księgi. - Ludzie Najaca unieśli lufy swoich muszkietów. Patrzenie w lufę własnej broni jest szczególnie irytujące; moją złość pogłębiał jeszcze fakt, że broń znajdowała się w brudnych łapach Najaca. - Ethanie, doprawdy nie wiem, co zobaczył w tobie Franklin. Oczywiście rzeczy docierają do ciebie bardzo powoli.

- Silano, beze mnie niczego nie wskórasz. - Wskazałem na coraz ciemniejsze, sunące ku nam chmury.

- Nie bądź durniem. Jak mi nie pomożesz, nikt nie dostanie Księgi i też odejdiesz z niczym. Zresztą jesteś równie ciekawy jak ja.

Spojrzałem na Astizę.

- Więc umówmy się tak. Ja pomogę ci ustawić te serafiny. Jeżeli wszystko pójdzie po twojej myśli, ty zabierzesz Księgę. Weź ją sobie i połóżmy kres tej rywalizacji.

- Szefuniu! - stęknął Ned.

- A ja chcę zabrać Astizę - dokończyłem.

- Monsieur, ona nie należy do mnie i nie mogę ci jej dać.
- Chcę tylko, byś nam pozwolił odjechać, nie zatrzymując nas i nie przeszkadzając.

Spojrzał na nią. Unikała naszego wzroku.

- A jak się zgodzę, pomożesz mi?

Skinąłem głową.

- Lepiej się pospieszmy.

- Wybór jednak należy do niej, nie do mnie - ostrzegł mnie hrabia.

Twarz Astizy była teraz nieprzeniknioną maską.

- Oczywiście - zgodziłem się. - Niech sama wybiera. Tylko o to proszę.

-Zgoda. - Uśmiechnął się uśmiechem zimnym jak kanadyjska lodowa pułapka na bobry. - Pomóż nam się przygotować.

Wstrzymałem oddech. Czy mogłem jej zaufać? Czy wszystko pójdzie po mojej myśli? Stawiałem na łacińską zagadkę. Wyciągnąłem spod opończy moje zabawki wyniesione spod piramidy i zobaczyłem błysk w oczach maga, gdy brał je do rąk.

- Wykorzystaj zaczepy, które mocowały je do laski Mojej zesa, i umieść je na szczycie twoich metalowych słupków - poleciłem. - Zrobimy gromowy pręt Franklina.

Wcześniej już zauważyłem dwa otwory w kamieniu na szczycie płaskowyżu, Silano zaś potwierdził, że wspomniano o nich w dokumencie templariuszy, wetknęliśmy więc w nie nasze słupki. Nic ich jednak nie łączyło.

Przyjrzałem się płaskowyżowi. W skalnym podłożu były wyłobienia tworzące sześcioramienną gwiazdę. Słupki stały na przeciwległych wierzchołkach.

-Musisz jakoś połączyć te słupki - powiedziałem. - Metalowymi paskami przewodzącymi elektryczność. Masz coś takiego?

Oczywiście nie miał. Taki przygotowany! Półmrok wo-

kół nas gęstniał, w oddali zagrzmiało; coraz cięższa ławica chmur sunęła w naszą stronę. Daleko w dole kołysały się kolumnienki pyłu.

- Nie wiem, jak miałyby zadziałać te słupki, skoro są odizolowane - ostrzegłem.

-Templariusze twierdzili, że zadziałają. Ja się nie mylę.

Ten człowiek miał ego, jakiego nie powstydziliby się Aaron Burr*. Zacząłem rozmyślać, co też mogłoby zastąpić paski metalu; moi wrogowie mieli rację - byłem równie ciekaw jak oni.

- Najac, przestań krzywić pysk i zrób coś pożytecznego - zaproponowałem w końcu. - Użyj waszych worków na wodę i zalej te rowki, a potem wsyp w nie trochę soli.

- Woda?

- Ben mówił, że słona woda dobrze przewodzi elektryczność.

W wąskich rowkach zabłysła woda i cała gwiazda zaświeciła purpurowym blaskiem. Słońce znikło za chmurami i powietrze się ochłodziło. Dostałem gęsiej skórki. Zagrzmiało jeszcze kilka razy, a potem zobaczyłem smuzki deszczu parujące, zanim dotknęły gruntu. Na zachodzie pojawiła się krzaczasta błyskawica. Cofnąłem się na krawędź płaskowyżu. Ned i Mohammad ruszyli za mną, ale nikt oprócz nas nie okazał strachu. Nawet Astiza stała przejęta oczekiwaniem i wpatrzona w niebo, nie we mnie. Jej włosy powiewały w porywach wiatru.

Burza uderzyła w nas niczym szarża kawalerii. Natarła na nas pełna drobinek żwiru ściana wiatru, a nad naszymi głowami zgromadziły się chmury, niczym wielkie, lśniące łożem i srebrem wory pełne deszczu i błyskawic. Bły-

* Trzeci wiceprezydent Stanów Zjednoczonych. W pojedynku, który wstrząsnął Ameryką, śmiertelnie ranił swego politycznego rywala Aleksandra Hamiltona, jednego z ojców założycieli USA.

skawice godziły już w otaczające nas szczyty; gromy uderzały coraz bliżej, przy akompaniamencie grzmotu przypominającego huk dział. O ziemię uderzyły pierwsze krople deszczu, ciężkie i ciepłe, niczym stopiony ołów. Wiatr wył już przeraźliwie, targając nasze ubrania. I nagle oślepił nas niezwykle jaskrawy błysk, ogłuszył przeraźliwy huk i cała góra drgnęła. Piorun uderzył w jeden z prętów. Zmiękły mi kolana. Sypnęły się iskry i od jednego słupka do drugiego wzdłuż linii gwiazdy przebiegły promienie jasnoblękitnego światła, a potem ognisty łuk połączył oba anioły. Zapłonęły intensywną bielą. Okręciły się razem z prętami tak, że ich nachylone nieco ku sobie skrzydła wskazały na północny wschód, a przedłużenia linii skrzydeł przecinały się w odległości dwudziestu jardów od obu słupków. Blask gromu zniknął, ale słupki zachowały moc, każdy skąpany w purpurowym świetle nieróżniącym się w zasadzie od tego, jakie widzieliśmy pod Górą Świątynną w Jerozolimie. Promienie światła ze skrzydeł serafinów zetknęły się ze sobą, spotkały w powietrzu i pomknęły dalej jako jeden, który wskazał wielkie, flankowane kolumnami drzwi innej świątyni w skale, odległej o dwie mile od miejsca, w którym staliśmy. Trysnęła fontanna iskier.

- Hurrra! - ryknęli sługusi Silana.

Promień trwał jeszcze chwilę, jak błysk słonecznego światła w mroku jaskini, a potem zgasł. Płaskowyz okrył się mrokiem. Oszołomiony spojrzałem na szczyty metalowych słupków. Serafiny stopiły się w niekształtną masę, niczym kapelusz grzyba, okrywającą czubek każdego słupka. Silano stał z uniesionymi tryumfalnie ramionami. Nieruchomą Astizę otulała mokra szata; do jej policzka przyłgnął kędziór wilgotnych włosów. Burza przesuwała się ku wschodowi, ale za jej rozmigotanym błyskawicami czołem ciągnęły kolejne deszczowe chmury. Zrobiło się chłodniej, w powietrzu unosił się ostry zapach. Zaczęło

łać. Czuliśmy w powietrzu elektryczność, wciąż jeszcze jeżyły nam się włosy. Z płaskowyżu w dół popłynęły strumienie wody.

- Czy ktoś zapamiętał położenie tamtej bramy? - zapytał Silano.

-Znajdę ją nawet z zawiązanymi oczami - obiecał Najac głosem pełnym nieskrywanej chciwości.

- Diabelskie sztuczki - warknął Ned.

- Nie, to dzieło Mojżesza! - odparł Silano. - I Rycerzy Świątyni, a także wszystkich, którzy poszukują prawdy. Panowie, idziemy śladami Boga, a czy jest nim Tot, Jahwe czy Allah, Jego istota jest wciąż taka sama: On jest Prawdą. - Oczy hrabiego lśniły niesamowitym blaskiem, jakby zostały w nim resztki energii błyskawicy.

Nie miałem niczego przeciwko wiedzy - w końcu żeglowałem w towarzystwie uczonych - a jednak słowa i wygląd hrabiego mnie zaniepokoiły. Przypomniałem sobie wysłuchiwanie w dzieciństwie kazania, w których opisywano, jak wąż obiecywał Adamowi i Ewie wiedzę raj. Z jakimże ogniem igraliśmy tutaj? Z drugiej strony, czy mogliśmy zostawić i porzucić tak kuszące jabłko?

Spojrzałem na Astizę, będącą moim moralnym kompasem. Ona jednak miała unikać mojego wzroku, prawda? Wyglądała na przestraszoną - coś jednak się wydarzyło - i strapioną.

- Panowie, zabierzmy się do tworzenia historii - powiedział Silano. - Zejdźmy na dół, zanim zapadnie zmrok. Rozbijemy obóz przed tą świątynią, którą oświetlił wspólny promień, i przeszukamy ją jutro o świcie.

- Albo jeszcze w nocy z pochodniami - zaproponował usłużnie Najac.

- Pierre, cenię sobie twój zapał, ale po tysiącu lat nie sądzę, żeby cel naszych poszukiwań miał zniknąć w nocy. Monsieur Gage, twoje towarzystwo, jak zawsze, było bardzo interesujące. Ośmielę się jednak rzec, że żaden z nas

nie będzie żałował rozstania. Dobiełeś targu, mogę więc cię pożegnać. Adieu, człowieku z pogranicza.

-Astizo - odezwałem się. - Teraz możesz odejść ze mną.

Milczała przez długi, czas.

- Nie mogę, Ethanie - odezwała się wreszcie.

- Co takiego?!

- Odchodzę z Alessandrem.

- Ale ja przyszedłem tu dla ciebie! Dla ciebie opuściłem Akkę! - rozpaczałem niczym adwokat, któremu po-detknięto pod nos niezbity dowód winy jego klienta.

- Ethanie, nie mogę dopuścić, żeby tę Księgę wziął sobie tylko Alessandro. Po tym, co zniosłam, żeby ją odnaleźć, nie mogę ot, tak sobie odejść. Izis sprowadziła mnie do tego miejsca, żeby skończyła to, co zaczęłam w Egipcie.

-Ale on jest szalony! Spójrz na jego kompanów... to banda wyrzutków z piekła rodem! Chodź z nami! Pojedź ze mną do Ameryki!

Potrząsnęła głową.

- Żegnaj, Ethanie.

Silano uśmiechał się szeroko. Czegoś takiego właśnie się spodziewał. -Nie!

- Monsieur, ona dokonała już wyboru.

-Astizo! Pomogłem wam z tą błyskawicą tylko ze względu na ciebie!

- Ethanie, przykro mi. Księga jest ważniejsza niż **ty**. Ważniejsza niż my. Wróć do Anglików. Ja idę z Alessandrem.

- Wykorzystałaś mnie!

- Wykorzystaliśmy cię, żeby użyć Księgi w dobrej sprawie, co mnie, mam nadzieje, usprawiedliwi.

Uniesiony udawaną wściekłością chwyciłem jeden z metalowych słupków, żeby użyć go jako broni, ale oprysz-

kowe Najaca jak jeden unieśli muszkiety. Astiza nawet na mnie nie spojrziała. Silano odprowadził ją ku krawędzi płaskowyżu, zakrywając jej głowę szalem.

- Któregoś dnia zrozumiesz, co odrzuciłeś, Gage! - zawołał hrabia, nie odwracając głowy. - Zrozumiesz, co mógł ci dać zakon rytu egipskiego! Będziesz przeklinał ten układ!

- O tak! - warknął Najac, mierząc we mnie z pistoletów. - Wróc do Akki i zdechnij!

Puściłem słupek, pozwalając, by upadł z głośnym brzękiem. Nasze przedstawienie się udało. Oczywiście, jeśli Astiza udawała.

- A wy wynoście się z mojej góry! - zażądałem drżącym z wściekłości głosem.

Odeszli ścieżką w dół, uśmiechając się złośliwie i zabierając stopione serafiny wraz ze słupkami. Astiza raz jeden tylko obejrzała się przez ramię.

Kiedy oddalili się już poza zasięg głosu, Wielki Ned nie wytrzymał:

-Na wszystkich świętych, szefuniu! Pozwalasz, żeby te papistowskie łobuzy odebrały nam nasz skarb? Myślałem, że masz więcej ikry!

- Nie chodzi o ikrę, Ned, tylko o rozum. Pamiętasz, jak cię pokonałem w walce na kordelasy?

-Owszem - odparł, spuszczając z tonu jak skarcony uczeń.

-Pokonałem cię za pomocą mózgu, nie mięśni. Silano nie wie wszystkiego. Co oznacza, że będziemy mieli swoją szansę. Znajdziemy ścieżkę z drugiej strony tej góry i podejmiemy poszukiwania na własną rękę, z dala od tej bandy rzezimieszków.

- Z dala? Ależ oni już wiedzą, gdzie jest ta twoja Księga!

-Wiedzą, gdzie uderzyła błyskawica. Ale nie sądzę, żeby zagadka templariuszy miała tak proste rozwiązanie-

nie. Liczę na to, że rycerze byli badaczami Wielkiej Piramidy.

Ned był szczerze zaskoczony i nieco oszołomiony.

- Co masz na myśli, szefuniu?

- Gotów jestem się założyć, że nasi rywale poszli przygotowanym specjalnie dla nich fałszywym tropem. Jestem hazardzistą, Ned. Wielka Piramida jest kamiennym symbolem szeregu liczbowego znanego jako ciąg Fibonacciego. Jestem pewien, że o nim słyszałeś.

- Bodajbym skisł! Nie!

-Opowiedział mi o nim pewien Francuz w Egipcie. Ta sekwencja z kolei przedstawia jeden z podstawowych procesów w przyrodzie. Jeżeli wolisz, jest święta. Właśnie coś takiego zainteresowałoby templariuszy.

- Przepraszam, szefuniu, ale myślałem, że mówimy o starożytnym skarbie i tajemnych mocach, a nie o liczbach i templariuszach.

- Mówimy o jednym i drugim. Więc tak. Jest pewien stosunek, który pojawia się w każdym geometrycznym przedstawieniu tego szeregu, miły oku podział, wedle którego całość do dłuższej części ma się tak, jak dłuższa do krótszej. Liczbowo wynosi to coś około 1,61. Znali tę złotą proporcję Grecy, budowniczowie gotyckich katedr i renesansowi malarze. I ten stosunek jest zakodowany w wymiarach Wielkiej Piramidy.

- Złota? - Ned patrzył na mnie jak na przyglupa, którym zresztą może byłem.

Znalazłszy splechetek piasku, zacząłem rysować.

- To znaczy, że Księga może być w innym miejscu niż to, które wskazał nam promień błyskawicy. Na to zresztą liczę. Teraz założmy, że podstawa piramidy to linia, którą widzieliśmy w postaci tego promienia. - Narysowałem li nią w kierunku ruin, ku którym zmierzała grupa Silana. - Nakreśl linię prostopadłą do niej, a skieruje się mniej więcej na zachód. - Wskazałem na poszarpany grzbiet, zza

którego nadciągnęła burza. - Gdzieś na tej linii jest punkt, który dopełniłby trójkąta, jaki by powstał, gdyby Silano skierował się od tej świątyni ku zachodowi.

- I gdzie miałyby być ten punkt?

- Dobrze pytanie. Musisz wiedzieć, jak długa powinna być najdłuższa z linii, ta ukośna. Założmy, że powinna być większa 1,61 razy od odległości pomiędzy nami a świątynią, do której zmierza Silano. Byłby to złoty podział, fizyczne wcielenie ciągu Fibonacciego oddającego prawo natury, zbocze samej Wielkiej Piramidy. Piramidę wybudowano, żeby zamknąć w kamieniu fundamentalne liczby, takie, jakie się objawiają w muszli ślimaka lub w płatkach kwiatów. Niełatwo jest ocenić odległości, ale jeżeli założymy, że świątynia jest odległa o dwie mile, nasza linia łącząca powinna biec o, tam...

Zmrużył oczy, podążając za ruchem mojego ramienia od świątyni, którą wskazał promień anielskiego światła od północy ku zachodowi.

- Odgaduję, że te wymyślone linie przecięłyby się mniej więcej na tamtej ruinie.

Wszyscy wyczężyliśmy wzrok. Na dnie doliny widać było ruiny starożytnej budowli, która wyglądała tak, jakby przez kilka tygodni służyła za cel ćwiczeń baterii artyleryjskiej. Zniszczenie było wyłącznie dziełem czasu, a jednak budowla wciąż była wyższa od otaczających ją ruin. Wzdłuż starożytnej drogi ciągnął się rząd niczego niepodtrzymujących kolumn.

- Gdzie widziałeś ten kąt, efendi? - zapytał Mohammad.

- Na zboczu Wielkiej Piramidy. Objąsnił mi to mój przyjaciel, Jomard.

- Chcesz powiedzieć, że ten diabelski hrabia idzie do niewłaściwej świątyni?

- To tylko domysł, ale też nasza jedyna szansa. Chłopcy, zechcecie podjąć ryzyko oparte na kruchym przypuszczeniu?

czeniu, że templariusze kochali się w liczbach tak samo jak starożytni Egipcjanie?

- Efendi, nauczyłem się pokładać wiarę w twoich domysłach.

- No tak, byłby to niezły żart, gdybyśmy pierwsi znaleźli tę cholerną Księgę - parsknął śmiechem Ned. - Założę się, że będzie tam też złoto. - Wyszczrzył do mnie zęby w szerokim i kryjącym pogróżkę uśmiechu.

ROZDZIAŁ 19

Udaliśmy, że schodzimy w dół ku pustemu kanionowi, jakbyśmy chcieli opuścić Miasto Duchów. Ale pokręciwszy się wśród skał tak, żeby się ukryć przed wzrokiem Silana, znaleźliśmy piękny, choć pełen wilgoci wąwóz po zachodniej stronie góry. Mijaliśmy kolejne jaskinie i zrujnowane grobowce obok wodospadów zrodzonych z krótkotrwałego deszczu - pustynia istotnie chciwie piła wodę, jak przewidzieli to templariusze - aż znaleźliśmy się na dnie niecki. Zapadł już zmierzch i ulewa ustała. Kryjąc się przed oczami innych za niskimi wzgórzami, dotarliśmy do wielkiej świątyni, którą zobaczyliśmy przed nadejściem zmroku. Po burzy zrobiło się chłodniej, a na niebie zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy.

Budowla była w gorszym stanie niż świątynia Dende-ry, którą przeszukiwałem w Egipcie, i wyglądała znacznie skromniej. Dach się zapadł i zostały tu tylko pozbawione okien i ozdób ściany otaczające rumowisko na posadzce. Była wielka - ściany wznosiły się na wysokość przynajmniej stu stóp, a pod łukiem portyku mogłaby chyba przepłynąć fregata - ale prosta i pozbawiona ozdób.

Dość łatwo znaleźliśmy tunel wiodący w dół. W jednym rogu wewnątrz świątyni była jama otoczona zwałem kamieni, jakby ktoś tu kopał, szukając skarbu, a na jej dnie zobaczyliśmy deski obciążone kamieniami.

- To musi być tutaj! - sapnął podniecony Ned. Odrzuciwszy deski, znaleźliśmy wiodące w dół schody z płyt

piaskowca. Sporządziwszy sobie prowizoryczne pochodnie z kęp suchych krzaków, zapaliliśmy jedną krzesiwem i zeszliliśmy. Wkrótce jednak rozczarowani musieliśmy się zatrzymać. Po trzydziestu stopniach schody kończyły się czymś, co wyglądało jak studnia o gładkich ścianach z kamiennych bloków. Wziąłem kamień i wrzuciłem do studni. Minęło kilka długich chwil, po czym rozległ się plusk. Usłyszałem też szum płynącej w dole wody.

- To stara studnia - stwierdziłem. - Beduini zamknęli wejście, żeby nie wpadały do niej ich kozy.

Rozczarowani wyszliśmy na zewnątrz, żeby zbadać otoczenie, ale nie znaleźliśmy niczego interesującego. Stojące wzdłuż nieuczęszczanej już drogi kolumny niczego nie podtrzymywały. Stare budynki otaczały stopy dawno zwalonych kamieni i tynku. Wszystko wyglądało na dokładnie przeszukane - wszędzie leżały skorupy potłuczonych garnków. Powiem wam, czym jest historia - to popękane płyty i zapomniane kości, miliony ludzi sądzących, że żyją w ważnych czasach, a potem obróconych w proch. W otaczających nas skałach widać było puste paszcze jaskiń. Usiedliśmy zmęczeni.

- Szefuniu, wygląda na to, że twoja teoria zawiodła - mruknął przygnębiony Wielki Ned.

- Jeszcze nie, Nedzie. Miej wiarę.

- To gdzie są duchy? - Rozejrzył się dookoła.

- Trzymają język za zębami. Wierzysz w nie?

- A tak, sam je widywałem. Na nocnych wachtach można się natknąć na błakających się po pokładzie zaginionych towarzyszy. Inne upiory z nieznanymi wraków wyją z piany przepływających fal. W takich chwilach przejmuję człeka dreszcz, to pewne. A w Portsmouth, gdzie wynajmowałem pokój, w sąsiedniej izbie umarło dziecko i słyszeliśmy jego płacz, kiedy...

- Szejtan przez ciebie przemawia! - zachnął się Mohammad.

- Rozmowa o zmarłym sprowadza nieszczęście!

- Owszem, chłopcy, pomyślmy o celu naszych poszukiwań. Musimy znaleźć jakiś sposób zejścia na dół. Jeżeli coś łączy wszystkich łowców skarbów, to konieczność grzebania się w ziemi.

- A owszem, powinniśmy dostać pensję górników - zgodził się Ned.

- Rankiem Silano wejdzie do tej świątyni, którą mu wskazała błyskawica, i znajdzie coś albo nie. Stawiam na to, że nie znajdzie. My jednak musimy znaleźć to sami i czmychnąć stąd przed nimi

- A co z tą kobietą, szefuniu? - zapytał Ned. - Zostawisz ją temu łotrowi?

- Umówiłem się z nią, że wymknie się chyłkiem i przyłączy do nas.

- A, włączyłeś do swej gry i tę kobietę? No... kobiety to karty, na które raczej bym nie stawiał.

Wzruszyłem ramionami.

- Całe życie to jeden wielki hazard.

- Lubię słuchać głosu rzeki - odezwał się Mohammad, zmieniając temat. On też uważał, że hazard to diabelskie dzieło. - Rzadko można tego posłuchać na pustyni.

Nastawiliśmy uszu. Obok drogi był kanał, w którym z pluskiem płynęła woda.

- To ta burza - stwierdził Ned. - To miejsce przez większość czasu jest suche jak wór pieprzu.

- Ciekaw jestem, dokąd ta woda płynie - zastanawiał się Mohammad. - Otaczają nas góry i siedzimy na dnie misy.

Wstałem nagle. Rzeczywiście, dokąd? „Chciwie wysysa wodę wyschniętymi ustami”. Zszedłem po zwałonych stopniach ku drodze i przeciąłem ją, podchodząc do tymczasowego, lśniącego w blasku gwiazd strumienia. Płynął na zachód, ku górcom, i tam... zniknął!

W poprzek strumienia leżała zwałona kolumna i pod nią strumień nagle się kończył. Z jednej strony bulgoczą-

cy potok, z drugiej - suchy piasek i brukowce. Wszedłem w wodę, która miło chłodziła mi łydki, i zerknąłem pod kolumnę. W ziemi była tu szczelina niczym powieka olbrzymiego oka i w niej właśnie ginęła rzeczka. To nie oko, ale usta... „wsysa wodę wyschniętymi ustami”.

- Myślę, że znaleźliśmy naszą dziurę! - zawołałem do moich towarzyszy.

Ned zeskoczył do strumienia i stanął obok mnie.

- Wpadnij w tę szczelinę, szefuniu, i zmyje cię do samych piekieł!

W istocie. Ale może jednak jakimś cudem odgadłem właściwie i był to ślad wskazujący miejsce, gdzie templariusze naprawdę ukryli swoją jerozolimską tajemnicę? Czuję, że mam rację. Cofnąłem się i rozejrzałem. Bieg strumienia zatrzymywała jedna tylko kolumna. Jakież były szanse, że upadnie właśnie tak, żeby ukryć wlot wiodącej w dół jaskini, widocznej tylko po wielkiej burzy?

Podążyłem wzdłuż kolumny pod górę przeciwległego do świątyni zbocza. Z podstawy sterczały jak połamane zęby resztki pnia. Ciekawe, że wokół leżało znacznie mniej kamieni i tynku niż nieco dalej. Ktoś - kilka stuleci temu czy niedawno? - oczyścił to miejsce, być może po zdjęciu średniowiecznej kolczugi i białego płaszcza z czerwonym krzyżem.

- Ned, pomóż mi kopać. Mohammadzie, znajdź więcej krzewów na pochodnie.

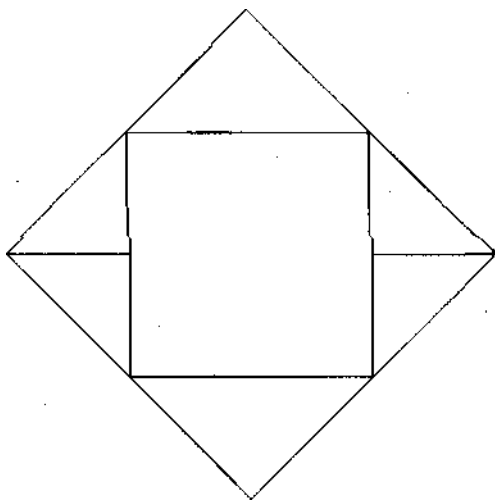
- Szefuniu, znowu? - stęknął marynarz.

- Myśl o skarbcu.

Wkrótce pod podstawą kolumny odsłoniliśmy platformę z wytartego marmuru. Przez chwilę usiłowałem sobie wyobrazić, jak wyglądało miasto w rozkwicie, z kolumnami tworzącymi cieniste arkady nad drogami, przy których roilo się od kramów i oberży, z fontannami pełnymi czystej wody i karawanserajami, ku którym majestatycznie się kołysząc, zmierzały sznury obciążonych najrozmaitszymi

towarami wielbłądów z :ałej Arabii. Były tu też pewnie ogrody, na wieżach powiewały sztandary i dolatywały z nich dźwięki fanfar...

Jest! Wzór na marmurze. Spod kwadratowej podstawy kolumny wystawały wryte trójkąty. Przyjrząwszy się uważniej, stwierdziłem, że były tu dwie warstwy posadzki, jedna zachodząca na drugą. Wyglądało to tak:



- Spójrzcie na symbol wryty na tych kamieniach - zwróciłem się do moich towarzyszy. - Przypomina ma soński symbol cyrkla i prostokąta.

Kucnęliśmy.

- Wyraźne jak pierś dziewicy - oznajmił Ned.

Cóż, templariusze byli mnichami wojownikami, nie kamieniarzami.

- Żadnego krzyża? Miecza? Żadnej sefiry?

- Efendi, to tylko zwalona kolumna.

- Nie, coś tu musi być. Coś związane z wiara, kwiatami, jak w tym wierszu. To zamknięte drzwi, a klucz... Czy

to nie kwadrat w kwadracie? Cztery rogi i cztery... razem osiem. Święta cyfra, występująca w ciągu Fibonacciego.

Moi towarzysze spojrzeli na mnie, niczego nie pojmując.

- Ale są też dwa trójkąty, trzy i trzy, razem sześć. Nie to. Razem czternaście, też nic z tego nie wynika. Szlag! Czyżbym się zupełnie pogubił?

- Efendi, gdybyś nasunął na siebie górny i dolny trójkąt, otrzymałbyś gwiazdę Dawida.

Oczywiście! Czyżby to było aż tak proste?

- Ned, odciągnij podstawę tej kolumny. Zobaczmy, czy te trójkąty można na siebie nasunąć.

- Co takiego? - Marynarz znów spojrział na mnie jak na wariata.

- Ciągnij! Jak z tym ołtarzem w podziemiach pod Jerozolimą!

Zrobiwszy minę człowieka, który podpisuje własny wyrok śmierci, Ned przyłączył się do mnie. Nie sądzę, żebym sam zdołał poruszyć solidną bryłę, ale gdy olbrzym naprężył mięśnie, kamień drgnął. Mohammad też przyłożył ramię. Opornie, ale jednak płyty u podstawy kamiennej kolumny zaczęły ustępować, a trójkąty nasunęły się na siebie. Teraz rzeczywiście upodabniały się do gwiazdy Dawida.

- Ciągnij, Ned! Ciągnij!

- Szefuniu, ściągniesz nam na karki jeszcze jedną błyskawicę...

Ale nie. Im bardziej trójkąty nasuwały się na siebie, tym działało się to łatwiej. Gdy utworzyły gwiazdę, usłyszeliśmy jakieś szcęknięcie i kolumna nagle się odsunęła, obracając na osi umieszczonej w jednym z rogów podstawy. Cała konstrukcja nagle stała się nieważka, a sześciora-mienna gwiazda zaczęła się zapadać.

Patrzyliśmy na to z wytrzeszczonymi oczami.

- Skaczymy, zanim zjedzie za daleko w dół!

Wylądowałem na opadających płytach. Po chwili wa-

hania dołączyli do mnie Ned i Mohammad. Arab trzymał w dłoni prowizoryczne pochodnie. Zjeżdżając w dół, słyszeliśmy zgrzyt dawno niesmarowanych trybów jakiegoś mechanizmu.

-Jedziemy do piekła! -jęknął Mohammad.

- Nie, człowieku! Znajdziemy skarb i Księgę!

Szum wody był teraz głośniejszy, odbijał się echemi od sklepienia komnaty, ku której opadaliśmy. Zjeżdżaliśmy w dół studnią wyciętą w skale i mającą u podstawy kształt sześcioramiennej gwiazdy, stojąc na płycie o takim samym kształcie. Spojrzałem w górę. Studnia była zbyt głęboka, żeby wspiąć się do jej wylotu, w którym teraz widać było tylko kilka gwiazd.

-Jak się wydostaniemy na górę? - zapytał rzeczowo Ned.

- Mmm... Zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdyby ktoś z nas został na powierzchni. Cóż, chłopcy, teraz za późno na żale. Księga nam powie, jak stąd wyjść - stwierdziłem, nadrabiając miną.

Z naszej osobliwej studni odchodziła w bok niska pozioma sztolnia, z której dolatywało bulgotanie wody. Schyliliśmy się i ruszyliśmy dalej. Po przejściu odcinka mniej więcej równego długością zwalonej kolumnie doszliśmy do jaskini. Tu już woda huczała jak wodospad.

- Zapalmy pochodnię - zaproponowałem. - Ale tylko jedną, pozostałe mogą nam się jeszcze przydać.

Błysnęło żółte światło. Stałem jak wryty. Strumień wody spływającej tu po burzy wirował w korycie wyciętym wzdłuż ścian. Była to woda wysysana wyschniętymi ustami. Nie to jednak zwróciło moją uwagę. Jaskinia, do której trafiliśmy, była dziełem rąk ludzkich i uformowano ją jak kręty róg lub komin i zwężała się, w miarę jak opadała w dół. Wzdłuż brzegu wiała się półka, szeroka na jednego człowieka. Staliśmy na jej szczycie. Półka opadała spiralnie i przypomniałem sobie muszlę łodzika, którą na

Wielkiej Piramidzie pokazał mi Jomard, tę, która zainspirowała ciąg Fibonacciego. Kwiat i wiara. Na dnie kanału woda gwałtownie wirowała, tworząc burzliwy lej.

- Wir wodny - mruknął Ned. - Nie wróżę dobrze człowiekowi złapanemu w jego objęcia.

- Nie, to kolejny symbol. Wszechświat w jakimś sensie składa się z liczb, a templariusze albo ludzie, którzy zbudowali to miasto, usiłowali wyrazić to w kamieniu. Tak jak Egipcjanie. O tym właśnie jest ta Księga, jak sądzę.

- Podziemne miejsce, które jest dziełem szaleńców?

- A czymże jest świat, który oglądamy każdego dnia?

Potrząsnął głową.

- Szefuniu, to kanał ściekowy.

- Nie. To brama. - „I wiara”...

- Niech mnie diabli porwą! Co mnie podkuśiło, że się z tobą związałem?

- Efendi, rzeczywiście jesteśmy w miejscu pełnym zła.

- Nie, to miejsce jest święte. Wy dwaj możecie tu poczekać. Ja gotów jestem się założyć, że oni by tego nie zbudowali, gdyby tu czegoś nie chcieli ukryć. Po cóż mieliby się aż tak trudzić?

Popatrzyli na mnie, jakbym zbiegł z domu dla obłąkanych - co nie było zbyt dalekie od prawdy. Wszyscy jesteśmy szaleńcami szukającymi drogi na skróty do szczęścia. Ja jednak wiedziałem, że trafnie odgadłem, iż szaleni templariusze i ich błyskawica wskazali kryjówkę tutaj, a nie tam, dokąd podążył Silano, i jeżeli Astiza spotka się ze mną, jak obiecała, będę miał wszystko - wiedzę, skarb i kobietę. No, właściwie to dwie kobiety, ale wszystko miało się rozstrzygnąć we właściwym czasie. Ponownie ogarnęło mnie poczucie winy z powodu Miriam, połączone ze słodkim wspomnieniem jej rozkosznego ciała i świadomość niemałej krzywdy, jaką jej wyrządziłem. Dziwne, jakie myśli przychodzą człowiekowi do głowy w krytycznych chwilach.

Zapaliłem kolejną pochodnię i ruszyłem w dół, na podobieństwo ostrożnego ślimaka, trzymając się spiralnej ścieżki. Moi kompani zostali na górze i patrzyli na mnie nie bez politowania w oczach. Gdy dotarłem do miejsca, w którym woda trafiała do czarnej jak smoła sadzawki, moja pochodnia zaczęła syczeć z nadmiaru wilgoci w powietrzu. Czy studnia nie była zbyt głęboka, żeby z niej wyciągnąć to, co wrzucili tam templariusze? Miałem pewność, że tam właśnie ukryli swój bajeczny skarbiec zabrany z jerozolimskiej świątyni, ufając, że pozostali przy życiu członkowie zakonu wrócą tu kiedyś i odtworzywszy zakon, przywrócą mu dawną chwałę.

Zebrałem całą odwagę. Woda była smoliście czarna, wiorowała jak w ścieku, a na jej powierzchni pływały pasma jakiegoś zielonego draństwa. Bił z niej trumienny zapach. Ale skoro już tu przyszliśmy, nie można się było cofnąć. Odłożywszy więc pochodnię na bok, gdzie zaraz zresztą zgasła - moim jedynym źródłem światła były teraz nikłe płomienie pochodni Neda i Mohammada - nabrałem tchu w płuca, pomodliłem się krótko do wszystkich bogów, jakich zdołałem sobie przypomnieć, i dałem nura w mroczną toń.

Woda była zimna, ale nie aż tak, żeby mnie zmroziło do szpiku. Opadałem w dół przez atramentowoczarne warstwy. Ocierałem się o miękkie pasma wodorostów i czułem pod palcami gromadzący się tu od stuleci szlam. Wydało mi się, że widzę też wokół kształty jakichś białawych stworów - choć może były dziełem mojej wyobraźni - ale płynąłem pionowo w dół. Miałem dwie minuty na znalezienie tego, czego szukałem; w przeciwnym razie pójdę na dno.

Prąd zaczął przyspieszać mój ruch w dół. Poczulem strach, bo oczywiste było, że powrót na górę zabierze mi więcej czasu i sił, których mogło mi zabraknąć. Nie mogłem się jednak już cofnąć, ciągnęło mnie naprzód i w dół.

Spostrzegłem szczególne światło. Pojawiło się gdzieś z przodu, niezbyt jasne, ale dość przyjazne. Zobaczyłem dno, uspokajająco białe, jakby wysypane czystym piaskiem. A potem zobaczyłem, co jest przyczyną tej bieli, i niewiele brakło, a byłbym się udławił wodą. Dno zalegał nie piasek, ale kości.

Widziałem fryz z czaszek pod komnatą templariuszy w Jerozolimie, tu jednak było stokroć gorzej - trafiłem na ossuarium potępionych. Tym razem zobaczyłem prawdziwe czaszki, białe i niezbyt wyraźne, ale rozpoznawalne, pomieszane bezładnie z kośćmi nóg, ramion i klatek piersiowych. Była to rafa wybielonych kości, z zębami długimi na palec i czarnymi jamami oczodołów. Wszystko było poprzetykane pordzewiałymi łańcuchami i kamieniami.

Studnia ofiarna albo komnata egzekucji.

Prąd niósł mnie nad tym cmentarzyskiem ku źródłu coraz jaśniejszego światła. Czyżbym zaczynał mieć halucynacje z braku powietrza? Nie, światło było prawdziwe i gdy minąłem krótki tunel, zobaczyłem, że płynie skądś z góry. Choć prąd chciał mnie znieść dalej, rozpaczliwie wierzgając nogami, popłynąłem ku górze.

Wyskoczyłem nad powierzchnię niemal z ostatnim oddechem. Te kości! Zobaczyłem półkę z piaskowca, podpłynąłem ku niej, ostatni raz odepchnąłem się nogami i podciągnąwszy się, wysunąłem na brzeg jak ledwo żywa ryba. Przez chwilę po prostu leżałem i charczałem. W końcu odetchnąłem na tyle, by móc usiąść i rozejrzeć się dookoła. Znajdowałem się na dnie wyżłobionej w piaskowcu studni lub szybu. Wysoko nad moją głową, poza zasięgiem rąk, widać było jakieś źródło światła. Podziemny strumień, który mnie tu przyniósł, płynął obok półki i nikał w kolejnym podwodnym tunelu. Wzdrygnąłem się. Może będzie tu więcej kości, gdy dołączą do nich moje?

Spojrzałem w górę, żeby przyjrzeć się płynącemu stamtąd światłu księżyca i gwiazd. Nie mogłem zobaczyć nie-

ba, więc doszedłem do wniosku, że tam na górze musi być jakieś zwierciadło kierujące światło w dół. Iluminacja była bardzo kiepska, ale wystarczająca, by dostrzec ściany. Były gładkie, nie dawały żadnej możliwości uchwytu, i zbyt od siebie oddalone, by się wspiąć, wpierając ręce i nogi w przeciwległe brzegi. Co jeszcze zobaczyłem?

Wpatrzonych we mnie mężczyzn.

Ociekając wodą, wstałem i obróciłem się dookoła w mrocznym pomieszczeniu. Otaczali mnie barczyści, rośli mężczyźni obleczeni w średniowieczne zbroje. Wszyscy byli brodaci, mieli na głowie hełmy, a u ich stóp spoczywały płaskie, podłużne tarcze. Z tym że nie byli żywymi ludźmi, ale wyrzeźbionymi w piaskowcu posągami, tworzącymi kamienny krąg wiecznych strażników. Templariusze. Może były to posągi dawnych wielkich mistrzów. Więksi niż za życia - każdy miał dobre dziewięć stóp wysokości - patrzyli na mnie wyjątkowo ponuro. A jednak było w nich coś, co dodawało otuchy - niezmordowani stróże, którzy nigdy nie zrezygnują z warty; stali wokół kamiennych ścian, jakby strzegli czegoś, co któregoś dnia miało zostać znalezione.

Zobaczyłem kamienny sarkofag - nie była to pozbawiona wieka skrzynia, którą widziałem w Komnacie Króla wewnątrz Wielkiej Piramidy. Ten wyglądał jak grobowce europejskie; na jego wieku widniała kamienna rzeźba rycerza. Sarkofag wycięto z piaskowca, a templariusz, jak się domyśliłem, to Montbard, stryj świętego Bernarda. Strażnik wieczności.

Pokrywa była ciężka i w pierwszej chwili pomyślałem, że jej nie zdołam ruszyć. Ale gdy naparłem mocniej, przesunęła się nieco z głośnym zgrzytem, a wokół jej krawędzi zawirowały drobinki pyłu. Przyłożyłem się ponownie, pchając z wysiłkiem, aż odsunąłem na tyle, by oprzeć jej brzeg o ziemię i zajrzeć do środka. Skrzynia wewnątrz skrzyni.

Trumna była z akacjowego, doskonale zachowanego drewna. Zatrzymałem się na chwilę, zastanawiając się, czy ją otworzyć, ale zaszedłem już za daleko. Szarpnąłem wieko. Wewnątrz znajdował się szkielet człowieka, który nie wyglądał przerażająco, ale żałośnie bezbronne w tym ostatecznym obnażeniu. Ciało dawno się rozpadło, zostawiając tylko kości obleczone w strzępy szat. Jego rycerski miecz był tylko cienkim, mizernym cieniem pasma rdzy, które pozostało po dawnej mocy. Ale w jednej ręce rycerza tkwił cud, który nie poddał się korozji - był równie lśniący i pięknie zdobiony jak w dniu, w którym wyszedł spod ręki twórcy. Złoty cylinder o grubości kołczana i długi tak, że mógł zawierać zwój pergaminu. Na zewnętrznej stronie pełen był płaskorzeźb mitycznych byków, sokołów, ryb, skarabeuszów i stworów tak dziwacznych i nieziemskich, że nie podejmuję się nawet ich opisać - tak bardzo były różne od wszystkiego, co widziałem wcześniej. Były też rowki arabskich liter, gwiazdy i kształty geometryczne, a złoto tak wygładzono, że palcami wyczuwałem najdrobniejszą rysę. Metal wydawał się też ciepły. W samej wadze był wart tyle, ile człek nie zarobi w ciągu całego życia, a reliefy w ogóle nie miały chyba ceny.

Wewnątrz musiała być Księga Tota. Ale gdy pociągnąłem cylinder ku sobie, szkielet szarpnął go w dół!

Tak mnie to zaskoczyło, że puściłem i cylinder osunął się pomiędzy kości. W następnej chwili zrozumiałem, że po prostu dałem się zwieść jego ciężarowi. Chwyciłem jeszcze raz i tym razem cylinder dał się unieść, choć był ciężki jak kamień kotwiczny, śliski i nieporęczny. Nie rozbłysła błyskawica i nie huknął grom. Bezwiednie wypuściłem długo wstrzymywany oddech z piersi. Stałem po prostu w mroku, trzymając w dłoniach to, czego ludzie, jak powiadano, szukali, o co walczyli i za co umierali od ponad pięciu tysięcy lat. Czy ten cylinder był przeklęty? Czy stanie się moją przepustką do lepszego świata?

I jak go otworzyć?

Gdy mu się uważniej przyjrzałem, coś mi zaświtało. Podobne symbole widywałem już przedtem. Niektóre z nich zdobiły sklepienie świątyni w Denderze, inne zaś były na kalendarzu, który badałem w ładowni *L 'Orientu* tuż przed bitwą u ujścia Nilu. Na szczycie widniała linia jak na kalendarzu i wszystkie pozostałe symbole: gwiazdy, zwierzęta, piramida i Byk oznaczający znak zodiakalny ery, w której wzniesiono Wielką Piramidę. Była tam też niewielka podobizna świątyni otoczonej kolumnami. Cylinder był złożony tak, że na jego powierzchni można przesuwając okręgi i zestawiać symbole, tak jak na złotym kalendarzu. Spróbowałem więc znanej mi kombinacji - Byk, pięcioramienna gwiazda i symbol przesilenia letniego, tak jak to zrobiłem na okręcie. Ponieważ nic się nie stało, dodałem jeszcze piramidę i świątynię.

Może popisałem się bystrością, a może miałem szczęście. Może kombinacji otwierających cylinder były setki. W każdym razie usłyszałem kliknięcie i cylinder rozdzielił się pomiędzy piramidą a świątynią, jak rozcięta na dwie części kiełbasa. A gdy rozsunałem złote połówki, zobaczyłem wewnątrz to, czego się spodziewałem - okrągły zwój, pierwotną formę księgi.

Rozwinąłem go drżącymi z podniecania palcami. Papirus - albo czym to było, nie przypominał niczego, co dotąd widziałem. Materiał był bardziej giętki, mocniejszy, gładszy i dziwnie migotliwy; nie przypominał ani skóry, ani papieru, ani płata metalu. Czymże więc był? Pismo wyglądało jeszcze dziwniej. Zamiast pisma obrazkowego czy hieroglifów, jakie widziałem w Egipcie, to było bardziej abstrakcyjne. Widziałem kanciaste litery, ledwie przypominające figury geometryczne, ale dziwniejsze niż w każdym piśmie, jakie oglądałem - rzędy kształtów, kresek, zawijasów, pętli i skomplikowanych liter. Jeśli wierzyć szaleńcom poszukującym tej Księgi, znalazłem sekret

życia, sens istnienia wszechświata i tajemnicę nieśmiertelności. I nie mogłem przeczytać ani słowa!

Tot musiał się gdzieś tam zanosić śmiechem.

No cóż, już wcześniej miewałem do czynienia z zagadkami. Nawet zresztą gdyby się nie dało odczytać tego zwoju, sam pojemnik wystarczyłby, żeby dać człowiekowi królewski dochód do końca życia. Po raz kolejny miałem się stać bogaczem.

Jeśli w ogóle zdołam się wydostać z tej mysiej dziury.

Zamyśliłem się. Płynięcie pod prąd było niemożliwe, a nawet gdybym zdołał tego dokonać, nie moglibyśmy się na powrót wspiąć gwiazdzistym szybem w górę. Wejście do rury groziło z kolei tym, że zostanę wciągnięty przez wodę i nie dam rady zaczerpnąć powietrza. Niewiele brakło, a tak właśnie byłbym utonął pod Wielką Piramidą, i nie miałem najmniejszej ochoty tego powtarzać. Będąc na górze, nigdzie nie widziałem wypływu podziemnej rzeki.

Co w tej sytuacji zrobiłby Ben Franklin?

Serdecznie nie cierpiałem jego aforyzmów, kiedy okoliczności zmuszały mnie do nieustannego ich wysłuchiwanie, teraz jednak mi ich brakowało. „Mądry nie potrzebuje rady, głupi nie zdoła z niej skorzystać”. Mądre, ale w tej sytuacji niewiele mi pomoże. „Energia i wytrwałość zawsze zwyciężają”. Teraz? Mam kopać tunel jak jakiś górnik? Zbadałem komnatę dokładniej. Posągi templariuszy były sztywne i nieruchome, żadnego nie dało się obrócić jak Madonny pod świątynią Salomona. Na ścianach nie było żadnych rzeźb, szczelin czy dziur, w które można byłoby wetknąć złoty cylinder, licząc na to, że jest swoistym kluczem. Pukałem w ściany, nie znalazłem jednak za nimi żadnej pustki. Jak, u licha, ci templariusze się tu dostawali? Po deszczu tunel powinien się opróżnić z wody. Czyżbym miał poczekać? Nie, słyszałem kolejne grzmoty, taka ulewa mogła potrwać kilka dni. Kopałem, szarpałem,

popychałem, lecz nic się nie poruszyło. „Nigdy nie myl ruchu z działaniem”, radził Ben.

Co jeszcze mówił? „Lepiej jest dobrze zrobić, niż dobrze powiedzieć”. Owszem, ale w mojej obecnej sytuacji nie na wiele mi się to zda. „Wszyscy chcą długo żyć, ale nikt nie chce być stary”. Obecnie jednak wolałbym się zestarzeć, niż umrzeć. „W rzekach i złych rządach wypływają na powierzchnię nawet najłżejsze sprawy”. No, przynajmniej miałem tu jakąś rzekę...

Wypływają na powierzchnię...

Spojrzałem w górę. Jeżeli sączyło się stamtąd światło, musiała być jakaś droga na zewnątrz. Nie zdołałem się wspiąć bez liny, drabiny lub uchwytów na ręce i stopy. Gdybym tylko miał jeden z balonów Contego... Wypływają na powierzchnię...

Ben, inaczej niż większość z nas, najpierw myślał, a potem zabierał się do działania. Czemu to było takie trudne? W końcu wpadłem na desperacki pomysł, ale nie miałem innego. Chwyliłem wieko sarkofagu oparte o kamienny bok pudła i przeciągnąłem je ze zgrzytem ku krawędzi wody. Sapiąc ciężko, uniosłem je jak drzwi i balansując na jednym rogu, ustawiłem nad podziemną rzeką. Potem, najdokładniej jak mogłem, przymierzyłem się do wylotu dziury, w której znikła woda. Stęknąwszy z wysiłku, spuściłem płytę do wody! Napór prądu natychmiast przycisnął płytę do wlotu tunelu, zamykając odpływ.

I powierzchnia wody natychmiast zaczęła się unosić.

Przeskakując ponad butami kamiennych templariuszy, przeciąłem kamienną platformę. Lepiej żeby się udało! Wyciągnąłem akacyjową trumnę na krawędź sarkofagu i opróżniłem ją z kości.

- Przepraszam, mości Montbard lub kimkolwiek tam byłeś!

Kości zagrzechotały o dno kamiennego sarkofagu, a czaszka spojrziała na mnie - przysięgłbym! - z nagana.

Cóż, i tak byłem przeklęty. Zrównoważyłem drewnianą skrzynię na krawędzi sarkofagu, wetknąłem złoty cylinder za koszulę i wlałem do trumny, jakby była wanną. Woda szybko przybierała. Uniosła się nad kolana templariuszy, potem sięgnęła krawędzi sarkofagu, wlała się do środka - i dźwignęła mnie z moją trumną w górę! Złożyłem w myślach dzięki bogom żydowskim, egipskim i chrześcijańskim. Gloria, gloria, alleluja - i do góry!

Moja arka unosiła się coraz wyżej. Patrząc na powierzchnię, pojmowałem, że napór wody może złamać płytę, którą zablokowałem wlot odpływu, i mogłem tylko mieć nadzieję, iż piaskowiec wytrzyma dostatecznie długo. „Kto żyje nadzieją, umiera głodny!” Uważałem, że należy wybierać te aforyzmy jak komu wygodnie. Nie mogłem porzucić tej jedynej nadziei. Podskakując na wodzie, unosiłem się jak korek. W pewnej chwili dotarło do mnie, że za sprawą mojego czynu podniesie się także poziom wody w pomieszczeniu, w którym zostali Ned i Mohammad.

Liczyłem na to, że potrafią pływać.

W miarę wznoszenia się ku górze nikle światło było coraz mocniejsze, a w czarnej wodzie zaczęły się odbijać gwiazdy. Znalazłem jakieś pozostałe jeszcze w trumnie żebro i bezceremonialnie wyrzuciłem je na zewnątrz, rozumując, że ja naprawdę nie dbałbym o moje kości, gdybym już ich nie potrzebował. Unosiłem się wyżej i wyżej, aż wreszcie zobaczyłem srebrny dysk, który odbijał światło gwiazd w dół, ku sztolni. I były tam kamienne stopnie! Stałem w kołyszącej się trumnie, przymierzyłem do pierwszego kroku i... skoczyłem. Solidny kamień! A woda za mną wciąż się podnosiła.

A potem nagle coś w głębi łupnęło, woda się wzburzyła i z głośnym bulgotem zaczęła szybko opadać w dół, unosząc ze sobą trumnę krzyżowca. Pokrywa zamykająca wlot do tunelu odpływowego musiała pęknąć pod napo-

rem wody. Woda szybko opadała, gulgocząc i burząc się gniewnie, ja jednak nie miałem czasu na przyglądanie się, tylko skoczyłem schodami w górę i się zorientowałem, że jestem w tej samej studni, którą znaleźliśmy w opuszczonej świątyni. Z miejsca, gdzie staliśmy, nie dostrzegliśmy odbicia wody, a gdybyśmy nie odrzucili na bok desek, w ogóle nie miałbym na dole światła. Wyszedłem pomiędzy kamiennymi ścianami, przedostałem się przez rumowisko i podbiegłem ku podstawie kolumny, skąd zeszliśmy na dół.

- Ned! Mohammad! Żyjecie?

- Na jaja Neptuna, szefuniu! Cały tunel napęłnił się wodą i myśleliśmy, że utoniemy jak szczury. A potem woda znów opadła!

- Jak dostałeś się na górę, efendi? Co się dzieje?

- Chciałem, żebyście się choć raz porządnie wykąpali.

- Ale jak się wydostałeś?

- Promem! - Widziałem ich księżycowo blade, skierowane ku górze twarze. - Czekaście. Chyba wiem, jak was unieść ku górze.

Jak pamiętacie, podstawa kolumny obróciła się na osi, odslaniając podłogę gwiaździstej windy, która ruszyła w dół. Teraz pchnąłem ją z powrotem, coś tam szczęknęło i oczywiście platforma ruszyła w górę sztolni. Ned i Mohammad skwitowali to radosnymi wrzaskami.

Gdy znaleźli się na górze, pomogli mi zasunąć podstawę na miejsce, co zamknęło wejście do sztolni. Ned uściskał mnie, jakbym był jego dawno nie widzianą matką.

-Na Davy'ego Jonesa, jesteś czarodziejem, szefuniu! Zawsze spadniesz na cztery łapy jak kot. I co? Znalazłeś ten skarb?

- Obawiam się, że tam nie ma skarbu. - Miny im się wydłużyły. - Uwiercie mi, że szukałem. Tylko grób tem plariusza, przyjaciele. A, i jeszcze to.

Wyciągnąłem zza pazuchy złoty cylinder gestem ma-

gika wyjmującego królika z kapelusza. Obaj sapnęli z po-
dziwu.

-Proszę, zważcie to w dłoni. - Podałem im znalezisko. -
Jest tu dość złota, żeby nas ustawić do końca życia.

-Ale... efendi, co z twoją Księgą? - zapytał Moham-
mad. - Jest wewnątrz? Pełna magicznych tajemnic?

-Owszem, jest... najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykol-
wiek widziałem. Jestem pewien, że wykradając ją sprzed
nosa Silanowi, zrobiłem światu przysługę. Może jakiś
uczony któregoś dnia to odczyta.

- Uczony?

- W końcu do niej dotarłem, ale na dwanaście prac He-
raklesa, nie zdołałem przeczytać ani słowa!

Popatrzyli na mnie ze zdumieniem w oczach.

- Chodźmy i poszukajmy Astizy.

ROZDZIAŁ 20

Żeby się wydostać z Miasta Duchów, musielibyśmy minąć obozowisko Silana, czego wołałem nie ryzykować. Gdy więc gwiazdy zbladły, niebo zaczęło różowieć, najpierw na powrót przykryliśmy studnię w świątyni deskami - nie chciałem mieć na sumieniu jakiegoś dziecka, które mogło tu wpaść - a potem wycofaliśmy się krętą ścieżką na Płaskowyż Ofiary, zatrzymawszy się po drodze tylko raz na żądanie Neda, który chciał wyrwać z ziemi niewielką sosenkę.

- Przyda się zamiast pałki - wyjaśnił. - Żeński klasztor nie jest bardziej bezbronny od nas.

Podczas dalszej drogi potężnymi paluchami odrywał gałązki niczym Samson. Podeszliśmy więc najpierw w górę, a potem w dół i gdy dotarliśmy do dna kanionu, przy ruinach rzymskiego amfiteatru, byliśmy mocno zdyszani. Mniej więcej ponad milę za nami widziałem blask ognisk Silana i jego bandy. Jeśli Astiza ucieknie, jak szybko tamci odkryją jej nieobecność? Na wschodzie niebo zaczynało płonąć pierwszymi promieniami świtu. Wyższe szczyty kapały się już w świetle.

Pospiesznie przemknęliśmy głównym wąwozem miasta ku złowrogiej szczelinie wejściowej i ponownie wyszliśmy przy fasadzie pierwszej wielkiej Świątyni, na jaka się natknęliśmy - Khazny. Moi towarzysze nachylili się nad strumieniem, czerpiąc wodę, a ja pobiegłem po schodach ku mrocznemu wejściu.

- Astizo?

Cisza. Czy nie tu mieliśmy się spotkać?

- Astizo! - drzwi odpowiedziały echa.

A niech to...! Czyżbym znów miał się zawieść na tej kobiecie? A może Silano przejrzał nasz plan i kazał ją uwięzić? Może tylko się zgubiła lub spóźniła?

Wybiegłem na zewnątrz. Niebo zmieniło już barwę z szarej na błękitną i szczyty skał też się rozjaśniły. Musieliśmy odejść, zanim hrabia się zorientuje, że zostawiłem mu pustą dziurę. Nie zamierzałem jednak wymienić kobiety, którą kochałem, na zwój, którego nie umiałem odczytać! Jeśli odejdziemy bez niej, znów będzie mnie dręczył żal. Jeżeli zostaniemy zbyt długo, mogą zginąć moi przyjaciele.

- Nie ma jej tutaj - oznajmiłem ponuro.

- No to musimy wiać - odparł Mohammad. - Każda miła, jaką zostawimy pomiędzy sobą a tymi niewiernymi Frankami, podwoi nasze szanse ucieczki.

- Ale ja czuję, że ona przyjdzie.

- Szefuniu, nie możemy czekać.

Ned miał rację. Słyszałem dolatujące z głębi wąwozu nikłe odgłosy wrzasków grupy Silana, choć nie miałem pojęcia, czy były to okrzyki entuzjazmu czy wściekłości.

- Jeszcze kilka minut - nalegałem.

- Czy ona rzuciła na ciebie urok? Dojdzie do tego, że tamci nas złapią i odbiorą tę twoją Księgę.

- Jak przyjdzie co do czego, to zawsze możemy im oddać Księgę.

- To po co, na sracz Lucypera, leżliśmy aż tutaj?!

I nagle zza zakrętu wyłoniła się Astiza, przytulona do skały, żeby nie dać się widzieć. Miała bladą twarz, kosmyki włosów lepiły się do jej czoła i dyszała ciężko. Podbiegłem do niej.

- Czemu tak długo kazałaś na siebie czekać?

- Byli tak podnieceni, że nie mogli zasnąć. Ja pierwsza się położyłam i to było bardzo męczące, bo musiałam czekać, aż wszystko wokół ucichnie. Potem przemknęłam ku wyjściu jaru obok zaspanych wartowników, czołgałam się ponad sto metrów. - Jej suknia była brudna i potargana. - Chyba już się zorientowali, że uciekłam.

- Możesz biec?

- Jeżeli tego nie znalazłeś, to nie będę nawet próbowała - odpowiedziała, mierząc mnie pytającym i pełnym ognia wzrokiem.

- Znalazłem.

Chwyliła mnie za ramiona, uśmiechając się jak dziecko czekające na prezent spod choinki. Marzyła o znalezieniu Księgi znacznie wcześniej, niż ja się dowiedziałem o jej istnieniu. Wyciągnąłem cylinder na światło dzienne. Astiza aż wstrzymała oddech.

- Zobacz, jaki jest ciężki.

Powiodła palcami po złotej powierzchni, badając ją niczym ślepiec.

- Naprawdę? Jest wewnątrz?

- Owszem, ale ja nie mogę go przeczytać.

- Efendi, na Allaha, musimy odejść! - zawołał Mohammad.

Zignorowałem go, otworzyłem cylinder i rozwinąłem część zwoju. Ponownie uderzyła mnie obcość liter. Astiza ujęła Księgę w dłonie, zaskoczona i zbita z tropu, ale ociągała się z jej oddaniem. - Gdzie to było?

-Głęboko pod ziemią, w grobie templariusza. Założyłem, że ich wskazówki są zwodnicze i że chcieli, żeby poszukiwacze Księgi, udowadniając swoją wiedzę, wykorzystali matematyczne proporcje Piramidy.

- Ethanie, to zmieni świat.

- Mam nadzieję, że na lepsze. Zresztą uważam, że na gorsze tego świata zmienić się już nie da.

- Szefuniu! - okrzyk Neda przerwał nasze zaurocze-

nie. Przyłożył dłoń do ucha, a drugą ręką coś wskazywał. Usłyszeliśmy też echo wystrzału.

Odebrałem Astizie Księżę, zakręciłem cylinder, wetknąłem go sobie za koszulę i pobiegłem tam, gdzie wskazywał marynarz. Promienie słońca zaczęły się ślizgać w dół po fasadzie świątyni, zmieniając skały i rzeźby w podobieństwo pysznej róży. Ned jednak wskazywał kierunek, z którego przyszliśmy, ku obozowi Silana. Migotało tam jakieś zwierciadło.

- Oni dają komuś sygnały. - Wskazał piaskową skałę, którą wejście do wąwozu przecinało na dwoje. - Siedzi tam jakiś cholernik, gotów nam zrzucić kamienie na łby!

- Efendi, nadchodzą ludzie Silana!

- Musimy porwać te konie, których pilnują Arabowie przy wejściu do kanionu. No co, przyjaciele, gotowi jesteście na małe ryzyko? - Wydało mi się to dobrym wyzwaniem, takim, jakiego mógłby użyć Nelson czy Smith.

- Za Anglię i dom! - zawołał Ned.

Pobiegliśmy więc jak szaleni, natychmiast tracąc poczucie kierunku w krętym wąwozie. Nasze kroki echemi odbijały się od ścian. Wysoko nad nami rozległy się okrzyki, a potem usłyszeliśmy głośny łoskot. Podnieśliśmy wzrok. Leciał ku nam skalny odłamek wielkości baryłki prochu, odbijając się od ścian i jak szrapnel wywołując lawinę odłamków.

- Szybciej!

Pobiegliśmy jak szaleni. Udało nam się zdążyć przed upadkiem głazu, który rozbił się o ziemię za nami. Z góry doleciały głośne wrzaski po arabsku.

Gnaliśmy dalej. Nagle usłyszeliśmy huk, a potem zobaczyliśmy błysk eksplozji. Dranie zaminowali wylot wąwozu! Silano domyślił się, że mogę go przechytrzyć, i zamknął nam drogę ucieczki. W dół runęła lawina wyrwanych ze ścian kamieni; tym razem zatrzymałem towarzyszy i wszyscy daliśmy nura pod skalny nawis. Lawina

wstrząsnęła dnem wąwozu, a my pogналиśmy naprzód, korzystając z osłony chmury kurzu i przeskakując przez rumowisko.

Wokół nas gwizdały kule, ale strzelcy niewiele mogli wskórać, nie widząc celu.

- Biegiem! Zanim oni założą kolejny ładunek! - Kolej na eksplozja zagrzmiała za nami i raczej utrudniła pościg Silanowi, zasypując dno wąwozu kolejnymi kamieniami. Pokonaliśmy już wedle mojej oceny połowę tej krętej trasy i jeżeli wszyscy Arabowie zgromadzili się na górze, żeby zwiększyć siłę ognia, pewnie nikogo nie zostawili przy koniach. Znalazłszy się w siodłach, spłoszymy resztę i...

Dysząc ciężko, minęliśmy kolejny zakręt i zobaczyliśmy, że dalszą drogę blokuje nam wóz z klatką, w jakich przewożono niewolników. Doszedłem do wniosku, że to ten zasłonięty wóz, który widziałem w obozie na zewnątrz. Stojący przy nim Arab mierzył do nas z muszkietu.

- Ja to załatwię! - warknął Ned, unosząc swoją pałę.

- Ned! Nie wystawiaj się na łatwy strzał.

Marynarz zaatakował, ale w tejże samej chwili usłyszałem świst powietrza i obok nas z szybkością niewiele mniejszą od kuli z muszkietu przeleciał kamień, który ugodził Araba w czoło, gdy ten naciskał spust. Zagrzmiał strzał, ale kula poszła górą. Obejrzałem się. Mohammad zdjął swój turban i rozwiniawszy jego zwoje, zrobił zeń prowizoryczną procę.

-Jako chłopak musiałem pilnować owiec i chronić je przed szakalami - wyjaśnił.

Pogналиśmy naprzód, żeby obezwładnić oszołomionego Araba. Ned biegł pierwszy, Astiza tuż za nim. Ale gdy Arab chwycił zsuwał się z wozu, uwolnił jakąś dźwignię i z tyłu głośno odskoczyła kłapa. Na dno wąwozu zeskoczyło coś płowego i kudłatego.

- Ned! - wrzasnąłem.

Bydłę skoczyło, jakby podrzuciła je katapulta, a nie jego

własne, potężne tylne łapy. W pierwszej, pełnej przerażenia chwili dostrzegłem tylko brązową grzywę, białe kły i różowe wnętrze rozwartej w ryku paszczy. Astiza krzyknęła przeraźliwie. Ned i lew ryknęli jednocześnie i zderzyli się niemal w powietrzu. Kły drapieżnika zwały się na lewej ręce marynarza, a jednocześnie maczuga Neda ugodziła lwa w bok. Olbrzym zawył z bólu i wściekłości, ale w tej samej chwili usłyszałem trzask pękających żeber drapieżnika. Uderzenie Neda było tak mocne, że przewróciło zwierza na bok. Zwalił się, pociągając marynarza na siebie. Obaj potoczyli się po ziemi, tworząc jeden kłęb kurzu i ryku, w którym na przemian migąła maczuga i pazury. Marynarz zdołał się cofnąć, waląc pałą, choć jemu samemu też się dostawało. Walczył jednak mężnie, mimo że szpony lwa darły mu ciało i ubranie. Zrobiło mi się słabo.

Wyrwałem zza pasa mój tomahawk, mały jak łyżeczka do herbaty, zanim zdążyłem pomyśleć i uciec, jak zrobiłby każdy rozumny człowiek, i też rzuciłem się w wir walki.

- Ethanie! - usłyszałem stłumiony okrzyk Astizy.

Obok mojej głowy gwizdnął kolejny kamień z procy Mohammada. Pocisk ugodził lwa w łeb. Bydlę potrząsnęło głową; Mohammad dołożył mu akurat wtedy, gdy ja wtrącałem się do walki, umożliwiając mi cięcie tomahawkiem. Trafiłem drapieżnika w oko; puścił ramię Neda i ryknął wściekle, chłoszcząc się ogonem po bokach i wzbijając nim chmury kurzu. Teraz dopadła go Astiza, która uniosła wysoko nad głową ciężki kamulec. Zamachnęła się i jakby od urodzenia nie robiła nic innego, trafiła lwa w zakrwawiony już pysk.

Nasz bezładny atak zaskoczył drapieżnika. Wbrew oczekiwaniom lew podał tyły i rzucił się do ucieczki, przeskakując nad wozem, na którym go tu przywieziono. Następnie śmignął w głąb kanionu ku wyjściu i wpadł na grupę Arabów Najaca, którzy chcieli zastawić nam drogę.

Zwaliwszy jednego z nich na ziemię, złamał mu kark uderzeniem łapy i pognał za pozostałymi, którzy rzucili się do ucieczki. Wabiły go zielone wzgórza za wąwozem.

Przerażone konie rżały, aż echo poszło w głąb jaru.

Przez chwilę staliśmy jak porażeni; serca waliły nam jak młoty. Do zakrwawionego ostrza mojego tomahawka przyklepiły się kłaki futra. Astiza stała pochylona, a jej pierś falowała z wysiłku. Zdumiewające, że oprócz Neda wszyscy wyszliśmy z tego bez szwanku. W powietrzu wciąż wisiał smród lwa, będący mieszaniną zapachu szczyń, mięsa i krwi. Klękając obok olbrzymiego marynarza, poczułem, że łamie mi się głos. Jego atak na lwa był najodważniejszym czynem, jaki kiedykolwiek widziałem.

- Ned! Ned! Nie możemy się zatrzymywać! - wycharczałem. - Silano pędzi za nami, ale lew oczyścił wąwóz przed nami.

- Ja chyba tu zostanę, szefuniu - mówił niezbyt wyraź nie przez zaciśnięte zęby. Krwawił, jakby go wychłostano „kotem o dziewięciu ogonach”, i wciąż broczył krwią.

Mohammad owinał jego poszarpane ramię własnym turbanem, ale bez rezultatu. Ned wyglądał jak człowiek, który dostał się w tryby potężnej maszyny.

- Będziecie musieli uciekać beze mnie...

- Poniesiemy cię!

Zaśmiał się, a raczej wydał krótkie westchnienie przez zaciśnięte zęby. Spojrzenie jego szeroko otwartych oczu pełne było smutku człowieka, który już wie, jaki spotka go koniec.

- Akurat!

Mimo wszystko spróbowaliśmy go podnieść, on jednak jęknął z bólu i odegnał nas precz.

-Zostawcie mnie... wszyscy wiemy, że nie ujrzę już starej Anglii. - Jęknął i po jego policzkach potoczyły się łzy. - Poszarpał mi zebra, mam połamane nogi i ważę więcej niż król Jerzy razem z wanną. Biegnijcie z wiatrem

w zawody, żeby moja śmierć przyniosła jakiś pożytek. - Zaciśnął palce na drzewcu swej pały tak mocno, że zbieleły mu knykcie.

- Ned, raczej zginę w piekle, niż cię tu zostawię! Nie po tym wszystkim, co zrobiłeś!

- Na pewno zginiesz, jak tego nie zrobisz, a twoja Księga wpadnie w łapy tego szurniętego hrabiego i jego zбочzonego pomagiera. Na jaja Lucyfera! Nadaj mojemu życiu jakieś znaczenie, uciekaj i przeżywaj! Mogę się pod-czołgać ponownie do tamtej kupy kamieni i zatrzymam ich, jak się tu zjawią!

- Ależ oni cię zastrzelą!

-I zrobią mi przysługę, szefuniu. To będzie akt miłosierdzia. - Skrzywił się. - Miałem przecucie, że jak pójdę z tobą, to nie ujrzę już brzegów starej Anglii. Ale jesteś cholernie interesującym kompanem, Ethanie Gage. Jesteś kimś większym niż zwykły amerykański frant i karciany oszust.

Jak to się dzieje, że nasi najgorsi wrogowie stają się czasami naszymi najlepszymi przyjaciółmi.

-Ned...

- Uciekaj, zaraza na ciebie! Wiej, a jak spotkasz moją mateńkę, daj jej trochę tego złota. - Odpędzając nas, wstał z wysiłkiem, najpierw podniósłszy się na kolana, i brocząc krwią, ruszył w stronę, z której przyszliśmy. - Chryste! Ale jestem spragniony!

Stałem i patrzyłem, ale Mohammad szarpnął mnie za ramię.

- Efendi! Musimy uciekać! I to już!

I uciekliśmy. Wspomnienie to nie napawa mnie dumą, ale gdybyśmy zostali, żeby stawić czoło Silanowi i Francuzom, niechybnie zostalibyśmy pokonani - i jakaż byłaby z tego korzyść? Przebiegliśmy więc obok Araba leżącego pod wozem, przeskoczyliśmy nad drugim, którego poszarpał lew, i sapiąc ciężko, zapuściliśmy się w górę ka-

nionu, spodziewając się, że lada moment zaatakuje nas oszalały z wściekłości lew. Zwierzę jednak gdzieś przepadło. Przebiegając przez wyłot jaru, usłyszeliśmy za sobą strzały i krzyki. A potem wszystko zagłuszył ryk olbrzyma, który cierpi nieznośny ból. Ned wciąż kupował nam czas, płacąc własną śmiercią.

Konie były spętane tam, gdzie zostawiliśmy je dzień wcześniej, ale zdradzały oznaki paniki i rżały przeraźliwie, błyskając dziko oczami. Osiodłaliśmy trzy najlepsze, a potem chwyciliśmy linę, do której uwiązano pozostałe, i ruszyliśmy galopem tam, skąd niedawno tu przybyliśmy. Strzelano za nami, ale byliśmy już poza zasięgiem ognia.

Obejrzelśmy się za siebie, wjeżdżając na płaskowyż. Opryskowie Silana wyłonili się właśnie z ujścia jaru i natychmiast puścili za nami, ale musieli biec i odległość pomiędzy nami szybko się powiększała. Nie mogliśmy zadbać o wszystkie konie, wybraliśmy więc jeszcze trzy zapasowe na zmianę i puściliśmy resztę wolno. Nasi prześladowcy będą musieli stracić sporo czasu, zanim ponownie je połapią.

Potem, zalani łzami i kompletnie wyczerpani, ruszyliśmy na północ, do Akki.

O zachodzie dotarliśmy do zamku krzyżowców, gdzie poprzednio nocowaliśmy. Przypuszczam, że powinniśmy jechać dalej, ale straciwszy noc na poszukiwania Księgi i ucieczkę przez kaniony, Mohammad i ja chwialiśmy się już w siodłach. Astiza czuła się niewiele lepiej. Jestem ryzykantem i graczem - założyłem, że Silano i Najac nie zdołają dość szybko odnaleźć swoich wierzchowców. Zatrzymaliśmy się więc w zamku wkrótce potem, jak czerwone słońce zniknęło za horyzontem, i zjedliśmy mizerne porcje daktyli i chleba, jakie znaleźliśmy w jukach. Nie ośmieliliśmy się rozpaścić ognia.

- Kładźcie się pierwsi - zaproponował Mohammad. -

Ja popilnuję. Nawet jeżeli Francuzi i Arabowie zostali spieszeni, tak czy owak mogą się tu trafić jacyś rabusie.

- Mohammadzie, jesteś tak samo zmordowany jak my.

- I dlatego za kilka godzin musisz mnie zmienić. W tym rogu jest trawa, z której możecie sobie umościć posłanie, a kamień wciąż jest ciepły od słońca. Ja pójdę na górę, do tej rozwalonej wieży.

I znikł, ten mój przewodnik i strażnik.

- On nas zostawia samych nie bez powodu - stwierdziła Astiza.

- Wiem.

- Chodź. Drzę z zimna.

O tej porze roku trawa była wciąż jeszcze zielona i miękka. Gdy wieczór rozsnuwał wokół nas swe cienie, po kamieniu przemknęła jaszczurka, znikając w jakiejś dziurze. Położyliśmy się obok siebie w ciepłej kamiennej niecce. Była to nasza pierwsza okazja, żeby się nacieszyć bliskością od chwili, kiedy mnie spoliczkowała przed Silanem. Przytuliła się do mnie, szukając ciepła i ukojenia. Istotnie drżała, a jej policzki były wilgotne.

- To zawsze jest takie trudne...

- Ned nie był złym człowiekiem. To ja sprowadziłem na niego nieszczęście.

- Nie ty przywiozłeś tu lwa, tylko Najac.

A ja zabrałem Neda ze sobą, podczas gdy Astiza miała ten pierścień. Nagle przypomniałem sobie o tym klejnocie i wyjąłem go z jej niewielkiej sakiewki.

- Miałś go przy sobie cały czas, choć utrzymujesz, że jest przeklęty.

-Ethanie, to było wszystko, co mi po tobie zostało. Chciałam ci go oddać.

- Czy bogowie mieli jakiś cel, pozwalając nam go znaleźć?

- Nie wiem. Nie wiem. - Przyłgnęła do mnie jeszcze mocniej.

- Może on przynosi szczęście. W końcu jednak odna leźliśmy Księgę. I znów jesteście razem.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem w oczach.

- Nie możemy jej odczytać, ścigają nas wrogowie, a nasz towarzysz nie żyje... - Wyciągnęła rękę. - Daj mi to.

Gdy to uczyniłem, usiadła i cisnęła pierścień w odległy kraniec zamkowego dziedzińca. Usłyszałem brzęk. Rubin wart tyle, że mógłby zapewnić człowiekowi dostatek do końca życia, przepadł w mroku.

- Wystarczy Księga. Nic więcej, nic więcej. Położyła się. Jej oczy płonęły. Pocałowała mnie namiętnie i poczułem się jak rażony elektrycznością.

Któregoś dnia, być może, znajdziemy porządne łóżko, teraz jednak, jak w Egipcie, musieliśmy wykorzystać miejsce i czas, które nam dano. Kochaliśmy się pospiesznie, nie rozebrawszy się nawet do końca, gwałtownie i dziko, pchani może nawet nie tyle pożądaniem, ile pragnieniem przeciwstawienia zespolenia w miłości zdradzieckiemu, okrutnemu i nieubłaganemu światu. Zjednoczeni dyszeliliśmy ciężko, biorąc się nawzajem niczym zwierzęta. Astiza krzyknęła cicho, a potem nagle się rozluźniła, tracąc niemal świadomość, nasze posłanie okryło nas jak muszla. Pamiętam tylko, że pragnąłem jeszcze zmienić Mohammada, tak jak obiecałem.

Obudził nas o świcie.

-Przepraszam, Mohammadzie! - Usiłując zachować resztki przyzwoitości, ubieraliśmy się pospiesznie.

-Nic się nie stało, efendi. Ja też zasnąłem, pewnie w chwilę później, gdy zostałem sam. Sprawdziłem horyzont. Nikogo nie widać. Ale musimy szybko ruszać dalej. Kto wie, kiedy dranie zdołają połapać konie?

- Owszem, a skoro Francuzi kontrolują całą Palestynę, jest tylko jedno miejsce, gdzie możemy się schronić, Akka. A nasi prześladowcy o tym wiedzą.

- Jak się przedostaniemy przez wojska Bonapartego? -

zapytała Astiza z ożywieniem, nie okazując żadnych obaw. W coraz jaśniejszym świetle dnia wyglądała znacznie lepiej, cała niemal promieniała, jej spojrzenie było pełne ognia, a włosy tworzyły wspaniałą grzywę czerni.

Ja też czułem się znacznie różnie. Dobrze zrobiliśmy, pozbywając się pierścienia faraona.

- Dostaniemy się na wybrzeże, znajdziemy jakąś łódź i podpłyniemy od strony morza - powiedziałem z nie oczekiwaną pewnością siebie. Miałem Księgę i Astizę... Oczywiście, miałem też Miriam, drobny szczegół, o którym zapomniałem Astizie powiedzieć. No cóż, najpierw trzeba uciec Silanowi, a potem się zobaczy...

Dosiedliśmy koni i ruszyliśmy galopem w dół zbocza.

Podczas drugiej nocy nie ośmieliliśmy się rozbić obozu i zatrzymać na noc. Jechaliśmy co koń wyskoczy, wracając drogą do szczytu Nebo, a potem zjeżdżając ku Morzu Martwemu i Jordanowi, zostawiając za sobą wzbijający się spod końskich kopyt pióropusz kurzu. Podejrzałem, że pogórze wokół Jerozolimy pełne jest samarytańskich powstańców, którzy mogli, ale wcale nie musieli potraktować nas jak sprzymierzeńców, pociągnęliśmy więc ku północy i Dolinie Jezreel, omijając szerokim łukiem pole bitwy Klebera.

Nad wzgórzem, które uczyniliśmy swoim bastionem, krążyły sępy. Jeśli nie liczyć mojego tomahawka, nikt z nas nie miał broni. Kiedy zobaczyliśmy francuski patrol, zeskoczyliśmy z koni i ukryliśmy się w oliwnym gaju, choć przejeżdżali dalej niż o milę. Dwakroć widzieliśmy jeźdźców tureckich - i zrobiliśmy to samo.

- Pojedziemy w stronę wybrzeża nieopodal Hajfy - powiedziałem, zwracając się do moich towarzyszy. - Tamtejszy francuski garnizon nie jest zbyt liczny. Jeżeli zdołamy ukraść łódź i dostać się blisko Brytyjczyków, będziemy bezpieczni.

Jechaliśmy więc, rozdzielając niczym Mojżesz łany wysokiego owsa, zostawiwszy za sobą nierealne jak sen Miasto Duchów i okropną śmierć Neda jak nocny koszmar. Astiza i ja osiągnęliśmy to beztroskie porozumienie, jakie się zdarza dobranym parom, a Mohammad był naszym wiernym opiekunem i przewodnikiem. Od naszej ucieczki ani razu nie wspomniał o pieniądzach.

Wszyscy się zmieniliśmy.

Wydawało się, że nasza ucieczka się powiedzie, ale gdy jechaliśmy na północny wschód, kierując się na nadmorskie wzgórza i górę Karmel pod Hajfą, zobaczyliśmy przed sobą linię czekających na nas jeźdźców.

Wspiąłem się na sosnę, żeby popatrzeć na nich przez moją lunetę. Z coraz gorszymi przeczuciami najpierw skupiłem się na pierwszym, potem drugim jeźdźcu. Jak to się mogło stać?!

Byli to Silano i Najac. Nie tylko nas dopadli, ale jakoś zdołali nas wyprzedzić i ustawili linię czat, żeby nas schwytać.

Może zdołalibyśmy się jakoś przekraść obok nich.

Ale nie, gdy ruszyliśmy szybko ku północy, trafiliśmy na otwartą przestrzeń, spostrzegli nas i wydając dzikie okrzyki ruszyli w naszą stronę. Rozpoczął się wyścig. Tamci zadbali o to, żeby przez cały czas oddzielać nas od wybrzeża.

- Czemu się nie zbliżają? - zapytała Astiza.

- Pędzą nas do Napoleona.

W nocy spróbowaliśmy się przekraść ku morzu, ale zatrzymała nas i odpędziła seria strzałów. Podejrzewam, że Arabowie Najaca byli doskonałymi tropicielami i odgadli, dokąd zmierzamy, a teraz nie mogliśmy się ich pozbyć. Jechaliśmy ostro, usiłując utrzymać stałą odległość pomiędzy nami i prześladowcami, bez broni jednak nic nie mogliśmy wskórać. Tamci nie naciskali, wiedząc, że i tak nas mają.

- Efendi, możemy wrócić w głąb lądu, ku Nazaretowi, lub Jezioru Galilejskiemu - podsunął Mohammad. - Możemy nawet się schronić u Turków pod Damaszkiem.

- I stracić to, co osiągnęliśmy? - zapytał ponuro. - Obaj wiemy, że Osmanie natychmiast odbiorą mi cylinder. - Obejrzałem się. - Zrobimy więc tak. Popędzimy aż do linii francuskich, niech Silano i Najac myślą, że chcemy się poddać Napoleonowi. A potem się nie zatrzymamy, tylko pognamy przez obóz galopem ku murom Akry. Jeżeli Silano lub Francuzi pognają za nami, dostaną się pod ogień dział Anglików i ludzi Dżezara.

- A potem, efendi?

- Miejmy nadzieję, że nasi przyjaciele i nas nie zastrzelą. - Daliśmy koniom ostrogę, żeby przejechać kilka ostatnich mil.

ROZDZIAŁ 21

Słońce wznosiło się coraz wyżej, a my gnaliśmy po nabrzeżnej równinie - dostęp do srebrnej tafli Morza Śródziemnego zamykali nam nasi nieprzyjaciele. Kiedy puściliśmy się galopem, choć do tej pory oszczędzali swoje wierzchowce, zrobili to samo. Przyjrzałem im się przez lunetę i stwierdziłem, że odzyskali niektóre z koni, ale też mieli inne, nowe. Silano ostro ich musiał poganiać. Odpoczynek w zamku krzyżowców drogo nas kosztował.

Naszą jedyną nadzieją było zaskoczenie.

-Astizo! Kiedy dotrzemy w pobliże obozu, podnieś swój biały szal jak flagę pertraktacji! Musimy ich jakoś zmylić!

Kiwnęła głową, pochylając się mocniej nad końskim karkiem.

Za nami zagrzmiało kilka strzałów. Obejrzałem się. Nasi prześladowcy byli daleko poza zasięgiem kul, ale usiłowali zaalarmować francuskich wartowników, którzy powinni nas zatrzymać. Liczyłem na zamieszanie wzmożone tym, że była wśród nas kobieta.

Ostatnia mila była wściekłym wyścigiem, nasze konie spływały pianą. Mogliśmy tylko pochylać głowy, gdy za nami wciąż huczały muszkiety. Przed obóz wybiegli wartownicy z uniesionymi karabinami, na których osadzili już bagnety, ale wciąż nie byli pewni, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem.

- Teraz! Machaj szalem!

Astiza uniosła ramię z białym szalem powiewającym jak proporzec i wyprostowała się w siodle, tak że Francuzi wyraźnie ujrzeli, iż nadjeżdżającym galopem jeźdźcem jest kobieta o pięknie zarysowanych piersiach, których kształt podkreślał wiatr obciskający szatę wokół jej talii. Wartownicy opuścili lufy muszkietów.

Przemknęliśmy obok nich.

-Bandyci i partyzanci! - zawołałem, wskazując naszych prześladowców.

Wartownicy ponownie unieśli karabiny, niezbyt pewnie mierząc w Silana i jego ludzi.

- Nie zwalnijcie! - zawołałem do swoich.

Przemknęliśmy obok namiotów szpitalnych i przeskoczyliśmy przez dyszle wozów. Czy to nie Monge i ten chemik, BerthoUet? I czy to nie Bonaparte wybiega ze swojego namiotu? Przedarliśmy się przez krąg obozowych ognisk, rozpędzając ludzi i rozrzucając iskry; żołnierze zrywali się od śniadań i wytrzeszczali na nas zdumione oczy. Ich muszkiety z ponakładanymi bagnetami były poustawiane w kozły. Pogналиśmy korytarzem pomiędzy namiotami, wzniecając kłęby kurzu. Za nami słyszałem wściekle wrzaski Silana i Najaca, którzy spierali się z wartownikami;

Wyglądało na to, że może się nam uda.

Jakiś sierżant podniósł pistolet, ale natarłem koniem i frunął w bok trącony moim kolanem - strzał nieszkodliwie poszedł w górę. Bystry Mohammad porwał jakąś flagę sprzed namiotu i niósł ją teraz, jakbyśmy sami atakowali Akre. Ten fortel udał się tylko częściowo - pomiędzy nami a wciąż odległymi jeszcze o milę murami miasta uformował się już szyk piechoty, pogналиśmy więc wzdłuż linii, przeskakując nad jamami w piasku. Zagrzmiały pierwsze wystrzały. Kule gwizdały wokół nas jak natrętne szerszenie.

Na murach Akry odezwały się dźwięki trąbek. Co Smith sobie pomyślał, gdy bez słowa odeń uciekłem?

Obozowe kuchnie - ludzie bez broni, zajęci gotowaniem posiłku. Skierowałem konia wprost na nich i rozpedziłem całe towarzystwo. Przez chwilę osłaniali nas przed ogniem kolegów. Potem ponad okopem i galopem wzdłuż starego akweduktu ku miastu...

I fruiałem w powietrze.

W pierwszej chwili pomyślałem, że ubito pode mną konia albo może nagle pękło mu serce. Wylądowałem w miękkim kurzu i potoczyłem się naprzód, na poły oślepiiony przez piasek. Tocząc się jednak, zobaczyłem, że Mohammada i Astizę spotkał ten sam los. Ich konie rżały przeraźliwie z połamanymi nogami. Teraz dostrzegłem linę, którą pospiesznie rozciągnięto pomiędzy wbitymi w ziemię palikami. Kołysała się w powietrzu, a kucharze podnieśli tryumfalny ryk. Powaleni na ziemię, gdy cel był niemal w zasięgu ręki!

Wstałem z krwawiącymi dłońmi i podbiegłem do moich towarzyszy. Nowe strzały i gwizd kul nad głowami.

- Efendi! Do akweduktu! On da nam osłonę!

Kiwnąłem głową i dość brutalnie szarpnąłem Astizę, żeby ją podnieść. Krzywiła się okropnie, bo miała skreconą kostkę, ale z determinacją ruszyła z nami.

Mijając stos drabin przygotowanych na najbliższy szturm, wraz z Mohammadem chwyciliśmy jedną i oparliśmy o starą rzymską konstrukcję. Popchnąłem Astizę z dołu, aż mogła się przewinać przez górną krawędź i ukryć w kanale, którym niegdyś płynęła woda. Była to mizerna ochrona, ale lepsza taka niż żadna. Kule odbijały się od kamieni.

- Nie podnośmy się i czołgajmy, aż znajdziemy się pod ochroną brytyjskich dział - powiedziałem. - Astizo, idź przodem i machaj do nich swoim szalem.

Dzielna kobieta nie zgubiła szarfy nawet po upadku z konia. Ona jednak podała szal mnie.

- Nie, to ciebie rozpoznają. Ruszaj i sprowadź pomoc. Ja postaram się nadażyć za tobą.

- Zostanę przy niej - obiecał Mohammad.

Wyrzależem ponad krawędzią akweduktu. Cały francuski obóz wrzał niczym kocioł na ogniu. Silano zdołał jakoś przekonać wartowników i teraz wskazywał nas ręką. Najac ładował chyba moją rusznicę.

Nie było czasu do stracenia.

Pobiegłem kanałem nie głębszym niż na trzy stopy -kule gwizdały mi nad głową i z trzaskiem uderzały o kamienie. Astiza i Mohammad podążali za mną nisko pochyleni. Dzięki Totowi, że z tych muszkietów z trudem można było trafić w ścianę stodoły. Przed nami kolejni francuscy żołnierze zgromadzeni w okopach przed szturmem odwracali się ku nam i unosili lufy karabinów.

I nagle z murów Akry odezwało się angielskie działo, wyrzucając w górę fontannę ziemi. Francuzi natychmiast dali nura w swoje okopy. Potem huknęły kolejne wystrzały. Obrońcy nie mieli pojęcia, komu idą w sukurs tą palbą, doszli jednak do niewątpliwie słusznego wniosku, że nieprzyjacielem Francuzów muszą być ich przyjaciółmi.

A potem rozległ się kolejny huk, łoskot i kula uderzyła w jedną z podpór akweduktu. Francuskie działo! Cała konstrukcja mocno się zachwiała.

- Szybciej! - ryknąłem, odwracając się ku moim towarzyszom. I pobiegłem naprzód, wywijając szalem i licząc na cud.

Nad francuską baterią wykwitły kolejne dymy i kule znów gwizdnęły nam nad głowami; niektóre uderzyły w okopy. Kolejne trafienie - akwedukt zadrżał znowu... i jeszcze jedno...W górną krawędź akweduktu uderzyła kula, zasypując mnie deszczem odłamków. Otrząsnąłem się i obejrzałem za siebie. Astiza, utykając, wlokła się uparcie, a Mohammad szedł tuż za nią. Kolejne sto jardów! Działa grzmiały już po obu stronach, z powo-

du naszej trójki wszczął się regularny pojedynek artyleryjski.

I nagle usłyszałem krzyk Astizy. Obejrzałem się. Mohammed poderwał się niemal na palce - stał sztywny, otworzył usta. Na jego piersi rozkwitał krwawy kwiat. Spojrzałem dalej. Najac opuszczał moją rusznicę.

Niewiele brakło, a byłbym się rzucił z powrotem, żeby zabić sukinkota.

- Zostaw go! - krzyknąłem jednak do Astizy. Musiałem na nią zaczekać.

W tej właśnie chwili akwedukt pomiędzy nami eksplodował chmurą kamiennych odłamków.

Był to doskonały strzał z ciężkiego działa. Francuzi musieli jakoś sprowadzić nowe działa oblężnicze, żeby zastąpić nimi te, które przydybaliśmy na morzu. Akwedukt zachwiał się, stare kamienie rozbryznęły na wszystkie strony, w górę wzbila się chmura kurzu i nagle pomiędzy filarami zrobiła się przerwa. Astiza i ja staliśmy po przeciwnych stronach przepaści.

- Skacz na krawędź i chwyć ją rękami, ja cię wciągnę!

- Nie! Idź! - krzyknęła. - On mnie nie zabije! Kupię ci trochę czasu! - Oddarła część szaty i utykając, ruszyła z powrotem, machając gwałtownie w powietrzu płótnem na znak, że się poddaje. Ogień Francuzów wyraźnie zelżał.

Zakląłem siarczyście, ale nie mogłem nic zrobić, żeby ją zatrzymać. Czując ból w sercu, odwróciłem się i pognałem ku Akce, teraz już wyprostowany, zakładając, że moja szybkość utrudni trafienie.

Gdyby moją rusznicę można było ładować szybciej, Najac dostałby mnie nawet teraz. Ale straciłby całą minutę na nabicie mojej strzelby, a inni strzelali na oślep bez szans na powodzenie. Teraz już byłem poza francuskimi okopami i dobiegałem do miejsca, gdzie akwedukt kończył się rumowiskiem pod murami Akki. Po obu stronach

wciąż grzmiały działa. Przeskoczywszy nad krawędzią, opadłem na piasek, wzbijając kłęby kurzu.

Obejrzałem się, usłyszawszy tętent kopyt. Arabowie Najaca puścili się za mną wzdłuż akweduktu; nisko pochyleni w siodłach nie dbali wcale o ogień Anglików.

Pognałem ku fosie. Byłem w odległości pięćdziesięciu kroków od monolitu wieży, żołnierze na murach Akki pokazywali mnie sobie palcami. Musiałem zdać się na nogi. Pognałem jak nigdy przedtem w życiu, popędzany odgłosem zbliżającego się stukotu kopyt. Teraz strzelcy z murów otworzyli ogień nad moją głową i słyszałem rzenie koni, gdy kilka z nich padło ugodzonych kulami.

Dopadłem brzegu fosy i zsunąłem się w nią, tak jak wydra z Maine spływa po ośnieżonym brzegu, opadając aż na suche dno. Niewiele brakło, a smród byłby mnie wypędził na górę. Leżały tu gnijące trupy, połamane drabiny i porzucona broń, tworzące razem śmietnik wojny. Wyłom w murze został zamknięty i teraz nie dało się wejść przezeń do wieży. Z góry gapili się na mnie jacyś ludzie, żaden z nich jednak mnie nie poznał. Nikt nie opuścił mi liny. Nie mając pojęcia, co robić, popędziłem suchym dnem fosy do miejsca, gdzie miała się łączyć z morzem. Widziałem szczyty masztów brytyjskich okrętów i słyszałem huk dział, które waliły nad moją głową. Czy Smith nie wspominał przypadkiem, że zamierzają zbudować dodatkowy zbiornik, z którego w razie potrzeby można by napełnić fosę wodą?

Kolejne wrzaski. Obejrzałem się ponownie. Przeklęci arabscy śmiałkowie puścili się konno wzdłuż fosy i niemal zrównali ze mną, nie zważając w ogóle na ogień z murów. Uparli się, żeby mnie pojmać. Silano doskonale musiał wiedzieć, że mam Księgę! Przede mną była grobla w poprzek fosy pod Bramą Ładową i wilgotna, czarna ściana nowego zbiornika po drugiej stronie. Wpadłem w pułapkę!

I nagle tuż przede mną rozległa się kolejna eksplozja.

Ze straszliwym hukiem ściana zbiornika wyleciała w powietrze, zasypując okolicę gradem odłamków. Wybuch odrzucił mnie i zatrzymałem się oszołomiony na widok ściany zielonej morskiej wody, która gnała fosą na mnie i moich prześladowców. Zdołałem tylko opaść na kolana i ogarnęły mnie fale. Zaraz potem porwał mnie gwałtowny prąd i uniósł w głąb ładu jak liść w rynsztoku.

Miotałem się wśród piany niezdolny zaczerpnąć tchu i nieświadomy, czy niesie mnie w głąb, czy ku powierzchni. Woda cisnęła mnie w gromadę moich prześladowców i uderzyłem w coś wielkiego - chyba w konia - ale to uderzenie wyniosło mnie na powietrze. Spłukało nas w głąb fosy, ku centralnej wieży; wszyscy tworzyliśmy bezładną mieszaninę z trupami i unoszącymi się na wodzie resztkami drabin obłączniczych. Charczałem okropnie i trzepotałem się jak ryba.

I wtedy zobaczyłem mój łańcuch! Albo inny łańcuch, zwisający z wieży niczym świąteczna girlanda. Przepływając obok niego, capnąłem go jak diabeł duszę.

Wyrwało mnie z wody jak studzienne wiadro i pociągnęło po szorstkich ścianach wieży jak po warstwie papieru ściernego.

- Trzymaj się, Gage! Już prawie cię mamy!

Był to głos Jerycha.

Kule zaczęły młócić ścianę obok mnie i zrozumiałem, że jestem wyborynym celem dla całej francuskiej armii. Jeden szczęśliwy strzał i lecę w dół.

Skuliłem się tak, że gdybym mógł się jeszcze trochę tylko zmniejszyć, to w ogóle bym zniknął.

Zagrzmiało działo i o mur w odległości kilku jardów ode mnie uderzyła kula nieco tylko mniejsza od domu. Cała wieża się zatrzęsła, a ja zadyndałem jak koralik na sznurku. Ale wciąż trzymałem się łańcucha. Druga kula... i trzecia... Za każdym razem wieżę targał wstrząs, a ja się kołysałem. Czy to się kiedyś wreszcie skończy?

Spojrzałem w dół. Gwałtowny nurt zwalniał już, ale arabscy jeźdźcy gdzieś zniknęli, zmyci diabeł wie gdzie. Zobaczyłem tylko jednego człowieka, który jak ryba unosił się na powierzchni brzuchem do góry.

- Ciągnijcie! - zawołał Jerycho.

A potem chwyciły mnie mocne dłonie i przeciągnięto mnie, potężnie zasapanego, nad krenelażem ku blankom Akki. Byłem na poły utopiony, podrapany, osmalony, pokaleczony, pocierany i przygnębiony z powodu miłości i towarzyszy, których właśnie straciłem, ale w sumie wyszedłem z tych tarapatów obronną ręką. Trzymałem się życia jak kot dachowiec - ale też wyglądałem nie lepiej od niego.

Wyciągnąłem się na ziemi. Dyszałem ciężko, nie mając sił, żeby się podnieść. Wokół mnie zebrali się Jerycho, Dżezar, Smith, Phelippeaux i inni.

-Jasna cholera, Ethanie! - powitał mnie Smith. - Po czyjej stronie w końcu jesteś?

Patrzyłem jednak dalej, na stojącą nieco na uboczu osóbkę, złotowłosą i niebieskooką, w ubrudzonej kurzem i prochem sukni.

- Witaj, Miriam - wystękałem.

I wtedy francuskie działa naprawdę zabrały się do dzieła.

Z moich doświadczeń życiowych wynika, że jeśli musisz zebrać myśli, to właśnie wtedy coś ci przeszkadza. W tym wypadku była to setka francuskich dział, które musiały wyrazić frustrację z powodu mojego ocalenia. Wstałem i podszedłszy do blanków, wyjrzałem za mury. W obozie Napoleona widać było wielkie poruszenie - jednostki stawały w szyku i ruszały do okopów. Wyglądało na to, że miałem coś, na czym Bonaparte chciał położyć łapę za wszelką cenę.

Pod naszymi stopami drżały mury.

Miriam patrzyła na mnie z miną, w której były ulga, zaskoczenie, coraz większa uraza, sporo współczucia, odpowiednia dawka zmieszania i nieustannie rosnąca podejrzliwość.

-Porzuciłeś mnie bez słowa wyjaśnienia... - powiedziała wreszcie.

Zabrzmiało to tak, że poczułem się winien jak wszyscy diabli.

- Niełatwo mi to wyjaśnić...

- Czemu ci wszyscy chrześcijanie tak biegają? - dopytywał się Dżezar.

- To chyba cała francuska armia - zauważył spokojnie Phelippeaux. - Wygląda na to, Monsieur Gage, że oni bardzo cię nie lubią. My też się zastanawialiśmy, czy cię nie rozstrzelać za dezercję i zdradę. Czy ty w ogóle masz jakichś *przyjaciół*?

- Chodziło o tamtą kobietę, nieprawdaż? - Miriam zawsze umiała dotrzeć do istoty rzeczy. - Ona żyje, a ty poszedłeś do niej.

Obejrzałem się za siebie. Czy Astiza została przy życiu? Przed chwilą widziałem, jak mój muzułmański przyjaciel ginie od wystrzału z mojej własnej rusznicy, a Astiza została w łapach tego łajdaka Silana.

-Musiałem dotrzeć do czegoś przed Napoleonem - oznajmiłem.

-I dotarłeś? - zapytał Smith.

Wskazałem gromadzące się oddziały Francuzów.

- On myśli, że tak, i zamierza to zdobyć.

Zrozumiawszy, że lada moment może się rozpocząć atak, nasi wodzowie zaczęli wykrzykiwać rozkazy; nad gwizd i huk dział wbiły się głosy trąbek.

- Francuzi przysłali mi znak świadczący o tym, że ona może jeszcze żyje - zwróciłem się do Miriam. - Musiałem to sprawdzić, a nie wiedziałem, co ci rzec... nie po tej nocy, którą spędziliśmy razem. A ona rzeczywiście się znalazła.

Wracaliśmy tutaj, żeby wszystko wyjaśnić, ale ją chyba ponownie pojmano.

- Czy ja coś dla ciebie znaczę? W ogóle?
- Oczywiście, że tak! Pokochałem cię! Tylko...
- Tylko co?
- Nie mogłem się uwolnić od miłości do niej.
- Obyś szczęśli!

Było to pierwsze przekleństwo, jakie usłyszałem z ust Miriam, i zrobiło na mnie większe wrażenie niż stek obelg ze strony kogoś takiego jak Dżezar. Usiłowałem znaleźć jakieś usprawiedliwienie, wytłumaczenie, że gra szła o najwyższą stawkę, ale każde zdanie brzmiało pusto i samolubnie, nawet w moich uszach. W nocy po obronie wieży porwały nas emocje, ale potem los i pierścień z rubinem zupełnie dla mnie niespodziewanie rozdzieliły nas. W którym miejscu popełniłem błąd? Co więcej, pod koszulą miałem złoty cylinder o nieoszacowanej wartości. Nic z tego jednak nie mogłem przytoczyć na swoją obronę w obliczu nadciągającej francuskiej armii.

- Miriam, chodzi o coś więcej niż tylko nas dwoje. Tak było od samego początku i wiedziałś o tym.

- Nie. To decyzje krzywdzą ludzi. Nic bardziej prostego.
- Cóż, straciłem Astizę ponownie.
- Mnie też.

Ale mogłem ją odzyskać, nieprawdaż? Owszem, mężczyźni są jak psy, ale też kobiety znajdują pewną kocią przyjemność w dręczeniu nas słowami i łzami. Miłość i okrucieństwo znajdziemy po obu stronach, czy nie tak? Doszedłem do wniosku, że muszę się pogodzić z jej wymówkami i zająć bitwą, a jeżeli przeżyjemy, trzeba mi będzie wymyślić sposób, żeby ją odzyskać.

- Nadchodzą!

Uradowany, że muszę stawić czoło tylko pułkom Napoleona zamiast dąsom Miriam, wspiałem się z innymi na

szczyt wielkiej wieży. Cała równina jakby ożyła. Każdy okop pełen był biegnących ku nam ludzi, choć ich natarcie zasłaniał nieco dym wystrzałów z muszkietów i dział. Inne oddziały podciągały lekkie połowe działka, które miały przemówić po dokonaniu wylomu. Nad głowami grenadierów biegnących po nierównym terenie kołysały się drabiny, a na ruchliwych jaszczach podwożono atakującym proch i kule. Nieopodal na poły rozwalonego akweduktu zgromadziła się grupa mężczyzn w arabskich strojach.

Otworzyłem lunetę. Sądząc z wyglądu, byli to ostatni z opryszków Najaca. Silano i Astiza gdzieś zniknęli.

W tej chwili Smith klepnął mnie w ramię i wskazał coś w głębi pola.

- Co to jest, do diabła?

Przesunąłem lunetę. Jechała ku nam potężna drewniana cedrowa belka wystająca z wozu o sześciu kołach. Wóz popychali żołnierze ustawieni po bokach i z tyłu. Czub pnia cedru był dziwnie nabrzmiały, jak żołądź ogromnego fallusa, i obleczony chyba w jakiś rodzaj pancerza. Co to, w rzeczy samej, było, do stu diabłów? Wyglądało trochę jak średniowieczny taran. Ale Bonaparte z pewnością r)ie liczył na to, że rozwali nasze mury bronią spóźnioną p kilka stuleci! A jednak ci, co pchali, szli naprzód z wielką pewnością siebie.

Czyżby Napoleon zwariował?

Przypomniała mi się konstrukcja, która z pewnością zachwyciłaby Bena Franklina albo mojego amerykańskiego kolegę, Roberta Fultona. Grasował on po Paryżu, usi-tując zarazić jego mieszkańców ideami dotyczącymi rzeczy, które nazywał parostatkami i łodziami podwodnymi. A który jeszcze z moich znajomych był niepoprawnym wynalazcą? Oczywiście Nicolas-Jacques Conte, człowiek, w którego balonie ja i Astiza wymknęliśmy się spod Kairu. Monge powiedział, że wynalazł jakieś mocne powozy,

żeby dostarczyć pod Akkę ciężkie działa. Wleczony ku nam pień miał wszystkie znamiona jego niewyczerpanej pomysłowości. Ale taran? Czy nie było to zbyt zacofane, jak dla tak nowoczesnego inżyniera? Chyba że...

- To bomba! - ryknąłem nagle. - Strzelajcie w głowicę, strzelajcie w łeb!

Łądowa torpeda dotarła do miejsca, w którym płaski dotychczas teren pochyłał się, i zaczęła przyspieszać.

- Co takiego? - zapytał Phelippeaux.

- Na końcu tej belki są materiały wybuchowe! Musimy zainicjować wybuch, zanim dotrą do muru! - Chwyciłem muszkiet i wystrzeliłem, ale nawet jeżeli trafiłem w „bulwę”, moja kula odbiła się nieszkodliwie od metalu kryjącego ładunek wybuchowy. Huknęły inne strzały, ale nasi ludzie mierzyli do Francuzów pchających wóz. Jeden czy dwaj upadli, ale koła potwora przejechały po nich po prostu; torpeda toczyła się coraz szybciej.

- Walnijcie z działa!

- Za późno, Gage - stwierdził spokojnie Smith. - Nie możemy wysunąć dział za mur, żeby je tak pochylić.

Chwyciłem więc Miriam i popchnąłem obok jej zdumionego brata na tył wieży, zanim zdążyła zaprotestować.

- Zmiataj stąd, jak to wybuchnie...

Smith też się cofał, a Dżezar odszedł już wcześniej, żeby przejść po murach i dodać ducha swoim ludziom. Zwlekał tylko Phelippeaux, który zamierzał zwolnić postęp wynalazku Conte'a dobrze wymierzonym strzałem z pistoletu. To było szaleństwo.

Toczący się coraz szybciej taran dotarł do fosy i przeleciał nad nią, uderzając głowicą prosto w podstawę wieży. Żołnierze popychający wóz uciekli; został tylko jeden, który zatrzymał się tylko na chwilę, żeby szarpnąć sznurek zapalną. Zapłonął lont.

Po kilku sekundach głowica eksplodowała ze straszli-

wym hukiem, który na dłuższą chwilę pozbawił mnie słuchu. W powietrze strzelił pióropusz ognia i dymu, a wolno się obracające kęsy kamieni uriosły się ponad szczyt naszej wieży.

Cała budowla trzęsła się już nieraz podczas wcześniejszych ataków, teraz jednak zachwiała się jak pijak na Dru-ry Lane. Miriam i ja upadliśmy; zdążyłem jeszcze tylko chwycić ją w ramiona. Sir Sidney chwycił się blanków z tyłu wieży. A przód rozsypał się na moich oczach, osuwając się w piekielną otchłań. Phelippeaux i Jerycho runęli w dół.

-Bracie! - krzyknęła Miriam; tak przynajmniej zinterpretowałem grymas jej ust. Straszliwie dzwoniło mi w uszach.

Podbiegła do krawędzi, ale zdążyłem ją zatrzymać.

Przesuwając się nad jej zwijającym się w gwałtownych protestach ciałem wzdłuż niemal unicestwionej i niebezpiecznie teraz przechylonej platformy, która jeszcze do niedawna zwieńczała dumny szczyt wieży, zerknąłem w dół, na wrzące dymem i ogniem jak gardziel wulkanu rumowisko. Frontowa część najsolidniejszej z wież Akki po prostu odpadła, a reszta została otwarta niczym pień pustego drzewa poprzecinany częściowo zniszczonymi podestami pięter. Wyglądało to tak, jakby zdarto z nas odzież i pozostawiono nagich. W osypisku na dole leżały bezładnie pomieszane z gruzem ciała ludzi, a fosę wypełniał stos mniejszych i większych odłamków gruzu i kamieni. Jakiś nowy dźwięk wdarł się w moje nieszczęsne uszy i zdałem sobie sprawę, że jest to ryk wiwatów tysięcy ludzi - tylko że obecnie ledwo go słyszałem. Francuzi parli do świeżo utworzonego wyłomu.

Gotów byłem się założyć, że jest wśród nich szukający mnie Najac.

Smith odzyskał równowagę i wyrwał szablę z pochwy. Krzyczał coś, czego nie mogłem usłyszeć z powodu dzwo-

nów w uszach, założyłem jednak, że wzywa swoich ludzi, żeby zebrali się wokół wyłomu. Odczołgałem się i pociągnąłem Miriam za sobą.

- Zaraz zawali się reszta! - krzyknąłem jej w twarz.
- Co mówisz?
- Musimy zejść z tej wieży!

Nie usłuchała. Kiwnęła głową, odwróciła się ku atakującym Francuzom i zanim zdołałem ją powstrzymać, zeskoczyła w dół z krawędzi, od której przed chwilą ją odciągnąłem. Sięgnąłem, usiłując ją złapać, i ponownie ześliznąłem się na brzeg przepaści. Miriam zeskoczyła jak kot na belki wystające z podłogi wieży piętro niżej i balansując, ponownie zbliżała się do krawędzi, żeby przedostać się do brata. Klnąc bezgłośnie pod nosem, ruszyłem za nią pewien, że cała budowla runie lada moment i zginiemy wszyscy pogrzebani w kamiennym rumowisku. Wewnątrz otwartej wieży niczym muchy w dzbanie krążyły też rykoszetujące kule, po obu stronach grzmiały działa, a drabiny wyciągały się ku nam jak szpony jakiegoś drapieznika.

Smith z grupą angielskich marynarzy to biegnąc, to skacząc po rozwalonych schodach dopadł wyłomu równocześnie z nami. Zderzyli się z Francuzami, którzy właśnie przedarli się przez rumowisko zapelniające fosę; z obu stron zagrzmiały muszkiety i natychmiast rozległy się wrzaski trafionych. Legł ugodzony kulą dowódca francuskiej dywizji, Louis-Andre Bon. W sam środek zawieruchy skoczył adiutant Croisier, ten sam, którego Napoleon upokorzył przed rokiem, gdy nie udało mu się schwytać arabskich grasantów. W całe to piekło rzuciła się Miriam, wołająca swego brata. Skoczyłem więc i ja, ogłuszony, niemal bezbronny, osmolony i gotów stawić czoło całej francuskiej armii.

W wysokich czapach nad skrzyżowanymi pasami wyglądali na olbrzymich drabów. Rzucili się na nas z deter-

minacją i furją, jakie rodzą tygodnie bezowocnego oblężenia. Oto mieli szansę zakończyć sprawę i poswawolić jak pod Jaffą! Ze straszliwym rykiem przebrnęli przez rumowisko po belce tarana, której rozszczepiony koniec sterczał ku nam niczym otwarty kwiat. Na ich spotkanie lunął deszcz żelaza, skał i bomb, które ciskali ludzie Dżezara z góry. Padali niczym kłosy owsa. Francuzi byli zdeterminowani, ale nami kierowała desperacja. Wszyscy wiedzieli, że jeżeli grenadierzy przedrą się przez wyłom, Akka padnie, a my spotkamy się ze śmiercią. Żołnierze królewskiej piechoty morskiej runęli na Francuzów z dzikimi okrzykami, strzelając i rąbiąc kordelasami - błękit i czerwień mieszały się w bezładną mozaikę.

Było to najbardziej zaciekle starcie, jakie widziałem, walka wręcz jak pod Troją, w której nikt nie prosił i nie dawał pardonu. Ludzie stękali, klęli, dźgali, charczeli, dławili jedni drugich i kopali. Walczyli i przepychali się jak byki. Croisier zwałił się na ziemię, dostawszy kilka postrzałów i pchnięć bagnietami. Nikt z nas nie widział, co dzieje się trochę dalej - mieliśmy przed oczami tylko skrawek zbocza rumowiska i wieżę, która lada moment mogła się na nas zwalić. Zobaczyłem Phelippeaux, który na poły zagrzebany w gruzie zdołał jakoś wyciągnąć spod siebie pistolet i wystrzelić w twarz swoim zrewolucjonizowanym wrogiem. Odpowiedzieli mu kilkoma pchnięciami bagnietów.

Jerycho nie tylko przeżył upadek, ale zdołał się wydostać z rumowiska. Miał nadpalone ubranie i cały pokryty był szarym kurzem, ale znalazł gdzieś lekko wygięty, gruby żelazny pręt i ruszył na Francuzów niby Samson. Ludzie cofali się przed olbrzymem wywijającym żelazną łagą. Gdzieś z tyłu wysunął się fizylier, który wziął go na muszkę, Miriam jednak, która zdołała znaleźć należący do jakiegoś oficera pistolet, uniosła go oburącz i strzeliła niemal z przyłożenia, roznosząc wrogowi połowę czasz-

ki. Z drugiej strony przyskoczył jakiś grenadier. Przypomniałem sobie o tomahawku i cisnąłem go, patrząc, jak wiruje, zanim utonął w karku Francuza. Ugodzony runął jak zwalone drzewo, ale zdołałem odzyskać broń. Oboje z Miriam chwyciliśmy Jerycha za ramiona i odciągnęliśmy go o krok czy dwa do tyłu, poza zasięg bagnatów, na które zamierzał się rzucić. Zaraz potem w wyłom wpadli nowi żołnierze Dżezara, których ten posłał na pomoc obrońcom wieży. Po obu stronach padali martwi i ranni, tworząc coraz wyższy zwał korpusów. Smith, z gołą i zakrwawioną głową, ciało i rąbał pałaszem jak oszalały. Kule gwizdały, dzwoniły o kamienie albo mlaskały ponuro, godząc w ciała, czemu towarzyszył krzyk i łoskot upadku.

Powoli wracał mi słuch, krzyknąłem więc do Miriam i Jerycha:

- Musimy się cofnąć! Tam, z góry, będziemy mogli pomagać bardziej skutecznie.

W tej chwili coś bzyknęło koło mojego ucha niby gniewny szerszeń. Jerycho dostał w ramię i okręcił się wokół osi.

Odwróciwszy się, zobaczyłem swojego śmiertelnego wroga. Najac kłął zawzięcie i wetknął kolbę mojej rusznicy w rumowisko, ponownie usiłował nabić broń. Jego opryszkowie trzymali się z dala od walki, strzelając ponad głowami grenadierów. Ten strzał był przeznaczony dla mnie! Przyszliby po moje ciało, bo wiedzieli, co mam pod koszulą. I nagle ogarnęła mnie furia, gniew i żądza zemsty. Poczulem, jak pęcznieją mi mięśnie, nabrzmiewają żyły, a oczy dostrzegają najdrobniejsze szczegóły. Zobaczyłem błysk czerwieni na palcu drania. Miał pierścień Astizy!

Od razu zrozumiałem, co się stało. Mohammad nie zdołał się oprzeć pokusie odszukania pierścienia, który Astiza porzuciła na dziedzińcu zamku krzyżowców. Kiedy spaliliśmy, zdołał go odnaleźć, co zakończyło jego nieustanne

domaganie się pieniędzy. I dlatego to on, nie ja, został zabity strzałem Najaca z mojej rusznicy, kiedy wialiśmy akweduktem. Francuski bandyta odszukał nieboszczyka, żeby się upewnić, że jest martwy, i wziął pierścień, nie znając jego historii. Było to jak wyznanie mordercy. Podniosłem więc żelazną pałę Jerycha i ruszyłem na wroga, odliczając sekundy. Żeby nabić amerykańską rusznicę, potrzebował całej minuty, a dziesięć sekund już upłynęło. Żeby go dopaść, musiałem się przebić przez gęstwę Francuzów.

Ruszyłem na nich, wywijając żelazną pałą, aż powietrze zawyło ponuro; musiałem wyglądać jak templariusz idący na bój w imię Chrystusa. Za Neda i Mohammada! Czułem, że żadna kula mnie nie ugodzi, i nie zwracałem uwagi na ból. Czas zwolnił biegu, wrzawa wokół mnie się uciszyła, a mój wzrok się wyostrzył. Widziałem tylko Najaca, który drżącymi dłońmi wsypywał do lufy miarkę prochu.

Dwadzieścia sekund.

Zamachnąłem się na płot bagnetów i oczyściłem szlak jakby sierpem. Metal brzęknął o metal - i piechurzy rozstąpili się przed szaleńcem.

Trzydzieści sekund. Najac owinał kulę w przybitkę i nerwowo wciskał ją w lufę krótkim wyciorem.

Francuzi i Arabowie Najaca wrzeszczeli i strzelali, ja jednak czułem tylko wiatr. Widziałem drzenie zadymionego powietrza, gdy przedzierały się przezeń kule, błyski oczu, biel wyszczerzonych zębów i krew bluzgająca z twarzy młodego oficera. Mój żelazny pręt ugodził w zebra rosłego grenadiera, który złożył się niemal we dwoje i frunął w bok.

Czterdzieści sekund. Najac pchał oporną kulę w głąb przewodu lufy.

Przeskakiwałem po ciałach trupów i konających, wykorzystując je niczym kamienie w strumieniu i utrzymując równowagę jak pająk. Wokół mnie rozbrzmiewał śpiew

mojej pałki i ludzie cofali się z wrzaskiem, jak przed chwilą rozstępowali się przed rozjuszonym kowalem. Kątem oka dostrzegłem, jak Smith przebija jakiegoś fizyliera pałaszem, zobaczyłem też konającego „homara” i dwu innych, przebijających wrogów bagnietami. Z góry wciąż sypał się deszcz gruzu i kamieni, widziałem też kwiaty wybuchów za Najakiem, gdy eksplodowały zrzucane z murów bomby i pociski kartaczów. Trójkolorowa flaga zachwiała się, upadła, a potem uniosła ponownie powiewając dumnie.

Pięćdziesiąt sekund. Najac nie dał sobie nawet czasu na wyciągnięcie wycioru. Drżącymi palcami pod sypał proch na panewkę i odciągnął kurek. Miał w oczach strach, desperację, ale i nienawiść. Prawie go dopadałem, kiedy jeden z jego opryszków rzucił się na mnie z uniesionym nad głową cimitarem. Jego twarz wykrzywił grymas nienawiści i wył przeraźliwie, dopóki mój pręt nie ugodził go w skroń, urywając wrzask i rozbryzgując mózg na wszystkie strony. Poczulem smak krwi na zębach.

Gdy uniosłem żelazo do ostatniego uderzenia, Najac, wytrzeszczywszy przerażone oczy, zdążył nacisnąć spust, zobaczyłem błysk, poczułem tchnienie gorąca i strzał mojej własnej rusznicy wbił mi wycior w pierś.

Uderzenie mnie odrzuciło. Tuż przed śmiercią jednak zdołałem się zamachnąć i rąbnąć łotra żelazem po kostkach, całkowicie je roztrzaskując. Runął także, po naszych ciałach zaczęli przebiegać żołnierze, a ja, uświadomiwszy sobie, że nadal żyję, podczołgałem się, sapiąc, do Najaca i chwyciłem go za gardło, tłumiąc jego jęki bólu. Zacisnąłem palce tak mocno, że poczułem, jak nabrzmiewają mi tętnice na szyi.

Oczy Najaca pełne były nienawiści. Machał ramionami, szukając jakiejś broni. Z gęby obscenicznie wystawał mu język.

Za Neda, Mohammada, Jerycha i wszystkich innych porządných ludzi, których los postawił na drodze twoje-

go obmierzłego życia, ty gnido, myślałem, zwierając palce. Gęba Najaca poczerwieniała, a kapiąca z mojej głowy krew spływała na wijącą się pode mną ofiarę. Widziałem też wycior wystający z mojej piersi. Co się stało?

I nagle poczułem, że Najac grzebie przy moim pasie, chwytając tomahawk. Nie zdołałszy mnie zastrzelić z mojej rusznicy, postanowił rozłupać mi czaszkę moim własnym toporkiem!

Nie myśląc prawie wcale, pochyliłem się tak, że wystający mi z piersi wycior oparł się o pierś francuskiego opryszka na wysokości serca. Koniec wycioru był rozszczepiony i ostry jak igła, ja zaś wreszcie zrozumiałem, co się stało. Kiedy wystrzelił, podobny do strzały pocisk ugodził mnie, ale trafił dokładnie w miejsce, gdzie pod koszulą ukrywałem cylinder z Księgą Tota. Tępy koniec wycioru uderzył w miękkie złoto, odrzucając mnie, ale nie wchodząc głębiej. Teraz, gdy Najac wyrwał mi tomahawk zza pasa i zamachnął się do uderzenia, oparłem się o niego, wpychając mu w pierś koniec wycioru opartego o złoty cylinder. Cholernie bolało, ale wycior przebił mostek drania i wszedł jak widelec w ciasto. Najac wytrzeszczył oczy, objęliśmy się jak bracia i przebiłem mu serce.

Krew trysnęła zeń niczym ze studni i rozlała się w szybko rosnącą kałużę, czemu towarzyszył syczący dźwięk, jaki mogłaby wydać zmija. Skonał, wymawiając zakrwawionymi wargami moje nazwisko.

Nad moją głową zagrzmiały wiwaty - tym razem brytyjskie. Rozejrzawszy się, ujrzałem, że francuskie natarcie się załamało.

Wyrwałem wycior z piersi Najaca, chwiejnie dźwignąłem się na kolana i wreszcie wziąłem w ręce moją wspaniałą rusznicę. Wokół mnie leżały trupy, zwarte wciąż jeszcze w zacieklej walce. W wyłomie utknęły setki ciał, a po jego obu stronach dalsze dziesiątki, pośród błota, pod

pogiętymi i połamanymi drabinami szturmowymi. Francuzi jednak się cofali. Turcy też wiwatowali, a ich działa żegnały odchodzących ostatnimi wystrzałami.

Ludzie Dżezara i Smitha nie ścigali cofających się Francuzów. Przez chwilę stali bez ruchu, zaskoczeni własnym sukcesem, a potem zaczęli pospiesznie nabijać broń, na wypadek, gdyby nieprzyjaciel uderzył ponownie. Podoficerowie okrzykami zagonili żołnierzy do barykadowania podstawy wieży.

Smith spojrział na mnie z góry, po czym podszedł do mnie, krocząc po ciałach.

- Gage, to był najbardziej zuchwały atak ze wszystkich, jakie widziałem. Mój Boże, ta wieża! Wydaje się, że lada moment runie nam na głowy!

- Bonaparte myślał tak samo, sir Sidneyu - powiedziałem. Charczałem, łapiąc oddech, bolał mnie każdy mięsień i byłem kompletnie wyczerpany. Emocje wymęczyły mnie do cna. Nie zaczerpnąłem tchu od stu lat, a od tysiąca nie zmrużyłem oka.

- Zobaczysz ją rano, odbudowaną i mocniejszą niż kiedykolwiek, jeżeli brytyjscy saperzy będą mieli w tej sprawie coś do powiedzenia - stwierdził z zapalem kapitan. -Przebóg, Ethanie, pokonaliśmy go, pokonaliśmy! Teraz może nas zarzucać kulami z dział, ale po łaźni, jaką mu dziś urządziliśmy, nie zaryzykuje ponownego szturmu! Jego ludzie mu nie pozwolą. Będą zwlekać albo po prostu się zbuntują.

Skąd mógł zyskać taką pewność? A jednak okazało się, że wie, co mówi.

- Gdzie jest Phelippeaux? - zapytał Smith. - Widziałem, jak prowadzi szarżę w samą gęstwinę nieprzyjaciół. Do licha, ci rojaliści to mężni ludzie!

Potrząsnąłem głową.

- Sir, obawiam się, że go jednak wykończyli.

Przeszliśmy w głąb poboju. Phelippeaux leżał

pod dwoma trupami, musieliśmy je więc zeń ściągnąć. Cud nad cudami, arystokrata wciąż jeszcze oddychał, choć widziałem, że kilka bagnatów przebiło go jak polec mięsa. Smith podciągnął go nieco w górę i złożył głowę konającego na swoich kolanach.

- Edmundzie! - powiedział - Pokonaliśmy ich! Korsykanin jest skończony!

- Co? Wycofali się? - Mimo że Phelippeaux miał otwarte oczy, nie widział już niczego.

- Gapi się teraz na nas z tego swojego wzgórza i krzywi głę! Jego najlepsze oddziały zostały wykrawawione albo zmuszone do ucieczki. Człowieku, przejdiesz do historii, bo Bonaparte nie zdobył Akki! Republikański tyran został powstrzymany, a politycy tacy jak on nie potrafią znieść klęski i zmiata ich fala niezadowolenia popleczników. - Smith zerknął na mnie z ogniem w oczach. - Zapamiętaj moje słowa, Gage! Świat nigdy już nie usłyszy o generale Napoleonie Bonapartem!

ROZDZIAŁ 22

Pułkownik Phelippeaux umarł. Czy naprawdę sycił się zwycięstwem, gdy wyciekało zeń życie? Nie wiem. Może jednak miał przeczucie, że jego wysiłki nie poszły na marne i że wśród pełnego gwałtu szaleństwa tego najcięższego dnia oblężenia zyskano coś fundamentalnego?

Wróciłem do ciała Najaca, zatrzymałem się i wziąłem moją rusznicę, tomahawk i pierścień. Potem cofnąłem się przez rumowisko do wieży. Pokrzykujący saperzy zaczęli już podsadzać dźwignie pod kamienie, szykować belki i mieszać zaprawę. Wieża miała po raz kolejny zostać załatana.

Udałem się na poszukiwania Jerycha i Miriam.

Na całe szczęście nie znalazłem trupa kowala pośród leżących długimi szeregami ciał obrońców, które złożono na chwilowy odpoczynek w ogrodach paszy. Spojrzałem w górę. W tym całym zamieszaniu ptaki zniknęły, ale widziałem zawołowane twarze haremowych kobiet Dżezara, które zza okiennych krat patrzyły w dół. Z niektórych okien odłupały się drzazgi, zostawiając żółte plamy na ciemnym drewnie. Sam pasza chodził tam i z powrotem po murze, jak dumny kogut, poklepując swoich wyczerpanych ludzi po ramionach i pokrzykując po francusku:

- Co, nie spodobało wam się moje powitanie? To spróbujcie jeszcze raz!

Zaspokoilem pragnienie u fontanny przed meczetem

i ponuro powlokłem się uliczkami miasta pachnącego krwią, dymem prochowym, mijając gromadki mieszkańców, którzy łypali na mnie spod oka. Przypuszczam, że moją obcość zdradzały jasne oczy w usmolonej twarzy, ale utkwilem spojrzenie w pustce. Szedłem przed siebie, aż dotarłem do falochronu przy latarni morskiej i pustego po bitewnej wrzawie morza. Obejrzałem się za siebie. Działa wciąż jeszcze grzmiały, a dym i kurz stworzyły zasłonę, której burzowy mrok podkreślały promienie opadającego już ku zachodowi słońca.

Ile czasu minęło? Gdy biegłem do muru, był ranek.

Wyjąłem z kieszeni pierścień faraona, przynoszący nieszczęścia i smutki każdemu, kto go nosił. Czy miałem uwierzyć w realność przekleństw i klątw? Racjonalista Franklin nie dałby się przekonać. Ja jednak wiedziałem, że lepiej nie wkładać tego rubinu na palec. Brodziłem w chłodnym morzu najpierw po kolana, potem zanurzyłem się do bioder... chłód ścisnął mi lędźwie... pierś... Pochyliwszy się i zanurzwszy głowę, otworzyłem oczy na zielonkawy półmrok, pozwalając, by morska woda zmyła mi kurz z powiek. Wstrzymałem oddech tak długo jak tylko się dało, aż w końcu upewniłem się, że jestem gotów do zrobienia tego, co trzeba było zrobić. Wtedy się wynurzyłem, otrząsałem wodę z moich długich, dawno nie przycinanych włosów, uniosłem ramię i rzuciłem. Mignął niczym czerwony meteor zapadający w kobaltową zieleń wody. Rozległ się plusk i pierścień zniknął.

Wzdrygnąłem się z ulgą.

Miriam znalazłem w miejskim szpitalu, którego wszystkie sale pełne były rannych. Prześcieradła były splamione krwią, a pojemniki z wodą różowe. W oddzielnych basenikach leżały fragmenty amputowanych części ciał. Nad tym wszystkim z niesłychaną uciechą brzęczały muchy, a w powietrzu unosił się nie tylko zapach krwi, ale i gan-

greny, łągu i płonącego węgla drzewnego z pojemników, w których przed użyciem ogrzewano narzędzia chirurgiczne. Od czasu do czasu któryś z pacjentów wydawał przeraźliwe jęki.

Budynek drżał od ciągłej artyleryjskiej kanonady. Jak przewidział Smith, Napoleon rzucił na miasto wszystko, co miał, wyładowując swoje rozgoryczenie. Może liczył, że rozwalą to, czego nie potrafili zdobyć jego ludzie. Na stołach dzwoniły piły i skalpele. Spod dachówek sypał się kurz prosto w oczy rannych.

Ku mojej uldze zobaczyłem, że Miriam siedzi przy wciąż jeszcze trzymającym się życia bracie. Jerycho był blady, miał brudne włosy, a górną połowę jego torsu spowijały poplamione krwią bandaż. Był jednak przytomny i nastawiony dostatecznie wrogo, żeby łypnąć na mnie sceptycznie, gdy podszedłem do jego pryczy.

- Czy nic nie zdoła cię zabić?

- Jerycho, zabiłem człowieka, który cię postrzelił. - Byłem tak wyczerpany emocjonalnie, że powiedziałem to zupełnie obojętnym tonem. - Utrzymaliśmy wyłom. Ty, ja, Miriam i pozostali. Nie przeszli.

- Na wszystkie poziomy Hadesu, gdzieś ty się podział, kiedy wyjechałeś z miasta?

- To długa historia. Pamiętasz tę rzecz, której szukaliśmy w Jerozolimie? Znalazłem ją.

Oboje wbili we mnie pytające spojrzenia.

- Znalazłeś ten skarb?

- Skarb szczególnego rodzaju. - Sięgnąłem za koszulę i wyjąłem złoty cylinder. Był wgięty i niemal przedziurawiony w miejscu, w które trafił wycior. Na piersi miałem czerwoną plamę wielkości talerza. Ale i złota blacha, i moja pierś były całe. Oczy patrzących rozszerzyło zdumienie, gdy spoglądali na lśniący metal, który ukryłem przed oczami innych. - Jerycho, to jest ciężkie. Waży dość, żebyś mógł zbudować dwa domy i dwie kuźnie takie,

jakie straciłeś w Jerozolimie. Gdy wojna się skończy, będziesz bogaty. -Ja?

- Daję to tobie. Ja mam pecha do skarbów. Zamierzam jednak zatrzymać Księżę, która znajduje się w środku. Nie mogę wprawdzie przeczytać ani słowa, ale robię się sentymentalny.

- Dajesz mi całe to złoto?

- Tobie i Miriam.

Teraz na jego twarzy pojawił się gniew.

-1 co, myślisz, że możesz mnie spłacić?

- Co miałbym spłacić?

- Wdarłeś się w nasze życie i odebrałeś nam nie tylko dom i majątek, ale i cnotę mojej siostry!

-To nie zapłata! Mój Boże, ona nie...- Mądrze zrobiłem, nie kończąc zdania. - To nie zapłata, nawet nie podziękowanie. Po prostu uczciwe rozliczenie. Uczynisz mi łaskę, przyjmując tę puszkę.

-Uwiodłeś ją, wziąłeś, porzuciłeś bez słowa, a teraz przynosisz to? - Jego zawziętość rosła, bo nie chciał się uspokoić. - Pluję na twój dar!

Najwyraźniej nie zrozumiał.

-Plujesz więc na pokorne przeprosiny przyszłego męża twojej siostry.

- Co takiego? - zapytali unisono.

Miriam spojrzała na mnie z niedowierzaniem w oczach.

- Wstydz mi, że musiałem odejść i na kilka tygodni zostawić was oboje w niepewności - powiedziałem. - Wiem, że wydałem się wam podlejszy od ściekowego szczura. Ale otworzyła się przede mną możliwość doprowadzenia naszych poszukiwań do końca, więc z niej skorzystałem... i wykradłem tę rzecz sprzed nosa Francuzom, którzy by z niej zrobili zły użytek. Teraz już nigdy nie zdobędą tej Księgi, ponieważ nawet gdyby się wdarli do miasta, ja ją wysłę za morze, w ładowni jednego z okrętów Smitha.

Dokończyłem to, cośmy zaczęli, a teraz wróciłem, żeby dopełnić pozostałych zobowiązań. Jerycho, chcę poślubić twoją siostrę. Za twoją zgodą, oczywiście.

Na jego twarzy wciąż malowała się nieufność.

- Czy ty kompletnie oszalałeś?

- Nigdy w życiu nie myślałem bardziej jasno. - Nagle zrozumiałem, że odpowiedź na wszystkie moje problemy siedzi przede mną. Jeden czy drugi bóg ukazywał mi jedyny rozsądny sposób na rezygnację z Astizy. Byliśmy dla siebie nawzajem jak trucizna, ogień i woda, które rodziły niebezpieczeństwo, gdy tylko się zetknęły; los biednej Egipcjanki z pewnością będzie lepszy z dala ode mnie. Z pewnością ponowna utrata tej kobiety rozedrze mi serce. Ale przede mną była łagodna Miriam, dobra dziewczyna, która wprawdzie potrafiła rozwalić człowiekowi łeb kulą z pistoletu, u jej boku jednak mógłbym pędzić spokojne życie. Tym, co naprawdę znalazłem w Ziemi Świętej, nie była wcale ta głupia Księga! Poślubię właściwą dziewczynę, uspokoję się i osiedle, zapomnę o smutku po stracie Astizy i raz na zawsze skończę z bitwami i Napoleonem. Kiwnąłem głową do wtóru swoim myślom.

- Ale co z Astizą? - zapytała Miriam.

- Nie zamierzam cię okłamywać. Kochałem ją. Nadal kocham. Ona jednak odeszła, Miriam. Uratowałem ją jak przedtem i jak przedtem ponownie utraciłem. Nie wiem dlaczego, ale chyba tak musi być. Piekło kilku ostatnich godzin otworzyło mi oczy na tysiąc rozmaitych rzeczy. Jedną z nich jest to, że cię kocham, że jesteś cudowną dziewczyną i mam nadzieję, że dam ci szczęście. Jerycho, chciałbym, żeby wszystko odbyło się właściwie. Pobłogosław nam.

Patrzył na mnie przez długą chwilę z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Potem wykrzywił ją w dziwnym grymasie.

- Jerycho?

Skrzywił się jeszcze bardziej... i wybuchnął śmiechem. Ryczał ze śmiechu, a po twarzy spływały mu łzy rozbawienia. Miriam też zaczęła się śmiać, ale jednocześnie patrzyła na mnie z czymś bardzo bliskim politowania w oczach.

Co tu się działo?

- Moje błogosławieństwo! - ryczał Jerycho. - A to dobre! Jakbyś ty akurat go potrzebował!

- Widzisz chyba, że się zmieniłem...

- Ethanie. - Miriam pochyliła się ku mnie, dotykając dłonią moich rąk. - Czyś ty myślał, że jak pójdziesz przeżywać te swoje przygody, to świat zatrzyma się w miejscu?

- No... nie, oczywiście że nie - odpowiedziałem coraz bardziej zmieszany.

Jerycho w końcu zdołał się opanować, choć jeszcze parsknął i się krztusił.

- Gage, co jak co, ale potrafisz zawsze na wszystko znaleźć sobie odpowiednią chwilę...

- Co wy mi chcecie powiedzieć? - Przenosiłem wzrok z brata na siostrę i z powrotem. - Mam poczekać, aż wojna się skończy?

- Ethanie - odezwała się Miriam z westchnieniem. - Czy pamiętasz, gdzie mnie zostawiłeś, gdy odszedłeś, żeby znaleźć Astizę?

- W jakimś domu tu, w Akrze.

- To był dom lekarza. Lekarza, który pracuje w tym szpitalu. - Otworzyła oczy szerzej, patrząc gdzieś nad moim ramieniem. - Człowieka, który wrócił do domu, żeby odpocząć, i znalazł w nim dziewczynę, zapłakaną, zmieszaną i darzącą samą siebie głęboką pogardą. Mnie.

Odwróciłem się powoli. Za mną stał lewentyński chirurg, ciemnowłosa, smagły, przystojny i wyglądający o niebo lepiej, a na pewno bardziej szacownie niż nicpoń i hulaka taki jak ja. Na Johna Adamsa, po raz kolejny zrobiłem

z siebie durnia! Kiedy ta Cyganka, Sarylla, wyciągnęła mi kartę Błazna, dobrze trafiła.

- Ethanie, poznaj mojego narzeczonego.

- Doktor Hiram Zawani, do usług, panie Gage - odezwał się lekarz z tym akcentem świadczącym o dobrym wychowaniu i wykształceniu, którego zawsze zazdrościłem tym, którzy umieli się nim popisać. Kiedy go słyszysz, wydaje ci się, że rozmawiasz z człowiekiem trzy razy od ciebie mądrzejszym, nawet jeżeli nie ma za grosz rozumu. - Chaim Farhi powiedział, że nie jest pan takim łobuzem, na jakiego wygląda.

- Ethanie, doktor Zawani zrobił ze mnie uczciwą kobietę. Oszukiwałam samą siebie w kwestii moich pragnień i potrzeb.

-On jest człowiekiem, jakiego potrzebuje moja siostra - odezwał się Jerycho. - Nikt nie wie tego lepiej od ciebie. I ty ich połączyłeś! Ethanie Gage, jesteś lekkomyślnym w gruncie rzeczy człowiekiem, ale choć raz zrobiłeś coś dobrego.

Uśmiechali się - a ja próbowałem zrozumieć, czy powinienem się czuć zadowolony czy urażony.

-Ale... - Chciałem powiedzieć, że Miriam przecież mnie kochała, że powinna była poczekać, że miałem dwie kobiety dobijające się do mojego serca i moim problemem było wybranie jednej z nich...

Minęło pół dnia i obie się ulotniły. Rubin i złoto też przepadły.

A niech tam...

Czułem się wyzwolony. Od ucieczki w Paryżu nie byłem w dobrym burdelu, a tu otwierała się szansa odzyskania kawalerskiej wolności. Upokorzono mnie? Owszem. Ale też czułem ulgę - i byłem zaskoczony jej ogromem. „Jak to się wszystko pięknie ułożyło” - powiedział Smith. Samotny? Czasami tak. Ale też nie ciążyło na mnie brzemię odpowiedzialności za czyjś los.

Popłynę do domu, oddam Księgę do Biblioteki Filadelfijskiej, gdzie rozmaici mędrcy będą sobie nad nią łamać głowy, a ja zajmę się swoim życiem. Może Astor będzie potrzebował nowego pomocnika w handlu futrami? Na bagnach Wirginii, z dala od widoku przyzwoitych Amerykanów, powstawała nowa stolica. Dla człowieka o moich umiejętnościach i talentach wydawała się niewyczerpanym źródłem korzyści, machinacji i zarobków zyskiwanych dzięki giętkości języka.

- Gratuluję - zgrzytnąłem.

-Nadal uważam, że powinienem skrócić ci kark -stwierdził Jerycho - ale biorąc pod uwagę ostateczny rezultat twoich poczynań, chyba pozwolę ci nam pomóc to upłynnić. -1 pokazał Zawaniem złoto.

Następnego dnia Francuzi, którzy zużyli zbyt wiele amunicji w ostatnim wściekłym bombardowaniu, co zresztą wcale nie poprawiło ich sytuacji strategicznej, zaczęli się wycofywać. Bonaparte polegał na impecie. Gdzie nie mógł runąć naprzód i nieustannie mieszać szyków nieprzyjaciółom, musiał ulegać beznadziejnej przewadze liczebnej. Akka go zatrzymała. Jedynym rozwiązaniem, jakie mu pozostało, był powrót do Egiptu i ogłoszenie zwycięstwa z powołaniem się na bitwy wygrane i zignorowanie przegranych.

Obserwowałem ich odwrót przez moją lunetę. Setki ludzi, rannych i chorych, którzy nie mogli iść o własnych siłach, zgromadzono na wozach albo dano im konie. Zostawienie ich własnemu losowi oznaczałoby ich zgubę; spostrzegłem, że nawet Bonaparte szedł pieszo, trzymając wodze konia, na którym garbił się jakiś spowity w bandażę żołnierz. To, czego nie mogli zabrać ze sobą, podpalili; w majowe niebo wysoko wzbijały się kolumny dymu. Odchodzący wysadzili też w powietrze mosty Naman i Kiszon. Francuzom do tego stopnia brakowało zwierząt

pociągowych i paszy, że porzucili blisko dwa tuziny dział. Podobnie zostawili tłumy żydów, chrześcijan i maronitów, którzy stanęli po ich stronie, licząc na wyzwolenie spod władzy islamu. Wszyscy płakali, jak zbłąkane dzieci, bo teraz mogli się spodziewać już tylko okrutnej zemsty ze strony Rzeźnika.

Francuzi w odwecie zaczęli palić mijane gospodarstwa i wioski, żeby opóźnić pościg, który nigdy za nimi nie pociągnął. Żołnierze naszego garnizonu nie byli w stanie pójść za wrogiem. Oblężenie trwało sześćdziesiąt dwa dni, od 19 marca do 21 maja. Straty były równie ciężkie po obu stronach. Zaraza, która dziesiątkowała oddziały Napoleona, przekroczyła mury i naszą główną troską było pozbywanie się trupów. Panował upał, a nad Akką unosił się smród.

Ja cały czas trwałem w jakimś oszołomieniu. Znowu straciłem Astizę, pojmaną lub martwą. Księgę włożyłem w skórzany futerał, który ukryłem w kwaterze wynajętej w Oberży Kupców, Khan e-Shawarda, gotów byłbym jednak się założyć, że równie dobrze mógłbym go zostawić na środku targu i nikt by go nie podniósł, tak bezużyteczne wydawało się dziwaczne pismo. Do miasta powoli docierały plotki o odwołaniu Napoleona. W tydzień po odejściu spod Akki porzucił zdobytą tak straszonym kosztem Jaffę. Najbardziej chorym ofiarom zarazy podawano opium i truciznę, żeby przyspieszyć ich śmierć i zapobiec pojmaniu ich przez idących tropem Francuzów Samarytan z Nablusu. Pobicci żołnierze 2 czerwca dowlekli się do El-Arish w Egipcie, wzmocnili załogę garnizonu, a główna część armii ruszyła na Kair. Termometr wetknięty w pustynne piaski wskazał temperaturę 56°C. Gdy dotarli wreszcie do Nilu, zatrzymali się, żeby odpocząć i odzyskać siły: Napoleon nie mógł sobie pozwolić na wkroczenie do miasta na czele armii pokonanych. Zaszczycił ponownie Kair 14 czerwca, przy łopocie zdoby-

tych sztandarów ogłaszając, że odniósł zwycięstwo, ale te zapewnienia brzmiały dość mizernie. Dowiedziałem się, że jedenogoni generał Caffarelli dostał turecką kulą armatnią w ramię i umarł na gangrenę pod Akką, że fizyk Etienne Louis Malus padł ofiarą zarazy w Jarfie i trzeba go było ewakuować, a Monge'a i jego przyjaciela Bertholleta dopadła dyzenteria i byli wśród chorych wiezionych na wozach taborowych. Przedsięwzięcie Napoleona obróciło się w nieszczęście każdego, kogo znałem.

Smith tymczasem pałał żądzą ostatecznego zniszczenia swojego arcywroga. Tureckie posiłki ze Stambułu dotarły pod Akkę nie dość szybko, żeby pomóc w oblężeniu, ale na początku czerwca na pokładach angielskich okrętów przybyło blisko dwadzieścia tysięcy żołnierzy, gotowych do wylądowania pod Abukirem i odzyskania Egiptu. Nie miałem żadnego interesu w przyłączeniu się do armii, której nie uznawałem za dość silną, żeby się rozprawiła z francuskim korpusem w Egipcie. Wciąż miałem zamiar wrócić do Ameryki. Ale 7 lipca dotarła do mnie wiadomość z Egiptu - na pokładzie kupieckiej łodzi. List był zamknięty pieczęcią czerwonego laku z odcisniętym wizerunkiem dziobatego Tota, a adres napisała kobieca dłoń. Gdy nań spojrzałem, poczułem, że szybciej bije mi serce.

Wewnątrz jednak znalazłem kartkę zapisaną mocnym, męskim charakterem pisma. Wiadomość była krótka i prosta.

Mogę to przeczytać, a ona czeka.

Klucz jest w Rosetcie.

Silano.

CZEŚĆ

TRZECIA

ROZDZIAŁ 23

Przybyłem do Egiptu 14 lipca 1799 roku, w dwanaście miesięcy i dwa tygodnie po moim pierwszym lądowaniu z Napoleonem. Tym razem towarzyszyłem armii tureckiej, nie francuskiej. Smith z zapałem perorował o tej kontrofensywie, zarzekając się, że tym razem mogą Bonia wykończyć. Nie mogłem jednak nie zauważyć, że ze swoją eskadrą pozostał na morzu. I niełatwo byłoby powiedzieć, kto żywił większe wątpliwości dotyczące tej ekspedycji - ja czy wiekowy, białobrody jej dowódca, Mustafa Pasza, bo ograniczył natarcie do zajęcia niewielkiego półwyspu, który z jednej strony zamykał zatokę Abukir. Jego oddziały wylądowały, zmasakrowały załogę trzystuosobowej francuskiej reduty na wschód od wioski Abukir, zmusiły do poddania drugi posterunek Francuzów na końcu półwyspu i stanęły w miejscu. Tam, gdzie półwysep łączył się z lądem, polecił wznieść trzy linie umocnień, przewidując nieunikniony atak Francuzów. Pomimo odniesionego podczas obrony Akki sukcesu, Turcy wciąż jeszcze obawiali się starcia z Bonapartem w otwartym polu. Po tym, jak Napoleon ośmieszył Turków w bitwie pod górą Tabor, pasza w każdej inicjatywie z ich strony widział zapowiedź klęski. Żołnierze tureccy wylądowali więc i zaczęli się zaciekłe okopywać w nadziei, że chętni do współpracy Francuzi pomaszeraują karnie na ich okopy.

Choć nikt mnie o zdanie nie pytał, grzecznie podsunąłem Mustafie pomysł, że powinien pomaszerować na po-

ludnie i spróbować się połączyć z buntowniczymi mamelukami, do których przystąpił mój przyjaciel Aszraf. Były to oddziały ruchliwej jazdy pod dowództwem Murad Beja. Mówiono nawet, że Murad ośmielił się podejść pod Wielką Piramidę, gdzie wspinał się na szczyt i za pomocą zwierciadła dał sygnał swojej uwięzionej w Kairze żonie. Był to gest charakterystyczny dla tego zuchwałego dowódcy i spodziewałem się, że Turcy osiągnęliby znacznie więcej pod wodzą śmiałka Murada niż ostrożnego Mustafy. Pasza jednak nie ufał aroganckim mamelukom, nie chciał się podzielić dowodzeniem i panicznie się bał wyjść poza ochronny wał okopów i nasypów. Tak jak Bonaparte pospieszył się pod Akką, wojska osmańskie wylądowały w Egipcie zbyt szybko i było ich za mało.

Strategicznie sytuacja była niezbyt jasna. Owszem, pierwotny plan Napoleona się nie powiódł. Jego flota została zniszczona przez Nelsona, uderzenie na Azję zatrzymano pod Akką, a Smith otrzymał depeszę, że hinduski radża Tipu Sahib, z którym Bonaparte zamierzał współdziałać w Azji, poległ w bitwie pod Seringapatamem w Indiach. Sprawcą tej klęski był brytyjski generał Wellesley. Ale gdy Mustafa wylądował w Egipcie, na Morze Śródziemne wpłynęła połączona flota hiszpańsko-francuska, żeby rzucić wyzwanie przewadze Brytyjczyków. Wszystko się mocno komplikowało.

Doszedłem do wniosku, że najlepiej zrobię, jeżeli jak najszybciej załatwię swoje sprawy z Silanem w Rosetcie - małym porcie przy ujściu Nilu. Potem, zanim Francuzi zepchną intruzów do morza, będę musiał przemknąć do tureckiej enklawy i wsiąść na pokład jakiegokolwiek statku, byle dalej stąd. Jeśli mi się powiedzie, może Astiza będzie mi towarzyszyć. A Księga?

Bonaparte i Silano mieli rację. Czulem się właścicielem i ciekaw byłem, jakie też wieści niesie tajemnicze pismo. Czy zdołałby się temu oprzeć sam Stary Ben? „Ludziom

tak trudno się oprzeć pokusie - mawiał - bo nie chcą z niej do końca rezygnować". Chciałem jakoś zdobyć „klucz” Si-lana, po raz kolejny uratować Astizę, a potem samodzielnie podjąć decyzję, co mam zrobić z tą tajemnicą. Byłem jedynie pewien, że jeśli w tekście jest recepta na nieśmiertelność, absolutnie nie chcę jej poznać. Życie jest dostatecznie ciężkie, nie trzeba przedłużać go w nieskończoność.

Podczas gdy Turcy, rozstawiwszy kolorowe namioty zawzięcie się okopywali w letnim skwarze, wynająłem fe-lukę, która miała mnie zawieźć na zachodnią stronę delty Nilu, do Rosetty. Podczas mojego poprzedniego pobytu w Egipcie przepływaliliśmy obok tej miejscowości, nie przypominam sobie jednak, żebym zwrócił na nią szczególną uwagę. Dzięki swojemu położeniu miasteczko miało jakąś wartość strategiczną, nie wiedziałem jednak, czemu Silano chce się ze mną spotkać właśnie tutaj. Najbardziej prawdopodobne wydawało mi się to, że zełgał i chciał mnie zwabić w pułapkę, a dwie przynęty - kobieta i przekład - wystarczyły, żeby mnie skłonić do wetknięcia głowy w pętlę.

Polecilem więc właścicielowi feluki, Abdulowi, żeby zatrzymał łódź na morzu i zrobił pewną ważną modyfikację w żaglu, co też uczynił, nie dziwiąc się nawet zbyt i traktując rzecz jako dowód dziwactw cudzoziemców. Zobowiązałem go do zachowania tajemnicy, poparłszy żądanie kilkoma złotymi monetami, po czym znów popłynęliśmy przez błękit wód ku brązowemu jezorowi największej afrykańskiej rzeki.

Wkrótce zatrzymała nas francuska łódź patrolowa, Silano jednak przysłał mi przepustkę. Znajdujący się na pokładzie chebeka porucznik rozpoznał moje nazwisko -moje przygody i zmiany stron konfliktu najwyraźniej stały się dość znane - i zaprosił mnie do siebie. Powiedziałem, że wolę zostać na swojej łodzi i płynąć za nimi.

Zerknął w swoje papiery.

- Mam więc rozkazy, Monsieur, żeby skonfiskować

cały twój bagaż do czasu, aż się spotkasz z hrabią Silano. Pisze tu, że chodzi o bezpieczeństwo państwa.

- Mój bagaż to wszystko, co widzisz na mnie, poruczniku, ponieważ moje wysiłki pozbawiły mnie majątku i przyjaciół. Nie zechcesz pewnie, żebym chodził nago.

- Ale masz ten worek na ramieniu.

-Istotnie. Ciężki, bo włożyłem weń spory kamień. - Uniosłem wór poza burtę łodzi. - Jeżeli zechcesz mi, panie, odebrać mój skromny dobytek, wrzucę wszystko do rzeki. Mogę cię zapewnić, że hrabia Silano w najlepszym wypadku postawi cię przed sądem wojennym, a w najgorszym rzuci na ciebie jakieś wyjątkowo paskudne przekleństwo. Płynmy więc dalej. Jestem tu z własnej woli... samotny Amerykanin we francuskiej kolonii.

- Masz też rusznicę - zauważył oficer.

- Z której nie zamierzam wystrzelić, chyba że ktoś zechce mi ją odebrać. Ostatni, który tego próbował, nie żyje. Zaufaj mi, panie, a Silano z pewnością cię nie potępi.

Chrząknął i kilka razy zerknął jeszcze w swoje papiery, ale że stałem przy burcie z jedną ręką wysuniętą nad wodę i strzelbą w drugiej, próba konfiskaty okazałaby się chybiona. Popłynęliśmy więc dalej - chebek kręcił się wokół naszej łódki jak nadopiekuńcza kwoka - i zatrzymaliśmy się w Rosetcie. To ocienione palmami, otoczone wioskami miasteczko nad Dolnym Nilem. Wszystkie domki pobudowano z cegieł z wysuszonego na słońcu nilowego mułu, tylko meczet z samotnym minaretem wzniesiono z piaskowca. Wydałem odpowiednie instrukcje kapitanowi mojej feluki i ruszyłem krętymi uliczkami ku wciąż niedokończonemu francuskiemu fortowi z powiewającą dumnie trójkolorową flagą, któremu nadano nazwę Fort Julien. Za mną szła gromadka ulicznych łobuziaków. Tych zresztą zatrzymali przy bramie wartownicy w czarnych, dwurożnych czapach chlubiący się ogromnymi wąsiska-mi. Moją reputację potwierdziły wyraźnie nieprzyjazne

spojrzenia wojaków. Nieszkodliwy elektryk stał się przeszkodą i zagrożeniem; patrzyli na mnie jak na czarnoksiężnika. Zdążyły już tu dotrzeć wieści spod Akki.

- Nie możesz wnieść do fortu tej rusznicy.

-To nie wejść. Zostałem zaproszony, nie przybyłem pod eskortą.

- Przechowamy tę broń dla ciebie.

- Niestety wy, Francuzi, zwykle nie oddajecie tego, co zagarnęliście.

- Hrabia nie wyraża sprzeciwu - przeciął spór głos kobiety. Z bocznej izby wyszła Astiza odziana skromnie w długą suknię i z czerwonym szalem na głowie owiniętym wokół szyi tak, że jej uroczą, choć zmartwioną teraz twarz wyglądała jak księżyc.

- Należy traktować tego pana jak naukowca i doradcę, a nie jak szpiega.

Najwyraźniej Silano miał tu sporą władzę. Choć niechętnie, żołnierze pozwolili mi wejść na dziedziniec, ale zaraz zamknęli za mną bramę. Przy wewnętrznych ścianach prostego, kwadratowego fortu stały budynki z drewna i cegieł.

- Powiem mu, że przybyłeś - odezwała się spokojnie.

Cały plac ćwiczeń zalewały ostre promienie słońca, co w połączeniu z zapachem Astizy przyprawiło mnie niemal o zawrót głowy.

- Pójdę z tobą.

- Ethanie, nie popełnij błędu, ufając swojej strzelbie. Oboje jesteśmy więźniami, ty i ja. Co więcej, musisz się ja coś dogadać z Alessandrem. - Skinieniem głowy wskazała mury fortu, z których kolejni wartownicy bacznie się nam przyglądali. - Musimy się dowiedzieć, czy ta legenda ma w ogóle jakieś podstawy, a potem poczynić własne plany.

- Silano kazał ci tak mówić?

Zrobiła urażoną minę.

- Dlaczego nie możesz uwierzyć, że cię kocham? Wróciłam z tobą do Akki, a tam rozdzieliła nas kula z działa,

nie mój wybór. A teraz los znów nas połączył. Zaufaj mi jeszcze trochę.

- Mówisz jak Napoleon. „Wszystko wziąłem pod uwagę i starannie zaplanowałem. Reszta zależy od losu”.

- Bonaparte jest na swój sposób mądrym człowiekiem.

Tymczasem podeszliśmy do parterowego budynku dowództwa, o płaskim dachu i z gankiem obsadzonym palmami. Wewnątrz było chłodno i ciemno. Gdy moje oczy przywykły do mroku, zobaczyłem siedzącego przy prostym stole Silana w towarzystwie dwu oficerów. Starszego z nich znałem od lądowania w Aleksandrii. Generał Jacques--Francois de Menou walczył dzielnie, a potem, wedle tego, co mówiono, przeszedł na islam. Fascynowała go egipska kultura, nie wyglądał jednak władczo - miał cienkie wąsiki, okrągłą twarz księgowego i niewielką łysinę na czubku głowy. Nie miałem pojęcia, kim był drugi z oficerów -urodziviy kapitan. Obu stron pokoju strzegły drzwi z mocnymi zamkami.

Ujrawszy mnie, Silano wstał.

-Monsieur Gage, nieustannie próbujesz przede mną uciec, ale nasze ścieżki ciągle się krzyżują! - Powitał mnie dwornym, choć niezbyt głębokim ukłonem. - Teraz już z pewnością uznasz to za przeznaczenie. Może powinniśmy zostać przyjaciółmi, zamiast być wrogami?

- Byłbym tego pewien... gdyby twoi przyjaciele wciąż do mnie nie strzelali.

-Nieporozumienia się zdarzają i wśród najlepszych przyjaciół. - Skinieniem dłoni wskazał mi swoich towarzyszy. - Generała Menou już znasz, Monsieur?

- Owszem.

- Nie spodziewałem się, że cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę, *Americain*. Biedny Nicolas był wściekły z powodu tego skradzionego balonu.

- Właśnie wtedy do mnie strzelano - odpowiedziałem generałowi.

-Przedstawiam ci, Gage, kapitana Pierre'a-Francois Boucharda - podjął wątek Silano. - Dowodził grupą żołnierzy robiących wykop pod ten fort i jego ludzie znaleźli ten kamień. Na szczęście kapitan Bouchard szybko rozpoznał jego znaczenie. Kamień z Roserty może zmienić świat, jak sądzę.

- Kamień?

- Chodź. Pokażę ci.

Poprowadził nas do pokoju z lewej, otworzył z klucza drzwi i weszliśmy do środka. Było tu dość ciemno, wąskie okno na dziedziniec zasłonięto kotarą. Pierwszą rzeczą, jaką spostrzegłem, była drewniana trumna dla mumii. Jaskrawo pomalowana i pięknie zachowana miała na wieku obrazki wyglądające jak opis podróży duszy przez krainę umarłych.

- Czy wewnątrz jest ciało?

- Omara, naszego strażnika - zażartował Menou. - On jest niezmordowany.

- Strażnika?

- Przywiozłem to rzeką i powiedziałem żołnierzom, że znaleźliśmy ją podczas kopania fundamentów - wyjaśnił Silano. - Ludzie traktują te mumie ze strachem i teraz wszyscy uważają, że nieboszczyk grasuje tu po nocach. To lepsze niż trzymanie kobry, która pilnowałaby tego pokoju.

Dotknąłem pokrywy.

- Zdumiewające, jak żywe są te kolory.

- Być może i to jest dziełem magii. Teraz nie umiemy ich odtworzyć, podobnie jak przepadła formuła barwienia szkła ołowiowego w średniowiecznych witrażach. Nie umiemy stworzyć niczego równie pięknego. - Wskazał gliniane garnki w rogu pokoju. - Robię eksperymenty. Być może Omar mi coś podpowie.

- Nie wierzysz w klątwy?

- Wierzę, że potrafię nad nimi zapanować. Za pomocą

tego. - Obok drewnianego sarkofagu stało coś wysokiego może na pięć stóp i szerokiego na trzy, płaskiego i owiniętego w brezent. Silano dramatycznym gestem zsunął zasłonę, a ja pochyliłem się ku przodowi, żeby lepiej obejrzyć ów przedmiot w półmroku pomieszczenia. Była to płyta pokryta napisami w różnych językach. Nie jestem lingwistą, ale część napisów przypominała mi grekę, inny wyglądał jak pismo, które widywałem w egipskich świątyniach. Trzeciego napisu nie zdołałem zidentyfikować, ale czwarty, pierwszy od góry, tuż nad pismem świątynnym, sprawił, że serce uderzyło mi szybciej. Były to te same dziwne litery, jakie znalazłem na manuskrypcie z Miasta Duchów. Teraz zrozumiałem sens tajemniczego listu Silana. Chce porównać greckie słowa z tajnym pismem Tota i być może zdoła rozwikłać tajemnicę.

- Co to za tekst? - zapytałem, wskazując napis, którego nie rozpoznałem.

- To pismo demotyczne, które zastąpiło hieroglify - odparł Silano. - Zakładam, że te napisy następują w porządku czasowym, od najstarszego pisma Tota, tego na górze, do najmłodszej greki na dole.

- Kiedy Alessandro mi to pokazał, poznałam to, co widziałam na tym zwoju - stwierdziła Astiza. - Widzisz. Los chciał, żebym została ponownie pojmana.

- A teraz chcecie, żebym pomógł wam to odczytać - podsumowałem.

- Chcemy, żebyś nam dał Księgę, a wtedy my pomożemy tobie ją odczytać - poprawił Silano.

- A co za to dostanę?

- To samo, co ofiarowałem ci przedtem. - Hrabia westchnął jak ktoś, kto rozmawia ze szczególnie tępym dzieckiem. - Partnerstwo, władzę i nieśmiertelność, jeżeli zechcesz. Być może sekrety budowy wszechświata. Powód istnienia, oblicze Boga, świat w twojej dłoni. Albo nic, jak nie zechcesz współpracować.

- Ale jak nie zechcę, nie będziesz miał Księgi, nieprawdaż?

Zobaczyłem, że Menou skinął dłonią. Bouchard stanął za mną. Już wcześniej spostrzegłem pistolet zatknięty za jego pas.

- Przeciwnie, mój panie - uśmiechnął się Silano, skinąwszy dłonią.

Bouchard szorstkim gestem zerwał mi worek z ramienia i otworzył go.

- *Merdel* - warknął.

Odwróciwszy skórzany wór dnem do góry, wytrząsnął z niego drewniany wałek, który spadłszy z miękkim młasnieniem na ubitą polepę, zrobił w niej wgłębienie. Generał i kapitan wytrzeszczyli oczy, a Astiza stłumiła śmiech. Twarz Silana powlekła się chmurą gniewu.

- Chyba nie sądziłeś, że dostarczę ci Księgę jak pocztową przesyłkę od starego Bena?

- Obszukać go!

Niczego nie znaleźli. Zajrzeli nawet w lufę mojej strzelby, jakbym mógł coś w niej ukryć. Oderwali podeszwy moich butów, podnieśli mi stopy i dokładnie je obejrzeni, a potem jeszcze obmacali miejsca wstydlive.

- Może jeszcze zajrzycie mi do uszu?

- Gdzie to jest? - zapytał Silano, nie kryjąc rozczarowania.

-Ukryte... i tak pozostanie, dopóki się nie dogadamy. Jeżeli my, Amerykanie i Francuzi, jesteśmy tu przedstawicielami rozumu i wolności, przekład ma należeć do całej ludzkości, nie tylko do łoży egipskiej lub masonów renegatów, bądź ambitnych generałów, takich jak Napoleon Bonaparte. Chcę, żeby oddano go uczonym w kairskim Instytucie, a oni niech go rozpowszechnią na cały świat. Brytyjska Akademia też ma otrzymać egzemplarz. I chcę Astizę, raz na zawsze. Chcę, żebyś z niej zrezygnował, panie Silano, wymieniając ją na Księgę, nieważne, że masz

nad nami władzę. I chcę, żeby obiecała, że pójdzie ze mną, dokądkolwiek się udam. Teraz i zawsze. Chcę, żeby Bonaparte się dowiedział, iż jesteśmy tu wszyscy razem i razem dla niego pracujemy, tak by nikt nagle i wygodnie nie zniknął. I chcę położyć kres rozlewowi krwi. Obaj straciliśmy przyjaciół. Obiecuj mi, to przyniosę ci Księgę. Obaj mamy swoje marzenia.

- Skąd ją przyniesiesz? Z Akki?

- Możesz ją mieć za godzinę.

Zagryzł wargę.

- Kazałem już przeszukać twoją felukę i tego obszar panego Araba. Wyciągnęli nawet łódź z wody, żeby obejrzeć dno. I nic! - Znów zobaczyłem tę dziką gwałtowność, która przed rokiem w Egipcie wyjrzała spod maski światowca.

Uśmiechnąłem się.

- Komuż można ufać, jeżeli nie starym przyjaciołom, panie hrabio.

Silano zwrócił się do Astizy:

- Godzisz się z tą częścią, która dotyczy ciebie?

Dotarło do mnie, że były to drugie oświadczenia, jakie złożyłem w ciągu miesiąca. Ani jedno, ani drugie nie były za bardzo romantyczne, ale jednak... Staralem się i pragnąłem stałego związku z kobietą, co oznaczało, że i ja się zwiążę.

- Tak - odpowiedziała. - Patrzyła na mnie z nadzieją w oczach. Czulem się szczęśliwy... i zarazem bliski paniki.

- Niech cię diabli, Gage! Gdzie to jest?

- Zgadzasz się na moje warunki?

Niecierpliwie machnął ręką.

-Tak, tak...

- Przrzekasz? Na honor szlachcica i uczonego? Ci żółnierze niech będą świadkami.

-Daję słowo, Amerykaninie, który masz w zanadrzu więcej podstępów, niż mógłbym zliczyć. Najważniejsze to

złamać szyfr języka i zrobić przekład. Zalejemy tą wiedzą cały świat! Ale nic z tego nie będzie, jak nie masz tu Księgi.

- Jest na łodzi.

-Niemożliwe! - zachnął się Bouchard. - Moi ludzie przeszukali każdy cal.

- Ale nie podnieśli żagla.

Wyprowadziłem ich z fortu i ku Nilowi. Słońce chyliło się już mocno ku zachodowi, jego ciepłe promienie przesączały się przez kołyszące się w podmuchach ciepłej bryzy pióropusze palm daktylowych. Zielona woda wyglądała na gęstą jak zupa, na płycznach stały jednonogie różowe flamingi. Mój kapitan skulił się pod burtą swojej wyciągniętej na plażę łodzi - miał minę człowieka, który się spodziewa, że lada moment stanie przed plutonem egzekucyjnym. Nie mogłem go za to winić. Ostatnio przynosiłem pecha wszystkim, z którymi się zetknąłem.

Wydałem komendę i żagiel, ograniczony od dołu i góry drewnianymi rejami, uniósł się wzdłuż masztu i nappełnił wiatrem.

- Tam. Widzicie?

Wszyscy spojrzeli uważniej. W płynących już z horyzontu promieniach słońca widać było niezbyt wyraźny pas dziwnych liter ciągnący się od najwyższego, do najniższego punktu żagla.

- Zaszył tę rzecz w bawełnę! - sapnął nie bez podziwu w głosie Menou.

- Było to widoczne przez całą podróż w górę rzeki - oświadczyłem. - Nikt niczego nie zauważył.

ROZDZIAŁ 24

Stanęliśmy przed dwojakim zadaniem. Po pierwsze, trzeba było użyć Kamienia z Rosetty do przełożenia symboli z Księgi Tota na francuski. Po drugie - i to było jeszcze bardziej pracochłonne - należało przełożyć całość na francuski i jakoś ją zrozumieć.

Teraz, gdy miał w ręku zwój, którego szukał od lat, Silano promieniał tym łagodnym urokiem, dzięki któremu tak zręcznie uwodził paryskie damy. Z jego twarzy zniknęły zmarszczki strapienia, w utykaniu nie widać już było takiego bólu i zacząwszy przerysowywać symbole oraz szukać związku między nimi, wykazywał niezwykle ożywienie. Co więcej, wydawało się, że jest zadowolony z tego, iż pozbył się Astizy na moją korzyść, choć kilkakrotnie wydawało mi się, że przyłapałem go na rzucaniu tęsknych spojrzeń w jej stronę. Ona też chyba zaakceptowała nasz układ. Stanowiliśmy zdumiewający triumwirat badaczy. Nie zapomniałem, że z ręki czy polecenia Sila-na zginęli moi przyjaciele, podziwiałem jednak jego pracowitość i zapał. Hrabia przywiózł ze sobą całe skrzynie zalatujących pleśnią ksiąg i każdy domysł odsyłał któreś z nas do innego woluminu, żeby sprawdzić, czy da się zastosować taką a nie inną zasadę gramatyczną albo czy jakiś odnośnik ma sens. Mgliste zaranie historii, w którym przypuszczalnie napisano badaną przez nas Księgę, rysowało się nam coraz wyraźniej.

Z niemałym trudem odczytywaliśmy tytuły rozdziałów zwoju.

„O klarownej naturze rzeczywistości i nakłanianiu jej do czyjejś woli” - głosił jeden. Ciekawa ta obietnica mimowolnie mnie zafascynowała.

„O Wolności i Przeznaczeniu” - mówił inny. Owszem, oto jest pytanie.

„O Zespoleniu Ciała, Umysłu i Duszy”.

„O Wezwaniu Manny z Nieba”. Czy Mojżesz to przeczytał? Niestety, nie zobaczyłem niczego, co można by odnieść do rozdzielenia wód.

„O Światach Podziemnym i Nadziemnym”. Piekło i Niebo?

„O Nakłanianiu Ludzi, iżby Byli Powolnymi Czyjejś Woli”. Ten rozdział z pewnością by przypadł do gustu Napoleonowi.

„O Leczeniu Chorób i Bólu”.

„O Zdobywaniu Serc Kochanków”. No, ten rozdział cieszyłby się z pewnością niesłychanym powodzeniem.

„O Czterdziestu Dwu Świętych Zwojach”.

Ten jeden tytuł wystarczył, żebym jęknął. Najwyraźniej ta Księga była tylko pierwszą z czterdziestu dwu, które wedle opinii mojego egipskiego mentora były tylko próbką z 36 535 zwojów - po sto na każdy dzień roku -rozrzuconych po całym świecie. We właściwym czasie miały zostać odnalezione przez godnych tego ludzi. Dzięki wszystkim świętym za to, że nie byłem aż tak godny! Niewiele brakło, a straciłbym życie, szukając pierwszego! Silano, co prawda, już marzył o nowych poszukiwaniach.

- Zdumiewające! Domyślam się, że ta Księga jest tylko podsumowaniem, listą tematów i głównych zasad, wprowadzeniem do wiedzy pogłębiającej się po lekturze każdego tomu. Możesz sobie wyobrazić wszystkie razem?

- Faraonowie uważali, że nawet ta jedna powinna pozostać w ukryciu - przypomniałem mu.

- Faraonowie byli prymitywnymi ludźmi, nie mieli do dyspozycji współczesnej nauki i alchemii. Gage, postęp ludzkości to pogłębianie wiedzy. Od ognia i koła nasz świat jest kulminacją milionów pomysłów, udostępnianych innym i zapisywanych. Tutaj mamy tysiącletnią wiedzę, po zostawioną przez kogoś, boga, czarnoksiężnika lub jakąś istotę nie wiadomo skąd... z Atlantydy lub Księżyca... która zapoczątkowała cywilizację, a teraz może ją odtworzyć. Największa z bibliotek była zaginiona od pięciu tysięcy lat, a teraz znów ją odnaleziono. Ten zwój zaprowadzi nas do innych. I wtedy najmądrzejsi ludzie, jak ja, obejmą rządy i zaprowadzą na świecie porządek. W odróżnieniu od królów i tyranów ja ogłoszę rządy wiedzy!

Nikt nie mógłby zarzucić Silanowi nadmiaru skromności. Pozbawiony majątku przez rewolucję, zmuszony do zabiegania o łaski republikanów będących zwykłymi prawnikami albo autorami pamfletów, był człowiekiem sfrustrowanym i rozgoryczonym, pełnym tłumionych ambicji. Liczył na to, że dzięki czarodziejstwu i magii odzyska to, co mu zabrała rewolucja.

Odczytawszy tytuły rozdziałów, zabraliśmy się do odcyfrowania reszty tekstu, to jednak było dość żmudne. Konstrukcja języka, w jakim go spisano, była nam zupełnie obca i identyfikacja słów nie posuwała sprawę dalej, bo nie znaliśmy ich znaczenia.

-To praca dla całego wszechświata - powiedziałem hrabiemu. - Resztę życia każde z nas spędzi tu, w Roset-cie, usiłując rozgryźć ten tekst. Oddajmy to lepiej Instytutowi Narodowemu lub Brytyjskiej Akademii.

- Gage, oszalałeś? Oddanie tego naukowcom byłoby jak zostawienie baryłki prochu u handlarza świec! Myślisz, że ty jeden obawiasz się, iż Księga może zostać użyta w złym celu? Od dziesiątków lat badałem tradycyjne znaczenie tych słów. Astiza i ja długo pracowaliśmy nad tym, żeby okazać się godnymi.

-A ja?

-Dziwne, ale byłeś niezbędnie potrzebny do odnalezienia zwoju. Jednemu tylko Totowi wiadomo, dlaczego tak się stało.

-Pewna Cyganka powiedziała mi kiedyś, że jestem błaznem, który musi znaleźć błazna.

- Pierwsze słyszę, żeby któryś z tych szarlatanów powiedział prawdę.

I jakby pragnąc udowodnić swoją rację, jeszcze tej nocy mnie otruł.

Nie należę do ludzi szczególnie łagodnych lub skłonnych do refleksji i zasadniczo niewiele myślę o boskich stworzeniach, chyba że muszę któreś schwytać, upolować albo go dosiąść. Darzę jednak sympatią psy, lubię garnące się do pieszczot koty i zachwycam się ubarwieniem niektórych ptaków. I dlatego nakarmiłem mysz.

Zasiedziałem się nad Księgą dłużej od Silana i Astizy, zastanawiając się, czy to słowo odpowiada tamtemu i czy takie dziwactwa, jak: „W waszym świecie przypadkowość jest podstawą fatalistycznej predeterminacji” w ogóle mają sens. W końcu zrobiłem sobie krótką przerwę i wyszedłem na ganek. Popatrzawszy w gwiazdy, którymi usiana była wilgotna czerń letniego nieba, poprosiłem, żeby mi podano coś do zjedzenia. Trwało to dość długo, ale w końcu przyniesiono mi miskę *fuul* wróciłem więc do izby i biorąc do ust pierwsze kęsy fasoli przyprawionej pomidorami i cebulą, zauważyłem w rogu gościa, który już wcześniej bawił mnie swoją obecnością. Była to egipska mysz kolczasta, nazywana tak z powodu szorstkiego owłosienia kłującego pyski drapieżników. Byłem nastawiony przyjaźnie do całego świata, odstąpiłem jej więc część porcji, choć również ze względu na gryzonie trzymaliśmy Księgę w solidnej skrzyni.

Potem wróciłem do pracy. Tak wiele możliwości wybo-

ni! Zastanawiając się nad znaczeniem symboli, spostrzegłem, że zaczynają mi pływać i wirować przed oczami. Zamrugalem, patrząc na rozmazujące się słowa. Byłem bardziej zmęczony, niż myślałem! Ale skoro zdołałem doczytać zdanie do końca - jeśli używał zdań we współczesnym znaczeniu tego słowa...

Teraz pływał mi już przed oczami cały zwój. Coś było nie tak. Spojrzałem w róg. Mysz, wielka jak domowy szczur, leżała na boku i dygotała, błyskając dziko wytrzeszczonymi oczami. I miała pianę na pyszczku.

Odsunąłem talerz i wstałem.

- Astizo! - chciałem krzyknąć, ale spuchnięty język wydobyl z moich ust tylko zdławiony charkot, który usłyszałem wyłącznie ja sam. Rzuciłem się ku drzwiom. Łotr Silano! Doszedł do wniosku, że nie jestem mu już potrzebny! Przypomniałem sobie jego wygłoszone przed rokiem w Kairze pogrozki związane z zatrutą świnia. Upadłem, nie czując nawet nóg, i wyrzuciłem łbem o podłogę tak mocno, że ujrzałem wszystkie gwiazdy. Jak przez mgłę zobaczyłem, że mysz już zdechła.

Tymczasem do izby weszło chyłkiem kilku ludzi, którzy mnie podnieśli. Ale jak Silano zamierzał wyjaśnić to morderstwo Astizie? A może chciał zabić także ją? Nie, wciąż jej pragnął. Tragarze, stękając, dźwignęli mnie z ziemi i ponieśli jak wór mąki. Byłem oszołomiony, ale zachowałem przytomność - pewnie dlatego, że skosztowałem tylko potrawy. Oni uznali mnie za martwego.

Wyszliśmy boczną furtką i ruszyliśmy ku rzece i garnizonowej wygódce, z której nieczystości odprowadzano niewielkim kanałem. Prowadził do małej zatoczki rzeki, porośniętej lotosami i pełnej gówna. Niosący mnie ludzie rozbujali mnie i rzucili do wody, bezradnego jak niemowlę.

Z wielkim pluskiem poszedłem pod wodę. Czyżby Silano chciał upozorować wszystko tak, by Astiza pomyślała, że się utopiłem?

Chłód wody nieco mnie otrzeźwił, a przerażenie tchnęło życie w moje członki. Udało mi się wypłynąć na powierzchnię i nabrać tchu. Niezbyt głębokie oszołomienie szybko ustępowało. Moi niedoszli kaci obserwowali mnie bacznie, rozbawieni jakby, ale wcale nie zaniepokojeni moją uporczywą walką o życie. Nie dotarło do nich, że nie zjadłem dostatecznie wielkiej porcji trucizny? Nie próbowali mnie zastrzelić i nie weszli do wody, żeby ze mną skończyć nożem lub pałaszem.

Może zdołam gdzieś dopłynąć i znaleźć pomoc?

I wtedy usłyszałem, że za mną coś potężnie plusnęło.

Odwrociłem się. W zatoczce była niewielka przystań, z której teraz rozwijał się z grzechotem jakiś łańcuch, a jego ogniwa płynęły po wodzie w moją stronę. Ki diabeł?

Ludzie, którzy mnie tu przynieśli, parsknęli śmiechem.

Rozcinając powierzchnię ciemnej wody, płynęły ku mnie cztery punkty; dwoje nozdrzy i dwoje oczu najbardziej odrażającej i groźnej ze wszystkich bestii: nilowego krokodyla. Ten prehistoryczny, stary jak smoki i nieczuły jak maszyna, obleczony w łuski potwór o korpusie grubym jak pień drzewa był składającą się ze stalowych mięśni torpedą, zaskakująco szybką zarówno w wodzie, jak i poza nią.

Choć byłem oszołomiony, natychmiast pojąłem całą perfidię łąjdackiego planu. Opłacone przez Silana dranie uwięziły w zatoczce drapieźnika, który miał mnie pożreć. Słyszałem już tłumaczenia hrabiego. Amerykanin poszedł do wygodki, potem przeszedł się nad Nil, żeby opłukać twarz lub popatrzeć na niebo i trrrach! - z wody wypada krokodyl... W Egipcie to się już zdarzało tysiące razy. Kłap, kłap... i po mnie. Silano będzie miał kamień, Księgę i kobietę. Szach i mat!

Podziwiałem jeszcze w myślach precyzję i perfidię tego planu, gdy krokodyl ruszył do ataku. Chwycił mnie od spodu, zaciskając zęby na mojej nodze, ale niezbyt mocno,

i natychmiast dał nura, ulegając dawnym łowieckim instyktom każącym mu utopić ofiarę. Zgroza tej złowrogiej długiej paszczy z wystającymi zębiskami, pokrytej omszałymi łuskami i jej tępy wyraz wryły się głęboko w mój umysł; mimo bólu i działania trucizny pobudziły mnie do działania. Gdyśmy tak wirowali w wodzie, wyrwałem zza pasa tomahawk i rąbnąłem bestię w pysk, zaskakując ją niewątpliwie tak samo jak ona mnie. Choć niewielką mu zrobiłem krzywdę, krokodyl natychmiast otworzył paszczę, uwalniając mojanogę. Uderzyłem ponownie, waląc w podniebienie, gdzie tomahawk się zaklinował. Powierzchnia zatoczki eksplodowała nagle, gdy krokodyl zaczął się szamotać, a ja poczułem, że po moim ramieniu przesuwają się krępujący go łańcuch. Instyktownie zacisnąłem na nim dłoń. Zwierzę uniosło mnie ku górze, moja głowa się wynurzyła i nabrałem tchu w płuca. Zanurzyliśmy się ponownie i krokodyl spróbował się odwrócić, by chwycić mnie zębami, choć tkwiący w jego pysku tomahawk musiał mu sprawiać wielki ból. Nie mogłem do tego dopuścić. Podciągnąłem się rozpaczliwie ku przodowi na łańcuchu, aż dotarłem do miejsca, gdzie obejmował on kark bestii, tuż przed przednimi łapami. I tam się zatrzymałem. Choćby nie wiedzieć jak się kręcił, chwycić mnie nie zdoła.

Ponownie się zanurzyliśmy, wetknąłem mu więc palce w ślepie. Teraz już miotał się jak rozhukany koń i trzymałem się resztką sił. Wskoczyliśmy nad wodę i znów daliśmy nura ku mulistemu dnu... a potem jeszcze raz się wynurzyliśmy. Słyszałem, że pomost trzeszczy i zgrzyta, gdy bydlę wściekle targało łańcuchem. Moi oprawcy przestali się śmiać. Noga broczyła mi krwią, co jeszcze bardziej rozjuszało krokodyla, bo wyczuwał jej zapach. Nie miałem żadnego pomysłu na zabicie tej bestii.

Gdy z powodu szamotaniny zbliżyliśmy się do pomostu, puściłem łańcuch i popłynąłem do brzegu. Nikt nigdy

nie płynął tak chyżo. Rzuciłem się rozpaczliwie i wczepiłem dłońmi w drewno.

Zaplątując się we własny łańcuch, krokodyl odwrócił się i runął na mnie, uderzając pyskiem w pełen drzazg pomost. Capnął i stęknął z bólu, jaki sprawił mu mój tomahawk, ale przegryzł deskę na dwoje. Pomost zaczął się chylić ku jego paszczy. A ja rozpaczliwie starałem się wdrapać wyżej. Usłyszałem pełne zdumienia i strachu okrzyki drani, którzy mnie wrzucili. Potem zobaczyłem słupek, do którego umocowano łańcuch, i gdy wskutek ataku bestii naprężenie się zmniejszyło, zrzuciłem zaczep z haka, licząc na to, że bydlę odpłynie do Nilu.

Krokodyl jednak do połowy wynurzył się z wody, a luźny łańcuch gwizdnął w powietrzu jak bicz. Uchyliłem się w ostatniej chwili. Bydlę wpadło z powrotem do wody, nagle zrozumiało, że jest wolne, i ruszyło pełną parą, ale nie na mnie. Piekącymi z bólu ślepiami dostrzegło stojących na brzegu i obserwujących naszą walkę ludzi. Krokodyl wyskoczył z wody i runął na nich, rozbryzgując krople i kłapiąc łapami.

Na krótkim dystansie krokodyl potrafi doścignąć konia. Dopadł jednego z moich prześladowców i niemal rozdarł go na pół jednym kłapięciem szczęk, porzucił go i pogonił za drugim, pędząc prosto na fort. Ścigany zaczął wrzaskiem alarmować załogę.

Nie miałem za wiele czasu.

Niechby mnie diabli porwali, gdybym miał zostawić wszystko Silanowi. Miałem zamiar zabić go, jeśli zdołam, a jak nie, niechby przynajmniej dręczyła go świadomość tego, co utracił. Chciałem wziąć ten zwój i wrzucić go w największą głębię Morza Śródziemnego. Poraniony i broczący krwią powlokłem się ku fortowi, idąc po piasku, na którym widoczne były półkoliste ślady zamachów potężnego ogona bestii. Przewornie zatrzymałem się przy małej furtce, przez którą tamci mnie wynieśli. Krokodyl

przebił się przez nią i wpadł na dziedziniec, na którym huknęły pierwsze wystrzały. Zagrzmiało też alarmowe działko. Przeszedłszy przez furtkę, trzymałem się cienia i przemykałem pod ścianami do mojej kwatery. Znalazłszy ją, chwyciłem moją rusznicę i wyrząłem na zewnątrz. Krokodyl leżał już martwy, trafiony setką kul; w ogromnej paszczy trzymał jeszcze resztki czyjegós korpusu. Wymierzyłem, ale nie w zwierzę. Naprowadziłem włosy celownika na latarnię w stajni za dziedzińcem, niedaleko magazynu i prochowni.

Zamierzałem wywołać pożar w całym forcie.

Był to jeden z najtrudniejszych strzałów w moim życiu i naciskając spust, wstrzymałem oddech. Musiałem trafić cel znajdujący się po drugiej stronie pola ćwiczeń, za oknem, i strącić go tak, żeby nie zgasić knota. Latarnia spadła z rozbitego haka, pękła - i żarłoczne płomienie rzuciły się na słomę. Niesamowite światło rozblęzło na łuskach i zębach potwora. Grozę sytuacji wzmogły okrzyki:

- Pożar! Pali się!

Nikt nie patrzył w moją stronę.

Pokuśtykałem więc z powrotem do izby, w której mnie otruto. Po drodze podniosłem jeden z oskardów, których saperzy używali do budowy fortu.

Zwój, szlag by go trafił, gdzie zniknął.

Rozejrzałem się dookoła. Płomienie strzelały coraz wyżej, a spłoszone konie wybiegały ze stajni i miotając się po dziedzińcu, zwiększały chaos. Słyszałem okrzyki oficerów:

- Magazyn! Polewajcie wodą magazyn!

Nabiłem rusznicę i strzeliwszy ponownie, trafiłem jakiegoś nieboraka, który usiłował zorganizować łańcuch wiader od studni. Kiedy runął na ziemię, cała grupa ludzi z wiadrami się rozproszyła - nikt nie miał pojęcia, co się stało. Wartownicy na wszelki wypadek zaczęli strzelać na wszystkie strony.

Do izby wpadła Astiza w nocnej koszuli, ze zmierzwionymi włosami i wytrzeszczonymi z przerażenia oczami. Jednym spojrzeniem ogarnęła swoją zakrwawioną nogę, mokre ubranie i pusty stół, na którym przedtem leżał zwój.

- Ethanie! Coś ty zrobił?!

- Zapytaj, co zrobił twój były kochanek, Silano! Otruł mnie i kazał rzucić na pożarcie temu gadowi, co leży na dziedzińcu. Nie uważasz, że ty byłabyś następną, gdyby tylko się tobą znudził? Chce mieć Księżę tylko dla siebie! Nie dla nauki, nie dla Bonapartego i z pewnością nie dla nas. Ona doprowadziła go do szaleństwa!

- Widziałam, jak z Bouchardem biegała do wieży. Za-trzasnęła drzwi i zamknęła się wewnątrz.

-Bo chce poczekać, aż żołnierze mnie zastrzelą. Być może liczy na to, że i ciebie w tym zamieszaniu trafi zbłąkana kula.

Usłyszeliśmy kolejne wrzaski i o ściany kwatery do-wództwa, w której się schroniliśmy, zaczęły bębnić kule.

- Nie możemy pozwolić mu uciec z Księżą - stwierdziła Astiza.

- To po co jej w ogóle szukaliśmy?

- A dlaczego ludzie w ogóle chcą się czegośkolwiek do-wiedzieć? To leży w naszej naturze!

- Nie w mojej. - Chwyciłem ją w ramiona. - Idziesz ze mną?

- Oczywiście.

- Więc jeżeli nie możemy odebrać mu zwoju, zniszczmy klucz do przekładu i dajmy mu bezwartościową Księżę. Czy z tej nory jest jakieś wyjście na zewnątrz?

- Za tymi drzwiami jest zbrojownia dla oficerów, a wewnątrz znajdziesz trochę prochu.

- Myślisz, że mogę stawić czoło całemu garnizonowi?

- Nie, ale możemy wybić dziurę w tej ścianie.

Uśmiechnąłem się.

- Boże, jak pięknie wyglądasz, kiedy jesteśmy w opalach.

Drzwi były solidnie zamknięte, ale strzeliłem w zamek i machnąłem oskardem. Ustąpiły. Nie była to główna prochownia, tylko magazyn oficerski, ale - na Tota! - znaleźliśmy w nim dwie baryłki prochu. Otworzyłem jedną i usypałem ścieżkę prochową do głównego pomieszczenia, a potem postawiłem obie baryłki pod ścianą zewnętrzną.

- A teraz zabierzemy kamień.

- Nie dasz rady! Jest zbyt ciężki!

Podniosłem drewniany wałek, który wetknąłem do wora, gdy chciałem, żeby udawał Księgę.

- Ben Franklin powiedziałby, że mogę to zrobić.

Sztuka drukarska zawsze wydawała mi się diabło skomplikowana, Franklin jednak zapewniał, że jest prosta jak bicie monet. Przewiesiwszy rusznicę przez ramię, poczłapałem do pomieszczenia, gdzie znajdował się Kamień z Rosetty, lśniący w cieniu odbłaskami pożaru stajni. Żołnierze na dziedzińcu utworzyli długi łańcuch aż do rzeki, przekazując sobie wiadra nawet nad ogonem martwego krokodyla. Strzelanina nieco ucichła.

Wziąłem farby Silana z jego garnków i rozsmarowałem po powierzchni mojego wałka. Potem przetoczyłem go kilkakrotnie po górnej powierzchni Kamienia, pokrywając powierzchnię warstwą farby, ale zostawiając wgłębienia rytów nietknięte. To samo zrobiłem z napisem greckim.

- Rozbierz się do pasa - zwróciłem się do Astizy.

- Ethanie!

- Potrzebna mi twoja skóra.

- Na miłość Izydy, człowieku! Czy wy, mężczyźni, po traficie myśleć tylko o jednym?

Ściągnąłem jej nocną koszulę z ramion, rozdzierając ją na plecach, na co Astiza zaprotestowała gwałtownym okrzykiem.

- Przepraszam. Jesteś bardziej gładka niż ja. - Pocało-

wałem ją, podczas gdy trzymała szmaty przy piersiach, i oparłem plecami o kamień. Szarpnęła się.

- Co ty wyprawiasz?
- Robię z ciebie bibliotekę.
- Odciągnąłem ją od kamienia i spojrzałem na swoje dzieło.

Nie było to idealne odbicie, niektóre litery przepadły w zagłębieniu kręgosłupa, ale jednak na jej plecach odbił się zwierciadlany wizerunek tajemniczych symboli.

Ponownie przycisnąłem ją do greckiego napisu, niektóre litery wypadły na górnej części pośladków. Było to dziwnie erotyczne, ale kobiety miewają całkiem ładne tyłeczki i podobał mi się zwój materii na jej biodrach...

Trzeba jednak było wrócić do rzeczywistości. Astiza znieruchomiała, zbyt zaskoczona jeszcze, żeby się rozzłościć, a ja zaatakowałem kamień, nie żeby go rozbić, ale skrócić od góry. Musiałem mierzyć w środek hieroglifów, licząc na to, że w przyszłości nie przeklnie mnie jakiś uczonec. Jedno uderzenie, drugie, trzecie - i granit zaczął pękać. Przymierzyłem się ostatni raz, uderzyłem z całej siły i górna ćwiartka kamienia odpadła, zabierając cały napis Tota i niewielką część hieroglifów. Odłamana część padła na ziemię.

- Pomóż mi przeciągnąć to do drugiej izby.
- Oszalałeś?

-Mamy kluczową część na tobie. Musimy zniszczyć ten kawałek. Nie możemy przenieść całego kamienia, ale ten zdołamy przepchać do zbrojowni.

- A potem?
- Wysadzimy go razem z tylną ścianą. Księga stanie się bezwartościowa, dopóki ponownie nie wykradniemy jej spod nosa Silana!

Kamień był ciężki, ale zdołaliśmy go przeciągnąć przez izbę wejściową i pod przeciwległą ścianę zbrojowni. Opar-

łem go o baryłki z prochem, pomyślawszy, że powinien skierować siłę wybuchu na mur.

Cofnąłem się, wziąłem świecę i podpaliłem ścieżkę prochową. Obejrzałem się za siebie. Astiza, skulona pod oknem, wyglądała ostrożnie na zewnątrz. Ludzie na dziedzińcu uciekali z wrzaskiem. Płomienie wzbily się wyżej...

- Ethanie! - ostrzegła mnie.

I w tejże chwili cały świat wyleciał w powietrze.

Prochownia Fort Julien pierwsza padła ofiarą ognia w grzmiącej eksplozji, która wysłała płonące odłamki na setki stóp w niebo. Nawet nas, ukrytych wewnątrz, powaliło na ziemię. W chwilę później zagrzmiał drugi wybuch ze zbrojowni i z niej też wyleciał deszcz odłamków. Kawalki Kamienia z Rosetty gwizdały jak szrapnele. Piękny tułów Astizy miał się stać jedynym zapisem symboli Tota. Dotknąłem jej ramienia.

- Farba już wyschła - uśmiechnąłem się. - Jesteś Księżą, Astizo. Sekretem życia.

- Lepiej postaraj się zakryć czymś tę księżę. Nie zamierzam biegać po Egipcie nago.

Znalazłem jej jakiś płaszcz oficerski. Mój tomahawk musiał zostać przy martwym krokodylu. Posługując się rusznicą jak lewarem, przedostaliśmy się przez rumowisko zbrojowni. We wzniesionej z błotnych cegieł ścianie fortu ziała szeroka dziura, przez którą wyszliśmy na ulice Rosetty. Na końcu uliczki znaleźliśmy arbę z bielizną do prania, a obok niej stał uwiązany do słupka i bardzo przestraszony osiołek.

ROZDZIAŁ 25

Ucieczka w tempie ciągnionego przez osła wózka nie jest najszybszym sposobem oddalenia się od ścigających, ale ma tę zaletę, że sam pomysł jest tak śmieszny, iż nikt nie zwróci uwagi na pasażerów takiego wózka. Uwolniona spod władzy Francuzów uprana odzież pozwoliła nam przybrać mniej lub bardziej egipski wygląd; noga mnie bolała, ale mocno ją owinęliśmy prowizorycznymi bandażami. Liczyłem na to, że uda się nam wymknąć chyłkiem w zamieszaniu wywołanym przez rozjuszonego krokodyla, uciekające konie i wybuchające magazyny. Przy odrobinie szczęścia wiarołomca Silano mógłby uznać, że zginąłem w brzuchu bestii, chyba że ktoś wpadłby na pomysł rozprucia krokodylowego brzucha. Mógłby też powziąć podejrzenia, że podejmiemy próbę przemknięcia się obok patrolujących Nil łodzi. Planowałem, że przejedziemy obok Francuzów i przedostaniemy się do tureckiego obozu pod Abukirem, a potem, dotarłszy do Smitha, spróbujemy wytargować odeń bezpieczny przejazd do Europy. My straciliśmy Księgę, ale Silano stracił możliwość kontynuacji jej odczytywania.

Szanse na sukces tego planu zaczęły topnieć, w miarę jak słońce wzbijało się coraz wyżej, a dzień robił się coraz bardziej upalny. Gdy oddaliliśmy się od zielonej doliny Nilu, kierując przez czerwone piaski pustyni na Abukir, usłyszeliśmy pierwsze grzmoty - ale przy tak czystym niebie mógł to być tylko łoskot wystrzałów armatnich. Przed nami to-

czyła się bitwa, co oznaczało, że mieliśmy przed sobą całą francuską armię - chyba że Turcy by zwyciężyli, a Francuzi rzuciliby się do ucieczki. Był 25 lipca 1799 roku.

- Nie możemy zawrócić - stwierdziła Astiza. - Wpadniemy w ręce Silana.

- Abitwy to spore zamieszanie. Może będzie jakaś droga.

Zostawiliśmy osiołka pod osłoną wysokiej wydmy, na którą się wspięliśmy, żeby mieć lepszy widok na zatokę. Roztaczająca się w dole panorama była przygnębiająca. Po raz kolejny okazało się, że turecka armia nie potrafi sprostać Francuzom. Odwadze żołnierzy niczego nie można było zarzucić, Turkom brakowało jednak siły ognia i zmysłu taktycznego. Czekali jak przestraszony zajęc; Francuzi ostrzelali ich pozycje z dział, a potem uderzyła ich jazda. Byliśmy świadkami klęski, patrząc, jak czołowa szarża kawalerii Murata nie tylko przebiła się przez pierwszą linię Turków, ale niczym nóż rozcięła drugą i trzecią. Jeźdźcy przegalopowali przez cały półwysep, wypędzając obrońców z okopów i przewracając namioty. Dowiedzieliśmy się później, że sam Murat wziął do niewoli tureckiego wodza w zacieklej walce, otrzymując postrzał z pistoletu w szczękę, ale w rewanżu odcinając mu kilka palców dłoni, w której Mustafa trzymał szablę. Bonaparte własną chusteczką owinął dłoń jeńca. W 1799 roku było jeszcze miejsce na rycerskość.

Po przełamaniu tureckich linii rozpoczęła się rzeź. Ponad dwa tysiące tureckich wojowników dało gardła na lądzie i dwa razy tyle utopiło się w morzu, gdy usiłowali dopłynąć do swoich okrętów. Garnizon w forcie na końcu półwyspu bronił się zaciekle, ale w końcu głodem i bombardowaniami jego załogę zmuszono do poddania się. Ponosząc straty w liczbie około tysiąca ludzi, z których trzy czwarte stanowili ranni, Bonaparte zniszczył kolejną turecką armię. Był to właśnie ten tryumf, którego potrzebował do odzyskania reputacji po klęsce pod Akką.

Przyjacielowi napisał, że „była to jedna z najpiękniejszych bitew”, jakie widział. Członków paryskiego Dyrektoriatu powiadomił, że „była jedną z najbardziej krwawych”. Jedno i drugie było prawdą. Odzyskał reputację dzięki krwi. Tak więc Astiza i ja znaleźliśmy się w kleszczach między pełnym wściekłych żołnierzy garnizonem w Rosetcie i zwycięską armią Francuzów łupiących obóz pokonanych nieprzyjaciół. Z paszczy krokodyla wydostałem się tylko po to, żeby okrzykli mnie wojskowi.

- Ethanie, jak sądzisz, co powinniśmy zrobić? - Mąż czyźnie pochlebia, gdy znajdujące się w niebezpieczeństwie kobiety zadają podobne pytania, choć nie protestowałbym, gdyby choć niekiedy przejawiały własną inicjatywę.

- Nadal musimy uciekać. Nie mam tylko pojęcia dokąd.

I wtedy zuchwała dziewczyna przedstawiła jednak własny pomysł.

- Pamiętasz oazę Siwah, gdzie Aleksandra Wielkiego ogłoszono synem Zeusa i Amona? Francuzi jej nie zajęli. Spróbujmy do niej dotrzeć.

Przelknąłem ślinę.

- Czy nie dzieli nas od niej sto mil przez pustynię?

- Owszem. Dlatego powinniśmy niezwłocznie ruszać.

Pomyślałem, że oboje skończymy jako mumie, padłszy ofiarą śmierci z pragnienia, ale dokąd jeszcze mielibyśmy uciec? Silano z pewnością każe nas zabić, Napoleon też.

- Chciałbym, żeby nasz osiołek nie wyglądał na zagłodzonego i nie miał takich zaropiałych oczu - powiedziałem. - Gdybyśmy mieli więcej czasu, poszukałbym jakieś gość lepszego.

Ale okazało się, że to nie ma znaczenia. Zszedłszy z wydmy, wpadliśmy wprost w ręce francuskiego patrolu.

Jak należało się tego spodziewać, Napoleon był tej nocy w dobrym humorze. Nic nie przyczyniało się do tego bardziej niż niedawno odniesione zwycięstwo. Wysłał do Francji biuletyny szczegółowo opisujące turecką klęskę.

Zdobyte sztandary pakowano właśnie, żeby je wysłać morzem do Francji. Ja, irytujący go komar, byłem związany, z jedną nogą pogryzioną przez krokodyla, moją ukochaną upokorzono, skonfiskowano mi rusznicę, a osiołka wyprawiono w drogę powrotną do jego właściciela.

- Generale, usiłowałem cię osłonić przed złym urokiem - zacząłem, nie żywiąc złudzeń dotyczących powodzenia mojej fanfaronady.

Otworzył butelkę bordeaux, jedną tych, które jego brat przywiózł z Francji.

- Doprawdy? Z tą piękną zmiją u boku?

- Silano szuka mrocznych czarów, które zwiodą cię na manowce.

- Należy więc dziękować Bogu za to, żeś wysadził w powietrze połowę mojego fortu. - Upił łyk wina.

Tak, jak to powiedział, rzecz nie wyglądała najlepiej.

- To była zwykła dywersja. - Wiedziałem, że lepiej by to zabrzmiało, gdybym odezwał się zuchwale i wyzywająco, ale gra szła o nasze życie.

Hrabia Silano na mój widok zrobił minę, jakby zobaczył nieboszczyka, który po trzech dniach zmartwychwstał.

- Monsieur, próby zabicia cię zaczynają mnie już męczyć - powiedział.

Uśmiechnąłem się do obu rozmówców.

- Mnie też.

- Ten kamień, który zniszczyłeś - odezwał się Bonaparte - czy to nie był klucz od odczytania starożytnej księgi?

Na całe szczęście obaj zachowali tyle godności, że nie przyszło im do głowy obnażenie Astizy.

- Tak, generale.

- I czego by ta księga właściwie nas nauczyła?

- Magii - odparł Silano.

- Czy magia wciąż jeszcze istnieje?

- Możemy sprawić, żeby ponownie stała się rzeczywistością. Magia i nieśmiertelność, generale.

- Nieśmiertelność! - parsknął śmiechem Bonaparte. - Ucieczka przed nieuniknionym losem! Widziałem zbyt wielu martwych, żeby liczyć na nieśmiertelność. Jedyne, co nam дано, to pamięć potomnych.

- My zaś wierzymy, że ta księga pomoże ci osiągnąć nieśmiertelność w dosłownym znaczeniu - powiedział hrabia. - Tobie i tym, co zechcą pójść za tobą.

- Takim jak ty? - Napoleon odstawił butelkę. - Masz więc bodziec, przyjacielu, powód do wzmożenia wysiłków. - Spojrzał na mnie. - Szkoda, Gage, żeś rozbił ten kamień, ale Silano poznał już znaczenie niektórych symboli. Być może odczyta resztę. A pozostała część steli pozwoli naukowcom się skupić na hieroglifach. Ten kamień prawdopodobnie wyłąduje w Paryżu albo Londynie, w zależności od tego, kto tu wygra. Będą się przed nim gromadzić tłumy ludzi nieświadomych tego, że czwarta część przepadła.

- Mogę im to powiedzieć.

- Chyba nie. - Bonaparte sięgnął do skórzanej torby i wyjął paczkę niedawno wydanych gazet. - Przysłał mi to Smith, kiedy pozwoliłem Turkom zebrać z pola ich rannych. Wygląda na to, że gdy my odnosiliśmy zwycięstwa tu, w Egipcie, w Europie sprawy potoczyły się innym torem. Francja ponownie znalazła się w niebezpieczeństwie.

Wtedy to właśnie zrozumiałem, że Bonaparte, znalazłszy nowy cel w Paryżu, zrezygnował z planów podboju Azji. Osiągnąwszy to, co mógł osiągnąć, odkrył to, czego pragnął najbardziej. Chciał władzy.

- Od marca toczy się wojna pomiędzy Francją i Austrią. Wyparto nas z Rzeszy i Italii. W Indiach zmarł Tipu Sahib, w tym samym czasie, kiedy my się zmagaliśmy z obrońcami Akki. Władza Dyrektoriatu legła w gruzach, a mój brat Lucjan w Paryżu usiłuje zreformować to zgromadzenie imbecylów. Flota brytyjska będzie musiała rozłuznić łańcuch egipskiej blokady, żeby uzupełnić zapasy

na Cyprze. Wtedy wrócę, żeby nadać wszystkiemu właściwy bieg. Wzywa mnie obowiązek. Wyznanie było haniebnie bezwstydné.

- Generale, obowiązek wzywa cię do zostawienia twoich żołnierzy?

- Muszę przygotować ich powrót. Kleber marzył o dowództwie od chwili wylądowania w Egipcie. Teraz je dostanie, sprawię mu listowną niespodziankę. Tymczasem podejmę ryzyko przemknięcia się przez łańcuch brytyjskich okrętów.

Ryzyko! Ryzykiem było zostawienie armii w Egipcie. Drań porzucał swoich ludzi dla politykowania w Paryżu! Prawdę jednak rzekłszy, mimo wszystko żywiłem podziw dla tego człowieka. Obaj w pewnym sensie byliśmy do siebie podobni: oportuniści i ryzykanci wychodzący z najgorszych opałów obronną ręką. Przegrawszy główną szansę, stawaliśmy się fatalistami. Obaj kochaliśmy kobiety. I niezwykle przygody, jeśli stwarzały możliwość ucieczki przed nudą.

Napoleon jakby czytał w moich myślach.

- Wojna i polityka zmuszają nas do sięgania po środki ostateczne - powiedział. - Szkoda, że musimy cię zabić, ale w tym sęk, Gage.

- Jaki sęk?

- Czuję, że los niesie mnie ku nieznanemu celowi, a ty możesz się stać przeszkodą, tak jak byłeś pomocny w Egipcie. Żaden z nas nie myślał, że zwiążesz się z tymi przekłętymi Anglikami, ale stanąłeś przeciwko mnie pod Akką, z tą twoją elektrycznością, a potem zaatakowałeś garnizon w Rosetcie.

- Tylko z powodu tego, co zrobił Silano. To on kazał mnie rzucić krokodylowi...

Napoleon podniósł rękę.

- *Au revoir*, Gage. W innych okolicznościach moglibyśmy zostać zażyłymi przyjaciółmi. W tym stanie rzeczy...

zdradziłeś Francję po raz ostatni. Udowodniłeś, że potrafisz być niebezpiecznym przeciwnikiem i uciążliwą przeszkodą. Ale nawet kot ma tylko dziewięć żyć. Do tej pory z pewnością wszystkie wyczerpałeś.

- Nie dowiemy się, dopóki nie sprawdzimy - stwierdziłem kwaśno.

- Zostawiam Silanowi pomysł, co zrobić z tobą i twoją kobietą. Tą, która strzelała do mnie w Aleksandrii.

- Generale, ona strzelała do mnie.

- Owszem. Dlaczego zło jest takie piękne? Cóż... Czeka na mnie przeznaczenie. - Pozbywszy się nas, odszedł, planując już kolejne posunięcia.

Przyzwoity i normalny człowiek po prostu by nas zastrzelił, Silano jednak był naukowcem. Astiza i ja tylekroć pokrzyżowaliśmy jego plany, iż uznał, że zasłużyliśmy na szczególne męki, i postanowił skorzystać z możliwości, jakie stwarzało mu otoczenie.

- Czy wiecie, że sam piasek wystarczy, żeby z człowieka zrobić mumię?

- No, no... co za wiedza...

Po północy zostaliśmy zakopani, ale tylko po szyje.

- W tym wszystkim podoba mi się, że możecie patrzeć na siebie i płakać - stwierdził, gdy jego sługusi skończyli uklepywać piasek wokół nas. Związano nam ręce na plecach i nogi w kostkach. Nie mieliśmy nakryć głowy i już chciało nam się pić. - W miarę jak słońce będzie się wzbijało wyżej, wasze męki zaczną się wzmacniać. Zacznie wam wysychać skóra, a potem będzie pękała. Refleksy słońca i kurz spowodują ślepotę i będziecie patrzeć na siebie, z wolna popadając w szaleństwo. Gorący piasek wchłonie wszelką wilgoć, jaka w was została, a języki spuchną wam tak, że trudno wam będzie oddychać. Będziecie się modlić, żeby węże lub skorpiony skróciły wasze męki. - Przerwał i poklepał mnie po głowie, jak dziecko kle-

pie psa. - Skorpiony wyżrą wam oczy, a mrówki wejdą wam w nozdrza i będą was zjadać. Liczcie na to, że sępy was znajdą, zanim powariujecie. Najbardziej jednak martwią mnie węże.

- Dużo o tym wiesz.

- Jestem przyrodnikiem. Od wielu lat studiowałem tortury. To wyjątkowa wiedza, dostarczająca mnóstwa rozkoszy, jeśli potrafisz docenić jej wyrafinowanie. Niełatwo zadawać człowiekowi straszliwe męki i nie przesadzić, żeby nie zwariował, zanim wyciągniesz zeń to, co chcesz wiedzieć. W tym doświadczeniu interesujące jest to, że ciało poniżej szyi może zostać wysuszone i zmumifikowane. Myślę, że to naturalny proces, który podsunął starożytnym Egipcjanom ideę mumifikacji zwłok. Czy wiesz, że perski król Kambyzes stracił w piaskowej burzy całą armię?

- Niespecjalnie mnie to martwi.

- Studiuję historię, żeby nie powtórzyć tego błędu. - Spojrzał na Astizę, której czarne włosy leżały rozrzucone na piasku wokół jej głowy jak wachlarz. - Kochałem cię, wiesz?

- Nigdy nie kochałeś nikogo oprócz siebie.

- Ben Franklin powiedział, że człowiek, który kocha siebie samego, nie ma rywali - wtrąciłem.

- Ach, niezwykle wygadany Monsieur Franklin. Z pewnością byłem bardziej wierny sobie, niż którekolwiek z was było wierne mnie! Gage, ile razy proponowałem ci partnerstwo? Ile razy cię ostrzegałem? Ale ty mnie zdradzałeś, ciągle i od nowa mnie zdradzałeś!

- Ciekawe dlaczego?

- Chciałbym zobaczyć, jak błągasz o łaskę.

I byłbym cię błagał, pomyślałem, gdyby to się na coś zdało.

- Cóż mnie też wzywa przeznaczenie. Mam towarzyszyć Napoleonowi do Francji, gdzie pogrążę się w stu-

diach nad tą Księgą, a nasz mały generał nie lubi na kogoś czekać. I niebezpiecznie jest oddalać się od głównej części korpusu. Obawiam się, Monsieur Gage, że już się nie spotkamy...

- Silano, wierzysz w duchy?

-Moje zainteresowanie zjawiskami nadprzyrodzonymi nie rozciąga się na zabobony.

- Uwierzysz, kiedy zacznę cię nawiedzać.

Roześmiał się.

- A potem wyzwiesz mnie do walki? A może zagramy w karty? W tym czasie pozwolę ci zmienić się w trupa. Albo w mumię. Może poproszę kogoś, żeby za kilka tygodni cię odkopał? Wtedy wstawię cię do rogu jak Omara.

- Alessandro, nie zasługujemy na taką śmierć! - krzyknęła Astiza.

Zapadła długa chwila ciszy. Nie mogliśmy zobaczyć jego twarzy. Potem usłyszeliśmy wypowiedziane spokojnym głosem słowa:

- Owszem, zasłużyliście. A ty złamałaś mi serce.

Zostaliśmy sami, żeby się piec na słońcu.

Astiza i ja patrzyliśmy sobie w twarze - ja zwrócony ku północy, ona na południe tak, żeby nasze policzki jednakowo mogły się przypiec w czasie pomiędzy świtem i zachodem słońca. Noce na pustyni są zimne, a przez kilka minut po wschodzie słońca ciepło bywa przyjemne. Potem, gdy niebo z różowego powlekło się dzienną mleczną białością, temperatura zaczęła wzrastać, bo blask odbijał się od piasku. Zaczęły mnie piec uszy. I usłyszałem pierwsze szmery owadów.

- Ethanie, boję się - wyszeptła zakopana o sześć stóp ode mnie Astiza.

-Wcześniej stracimy przytomność - pocieszyłem ją bez przekonania.

- Izydo! Sprawdź tu naszych przyjaciół! Pomóż nam!

Izyda nie odpowiedziała.

- Niedługo przestanie boleć - obiecałem dziewczynie.

Ból się jednak wzmógł. Rozbolała mnie głowa i zaczął mi puchnąć język. Astiza cicho pojękiwała. Nawet w sprzyjających okolicznościach egipskie słońce potrafi walić jak młotem po głowie. Teraz czułem się jak kowadło Jerycha. Wszystko to razem przypomniało mi aż nadto wyraziście moją ucieczkę przez pustynię z Aszrafem sprzed roku. Wtedy jednak mieliśmy konie, a mój przyjaciel mameluk wiedział, jak znajdować wodę.

Piasek nagrzewał się coraz bardziej. Narastający skwar czułem każdym porem skóry, ale nie mogłem się poruszyć. Coś mnie kłuło, nie umiałbym jednak powiedzieć, czy były to ukąszenia owadów, czy po prostu upał wyostrzył mi zmysły. Łeb bolał mnie coraz bardziej - jakby mi mózg puchł wewnątrz czaszki.

Czy mówiłem już, że hazard to zbrodnia?

Pot oslepił mnie i gryzł w oczy, ale wkrótce wysechł, zostawiając tylko sól. Czułem, że nabrzmiewa mi cała głowa. Blask zaczął mi zacierać wzrok i głowa Astizy upodobniła się do jakiejś z trudem rozpoznawalnej bani.

Czy nadeszło już południe? Chyba nie. Słyszałem ja-^{*}kiś rumor. Czyżby znów zaczęła się bitwa? A może znów zbierało się na deszcz, jak w Mieście Duchów?

Nie, upał narastał, powietrze nad pustynią wyraźnie już drżało. Astiza przez chwilę jeszcze łkała cichutko, a potem zupełnie umilkła. Modliłem się, żeby straciła przytomność. Czekałem na to samo, licząc, że oboje osuniemy się w objęcia śmierci nieświadomie, ale pustynia zaprażnęła mnie trochę podreńczyć. Temperatura nieustannie rosła. Moje policzki płonęły żywym ogniem. Zęby gotowały się w osadach szczęki. Gałki oczne spuchły mi tak, że nie mogłem zamknąć powiek.

I wtedy zobaczyłem, że coś pełznie obok.

Było czarne, więc jęknąłem w duchu. Żołnierze mówili mi, iż żądła skorpiona sprawiają okropny ból.

- Jak sto pszczoł naraz - powiedział jeden z nich.
- Nie, jak przyłożenie do skóry rozżarzonego węgielka z ogniska! - wtrącił drugi.
- Jak kwas w oko! - podsunął inny. - Albo jak walnięcie młotkiem w kciuk!

Kolejne szmery. Jeszcze jeden. Skorpiony zbliżyły się do nas, a potem cofnęły. Nie słyszałem, żeby się jakoś porozumiewały, ale wyglądało na to, że gromadzą się w stada, jak wilki.

Miałem nadzieję, że ich atak nie przywróci Astizie przytomności. Błagałem los, żeby pozwolił mi nie krzyczeć. Rumor przybliżał się i stawał głośniejszy.

Teraz stawonóg podszedł bliżej. W moich na poły oślepionych oczach wyglądał na potwora niewiele mniejszego z tej perspektywy od krokodyla. Patrzył na mnie z zimnym, tępym wyrachowaniem swojego mikroskopijnego mózdzku. Jego ogon drgnął, jakby bydlę się zastanawiało, gdzie ugodzić. I nagle...

Trrach! Drgnąłem na tyle, na ile pozwoliły mi moje więzy. Na skorpioną opadł pokryty kurzem but, miażdżąc go całkowicie. Obrócił się w miejscu, wgniatając resztki stawonoga w piasek, a potem usłyszałem znajomy głos:

- Na brodę Proroka, Ethanie, czy ty nigdy nie będziesz się sam wydobywać z tarapatów?

- Aszraf ? - wybełkotałem zdumiony.

- Czekałem, aż wasi oprawcy ojedzą dostatecznie daleko. Wiesz, jak jest gorąco na tej pustyni? I proszę, trafiam na was dwoje, w gorszych jeszcze opałach, niż was zostawiłem jesienią zeszłego roku. Jesteś niepoprawny, Amerykaninie!

Czy to mi się przypadkiem nie przyśniło? Mameluk Aszraf pierwaj był moim jeńcem, potem towarzyszem, gdy uciekliśmy z Kairu i pojechaliśmy na południe, żeby ratować Astizę. Ponownie ocalił nam życie podczas po-

tyczki na brzegu Nilu, dał konie i pożegnał się z nami, żeby przystać do bojowników Murad Beja. A teraz zjawiał się tutaj? Musiał w tym maczać palce Tot.

- Szedłem za wami od kilku dni. Najpierw od Rosetty, a potem tutaj. Nie rozumiem, czemu się przebraliście za fellachów i jechaliście tą arbą z osłem. A potem Frankowie zakopali was żywcem? Ethanie, powinieneś bardziej starannie dobierać przyjaciół.

- Amen! - wykrztusiłem.

Zaraz potem usłyszałem zgrzyt łopaty rozrzucającej piasek wokół mnie.

Nie bardzo pamiętam, co było potem. Gromada dobrze uzbrojonych mameluków, co tłumaczyło słyszany przeze mnie wcześniej hałas. Woda, boleśnie mokra, gdy ją sączyliśmy przez spuchnięte gardła. Przywiązanie do grzbietu wielbłąda. Potem jazda w kierunku zachodzącego słońca. Sen pod jakimś strzępem namiotu w oazie. Powoli zaczęliśmy odzyskiwać przytomność. Nasze twarze były czerwone i pokryte pęcherzami, wargi popękane, a oczy przypominały szparki.

W końcu ponownie przywiązano nas do wielbłądziego grzbietu i poprowadzono w jeszcze dziksze pustkowia, na południowy zachód, a potem na wschód, do tajnego obozu Murada. Kobiety namaściły nam popękaną skórę olejkami i ta kuracja powoli przywracała nam zdrowie. Wciąż nie bardzo zdawałem sobie sprawę z upływu czasu - kolejne dni zlewały się jeden z drugim. Gdybym wspiął się na szczyt diuny, mógłbym zobaczyć wierzchołki piramid. Za nimi był niewidoczny z naszego obozu Kair.

- Jak nas znalazłeś? - zapytałem Aszrafa, gdy już zdał mi dokładną relację z niespodziewanych napaści i poty czek, które tak dały się we znaki Francuzom.

-Po pierwsze, dowiedzieliśmy się, że kowal z dale-

kiej Jerozolimy dopytuje się o Astizę - powiedział. - Była to ciekawa wiadomość, ale spodziewałem się tego, wiedząc, że masz zamiar zniknąć. Potem Ibrahim Bej powiadomił nas, że hrabia Silano udał się do Syrii i gdzieś zniknął. Co to miało znaczyć? Napoleon został wyparty spod Akki, ale ty z nim nie wróciłeś. Doszedłem do wniosku, że się sprzymierzyłeś z Anglikami, i postanowiłem cię wypatrywać wśród Turków. Owszem, widzieliśmy płomień nad Rosettą i dostrzeżliśmy was dwoje na tym wozie z bielizną, ale jazda francuska była zbyt blisko. Czekałem więc, aż cię zakopali i wreszcie odjechali. Zawsze muszę cię ratować, mój amerykański przyjacielu.

- Na zawsze będę ci dłużny.

- Nie, jeżeli zrobisz to, co, jak podejrzewam, i tak musisz zrobić.

- Znaczy co?

-Otrzymaliśmy wiadomość, że Napoleon odpłynął, zabierając ze sobą hrabiego Silana. Będziesz musiał powstrzymać ich we Francji, przyjacielu. Służąca powiedziała mi o tajemniczych znakach na plecach twojej kobiety. Czym one są?

- Starożytnym pismem, które pozwoli odczytać to, co ukraść Silano.

- Pismo się zaciera, ale jest sposób, żeby utrwalić je na dłużej. Kazałem kobietom przygotować hennę.

Henna to roślina używana przez arabskie kobiety do ozdoby ciała, nanoszą nią sobie skomplikowane wzory, jak tatuaż.

Kiedy skończyły, Astiza wyglądała nadzwyczaj pięknie.

-A czy ta Księga w ogóle powinna zostać odczytana? - zapytał Aszraf, gdy szykowaliśmy się do odjazdu.

- Jeżeli nie, jej tajemnice umrą ze mną - odpowiedziała Astiza. - To ja jestem kluczem z Rosetty.

ROZDZIAŁ 26

Astiza i ja wylądowaliśmy na południowym wybrzeżu Francji 11 października 1799 roku, w dwa dni po przybyciu Napoleona i Silana. Dla obu grup podróż była długa i uciążliwa. Bonaparte, poklepując po tyłeczku panią Paulinę Foures, napisał list do Klebera informujący, że od chwili otrzymania pisma jest dowódcą korpusu ekspedycyjnego - wolał nie przekazywać mu tej wieści osobiście - i zabrawszy Monge'a, Bertholleta i kilku innych uczonych, takich jak Silano, popłynął do Francji, trzymając się często bezwietrznego wybrzeża Afryki, żeby uniknąć morskiego spotkania z Anglikami. Podróż była nużąca i trwała czterdzieści dwa dni. Kiedy on przekradał się do domu, francuscy politycy w Paryżu gorączkowali się coraz bardziej, knując spisek za spiskiem. Była to atmosfera wielce sprzyjająca ambitnemu generałowi, a biuletyn o zwycięstwie pod Abukirem ukazał się w Paryżu na trzy dni przed przyjazdem jego bohatera. Drogę na północ flankowały wiwatujące tłumy.

My też płynęliśmy powoli, ale z innych powodów. Za namową Smitha wsiedliśmy na pokład brytyjskiej fregaty w tydzień po opuszczeniu Egiptu przez Bonapartego i popłynęliśmy wprost do Francji, żeby przeciąć mu drogę. Uratowała go jego powolność. Zjawiliśmy się pod Tu-Ionem dwa tygodnie wcześniej od niego i dowiedziawszy się, że jeszcze się nie pokazał, śmignęliśmy z powrotem. Nawet z bocianiego gniazda widać tylko kilka mil kwadra-

towych okolicznych wód, a Morze Śródziemne to wielka woda. Nie mam pojęcia, jak blisko się minęliśmy. W końcu jedna z szalup wysłanych po wiadomości przywiozła wieści, że wylądował najpierw na rodzinnej Korsyce, a potem popłynął do Francji i gdy zawróciliśmy, miał już nad nami znaczną przewagę.

Gdyby nie było z nim Silana, chętnie bym zrezygnował z pościgu. Nie uważałem, że bym miał obowiązek pilnowania nadmiernie ambitnych generałów. Ale z hrabią miałem rachunki do wyrównania, a w jego rękach Księga była równie groźna, jak byłaby użyteczna w naszych. Ile już zdążył odczytać? Ile my odczytamy, korzystając z klucza Astizy?

O ile pościg morzem był niepokojący i kłopotliwy, o tyle czas, jaki dane nam było spędzić razem, wspominam bardzo miło. Do tej pory Astiza i ja niewiele mieliśmy go dla siebie. Zawsze dotąd kogoś ścigaliśmy, przed kimś uciekaliśmy albo poszukiwaliśmy skarbu. Teraz dzieliliśmy jedną z kabin oficerskich - nasza bliskość budziła żywą zazdrość wśród członków załogi i oficerów - i mieliśmy czas, żeby poznawać się do woli jak mąż i żona. Innymi słowy, dość czasu, żeby spłoszyć każdego mężczyznę, który się boi stałego związku z kobietą.

Mnie jednak się to spodobało. Z pewnością byliśmy partnerami w przygodzie i kochankami. Teraz staliśmy się przyjaciółmi. Ciało Astizy rozkwitło przy odpowiednim pożywieniu i odpoczynku, skóra odzyskała dawną gładkość, a włosy połysk. Uwielbiałem po prostu patrzeć na nią, jak czyta coś w naszej kabinie albo patrzy na błękit morza przy relingu, a wiatr drapuje na niej suknię i rozwiewa jej pyszne włosy. Jeszcze bardziej lubiłem oczywiście zdejmowanie z niej tych sukien. Ale wspólne przejścia zostawiły smutny ślad w jej duszy i jej uroda nabrała posmaku gorzkości. A gdy się jednoczyliśmy w naszej ciasnej kajucie, niekiedy pospiesznie, niekiedy powoli i czule, usi-

łując zachować ciszę na okręcie o cienkich ścianach, przenosiłem się jakby do innego świata. Zastanawiałem się, jak to się stało, żeśmy się zeszli -ja, amerykański oportunistą, i ona, egipska mistyczka. A jednak nawzajem braliśmy i dawaliśmy, starając się przewidzieć wzajemne pragnienia. Zacząłem myśleć o wspólnej przyszłości.

Chciałbym tak płynąć bez końca, w ogóle nie znajdując Napoleona.

Czasami jednak oddalała się ode mnie. Patrzyła wtedy w bok i uciekała myślami w mroczną przeszłość lub niepewną przyszłość. W takich chwilach zaczynałem się obawiać, że ją stracę. Przeznaczenie przemawiało do niej tak samo mocno jak moje serce.

-Pomyśl, Ethanie. Bonaparte mający moc czynienia cudów taką jak Mojżesz? Francja dysponująca sekretną wiedzą templariuszy? Silano, żyjący wiecznie i każdego roku opanowujący nowe czary zyskujące mu nowych wyznawców? Nasze zadanie nie zostanie ukończone, dopóki nie odzyskamy Księgi.

Wylądowaliśmy więc we Francji. Oczywiście nie mogliśmy przybić do Tulonu. Astiza naradziła się z angielskim kapitanem, przejrzała mapy i w końcu skierowała nas do ukrytej zatoczki osłoniętej stromymi skałami, w której nie mieszkał nikt oprócz kilku pasterzy kóz. Skąd znała wybrzeża Francji? Anglicy odwieźli nas na kamienistą plażę szalupą i zostaliśmy sami wśród mroków bezksiężycowej nocy. Po pewnym czasie usłyszeliśmy gwizd i Astiza zapaliła świecę, osłaniając jej płomień oponczą.

- Oto Błazen powrócił - usłyszałem znajomy głos z zarośli.

- Ten, który znalazł Błazna, ojca wszelkiej myśli, założyciela cywilizacji, przekleństwo i błogosławieństwo królów.

Wokół nas z mroku wychynęli smagli ludzie w wysokich butach, osłaniający głowy szerokimi kapeluszami

i ze srebrnymi nożami pozatykanymi za szerokie pasy. Ich przywódca pochylił się w ukłonie.

- Witaj wśród Romów - rzekł Stefan, król Cyganów.

To spotkanie miło mnie zaskoczyło. Spotkałem tych Cyganów - lub Gipcjan, jak nazywali ich niektórzy Europejczycy wywodzący pochodzenie tych wędrowców z czasów starożytnego Egiptu - przed rokiem, kiedy wspólnie z Talmą uciekliśmy z Paryża, żeby przyłączyć się do wyprawy Napoleona. Po napaści Najaca i jego opryszków na dyliżans, którym podróżowaliśmy, uciekłem w lasy i resztę podróży odbyłem pod osłoną taboru Stefana. Wtedy to po raz pierwszy spotkałem Sidneya Smitha i - co sprawiło mi większą przyjemność - piękną Saryllę, która przepowiedziała mi mój los, mówiąc, że jestem Błaznem szukającym Błazna (nazywanego przez innych Totem), i wyszkoliła mnie w miłosnej sztuce starożytnych. Był to bardzo przyjemny sposób dostania się do Tulonu - pod osłoną płóciennych ścian cygańskiego wozu, kryjącymi mnie przed oczami tych, co zamierzali odebrać mi święty medalion. Teraz moi zbawcy pojawili się ponownie, jak króliki wysuwające nosy z nor.

- Co, na wszystkie talie tarota, wy tu robicie? - zdumiałem się.

- Jak to co? Czekamy na ciebie!

- Powiadomiłam ich o naszym przybyciu za pośrednictwem angielskiego kutra - odezwała się Astiza.

No tak. Czy nie ci sami Cyganie powiadomili ją o medalionie i mojej podróży do Egiptu? Co doprowadziło do tego, że poprzedni pan Astizy na powitanie niemal odstrzelił mi głowę...

- Bonaparte was wyprzedza, a przed nim lecą wieści o jego zwycięstwach - stwierdził Stefan. - Jego podróż do Paryża stała się tryumfem. Ludzie mają nadzieję, że zdoła bywca Egiptu może uratować Francję. Przy odrobinie po-

mocy ze strony Alessandra Silano może osiągnąć to, co zechce, a jego pragnienia są niebezpieczne. Musisz odebrać Bonapartemu Księżę i ukryć ją w bezpiecznym miejscu. Templariusze ukryli ją na pięćset lat. Mam nadzieję, że twoja kryjówka przetrwa pięć tysięcy albo więcej.

- Najpierw musimy go dogonić.

- Owszem. Pospieszmy się. Szykują się wielkie wydarzenia.

-Stefanie, jestem ogromnie zaskoczony i uradowany naszym spotkaniem, ale pośpiech jest ostatnią rzeczą, o jaką podejrzewałbym Cyganów. Jeśli pamiętam, do Tu-lonu wleliśmy się w tempie krowy na wypasie i to chyba wszystko, na co stać te wasze koniki.

- Owszem, to prawda. Ale my, Romowie, mamy szczęśliwą rękę, jeżeli idzie o pożyczanie rozmaitych rzeczy. Znajdę ci jakiś dyliżans, szybki zaprzęg i na złamanie kar ku zawiozę cię... udając, że jesteś członkiem Rady Pięćset... do Paryża. Powiedzmy, że będę oficerem policji, a ten tu Andre będzie woźnicą. Z Carla zrobimy twojego sługę, a pani będzie twoją kochanką...

-Pierwszą rzeczą, jaką mam zrobić po powrocie do Francji, ma być kradzież powozu?

- Zachowuj się tak, jakby ten powóz ci się należał, wtedy nie będzie to wyglądało na kradzież.

- Ależ my nie mamy nawet prawa przebywać we Francji! Nadal ciąży na mnie oskarżenie o morderstwo prostytutki. Moi nieprzyjaciele użyją go przeciwko mnie.

- Czyli i tak grozi ci śmierć?

-Cóż... No tak.

- To czym się zajmujesz? Ale chodźmy, zapytamy Saryllę, co zrobić.

Cygańska wróżka, która oprócz przepowiedzenia mi przyszłości niejednego mnie nauczyła - przebóg, miło wspominam wydawane przez nią jęki i westchnienia! -była tak piękna, jak ją zapamiętałem. Na smagłych pal-

cach miała pierścionie, a w uszach duże, złote kolczyki polyskujące w blasku ogniska. Nie bardzo było mi w smak spotkanie dawnej kochanki z Astizą u boku - obie kobiety łypnęły ku sobie nieufnie jak rywalizujące kotki. Ale Astizą usiadła spokojnie obok mnie, podczas gdy Cyganka zaczęła tasować karty tarota.

- Los każe ci się spieszyć - powiedziała śpiewnie Cyganka, gdy kolejny rozkład kart ukazał karoce. - Nie będziemy mieli problemów z wyzwoleniem powozu dla naszych celów.

- Sam widzisz - w głosie Stefana zabrzmiała satysfakcja.

Lubię tarota. Może ci powiedziec wszystko, co chcesz usłyszeć.

Sarylla odwróciła kolejne karty.

- Ale kiedy będziesz się musiał spieszyć, natkniesz się lía kobietę. Będziesz musiał pójść okrężną drogą.

Jeszcze jedna kobieta?

- Ale w końcu nam się uda?

Cyganka odwróciła kolejne karty. Zobaczyłem wieżę, maga, błazna i króla.

- Napotkasz poważne trudności i być może nie obej dzie się bez walki.

Kolejna karta. Kochankowie. Sarylla spojrzała na mnie i na Astizę.

- Musicie działać razem.

Astizą ujęła moją dłoń i uśmiechnęła się.

Kolejna odwrócona karta. Śmierć.

- Nie wiem, komu jest przeznaczona. Magowi, błaznowi, królowi czy kochance. Czekają cię niebezpieczeństwa.

- Ale śmierć jest możliwa?

Z pewnością spotka Silana. Być może powinienem zabić i Napoleona.

Kolejna karta. Koło fortuny.

- Jesteś graczem i ryzykantem, prawda?

- Kiedy muszę.

Kolejna karta. Świat.

- Nie masz wyboru. - Spojrzała na nas wielkimi ciemnymi oczami. - Będziesz miał dziwnych sojuszników i dziwnych wrogów.

-Jak zwykle. - Skrzywiłem się.

Sarylla jednak zaintrygowana potrząsnęła głową.

- Trzeba poczekać, żeby zobaczyć, kto jest kim. - Spojrzała uważniej na karty, potem na Astizę. - Ethanie Gage, karty wróżą niebezpieczeństwo twojej nowej kobiecie. Wielkie niebezpieczeństwo... i coś nawet jeszcze głębszego. Smutek.

No tak. Kobiety zawsze pozostaną rywalkami.

- Co masz na myśli?

- Nie ja to mówię, tylko karty.

Wszystko to trochę mnie zbiło z tropu. Gdyby pierwsza przepowiednia Sarylli - ta sprzed roku - się nie sprawdziła, nie przejąłbym się wcale obecną. Mimo wszystko jestem człowiekiem ukształtowanym przez Franklina w duchu nauki. Ale choćbym nie wiedzieć jak pokpiwał z tarota, w tworzonych za jego pomocą przepowiedniach było coś niesamowitego. Zacząłem się obawiać o siedzącą obok mnie kobietę.

-Będzie walka - zwróciłem się do Astizy. - Możesz na mnie poczekać na pokładzie tego angielskiego okrętu. Jeszcze nie jest za późno, żeby dać im sygnał.

Astiza przez jakiś czas patrzyła uważnie na karty i *na* Cyganekę. Potem potrząsnęła głową.

- Mam własną magię i nie cofnę się, skoro dotarliśmy aż tutaj. - Otuliła się opończą, bo dawał jej się we znaki europejski chłód października, który dotarł dość daleko na południe. - Naszym prawdziwym wrogiem jest czas. Pospieszmy się.

Sarylla spojrzała na nią z sympatią w oczach i podała jej jedną z kart - gwiazdę.

- Zatrzymaj ją. Pomoże ci po namyśle dokonać właściwego wyboru. Niech cię nie opuszcza wiara, pani.

Ten gest zaskoczył i wzruszył Astizę.

- I ciebie, pani.

Podkradliśmy się więc do budynku poczty, „pożyczyliśmy” powóz i zaprzęg i ruszyliśmy do Paryża. Po jałowych przestrzeniach Egiptu i Syrii zachwycały mnie zieleń i złoto okolicznych lasów i pól, pełnych ciężkich stogów i snopów słomy. Niezerwane jeszcze owoce nadawały powietrzu ciężki, słodkawy zapach. Obok nas przeciągały wozy obładowane jesiennymi płonami, podczas gdy ludzie Stefana strzelali z bicia i poganiali konie, jakbyśmy w istocie byli przedstawicielami władz spieszącymi w pilnych sprawach państwowych. Nawet wiejskie dziewczęta wabiły oczy kształtami - po kobietach pustyni wydały mi się na poły nagie, o wyzywająco pełnych piersiach, okrągłych biodrach i poplamionych winnym sokiem łydkach. Ich wargi, pełne i czerwone jak jagody, kusily do pocałunków.

- Astizo, czy tu nie jest pięknie?

Astizę niepokoiły chmurne niebo, szeleszczące liście i drzewa tworzące nierówne sklepienie nad drogą.

- Nie widzę - odparła.

Kilkakrotnie przejeżdżaliśmy przez miasteczka udekorowane smętnie już zwisającymi trójkolorowymi flagami, zwiędłymi płatkami na drogach i pustymi butelkami po winie leżącymi w przydrożnych rowach. Wszystko świadczyło o niedawnym przejeździe Napoleona.

- Ten mały generał? - wspominał oberżysta. - Zuchwały kogut!

- Diabło urodziwy - dodała jego żona. - Czarne włosy, szare, płonące ogniem oczy. Mówi się, że podbił połowę Azji!

- Ludziska powiadają, że zaraz za nim wiozą skarbiec starożytnych.

- I jadą jego dzielni chłopcy!

Podróżowaliśmy do późna w noc i wyjeżdżaliśmy dobrze przed świtem, ale droga do Paryża musiała nam zająć kilka dni. Gnałiśmy tak, że nasz przejazd podnosił na drogach kłęby zeschniętych liści ciągnące się za nami jak złoto-czerwony ogon. Na postojach koniom parowały boki. Potem puszczałyśmy się w dalszą drogę i o zmierzchu czwartego dnia ujrzeliśmy Paryż, kiedy z drogi po lewej wypadł inny powóz zaprzężony w czwórkę pięknych koni i skręcił tuż przed nami. Przeraziłwicie rżące konie wpadły jedne na drugie. Nasz powóz chybnął się, zsunął do rowu i przewrócił. Astiza i ja wydostaliśmy się na zewnątrz, Cyganie zdążyli wcześniej pozeskakiwać z kozła.

- Kretyni! - zawołała kobieta z drugiego powozu. - Mój mąż każe was rozstrzelać!

Spojrzeliliśmy na nasz pojazd. Przednia oś była pęknięta, podobnie jak nogi dwu rżących z bólu koni. Kawa-lerzyści eskortujący powóz damy, która raczyła na nas wpaść, pozeskakiwali z koni i podeszli bliżej z pistoletami w dłoniach, żeby zastrzelić okaleczone konie i uwolnić pozostałe. Wykrzykująca obelgi z okna swojego powozu dama była świetnie ubrana - przepych jej sukni przygnębiłby żonę bankiera - ale patrzyła na nas z rozpaczą w oczach. Wyglądała na paryżankę, lecz nie umiałbym powiedzieć o niej niczego więcej. Byłem Amerykaninem, który nielegalnie wrócił do Francji, jak wiedziałem, wciąż poszukiwanym za morderstwo i nawet nie poddałem się czterdziestodniowej kwarantannie, obowiązującej wszystkich przyjeżdżających ze Wschodu. (Napoleon też ją zlekceważył). Teraz stanąłem wobec żołnierzy i konieczności odpowiedzenia na kilka pytań, choć to nie nasz woźnica zawinił w tym wypadku. Podejrzewałem, że w tej chwili nie ma to większego znaczenia.

- Jadę do Paryża w sprawach wagi państwowej! - lamentowała dama. - Zabierzcie z drogi swoje zwierzęta!

- To pani wymusiła pierwszeństwo! - odparła Astiza,

zdradzając cudzoziemski akcent i gniew. - Jest pani równie niegrzeczna jak niezręczna!

- Poczekaj - ostrzegłem ją. - Ona ma żołnierzy!

Za późno.

- A wy jesteście równie bezczelni jak niezdarni! - za wrzała gniewem dama. - Wiecie, kim jestem? Każę was aresztować!

Podszedłem do przodu, starając się uniknąć głupiej sprzeczki. Złożyłem nie mającą pokrycia ofertę opłacenia szkód, tylko po to, żeby usunąć z drogi przeszkodę. Nasi Cyganie mądrze zdążyli już się rozplątać wśród drzew. Zagrzmiały wystrzały dwu pistoletów, uciszając rzenie najbardziej okaleczonych koni, i jeźdźcy zwrócili się ku nam, kładąc dłonie na rękojeściach pałaszów.

-Ależ łaskawa pani, to zwykły wypadek - odezwałem się, przywołując na twarz mój zwykle skuteczny w podobnych sprawach uśmiech. - Jeszcze chwila i będzie pani mogła jechać dalej. Dokąd pani jedzie?

- Do męża, jeśli zdołam do niego dotrzeć! Och, co za pech! Skręciliśmy w niewłaściwą drogę i rozminęliśmy się z nim, a teraz jego bracia odnajdą go przede mną i nakłamią mu o mnie ile się da! Jeżeli mnie zatrzymacie, zapłaćcie za wszystko!

Pomyślałem, że gilotyna przeredziła rzesze podobnych arogantów, lecz kilku ich widać jeszcze zostało.

- Ale Paryż jest tam! - Wskazałem ręką.

-Chciałam się z nim spotkać! On jednak przejechał obok i pojechaliśmy na skrót! Teraz zajedzie do domu, a jak mnie nie zastanie, potwierdzi to jego najgorsze podejrzenia!

- Jakie podejrzenia?

- Że go zdradzałam! - Dama zalała się łzami.

Dopiero wtedy poznałem jej rysy, znane skądinąd w paryskich kręgach, w których się obracałem. Los zetknął nas z... Józefiną, żoną Napoleona! Co, u diabła, ta kobieta ro-

biła na bocznej drodze po zmroku? Jej płacz jednak godzinami był współczucia. Dajcie mnie katu, jeżeli nie jestem rycerski, a lży damy rozbiją każdego, kto uważa się za dżentelmena.

- To żona Bonapartego - szepnąłem, zwracając się do Astizy.
- Kiedy w przededniu bitwy pod Piramidami dowiedział się o niewierności Józefiny, niemal oszalał z gniewu.

- Dlatego ona tak się boi.

- Oboje wiemy, jaki on jest nieprzewidywalny. Może ją postawić przed plutonem egzekucyjnym.

Astiza zamyśliła się na chwilę, po czym podeszła do drzwi karety.

- Pani, znamy twojego męża.

- Co takiego?

Zauważyłem teraz, że jest niewysoka, szczupła i pięknie odziana. Nie miała twarzy uderzająco pięknej czy szczególnie urodziwej, ale miłe wrażenie robiła jej cera, prosty nosek, pełne wargi i piękne, duże, ciemne oczy, które nawet w rozpaczy zdradzały żywą inteligencję tej kobiety. Spod ciemnych włosów widać było pięknie ukształtowane uszy, ale płacz spowodował, że niektóre z kędziorów zlepiła wilgoć.

- Skąd go znacie? - zdziwiła się.

- Służyliśmy z nim w Egipcie. Teraz spieszymy, żeby go ostrzec przed strasznym niebezpieczeństwem.

- Znacie go? O jakim niebezpieczeństwie mówicie? Ktoś chce go zabić?

- Jego towarzysz podróży, hrabia Alessandro Silano, knuje zdradę.

- Hrabia Silano? Słyszałam, że wraca z moim mężem. Podobno jest jego zaufanym doradcą.

- Oczarował Napoleona i spróbował nastawić przeciwko tobie, pani. Ale możemy ci pomóc. Zamierzasz się pojednać z mężem?

Pochyliła głowę. Oczy miała pełne łez.

- Wszystko stało się tak nagle... Nie mieliśmy pojęcia, że on wraca. Zostawiłam najdroższego przyjaciela, żeby go powitać. Ale ci idioci skręcili w niewłaściwą drogę. - Wychyliła się z okna karety i ujęła Astizę za ramię. - Musicie mu powiedzieć, że wbrew pozorom, ja go kocham! Jeżeli się ze mną rozwiedzie, stracę wszystko! Moje dzieci zostaną bez grosza! Czy to moja wina, że on zostawia mnie samą na całe miesiące i lata?

- Czy nie sądzisz więc pani, że to bogowie zaaranżowali ten wypadek? - zapytała Astiza.

- Bogowie?

Odciągnąłem towarzyszkę na bok.

- Co ty wyprawiasz? - syknąłem.

- Ona jest naszym kluczem do Bonapartego - odparła Astiza szeptem. - Będzie otoczony przez żołnierzy. Jak inaczej możemy do niego dotrzeć, jeśli nie przez żonę? Nie potrafi być mu wierna, jak zresztą nikomu innemu, zawrze więc sojusz z każdym, kogo uzna za przydatnego. Musimy ją sobie zjednać. Kiedy pójdzie z nim do łóżka, może wydobyć zeń informacje, gdzie ukryto Księgę, bo w takich chwilach nawet najmądrzejsi tracą głowę. A my będziemy mogli wtedy odzyskać ten zwój!

- Co wy tam szepczecie? - zawołała Józefina z okna powozu.

Astiza odpowiedziała jej uśmiechem:

- Pani, widzisz, że nasz powóz nie nadaje się do dalszej jazdy, a ważne jest, żebyśmy dotarli do twojego męża. Myślę, że możemy sobie wzajemnie pomóc. Jeżeli pozwolisz nam sobie towarzyszyć, pomożemy ci pojechać się z mężem.

- Jakim sposobem?

- Mój towarzysz jest mądrym wolnomularzem. Znamy klucz do tajnej Księgi, która może dać Napoleonowi wielką władzę.

- Wolnomularz? - Józefina zerknęła na mnie podejrzliwie. - Ojciec Barruel w swojej sławnej książce napisał, że oni rozpętali rewolucję. Jakobini to był spisek masonów. Ale „Dziennik Ludzi Wolnych” utrzymuje, że masoni to rojaliści, usiłujący przywrócić władzę króla. Do których należysz, panie?

- Znam przyszłość twojego męża, pani - zełgałem. Józefina była zaintrygowana, a teraz zaczęła przeprowadzać jakieś kalkulacje.

- Święta Księża?

- Z Egiptu - potwierdziła Astiza. - Ale musimy być w Paryżu przed świtem.

Zdumiewające, ale Józefina przystała na naszą propozycję. Perspektywa niespodziewanego powrotu Napoleona i niewątpliwego wybuchu wściekłości męża, któremu usłużyła z pewnością doniosą o jej niewierności, tak ją zaniepokoiły, że gotowa była przyjąć wszelką pomoc, choćby nie wiedzieć jak niezwykłą. Zostawiliśmy więc nasz rozbity powóz z dwójką zastrzelonych koni ukrywającym się wśród drzew Cyganom i pojechaliśmy z nią do Paryża.

- A teraz powiedzcie mi wszystko, co wiecie, albo każę was wyrzucić - ostrzegła.

Musieliśmy zaryzykować.

- Znalazłem Księżę, dzięki której można zdobyć wielką władzę - zacząłem.

- Jakim sposobem?

- Ona uczy, jak naginać innych do swej woli. Jak rzucać na nich urok. Co zrobić, żeby żyć niezwykle długo... być może nawet osiągnąć nieśmiertelność. Jak manipulować ludźmi i zdarzeniami.

Józefina otworzyła szerzej pełne chciwości oczy.

- Hrabia Silano ukradł tę Księżę i przyłgnął do Bonapartego jak pijawka, osnuwając czarami jego umysł. Księża jednak nie została odczytana. Tylko my możemy to zrobić. Jako żona możesz ofiarować mu klucz do tej Księżki, pani,

i przekonać go, że Silana trzeba odsunąć, a wtedy przywrócisz trwałość waszego związku. Proponuję ci sojusz, pani. Z naszym sekretem możesz dostać się do sypialni małżonka. Ty, dzięki twojemu wpływowi, odzyskasz Księżę, usuniesz Silana i pomożesz Napoleonowi. Józefinę nie tak łatwo było sobie zjednać.

- O jakim kluczu mówisz, panie?

- O kluczu do zrozumienia dawno zapomnianego języka. - Astiza odwróciła się na ławce, a ja delikatnie rozsunąłem jej suknię na plecach, ukazując intrygujące wzory z henny.

Francuzka otworzyła usta ze zdumienia.

- To wygląda na pismo Szejtana!

- Albo Boga.

Józefina zamyśliła się na chwilę.

- Kogóż to będzie obchodzić, jeżeli zwyciężymy?

Jeżeli Tot patrzył na nas, to musiał się teraz sardonicznie uśmiechać. Pognaliśmy do domu Bonapartego na rue de la Victoire, nazwanej tak na cześć jego zwycięstw w Italii. Nie mając planów, sojuszników i broni, zdobyliśmy zaufanie damy pnącej się coraz wyżej po szczeblach drabiny społecznej.

Co o niej wiedzieliśmy? Zналиśmy wszystkie ploteczki, które krążyły po Paryżu. Wyrosła i wychowała się na Martynice, była o sześć lat starsza od Napoleona, niższa o dwa cale i miała nieprzeciętny talent do wychodzenia obroną ręką z wszelkich oparów. Po przyjeździe do Paryża poślubiła młodego i zamożnego oficera, Alexandre de Beauharnais, ten jednak był tak zakłopotany jej prowincjonalnymi manierami, że nie zechciał jej przedstawić Marii Antoninie i dworowi. Porzuciwszy męża, wróciła na Karaiby, skąd przegnał ją bunt niewolników, ponownie przyjechała więc do Paryża. Trafiała na szczyt terroru, w 1794 roku straciła męża na rzecz gilotyny, a potem sama została uwięziona. Głowę uratował jej zamach stanu, któ-

ry zakończył terror jakobinów. Kiedy w jej domu zjawił się młody oficer o nazwisku Bonaparte, który przyszedł powinszować jej zachowania syna, proszącego o pomoc w odzyskaniu szpady swojego ściętego ojca, Józefina uwiodła go bez najmniejszych skrupułów. Zaryzykowała, licząc na to, że ambitny Korsykanin zrobi karierę, i poślubiła go nawet, ale podczas jego pobytu w Italii i Egipcie sypiała z każdym, kto miał ochotę. Niektórzy powiadali, że była nimfetką. Mieszkała właśnie z byłym oficerem, a obecnie bankierem o nazwisku Hippolyte Charles, kiedy do Paryża dotarły wieści o powrocie zdradzanego męża. Rewolucja usankcjonowała rozwody, groziła jej więc utrata dosłownie wszystkiego i to w chwili, w której jej mąż sięgał po pełną władzę. Mając trzydzieści sześć lat i nieco już nadpsute zęby, mogła nie dostać od losu kolejnej szansy.

Usłyszawszy wyjaśnienia Astizy o niezwykłych mocach, zrobiła wielkie oczy. Była dzieckiem Karaibów i znała opowieści o magii i czarach.

- Ta Księga może zniszczyć człowieka, który ją posiadzie - stwierdziła Astiza - i zniszczyć narody, gdy niebaczenie uwolni się zawartą w niej wiedzę. Starożytni dobrze o tym wiedzieli, więc dobrze ją ukryli, ale hrabia Alessan-dro Silano ukradł ją, czym skusił los. Czaruje twego męża, pani, opowieściami o władzy i potędze. Napoleon może od tego oszaleć. Musisz nam pomóc, pani, odzyskać tę Księgę.

- Ale jak?

-My się już zajmujemy ukryciem Księgi, gdy nam ją przekażesz. Twoja znajomość zawartej w niej wiedzy da ci ogromną władzę nad mężem.

- A kim wy jesteście.

- Ja jestem Astiza, a ten mężczyzna to Ethan Gage.

- Gage? Elektryk? Uczeń Franklina?

- Madame, czynisz mi zaszczyt i pochlebiasz, mówiąc,

że moje nazwisko nie jest ci obce - ująłem jej dłoń. - **Mam** nadzieję, że będziemy sprzymierzeńcami.

Szybko cofnęła dłoń.

-Ale ty jesteś mordercą, panie! - Spojrzała na mnie podejrzliwie. - I podejrzanym awanturnikiem. Może nieprawda?

- Oto doskonały przykład kłamstw Silana, w których sieć hrabia może zaplątać twojego męża i zrujnować jego marzenia. Padłem ofiarą kłamliwego oskarżenia. Pozwól, że pomożemy ci w usunięciu tej trucizny z otoczenia twojego męża, a ty odzyskasz spokój i szczęście w małżeństwie.

- Owszem. Wszystko to wina Silana, nie moja. Ta Księga, powiadasz, kryje sekret straszliwej władzy?

- Takiej, która niewoli dusze.

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. W końcu odchyliła się na oparcie siedzenia i odpowiedziała z uśmiechem:

- Masz rację, panie Gage. Bóg patrzy na mnie przychylnym okiem.

Dom Bonapartego kupiony przez Józefinę, zanim się pobrali, stał w modnej paryskiej dzielnicy Chaussee d'An-tin. Była to podmokła niegdyś okolica, gdzie w ubiegłym stuleciu bogacze pobudowali sobie rezydencje zwane „follies”. Budynek był skromny, piętrowy, z pięknie kwitnącym ogrodem różanym z tyłu i tarasem, który Józefina kazała przykryć dachem i ozdobiła flagami i ściennymi kobiercami; przyzwoita siedziba wybijających się przedstawicieli klasy średniej. Koła powozu zazgrzytały na zwirze ocienionego lipami podjazdu i Józefina wysiadła; niespokojna i zdenerwowana, poszczypując policzki, żeby im nadać różową barwę.

- Jak wyglądam?

- Jak kobieta mająca tajemnice - odpowiedziała Asti-za. - Opanowana.

Na twarzy Józefiny pojawił się blady uśmiech. Zaczepnęła tchu i weszliśmy do domu.

Umeblowanie wnętrza świadczyło o osobliwie mieszanych, damsko-męskich gustach gospodarzy - w pokojach o ścianach wyłożonych barwnymi tapetami i oknach przesłoniętych koronkowymi firanami wisiały mapy i plany rozmaitych miast. Na stołach stały bukiety kwiatów, ale też leżały stopy książek, niektóre zapakowane jeszcze w Egipcie. Widać było, że pani domu lubi porządek, choć w jadalni stały męskie buty do jazdy konnej, a na jeden z foteli w salonie niedbale rzucono szary płaszcz.

- On jest w sypialni - szepnęła Józefina.

- Niechże pani tam pójdzie.

- Jego bracia wszystko mu powiedzieli! On mnie znienawidzi! Jestem przewrotną, niewierną kobietą! Nie umiem sobie z tym poradzić. Tak bardzo lubię się kochać! Myślałam, że go zabiją!

- Jesteś, pani, tylko człowiekiem, podobnie jak on - uspokajałem ją. - Zechciej mi uwierzyć, on też nie był święty. Proszę iść, poprosić o przebaczenie i powiedzieć, że wszystko robiła pani dla pozyskania mu sojuszników. Proszę mu też wyjaśnić, jak pani namówiła nas, żebyśmy mu pomogli, i że jego przyszłość zależy od nas trojga.

Nie ufałem Józefinie, ale czyż mieliśmy jakąś inną broń? Trafiła mnie myśl o tym, że gdzieś niedaleko mógł się czaić Silano. Józefina zebrała się na odwagę, weszła na piętro i zapukała do jego drzwi.

- Generale? Mój słodki?

Po chwili spokoju usłyszeliśmy odgłosy uderzeń, płacz, a potem przerywane łkaniem prośby o przebaczenie. Wyglądało na to, że Bonaparte zamknął drzwi. Był chyba zdecydowany na rozwód. Słyszeliśmy przez drzwi błagania Józefiny. Potem krzyki ucichły, nastąpiła chwila spokojniejszej rozmowy, a potem usłyszałem chyba szcęk klucza w zamku. Znów cisza. Zszedłem po schodach do

mieszczącej się w piwnicy kuchni i poprosiłem służącą o trochę chleba i sera. Służba zebrała się niczym stadko myszy czekających na wynik burzy szalejącej w sypialni gospodarzy. My ucieliśmy sobie czujną drzemkę. Przed świtem obudziła nas jedna ze służących.

- Moja pani chce was widzieć - szepnęła.

Poprowadzono nas po schodach na górę. Służąca za pukała.

- Wejdźcie, proszę! - odpowiedziała Józefina głosem pełnym radości, jakiej wcześniej w nim nie słyszałem.

Weszliśmy. Pojednany widać z żoną zwycięzca spod Abukiru leżał obok niej. Oboje byli zakryci po szyje i patrzyli na nas z satysfakcją kotów, które objadły się śmietaną.

- Przebóg, Gage - powitał mnie Napoleon. - Wciąż jeszcze żyjesz? Gdyby moi żołnierze mieli twoją zdolność przetrwania, podbiłbym z nimi cały świat!

- Generale, my usiłujemy tylko go uratować.

- Silano powiedział, że zostawił was zakopanych w piasku.

Moja żona opowiada o was zdumiewające historie.

- Chcemy tylko tego, co jest najlepsze dla Francji i ciebie, generale.

- Chcacie Księgi. Każdy jej pragnie, ale nikt nie zdoła jej przeczytać.

- My możemy to zrobić.

- Tak twierdzi Józefina. Z pomocą zapisków, które unicestwiłeś. Podziwiam twoją przebiegłość, Gage. Cóż, pozwól się zapewnić, że tej nocy dokonałeś jednej dobrej rzeczy. Pomogłeś mi pogodzić się z Józefiną, co sprawiło mnie w dobry humor.

Rozjaśniłem się. Może wszystko jeszcze będzie dobrze. Zacząłem się rozglądać za Księgą.

A potem usłyszałem za sobą ciężkie kroki i odwróciłem się ku schodom. Wchodziła po nich grupa kilku żandarmów. Spojrzałem na Napoleona. Trzymał w dłoni pistolet.

-Józefina mnie przekonała, że zamiast cię po prostu zastrzelić, powinienem was zamknąć w Tempie. Twoja egzekucja może poczekać, aż staniesz przed sądem za morderstwo tej dziwki. - Uśmiechnął się. - Muszę powiedzieć, że Józefina ujmowała się za tobą z niespożytą energią. - Wskazał Astizę. - Ty się rozbierzesz w pokoju mojej żony, przy niej i w obecności moich służących. Wezwałem sekretarzy, żeby skopiowali twój sekret.

ROZDZIAŁ 27

Ironią losu było to, że zostałem uwięziony w Tempie - najpierw była to siedziba templariuszy, potem więzienie króla Ludwika XVI i Marii Antoniny, zanim poprowadzono oboje na szafot, a w końcu bez powodzenia zamknięto w nim sir Sidneya Smitha. Anglik uciekł, dając sygnały z okna swojej kochance i popisując się pomysłowością, która bardzo do mnie przemawiała. Teraz, po osiemnastu miesiącach, musieliśmy się jakoś urządzić tu z Astizą. Naszym strażnikiem był tęgi, obleśnie usłużny i natrętny, głupawy, ale ciekaw wszystkiego dozorca Jacques Bonifa-ce, ten sam, który zabawiał Smitha opowieściami o templariuszach.

Przywieziono nas tam w więziennym powozie - mogliśmy obejrzeć Paryż przez kraty. Miasto pod szarym, październikowym niebem wyglądało dość ponuro, a ludzie byli chyba zastraszeni. My z kolei wyglądaliśmy jak zwierzęta i nie był to najlepszy sposób na przedstawienie Astizie wielkiego miasta. Wszystko było jej obce: wysokie wieże kościołów, hałas na targowiskach, gdzie handlowano skórami, sukniem i owocami, kakofonia rżenia koni i wrzasków kramarzy, a nade wszystko zuchwałość kobiet osłoniętych futrami tak, żeby w razie potrzeby szybko odsłonić piersi lub inny wabik. Astizę upokorzyła konieczność obnażenia się przed kopistami klucza i teraz wcale się nie odzywała. Kiedy zeszlśmy na brukowany, pozbawiony drzew dziedziniec więzienia, dostrzegłem coś

w bocznej furcie. Stali tam ludzie, którzy zawsze chętnie gapią się przez kraty na nieszczęśników w gorszym od nich położeniu. Zobaczyłem głowę pokrytą rudymi, kręconymi włosami, znaną mi tak dobrze jak rachunek wynajmu i natrętą jak niemiłe wspomnienia. Czy to możliwe? Nie, z pewnością nie.

Wzniesione w trzynastym wieku więzienie Tempie było brzydkim, wąskim zamczyskiem wznoszącym się na wysokość dwustu stóp do piramidalnego dachu, o celach słabo oświetlonych wąskimi, zakratowanymi okienkami. Cele otwierały się na wewnętrzny dziedziniec, na który można było zejść po spiralnych schodach. Z tego, że cele były przeważnie puste, można było wysnuć ponure wnioski o skuteczności jakobińskiego terroru. Wszyscy zamknięci w nim rojaliści zostali oddani gilotynie.

Gdybym miał oceniać więzienie, to widywałem gorsze. Astizie i mnie pozwolono na spacer po galerijce wokół dachu - była zbyt wysoko, żeby z niej zeskoczyć albo zsunąć się w dół - a jedzenie podawano lepsze niż w niektórych oberżach pod Jerozolimą. Ostatecznie byliśmy we Francji. Gdyby nie to, że byliśmy zamknięci, a Bonaparte i Silano szykowali się do podboju świata, ten więzienny odpoczynek mógłby mi się nawet spodobać. Jeżeli chodzi o docenienie zalet dobrej drzemki, nie masz niczego lepszego od poszukiwania skarbów, starych legend i kilku porządnych bitew.

Ale Księga To ta nie dawała nam spokoju, a plotkarz Boniface z radością dzielił się z nami wieściami o machi-nacjach, jakie toczyły się w mieście wojny i gwałtownych namiętności. Kolejne spiski i sojusze powstawały z szybkością smażonych naleśników, każda klika szukała miecza, żeby zapewnić sobie siłę pozwalającą na objęcie władzy. Skład Dyrektoriatu złożonego z pięciu czołowych polityków nieustannie się zmieniał, zgodnie z wolą członków obu izb ustawodawczych. Rada Starszych i Rada Pięciu-

set były hałaśliwymi, pompatycznymi zgromadzeniami kombinatorów, odzianych w togi, bezwstydnie biorących łapówki i trzymających pod ręką orkiestrę, która miała grać patriotyczne utwory przy uchwalaniu kolejnych aktów prawnych. Gospodarka kraju legła w gruzach, armia była systematycznie okradana przez dostawców, połowa zachodniej Francji wrzała buntem opłacanym przez brytyjskie złoto, a większość generałów tylko jednym okiem zerkała na pole bitwy, drugie utkwiwszy w Paryżu.

- Potrzebny nam przywódca - perorował nasz dozorca. - Masz szczęście, Gage, że siedzisz tutaj, z dala od tego całego wrzenia. Wychodząc na miasto, nigdy nie czuję się bezpiecznie.

- To smutne.

- Ale ludzie nie chcą dyktatora. Niektórzy czekają na powrót króla. Musimy jednak zachować ustrój republikański, ale któż zdoła ująć w dłonie lejce tego niesforenego zbiorowiska? To tak, jakby ktoś spróbował rządzić paryskimi kotami. Potrzebna tu mądrość Salomona.

- Wiesz, panie, o tym?

Jedliśmy wspólnie kolację w mojej celi. Boniface jadał też ze Smithem, bo się nudził i nie miał przyjaciół. Przypuszczam, że jego towarzystwo miało być częścią naszej udręki, ale jakoś zdołałem go polubić. Traktował więźniów łagodniej, niż niektórzy z gospodarzy traktują swoich gości, i poświęcał im więcej uwagi. Wzajemnej serdeczności sprzyjało też to, że Astiza wyglądała jak zawsze pięknie, a ja jak zawsze byłem dobrym kompanem.

Teraz Boniface kiwnął głową, odpowiadając na moje pytanie.

- Bonaparte chciałby być Jerzym Waszyngtonem udającym, że niechętnie godzi się na służbę krajowi, ale nie ma powagi i skromności twojego ziomka. Badałem życie Waszyngtona. Jego wstrzemięźliwość i skromność dobrze się przysłużyły waszemu młodemu narodowi. Korsyka-

nin przybył w nadziei, że jego popularność uczyni go członkiem Dyrektoriatu, przełożeni jednak zgotowali mu chłodne przyjęcie. Co on zrobi, siedząc beczynnie po powrocie z Egiptu? Widzieliście „Le Messenger”?

- Panie Boniface, zechce pan pamiętać, że jesteśmy zamknięci w tej wieży - stwierdziła łagodnie Astiza.

- A tak, rzeczywiście! Ten zuchwały tygodnik zaprzeczył sukcesom kampanii egipskiej! Wykpiono jej znaczenie! Wytknięto Napoleonowi porzucenie armii i niepotrzebne wytracenie żołnierzy podczas oblężenia Akki. Bonaparte został upokorzony przez człowieka, który niegdyś był tu więziony, przez sir Sidneya Smitha, znaczy! A jak wiecie, gazety są głosem Zgromadzenia. Napoleon jest skończony.

Talma kiedyś mi powiedział, że Bonaparte bardziej się boi wrogości prasy niż nieprzyjacielskich bagnatów. Nikt jednak nie wiedział, że Napoleon ma Księgę, a Sila-no znów dostał w swoje ręce kod, który pozwalał mu ją odczytać. Oto, jaki skutek odniosło wciąganie do sprawy tej przენiewierczej dziwki, Józefiny. Ta kobieta mogłaby uwieść papieża i doprowadzić go do nędzy.

Kiedy poprosiłem Boniface'a, żeby opowiedział mi coś o Rycerzach Świętyni, którzy zbudowali tę twierdzę, lunął na mnie potok słów, jakbym przekręcił kurek w pompie. Zalały mnie fakty i teorie.

-Sam wielki mistrz Jakub de Molay był tu więziony i torturowany! To miejsce jest pełne duchów, słyszałem, jak wyją podczas zimowych zamieci! Templariuszy chłostano i przypalano ogniem, aż złamani przyznawali się do okropnych, odrażających czynów, a potem posłano ich na stosy. Ale gdzież podział się ich skarbiec? Izby, w których jesteście teraz więzieni, miały być pełne złota, ale gdy przyszli królewscy, okazały się puste. A gdzież jest to źródło mocy, o którą pomawiano templariuszy? Jakub de Molay nie zdradził ani słowa, dopóki nie wprowadzo-

no go na stos. I wtedy przepowiedział, że król i papież umrą w ciągu roku. Jakiż dreszcz wstrząsnął tłumem, gdy ludzie usłyszeli te słowa! I to się sprawdziło! Ci templariusze, moi przyjaciele, byli nie tylko mnichami i wojownikami... byli też magami. W Jerozolimie znaleźli coś, co dało im osobliwą moc.

- Wyobraźmy sobie, że ta moc ponownie może zostać odkryta... - mruknęła Astiza.

- Człowiek taki jak Bonaparte natychmiast zagarnąłby władzę w państwie dla siebie. A potem, pozwólcie mi rzec, zobaczylibyśmy, jak świat się zmienia, na lepszy i gorszy!

- Wtedy będziemy sądzeni?

- Nie. Wtedy będziecie już ścięci. - Wzruszył ramionami z typowo galijskim fatalizmem.

Dozorca chętnie wysłuchiwał naszych z kolei opowieści, którymi jednak dzieliliśmy się z nim, zachowując ostrożność. Czy byliśmy we wnętrzu Wielkiej Piramidy? Owszem, ale nie znaleźliśmy tam niczego godnego uwagi.

A w Jerozolimie i pod Górą Świątynną?

Teraz jest to święte miejsce muzułmanów, którzy nie pozwalają chrześcijanom nawet się tam zbliżyć.

A co z pogłoskami o zagubionych w pustyni miastach?

Skoro zostały zagubione, jak moglibyśmy je odnaleźć?

Starożytni nie wznosiliby monumentalnych świątyń, gdyby nie chcieli w nich niczego ukrywać, upierał się Boniface. Wraz z kapłanami tamtych dni zaginęła magia. Nasz wiek był błądy, odarty z cudowności, mechaniczny i cyniczny. Nauka pokonała magię, rozpraszając tajemnice, a racjonalizm zaprzeczał istnieniu cudów. Nic nie było tak jak w Egipcie!

- Ale gdyby to odnaleziono ponownie? - podsuwałem mu.

-Ty coś wiesz, Amerykaninie, nieprawdaż? Nie, nie

potrzęsaj głową, nie próbuj przeczyć. Wiesz coś i ja, Boniface, to z ciebie wydobędę!

Dwudziestego szóstego października nasz nadzorca przyniósł elektryzujące wieści. Dwudziestoczteroletni Lucjan Bonaparte został wybrany na przewodniczącego Rady Pięciuset!

Wiedziałem, że Lucjan pracował na rzecz brata dużo wcześniej przed wyjazdem Napoleona z Egiptu. Był utalentowanym politykiem. Ale żeby został przewodniczącym najbardziej wpływowego we Francji zgromadzenia?

- Myślałem, że do zajęcia tego stanowiska trzeba mieć przynajmniej trzydzieści lat?

- O tym właśnie mówią wszyscy paryżanie! - Zełgał oczywiście... musiał, żeby jego nominację dało się jakoś pogodzić z konstytucją... ale wszyscy wiedzą, że to kłamstwo. I tak jednak go wybrano. To wszystko robota Napoleona. Delegaci są zastraszeni albo ktoś rzucił na nich czar.

Kolejne wieści były równie intrygujące. Upokorzony jeszcze niedawno przez Dyrektoriat Napoleon Bonaparte teraz wydawał bankiet na jego cześć. Zmiana poglądów na rzecz opinii publicznej? Czy generał zabiegał o względy polityków?

Dziewiątego listopada 1799 roku - albo 18 brumaire'a, wedle nowego kalendarza rewolucyjnego - Boniface przyszedł do nas z okrągłymi ze zdumienia oczami. Ten człowiek był chodzącą gazetą.

- Nie mogę uwierzyć! - wykrzyknął od progu. - Nasi prawodawcy padli chyba ofiarą czarów Mesmera! Tego ranka, o czwartej trzydzieści, członkowie Rady Starszych zostali gwałtownie obudzeni. Na poły śpiących zebrano w maneżu Tuileries, gdzie jednogłośnie postanowili przenieść dalsze obrady do Saint-Cloud. Ta decyzja to wariactwo, oddziela ich od wsparcia tłumów. Zrobili to z własnej woli, a członkowie Rady Pięciuset pojechali za nimi!

Wszystko to jest mętne, każdy spekuluje i zastanawia się, co będzie dalej. Ale kolejne nowiny sprawiły, że cały Paryż wstrzymał oddech!

- A co się stało?

- Napoleonowi oddano komendę nad paryskim garnizonem, odsuwając generała Moreau! Na Saint-Cloud idą nowe oddziały. Inni wznoszą barykady. Wszędzie pełno bagnetów!

- Oddano mu komendę garnizonu? To dziesięć tysięcy ludzi! Ta armia trzymała w szachu wszystkich, włącznie z Bonapartem.

-Właśnie. Dlaczego Zgromadzenie na to przystało? Dzieje się coś dziwnego, coś, co każe ludziom głosować przeciwko wnioskowi, które sami przed kilkoma dniami zgłaszali. Co to może być?

Ja oczywiście wiedziałem. Silano dokonał postępu w tłumaczeniu Księgi Tota. Wypowiedziano i utkano zaklęcia, które zakłócały innym jasność myśli. Istotnie rzucono czary! Całe miasto osnuto ich siecią. Astiza i ja spojrzeliśmy na siebie. Nie było czasu do stracenia!

- Tajemnice Wschodu - powiedziałem kierowany nagłym impulsem.

- Co takiego?

-Panie nadzorco, czy słyszał pan kiedyś o Księdze Tota? - zapytała Astiza.

Boniface zrobił zdziwioną minę.

-Ależ oczywiście, tak! Wszyscy badacze przeszłości słyszeli o Trzykroć Wielkim, poprzedniku Salomona, ojcu wszelkiej Wiedzy, Drogi i Słowa. - Zniżył głos do szeptu. - Niektórzy twierdzą, że Tot ustanowił raj na ziemi, my jednak zaniedbaliśmy prace nad jego zachowaniem, inni mówią, że był Aniołem Mroku, znanym i pod innymi imionami: Baal, Belzebub i Bafomet!

- Mówi się, że ta Księga zaginęła przed tysiącami lat, nieprawdaż?

- Może. Co prawda niektórzy utrzymują, że templariusze...
- Mości Boniface, to prawda. - Wstałem od stołu, przy którym piliśmy tanie wino. - Jakie są oskarżenia przeciwko mnie i Astizie? - zapytałem głębszym, bardziej poważnym głosem.

-Oskarżenia? Właściwie żadne. Nie potrzebujemy oskarżeń, żeby uwięzić kogoś w Tempie.

-Ale czy nie zastanowiło cię, panie, czemu Bonaparte kazał nas tu zamknąć? Sam widzisz, że jesteśmy przyjaźnie nastawieni i bezbronni. Zamknięci, ale zachowani przy życiu, bo możemy jeszcze się stać użyteczni. Co taka dziwna para jak my robi w ogóle w Paryżu i co my wiemy takiego, co może zagrozić bezpieczeństwu państwa?

Boniface spojrział na nas uważnie.

- Owszem, ja też zadawałem sobie takie pytania.

-Może... zgódź się na tę możliwość, panie Boniface... wiemy o jakimś skarbie. Największym na ziemi. - Pochyliłem się nad stołem.

- Skarbie? - zaskrzeczał.

-O skarbie Rycerzy Świątyni, ukrytym od tamtego piątku, trzynastego października tysiąc trzysta siódmego roku, kiedy wszyscy templariusze zostali uwięzieni i poddani torturom na rozkaz szalonego króla Francji. Jako strażnik tej twierdzy jesteś w niej uwięziony tak samo jak my. Jak długo zamierzasz tu pozostać?

- Dopóki moi przełożeni...

- Mości Boniface, sam możesz zostać swoim przełożonym. Tot da ci władzę. Ty i my, prawdziwi badacze przeszłości. Nie oddalibyśmy świętych sekretów podobnym do Bonapartego tyranom, jak zrobił to hrabia Silano. My zachowamy je dla całej ludzkości, nieprawdaż?

Podrapał się po głowie.

-Możliwe...

-Ale żeby dopiąć swego, musimy się stąd wynieść

i to szybko! Myślę, że Napoleon szykuje swój decydujący ruch na dziś. Powodzenie jego planu zależy od tego, w czyich rękach będzie ta Księga, dawno utracona, a teraz odzyskana. Templariusze ukryli swój skarb, o tak, w miejscu, o którym sądzili, że żaden człowiek nie ośmieli się tam zajrzeć - zełgałem.

- Gdzie? - zapytał, wstrzymując oddech.

- Pod Świątynią Rozumu, zbudowaną na Ile de Cite, gdzie starożytni Rzymianie wzniesli swoją świątynię Izy-dzie, bogini Egiptu. Ale tylko Księga może nam dokładnie powiedzieć, gdzie to jest.

Boniface wytrzeszczył oczy.

- Pod Notre Dame?

Bieda sprawi, że uwierzysz we wszystko, a pensje służby więziennej były bandycko niskie.

-Monsieur Boniface, będzie panu potrzebny oskard i odwaga. Odwaga, żeby stać się najbogatszym i najbardziej wpływowym człowiekiem na świecie! Ale tylko wtedy, gdy zechcesz kopać! I tylko jeden człowiek może nam wskazać dokładne miejsce. Silano chce zaspokoić wyłącznie własną chciwość. Musimy go schwytać i zrobić to, co jest słuszne, dla dobra masonerii, wiedzy o templariuszach i tajemnic starożytności! Przyłączysz się do mnie, panie?

- Czy to będzie niebezpieczne?

- Doprowadź nas tylko do komnat Silana i możesz się ukryć w kryptach Notre Dame, podczas gdy my będziemy odczytywali Księgę. A potem razem zmienimy historię świata!

W spokojniejszych czasach może nie dałby się namówić. Ale Paryż w przededniu przewrotu, pełen oddziałów wznoszących barykady, w którym ciała ustawodawcze były zastraszone, a ambitni generałowie w świetnych mundurach, błyszczących złotem epoletów, zbierali się

w domu Napoleona - ten Paryż był miastem, gdzie wszystko mogło się zdarzyć. Co ważniejsze, rewolucja zupełnie usunęła w cień katolicki kler i Notre Dame stała się cieniem minionej wielkości; złupionym przez biedaków poszukujących bogactw miejscem, gdzie gromadziły się tylko stare kobiety. Nasz strażnik dość łatwo mógł się wśliznąć do podziemnych krypt. Podczas gdy Bonaparte przemawiał do tysięcy ludzi zgromadzonych w ogrodach Tuileries, Boniface zbierał narzędzia do kopania.

Pozwolenie nam na opuszczenie więzienia było oczywiście z jego strony zuchwałym przekroczeniem uprawnień. Ostrzegłem go ponadto, że bez nas nigdy nie znajdzie tej Księgi ani nigdy nie zdoła jej odczytać. I że zamiast zostać najbogatszym człowiekiem na ziemi, sławnym z tego, że znalazł skarbiec templariuszy, resztę życia spędzi jako dozorca w Tempie na ploteczkach z więźniami. Tego wieczoru Boniface przyniósł nam wieści, że Bonaparte wdarł się na posiedzenie Rady Starszych, którzy debatowali nad jego żądaniem rozwiązania Dyrektoriatu i mianowania go pierwszym konsulem. Wedle wszelkich raportów jego mowa była gwałtowna, ale pełna sprzeczności, tak że nawet otaczający go adiutanci i zwolennicy musieli go wyprowadzić z sali. Mówił zupełnie bez sensu! Wszystko wydawało się stracone. A jednak deputowani nie kazali go aresztować czy wyrzucić, przeciwnie - przychyłili się do jego żądań. Dlaczego? Tego wieczoru, po tym jak zahipnotyzowani przez Napoleona żołnierze oczyścili z delegatów Oranżerię Saint-Cloud (niektórzy z delegatów musieli wyskakiwać przez okno), Rada Starszych zadekretowała, że Dyrektoriat zostaje zastąpiony przez Tymczasowy Komitet Wykonawczy pod przewodnictwem Bonapartego.

-Otaczającym go spiskowcom kilkakrotnie wydawało się, że wszystko stracone - opowiadał nasz strażnik -a jednak ludzie ugięli się przed jego wolą. Teraz urządzili łapankę na obecnych w Paryżu przedstawicieli Rady Pię-

ciuset, żeby zrobili to samo. Po północy konspiratorzy zostaną zaprzysiężeni na swoich stanowiskach!

Mówiono później, że wszystko stało się za sprawą blefu, paniki i bagnatów. Zastanawiałem się jednak, czy wśród wygłaszanych przez Napoleona bredni nie padły słowa mocy i władzy, których nie wypowiedano od pięciu tysięcy lat, słowa z Księgi spoczywającej do niedawna z ostatnim templariuszem w Mieście Duchów. Zastanawiałem się, czy spiskowcy nie posłużyli się Księgą Tota. Jeżeli jego czary zachowałyby swą moc, to Napoleon, nowy władca najpotężniejszego narodu na ziemi, opanuje wkrótce resztę świata - a z nim do władzy dorwą się masoni egipskiego rytu Silana. Powstanie nowy rząd okulty-stów i megalomanów; zamiast nowego świtu na ludzką historię padnie długi cień mroków przeszłości.

Trzeba było działać.

- Jak odkryłeś, gdzie przebywa Silano?

- On przeprowadza jakieś eksperymenty w pałacu Tuileries, pod osłoną Bonapartego. Mówi się jednak, że dziś go tam nie będzie, bo pomaga konspiratorom w przejęciu władzy. Na szczęście większość wojsk wymaszerowała do Saint Cloud. Pałacu Tuileries strzeże kilku tylko strażników, zresztą większa jego część świeci pustkami. Możecie wejść do komnat Silana i wziąć swoją Księgę. - Spojrzał na nas nie bez obawy w oczach. - Jesteście pewni, że ona tam jest? Jak nam się nie uda, trafimy pod gilotynę!

- Mości Boniface! Skoro dostaniesz Księgę, to ty będziesz decydował, kto ma pójść na gilotynę i o wszystkim innym.

Kiwnął niepewnie głową. Na jego koszuli widać było plamy tłuszczu i okruszki z kilku ostatnich posiłków.

- Ale to całe ryzyko! Nie jestem pewien, czy postępujemy słusznie.

- Wszystkie wielkie sprawy są trudne, inaczej nie byłyby wielkie! - Coś takiego mógłby powiedzieć Bonaparte,

a Francuzi uwielbiają taką gadkę. - Zaprowadź nas do komnat Silana i my weźmiemy ryzyko na siebie, a ty pójdziesz do Notre Dame!

- Ale ja jestem waszym strażnikiem! Nie mogę zostawić was samych!

- Uważasz, że jest coś, co może nas związać ze sobą bardziej niż podział największego skarbu na świecie? Zaufaj mi, mości Boniface, nie będziesz musiał nas potem szukać.

Aby dotrzeć do pałacu Tuileries, musieliśmy pokonać półtorej mili, a ponieważ szliśmy pieszo, nie mogliśmy ominąć porozstawianych po mieście wojskowych posterunków. Cały Paryż jakby wstrzymał oddech. Zapalono nieliczne tylko latarnie, pod którymi zebrały się niewielkie grupki ludzi omawiających nowiny o spodziewanym przewrocie. Bonaparte mianował się królem. Bonaparte został aresztowany. Bonaparte był w Saint-Cloud, Pałacu Luksemburskim, a nawet w Wersalu. Deputowani podburzyli tłum. Deputowani wezwali na pomoc Bonapartego. Deputowani uciekli. Wszyscy tylko stali i gadali.

Minęliśmy Hale, przechodząc ku północnemu brzegowi Sekwany i mijając po drodze nieoświetlone budynki teatrów. Przywołałem w pamięci miłe wspomnienia łóż pełnych kurtyzan zajętych swoimi interesami. Potem brzegiem rzeki ruszyliśmy na zachód, do Luwru. Na wyspie Cite wzbijały się ku niebu strzeliste wieże i łuki przyporowe katedry oświetlonej jedynie blaskiem księżyca.

- Musisz pójść tam i przygotować wszystko przed na mi - zwróciłem się do Boniface'a, wskazując mu Notre Dame. - Wrócimy z Księżą i schwytanym Silanem.

Kiwnął głową, a ponieważ właśnie przejeżdżał obok oddział jazdy, daliśmy nura w bramę.

W pewnej chwili wydało mi się, że ktoś nas śledzi, i obejrzałem się, zobaczyłem jednak tylko skrawek znikającej w jakiejś bramie spódnicy. I znów mignęła mi czer-

wień włosów. Czy mi się przywidziało? Chciałbym mieć teraz moją rusznicę, ale gdyby nas zatrzymano i znaleziono przy nas broń, bez dwu zdań wylądowalibyśmy na jakimś odwachu. W całym mieście zakazano używania czy noszenia przy sobie broni palnej.

- Widziałas tę dziwną kobietę? - zapytałem Astizę.

- W tym mieście każdy wydaje mi się dziwny.

Minęliśmy Luwr, mroczą i wezbraną rzekę, a przy ogrodach Tuileries skręciliśmy pod kolumnadę Pałacu Tuileries, którą przed dwustu laty kazała zbudować Katarzyna Me-dycejska. Jak wiele europejskich pałaców i ten był rozległy, kilka razy większy, niż wskazywałyby na to jakiegokolwiek praktyczne potrzeby, a po wzniesieniu pałacu w Wersalu został prawie całkowicie opuszczony. Podczas burzliwych dni rewolucji nieszczęsnego Ludwika XVI i jego żonę zmuszono do zamieszkania w tym miejscu, a potem wdarł się tu rozjuszony tłum, który zostawił po sobie obraz nędzy i rozpacz. Pałac wciąż wyglądał na opuszczony i nawiedzany przez duchy. Boniface pokazał policyjną przepustkę znudzonemu i zaspanemu wartownikowi przy bocznym wejściu, wyjaśniając mu, że mamy pilne sprawy wewnątrz.

- Nie prowadziłbym tam kobiety - mruknął żołnierz, łypiąc proźadliwie na Astizę. - Nikt tam nie wchodzi. To miejsce strzeżone przez duchy.

- Jakie duchy? - zapytał nagle pobladły Boniface.

- Różne rzeczy słyszy się tu po nocy.

- Masz na myśli tego hrabiego?

- Jak go nie ma, też coś tam łązi na górze - żołnierz uśmiechnął się żółtawymi zębiskami. - Możecie zostawić tę damę ze mną.

- Ja lubię duchy - odpowiedziała Astiza.

Wspięliśmy się po schodach na piętro. Wciąż jeszcze mogliśmy podziwiać architektoniczny przepych pałacu - przestronne sale tworzyły długie amfilady, gołe sufity po-

kryte były wymyślnymi reliefami, drewniane posadzki poukładano w mozaikowe wzory, a kominki pokryte były dostateczną liczbą rzeźb, żeby ozdobić połowę Filadelfii. Pod sklepieniami sal niosło się echo naszych kroków. Farby jednak były już wyblakłe, tapety na ścianach łuszczyły się i pękały, a na parkiecie widać było ślady kół działa, które tłum przeciągał tędy w 1792 roku, żeby przestraszyć Ludwika XVI. Niektóre z wielkich okien wciąż jeszcze były zamknięte rzeźbionymi okiennicami. Większość obrazów już wyniesiono.

Szliśmy nieskończenie długim rzędem sal zwierciadlane podobnych jedna do drugiej. W końcu nasz dozorca więzienny zatrzymał się przed jakimiś drzwiami.

- To są komnaty Silana - oznajmił. - Hrabia nie pozwala strażnikom podchodzić zbyt blisko. Musimy się pospieszyć, bo on lada moment może wrócić. - Rozejrzał się dookoła. - Gdzie jest ten duch?

- Tylko w twojej wyobraźni, mości Boniface - odpowiedziałem.

- Ale coś jednak odstrasza ciekawskich.

- Owszem. Wiara w idiotyczne opowieści.

Zamek drzwi wejściowych ustąpił bez większego oporu - nasz strażnik miał mnóstwo czasu, żeby nauczyć się od więźniów otwierania zamkniętych na klucz drzwi.

- Pięknie - powiedziałem mu. - Akurat taki jak ty, panie, człowiek, może spenetrować krypty pod Notre Dame. Tam właśnie się spotkamy.

- Uważacie mnie za durnia? Nie zostawię was tu samych, dopóki się nie przekonam, że cały ten interes z hrabią jest wart zachodu! Lepiej się więc pospieszmy. - Obejrzał się przez ramię.

Przeszliśmy przez przedpokój do większej komnaty, która wydawała się pusta. I zatrzymaliśmy się w progu, z niedowierzaniem w oczach. Silano nie próżnował.

Centralnym elementem umeblowania komnaty był du-

ży stół. Leżał na nim martwy, szczerzący kły w grymasie śmierci pies. Z jego korpusu wystawały igły z cienkimi przewodami;

- Mon Dieu, cóż to jest? - szepnął z przestachem Bo-niface.

-Myślę, że Silano przeprowadzał tu jakieś doświadczenie - odpowiedziała Astiza. - Usiłuje rozgryźć tajemnicę nieśmiertelności.

Nasz strażnik się przeżegnał.

Półki pełne były ksiązek i pergaminów, które hrabia musiał przywieźć z Egiptu. Były tu także szklane dzbanki pełne jakiegoś podobnego do żółci płynu, w których gospodarz przechowywał rozmaite martwe stwory: ryby z oczami jak spodki, ptaki z dziobami ukrytymi w piórach, pływające ssaki i inne rzeczy, których nie umiałem rozpoznać. Były też członki dziecięce i należące do dorosłych, mózgi, języki i pojemnik pełen przypominających ludzkie oczu, wyglądających jak oliwki w zalewie. Była też półka pełna czaszek i szkielet jakiegoś stworzenia, którego nie umiałbym zidentyfikować. Szklanymi oczami zewsząd gapiły się na nas wypchane ptaki i gryzonie.

W pobliżu drzwi na podłodze nakreślono pentagram z wypisanymi dziwacznymi symbolami z Księgi. Na ścianach obok starych map i szkiców piramid wisiały pergaminy i tabliczki z dziwacznymi figurami. Dostrzegłem kabalistyczny wzór, który znaleźliśmy w podziemiach Jerozolimy,! inne zestawy liczb, linii i liter pochodzące z tajemniczych źródeł - na przykład dziwacznie powykręcany krzyż. Wszystko oświetlały nisko zawieszone świeczniki. Silano odszedł jakiś czas temu, ale widać było, że zamierzał tu wrócić. Na drugim stole rozpościerało się morze papierysk pokrytych symbolami z Księgi Tota i próbkami przekładu Silana na francuski. Połowa z nich była po-przekreślana i poplamiona atramentem. Stojące obok fiołki zawierały jakieś paskudne płyny, były też małe cynowe

pojemniczki z jakimiś proszkami. W całym pomieszczeniu wisiał zapach inkaustu, płynów konserwujących, sproszkowanego metalu i... nieokreślonej zgnilizny.

- To miejsce pełne zła! - wymamrotał Boniface. Miał te raz minę człowieka, który zbyt późno się zorientował, że zawarł pakt z diabłem.

-Dlatego właśnie musimy odebrać tę Księgę Silanowi - stwierdziła Astiza.

- Jeżeli się boisz, panie, to odejdz - zaproponowałem.

- Nie. Chcę zobaczyć tę Księgę.

Większą część podłogi pokrywał wielki, pięknie tkany dywan, poplamiony teraz i porozdzierany, ale niewątpliwie pochodzący jeszcze z czasów Burbonów. Można było po nim przejść na balkon, który otwierał się na pustkę. Na dole był parter z kamienną posadzką, z którego można było wyjść na zewnątrz przez wielkie podwójne, podobne do wrót stodoły drzwi. Stał tam powóz i trzy wozy towarowe wyładowane różnymi skrzynkami i pudłami. Silano wciąż jeszcze nie rozpakował wszystkich przywiezionych z Egiptu rzeczy. Na balkon można było stamtąd wejść po drewnianych krętych schodach, co wyjaśniało, dlaczego hrabia wybrał ten właśnie apartament. Można tu było wygodnie i bez kłopotu wwozić i wywozić rozmaite rzeczy.

Na przykład drewniany sarkofag.

Trumna z Rosetty była ukryta w cieniu, ale dostrzegłem ją opartą pionowo o ścianę. W nikłym świetle widać było pokrywające wieko znajome mnie i Astizie dekoracje. A jednak wygląd tej skrzyni budził niepokój.

- To mumia - powiedziałem. - Założę się, że hrabia celowo opowiedział o niej służbie. To jest ten duch, o którym mówił wartownik, strażnik, który strzeże komnaty przed ciekawskimi.

- Tam jest nieboszczyk?

- Martwy od tysięcy lat. Przyjrzyj mu się. Kiedyś wszyscy będziemy wyglądali tak samo!

- Otworzyć? O nie! Strażnik powiedział, że on ożywa!
- Podejrzewam, że nie drgnie bez zaklęć z Księgi, a tak daleko Silano jeszcze chyba nie dotarł. W tym sarkofagu może być klucz do ukrytej pod Notre Dame fortuny. Mości strażniku, posyłałeś ludzi na gilotynę. Boisz się drewnianej skrzyni?

- Trumny.

- Którą Silano przywiózł tu z Egiptu bez żadnych kłopotów.

Podbechtany dozorca więzienny zebrał się na odwagę, podszedł do trumny i uchylił wieko. Z trumny wychylił się Omar - mumia o niemal czarnej twarzy, pustych oczodołach i wyszczerzonych zębach. Nieboszczyk pochylił się ku przodowi i wpadł wprost w ramiona imię Boniface'a.

Usłyszeliśmy przeraźliwy wrzask strażnika. Na jego twarz padły płócienne bandaże, a w nos buchnął mu kłęb kurzu. Bonifacy puścił mumię, jakby ta sparzyła go żywym ogniem.

- On żyje!

Problem z kiepsko opłacanymi urzędnikami polega na tym, że musisz się zadowolić tym, co masz.

- Mości Boniface, zachowaj spokój - odezwałem się. - On jest martwy jak kielbasa i takim pozostaje od tysięcy lat. Widzisz? Nazywamy go Omarem.

Dozorca przeżegnał się, choć jako jakobin powinien gardzić religijnymi przesądami.

- To, co robimy, to błąd. Będziemy za to przekłęci.

-Tylko jeżeli stchórzymy. Posłuchaj waść... robi się późno. Jak wiele jeszcze ryzyka zniesiesz? Idź do katedry, otwórz drzwi i zanieś tam narzędzia. Ukryj się i czekaj na nas.

- Ale kiedy przyjdziecie?

-Jak tylko znajdziemy Księgę i wydusimy z hrabiego kilka odpowiedzi. Zacznij ostukiwać płyty posadzki w krypcie. Musi tam gdzieś być pustka.

Kiwnął głową, przypominając sobie o chciwości.

- Ale obiecujecie, że przyjdziecie?

- Przecież nie stanę się bogaczem, jeśli się tam nie stawię, prawda?

To go zadowolilo i wreszcie, ku naszej uldze, zostawil nas samych. Mialem nadzieje, ze wiecej juz go nie zobacze, poniewaz o ile wiedzialem, pod Notre Dame nie ma zadnych skarbów i wcale nie zamierzalem tam przychodzic. Mumia Omara dobrze nam sie przysluzyla.

Spojrzałem bacznie na ciało. Powinno się nie ruszać, prawda?

- Musimy szybko znaleźć Księgę - powiedziałem Astizie. Sztuka polegała na tym, żeby ją znaleźć przed powrotem hrabiego. - Ty przeszukaj półki z tej strony, a ja przejrę tamte.

Zaczęliśmy myszkować wśród ksiąg, przewracając je i szukając czegoś, co mogło zostać ukryte za nimi. Były tu woluminy dotyczące alchemii, sztuk czarnoksięskich, zoroastryzmu, mitraizmu, Atlantydy i Ultima Thule. Były foliały dotyczące symboliki masońskiej, szkice egipskich hieroglifów, traktaty o hierarchii templariuszy, księgi o różokrzyżowcach i Świętym Graalu. Silano miał też dzieła omawiające zjawiska elektryczne, długowieczność, afrodyzjaki, leczenie ziołami, pochodzenie chorób i wiek Ziemi. Zakres jego zainteresowań był niezmierny - ale nie znaleźliśmy tego, czego szukaliśmy.

- Może zabrał ją ze sobą?

- Nie odważyłby się na to, nie przy dzisiejszych niepokojach na ulicach Paryża. Ukrył ją w miejscu, o którym myślał, że nie przyjdzie nam do głowy, żeby je przeszukać... albo że się nie ośmielimy tam zajrzeć.

Nie ośmielimy się? W Rosetcie Omar posłużył mu jako strażnik. Spojrzałem na nieszczęsną mumię, leżącą z nosem wciśniętym w klepki podłogi. Czy to możliwe, żeby...

Przetoczyłem Omara na plecy. W bandażach spowijających jego korpus była szczelina. Przypomniałem sobie nagle, że korpusy mumii były puste, bo usuwano z nich wszelkie organy. Z grymasem odrazy sięgnąłem do środka...

I musnąłem palcami śliski, ciasno zwinięty zwój. Sprytne.

-I tak oto mysz znalazła ser - rozległ się głos od drzwi.

Odwrociłem się wściekły, bo daliśmy się zaskoczyć. Szedł na nas Alessandro Silano, wyprostowany i odmłodzony, jakby coś zdjęło mu z ramion brzemię lat; gdy tak kroczył ku nam, w jego dłoni śmigał lśniący rapier. Nie utykał już i miał mord w oczach.

- Ethanie Gage, niełatwo cię zabić, nie powtórzę więc błędu, jaki popełniłem w Egipcie. Chciałem wykopać twojego wyschniętego trupa i umieścić go kiedyś w którejś z gablot mojego przyszłego pałacu... ale przyznam też, że skrycie liczyłem na to, iż los da mi kiedyś tę szansę... załatwić was oboje, tak ja to zrobię teraz.

ROZDZIAŁ 28

Oboje z Astizą byliśmy bezbronni. W braku czegoś lepszego ona chwyciła jakąś czaszkę z półki. Ja, ponieważ nie zamierzałem wypuścić z rąk tego, po co tu przyszliśmy, poderwałem wyszczerzonego w koszmarnym uśmiechu Omara ze zwojem wewnątrz piersi. Był lekki i kruchy, a jego bandażę suche i szorstkie.

-Dobrze się składa, że wróciliśmy do Paryża, gdzie wszystko się zaczęło, nieprawdaż? - zapytał hrabia. Jego śmiertelnie niebezpieczny rapier drgał jak język węża. Wolną ręką rozwiązał sznur przy szyi, zrzucając opończę na ziemię. - Czy nie zastanawiałeś się, Gage, jak potoczyłoby się twoje życie, gdybyś po prostu sprzedał mi ten medalion, gdy los zetknął nas ze sobą po raz pierwszy?

- Oczywiście. Nie spotkałbym Astizy i nie uwolniłbym jej od ciebie.

Zerknął szybko na moją towarzyszkę, która odchyliła ramię do rzutu utrzymaną w dłoni czaszką.

- Już niedługo ją odzyskam i zrobię z nią, co zechcę.

Astiza rzuciła swój pocisk. Hrabia odbił go lekceważąco ręką i czaszka z chrzęstem pękających kości spadła na posadzkę. Silano ruszył na mnie, przechodząc obok stołów.

Wyglądał bardziej młodo - Księża coś z nim uczyniła - ale patrząc na niego, zrozumiałem, że była to dziwna młodość; wyglądał, jakby naciągnięto nań nową skórę. Ta była napięta i miała ziemistą barwę, patrzył bystro, ale

w jego oczach było zmęczenie. Wyglądał jak człowiek, którego od wielu tygodni dręczy bezsenność i który wie, że może nigdy już nie zaśnie. Dlatego w jego wzroku był cień szaleństwa.

Coś było nie tak ze znalezionym przez nas zwojem.

-Alessandro, twoja pracownia śmierdzi jak dno piekiel - powiedziałem. - Któremu ty bogu oddajesz cześć?

-To po prostu przedsmak tego, dokąd pójdziesz -warknął. - W tej chwili! -I zadał pchnięcie.

Zasłoniłem się moją koszmarną tarczą. Ostrze przebiło Omara na wylot, ale też ugrzęzło. Głupio mi trochę było wystawiać biedaka na sztych, ale przecież jemu i tak już było wszystko jedno. Pchnąłem mumię na Silana, wykręcając mu dłoń w nadgarstku, ale jego rapier przedarł się przez wyschnięte zwłoki i liznął mnie po boku. Do kata! Ależ zabolalo. Klinga była ostra jak brzytwa.

Hrabia zaklął i machnąwszy wolną ręką - odzyskał dawną sprężystość i giętkość - trafił mnie w szczękę. Cios odrzucił mnie w tył i wyrwał mi mumię z rąk. Silano zatoczył się, nie cofając rapiera, i sięgnął do pustej klatki piersiowej Omara, tryumfalnie wyjmując z niej zwój. Teraz w ogóle nie miałem już się czym zasłonić. Hrabia uniósł Księgę nad głową, kusząc mnie, żebym po nią sięgnął - wtedy mógłby mnie nadziać na ostrze jak kuraka na rożen. Astiza przyczaiła się z boku, czekając na swoją szansę.

Rozpaczliwie rozejrzałem się dookoła. Drewniana trumna! Stała już pionowo, chwyciłem więc niezbyt poręczną skrzynię i przestawiłem, okręcając się wokół osi, żeby się zasłonić. Silano uwolnił już swój rapier, przecinając biednego Omara niemal na dwoje, i wepchnąwszy zwój za koszulę, ponownie rzucił się na mnie. Zastawiłem się trumną, pozwalając, żeby rapier przeszył kruche drewno na wylot, ale natychmiast potem szarpnąłem ją w bok, pozbawiając Silana równowagi i łamiąc jego klin-

gę. Kopnął wściekle, rozbijając skrzynię, ale wtedy coś z niej wypadło.

Moja rusznica!

Schyliłem się po nią, ale wtedy złamany rapier śmignął po moich palcach, tnąc tak boleśnie, że nie zdołałem uchwycić broni. Potoczyłem się w bok, podczas gdy Sila-no kopniakiem odrzucał potrząskane drewno, żeby mnie wreszcie dopaść. Wyciągnął teraz pistolet i wymierzył we mnie z grymasem nienawiści na twarzy. Rzuciłem się do tyłu w tej samej chwili, w której zagrzmiął wystrzał, i poczułem rozwiewający mi włosy podmuch po kuli. Kula trafiła w jeden ze szklanych słoików ze żrącymi płynami i roztrzaskała go, tak że płyn rozlał się na podłogę obok balkonu. Ze słoja wymknęło się coś oślizłego i bladego, a po pomieszczeniu rozszedł się gryzący zapach zmieszany z wonią dymu prochowego.

- Obyś zdechł! - Silano drżącymi palcami zaczął nabijać pistolet.

I wtedy przyszedł mi z pomocą Stary Ben. „Wszystko da się pokonać energią i wytrzymałością. Energia!”

Astiza czołgała się pod stołem w stronę Silana. Zdjąłem płaszcz, rzucając go weń dla rozproszenia jego uwagi, a potem rozdarłem z przodu koszulę. Hrabia spojrzał na mnie jak na wariata, mnie jednak potrzebna była obnażona i sucha skóra. Nic tak nie wytwarza ładunku jak tarcie. Zrobiłem dwa kroki i rzuciłem się na dywan, po czym ślizgiem ruszyłem ku rozbitemu słoikowi, trąc piersią wełnę i zaciskając zęby z powodu piekącego bólu. Widzicie, elektryczność wytwarza tarcie, a sól w naszej krwi czyni z nas na krótko ogniwa. Sunąc ku przeciwnemu krańcowi pokoju, gromadziłem ładunek.

Pęknięty słoik miał metalową podstawę. Sunąc po dywanie, wyciągnąłem rękę i palec jak Bóg z Sykstynty Michała Anioła ku Adamowi. Kiedy się zbliżyłem, zgromadzona przeze mnie energia przeskoczyła na metal w postaci iskry...

I całe pomieszczenie rozniosła niemal eksplozja gazu.

Opary z diabelskich mikstur Silano przeleciały nad moim wijącym się ciałem w postaci ognistej kuli ku hrabiemu, Astizie i wzdłuż, po schodach, ku powozom i paczkom na parterze. Podmuchał ze stołu papiery, które zatańczyły w powietrznym wirze, podczas gdy na dole rozpełtał się ogień. Wstałem z trudem z osmalonymi włosami i piekącymi bokami - z jednej strony piekła rana po rapierze hrabiego, z drugiej otarcie do krwi - i rzuciłem się ku mojej rusznicy. Odrobina płynu odkażającego padła na moje ubranie, stłumiłem więc płomień dłońmi. Komnatę zaczął zasnuwać sinawy dym. Silano upadł, teraz jednak dźwigał się na nogi i oszołomiony sięgał po pistolet. Zaraz potem poderwała się z ziemi Astiza, która stanąwszy za nim, zarzuciła mu coś na szyję.

Płócienne bandaże Omara!

Popęzłem ku rusznicy.

Silano, szamocząc się rozpaczliwie, uniósł Astizę nad podłogę, ona jednak uparcie wisiała na jego plecach. Tańczyli jakiś koszmarny taniec, w którym brała udział złowrogo się szczerząca mumia. Chwyciłem strzelbę i nacisnąłem spust, ale usłyszałem tylko suche szczęknięcie.

- Pospiesz się, Ethanie!

Rożek z prochem i woreczek z kulami były na miejscu, zacząłem więc ładować, po raz pierwszy klnąc skomplikowaną procedurę nabijania rusznicy.

Odmierzyć proch miarką, wsypać, wcisnąć przybitkę, wrzucić kulę. Drżały mi ręce. Astiza i Silano przesunęli się obok mnie. Hrabia poczerwieniał od dławiącego uścisku garoty Astizy, ale chwycił ją za rękę i zaczął ją wykręcać w nadgarstku. Przybitka, wycior... teraz ubić długim wyciorem. .. Do diabła! Zmagający się uderzyli w balustradę balkonu i wylamali jej część. Z dołu były już wysokie płomienie. Mumia tańczyła wokół walczących. Gdy uniosłem rusznicę do oka, hrabia przesunął Astizę przed siebie, za-

słaniając się nią jak tarczą, i zaczął się szarpać, żeby unieść swój pistolet. Pod sufitem zgromadziły się już gęste kłęby dymu. Mój jeden jedyny strzał musiał ugodzić w cel! Sila-no zsunął szmaty ze swojej krtani i zaczął je zaciskać wokół szyi Astizy. Podniósł swój pistolet.

Odrzuciłem wycior, odciągnąłem kurek i uniosłem lufę. Silano wystrzelił, ale w oddaniu celnego strzału przeszkodziła mu Astiza. Hrabia odwrócił się, żeby zrzucić ją w ogień, i odsłonił szyję.

- On mnie spali!

Nacisnąłem spust.

Kula trafiła go w krtań.

Zacharczał i wytrzeszczył oczy pełne bólu i przerażenia.

Przeleciał przez balustradę balkonu i spadł w płomienie, pociągając za sobą moją kobietę.

- Astizo!

Ponownie ujrzałem wizję jej upadku z balonu. Krzyknęła i przepadła.

Podbiegłem do krawędzi i spojrzałem w dół, spodziewając się, że zobaczę ją wśród płomienni. Ale nie - na jednym ze złamanych słupków balustrady utkwiała mumia, której klatka piersiowa i wyschnięte mięśnie po tysiącletnich zachowały zwartość. Astiza wisiała na płóciennych bandażach, wierzgając nogami nad ogniem.

Silano runął w płomienie i teraz wił się jak robak na prowizorycznym stosie. Księgę trzymał przy piersi.

Niech ją diabli porwą razem z nim!

Chwyciłem pasma bandaży, szarpnąłem w górę i podciągnąłem Astizę. Nie mogłem pozwolić, by znów zginęła razem z tym draniem! Gdy przeciągałem ją przez balustradę ku sobie, Omar też spadł i zapłonął jak pochodnia. Runął w płomienie obok swego pana. Spojrzałem z góry. Jego żebra poruszały się jakby w agonii. Czyżby kołatała

się w nim jeszcze jakieś życie? A może była to tylko jakaś igraszka ognia?

Nie był przekleństwem, lecz zbawcą. Tot w końcu się do nas uśmiechnął.

A Księga? Gdy spłonęło ubranie Silana, zobaczyłem zwój, który topił się jak wosk na jego piersi. Płomienie strzeliły wyżej, skórę hrabiego pokryły pęcherze i odwróciłem wzrok.

Astiza i ja przytuliliśmy się do siebie. Po chwili usłyszeliśmy głosy dzwonów kościelnych, krzyki i łoskot kół ciężkich wozów. Wkrótce w pałacu miała się zjawić paryska straż pożarna. Kiedy przyjadą, tajemnice ukrywane przed ludzkością od tysięcy lat zamienią się w popiół.

-Możesz iść? - zapytałem moją towarzyszkę. - Nie mamy za wiele czasu. Musimy uciekać.

- Księga!

- Przepadła razem z Silanem.

Astiza rozpląkała się. Nie byłem pewien, co oplakiwała.

Usłyszałem, że na dole otwierają się drzwi i zaczynają pracować pompy. Powoli podeszliśmy do wejścia, zakrwawieni i pokryci kurzem oraz sadzą, przestępując przez rumowisko potłuczonego szkła, kości, ksiąg i podartych kart papieru.

W korytarzu pełno było dymu. Przez chwilę miałem nadzieję, że ogień odpędzi prześladowców i będziemy mogli uciec.

Ale nie. Zobaczyłem idących ku nam żandarmów.

- To on! To on! - usłyszałem irytująco znajomy głos. Nie słyszałem go od półtora roku. - Jest mi winien za czynsz!

Madame Durrell! Wynajmowałem od niej mieszkanie, z którego uciekłem w niezwykłych okolicznościach. To ona była tą rudowłosą wiedźmą, którą dostrzegłem kątem oka, gdy wjeżdżaliśmy do Tempie. Nigdy mi nie ufała, a po naszym rozstaniu oskarżyła mnie o usiłowanie gwał-

tu. Oczywiście przeczyłem - wystarczyło na nią spojrzeć. Była starsza od piramid, które zresztą lepiej się od niej trzymały.

- Czy ja już nigdy się od pani nie uwolnię! - jęknąłem.

- Owszem, jak zapłacisz, co mi jesteś winien!

„Wierzyście mają lepszą pamięć niż dłużnicy” - ma wiał Ben. Teraz zrozumiałem, że miał rację.

-1 śledziła mnie pani z agentką tajnej policji Fou-chego?

- Spozstrzegłam cię, bratku, w bramie więzienia, gdzie zresztą jest twoje miejsce, ale wiedziałam, że jakoś się wy dostaniesz na szkodę wszystkich uczciwych ludzi! *Oui*, miałam oko na Tempie, możesz mi wierzyć! Kiedy zobaczyłam, że wchodzisz do tego pałacu razem z tym przepuknym strażnikiem więziennym, pobiegłam po pomoc! Hrabia Silano powiedział, że sam cię załatwi. Wracam, a cały pałac stoi w ogniu! - Zwróciła się do żandar mów: - Typowy Amerykanin. Żyje jak dzikus! Spróbujcie wydusić z niego należne pieniądze!

Westchnąłem.

- Madame Durrell, obawiam się, że znów wszystko straciłem. Nie mam czym pani zapłacić, choćbyś przywiodła ze sobą nie wiadomo ilu policjantów.

- A co z tą tam strzelbą? - Zmrużyła oczy. - Czy to nie ta, którą ukradłeś z mojego mieszkania i z której próbowałeś mnie zastrzelić?

- Nie ukradłem jej, bo była moja, i strzeliłem w zamek, nie w panią. To nawet nie jest ta sama rusznica...

W tejże chwili Astiza wyjęła dłoń spod mojego ramienia i spojrzała ponad głowę mojej gospodyni. Z głębi korytarza nadchodził Bonaparte otoczony generałami i adiutantami. Jego szare oczy były jak lód, ale rysy twarzy ożywiały gniew. Kiedy ostatni raz widziałem go takiego gniewnego, dowiedział się o niewierności Józefiny i unicestwił armię mameluków w bitwie pod Piramidami.

Przygotowałem się na najgorsze. Bonaparte znany był z tego, że przekleństwami potrafiłby zawstydzić kaprala na polu musztry. On jednak opanował się, potrząsając głową z niechętnym podziwem.

- Powiniennem się domyślić. Monsieur Gage, ty chyba naprawdę odkryłeś sekret nieśmiertelności.

- Nie, sire, jestem tylko wytrwały.

- Podążałeś więc za mną przez dwa tysiące mil i podpaliłeś pałac, w którym moi strażacy znaleźli dwa trupy w ogniu?

- Mogę cię tylko zapewnić, panie, że usiłowaliśmy zapobiec jeszcze większemu nieszczęściu.

- Generale! On jest mi winien czynsz! - pisnęła Madame Durrell.

-Pani, wolałbym, żebyś mnie tytułowała pierwszym konsulem, który to urząd objąłem dziś o drugiej nad ranem. I ileż to jest ci winien ten Amerykanin?

Widzieliśmy, jak oblicza wysokość sumy, zastanawiając się, jak daleko może się posunąć w swoich roszczeniach.

- Sto liwów - wydusiła wreszcie. - Kiedy nikt nie zaprotestował, dodała szybko: - ...I jeszcze pięćdziesiąt za utrzymanie.

- Madame - odezwał się Napoleon. - Czy to ty wszczęłaś alarm?

- Ja. - Ruda wiedźma się nadeła.

- Więc dodam ci kolejne pięćdziesiąt liwów nagrody jako gratyfikację rządową. - Odwrócił się do jednego z oficerów. - Berthier, odlicz dwieście liwów dla tej dzielnej kobiety.

- Tak jest, generale. Chciałem powiedzieć, obywatelu konsulu.

Madame Durrell rozpromieniła się ze szczęścia.

- Ale nigdy nie wolno będzie pani pisać o tym nikomu słówka - pouczył ją Bonaparte. - To, co dziś się stało, to sprawa bezpieczeństwa państwowego. Od pani dyskre-

cji i odwagi zależy los naszego kraju. Madame, czy mogę obciążyć panią takim brzemieniem?

- Za dwieście liwrów... tak.

- Doskonale. Jest pani prawdziwą patriotką. - Adiutant odciągnął babę precz, żeby wyliczyć jej pieniądze, a nowy władca Francji zwrócił się do mnie: - Tych ciał nie da się rozpoznać. Monsieur Gage, czy nie zechciałbyś mi powiedzieć, kim byli ci ludzie?

- Jeden to hrabia Silano. Wygląda na to, że nie był rad z odnowienia naszej znajomości.

- Rozumiem. - Napoleon postukał butem o parkiet. - A drugi?

- Stary Egipcjanin o imieniu Omar. Obojgu nam uratował życie.

Bonaparte westchnął.

- A Księga?

- Obawiam się, że przepadła w ogniu, sire.

- Naprawdę? Obszukać ich.

Zostaliśmy obszukani, dość brutalnie, ale oczywiście niczego nie znaleziono. Co prawda żołnierze znów odebrali mi moją rusznicę.

- Zdradziłeś mnie więc ostatecznie. - Patrząc na dym pod sklepieniem, który zaczynał już się rozwiewać, skrzywił się jak oberżysta na widok ciekącej beczki. - Cóż, skoro mam Francję, ta Księga nie jest mi już potrzebna. Zobaczysz, co zrobię z moim krajem.

-Jestem pewien, panie, że nie zechcesz się rozkoszować spokojem.

- Niestety, dawno już powinienes zostać rozstrzelany, Francja zaś będzie bezpieczniejsza, jeśli zrobimy to niezwłocznie. Do tej pory zostawiałem to innym... i oto stoisz przede mną cały i zdrów. Zajmę się więc tym osobiście. Ogrody Tuileries nadają się do tego równie dobrze, jak każde inne miejsce.

- Napoleonie! - jęknęła błagalnie Astiza.

- Madame, nie będzie ci go brakować. Ty też zostaniesz rozstrzelana. I ten wasz dozorca, jeśli uda mi się go odnaleźć.

- Myślę, że on szuka skarbów w kryptach Notre Dame - odezwałem się. - Proszę go nie winić. To prosty człowiek bez wyobraźni, jedyny dozorca więzienny, jakiego polubiłem.

- Ten bałwan pozwolił uciec i Sidneyowi Smithowi - warknął Napoleon - który stawiał mi czoło pod Akką.

- Owszem, generale. Ale to jego opowieści skłoniły nas wszystkich do podjęcia poszukiwań tej Księżki.

- To każe cię zastrzelić dwa razy, jeden będzie za niego.

Wyszliśmy na zewnątrz. Po ogrodach snuły się smugi dymu, ledwo widoczne w promieniach przedświt. Ponownie musiałem się zmierzyć ze złym losem - wyczerpany cięty rapierem, z otartą skórą na piersi i niewyspany. Jeśli w istocie miałem, jak mówiono, diabelskie szczęście, to współczuję diabłu.

Bonaparte ustawił nas pod ścianą oranżerii, w której większość kwiatów ścięty już jesienne chłody. I tak oto moja historia miała się skończyć w ten październikowy poranek; Napoleon zwycięski, Księżka przepadła i moja ukochana skazana na śmierć razem ze mną. Byliśmy zbyt znużeni, żeby błagać o życie. Żołnierze unieśli muszkiety i odciągnęli kurki.

No cóż, pomyślałem, wszystko się kiedyś kończy.

I nagle ostra komenda:

- Stać!

Miałem zamknięte oczy - dość już napatrzyłem się w lufy pod Jaffą - i usłyszałem zgrzyt żwiru na ścieżce, gdy Napoleon podszedł bliżej. Co teraz? Ostrożnie rozwarłem powieki.

- Czy mówisz prawdę o tej Księżce, Gage?

- Przepadła, generale. Chciałem rzec, pierwszy konsulu. Spłonęła.

-Wiesz, to działało... przynajmniej po części. Możesz rzucić na ludzi czar i skłonić do zrobienia zdumiewających rzeczy. To, co zrobiłeś, Amerykaninie, to zbrodnicza strata.

- Żaden człowiek nie powinien być zdolny do rzucania czarów na drugiego.

- Nie lubię cię, Gage, ale też darzę podziwem. Wychodzisz obronną ręką z wszelkich perypetii, jak ja. Jesteś oportunistą, jak ja. Nawet intelekt masz dziwnie podobny do mojego. Skoro mam państwo, magia mi niepotrzebna. Cóż byś zrobił, gdybym cię puścił wolno?

- Wolno? Obawiam się, że moje myśli nie sięgają w tej chwili odległej przyszłości.

- Mam teraz inną pozycję. Jestem Francją. Nie mogę zaprztać sobie głowy prywatną zemstą, muszę myśleć za miliony. W waszych Stanach w przyszłym roku odbędą się wybory, a mnie potrzebna jest poprawa stosunków z twoim krajem. Wiesz, że nasze dwa narody toczą wojnę na morzu?

- Fatalne zrządzenie losu.

- Gage, potrzebny mi energiczny Amerykanin z głową na karku. Francja ma interesy na Karaibach i w Luizjanie, nie zrezygnowaliśmy też z nadziei odzyskania Kanady. Dochodzą do mnie dziwne raporty dotyczące znajdowanych na zachodzie artefaktów... myślę, że mogłyby cię zainteresować. Nasze narody mogą zostać wrogami albo możemy sobie pomagać, tak jak wam pomogliśmy podczas waszej rewolucji. Znasz mnie lepiej od innych. Chcę, żebyś udał się do tej waszej nowej stolicy, Waszyngtonu lub Kolumbii, i popracował dla mnie nad pewnymi sprawami.

Spojrzałem na niego. Stał obok szeregu żołnierzy, którzy mieli mnie rozstrzelać.

- Mam pracować dla ciebie, konsulu?

- Jak Franklin, który wzajemnie przedstawiał sobie oba narody.

Żołnierze opuścili muszkiety.

-Z pewnością sprawi mi to niemałą satysfakcję. -
Kaszniałem.

- Wycofamy oskarżenie o morderstwo i ponownie zbadamy niepowodzenia Silana. To był fascynujący człowiek, ale mu nie ufałem. Nigdy.

Nie tak to pamiętałem, ale w sporach z Napoleonem i nie wolno było przekraczać pewnych granic. Czuję, że wraca mi życie.

- A... - zawiesiłem głos i skinieniem głowy wskazałem Astizę.

- Tak, tak... oczarowała cię, jak mnie Józefina. Każdy to widzi i niech Bóg zlituje się nad tobą i nade mną. Odejdź z Astizą, zobacz, czego możesz się dowiedzieć, i pamiętaj... jesteś mi winien dwieście liwrów!

Uśmiechnąłem się tak przyjaźnie, jak to tylko było możliwe.

- Chcę też odzyskać moją rusznicę.

-Załatwione. Ale myślę, że odbierzemy ci amunicję i oddamy, kiedy znajdę się poza zasięgiem strzału.

Gdy odbierałem pozbawioną ładunku strzelbę, Napoleon rozejrzał się i przyjrzał pałacowi. - Mój rząd znajdzie siedzibę w Pałacu Luksemburskim, oczywiście. Ale myślę, że sam mogę zamieszkać tutaj. Twój pożar będzie dobrym początkiem przebudowy. Zaczniemy tego ranka!

- Dobrze się złożyło, że mogłem pomóc.

- Wiesz chyba, że wszystko zawdzięczasz temu, iż nie jesteś wart kul, którymi należałoby cię rozstrzelać.

- Nie będę cenił się wyżej.

-I że Francja z Ameryką powinny wspólnie wystąpić przeciwko perfidnemu Albionowi?

- Anglicy niekiedy bywają bardzo natrętni...

- Gage, tobie też nie ufam. Niezły z ciebie łotr. Ale pracuj dla mnie, a może coś z tego będzie. Wiesz, że możesz się dorobić fortuny?

- Konsulu, aż nadto dobrze zdaję sobie z tego sprawę. Po blisko dwu latach rozmaitych awantur nie mam grosza przy duszy.

- Umieć być hojny dla przyjaciół. Więc tak. Moi adiutanci znajdą ci jakiś hotel, z dala od tej twojej okropnej gospodyni. Straszna baba! Dostaniesz niewielką zaliczkę i liczę na to, że nie przegrasz jej w karty. Oczywiście odliczymy moje dwieście liwrów.

Westchnąłem. -

Oczywiście.

- A ty, pani? - zwrócił się do Astizy. - Jesteś gotowa zobaczyć Amerykę?

Podczas gdy myśmy rozmawiali, Egipcjanka miała dość smętną minę. Teraz zawahała się jeszcze przez chwilę, po czym ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Nie, konsulu.

-Nie?

- Podczas tych długich, mrocznych dni pytałam swoje serce, aż wreszcie doszłam do wniosku, że należę do Egiptu... tak samo, jak Ethan tam nie należy. Twój kraj, panie, jest piękny, ale zimny, a jego lasy rzucają mrok na duszę. W amerykańskiej dziczy byłoby jeszcze gorzej. To nie jest moje miejsce. Nie sądzę też, żebyśmy stracili już ostatnią szansę na odnalezienie mądrości Tota czy templariuszy. Poślij Ethana z twoją misją, zechceć jednak zrozumieć, że ja muszę wrócić do Kairu i twego instytutu uczonych.

- Madame, jeśli udasz się do Egiptu, nie mogę ręczyć za twoje bezpieczeństwo. Nie wiem nawet, czy zdołam sprowadzić stamtąd moje wojska.

-Z woli Izydy mam odegrać pewną rolę i wiem, że nie za oceanem. - Odwróciła się do mnie. - Przykro mi, Ethanie. Kocham cię, jak ty kochasz mnie. Ale moje poszukiwania jeszcze się nie skończyły. Na razie jeszcze nie możemy być razem. Może w przyszłości, przyjdzie kiedyś taki czas. Przyjdzie z pewnością.

Na bagna Georgii, czemuż ja aż tak bardzo nie mam szczęścia do kobiet? Przeszedłszy przez piekło Dantego, pozbyłem się ostatecznie jej byłego kochanka, znalazłem godne szacunku zajęcie wśród pracowników nowego rządu Francji - a ona chce mnie teraz porzucić? To szaleństwo!

Czy naprawdę? Nie miałem jeszcze ochoty na to, by gdzieś osiąść na stałe, i naprawdę nie wiedziałem, dokąd mnie zawiedzie kolejna przygoda. Astiza nie należała do kobiet, które pokornie podążałyby za mężem. Ja też chętnie bym się dowiedział czegoś więcej o starożytnym Egipcie, być może więc ona przetrze szlak, gdy ja będę załatwiał sprawy Napoleona w Ameryce? Kilka dyplomatycznych obiadów, rzut okiem na Karaiby i będę wolnym człowiekiem, mogącym się zająć swoją przyszłością.

- Będziesz za mną tęskniła? - zapytałem nieśmiało.

Na jej wargach pojawił się smutny uśmiech.

- O, tak. Życie jest pełne smutku i tęsknoty. Ale każdy ma swoje przeznaczenie i wstrzymanie tej egzekucji jest znakiem, że trzeba nam otworzyć kolejne drzwi i pójść na stępną ścieżką.

- Skąd mam wiedzieć, że jeszcze się spotkamy?

Uśmiechnęła się jeszcze raz, smutno, z żalem, a jednak słodko, i pocałowała mnie w policzek.

- Możesz na to postawić. Życie to gra... - szepnęła.

Notka historyczna

Jeżeli prawdą jest, że więcej uczymy się na błędach niż na sukcesach, to kampania w Palestynie bardzo wiele mogła Napoleona nauczyć. Pod Akką jego ataki były źle przygotowane i podejmowane pod wpływem emocji. Nastawił do siebie wrogo niemal całą miejscową ludność. Masakra Jaffy i egzekucja jeńców położyły się cieniem na jego reputacji do końca życia. Niewiele lepiej brzmiały doniesienia, że kazał podawać śmiertelne dawki opium i trucizn swoim żołnierzom, którzy padli ofiarą zarazy. Nigdy później, aż do ataku na Rosję w roku 1812, nie doznał takich militarnych i politycznych niepowodzeń.

A jednak pod koniec 1799 roku Korsykanin nie tylko przetrwał klęskę militarną; tak zręcznie pozyskał sobie opinię publiczną we Francji, że został mianowany pierwszym konsulem narodu, który go adoptował, i wkroczył na drogę do cesarskiego tronu. Współcześni, powleczeni teflonem politycy (mam na myśli to, że nie ma się ich żadna krytyka) nie mogą się równać ze zręcznością Bona-partego. Jak zdołał obrócić na swoją korzyść taką klęskę? Tajemnica tego niespodziewanego zwrotu stała się osią intrygi tej książki.

Czytelnikom powieści ciekawym takich rzeczy powiem, że wiele z jej treści to prawda. Bitwa pod górą Tabor i oblężenie Akki przebiegały tak, jak to opisałem, choć pozwoliłem sobie na pewną dowolność w szczegółach. Elektryczny łańcuch Ethana Gage'a to mój wymysł,

podobnie jak wybuchowy taran Napoleona. Ale Sidney Smith, Phelippeaux i Chaim Farhi to postacie prawdziwe (choć Phelippeaux w rzeczywistości nie zginął zakłuty bagnietami, tylko zmarł z wyczerpania albo na zawał podczas odpierania ataku). Akka i Jaffa - ta ostatnia obecnie jest jednym z przedmieść Tel Awiwu - zachowały pewne elementy architektoniczne z roku 1799 i nietrudno wyobrazić sobie wędrowki Gage'a po Ziemi Świętej. Strategiczne wieże i mury Akki zostały zrównane z ziemią -po oblężeniu Dżezar kazał wybudować nowe, ponieważ dawne były mocno uszkodzone. Spacer po murach tego uroczego, leżącego nad Morzem Śródziemnym portu jest naprawdę romantyczny. Biegając na wschód, ku Galilei, autostradę zbudowano u stóp wzgórza, na którym Napoleon założył swoją kwaterę.

Czytelnikom zainteresowanym syryjską kampanią Napoleona poleciłbym książki Nathana Schura *Napoleon in the Holy Land* i J. Christophera Herolda *Bonaparte in Egypt*. W wielu książkach o malarstwie znajdziecie też przemawiające do wyobraźni akwarele pędzla angielskiego malarza Davida Robertsa malowane w roku 1839.

Niektóre z podziemnych krypt pod Jerozolimą musiałem sobie wyobrazić - było to koniecznością, ponieważ nawet tak dobrze znane pomieszczenia jak Stajnie Salomona zostały zamknięte dla zwiedzających przez władze muzułmańskie - trzeba wam jednak wiedzieć, że pod całą Jerozolimą ciągną się lochy i tunele. Zalicza się do nich ciemny, ciasny podziemny korytarz wodny z Dolnej Sadzawki Siloam, który autor zwiedził osobiście, żeby poznać smak i atmosferę opisywanej przezeń podziemnej przygody. Istnieją także podziemne wrota do ukrytych od dawna tuneli pod Górą Świątynną - możecie je zobaczyć, jeżeli udacie się tam jako turyści. Sama Góra nie jest dostępna dla archeologów - władze obawiają się, że wykopalka mogłyby wywołać rozruchy. Zdarzało się dawniej,

że badacze byli przepędzani przez rozjuszony tłum, nie da się jednak zaprzeczyć, iż możliwe są tam rewelacyjne odkrycia. Nie pokazujcie się tam tylko z łopata. Możecie wywołać świętą wojnę.

Niektórzy z czytelników rozpoznają w Mieście Duchów zapierające dech w piersiach ruiny jordańskiej Petry, zbudowanej krótko przed Chrystusem przez Nabatejczyków, których później podbili Rzymianie. W czasach, kiedy zwiedzał je Gage, były to istotnie ruiny, które mogły rozmachem oszołomić dziewiętnastowiecznych Europejczyków. Pozwoliłem sobie na pewną dowolność w opisie, ale większa jego część jest zgodna z rzeczywistością. Istnieje nawet Płaskowyż Ofiarny.

Budowę pałacu Tuileries w Paryżu zapoczątkowano w 1564 roku. Pałac spłonął w 1871 podczas walk komunistów o Paryż. W 1800 roku, w trzy miesiące po objęciu władzy Napoleon i Józefina wybrali go na swoją siedzibę. Więzienie Tempie też istniało naprawdę, później jednak Napoleon kazał je zburzyć (1808). Notre Dame istotnie wzniesiono na miejscu starej rzymskiej świątyni poświęconej Izydzie.

Informacje o templariuszach, kabale, symbolizmie i idei Księgi Tota też odpowiadają prawdzie. Poprzedzająca tę książkę powieść *Piramidy Napoleona* zawiera więcej informacji o Tocie. Idea, że templariusze znaleźli jego księgę, jest moim wymysłem literackim - pozwólcie jednak, że zapytam, czym można wytłumaczyć ich zaskakująco szybkie zyskanie wpływów i znaczenia w Europie, po tym jak przeprowadzili wykopaliska pod Górą Świątynną. Co wtedy znaleźli? Gdzie jest biblijna Arka Przymierza? Jakie sekrety posiadały państwa starożytnych? Wszystko to okrywają mroki tajemnicy.

Mógłbym w tym miejscu rzucić ironiczną uwagę, że kustoszów z British Museum dumnie wystawiających na pokaz Kamień z Rosetty zdobyty przez Anglików na

Francuzach w roku 1801 zdumiałaby wiadomość, że brakuje mu najwyższej i najważniejszej części. Po przeczytaniu tej powieści panowie muzealnicy zechcą może dodać napis z przeprosinami za brak i zapewnienie, że czynione są próby odnalezienia brakujących kawałków górnej części, która padła ofiarą pomysłowości pewnego jankesa w 1799 roku. To jednak tylko sugestia - podobnie jak ta, że archeologowie powinni poszukać pozostałych 36 534 Ksiąg Tota.

Oczywiście jeśli uważają się za wybranych.

Podziękowania

Książka by nie powstała, gdyby nie pomoc wielu historyków i pracowników muzeów, które czynią Izrael i Jordanię tak interesującymi miejscami dla turystów. Za szczególne wsparcie dziękuję przewodnikom, Paulowi Rako-werowi i profesorowi Bahatowi z Izraela i Mohammadowi Helalatowi z Jordanii. Autorką łacińskiego epigramu templariuszy jest Dianę Johnson z Western Washington Uni-versity, a Nancy Pearl zwróciła moją uwagę na anegdotę o Napoleonie wydzierającym strony z książek i przekazującym je swoim oficerom. Chciałbym także podziękować pracownikom wydawnictwa HarperCollins, a w szczególności Rakeshowi Sattyalowi, Marcie Cameron, Davidowi Koralowi, Robowi Crawfordowi i Heather Drucker za ich ciężką pracę, oraz wielu innym, którzy umożliwili wydanie tej książki. Uznanie oczywiście należy się też Andrew Stuartowi, mojemu literackiemu agentowi. I jak zawsze, mojej pierwszej czytelniczce, Holly.